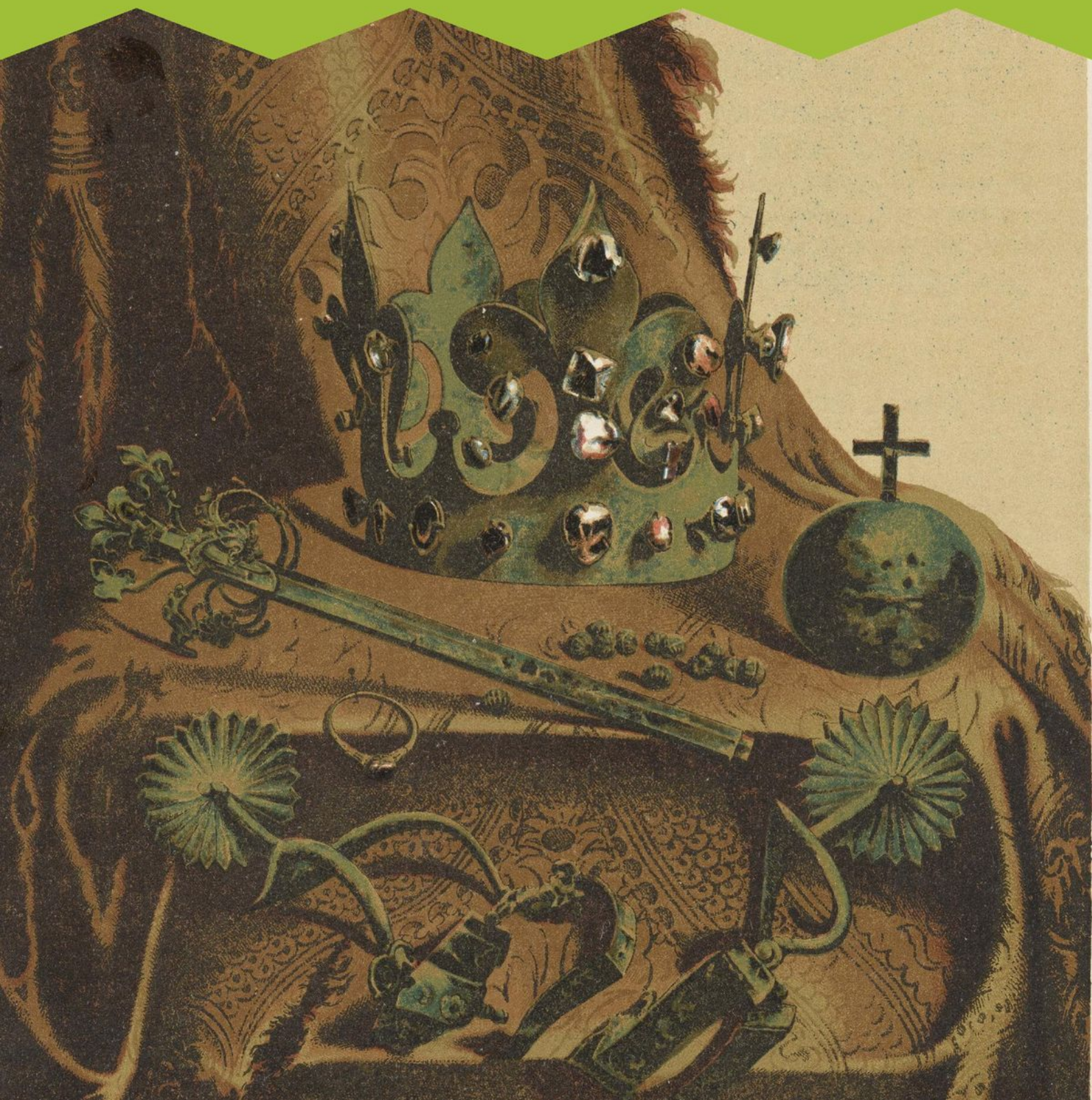


Król chłopów





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Król chłopów

CZASY KAŻMIRZA WIELKIEGO

TOM I

Panu
Władysławowi Chodźkiewiczowi
w Paryżu.

Kochany Władysławie! Pierwszą z szeregu tych powieści historycznych przypisałem nieodżałowanemu Bronisławowi Zaleskiemu — tę przesyłam Tobie, jako dowód przyjaźni szczerzej, szacunku i wdzięczności za wiele oznak życzliwości. Przyjm tę maluczką ofiarę takim sercem, jak ja przesyłam, a bądź w ogóle dla całego szeregu tych opowiadań pobłażającym. Trudność zadania, o które się pokusiłem, zuchwalstwo, z jakim je podjąłem, nie potrzebuje wyjaśnienia. Bije w oczy ogrom i wszystko, co było i jest do zwalczenia, aby podolać temu obrazowi dziejów, wcielonych w główne postacie historyczne.

Nie ludziłem się też nigdy, bym w zupełności wymaganiom nader rozlicznym mógł odpowiedzieć. Czyniłem i czynię na co mnie staje, sądząc, że mi w rachunek i to zaliczonym będzie, że potrzeba było rodzaju ofiary i wyrzeczenia się, by taki ciężar dobrowolnie wziąć na ramiona, pod którego brzemieniem upaść się musi.

Dla jednych jest tu za wiele, dla drugich za mało, dla nikogo prawie to, czego chciał i jak mieć życzył. Z rezygnacją przyjmuję najsprzeczniesze sądy, w duszy będąc przekonanym, że szereg tych powieści, jakiegokolwiek one są, wiele rysów zatartych odświeży, wiele nowych uwydatni, wiele postaci godnych pamięci przypomni. Sama polemika, choćby najdziwniejsza — bo i z taką mi się spotkać zdarzało, która dowodziła, że krytyk nie przeczytał z uwagą tego o czym sądził — ma swe dla ogółu pożytki. Na wszystko odpowiadam: uczynicie więcej a nadewszystko lepiej — cieszyć się będę.

Zarzutów. jakie mi czyniono, poczynawszy od drobnostkowych szczegółów, które do mnie nie należały — aż do tendencji, pospiechu i t. p. odpierać nie będę. Co do pospiechu dodam tylko, że często po trzy razy przepisuję, a zawsze cztery razy odczytuję. Jest zresztą w słabości natury mojej, w jej właściwości, to, że zwykle opracowywanie, dla innych pożyteczne — u mnie daremnie się staje lub nawet szkodliwym. Są tacy nieszczęśliwi, do których ja należę, którym nie dano jest nic przerobić — bez zepsucia. Nieubłagana jakaś, choć może fałszywa logika, zmusza co się narodziło ułomnem, orthopedycznym doświadczeniom nie poddawać, aby większego nie ściągnąć nań kalectwa.

Wszystkie, prawie bez wyjątku krytyki, które mi do rąk wpadły, z nadzwyczajnym staraniem wszelkie możliwe usterki podnosiły; nie zdarzyło mi się ani jednej czytać, która by jakąś stronę lepszą podniosła.

Takie jest u nas pojęcie krytyki w ogóle i zadania krytyka. Każdy z tych sędziów chce tym swą wyższość nad autorem pod skalpel wziętym okazać, że wszystkie plamy i plamki dostrzeże nadzwyczaj bystro. Idzie mu o siebie nie o rzecz, którą rozbiera. Jest to tak dotykalnie widocznem, że często uśmiech wywołuje... Słabość to ludzka.

Ale najgorsza nawet krytyka ma swą dobrą stronę...

Chwalić się samemu niepodobna, *propria laus sordet*, mówiono nam w szkołach, bronić się nawet nie przystało. Niech więc wolno będzie przypomnieć, że opowiadania te historyczne, wymagają wielkiej pracy przygotowawczej, która nie postrzeżoną dla czytelnika pozostaje i wsiąka w utwór fantazją ubarwiony. Autor starał się i stara szczegóły dobyć z pyłu i zapomnienia, gdy są charakterystyczne, wysnuwa z nich wnioski, i do przesady może posuwa sumiennosc w czerpaniu ich w źródła. Jak trudno przy tem, z często nader niedostatecznych napomknień, z tych okruchów i obłamków odtwarzać żywe postacie — nie potrzeba mówić o tem.

Za długo się może, za obszernie o tem rozpisuję, chociaż przedmiot wcale wyczerpany nie jest. Chciałem się po prostu w tym otwartym liście do Ciebie poskarżyć. Skarga to, próżna może, którą mi Ty i czytelnicy przebaczą, próżna, bo co żyć warto i ma w sobie życie — to mimo krytyki, nie zginie, a co ma w sobie zaród śmierci i brak warunków żywotnych, umierać musi. Na to żadne środki kunsztowne, ani przyjacielskie pochwały nie pomogą. Zatem — bądź co bądź, człowiek czynić powinien co może, a sprawiedliwość dokona, do czego jest obowiązana.

Proszę Cię o współczucie, a z Tobą razem wszystkich Czytelników moich.

Hyères, d. 6 Kwietnia 1881.

PROLOG

W wielkiej sklepionej sali krakowskiego zamku, na dole, mrok się już wieczorny rozpościerał. Wąskie okna jej, głęboko w mur wpuszczone, w większej części były gęstemi przysłonięte oponami, przez drugie mało się już gasnącej światłości wkładało. Włoska lampka oliwna zapalona stała w kącie, ale słaby jej ogień ledwie małą przestrzeń ruchawym rozjaśniał promykiem. Cisza głęboka panowała w obszernej izbie; w przedsieniach, na podwórzach ledwie się co poruszało.

W kościele Ś. Wacława na zamku cicho dzwoniono żałobnie na wieczorną modlitwę.

W jednym sali rogu na szerokim łożu skórami i sukniami okrytem, widać było z ciemnego tła jedwabnych przykryć, na których spoczywała, twarz wybladłą, z oczyma zamkniętymi, jakby uspiętego człowieka lat podeszłych.

Z jednej strony łoża stał w czerni, w sukni duchownych, mężczyzna stary, wpatrzony w leżącego, z brwiami ściągniętymi, z drugiej, na wielkim siedzeniu, w pół klęczący, pochylony troskliwie, niespokojne oczy wlepiając w chorego, młodzieniec w kwiecie wieku, silny, piękny, rysów szlachetnych, pańskiego oblicza. Ręce trzymał załamane na kolanach.

Opodal nieco niewiasta w długiej sukni szarej, obcisłej, z zasłoną na głowie, z różańcem w ręku, modliła się, żywo paciorki jego przebierając palcami wychudłymi.

W nogach łoża z rękami do modlitwy złożonemi, cicho coś szepcząc, oczy wzniosłszy ku niebu, stał mnich w sukni białej, w płaszczu czarnym.

Na łożu tem wyczekiwał śmierci i wyzwolenia król, co przeszło pół wieku walczył dla połączenia w jedno, rozszarpanego dziedzictwa Mieszka i Chrobrego — Władysław zwany Łoktkiem, mąż wielki małego ciała, a potężnej ducha siły.

Czuł on sam, widzieli wszyscy przybliżającą się ostatnią godzinę.

Nie choroba, nie rany zwyciężyły go i obaliły; długi trud, niezmierne troski wyczerpały sił ostatek. Gasnął powoli, bo życia ogień wypalił się w nim do dna.

Umierał z tą mocą duszy z jaką żył, mężny i spokojny; nie broniąc się śmierci, pożądając jej, zstępując do grobu z pociechą w sercu.

Nie dokonał wszystkiego, co zamierzał, ale niewiele brakło do spełnienia myśli jego, zrodzonej w dzieciństwie, wykołysanej życiem, dojrzałej w bojach...

Myśl swą spuścizną zostawiał synowi.

Mnich, stojący w nogach łoża, pobożny dominikanin Heljasz już był przejednął króla z Bogiem. Władysław dnia tego wolę swą objawił mężom dostojnym, ojczycom królestwa swego i pożegnał wszystkich; rozstał się z żoną, pobłogosławił syna, któremu Polskę oddawał, ziemianom zleciwszy jedyne dziecko.

Lekarz kanonik Wacław przepowiadał zgon bliski; królowa Jadwiga płacząc powtarzała modlitwy za konających, lecz śmierć nie przychodziła jeszcze...

Wojownik stary bronił się jej resztą potęgi, w bojach mnogich nabytej.

Król się tylko usypiać zdawał. Oddech jego stawał się to przyspieszonym gorączkowo, to słabym tak, że go ledwie czuć było. Zapadłe powieki podnosiły się nagle, głowa poruszała, zaschłe usta otwierały, zbladłe oczy biegały po otaczających, i Łoktek chwilowo powracał do życia.

Duch starego wojownika jak przykuty do tego starganego wiekiem ciała, nie mógł się z niego wyzwolić.

Nadchodziła noc, po której wracający dzień już, wedle przepowiedni lekarza, króla nie miał zastać między żywemi.

Medyk patrzył zdumiony i upokorzony, bo na tem łożu śmierci działał się cud — walka się odbywała nieprzewidywana, niewidoma, nieznaną mu — życie opierało się zniszczeniu.

Łoktek powracał doń snem pokrzepiony.

Oblicze jego przybrało już dawno tę barwę trupią, bezkrwistą, wyzółkłą, która nadchodzącego zgonu czytać na niem dozwalała; lecz piersi się poruszały, oddech był widoczny. Zeschłe płuca odzywały się w nim jeszcze głucho i smutnie... powietrze w nich chrzęszczało.

Stojący nad chorym kanonik lekarz, dał z lekka znak, aby mu spoczynku nie przerwano i sam począł na palcach odchodzić. Cofnął się też, ujrawszy to, mnich Heljasz i królowa po cichu, powolnie ku drzwiom zwróciła.

Król usypiał.

Wszyscy, po dniu tym wzruszeń pełnym, zapragnęli usunąć się do bocznej komnaty i tam czekać przebudzenia, gdyż jeszcze się go spodziewano.

Jeden syn pochylony przy ojcu pozostał nieruchomy.

Na dany przez matkę znak, potrząsnął głową, wskazał na ojcowskie łożę, dając łatwo zrozumieć, że chciał czuwać przy nim.

Niedawno jeszcze z ust jego słyszał ostatnie wyrazy błogosławieństwa i przestrogi — niedawno brzmiały tu głosy zwołanych panów rady — królewicz-następca wzruszony był. Do łoża konającego wiązała go miłość, wdzięczność i ta troska o jutro, która brzemieniem całej, nieznaney przyszłości leżała na piersiach jego.

Łzy kręciły mu się w oczach...

Złotą była korona, którą miał włożyć na młodocianą skroń ale ciężką.

Zwolna wysunęli się wszyscy ku drzwiom bocznym, których zasłonę królowa podnieść kazała, aby być na najmniejszy szelest, na zawołanie powrócić gotową.

Nieruchomy w tej półkłępczącej postawie królewicz, został jak przykuty do siedzenia i łoża. Wzrok jego na twarzy bladej ojca spoczywał.

Oblicze to było zżółkłe jak karta pergaminowa i jak ona życiem zapisana długiem. Nigdy może wprzód, gdy był w pełni sił, nie stały na niej wyryte dobitniej mężstwo, rezygnacja, siła, spokój i żelazna wola. Teraz tylko wszystkie te charakteru znamiona oblewała światłością przedśmiertną jakaś błogość — pogoda dnia ostatniego.

Któż nie widział na obliczu umierających, mocnych na duchu, bojowników zwyciężkich, tego wyrazu szczęśliwości, jaki wdziewa śmierć wiodąc ich do grobu?

Wszystkie cierpień ziemskich ślady zagładza palec anioła śmierci.

Z za brózd, marszczek i fałdów promieniało oblicze stare króla wypięknione i jasne.

Syn patrzył na nie z pobożnym zdumieniem, bo nigdy go takim nie widział.

Jeszcze przed chwilą, gdy król z gorącością przemawiał do panów rady, do syna; miał starą swą twarz, jaką nosił po pobojowiskach; teraz śmierć przyoblekła ją majestatem i powagą swoją. Królewicz zadrżał — było to dlań zwiastunem chwili ostatniej.

Lecz — król żył: piersi poruszały się prawie łagodnie, dostrzegał lekkie twarzy drganie — starzec jeszcze oddychał.

Płomyk lampki, który, podniósłszy się, żywszym rzucił blaskiem na rysy króla, dozwalał rozeznąć lekkie ust ściągnięcie i na powiekach wysiłek i drganie. Dźwignęły się one z ciężkością; z głębin ich blade zaświeciły oczy.

Zatrzymały się długo na synu, wargi zatrzęsły się, jakby je przewiew uśmiechu przebiegł bezsilny.

Każmirz jeszcze bardziej pochylił się do ojca.

Cud tego życia, przerywającego konanie, coraz był widoczniejszym, głowa zwróciła się o swej sile ku ukochanemu dziecięciu.

Oddech piersi stał się głośniejszym, i głucho dobył się z nich głos.

— Każmirz?

— Jam jest! — odparł syn cicho.

— Jak za mgłą cię widzę — szepnął król wyraźniej nieco.

— Wody! Usta spieczone! — dodał, chcąc dobyć napróżno osłabłą z pod przykrycia rękę.

W tem Każmirz pośpieszył z kubkiem rzeźwiącego napoju, stojącym tuż przy łożu i ostrożnie nachylił go do ust ojca, wlewając w nie płyn po kropli.

Usta się rozwarły nieco, trochę życia wstąpiło w twarz, której oczy nabrały blasku.

Uśmiechnął się Łoktek.

— Noc? — zapytał cicho.

— Wieczór późny.

Król oczyma potoczył po komnacie, jakby się chciał przekonać, czy byli sami.

Chwilę trwało milczenie, pierś pracowała, aby się na głos zdobyć ostatni.

— Koronę — rzekł silniej. — Koronę niech ci niezwlekając włożą, niech namaszczą. Bóg z nią daje moc. A potrzeba jej, aby utrzymać wszystko w jednej dłoni. Polskę całą, Kujawy, Mazowsze, Pomorze... Pomorza Niemcom nie ustąpić nigdy! Tamtędy droga w świat, jedyna wolna, w koło wrogi, bez niego więzienie...

Mówił, odpoczywając chwilami, Kazimir słuchał pochylony. Nie była to rzecz do niego zwrócona, lecz jakby mimowolne snujących się myśli wyrazy, wpół do siebie, do Boga, do niego... Coś, jak marzenie, jak modlitwa...

— Mazowsze posłuszne, lenne być musi i twoje, pod prawem jednym — ciągnął dalej — Szlązko zgniłe, zaniemczone przepadło... przepadło!... Już mu nie odżyć, rdza niemiecka je zjadła...

Mówiąc to przymknął powieki, ale natychmiast podniosły się znowu i usta dalej szeptały, dla syna tylko dosłyszczanym szmerem.

— Z siostrą, z Węgry musi być wieczne przymierze, za ręce trzymajcie się oboje...

Pod Rzymem stać wiernie, pod Awinionem, bo tam głowa nasza i siła. Papież mnie ratował, rozgrzeszył, dźwignął, wiele lat temu... Królestwo nasze pod Piotrową stolicą, hold mu winniśmy...

Zamruczał coś niewyraźnie i poruszył się niespokojnie.

— Znajdziesz ludzi dobrej rady, Jaśko z Melsztyna, mąż prawy, Trepka wierny... Ziemianie, szczyty, rycerstwo dobre, dobre, ale nie oni jedni... Jest ubogi lud, jest biedny chłop... to ojczyce także nasi. Pamiętaj! Ja pomnę, gdy, z błogosławieństwem miłościwego lata powrócił z tułactwa sam, sam jeden, jak palec, nie miałem wówczas nikogo. Ziemianie nie chcieli mnie, zamiast rycerstwa szli ze mną chłopki z siekierami Polskę budować. Szli i bili się... a dopiero po nich przyszły szczyty, a na końcu barony i comites...

Chłopkom wdzięcznym być!

Spojrzał na syna.

— O chłopkach pamiętaj!

Kazimir skłonił głowę.

— Tarczą im bądź i opieką — szeptał król cicho — sędzią im bądź sprawiedliwym, obrońcą, oni mnie obronili...

W tem głos coraz cichszy i słabszy szeptem niezrozumiałym utonął w piersi, i była znowu chwila milczenia.

Z bocznej izby na palcach podszedł ks. Wacław, nad słuchując ostrożnie. Stał zdziwiony, pochwywszy szeptanie, ręką sięgnął po kubek i przyłożył go do ust króla. Chory wnet poczuł obcego, zamilkł, ściągnąwszy wargi, ale napój połknął chciwie.

Ks. Wacław zatrzymał się chwilę, zrozumiał to, że ojciec chciał sam na sam z synem pozostać, i usunął się powoli.

Wpół podniesione powieki śledziły ruch jego i nie otwały się, aż zniknął.

— Z Krzyżowcami niemieckimi — rzekł — nigdy pokoju... Przeciwno nim przymierze i pokój choć z pogany! (mówił niezrozumiale, głos drżał). O! nigdy zgody z niemi! Kruki czarne, wilki żarłoczne, wrogi wiekuiste...

Z Pomorza ich wygnąć potrzeba precz, lub oni tę koronę prędzej, później żelaznym klinem rozsada. O! z niemi nigdy pokoju...

Z pogany się jednać lepiej, Litwie żoninej dać rękę, Ruś zagarnąć... Węgry zsojuzszone, nasze, Czech się grzywnami przejedna, daj mu ostatnią koszulę... choćby kieli chy ze skarbców kościelnych, byle zjednać przeciw krzyżakom, wszystkich przeciw nim... Brandenburczyków głaskać, Szlązaków zagodzić... a Pomorze odbić, bo tchnąć nie będzie czem... Gościniec w świat nam zaprą i uduszą.

Spoczął nieco i dodał.

— Krwi się tam dużo poleje... będzie strumieniami ciekła... jak pod Płowcami...

Marszki na czole króla wygładziły się, pogoda zwycięstwa opromieniła je na chwilę.

— Płowce! — powtórzył — Płowce! Drugie Płowce przyjdą nieprędko, ale ja widzę je, widzę. Stosy chorągwi ich po ziemi się tarzają i trupów stosy w posoce...

Kazimir klęczący już przy łożu, aby mógł słyszeć lepiej, przychylił się tuż ku ustom ojcowskiemu.

Od przepowiedni tej serce mu zadrgało żywiej. Łoktek smutnie się uśmiechał.

— Nie ty ich poskromisz... — dodał — nie, tobie nie dano! Ty gdzieindziej musisz szukać zwycięstwa.

— Ojciec mój — ozwał się Kaźmirz, gdy stary zamilkł nieco — ojciec mój, ja nie mam miecza twojego, ani dłoni twej...

— Da ci je Bóg, gdy będzie potrzeba — przemówił król — nie miecz wojuje, ani ludzka dłoń, ale wola i opieka Boża. Spełni się wszystko, jak on postanowił. Ty, ty kleić i spajać musisz, co rozerwały wieki, żelazną wiązać obręczą... miłością ożenić, prawem zjednać...

Ostatnie słowa wyrzekł gorąco i znużony nagle mówić przestał. Zdala ujrzał stojącą z głową zwieszoną królowę.

Wpatrzył się w jej postać smutną i wejrzeniem żegnali się długo.

Jadwiga stała chwilę, i milczeniem króla odprawiona, odeszła. On mowę odzyskiwał tylko dla syna.

— Bóg z tobą — rzekł — on dla mnie czynił cuda, on przezemnie słabego i małego stworzył znów królestwo, które do potęgi wielkiej urosło...

Dziś ta stara szata królewska poszarpana na skrajach, zszywać ją trzeba, odbierać obcięte kawały, wojować, na straży stać i latać, aż płaszcz z niej będzie pański... Bóg wielki tworzy z niczego i przez małych.

Po krótkim milczeniu szepnął cicho.

— Błogosławie!

Głos zamierać się zdawał, oczy się przymykały. W tem wpośród ciszy szelest dał się słyszeć, naprzód niewyraźny, stłumione mowy kilku ludzi, sprzeczkę jakąś u progów.

Łoktek oczy otworzył niespokojnie, królewicz powstał. Niepojętem to było, by w ostatniej godzinie pokoju pana umierającego nie poszanowano.

Spór coraz dobitniej dawał się rozpoznać w pomieszanych głosach, na ostatek błagające, płaczliwe doleciały wyrazy.

— Puśćcie mnie, puśćcie mnie, jam najstarszy jego sługa.

Poruszył się Łoktek niespokojnie i oczy jego synowi znak dały, aby drzwi nie zamknięto proszącemu.

Nim Kaźmirz miał czas spełnić rozkazanie ojcowskie, zwolna odchyliły się podwoje i w nich dziwna ukazała się postać.

Był to starzec zgarbiony z długą za pas, zrzędłą brodą siwą i czaszką wyłysiałą, na której lśniącej skórze mnogie szramy widać było... Odziany suknią tercyarską dzieci Franciszka świętego, zgrzybiały człek nie mógł już iść o swej sile... Dwóch chłopaków ubogo odzianych, na których ramionach się opierał, wiodło go pod ręce. Twarz z oczyma zakrwawionymi pomarszczona, biała, miała wyraz niepokoju i zarazem radości... Ręce trzymał złożone, jakby szedł do ołtarza.

— Król mój! pan mój! — wołał głosem drżącym — puszczajcie mnie do niego... Niech pożegnam pana mego!

Z ust Łoktka wyrwało się:

— Jarosz... Jarosz... pójdź tu! do mnie, stary.

Potoczył się powołany do łoża, cały drżąc z radości i dopadłszy do nóg króla, płacząc ścisnąć je pocałował.

— Król mój! pan mój! a mnie do ojca mego puszczają nie chcieli — wołał. — A myśmy razem dziećmi biegali, a jam z nim był i w bojach, i na tułactwie, i w Rzymie, i po jaskiniach, i na pobojowiskach, i na noclegach, i w niewoli, i wszędzie...

Królowi oczy drżały i pod osłoną poruszał rękami, których dobyć nie miał siły.

— Ty idziesz — mówił płaczliwie Jarosz, klękając u łoża — weźmijże mnie z sobą, życie już cięży. Za grzechy pokutę sprawilem, oczy zagasły, ręce obezwładniały... Weźmij mnie z sobą, jakś brał dawniej...

Z drugiej komnaty wybiegli wszyscy i ksiądz Waclaw pierwszy chciał starego odciągnąć sługę, lecz król dał znak, Jarosz pozostał u nóg jego.

— Kiedy Tobie, panie mój, Bóg zesłał wyzwolenia godzinę, może i mnie w miłosierdziu swem zabierzesz z sobą. Jabym się u stóp twych położył, jako legąłem po lasach, gdyśmy sami byli, biedni, głodni, a ścigani.

Twarz królewska ożywiła się temi wspomnieniami, nie mówił, ale się na niej rysowało rozrzewnienie pogodne.

Jarosz ledwie odetchnawszy ciągnął dalej.

— Król mój, pan mój! a mnie do niego puszczać nie chcieli. Jamże powinien tu być w godzinę śmierci, bom w życiu wiernym był towarzyszem.

Łkanie mu przerywało.

— Nie złękniemy się śmierci, widzieliśmy ją nieraz — mówił spokojnie. — Spocząć czas!

Kończył te słowa Jarosz, gdy król dobył głosu z piersi.

— Ojczy Heliaszu! — zawołał — Heliasz!

Mnich, który się spodziewał być powołanym, stał już blisko i przysunął się do łoża samego, krzyż podnosząc w ręku.

Każmirz usunął się nieco, Jarosz milczał i modlił się.

Wśród ciszy zabrzmiała uroczysta kapłana modlitwa. Była to ta ostatnia, którą żywi przeprowadzają duszę ku lepszym ulatującą światom.

Oddech umierającego stał się nagle żywszym i cięższym, w piersiach wyraźniej odzywało się chrząszczenie, pot występował na czoło. Śmierć, która się oddalać zdawała, wracała po swoją ofiarę.

Z drugiej strony łoża stojący kanonik Wacław wejrzeniem i ruchami dawał poznać, iż stanowcza chwila nadeszła.

Głowa króla głębiej w pościel i niżej opadała na piersi. Wysięk jakiś poruszał całym ciałem, które okrycia podnosiło i ściągало na przemiany.

Królowa klęczała przy mężu, tuż obok starego Jarosza.

Głos mnicha coraz wyraźniej, coraz mocniej podnosząc się, aby stępiącego już doszedł ucha, rozbrzmiewał po całej sali.

Oczekujący w sąsiednich komnatach, usłyszawszy go, zjawili się na progu gromadnie. Byli to ludzie poważni, w szatach ciemnych, smutnego a zadumanego oblicza. Oko ich na przemiany to szukało łoża, na którym spoczywał umierający, to pochylonej młodego królewicza głowy.

Niespokojni szeptali po cichu, Jarosz opadłszy ku ziemi, z głową na piersi zwieszoną, bezsilny zdawał się razem z królem swym dogorywać.

Kapłan w głos już, z zapalem odmawiał resztę modlitwy.

Pokłękli wszyscy. Królowa twarz splakaną zanurzyła w pościeli i lkała z bólu.

Raz jeszcze podniosła się twarz starca, powieki odsłoniły oczy zbladłe, westchnął ciężko.

Westchnienie to odbiło się w piersi Jarosza, którego chłopcy utrzymać nie mogli, potoczył się na ziemię.

Lekki okrzyk stłumiony wyrwał się z ust królowej.

Zrana już na łożu w tej samej sali rozpostartem szeroko spoczywały Łoktka zwłoki, przyodziane do grobu, w hełmie na skroni z koroną, pasem objęte, z mieczem wierzynym u boku, z berłem w dłoni, w spiczastem obówie ze złożonemi ostrogami, z twarzą wypogodzoną, jaką mu dał zgon.

Do koła stali posiwiali jego towarzysze broni ostatni najmłodszy, a najstarszy z młodości czasów sługa leżał w kaplicy u Franciszkanów, w tercyarskiej sukni, czekając też pogrzebu. Rycerze spoglądali na wyciągniętego konaniem, drobnych zawsze rozmiarów, człowieczka tego, którego żelazny miecz, nieruchomy teraz, wyciosał królestwo wielkie.

Patrzyli i milczeli.

Podwórza zalegały ciche tłumy. Smutek był na twarzach wszystkich.

W przedsienu, na marcowego wiatru zimnym przewiewie, nie czując go, poopierani o słupy, nieruchomi, jak posągi, stali u wnijścia, Trepka Jerzy, który królewiczowi towarzyszył nieodstępnie w latach ostatnich; poważny Jaśko z Melsztyna, którego król synowi do rady naznaczył, Mikołaj Wierzynek rajca krakowski, starego i młodego pana ulubiony sługa; Kochan Rawa, powierny dworzanin Każmirza, i Suchywilk, kapłan, siostrzeniec arcybiskupi.

Kochan Rawa, którego wszyscy znali, najbliższym królewicza, choć się powinien był radować z tego, iż pan, którego był ulubieńcem, miał włożyć koronę, posepny stał i smutny.

Mężczyzna to był młody, silny, przystojny, w kwiecie wieku, Kaźmirza rówieśny, twarzy rozumnej, lecz namiętnego i zuchwałego wyrazu.

W bystrych oczach jego czytać było można, iż sprawcą mógł być lepszym, niż doradcą. Marszczyło mu się białe czoło od myśli ciężkich. Ręką ująwszy się w bok, a razem rękojeść miecza ściskając; drugą, to czoło pocierał, to wąsy targał i brodę.

Zbliżył się doń Trepka, wyglądający poważnie a rycersko.

— Nie pójdziecie zajrzeć — spytał — co się z młodym panem dzieje?

— Byłem tam — odparł krótko Kochan — spoczynku mu potrzeba. Sam pozostał... Królowa stara modli się, młoda krząta się niespokojna. Jam go zamknął od nich, bo siły pokrzepić trzeba. Teraz ich dużo mieć musi.

Zbliżył się do rozmawiających Wierzynek.

— Straciliśmy ojca! — jęknął smutnie.

Nie odpowiadali mu długo.

— Ktoby tego pana nie żałował — podchodząc począł spokojnie Suchywilk, którego twarz rozumna we wszystkich uszanowanie wzbudzała. — Strata to niepowetowana, aleć Bóg opatrzny dał nam godnego z lędźwi jego następcę. Ten podejmie i dokona, co tamten rozpoczął.

Nie trapijmy się zbytnio.

Czas było znużonemu spocząć i pójść po zasłużoną nagrodę. Któryż z królów tak długo i skutecznie dla tej korony pracował.

Starzy tylko pomną początki, my z ich ust o nich wiemy... Z niczego on stworzył koronę tę na kawałki rozbitą, a pomyślcie z jakimi o nią walczył mocarzami! Z liczbą, z przewagą, ze złotem, ze złością, ze sprzymierzonymi, sam, nie mając nic nad łaskę pańską! Cuda przezeń czynił Bóg!

— Tak! — potwierdził głowę skłaniając Jaśko z Melsztyna — a tem trudniejsze zоставił dziecku dzieło na wpół dokonane, gdy pamięć trwa, ile uczynił, i nadzieja z nią, ile dopełnić syn musi.

Ani się dziwować, iż królewicz po ojcu tak boleje i pod brzemieniem się ugina. Wielkie ono.

— Każdy dzień ludzki ma troskę swą — odrzekł Suchywilk — lecz na ciężkie godziny z pomocą opatrzność śpieszy.

Spoglądali po sobie smutni.

— My wszyscy też tak winniśmy młodemu służyć, jakeśmy starego miłowali.

Głosy się podniosły potwierdzające. Kochan Rawa obojętnie na nich spoglądał.

— Mnie pana mego żal — rzekł popędliwie — srogi żal! Skończyły się dla nas dni swobody i wesela. Z kolei zaprzęćcie go do tego pługa, z którego jarzma ani się na godzinę wyzwolić! Tak! teraz ani dnia, ani nocy, ani wytchnienia mieć nie będzie... We snach nawet troska zajrzy w oczy. Biedny pan mój! Korona śliczna, ale nie samą skroń, ciśnie ona całego człowieka, a zrzucić jej ani na chwilę nie można.

Wojna? — musi być żołnierzem, pokój? — gospodarzem mu być trzeba; nocą stróżem... Hej! hej! dola nasza!

Królem się będzie zwał, a w rzeczy niewolnikiem zostanie...

Jaśko z Melsztyna potwierdzał, głowę pochylając.

— Tak jest — rzekł — ale królestwo, kapłaństwo, królestwo, ojcostwo! Przez króla mówi Bóg, i żeby się stać godnym tego, wielkim a czystym trzeba być.

Kochan Rawa wąsa pokręcił i skrzywił się.

— No — dodał — i człowieczeństwa się wyrzec.

Mnie mego pana żal!

Spojrzeli nań drudzy, nieodpowiadając.

Kochan posunął się z wolna ku drzewom, które wiodły do izb królewicza, inni pozostali w przedsieni.

— Mnie się zda — rzekł Suchywilk, spoglądając za odchodzącym — iż temu Rawie nie tyle królewicza żal, co samego siebie. Lęka się, aby z łask nie wypadł i przystęp mu się nie utrudnił. Nie byłoby to może wielką szkodą dla młodego pana, choć on służy mu wiernie, lecz człek gorący, popędliwy, pan młody... Oliwy do ognia dolewać nie jest bezpiecznie.

Jaśko z Melsztyna spojrział na mówiącego i zamilkł. Inni ani przeczyli, ni potakiwali. Wierzynek, trochę na bok się usunąwszy, stał sam zadumany. Nadciągała starszyzna i dzwony pogrzebowe wszystkich kościołów w mieście jęczeć zaczęły.

Lud na Wawel płynął...

KSIĘGA PIERWSZA. MARGARETA

W dziedzińcu krakowskiego zamku, na ławie pod murem, odpoczywało dwóch młodych ludzi. Po wytwornym ich stroju, postawach śmiałych i butnych, głosach donośnych, a obejściu się zamaszystem, po twarzach napiętnowanych wyrazem dumy, jaką daje łaska pańska, łatwo się było domyśleć, że się tu czuli, jak w domu, i że do dworu królewskiego należeli, a nawet mogli być blizkiemi jego osoby.

Wiosenne słońce, na którym usiedli, w zakątku tym, od chłodnego powietrza przysłoniętym, wcale przyjemnie dogrzewało.

Wiosna była młoda jeszcze i niebardzo ciepła.

Jeden z tych dworzan wyciągał się swobodnie na kamiennej ławicy i rękę pod głowę podłożywszy, podniósłszy nogi do góry, przypatrywał się lekkim białym obłoczkom przesuwającym się po niebiosach.

Niekiedy ręką swobodną podkręcał wąsa i poprawiał trefioną bródkę, która w brunatnych zwojach na piersi mu spadała.

Pięknej twarzy, wyrazistych rysów, brwi miał ruchliwe, usta dziwacznie się wykrzywające, fizyognomię całą, jak woda od wiatru wzburzona, falującą i zmieniającą się ciągle.

Krew, która w nim grała, nie dawała mu uleżeć spokojnie, nogami tupał, wybuchał śmiechem, porywał się, kładł, przerzucał z boku na bok.

Drugi, który w końcu ławy, z nogą na nogę założoną, sparty o mur, odpoczywał; choć równie z pańska i butno wyglądał, spokojniejszej był natury — krzepki za to, silen, śmiały a dumny. Z góry spoglądał na towarzysza swego, jak na kapryśne dziecko, nie zdając się brać do serca jego wybryków i popisów dowcipu.

Jak jeden, tak drugi mieli na sobie, naówczas w całej Europie, po stolicach i dworach książęcych przyjętego kroju, ubiory. Obuwie śpiczaste z zadartemi do góry nosami, obcisłe spodenki, pasy ozdobne i kurtki z rękawami przystającymi do ciała. Na wierzch zaś ich narzucone płaszczyki z rozciętymi długimi rękawy, które się dosyć malowniczo nadawały do stroju.

U pasów kaletki nabijane srebrem i w pięknych pochwach mieczyki małe dopełniały ubioru.

Leżący na ławie z większym staraniem i wytwornością był przyodziany, troskliwość o wdzięk, rodzaj zalotności właściwej tym, co się za pięknych mają, objawiały się w kosztownych tkaninach i ich przyozdobieniu. Włos, który mu w puklach na ramiona spadał, był starannie uczesany, a nawet namaszczone, aby nabrał blasku. Pochwy mieczyka, kaletka, nosy obuwia świeciły srebrnemi i pozłacanemi ozdoby.

Młodym mógł się on jeszcze nazywać, ale już młodzieniaszkiem nie był. Świeża i piękna twarz, miała na sobie ślady życia niebardzo szanowanego; trzydzieści lat już pewnie mu minęło, ale ruchami i powierzchownością chciał być młodszym.

Towarzysz jego, mniej więcej tego samego wieku, zdrowy, zbudowany jak do zbroi, szerokich ramion, ani tak pięknym był, ani się zbyt troszczył, jak się ma wydawać.

Zdrowiem kwitły mu policzki, śmiało patrzyły szare oczy, ale usta, miasto słodkiej zalotności, miały wyraz dumny człowieka, który pewien jest swej siły.

Suknie jego podobnego kroju, jak pierwszego, z pospolitszej tylko tkaniny, czyste były, leżały dobrze, nie świecąc niczem.

Od leżącego na ławie miał więcej powagi i męskiego wyrazu spokoju.

Na zamku dosyć było cicho, bo król wyciągnął na łowy z niewielkim orszakem; w bliskości czeladź się nie kręciła, młodzi dworzanie mogli rozmawiać swobodnie

Nie miarkowali też głosu, i gdy leżący śmiał się, a siedzący obok odpowiadał mu głośno, rozlegało się po tej części podwórza ciasno dosyć murem opasanego.

Wytwornie strojnym był znany nam już ulubieniec króla, Kochan Rawa; drugi zwał się Dobiesławem (Dobkiem) Bończą. Oba równie dobrze byli u młodego pana położeni, Dobek nawet miał urząd doraźnego sędziego sporów między dworzany.

Nie byli oni doradcami króla w sprawach ważnych, bo tych Kaźmirz szukał gdzieindziej; ale, w chwilach spoczynku, przy biesiadzie i stole, którymi młody pan nie gardził, na łowach i wycieczkach, przy wesołych rozmowach, do drobnych zleceń posługiwał się nimi najchętniej. Kochan sam przekonany był, i drudzy z obejścia się z nim królewskiego wnosili, iż mu był najmilszym.

Król mu się nieraz zwierzał w sprawach, o których nie mawiał z innymi, zdając się być pewien jego serca i wierności dla siebie. Od dzieciństwa byli razem. Kochan młodych igraszek i zabaw nieodstępny był towarzyszem; nieraz go za królewicza karano. Nikt nad niego lepiej nie odgadywał myśli króla i do jego upodobań nie umiał się zastosować. Znał go na wylot, jak powiadała, i był tem dumny. Dawało mu to zarozumiałość faworyta, bo nieraz poważni panowie rady jego zasięgali.

Dobiesław był także w łaskach, król na nim polegał, używał go chętnie, lecz z przenikliwością, która mu była właściwą, czuł, iż Bończa nie do wszystkiego by się nadał, a pochlebiać nie miał ani ochoty, ni umiejętności.

Poświęcenie obu równe było, miłość gorąca, charaktery wielce różne.

— Słysz, Dobek — gwarzył śmiejąc się i na ławie rzucając Kochan — ja sobie myślę, coby stary król nieboszczyk powiedział, gdyby wstał teraz z kamiennej trumny swej, i popatrzył, jak się tu u nas przez te lat osiem od śmierci jego zmieniło wszystko...

Zamku, dworu ani poznać! no, i po ziemiach inaczej. Od wojny się jakoś opędzamy, ludzie przeciw mogą sobie odetchnąć! Z krzyżakami, co nam pokoju nie dawali, rozejm za rozejmem. W końcu my ich, nie dobywając miecza, zmusimy siedzieć cicho, aż póki...

Odchrząknął znacząco Kochan i zamilkł.

Dobek nań popatrzył z góry.

— Eh! eh — rzekł trochę szydersko. — Co ty, albo ja wiedzieć możemy, jak król sobie radę daje z krzyżakami! To nie nasza sprawa! Kasztelan krakowski, ks. Suchywilk, wojewoda, biskup, ci może coś znają; król nasz ze swoich myśli przed ladakim nie rad się spowiadać!

— Jakbym ja potrzebował, ażeby mi mówiono to, czego ja się sam domyśleć mogę! — rozśmiał się Kochan. — Albo oczów i rozumu nie mam?

Dobek niedowierzająco ramionami poruszył.

— Daj pokój — powtórzył — nie nasze to sprawy.

W tym z tobą zgoda — ciągnął dalej — że się u nas wiele zmieniło. Za nieboszczyka starego z prosta było wszystko, młody pan lubi, żeby mu się świeciło i błyszczało, a niegorzej wyglądało w Krakowie, jak w Budzie i w Pradze...

— Boć tak u nas powinno być — zawołał Kochan z przejęciem wielkiem. — Nasz pan choćby obok cesarza stanął, nie powstydzi się i nie da zaćmić nikomu. Jemu mało królewskiej korony! Takiego drugiego na całym nie ma świecie.

Czego mu brak? Uroda, tylko patrzeć nań, rozum, bystre oko, serce złote, postawa rycerska, wszystko u niego jest.

— Tylko szczęścia nie ma! — zamruczał Dobek chmurząc się.

Brwi się ściągnęły Kochanowi, nie odpowiedział nic.

— A no — odezwał się po dumaniu przedłużonem — młody jest! Jeszcze wszystko co zechce może mieć. Co dla mężczyzny lat trzy dziesiątki! Przed nim świat i życie... Chybaby Bóg nie łaskaw, wiele i wielkich spraw dokaże...

Ja go znam, w nim, jak w kopalni, im głębiej zajrzeć, coraz skarby większe...

— Daj mu Boże wszystko dobre! — westchnął Bończa — któżby jemu źle życzył? jemu, co najbiedniejszego człeka, żebraka, chłopca, jak dziecko do siebie przygarnia... Dla każdego ma dobre słowo i serce dobre...

Milczeli znowu czas jakiś. Dobek ręce duże i silne wyciągał, jakby mu próżnowanie dokuczowało. Kochan pokręciwszy się na twardej ławie, zerwał się i usiadł, starając umieścić wygodniej. Spojrzał na Dobka.

— Jego na gwałt ożenić trzeba! — szepnął.

— Mnie się zda, że on o tem i sam myśli — odparł Bończa.

— O ożenieniu, jak o ożenieniu — przerwał Kochan — boć niewiast po świecie grzecznych i bez tego dosyć, ale jemu trzeba syna... On chce koniecznie potomka męskiego mieć... To jego jedyna troska, aby korona nie poszła po kądzieli, albo na Mazury, lub na jakie cudze ręce... Syna, syna mu trzeba, a tu...

Kochan się zadumał.

— Wiecie, co ta czarownica, babsko mu przepowiadało? — dodał, zwracając się do Dobka.

Dobek potrząsnął głową.

— Nie wiem nic — rzekł krótko.

— Toście chyba nie ciekawi — rzekł Kochan — wszyscy przecie o tem wiedzą. Ja, co się mojego pana tyczy, muszę wiedzieć wszystko. Co jego boli, mnie boli.

O! żeby nie ta Klara — począł dalej pomrukując — żeby nie ta Klara, której cień za nim chodzi, byłby on szczęśliwszy! I ta przepowiednia głupia nie byłaby tak do niego przystała...

Nieraz o niej przez sen gada, a uchowaj Boże mu który z tych Węgrów nawinie się przed oczy, jakby go podciął.

Dobek słuchał obojętnie, patrząc w górę na ulatującą w powietrze gołębi parę.

— Ja z tej całej waszej węgierskiej historii — rzekł — ledwie coś, piąte przez dziesiąte wiem, bom naówczas na dworze nie był. Latałem jeszcze po ojcowskich lasach.

Ludzie o tem różnie prawią. Wyście pono byli z nim?

— A jakże? gdzieżem ja z nim nie był! W Pyzdrach nawet mało mnie krzyżacy nie pochycili — mówił Kochan. Byłem, gdy się żenił z poganką, jeździłem na te Węgry, no, wszędzie! Mówię wam, od tego pobytu w Wyszehrodzie stał się jakby innym człowiekiem. Wprzód wesoły zawsze, żyć i pobiesiadować lubił, pośmiać się był rad... Nie od tego on i teraz, ale rzadko i tylko, gdy się zapomni. Postarzał nagle, posmutniał... Ten tylko, co jak ja, widuje go, gdy on sam na sam się zostanie, wie, jak cierpieć musi.

Zdaje się, nie brak mu nic, a na nim ciąży coś, jak kamieniem.

— Troski, bo ma dużo — odparł Bończa. — Z czasem, choćby mu tam coś dolegało... zapomni.

— Zapewne — rzekł Kochan — ale na to potrzeba, aby jakaś lepsza dola zatarła wspomnienie tego smutku, a my sobie szczęścia napytać nie możemy.

Teraz się niby coś błyszczący, mnie się i temu wierzyć nie chce.

Dobek słuchał niebardzo chętnie, jakby się nie rad był rozgadywać w tym przedmiocie. Kochan przeciwnie, że się tych spraw lada komu zwierzyć nie mógł, rad był się przyjacielowi spowiadać. Ciężyły mu na piersiach.

— Od początku się jemu w domowych sprawach nie wiodło — ciągnął dalej. — Jam się na to wszystko patrzył. Ożenili go z tą litwinką nie dla niego, ino dla tego, że staremu królowi trzeba się było z Litwą związać, a Litwie z nim przeciwko krzyżakom.

Tyleśmy zyskali, że nam w posagu polskich jeńców przyniosła, co ich poosadzano na pustkach po tatarach...

Soroków też soboli i kun nie wiem ile na kozuchy nam przyszło.

Na nieboszczkę panią nic nie powiem, piękna była, dobra była, ptaszę nie kobieta. Wsadzono ją do klatki, wywieziono z jej lasów, płoszyła się coraz jak ptaszę.

— Królewicza gdzieindziej, ją kędyndziej ciągnęło. Jemu się chciało na szeroki świat, na takie dwory, jak francuzki, włoski, węgierski, a Hannie do lasu zawsze! Prostaczkowata sobie była, jakby chłopianka, śmiała się na głos, nie zważając na ludzi, mówiła, co jej przyszło do głowy, nie pilnując dworskiego obyczaju.

Księża ręce łamali, bo się ledwie przeżegnać nauczyła. Król by ją był kochał może, a no do jej humoru zdziczyć mu trzeba było. Więc nie mógł... Żeby mu była choć syna dała, a tu córka.

Dobek przerwał od niechcienia.

— Masz mówić, no to powiedz mi lepiej całą tą nieszczęsną węgierską sprawę. Dobrze jej nie znam.

— Starą biedę i smutek przypominać — odezwał się pomyślawszy Kochan — to jak zgojoną ranę rozdrapać. A no, kiedy się zmówiło o tem, powiem. Byłem ci tam z nim.

Jechaliśmy naówczas z rozkazu starego pana do Wyszehradu do Karoberta i naszej królowej Elżbiety, żony jego. Wyście u tych francuzów nie bywali! Takiego dworu, jak u tych państwa na świecie widzieć trudno. Po naszym, jak raj się jakiś wydawał. Przepych wielki, a wesołość, a śpiewy, a muzyki, i wszystko strojne, pańskie, świetne, a obyczaje osobliwe, francuzkie i włoskie.

Z całego świata kuglarze, śpiewaki, rzemieślniki, mądrale, suknie od złotogłówów, opony od jedwabiów.

W święta, gdy występował królestwo, mówiono, że i na cesarskim dworze pięknie być nie mogło. Wszystkimi językami słyszałeś tam mówiących, począwszy od tej mowy madziarskiej, której się ja nigdy ani słowa nauczyć nie mogłem, aż do francuzkiej, włoskiej, niemieckiej i łacińskiej.

A że królowa, siostra naszego pana, bardzo zabawy, skoki, muzykę i turnieje lubiła i do dziś dnia lubi, było na co patrzeć i czem się cieszyć dzień w dzień.

Dopieroż na przyjęcie brata, którego Elżbieta kocha bardzo, gdy poczęła się zmagać, nie było chwili spoczynku. Łowy, turnieje, bankiety po bankietach następowały, skoki, śpiewy, igraszki różne. Kobiety na dworze węgierki, włoski aż oczy rwały. Powiedziałbym piękne, jak anioły, ale chyba do nich nie były podobne. Kraśne dziewczęta i niewiasty, jakich u nas nie widać, ale gdy która spojrziała na człowieka, jakby ogniem rzuciła. Krew zdawała się kipieć w tych pogankach... strach! aż mrowie przechodziło!

Wziął z nas który do tańca, to nim miotała jak piórem...

Ucztowaliśmy i biesiadowaliśmy tydzień z górą, jak w raj! Między dziewczętami, co przy królowej były, najpiękniejsza pewnie zwała się Klara, a była córką urzędnika Karobertowego, imieniem Felicjana Amadeja. Powiadano o nim, że z małego był wyrósł, służąc pierw na dworze Maćka z Tręczyna Siedmiogrodzkiego, od którego do Karoberta przysłał.

Dziewka była godną choć królową się zwać: twarz jak mleko biała, oczy czarne, włos kruczony, postać osobliwa, a i duma, którą, jak koronę, na głowie nosiła, piękności jej dodawała.

Za to ojciec jak zbój i drab straszno wyglądał. Olbrzymiego rostu, niezgrabny, szatańskie miał oczy koso patrzące i głos chrapliwy, gdy zagadał, mrozem przejmował. Coś w nim było dzikiego, jakby tylko co z lasu wyszedł. Dumą też obrażał, bo choć chłopisko proste było, królowi ledwie głową skłaniał.

Z tym pod wieczór na gościńcu się spotykać najmężniejszemu nie byłoby wygodnie. Ale król tego niedźwiedzia lubił, bo mu pięścią silną ład na dworze utrzymywał.

Jam zaraz postrzegł w tańcu, że ta Klara naszemu królewiczowi w oko wpadła. Jednego wieczora, gdyśmy do naszych izb szli na spoczynek, zagadnąłem o nią, roześmiał się tylko.

Na drugi dzień sam mnie o nią zaczepił i rzekł.

— Królewski kąsek!

Mnie ten drab ojciec z kosemi oczami stał na pamięci, odpowiedziałem tylko. — Niechno się miłość wasza temu staremu przypatrzy, od tej czarownicy ochota odejdzie.

Pan to w śmiech obrócił.

Królowa Elżbieta, że rada była brata jak najlepiej przyjąć i ugościć, spostrzegłszy, iż na Klarę oczyma rzucił, poczęła go nią przesładować.

Nie zapierał się, iż mu w oko wpadła.

— Piękniejszej w życiu nie widziałem — rzekł.

Więc mu potem Klarę i do tańca i przy biesiadzie ciągle do boku dawano, aby sobie nią choć oczy napasł.

Mówił mi o niej ciągle, ale narzekał.

— Jak z kamienia jest — powiadał — im ja się więcej staram w łaski wkupić, tem sroższa. Podarku żadnego przyjmować nie chce. Uśmiechu od niej, ni dobrego słowa nie dopytać; a odezwie się zmuszona, to jak żelazem w piersi żgnie...

W kilka dni jakoś królewicz nam zachorował.

Ksiądz wloch, doktor królewski, kazał mu dzień, albo dwa w łóżku spoczywać. Królowa o brata troskliwa, choć nie chciał, zmusiła go leżeć. A, żeby mu się nie nudziło, ciągle przy nim siadywała sama. Wieczorami zaś panny swoje przyprowadzała z sobą, każąc im na cytrach grać i pieśni śpiewać.

Ile razy do królewicza szła, Klara z nią razem iść musiała. Nas z przedsienu wyprawiano, jako niepotrzebnych, żebyśmy się z dworem królewskim zabawiali.

Trzeciego dnia tej choroby, gdym późno już do królewicza powracał i miałem do drzwi się zbliżyć, nagle się one otwały i Klara z rozrzuconymi włosami, blada, zapłakana, jak oszalała wypadła z izby królewicza, przemknęła się mimo mnie, nie widząc i znikła.

Strach mnie jakiś ogarnął, ale sądząc, że królowa u brata jest, czekałem w progach.

Gdy tak siedzę, słyszę, woła mnie pan. Wchodzę i zastaję go samego, na łóżku, ręce pod głową, niespokojny jakiś, namarszczony, gniewny.

— Jutro mi się sposobić do drogi! — zawołał zobaczywszy mnie.

Chciałem rozmowę począć, aby się czegoś dowiedzieć, milczeć mi kazał.

Nazajutrz, choć mieliśmy bawić dłużej, mimo próśb króla i królowej, Kaźmirz, jakby ztąd uciekał, co żywiej pędził w drogę... Znając go, nie próbowałem już się więcej od niego dowiedzieć. Milczący był, zaszępiony, niecierpliwy.

Z Wyszehradu wyjechaliśmy z pośpiechem wielkim, jakby nam do Krakowa bardzo pilno było, tymczasem dalej podróż szła opieszale, małymi dniami. Raz w raz kazał stawać na spoczynek.

Było to w Maju, jak teraz, wiosna śliczna; droga by się pewnie nie przykrzyła, gdyby nasz pan nie włókł się nasępiony i bezmówny.

Jużeśmy do granicy naszej się zbliżali i na nocleg mieli, jednego wieczora rozkładać, gdy patrzę, znany mi dobrze dworzanin Elżbiety, Janusz młody, we trzy konie, jak szalony nas napędza. Nim usta otworzył, jużem wiedział, że coś lichego wiózł za nadrą. Królewicz, zobaczywszy go, wybiegł, zbladł i zatrzęsł się cały.

Poszedł z nim Janusz do namiotu, a my tylko krzyki, głosy i wołania różne słyszeliśmy.

Czuliśmy, że się coś stać musiało, lecz co z sobą przywiózł, nie sposób się było domyśleć. Łamaliśmy głowy na próżno. Służba pytana milczała.

Dopiero, gdy Janusz wyszedł, dowiedzieliśmy się o wszystkim. Wkrótce nieszcześnie ta przygoda nie miała być tajemnicą dla nikogo.

Po dziś dzień nie wiem, czy królewicz, pan mój, któremu siostra ową Klarę Felicjanównę zostawiła aby pilnowała chorego, winien był co czy nie.

To pewna, że dziewczyna poszła się jakoby skarżyć ojcu na królowę i na niego, a stary wpadł we wściekłość wielką.

Drudzy powiadali, iż staremu zbójowi tego tylko było potrzeba, aby znalazł pozór do pomsty nad królem i królową, bo miał od dawna przeciw nim spiskować i sam pono wymordował całą rodzinę królewską, chciał nad Madziarami panować.

Więc gdy we wtorek po przewodach, po wyjeździe naszym, król Karobert z królową i synaczkami Ludwikiem i Andrzejem w małej gromadce, prawie bez dworu, obiadowali w domu swym pod Wyszehradem spokojnie, nie obawiając się ani domyślając niczego, nagle stary ów zbój ze swemi kilkunastu przyjaciółmi zbrojnemi wpadł do sali. Wprost z mieczykiem rzucił się na króla, którego gdy królowa bronić chciała i chwyciła za miecz prawą ręką, cztery palce jej odcięte padły.

Król też rękę miał skaleczoną.

Czeladź przerażona nieprędko się wzięła do obrony pana swego, dopiero, gdy ów wściekły z kolei na młodych królewiczów się rzucił, ich chcąc mordować.

Jan z Potoken, młody węgryz, rycerskiego rodu, dobywszy miecza między szyję i łopatkę zbójcę trafił tak, że padł zaraz w miejscu omdlały.

Dopieroż na wrzawę zbiegli się dworscy, służba, pochwytno winowajców — i okrutną, strasliwą domierzono na nich karę.

Szarpano ich żywcem końmi na sztuki... Zginął tak ojciec, córka Zeba z mężem Kopy, a Klarę poobcinaną obwożono po całym królestwie, aż i ją ścięto... Po wszystkich miastach porożylano ćwierci zbrodniarzy — głowę Felicjana w Budzie nad bramą przybito. Litości nie było dla nikogo, — ale też i królowa Elżbieta, którą teraz *kikutą* zwa, to jest bezręką, od tej pory z prawej ręki rękawiczki nie zrzuca, bo jej mało co dłoni zostało.

Opowiadający żywo Kochan odetchnął trochę.

— Nigdy ja pana mojego — dodał po przestanku — nie widział takim, jakim był w pierwszych dniach po przybyciu Janacza. Chciał naprzód zaraz nazad jechać do Wyszehradu, do siostry — ledwieśmy odprosilili — Po tem zachorzał i leżeliśmy dni kilka na samej granicy, nie mogąc dalej do Krakowa. Nie wiedział co czynić i tak rozpacział, choć nie sądzę, aby winnym się czuł, ale mu siostry i straconej tak okrutnie Klary srogi żal było.

Jużeśmy nareszcie do Krakowa jechać mieli, gdy nad ranem, patrzymy — kupa Węgrów nadbiega. Myśleliśmy, że pogoń jaka, że zemsta. W mgnieniu oka do obronyśmy się uszykowali, aż białymi chusty poczęli nam dawać znaki, wołając, że na miłosierdzie

Boże, z królewiczem chcą mówić. Poznaliśmy w nich wtedy brata jednego Klary i powinowatych kilku nieszczęśliwej dziewczki, którzy popadawszy na kolana przed panem, o bezpieczny przytułek w Polsce prosili go. Poprowadziliśmy ich z sobą, i siedzą do tego czasu u nas spokojnie, tyle tylko, że się im królowi na oczy pokazywać nie wolno.

Dobek głową potrząsał.

— Wiem ich — rzekł — oni się Amadejami zowią, a na szczycie mają orła poobcinanego.

— A tak — odparł Kochan — królewicz im u ojca jeszcze ziemię wyprosił znaczną. Włos im tu nie spadł z głowy, tylko żeby się nie okazywali na dworze przykazanie mają, bo na nich patrzeć król nie może, zaraz mu te krwawe dzieje na pamięć przychodzą...

— Chcą li czego, muszą przez Kasztelana prosić, a co zażądają, otrzymują.

Bończa wysłuchawszy opowiadania cierpliwie, rzekł tylko.

— Krwawe dzieje! bodaj o nich nie pamiętać.

— Posłuchajcież końca o babie — dodał Kochan. — Temu już rok jedenasty, jak się to stało com mówił. W kilka lat jakoś potem, przypadło nam znów jechać na Węgry. Pamięć się tam o Amadejach trochę zatarała. Jechaliśmy do Budy, gdzie znowu przyjęcie było wielkie, ale królewicz pośród tych wesołości chodził jak struty.

Królowa Kikuta darmo go już zabawiać chciała, bo na niej przestradchu i smutku nie pozostało ni śladu. Wesoła była jak przedtem i dwór jej znowu śpiewał a brzdąkał. Ucztowaliśmy na zamku dni z dziesiątek, nim powracać nam przyszło.

Drugiego dnia podróży trafiło się, że na nocleg do żadnej osady nie mogliśmy nadążyć... Noc nas zaskoczyła, musieliśmy w lesie rozbić podrózne namioty.

Zapalono ogień, zaczęli ludzie mięso piec i kaszę warzyć, gdy babsko jakieś stare do obozu się nam przyplątało. Ludzie chcieli ją biczyskami odpędzić, aż królewicz, z namiotu wyszedłszy, jak to on zawsze dla najbiedniejszych litośnym jest bez miary, zawołał zaraz, aby babie żadna się krzywda nie działa, jałmużną kazał obdarzyć i nakarmić.

Baba już od ludzi dowiedziała się, cośmy byli za jedni, oczyma jakimiś straszniemi poczęła się w królewicza wpatrywać, drżąc cała. Naostatek puściła się wprost do niego, aż nas strach jakiegoś uroku ogarnął. On stał śmiało.

Językiem mieszanym poczęła coś mało zrozumiałego pleść, to na niebo, to na ziemię ukazując, to w piersi się bijąc, to płacząc. — Potem ręki królewicza się domagała dla wróżby.

Stałem wówczas przy nim, i mówię:

— Nie dawajcie, na miły Bóg! niech się ona was nie dotyka...

Uparł się i rękę wyciągnął.

Stanęła baba nad nią, brwi namarszczywszy, trzęsła się, mruczała, głową rzucała, pokrzykiwała... na ostatek pleść zaczęła...

— Co? co? zapytał Dobek.

— Koszałki-opalki, jak w gorączce, sama pewnie nie wiedziała co plotła — mówił Rawa — Ci co rozumieli, powiadają, że mu prorokowała, iż miał panować królestwu wielkiemu i mocnemu, na równi stać z cesarzami i największemi mocarzami świata, a potem nachmurzywszy się dodała. — Co potem! krew nad tobą! Amadeje! Amadeje... Ludzie przez cię szczęśliwemi będą, ziemie twoje zakwitną, nieprzyjacioły położą się pod nogi, zawładniesz ich krajami, a sam nigdy nie zaznasz szczęścia w życiu... tego, czego najgoręcej pragniesz, Bóg ci nie da! Amadeje!..

Królewicz zrozumiawszy nieco, spytał niespokojnie.

— Czegóż ja to pragnąć mam? — a ona rzekła:

— Mężkiego potomka z żadnej żony ci Bóg nie da i na tobie ród twój zginie, a korona pójdzie na obcą głowę.

Chcieliśmy babę przegnać, aby więcej mówić nie śmiała, lecz dokończywszy ledwie, chwyciła się za włosy i z krzykiem — Amadeje — pobięła w las... Odszedłszy sporo, palcem się w piersi poczęła stukać, ukazując na siebie i powtarzając jeszcze — Amadeje!

Ale królewicz już był wrócił do namiotu, i nie słyszał ani widział. Węgrowie, co tam szli, powiadali nam, że z rodu tych Amadejów musiała być.

Myśleliśmy, że on o tem łatwo zapomni, a no, prorocstwo to było jak trunek, którego mocy człowiek nie poczuje gdy go pije, aż później gdy go rozmarzy. Od tej pory król je ciągle przypomina.

— Mało co głupie baby wróżą — odezwał się Dobek. — Na psa urok! Zkąd jedna taka żebraczka może wiedzieć, co Bóg komu przeznaczą.

— A! a! mów zdrów — odparł Rawa — baba, żebraczka, włóczęga, kto wie zkąd ona to bierze, jaką ma siłę, i kto ją jej daje, pan Bóg czy szatan, a przecie to całemu światu wiadomo, że więdźmy przyszłość więdź.

— Ty temu dajesz wiare? — rozśmiał się Bończa — ja, nie... Za co by go pan Bóg karać miał, kiedy winien nie był?

Kochan zmilczał.

— Niech no się on ożeni — dodał spoczawszy Dobek — niewiastę sobie dobrawszy, jak słyhać, i do serca i do obyczaju swego, przyjdą synowie i babie kłam zada.

— Tak — szepnął Kochan — ta, którą mu Czech swata, jemu bardzo do smaku, a — co potem, powiadają, że ona się go lęka i nie chce.

Dobek się obruszył.

— Jakby tak było, niech innej poszuka, jest ich dosyć. Byle mu niemki nie swatali znou. Niemców jako ta zgaga Hans von Pforten, zagęściło się u nas na dworze i po miastach, do zbytku. Jakbyśmy jeszcze królowę dostali niemiecką, a z nią napłynęło dworzani i czeladzi!.. choć uciekać ztąd na kraj świata.

Rozprawiając tak niepostrzegli, że, gdy Dobek ostatnich słów domawiał, zwolna i pod słuchując zbliżył się ku nim mężczyzna nieco starszy od nich obu, gruby i duży, okragły, włosów rudawych, twarzy piegowatej, pogardę i lekceważenie dumne wyrażającej, jak gdyby czuł się daleko znacznie i wyższym nad tych, na których dziko spoglądał.

Drgnął, posłyszawszy przez Dobka wymówione nazwisko — Hans von Pforten. On to był sam, Niemiec, w usługach króla od lat kilku zostający, do urządzania gonitw i turniejów obyczajem zachodnim używany. Zaufany wielce w swoje u króla fawory, opryskliwy, dumny, szczególnie z Dobkiem Bończą, z powodu poswarków z dworzany i jego sądów, był w ciągłych zatargach.

Usłyszawszy, co o nim i o Niemcach powiedział, Hans prychnął głośno i rzucił — Djabłem!

Ocknął się Dobek, spojrzął nań uśmiechając się z podełba i zawołał.

— Patrzajcie no tego Szwaba, jak mu mowa moja nie w smak! a ja ci, ty Niemcze przekłety, powtórzę raz jeszcze, żebyście sobie wszyscy szli z tąd do tego diabła, któregoś wspomniął, albo do twej ziemi nazad. Wy nam tu na naszych śmieciach śmierdzicie...

Niemiec warcząc, za rękojeść miecza pochwycił.

— Milcz, ty! jakiś! — krzyknął — milcz! Niemcy wam śmierdzą! a od nich, żaki musicie się uczyć wszystkiego! Cobyście bez nas mieli? coobyście mieli? Skórami byście się jeszcze odziewali!

Nie dając mu dokończyć, Dobek się porwał, ale z majestatyczną powagą, bez widocznego wybuchu gniewu.

— Na naszej ziemi się spasz, nasz chleb jesz... milcz ty, przybłędo! — krzyknął rozkazująco.

— Nie zamkniesz mi gęby — zawołał Hans, burząc się — nie! nie! I nagle krok naprzód się posuwając, miecz obnażył.

Dobek stał, nie pomyślawszy nawet, dobyć żelaza, wargi tylko zakąsił.

Hans się pienieł z gniewu.

— Pójdźże precz ztąd, ty szwabie, pókiś cały! — odezwał się, usiłując spokój utrzymać — ruszaj! bo źle będzie!

— Z tobą źle będzie! — krzyknął Hans podnosząc miecz, jakby bezbronnego przez łeb ciąć zamierzał.

Lecz Dobek Bończa w mgnieniu oka przypadł do niego, rękę, w której miecz trzymał, pochwycił dłonią silną jak w obręcz żelazną, drugą, chwiejący się miecz szarpnąwszy nim, wyrwał, i natychmiast nim okładać go począł.

Nim się ciężkie niemczyisko opatrzyło, leżał już na ziemi, a na szerokie plecy jedne po drugich spadały razy, aż żelazo rozprysło się na kawałki.

Przyduszony kolanem Hans na próżno się wyrwać usiłował.

— *Fried — herr! Fried — herr!* — jęczał przyciśnięty do ziemi sądząc, że ostatnia nadeszła godzina, bo Dobek, dawno doń ząb mający, nielitościwie go okładał.

Na wrzawę tę czeladź się zbiegać zaczęła ze wszech kątów — dworzanie, służba, kobiety, powtarzając ze śmiechem niezrozumiałe wyrazy:

— Frydry! Fredro!!

Dobka Frydrą przezywa! co to znaczy?..

Szczęściem dla pokonanego, Dobek nie był krwi chciwy, zbiwszy dobrze, puścił ofiarę, nie myśląc się więcej znęcać nad nią.

Podnosił się śmiejąc Bończa, gdy oczy zwróciwszy na tłum ludzi, który umilkł nagle, postrzegł z przerażeniem o trzy kroki stojącego króla. Z łowów powracający Kaźmirz, wprost z konia przybył na krzyk i groźno, ale z małą ironją na ustach spoglądał na Dobka, który stał jak winowajca...

Pięknym był Kaźmirz w tej dobie swojego życia. Słusznego wzrostu, dorodnych kształtów, w pełni sił i zdrowia, z twarzą rysów szlachetnych, której jakiś obłoczek smutku dodawał uroku — miał w sobie majestat pański bez dumy, osłodzony dobrocią wielką.

Ubrany jak na łowy, z trąbką przez ramię przewieszoną, w czapeczce axamitnej na głowie, w sukni opiętej i płaszczku, z mieczykiem u pasa, stał, wzięwszy się w boki, naprzemiany mierząc oczyma to Bończę, to niemca, który się z ziemi jęcząc dźwigał opylony i zobaczywszy króla, zwrócił się zaraz ze skargą ku niemu...

— Kto rozpoczął? o co poszło? zapytał Kaźmirz, zwracając się do Kochana.

— Niemiec się pierwszy do miecza porwał — odparł Rawa.

— Widzisz Hans — zawołał król — masz za swoje!

I pogroził Bończy.

— Ty byś zaraz ludzi zabijał! — rzekł i odwrócił się szybko.

Skończyło się na tém, ale tegoż wieczora, król, śmiejąc się, Bończę począł przezywać *Fredrą*, i przydomek ten tak przylgnął do niego, że i na rodzinę przeszedł.

Kochan jeden domyślał się, dla czego król tak prędko z łowów powrócił. Oczekiwano wiadomości od króla Jana z Pragi i syna jego margrafa Karola.

Kaźmirz, tym wszechmogącym groszem, którym z królem Janem, niespokojnego ducha, rycerskiej gorączki mężem, ciągle wyprawy jakieś znaczącym, wszystko można było uczynić, przejednał się i pogodził. Nieprzyjaciele niedawno, byli teraz sprzymierzeńcami.

Został Janowi czeskiemu na jego pieczęci na pamiątkę, w tarczy małej orzeł polski, obok lwów czeskich na chorągwi, i luxemburskiego na okryciu... do korony Kaźmirzowej nie rościł już praw żadnych. Słazko mu ustąpiono, a kilkadziesiąt tysięcy kop groszy dał Kaźmirz odczepnego.

Przyjaźń Jana nie była dlań za drogo okupioną, bo mu za tarczę przeciw krzyżakom służyła.

Szło teraz o bliższe jeszcze połączenie się z Luksemburczykami, których rycerskiego ducha król po części oceniał. Piękna Margareta, córka Jana, siostra Karola, owdowiała była po bawarczyku. Uczyniono Kaźmirzowi małżeństwa nadzieję, chwycił się jej z tym większym zapalem, że dwudziestosiedmioletnia wdowa, słynęła z wdzięków, z rozumu, a mogła mu dać tego upragnionego potomka, którego Kaźmirz tak pożądał. Synaczek jej nie dawno był zmarł, wkrótce po mężu.

Margareta, którą do Pragi sprowadzić miano, była mu przyrzeczoną. Starali się smutną wdowę do małżeństwa tego nakłonić ojciec i brat.

Chodziły wieści, że była mu przeciwną, że lękała się kraju, który na rozterki i napaści tatarów wystawiony, nie sływał ani bogactwy, ani przepychem, do jakiego ona była nawykłą.

Kaźmirz oczekiwał wiadomości, co godzina. Nie chciał się z zamku oddalać nawet, aby gońca z Pragi nie stracić, nie dać mu czekać, nie zwlec ani chwili.

Wyglądano go niespokojnie. Tymczasem w moc ojcowskiej poręki, Kaźmirz czynił wszelkie przygotowania do wesela. Nie mówiono o nim jeszcze głośno, aby w razie zwłoki nie mieć wstydu, lecz niepokój był na Wawelu, bo się tu wszystko do wielkiej i wystawnej gotowało podróży.

Krół z łowów powróciwszy, natychmiast do siebie Podskarbiego kazał przywołać.

Znoszono do komnaty pańskiej kosztowności, z których miał wybór uczynić. Złocene puchary, srebrne misy, dzbany, rogi kute złotem, pasy perłami szyte, naszyjniki, naręcz-

niki, kolce, pierścienie z oczyma błyszczącymi, leżały porozrzucane po stołach. Kilka opon szkarłatnych, perłami bogato szytych, rozpostarto w pół na ławie, pół na ziemi.

W pośrodku tych bogactw, na które stary Zyndram, Podskarbi, patrzył z żalnością jakąś, czując, że one z Pragi pewnie nie powrócą, Kaźmirz stał roztargniony, nasłuchując i za najmniejszym szelestem ku oknom podchodząc.

Nie przybywał ów poseł z Pragi. Chociaż o zamierzonym małżeństwie króla nie wolno było głośnić zawczasu, wiedzieli o niem wszyscy. Zdania dworu były podzielone, jedni dla króla, chociaż wdowca, wdowy sobie nie życzyli, drudzy przewidywali, że u grosza chciwego Jana drogo je przyjdzie okupić.

Kaźmirz pragnął połączyć się z tym domem, a Margaretę odmalowano mu tak, że zawczasu w niej był rozmiłowany. Sądząc z ojca i brata, z tego dworu, który stał oglądą i obyczajami na równi z francuzkim, Kaźmirz widział to w Margarecie, czego mu właśnie brakło w Aldonie. Marzył o niej jako o niewieście, która go zrozumieć potrafi, podzielać myśli jego i osłodzić mu życie.

Każda chwila przedłużająca niepewność i oczekiwanie wiekiem mu się wydawała.

Zyndram stał, patrząc to na pana, to na kosztowności przed nim rozrzucone, czekał słowa, rozkazów.

— Stary mój, — przemówił wreszcie król, jakby ocknąwszy się z zadumy — wszystko to piękne jest... a wszystkiego tego dla córki króla Jana za mało... Radbym jej pod nogi rzucić co najpiękniejsze i najdroższe na świecie. Warta jest tego.

— Wybierz co najwspanialsze, nagromadź jak najwięcej.

Byłeś w Pradze? — zapytał nagle.

Stary Zyndram podniósł siwą głowę powoli zdziwiony nagłym pytaniem. Chwila upłynęła, nim się zebrał na odpowiedź.

— Dawno już, dawno, miłościwy panie.

— Takimby ja, z pomocą bożą, chciał mój Kraków uczynić — odezwał się król ręce składając. Wspaniałe, przepyszne, wielkie, bogate i silnie obronne miasto... Tam się nam uczyć rządzić, budować i ład zaprowadzać.

Zyndram nie rychło odpowiedział.

— A jednak od tych, co tu przybywają, miłościwy panie, skargi słyszymy mnogie. Ta wspaniałość, mury, królewskie wyprawy po świecie, dwór, rycerstwo, ogromnie kosztują. Żydz się do nas wnoszą, tak ich tam podatkami okładają niemiłosiernie, uciekają mieszczenie, tyle z każdym powrotem do Pragi król Jan od nich wyciąga...

Kaźmirz potrząsnął głową.

— Kiedyż się nie skarżą ludzie? — odparł. — Naród czeski może się swym monarchą pochłubić! za wzór go rycerzom stawić.

Milczał Zyndram, gładząc brodę, przeczyć nie śmiał.

— Ludzie powiadają — dodał po cichu, widząc króla zamyślonego — że monarcha ten zapewne nie długo już panować będzie. Musi się synem wyręczać.

— Chory jest na oczy — rzekł Kaźmirz. — Lekarz arab niecny człek, już go prawego pozbawił, lecz jeździł do francuzkich doktorów, wraca właśnie z Montpellier i Awinjonu, Bóg da...

Król zadumany nie dokończył, i po małym przestanku rzekł, westchnąwszy.

— Margrabia morawski Karol, godzien ojca! Jego i żonę jego Biankę kochają Czesi...

— Ma on i nieprzyjaciół — szepnął Zyndram, który się zdawał dobrze uwiadomionym.

Król popatrzył nań i zamilkł.

W przyległej sali, w której zwykł był przyjmować, siedzący dworzanie, marszałek i służba poruszyła się, szeptano. Kaźmirz bacznego ucha nastawił.

Wtem zlekka podniosła się u drzwi opona i cichym głosem oznajmił dworzanin dostojnych gości przybycie.

Król zostawując Zyndrama przy rozłożonych klejnotach, żywo wyszedł do sali.

W pośrodku jej stali oczekujący nań dwaj duchowni z krzyżami na piersiach, w sukniach biskupich. Wesołą twarzą witał ich król obu.

Pierwszy z nich był słusznego wzrostu, okazałej postawy, rozumnego oblicza, któremu tylko odbierały wyrazu nieco zmrużone, zmęczone i chore oczy.

Wejrzenie z pod powiek wychodziło natężone, niepewne, z wysiłkiem; ręką zasłaniał się od światła. Pomimo tego cierpienia twarz odznaczała się pogodą i majestatem; rysy jej pełne były energii męskiej i razem łagodności.

Był to Jarosław Bogorja, Arcybiskup Gnieźnieński, ojciec duchowny i umiłowany królowi kapłan; najbliższy jego serca, powiernik myśli i doradzca.

Stojący za nim skromnej, niepozornej postaci, chłodnego wyrazu twarzy, z rękami zsuniętymi w szerokie sukni rękawy, mąż nie młody już — wiekiem nieco pochyłony, był Jan Grot, Biskup Krakowski.

Nawiedziny te Kaźmirz przyjmował z widoczną radością, jakby ich pożądał i czekał...

Dwór otaczający usunął się natychmiast, zostali sami, Arcybiskup usiadł przy królu, Jan Grot przy nim milczący.

— Są wieści jakie? — zapytał Bogorja, ze współczuciem zwracając się do Króla.

— Spodziewam się! czekam! pożądam, ale dotąd nic z Pragi, poczał Kaźmirz, wdychając. Obawę wielką mam — dodał ciszej nieco — Komuż na nieprzyjaciółach zbywa? Mnie i mój kraj odmalowano pono księżnie Margarecie tak, by ją zrazić i nastraszyć...

Na dworze Jana, przy margrabi Karolu, ludzie są różni i zamiary ich rozmaite. Są tacy, którzy przeszkodzić by radzi.

— Lecz miłość wasza — przerwał arcybiskup — masz za sobą ojca, masz brata. Ci najbliżsi są, od nich dziś wdowa zależy. Małżeństwo to, da Bóg, przyjść musi do skutku...

Podniósł ręce do góry.

— Da Bóg! powtórzył.

— Najżywiej go pragnę — poczał król — lecz im dłużej się przeciąga niepewność, więcej trwożę.

— Modlimy się — rzekł cicho Biskup krakowski.

— Wprawdzie — dodał Kaźmirz, zniżając głos i spuszcżając oczy — zapewniłem siostrzeńcowi Ludwikowi następstwo po mnie... lecz jeszcze się nie wyrzekł nadziei że mnie Bóg, mężkiem potomstwem obdarzy.

Biskupi milczeli, król posmutniał.

— Wiem, że w Budzie nie radzi będą ożenieniu mojemu, i siostra Elżbieta żal uczuje do mnie, nie mogę się jednak pogodzić z tą myślą, abym miał być ostatnim.

Arcybiskup przeżegnał mówiącego w cichości i szepnął.

— Ja mam dobre przeczucia, nie odmówię Wam. Da się córka króla Jana nakłonić... nie do pogardzenia jest królestwo, które Bóg coraz nowym przyrostem obdarza... zdobyliście Ruś, odzyskacie kiedyś Pomorze, Mazowsze też musi się kiedyś połączyć...

— Myślę — dodał powoli Jan Grot — że i owe skarby na Rusi zdobyte, o których po świecie szeroko prawią, królowi Janowi ochoty dodadzą do swatania córki, bo żądny jest grosza... a rozsypuje go niebacznie...

— Sławę zdobywa — odparł Kaźmirz — a ta więcej warta niż złoto.

— Rycerz prawy — rzekł Arcybiskup — ale też jako rycerz niepohamowany i nieunoszony w namiętnościach. Szkoda, że piękne swe przymioty kazi tem zuchwalstwem...

Król zarumienił się nieco.

— Wiele przebaczyć trzeba tym, którzy brzemiona ciężkie noszą na barkach — rzekł zwrócony do Bogoryi.

Jarosław odparł łagodnie.

— Wiele przebaczyć trzeba, ale *wszystkiego* nie można...

Rozmowa przerwana została... wszedł Kanclerz, niesiono do wiadomości króla przygotowane zapisy dla kościołów, zamiany wiosek, nadania.

Kaźmirz słuchając i potakując, oczy miał ciągle zwrócone ku podworcom, uszy wy-tężone na szmer, jaki z nich tu dochodził.

Po wyjściu biskupów, nadeszli inni urzędnicy, odprawieni łaskawie, ale obojętnie; myślą był pan gdzieindziej.

Kochan Rawa, znający go dobrze, czytający w oczach tę niecierpliwość i zawsze chciwy przysługi, stał w przedsienu, aby spodziewanego z Pragi gościa pierwszy pochwycił i panu przyniósł, jak się spodziewał, wesołą nowinę.

Lecz wieczór nadchodził, a posła pożądanego nie było. Coraz frasobliwszym stawał się Kaźmirz...

Z końcem dnia uchodziła nadzieja, aby wieść nadejść mogła rychło. Niechętnie wówczas podróżowano nocami, drogi były niepewne, rozboje częste...

Kochan poszedł do pana, któremu ochmistrzyni właśnie przywiodła była córkę sierotkę.

Król ze smutkiem w milczeniu ścisnął szczebioczące dziecko, a na widok nadchodzącego powiernika żywo je odprawił.

Gdy sam na sam znajdowali się z sobą, ulubieniec, który przy ludziach głębokie, królowi należne okazywał uszanowanie, przybierał dawny tryb poufaly...

Każmirz takim go mieć lubił.

— Kochan — zawołał wybuchając — co ty mówisz na te zwłoki?? Ja przecucia mam złe!

— Ja najlepsze — odparł wesoło — ulubieniec. Lecz, gdyby mnie ono omyliło, miłoścywi panie, czyż tak trudno o księżniczki dla młodego i pięknego króla?

— Ja tej chcę a nie innej — żywo począł król, a spostrzegłszy, że się Kochan uśmiechnął, dodał:

— Powiesz mi, żem jej nie widział? lecz, odmalowali mi ją na dworze Karola ci, co ją znają od dzieciństwa... jakbym miał przed oczyma ją i jej piękność!! Jest piękniejszą od innych, i ma w sobie ten charakter szlachetny, który ja w jej rodzic cenię. Coś ze krwi bohaterkiej Jana. Innej nie chcę nad Margaretę!

Kochan słuchając, ramionami poruszył.

— Już dla tego samego, żeście mogli, miłoścywi panie, tak ją umiłować nie widząc, powinna być waszą.

— Musiała przybyć do Pragi — dodał król. — Margrabia Karol przyrzekł mi, iż doloży starań, by ją przekonać, że za mąż iść powinna.

— Do królewskiej korony nie tak bardzo namawiać potrzeba — odparł Kochan sztydersko. — Podroży się piękna wdowa, ale ręki nie odmówi.

— Dałby to Bóg — rzekł król.

I zwrócił się, zbliżając szybko do dworzanina swego.

— Kochan — rzekł — wszak prawda, wstydu sobie uczynić nie damy w Pradze! Potrzeba wystąpić tak świetnie jak na króla polskiego przystało, ty mi pilnuj! Ja głowę tracę z tej niecierpliwiej miłości dla kobiety, której nie widziałem w życiu. Najlepsze konie, najwspanialsze opony, najkosztowniejsze suknie, zbroje...

— Cały skarbiec trzeba zabrać z sobą, bo tam łakomych nań rąk wyciągnie się siła — odparł Kochan.

— Skarbiec? niech idzie cały! zawołał Każmirz, potrafiemy go napełnić, a w Pradze musimy olśnić ich.

— Lud mi wybierz dorodny! — dodał król — ja na ciebie wszystko zdaję. Nie żałuj nic... odpowiesz mi...

— Uczynię wedle rozkazu — rzekł Kochan — ale czas, aby miłość wasza kazała dać wieczerzę, i zapomniała przy stole o trosce... Mnie już z wieczernika dochodzi zapach mięsiwa...

Tym sposobem, jak zwykle, Kochan usiłował króla rozerwać. Wywiódł go do jadalni, stanął za nim ze dzbanem, skinął na Szupkę, dworskiego błazna, aby pana zabawiał, zagadał sam, pobudził drugich, i nieco chmury z czoła królewskiego rozpędził.

Każmirz jednak za każdym głośniejszem w dziedzińcu, u bram wołaniem, odwracał się, nasłuchiwał, posyłał. Snił jeszcze o pośle z Pragi, którego się nie doczekał dnia tego.

Kochan od brzasku na gościniec ku Pradze na najszybszym koniu wyprawił młodego Przedbora Zadorę, przyjaciela swego, w nadziei, że ten może spotka gońca, dowie się coś od niego i z dalszą wieścią go wyprzedzi. Stało się właśnie jak żądał. Przedbor, który do Króla był wielce przywiązany, jak wszyscy, co go otaczali, ani siebie ni konia nie oszczędzał, i w istocie o mil parę od Krakowa spotkał Mikulasa z Lipy, którego król Jan wyprawił, aby przybycie Margarety i jej zezwolenie na małżeństwo zwiastował Każmirzowi.

Margrabia Karol dodać kazał poufnie, aby król polski, odebrawszy wiadomość, pospieszał na wesele, dopóki by wahająca się księżna nie zmieniła postanowienia pod wpływem osób, które się o to starały.

Do pospiechu zachęcać króla nie było potrzeba pewnie.

Przedbor chwyciwszy języka, Czechom dając spoczywać i do wyjazdu się sposobić, sam konia poparł tak, że ostatnim tchem jego dobiegł do Wawelu.

Dwa słowa zamienili z Kochanem i ulubieniec pański biegł z twarzą rozweseloną do komnaty, w której król wielkimi, niespokojnymi przechadzał się krokami.

Uśmiech jego i oczy błyszczące dały odgadnąć dobrą nowinę.

— Czechy przybywają za godzinę! — zawołał w progu Kochan — niosą zaproszenie na wesele.

Każmirz rzucił mu się na szyję, Kochan go całował po rękach.

— Zkądże wiesz?

— Posyłałem Przedbora...

Złoty łańcuszek ze stołu chwyciwszy król zawiesił na szyi Kochanowi.

— Zadorze nagrodę jaką chce! — zawołał — Rozkazy wydawać do podróży, na jutro... Radbym dziś... Każmirz poruszony wielce ręce łamał. Śmiał się i sam miarkować się usiłował, gdyż sobie nawet śmiesznym się i zbyt młodym wydawał. Wielka radość nie dawała mu spokoju. Żywa wyobraźnia malowała piękną Margaretę, życie z nią, kolebkę syna, przyszłość jasną i wielką.

Przymierze z Janem osłaniać miało Polskę, na Rusi jeszcze czekały zdobycze, krzyżacy musieli być pokonani.

Zdało mu się, iż wszystko to od ożenienia zawisło, że z niem nowa era w życiu rozpocząć się miała, przebaczenia, pokoju, domowego szczęścia, błogosławieństwa Bożego.

Około południa Czesi, przeodziawszy się w mieście w gospodzie, jak na posłańców króla przystało, — strojno i zbrojno wjechali na krakowski zamek. Tu już dwór cały, okazały, liczny, czekał na przyjęcie, król w posłuchalnej sali z kasztelanem i wojewodą krakowskim, w mnogich dostojników otoczeniu, gotował się na powitanie Mikulasa z Lipy.

Był on synowcem wielkiego podkomorzego króla Jana, i proboszcza wyszehradzkiego Jędrzycha. Z postawy i ubioru łatwo w nim poznać było można rycerza, co przy swym królu długo wędrował po świecie i umiał z tego korzystać. Właśnie miał to Mikulas, czego na dworze Każmirzowym wielu brakło, ogładę, pańskość, wytworne i miłe obejście się zachodnią cywilizacją zmiękczonego człowieka.

Każdy ruch jego był obrachowany i wdzięczny. Nie brakło mu siły, bo cóż był wart wówczas rycerz bez niej, gdy coraz bardziej zaczynało się okuwać żelazem, i okrywać niem od stóp do głowy, gdy tak odzianemu potrzeba było zwiijać się zręcznie, na równie opancerzowanym do turniejów koniu?

Znaczna część polskiego dworu z pewną zazdrością spoglądała na tego wyelegantowanego posła, którego strój, uzbrojenie, koń, rynsztunek nowe były, kształtów niezwykłych i form wytwornych.

Poselstwo przyjął król uprzejmie. Stoły gotowe były na ugoszczenie. Zasiadł Każmirz pierwszy raz od dawna z myślą wesołą, z mową swobodną, dopytując o króla, o margrabiego, o przyszłą narzeczoną.

Mikulas z Lipy nadto był zręcznym dworakiem, aby całą prawdę miał wyznaczyć, odpowiadał więc ogólnikami i starał się wszystko w świetnych barwach malować. Ucztowano tak długo, Każmirz wstał wreszcie, a Kochan, dodany posłowi za towarzysza, zaprowadził go do jego komnat dla spoczynku.

Tu dopiero Mikulasowi rozwiązały się usta. Kochan był mu poufale znanym z Pragi.

— Nie smućcie pana waszego — rzekł poseł cicho. — Wieści takim przywiózł, jakie mi dano, ale nie wszystko u nas dobrze się dzieje. Król Jan oślepl już i na drugie oko, tak go dobrze doktory francuzkie kurowały. Chodzi i myśli o pokucie za grzechy. Margrabia ma wrogów, choć Mikulasa z Potstajnu zmógł, a królowa Margareta, choć słowo dała, płacze, i trzeba je spieszyć wziąć, aby nieodebrała. Więc w drogę! ale królowi o złem nie mówcie. Ujrzy je prędko oczyma własnymi...

Kochan zachmurzył się.

— Na miłego Boga, o tem nikomu ani wy, ni ludzie wasi, nie powiadajcie na dworze.

— Królowi staremu wzroku nie przywrócimy! ale gdy Margareta wasza zobaczy narzeczonego, otrze lzy pewnie i z dobrej woli rękę mu poda.

Mikulas skłonił głową milcząco.

Nazajutrz ogromny orszak kilkuset jezdnych, wozy kryte, konie powodne, czeladź mnoga, wyciągała z zamku na Wawelu. Wesele twarze rozjaśniało. Spodziewano się dobrych, pięknych dni majowych nad Wełtawą.

Król jechał otoczony panami, odmłodzony, szczęśliwy, i na progu kościoła wzięwszy biskupie błogosławieństwo, podniósł oczy śmiało ku niebu.

W mieście czekali nań rajcy, wójt, ławnicy, lud tłumnie zebrany. Żegnano go i błogosławiono, by żyw a zdrów z królową powracał. Śmiały się oczy i usta Kaźmirzowi, i mijając, ręką pozdrowiał. Wtem pod ścianą starego domu zatrzymało się jego oko, twarz zbladła, usta zatrzęsły. Ukryty tak, jakby nie chciał być spostrzeżonym, stał w kącie mężczyzna błądy, czarnego włosa, oczu dzikich, ust zapadłych. Miał na sobie rycerską zbroję, a w ręku toporek, na którym się podpierał. Ujrawszy króla przycisnął się do ściany, twarz osłonił, lecz Kaźmierz spostrzegł go i jechał, jak rażony pociskiem. Nie widział już nic. Przed oczyma jego poszarpane ćwierci ciał ludzkich latały krwawe.

— Szatan tu przyniósł Amadeja! — mruknął Kochan mijając.

Świetną już i wspaniałą była owa „złota Praga” nad Wełtawą za króla Jana Luksemburczyka. Niewiele miast w Europie mogło się z nią równać.

Natura dała jej położenie uroczne, malownicze, jakby stworzone dla królewskiego grodu, a pokoleń kilka pracowało nad upiększeniem i wzrostem zamków, które panowały nad miastem, i murów, co je otaczały i zdobyły.

Zdała już mury te, najeżone wspaniałymi wieżami, wśród których wielka wieżyca świętego Szczepana i wyniosła przy św. Franciszku górowała, — dachy i dzwonnice licznych kościołów, ogromne, warowne ściany, dzielące stare miasto od nowego pod grodem, dawały wyobrażenie o potędze stolicy, która wkrótce ulubioną siedzibą cesarza Niemiec całych być miała.

Stare miasto, *civitas antiqua*, odznaczało się szczególnie, wielką ilością pięknych kościołów i mnogością murowanych domostw wspaniałych. Zakony św. Franciszka, Dominika, Benedyktyni, świątynie św. Jacka, św. Krzyża, św. Mikołaja zdobyły tę część miasta, która była ziarnem, co puściło latorośle do koła. Dumny swą starożytnością gród-matka murami się osobno opasał i ogrodził od nowego, które teraz już z pierwotną osadą walczyło o lepsze. Sześć, wspaniałych po większej części, bram wiodło do niego. Tu był piękny dom biskupi, niedawno wytwornie przyozdobiony, w którego malowaniami okrytym, rzeźbami strojnym wieczerniku, pasterz mógł królów przyjmować.

Stary gród pański nad nim, z najdawniejszą św. Wita świątynią i klasztorem przy niej, z pałacami, wieżami swemi, „rajskim dworcem”, po którym wspomnienie i imię zostało, z dworami burgrabiego i innych urzędników królewskich, dumnie ponad miastem się wznosił.

Dokoła szeroko już rozlegały się przedmieścia na Porzeczu, Podskale, Zderaz, pod Wyszehradem, Podole, niemal aż do Zbrasława się rozchodząc.

Żydzi, z których król Jan ciągnął tak wielkie dochody, mieli już nietylko swą część w starym mieście, ale i zahradę na Porzeczu.

Na Wyszehradzie, którego dawny pałac królewski darowany był dziekanowi, wznosił się dźwignięty z ruin kościół św. Piotra.

Miasto już, jedno z pierwszych naówczas, nawet około porządku i czystości swych ulic i targów się krzątało. Piękną była, domami bogatych mieszczan otoczona Długa ulica, a Sukiennice praskie może do budowy później urządzonych krakowskich posłużyły.

Jak w polskich miastach rzadkie jeszcze naówczas były mury, któreby im powierchowność wspaniałą nadać mogły; tak tu niemal gród cały stał już z kamieni i cegły.

Były one nietylko ozdobą, ale rękojmią bezpieczeństwa, bo osłonięta niemi Praga, w ówczesnym stanie sztuki wojennej i oblężniczej za niezdobytą uchodzić mogła. Po za temi grubymi ścianami, których wysokie wieże bronić dzielnie dozwalały, mogły się bezpiecznie gromadzić bogactwa, jakie przemysł i handel sprowadzał.

Rycerskiego ducha królowi Janowi stolica taka przystała. Należał on do najmężniejszych osobiście, do najniespokojniejszych, chciwych panowania, władzy, sławy i blasku monarchów współczesnych, ciągle potrzebował nowych wypraw, zdobyczy, gorączkowego zajęcia, namiętnie ściganego celu. Praga była mu za ciasną jeszcze, nazbyt od świata

odległą, ale z miłością ojcowską zdobył ją, rozszerzał, i zazdrośnym był o panowanie nad nią.

Gdy zmuszony podzielić się władzą, zwierzył rządy Czech synowi Karolowi, margrabiemu morawskiemu, który wraz z małżonką swą Bianką wkrótce pozyskał wielką miłość narodu, Jan niespokojny o współzawodnika w synu własnym, od rządów go wkrótce oddalił.

Lecz wnet znowu miał być zmuszonym do wypuszczenia z rąk tych wodzów, które tak zazdrośnie trzymał w rycerskiej dłoni. Rycerzowi nie szczęściło się.

W czasie drugiego swego wesela z Beatrycą, ranny silnie w turnieju, wkrótce potem cierpieć zaczął na oczy. Lekarz arabski, sprowadzony doń, pozbawił go prawego oka. *Vox populi* to nieszczęście przypisywał karze bożej za mnogie świętokradztwa i zbytki.

Wkrótce i lewe oko cierpieć zaczęło, nie pomogła podróż do lekarzy w Montpellier. Król Jan właśnie teraz oślepl zupełnie. Nie przeszkadzało mu to turnieje odprawiać, prowadzonemu przez kompanów, i zabawiać się jak dawniej rycerskimi sprawami.

Przymierze z królem Kaźmirzem, które się teraz małżeństwem ściślej jeszcze skojarzyć miało, już od lat sześciu, od zjazdu w Wyszehradzie węgierskim, trwało prawie nienaruszone.

Naówczas to król młody po raz pono pierwszy odwiedzał Pragę, bawił w niej dni dziesiątek, przyjmowany wspaniale, rozmiłował się w obyczajach zachodnich, w oglądzie rycerskiego dworu, we wszystkich tych zdobyczach cywilizacji zachodu, które w otoczeniu króla Jana go ołsniewały.

Wówczas też może, widząc kwitnące miasta czeskie, wspaniałe grody, porządek i surową karność panującą tu, powziął myśl szczęśliwą zagospodarowania w podobny sposób własnego kraju. Dwory węgierski i czeski były mu pewnie pierwszym wzorem do urządzenia polskiego.

Bystry umysł jego widział, co ztąd wziąć mógł, a co odrzucić, co zastosować się dawało do Polski, a co jej nie przystało.

Lecz, jakkolwiek troiste przymierze między Węgrami, Czechami a Polską pozornie istniało nienaruszone, nie było już ono tak ścisłym, jak w pierwszej chwili.

Połączenie koron polskiej z węgierską, które już było osnute i ułożone, staraniem siostry Kaźmirzowej Elżbiety, nie mogło podobać się Janowi Czeskiemu. Tworzyło ono siłę, która dlań niewygodną była.

Dlatego król Jan Kaźmirzowi, zawczasie rozpaczającemu o płci męskiej potomka, radził ożenienie, a gdy własna córka jego Margareta owdowiała, starał się ją wyswatać polskiemu królowi.

Od kilku już dni księżna Margareta powróciła, ściągnięta przez ojca, do Pragi.

Przybyła, jakby na okazanie wstępu do nowego małżeństwa, w szatach żałobnych po mężu i po synu swym, którego niedawno straciła.

Ojciec, który nie widział już nic, o żalobie się dowiedziawszy, zrzucić ją kazał.

On i margrabia Karol otaczali ją najtroskliwszymi staraniami, pieścili, usiłując skłonić, ażeby Kaźmirzowii ślubowała. Wieści, jakie w Bawaryi będąc jeszcze, miała o Polsce Margareta, wcale ją do tego związku zachęcać nie mogły. Malowano jej kraj jako dziki i pustylny, lasami zarosły, zimny i smutny, nędzny i ubogi, na ciągle wystawiony wojny i napady, Króla, jako pół poganina, który żon brał tyle, ile chciał i życie prowadził rozwiązłe.

Wcale inaczej mówił o Kaźmirzu król Jan i margrabia morawski. Chwalili go, jako najszlachetniejszego serca, umysłu bystrego, najlepszymi chęciami ożywionego człowieka, pana wielkiego królestwa i ogromnych skarbów, na Rusi zdobytych.

Samą zresztą osobę młodego pana, który rycersko i pięknie się przedstawiał, a w gonitwach i turniejach nikomu nie ustępował, król Jan wynosił i sławił.

Napróżno Margareta, ojca ściskając, zapewniała go, że za mąż iść nie chce. Despotyczny Jan żądał od córki poświęcenia dla interesu własnego i chciał ją widzieć koniecznie na królewskim tronie.

Nie dawano jej prawie spocząć, odetchnąć, rozmyślić się, nalegając o słowo.

Jednego z tych dni, które poprzedziły wysłanie Mikłasa z Lipy do Krakowa, po długiej przy stole po wieczery rozmowie z ojcem i bratem, Margareta znużona wyszła nareszcie do izb dla siebie przeznaczonych.

Liczny dość dwór niewieści, po większej części z niemiek złożony, ją otaczał. Pomiedzy temi paniami i pannami, rozdzielonemi na dwa obozy, jedne potakiwały wdowie, drugie, idąc za rozkazaniem króla Jana, starały się ją do małżeństwa nakłonić.

Stara niegdyś piastunka Margarety, pół włoszka na pół niemka, Agnes, przez przywiązanie do wychowanki, stawiała w jej obronie. Obawa ściągnięcia na siebie gniewu ojca możeby była ją powstrzymała od zbytnej gorliwości, gdyby za przybyciem do Pragi nie znalazł się ktoś, co znając jej wpływ, natychmiast starał się z niego korzystać.

Był nim, od dawna w Pradze osiadły, znaczny handel wiodący z Węgry, mający na dworze tamtym stosunki, Hinko Pelarz.

Był to człowiek nieodgadnięty, milczący, umiejący się wcisnąć wszędzie, znikający często na długo, odbywający podróże, liczne mający związki, dobrze widziany od duchowieństwa i dworu, podejrzewany jednak przez swych współpracowników o jakieś polityczne konszachty.

Nikt nad Pelarza niżej się nie kłaniał królowi Janowi, nie służył gorliwiej margrabiemu Karolowi, nie przykładał się hojniej do pożyczek, jakich król od mieszczan wymagał; a pomimo to po cichu oskarżano go o całe niewiernopoddańcze intrygi.

Hinko powrócił był z Węgier niedawno i zdał się czatować pilno na przybycie Margarety. Nazajutrz zaraz pośpieszył do grodu powitać dawną swą dobrą znajomą i przyjaciółkę Agnes.

Bogaty Pelarz był zawsze u dworu gościem pożądanym.

Agnes, jak wszystkie podziłe niewiasty, potrzebowała mówić wiele, nie mogąc już nic robić prawie. Narzekanie było dla niej pociechą. Narzekała na losy swoje, swej pani, całego rodu, i na nieszczęśliwe czasy, i na wszystkie klęski, jakie na ród ludzki spadały.

Lat trzy upłynęło, jak szarańcza nawiedziła Czechy, Agnes i o niej jeszcze dotąd zapomnieć nie mogła.

Pelarz, który mówił niezbyt wiele, słuchał za to przykładnie.

Zasiedli we dwoje w izdebce, gdy Margareta modliła się w jednej z kaplic w kościele św. Wita.

Agnes opowiadała naprzód, jak mąż jej pani nagle i nieszczęśliwie życie zakończył, potem, jaki był żal po nim, jak zachorzał jedyny synaczek, na którym spoczywały wszystkie pani jej nadzieje, i jak ten znowu nagłą śmiercią młodą Margaretę do rozpaczki niemal przyprowadził.

Pelarz słuchał tego wszystkiego z zajęciem wielkim i współczuciem. Dodał, iż na świecie teraz całe lekarzy nie było, coby człowiekowi radzić mogli, czego dowodem był nieszczęśliwy król Jan, przez nich oślepiiony.

Plakała i łzy ocierała Agnes.

Zgadało się o nowym małżeństwie, tak wstrętliwem młodej wdowie. Pelarz wysłuchał pierwszych zwierzeń i dopiero teraz przerwał uparte milczenie. Półgłosem, cichutko, jako przyjaciel rodu królewskiego, odradzał najmocniej to połączenie.

Agnes powinna była przez miłość dla swojej pani zapobiedz mu, aby Margarety nie uczynić najnieszczęśliwszą.

— Bywam często na Węgrzech — rzekł tajemniczo — tam i w Krakowie, gdzie przyjaciół mam, nasłuchałem się dosyć o Polsce, przeszłym i teraźniejszym jej królu. Księżna przywykła do innych obyczajów, wyżyłaby tam nie mogła. Kraj dziki, prawie bez dróg, rozbojów pełen, lasami zarosły. Niszczą go raz wraz tatarzy, litwa, krzyżacy, ruś, sąsiedni książęta. Miasta są drewniane, wsie, jak szałas, lud skórą ledwie okryty, głody częste, niedostatek wielki.

Agnes słuchała ręce załamując, żegnając się i wzywając na ratunek patronów świętych.

Pelarz powoli, od słowa do słowa, począł z niechęcią mówić o młodym królu Kazmierzu.

Wiedział on pewną historię węgierską.

Stara ochmistrzyni zakłęła go, aby ją opowiedział. Naówczas Pelarz, dawszy się prosić i, jak zmuszony, z pięknymi dodatkami własnego pomysłu wyśpiewał całą sprawę Amadejów, czerniąc królowę i jej brata.

Według niego miał to być człowiek dziki, namiętności niepoohamowanych, rozwiązłości najstraszliwszej. Zresztą, jak on powiadał, obyczaj kraju powszechny, pogański jeszcze,

upoważniał do związków niezliczonych, które się jak małżeństwa uważały. Margareta więc miałaby być nie żoną, ale jedną z żon polskiego króla.

Opowiadanie to zgrozą nappełniło staruszkę, a razem wdzięcznością dla człowieka, co jej tak ważne odkrywał tajemnice.

Tegoż dnia pośpieszyła je zwierzyć swej pani, wymieniła źródło. Margareta zażądała usłyszeć to z ust samego Pelarza. Wezwano go potajemnie.

Wahał się on, wypraszał, lecz uległ, a gdy usta mu się rozwiązały, łatwo było biedną wdowę przejąć trwogą i wstręt, jaki miała do nieznanego Kaźmirza, stokroć powiększyć jeszcze.

Ze łzami wypraszała się księżna ojcu i niecierpliwemu bratu swojemu, którzy uczyli łatwo, iż wpływ jakiś złowrogi uporowi jej dodał siły.

Kilka dni tak na łzach, na prośbach, na sporach i naleganiu upłynęło.

Agnes co wieczora już osłabła, i złamaną wolą ojca i brata, Margaretę na nowo pobudzała do uporów. Pelarz nawiedzał ją i oliwy do ognia podlewał.

Lecz walka z ludźmi tak silnej woli i gorącego temperamentu, jakimi byli król Jan i syn jego Karol, dla słabej, znękaney kobiety za ciężką się stała, aby z niej zwyczajko wyjść mogła

Król Jan nalegał gniewnie, groził, los przyszły wdowy zależał od niego. Margrabia Karol wszystkie plotki o Kaźmirzu wysmiewał. Żona jego Bianka niewieściami argumentami starała się Margaretę przekonać. Nie dano jej odetchnąć, zmuszono do dania słowa.

Księżna w ostatku przyrzekła być ojcu posłuszną.

Natychmiast wyprawiono poselstwo do Krakowa, a król kazał czynić przygotowania do wesela. Miało ono być najwspanialszem, najwystawniejszem i natychmiast burgrabia Hynek młodszy z Dube, wezwany do króla, otrzymał polecenie, aby w mieście przygotowania czyniono.

Czas wiosenny dobrze się do uroczystości nadawał, która zarazem dworską, ludową i ze współudziałem całego duchowieństwa miała się odbywać.

Gdy Margareta we łzach się rozplęwała, na grodzie i w mieście już obmyślano wspaniałości, występy, z jakimi króla polskiego przyjmować miano, witać, zabawiać i obchodzić wesele.

Wielki turniej zapowiadano wcześniej, w rynku starego miasta stoły dla ludu, na zamku ucztę dla polaków, śpiewy skoki i zabawy.

Lecz od tego dnia, gdy na niej wymożono słowo, już się odwołać niedające, biedna Margareta słabnąć zaczęła.

Ojciec oślepiły nie mógł dostrzedz na pięknej jej twarzy ani śladów łez, ni wewnętrznego ucisku, brat Karol brał to po mężku i wyrokował, że smutki i postrachy przejdą za przybyciem Kaźmirza.

Chwiejąc się, osłabła, pierwszego dnia po tem wyszła piękna Margareta milcząca, dla obiadowania z rodziną. Ojciec napróżno chciał ją do rozmowy nakłonić, odpowiadała pół słowami. Łzy chwilami wytryskały z jej oczu. Czula się ofiarą.

Wreszcie usunąwszy się do swych komnat księżna, pozostała w nich do nocy. Agnes kazała się jej położyć, kobiety łoże otoczyły. Jedne z nich grać i śpiewać chciały dla rozrywki, Margareta nakazała milczenie.

Nazajutrz nie wyszła do ojca, przechadzała się od okna do okna z trwogą w nie patrząc, i drżąc na myśl, że straszny ów narzeczony lada chwila przybyć może.

Nie dał się wiadomością o chorobie złamać król Jan, nie chciał zważać na nią. Dopytywał o przygotowania weselne.

Margrabia Karol lekcewał też kobiece dziwactwo.

Zdaniem ich obu, ukazanie się pięknego, młodego, szlachetnego Kaźmirza wszystkim przeciwko niemu powzięte uprzedzenia rozproszyć miało.

Zbliżył się wreszcie dzień przez jednych z taką trwogą, przez innych z taką oczekiwaną niecierpliwością.

Margareta na usilne prośby Bianki i brata podniosła się z łoża. Męczeństwo zdawało się już nieuniknione, postanowiła je znieść z rezygnacją.

Sam na sam ze starą Agnes, która swemi żalami nad jej nieszczęśliwym losem zwiąkszała jeszcze trwogę, Margareta zapowiadała już rychłą śmierć swoją.

— Nie płacz stara — mówiła do niej — ja długo się męczyć nie będę. Ja się ztąd nie dam wywieść w ich straszne lasy i pustynie, na poniewierkę, na niewolę...

Ja tu umrę.

Agnes za kolana ją ścisnęła, zachodząc się z płaczu i jęków. Nie było ratunku. Król nie dawał mówić sobie nawet o zwłoce wesela dla choroby. Karol niecierpliwił się tylko dziwactwem siostry.

Było li jakie uczucie, wspomnienie, nadzieja, które ten opór i wstręt zwiększały? o tem nie wiedział nikt może, oprócz starej ochmistrzyni.

Piękne lice księżnej bladło i więdło.

— Tem lepiej — odpowiadała, gdy się użalano nad nią. — Znajdzie mnie może brzydka i nie zechce.

Jednego wieczora wreszcie goniec, wysłany naprzód przez Mikulasa z Lipy, wpadł na zamek, oznajmując królowi Janowi przyszłego zięcia przybycie.

Na uroczyste przyjęcie wszystko już gotowem było.

Oślepy król żałował, że sam naprzeciw Kaźmirza, choć do miasta, wyjechać nie mógł. Miał go w tem zastąpić syn margrabia Karol, któremu towarzyszył wielki podkomorzy Jędrzych z Lipy, burgrabia Hynek i świetny orszak rycerski.

Dano znać do biskupiego dworu, aby duchowieństwo wystąpiło, aby uderzono we wszystkie po kościołach dzwony.

Gdy z wieścią tą wpadła do Margaretę Bianka, biedna księżna zachwiała się i padła na pół zemdlona.

Lecz rozkaz ojca był stanowczy. Dwór cały biegł jej posługiwać do ubrania. Król naglił, aby wysła strojną ukazać się narzeczonemu.

Rozpaczliwe jakieś męstwo wstąpiło w niewiastę strwożoną i osłabłą. Porwała się z łoża i z brwią namarszczoną rozkazała podawać ubranie.

Było ono wcześniej przygotowanem, a obyczaj ówczesny wymagał, by córka królewska wystąpiła w największym przepychu i blasku. Suknia ze złotogłowu, rąbki jak mgła przejrzyste, ciężkie klejnoty, naszyjniki z drogich kamieni, szeroki i wielki pas złoty, jakie wówczas noszono, purpurowy płaszcz szyty i bramowany, wkładano z kolei na bladą ofiarę, która nic czuć, nic się nie zdawała wiedzieć, co się z nią działo.

Agnes płakała, przypadłszy w kącie, kobiety biegały przypinając, wiążąc, nakładając na ręce bezwładne bogate kolce.

W tem na mieście ozwały się dzwony, Margareta się zachwiała, służebne musiały ją podtrzymać, by nie padła.

Na zamku słychać było tentent koni i szczęk zbroi żelaznych. Margrabia Karol, cały odziany w błyszczącą stal wyzłocaną, z ogromnym pióropuszem skrzydlatym na hełmie, wyruszał z podwórców.

Król Kaźmirz, z promienistą, wesołą twarzą, odmłodzoną tą chwilą szczęścia spodziewanego, wjeżdżał do złotej Pragi, witany okrzykami niezliczonych ludu tłumów.

Wspaniale rozciągał się ów orszak polski, kapiący od złota, złożony z ludzi olbrzymiego wzrostu, pięknie dobranych twarzy, we wspaniałych strojach, we zbrojach wykwinnych, z tarczami na prawem ręku, na których topory, podkowy, księżyce, gryfy i lwy malowane widać było.

Kaźmirz jechał na białym koniu oponą szkarłatną okrytym, na którym orły perłami szyte świeciły. Szyszak jego, obwiedziony koroną, miał też orła, zrywającego się do lotu, na szczycie. Otaczali go mężowie sędziwi, młodzież piękna, lud doborowy i liczny.

Trąby hucznie zwiastowały przybycie. Przez ulice miasta zaledwie przecisnąć się można było, pod grodem czekał biskup Jan z Drażic, błogosławiąc i wiodąc na gród gościa.

W wielkiej sali dolnej stał zadumany król Jan, synowa jego Bianka, i blada, jak trup, chwiejąca się Margareta. Król posepny był, dochodziły go odgłosy, ale tego blasku, do którego nawykł był, nie widział. Smutek go ogarniał w tych ciemnościach.

Myliła się księżna, gdy bledniejąc i więdnąc sądziła, iż się tem brzydszą uczyni. Piękność jej, czystość rysów marmurowych, płomień oczu czarnych, podniosły się, spotęgowane boleścią. Nie był to może wdzięk, wedle pospolitego pojęcia owych wieków, wymagających od kobiety świeżości, zdrowia, rozkwitu bujnego. Margareta była bladym cieniem, lecz jakby anielskim jakimś i nieziemskim zjawiskiem.

Smutek i ból, rozlany na jej twarzy, pociągał ku niej litością i współczuciem.

Stała tak, jak ofiara oczekująca kata, gdy przed oknami sali przesunął się orszak, w dziedzińcu powstał zgiewek, Kaźmirz przybywał z Karolem.

Bianka obawiała się o nią i zbliżyła, aby w potrzebie podać jej rękę pomocną. Lecz stało się, czego ona przewidzieć nie mogła, osłabła Margareta nagle drgnęła, odżyła, uczuła się dumną córką królewską, odzyskała siłę całą.

Stała blada, mężna, śmiała, patrząc gorączkowo otwartymi oczyma na wchodzących.

Wzrok jej padł i zatrzymał się na Kaźmirzu, który szedł szczęśliwy i rozradowany, jej szukając oczami. Odgadł ją pewnie, lecz wejrzenie, którem go powitała, raziło, jak cios w piersi wymierzony. Kaźmirz drgnął i zawahał się, idąc na powitanie króla Jana. Trwało to zaledwie oka mgnienie, żywiej jeszcze posunął się ku niemu.

Margareta spuściła oczy.

Nie widziała już nic. Kazano jej podać rękę narzeczonemu. Wyciągnęła ją zimną i martwą. Mówił coś do niej, nie słyszała. Stanął przy niej, nie spojrziała na niego.

Do koła gwar był wielki i wołanie.

Na dany znak wszyscy ruszyli do zastawionych stołów i przy pierwszym z nich, obok ojca, posadzono przyszłych nowożeńców. Margareta usiadła, ciągle oczy trzymając spuszczone. Słyszała szept jakiś, ale ust nie poruszyła.

Margrabia Karol pochylił się do ucha przybytemu.

— Margareta była trochę chorą — szepnął mu — nie zważajcie na jej trwożę. Obyczaj to kobiecy, drożyć się z sobą i udawać smutne, gdy są najszcześliwsze.

Kaźmirz też był pełen najśodszych nadziei, nie zawiedziono go, królowa wydawała mu się cudnie piękną...

Nazajutrz nikt już bladej nie widział Margarety. Obojętnie dosyć król Jan kazał oznajmić Kaźmirzowi, że księżna trochę się czuła niezdrową, lekarz jej nakazał spoczynek.

Dnia tego wcale się ukazać nie miała. Strwożył się król nieco. Kochana wyprawił na zwiady. Ten miał tu licznych przyjaciół i znajomych, a nawet powinowatych. Przebiegły i zręczny, zresztą wszędzie indziej byłby zarówno umiał znaleźć drogę i dostać języka.

Na dworze miał niewiast kilka, do których się dawniej zalecał, bo Rawa miał w obyczaju zawsze i wszędzie szukać niewiast, coby się na jego piękności poznać umiały.

W orszaku księżnej była piękna Zytka, z którą się już dawniej spotykał. Poszedł szukać jej po dworze. Gościnnie wszystkich towarzyszków króla przyjmowano, łatwo mu się więc było o Zytkę dowiedzieć. Wysłała przeciwko niemu wyzwana z na pół smętną, pół uradowaną twarzą, iż dawny wielbiciel tak pilno ją sobie przypomniał.

Zręczny Kochan począł od spowiadania się z tęsknicy swojej, od oświadczeń radości, iż znowu ją zobaczył.

Zytka, bardzo zalotnie wywijając kibicią, już nieco ociężała, i rzucając figlarnymi oczyma, dziękowała uśmiechem.

Nie dowierzała zdradliwemu mężczyźnie.

Żarcikami swawolnemi zawiązała się rozmowa.

Kochan zamawiał ją w tany na przyszłe uroczystości, drożyła się nieco.

— Myśmy do was tu na wesele przybyli, a wy nas przyjmujecie coś kwaśną twarzą i chorobą.

Zytka głową potrząsała, poprawiając trefione włosy.

— Księżna nie w porę zachorowała — dodał Kochan — ale nie straszna to być musi choroba.

Trudno było z dziewczyny dobyć słowo, oglądała się dokoła ostrożnie, ludzi dużo przesuwano się, podsłuchiwało i chciało mięszać do rozmowy.

Kochan poszedł za nią do komnat na dole, gdzie pod ten czas nikogo z kobiet nie było.

— Jakaś na mnie łaskawa, powiedzże mi, co tu się u was dzieje? choroba prawdziwa, czy zmyślona?

— Naprzód, kto wam powiedział, że ja na was łaskawa? — odparło dziewczę, niby obrażone.

Lecz gniew nie trwał długo, Kochan zbliżka się przysuwał bardzo. Chłopiec był ładny i wszyscy wiedzieli, iż miał łaskę u króla.

— Księżna już od dawna chora — poczęła nareszcie rozdobruchana Zytka. — Nie może zapomnieć nieboszczyka... Straciła dziecię.

— Cóż znowu? — w żarty to obracając odezwał się Kochan. — Za umarłego żywego mieć będzie, a i dziecięcia nie poczeka długo.

Dziewczyna odwróciła się nadąsana, musiał przebłagiwać znowu. Lecz nie szło mu to trudno. Zytka opowiadać zaczęła.

— Boją bo się was tutaj bardzo — rzekła. — Wiemy, jacy wy jesteście i co u was kobieta, choćby i królowa, znaczy.

— Przecieżeśmy nie wilcy i nie zjadamy ich — odparł śmiejąc się Kochan — bo gdybyśmy je pożerali, jabym was pierwszą zjadł, tak mi jesteście do smaku.

Zytka się śmiała. Pochlebstwo, w jakimkolwiek bądź kształcie, choćby niezręcznie podane, pewien skutek wywiera. Dziewczyna, która z początku drożyła się z sobą, zaczęła być coraz miłszą dla Kochana. Patrzała nań, uśmiechała się wyzywająco, nie wrywała rąk, nie gniewała się, gdy ją, w imię dawnej znajomości, w pól obejmował. Znajdowała, że niewieścią cześć dostatecznie uchroniła, nie poddając się od razu. Usiedli przy sobie na ławie.

Kochan rozpoczął zaraz badanie na nowo.

— Co to jest królownie?

Milczenie, poprzedzające odpowiedź, zapowiadało, że nie przychodziła ona łatwo.

— Królowna! — szepnęła Zytka, spuszczać oczy — ona, ona bo zamąż iść nie chce. Owdowiała niedawno, a — na waszego króla straszne tu rzeczy rozpowiadają.

— Kto? co? — zawołał oburzony Kochan — to są potwarze!...

Zytka, umiejąca podsłuchiwać bardzo zręcznie, wiedziała o historii Amadejów, którą stara Agnes po cichu rozpowiadała.

— Potwarze! — rzekła wznosząc oczy na towarzysza — no, a ta krwawa sprawa z Amadejówną!

— Kłamstwo! — krzyknął Kochan, burząc się. — Król nasz nie winien!

Zytka mówić mu nie dała.

— Nie wiem — rzekła pośpiesznie — ale tu na dworze wasz pan ma nieprzyjaciół. Nastroili Margaretę przeciwko niemu, z tych wszystko, z tych i choroba...

Kochan się zachmurzył.

— Mocno chora? doprawdy chora? — zapytał.

— Chora i nie od wczorajszego dnia, ale od tego czasu, jak ojcu dać słowo musiała...

— A cóż będzie z weselem? — spytał Kochan.

— Pewnie poczekać na nie musicie — westchnęło dziewczę.

Rawa udać musiał, że mu szło o wesele to i skoki dla samego siebie tylko. Wzdychał, przymilając się do dziewczęcia.

Wybadał z niego usposobienie starej Agnes, nawet źródło historii Amadejów u Perlarza. Zamówił sobie, gdzieby mógł się spotkać znowu, i poszedł do króla.

Lecz Kaźmirza już nie zastał w jego mieszkaniu; troskliwy o zabawienie gościa margrabia wziął go z sobą, aby się przypatrzył przygotowaniom do turnieju.

O naznaczeniu dnia wesela, które Kaźmirz chciał przyspieszyć, rozmówiono się krótko. Samowolny król stary, nie zważając na córki chorobę, chciał je koniecznie w dniu św. Małgorzaty, imiennym księżnej, odprawić. Pozostało dosyć czasu, aby się przygotować, przekonać i ozdrowieć mogła.

Kaźmirz musiał przyjąć postanowienie przysłego teścia i czekać św. Małgorzaty. Tymczasem nie szczędzono nic, aby koronowanego gościa i towarzyszków jego zabawić.

Miasto przybrało świąteczną powierzchowność. W rynku ustawiono stoły dla ludu, muzyki grały na gankach wież i bramach. Pocztę świetne przeciągały ulicami. Na zamku miała być uczta i turnieje, wieczorem śpiewy i tany.

Tego wymagał obyczaj dla gościa, choć choroba Małgorzaty wszystkim chmurzyła oblicza. Nie miała ona jeszcze groźnego charakteru i spodziewał się król, że wypoczynek, uspokojenie, jutro pozwolą księżnie ukazać się na pokojach.

Kaźmirz, zmuszony udawać wesele, niespokojnym był mocno. Gdy się nie zmuszał do okazywania radości, nagle stawał zadumany i jak kamienny. Napróżno margrabia Karol usiłował go rozerwać.

Plac do turnieju obwiedziony już był sznurami, sędziowie wybrani, tarcze mających się spotykać powywieszane. Oba z margrabią obeszlą go, wiodąc za sobą nieodstępny dwór, ale król polski zdawał się mało zajmować rycerską tą zabawą. Wrócili wkrótce oba do mieszkań margrabięgo, gdzie sam na sam spocząć i rozmówić się mogli. Kaźmirz żądał tej rozmowy.

Karol żywy i niecierpliwy, który z trudnością usiedzieć mógł w miejscu i na chwilę powstać bezczynnym, wprowadziwszy Kaźmirza do izby, którą zajmował na zamku, siadł zaraz i według nałogu, jaki miał od dzieciństwa, chwycił do rąk kawał drzewa, który nożem zapalczywie obrabiać począł.

Była to jego ulubiona, nawet przy gościach zabawa. Pierwszy lepszy kij, lub kawałek drewna służył mu do rzeźbienia często pociesznych postaci i dziwacznych figurek.

Kaźmirz patrzył nań z podziwieniem, twarz jego teraz, gdy sami zostali, smutkiem się oblekła.

— Margrabię mój, bracie serdeczny — rzekł z wywnętrzeniem, którego potrzebował. — Ty wiesz, jak mi drogie jest połączenie się z rodem waszym. Pragnąłem go, nie widząc Margarety, dziś, gdy ją zobaczyłem, mocniej jeszcze pożądam szczęścia tego... Lecz... księżna...

Karol podniósł prędko oczy, nad robotą około sękowatego kija spuszczone.

— Czyż kobiet nie znasz? — odezwał się. — Mają one swe dziwactwa, mają słabostki, wiele im pobażać należy. Margareta niedawno straciła dziecię.

Miej cierpliwość.

— Pragnąłbym widzieć się, pomówić — rzekł Kaźmirz. — Mieć może uprzedzenia, ludzie są złośliwi, może bym potrafił uspokoić ją. Wszak nie jest tak chorą?

Karol, nie rzucając roboty, podszedł ku drzwiom i marszałka swego wprost do siostry wyprawiał, oznajmując odwiedzinę narzeczonego.

Tu wcale się ich nie spodziewano, księżna nie była ubrana, leżała w łóżku, siedziała przy niej stara Agnes. Gdy nadeszły nie prośby, ale rozkazy, musiano co najprędzej przystroić księżnę, którą to natręctwo Kaźmirza rozgniewało. Nie mówiąc nic, ale wejściem piorunującym zmierzwiwszy posłankę, która jej wolę brata przyniosła, dozwoliła się przybrać, jak chciano.

Naprawdę dobyto suknie, zawiązano włosy, przyniesiono klejnoty. Księżna ubierać się dała, nie objawiając woli żadnej, nie chcąc uczynić wyboru. Zamiast potem usiąść w krzesło dla przyjęcia króla, jak była ustrojona położyła się na łóżku, sparała na białej ręce, i niema a gniewna czekała.

Margrabia Karol prowadził bladego Kaźmirza z sobą. Dwór Margarety, który otaczał jej łożo, odprawiono do przyległej komnaty. Kaźmirz zajął miejsce naprzeciw narzeczonej. Gotowe już były kosztowne dary, które wiozł dla Margarety. Niesiono je za nim. Szczęściu młodych chłopaków, dobranych wzrostem i urodą, w kaftanach szkarłatnych, na których piastowskie orły białe były wyszyte, nieśli kute skrzynki z klejnotami, pootwierane już tak, aby wewnątrz nich leżące kosztowności widzieć było można.

Z rąk pierwszego z nich Kaźmirz wziął sam najpiękniejszą skrzynkę i z uśmiechem złożył ją u nóg księżnej. Chłopaki, przyklękając przed nią, z kolei stawiali przyniesione dary.

Wszystko to nie wyglądało tak barbarzyńsko, tak ubogo, jak księżnie opowiadano. Z pewnym zdumieniem, drżąc, nie mówiąc nic, patrzyła na klejnoty.

W istocie były one królowej godne. Z wnętrza skrzynek, wybitych jedwabnymi tkaninami, połyskiwały w ciężkich oprawach, na których wiły się emaliowane ozdoby, ogromne rubiny, szafiry, ametysty, szmaragdy, perły dziwnych kształtów, to białe, to różowo zabarwiane...

Wszystko to jednak zaledwie potrafiło zwrócić roztargnione księżnej oko. Skłoniła głową z lekką na znak niemego podziękowania, lecz nie okazała radości, nie odezwała się ani słowem, nie poruszyła ku nim ręki.

Margrabia Karol, dobywszy pas ze skrzynki, rzucił go jej na kolana, żartobliwie twierdząc, iż przepasanie nim uzdrowić ją miało. Klejnot zsunął się z nich i padł z łoskotem na ziemię.

Nie podniósł go nikt.

Kaźmirz, widząc tak jawną obojętność, rumienił się i blednął.

Margrabiemu zdało się, że najlepszym sposobem zbliżenia narzeczonych będzie zostawienie ich sam na sam z sobą. Usunął się więc w drugi koniec obszernej komnaty ku oknu, z którego ożywione świetnym dworem podwórze w świetle majowego poranka widać było.

Po odejściu brata, raz pierwszy oczy Margarety podniosły się na Kaźmirza, trafiły właśnie na chwilę, w której król, dotknięty w swej dumie, siedział zaszępioty i groźny.

Oko księżnej, choć nie było łagodnym, zmieniło jednym wejrzeniem jego usposobienie.

Pochylił się, zapytując ją o zdrowie.

Księżna pomyślała nad odpowiedzią, usta się jej poruszyły i wyrazem ostrym odparła.

— Jestem chora, widzicie to sami. Będę chorą — dodała. — Sądzę, że wam potrzebny innej żony... Ze mną smutek do domu weźmiecie...

— Mam nadzieję, że znajdą się u mnie środki rozproszenia go — rzekł Kaźmirz. — Wszystko, co wam może być przyjemnym...

— Mnie już nic przyjemnym nie jest — sucho przerwała księżna.

— Pozwólcie mi mieć nadzieję, że się to zmieni — rzekł król.

— To się zmienić nie może — odparła Margareta.

Słowom tym odpychające towarzyszyło wejrzenie. Kaźmirz zarumienił się, lecz pozostał panem siebie.

— Być może — odezwał się po chwili — iż mnie i królestwo moje nieprzyjaciele źle wam odmalowali i że ztąd powstał wstręt jakiś do mnie. Przekonacie się, że ludzie kłamią.

Księżna dumnie głową potrząsała, nogą, przy której leżał pas złoty, upadły na ziemię, popchnęła go niecierpliwie.

Zapatrzyła się w okno, umyślnie unikając spotkać króla oczy, które w nią były wlepione.

— Bywaliście na Węgrzech! — odezwała się z wyrazem przekąsu jakiegoś Margareta. — Mówią, że tam są niewiasty piękne bardzo. Dwór królowej Elżbiety obfitować w nie musi?

Kaźmirz zrozumiał przymówkę, ruszył ramionami pogardliwie i usiłował się uśmiechnąć.

— Jednakże — przerwał — piękniejszej nad was nie widziałem w życiu ani na węgierskim, ni na żadnym dworze.

Królowna odpowiedziała na tę grzeczność bladym uśmiechem szyderskim.

— Miałażbym wam przypominać kogo? — odparła złośliwie.

Kaźmirz, którego twarz za każdym takim pociskiem krew oblewała, starał się zachować spokój.

— Wasza miłość — rzekł — nie macie ani sobie podobnych, ni sobie równych.

— Od francuzkich trubadurów nauczyliście się grzeczności dla niewiast — odezwała się Margareta. — Wybaczcie mi, lecz sądzą, że królowi lepiejby szczerść przystała.

Król namarszczył brwi, poruszony był mocno, żal i ból zabrzmiały w głosie jego.

— Pani moja — rzekł — jestem szczerym mówiąc wam, że w was położyłem jedynę szczęścia mojego nadzieję. Litościwsza chciej być dla mnie. Mogę was zapewnić, że nawzajem o wasze szczęście starać się będę życiem całym.

To mówiąc, wstał król, a Margrabia usłyszawszy to poruszenie jego, zbliżył się do rozmawiających.

— Zostawmy Margaretę w spokoju — rzekł, spierając się na poręczu jej krzesła — niech co prędzej stara się siły odzyskać, aby w dzień swej świętej patronki gotową była podać wam rękę... bo król, ojciec nasz, dzień ten naznaczył... Wola jego, dodał z naciskiem, spełnić się musi.

Margareta podniosła oczy na brata, odpowiadając mu tylko wejrzeniem gniewnym.

Król żegnał ją, żądał ręki. Zawahawszy się podała mu księżna białą, wąską, wychudzoną, zimną, z widocznym przymusem i wstrętem. Zaledwie pocałunek złożył na niej i odwrócił się, spieszenie otarła ją o suknię. Margrabia Karol dostrzegł to tylko i ramionami poruszył...

Nie dano dnia tego do nocy odpoczynku królowi. Czekał nań król Jan i ucza z trefniami u stołu, potem pochód po ulicach miasta dla widzenia go, przyjęcie w biskupim

dworze, turnieje i gonitwy, wieczorna biesiada i opowiadania o rycerstwie we Francji i Włoszech... Późno już wrócił Kaźmirz do izb mu przeznaczonych.

Tu oprócz dworu i starszyny, którą odprawił zaraz, stał już oczekujący nań Kochan. Pilno było królowi rozmówić się z powiernikiem. Ten nadrabiał wesołą niby twarzą, nie chcąc dać znać po sobie, ile przykrych wiadomości w ciągu dnia tego dostało się do jego uszów.

Między innemi, chytry Pelarz pospieszył do Kochana, pod pozorem swych stosunków z Węgami i łaskawości, jaką mu okazywała królowa Elżbieta, szukając sposobności poklonienia się jej bratu. W istocie szło mu o to, by się wywiadał o usposobieniach, a może sprawił, co mu polecono.

Kochan się w nim cale nie domyślał zdrady. Pelarz wysmienicie grał rolę gorliwego sługi rodu Kaźmirzowego, przyjaciela i doradcy.

Z cicha począł ubolewać nad Kaźmirzem, który, według niego, wart był lepszego losu, a nie chorej i smutnej wdowy, niechętniej dlań, którą mu narzucano.

— Wasz król najlepiejby zrobił — dodał — gdyby ślub ten odłożyć się starał. Choćby wykupić się od niego przyszło królowi Janowi! Żona ta szczęścia mu nie przyniesie.

Kochan milcząco słuchał.

— Zapóźna to rada — rzekł po namyśle — gdyśmy na wesele przybyli. Wino utoczone wypić potrzeba.

— Ja znam — wtrącił Pelarz — przysłowie, które powiada, że między czarą a ustami, przestrzeń jest wielka.

Długo tak zabawiał i starał się coś z Kochana dobyć, zręczny człek, lecz widząc, że dworak usta ma zamknięte i piersi zapięte, opuścił go, oświadczając się tylko z miłością wielką.

Przez cały dzień tak Kochan z różnych stron napawał się nie bardzo smacznymi wieściami. Ku wieczorowi Zytka oznajmiła mu, że księżna czuła się gorzej.

Przejęta dreszczami nagłemi, musiała się położyć w łóżko.

Na zapytanie więc królewskie, co słyhać, dworak ruszeniem ramion odpowiedział.

Król też znękanym był i smutny, a przynieść mu pociechy, nie było zkad. Kochan począł żywo pleść, że czas wszystko zmienić może i rozpaczać nie trzeba.

— Więc i ty widzisz powody dla którychby można się trapić? — odparł król. — Nieprawdaż? Nie kusić się nam, a raczej mnie!! Przepowiednia tej starej czarownicy na myśl mi powraca.

Zadumany spuścił ręce, zwiesił głowę.

— Nic jeszcze nie ma straconego — rzekł, dodając sobie męztwa. — Byleby raz ślub wziąć, a królowę zawieść do Krakowa, rozproszą się te jej smutki.

— Ale czy nie lepiejby — wtrącił nieśmiało ulubieniec — odłożyć te ślubowiny, nie naglić? Dać jej czas.

Król strzepnęła rękami.

— Dzień jest naznaczony — zawołał — stoją przy nim, nieodstąpią od niego. Księżna jest jak anioł piękna, miłuję ją, musi być moją!!

Wyrwały mu się wyrazy te z taką siłą, iż Kochan zamilknąć musiał.

Nazajutrz ponowiły się turnieje, a księżna była słabą ciągle. Królewski lekarz siedział przy niej. Nie przewidywano jednak nic złego. Zabawy były tem huczniejsze, iż król Jan chciał niemi w początku zatrzeć smutne wrażenie, jakie słabość córki wywierała.

Polski król spokój wielki udawać musiał, ale nie miał go w duszy.

Doniesienia Kochana, który w ciągu dnia umiał, pod pozorami różnemi, zbliżyć się do niego i szepnąć potajemnie słowa, coraz były bardziej zatrwarzające.

Choroba zdawała się rosnąć i stawać groźniejszą. Na dworze jeszcze o tem mówić nie było wolno. Lecz z twarzy Margrabiego Karola i żony jego Bianki widać było frasunek i strapienie, troskliwie tajone.

Następnego dnia Margareta była już prawie bezprzytomną, a lekarz przestraszony zwiastował drżącym głosem królowi, iż środki jego były wyczerpane, że niebezpieczeństwo groziło wielkie, w końcu, iż należało zwrócić się tam z prośbą, gdzie jest wszelka moc i siła, zkad płynie życie i przychodzi śmierć: do modlitwy, do Boga.

Król Jan, który od utraty wzroku stał się nabożniejszym, niż był w ciągu życia, zadrział i ręce załamał.

Kazał się zaprowadzić do łoża córki, niepoznała go.

Margrabia Karol z twarzą zmienioną przyszedł Kaźmirzowi zwiastować smutną nowinę.

Król, który nie przypuszczał, aby jakiegokolwiek niebezpieczeństwo zagrażać mogło Margarecie, stanął oniemiały z rozpaczy i boleści. Ręce załamał i zakrył wnet twarz niemi.

— Jestem najniezwyklejszy z ludzi! — zawołał — O mój Boże! jakże karzesz mnie srogo za grzechy moje!

Napróżno margrabia Karol uspokoić się go starał.

Dnia tego zabawy, igrzyska, gonitwy, wszystko zostało przerwane. Cisza głucha, złowroga zapanowała na dworze.

Biskup Jan z Drażic przybył z Nowego Miasta do króla ofiarując się z całym duchowieństwem czternastodniowym nabożeństwem, z processjami, z wystawieniem relikwii, błagać Boga o odwrócenie ciosu, który królewskiej zagrażał rodzinie.

Rozkazy były już wydane, po wszystkich kościołach odzywały się dzwony; nagle, wesołość wczoraj miasto okryła żałoba. Lud począł się cisnąć do krążanków kaplic i kościołów.

Duchowieństwo z chorągwiami i krzyżami, długimi sznury, śpiewając pieśni, wyciągało już z Wyszehradu, od Ś. Wita, P. Maryi, Ś. Mikołaja.

Kaźmirz z całym dworem swoim pieszo udał się do zamkowego kościoła, wysławszy znaczną sumę dla zakupienia nabożeństwa.

Trwoga niewysłowiona ogarnęła wszystkich. Przychodziło to nagle, i z wesołości wczorajszej przejście do błagalnych modlitw było tak szybkie, iż wrażenie uczyniło potężne. Ludzie widzieli w tem znowu jakiś palec boży, karę za grzechy starego ślepego, który tyle w żywocie swoim nabroił.

Lekarze zwołani najmniejszej już nie czynili nadziei. Gorączka, nie rzucając na chwilę chorej, rosła i wzmagala się. Nie poznawała ludzi, mówiła, płakała, krzyczała, zrywając się i żaląc, a wspomnienia przeszłości i teraźniejszość tak się mieszały w jej głowie, iż mąż umarły, narzeczony, dziecię, historia Amadejówny, obrazy męczeństwa groźnego plątały się w niedokończonych wykrzykach, które służbę żeńską, zgromadzoną przy łożu, niemal też o szaleństwo przyprawiały.

Po takich wybuchach następowało osłabienie, zaniemienie, i życie uchodzić się zdawało, by natychmiast znów powrócić odgłosem boleści.

Wypadek ten, nawet na dworze tak karnym i do ładu wdrożonym, jakim był król Jana, wywołał nieład i zamieszanie. Ślepy król na przemiany burzył się gniewem, i niemy, sparty na rękach, pograżał się w myślach dręczących. Sumienie wyrzucało mu, iż uporem swym sprowadził chorobę, miał być może przyczyną śmierci córki.

Przy Kaźmirzu jeden teraz margrabia Karol pozostał na straży. Starał się go pocieszać.

Choroba przesilić się mogła.

Modlitwy duchowieństwa, śluby, procesje, relikwie świętych na pomoc wezwane, nie mogły być nadaremne.

W istocie rozkaz biskupa, przykład zakonów, które natychmiast rozpoczęły nieustające błagalne nabożeństwa, poruszył całą tę ludność, która zbiegła się do miasta dla oglądania wesela, a trafiła na grozę żałoby.

Napełniały się świątynie wszystkie, dzwony były, szercząc jeszcze niepokój i trwogę.

Gdy około łoża chorej z margrabiną Bianką cały dwór niewieści się skupiał, a na stolach około chorej rozkładano przyniesione z kościołów relikwie, Kaźmierz siedział większą część dnia sam na sam, lub razem z milczącym ojcem bolejąc.

Myśl ta, prześladowająca go, iż straszna przepowiednia ziścić się miała, przejmowała za bobonną niemal trwogą do głębi duszy. Los prześladował go. W uszach brzmiało mściwie, straszne, niezapomniane owe Amadejów nazwisko.

Kochan, który stał na straży, nie śmiał się odzywać, patrzył tylko i czekał. Lecz napróżno. Król nie widział nikogo, tak był zatopiony w sobie.

Wielka radość, nadzieje, z którymi jechał spiesząc tu, wszystko jedna chwila jakaś nieszczęsna zgruchotała.

Niekiedy przybiegali ludzie z lepszymi i pocieszającymi wieściami. Królowa spoczywała, usypiała, choroba obiecywała się przesilić. Naówczas nadzieja wstępowała w serce.

Bóg się zlitował, modlitwy były wysłuchane. Trochę spokoju przynosiło ulgę. Król Jan przysyłał od siebie, przychodził Margrabia, zbiegali się posłańcy.

Wszyscy zdawali się odżywać.

Lecz trwało to krótko; następnych dni wybuchy gorączki wprawdzie ustały, gwałtowność ich się zmniejszyła, osłabienie jednak wzrastało. Siły się wyczerpywały, lekarze nie wróżyli nic dobrego.

Nabożeństwa nieustawały.

Pomimo, że mu to odradzano i nie bardzo dopuścić chciano odwiedzin chorej Margarety, aby widok jej tem większego na królu nie zrobił wrażenia, Kaźmirz dopominał się o to jako narzeczony, żądał tak uparcie, tak natarczywie, iż margrabina Bianca poprowadziła go z sobą.

W ciemnej z osłoniętymi oknami, niskiej, sklepionej komnacie, którą lampki palące się przed obrazami i trochę światła przedzierającego się przez opony słabo rozjaśniały, na łożu otoczonem przez kobiety klęczące i stojące do koła, spoczywała blada księżna, której cierpienie wewnętrzne niekiedy gwałtownymi ruchami i zmiany twarzy się zdradzało. Oczy jej to się otwierały i nieruchomie wlepione patrzyły nie widząc, to zamykały, jakby usypiała. Lecz sen ten nie był spoczynkiem. Rzuciła się niespokojnie, białymi rękami konwulsyjnie chwytając okrycia, które kobiety co chwila poprawiać musiały.

Blade jej oblicze było jeszcze tak szlachetnie pięknem jak dawniej, lecz cierpienie nadawało mu wyraz litość obudzający.

Jeden z duchownych dworskich siedział u łoża odmawiając modlitwy, może oczekując na chwilę, w której umysł chorej odzyskałby przytomność.

W cichości zbliżył się Kaźmirz, idący za Bianką, aż do łoża samego. Chora, jakby uczuła przytomność jego, otworzyła oczy szeroko, z ust dobył się słaby głos i gwałtownie odwróciła się na drugą łoża stronę.

Kaźmirz zbladł.

Stali tak, oczekując jakiejś oznaki pocieszającej. Bianca rozpytywała kobiety, które za całą odpowiedź płakały...

Wkrótce potem stłumiony głos chorej dał się słyszeć. — Wołała jak zdyszana, przerywanymi wyrazami:

— Nie chcę — nie chcę — zdejmcie mi pierścień — dary odnieście... Tu umrę, nie powiożę mnie... krew... krew...

Na królu czyniło to wrażenie tak silne, iż po chwili ustąpić musiał... Wyszedł stąd oślepy, ogluszony, z oczyma zamglonemi, z sercem ściśniętem.

Nie mówiąc do nikogo, powlókł się zamknąć w swych izbach...

Wieczorem z orszakiem całym udał się na nabożeństwo do ołtarza ŚŚ. Stanisława i Oswalda w Kościele Ś. Wita. Królewską ofiarę złożył dla duchownych, którzy błagalne litanje odśpiewali.

Nastąpiła noc — noc milcząca, ale bezsenna dla wszystkich na zamku. Król Jan siedział, co chwila posyłając dowiedzieć się o zdrowie córki. Kaźmirzowi przynosił wieści Kochan. Margrabia Karol przychodził go pocieszać. Po wszystkich kościołach paliły się światła i odprawiały nabożeństwa...

Nazajutrz dzień był Ś. Zofji, piękny, jasny, majowy dzień, słoneczny, lecz o słońca wschodzie uderzyły wszystkie dzwony na Starej i Nowej Pradze, na Wyszehradzie, na Grodzie, uderzyły jękiem żałobnym.

Księżna Margareta — nie żyła.

Do ostatniej chwili przerażony ojciec, zboleły ów narzeczony, mieli jakąś nadzieję cudu.

Gdy straszna wiadomość o śmierci księżnej rozeszła się po zamku, i płacz niewiast, całego dworu, czeladzi, zwiastował ją — król Jan padł na kolana łkając. Syn podnieść musiał ojca...

— Prowadźcie mnie do niego — zawołał przemagając ból — on także, jak ja, ten cios czuć musi...

Prawie razem z wiadomością o zgonie Margarety, ojciec jej i brat weszli do izby, w której Kaźmirz rozpaczał.

Rzucił się on do kolan starca, łkając i rozgorączkowany...

— Ty, — którego ja ojcem mym już zwałem — odezwał się — i którego i teraz ojcem mieć chcę, ty jeden pojdziesz boleść moją.

Nie ma Margarety! a z nią poszły wszystkie nadzieje, całe szczęście moje, cała przyszłość rodu mojego!

Sami zboleli i rozlawnieni, stary król, syn jego i Kaźmirz, ścisnąć się i obejmować zaczęli.

Margrabia ze wszystkich najwięcej zachował spokoju i pomiarkowania w rozpacz. I jemu żal było tego ślicznego kwiatu, ściętego na młodej łodydze, lecz życia wymagania powoływały go. On tu jeden miał przytomność jeszcze...

Stary Jan, ten rycerz nieulekniomy, który nieraz na śmierć się narażał z heroiczną odwagą, złamany był — bezsilny. Kaźmirz, w kwiecie wieku, ale już tyle przeżywszy i przecierpiawszy, ugiął się pod tym ciosem, nietylko stratę narzeczonej, ale wróżbę złą w tem upatrując dla siebie. Mimowolnie przychodziło mu to na usta...

— Ojcie mój, — wołał, obejmując starca jęczącego, — ojcie mój — uzał się nademną. Niezasłużone jakieś przekleństwo wisi nad głową moją — zginąć więc muszę ostatni z rodu, a państwo moje pójść w obce ręce...

— Nie — odparł stary Jan, którego syn zmusił usiąść, bojąc się, aby mu sił po bezsenności i cierpieniach nie zabrakło — nie! Nazwałeś mnie ojcem, chciałem ci nim być — dać własną córkę — Bóg moje najlepsze chęci zniweczył, lecz nie wyrzeknę się ani tytułu tego, ani jego obowiązków.

Wtem margrabia Karol wtrącił:

— Bracie mój, bo i ja nie wyrzekam się braterstwa z tobą — daj słusznemu żalowi przeminąć... Ja i król, ojciec mój, będziemy się starać wyszukać ci żony... Ożenim cię... zadasz kłam przepowiedniom nierozsądnym i złośliwym... Nie dopuścim tego, aby królestwo twoje...

Stary Jan począł w tej chwili żywo:

— Dobrze mówi — Karol... niech nas ta wspólna boleść połączy, poprzysięgnijmy sobie braterstwo... Ja i Karol wyszukamy ci małżonki.

Kaźmirz chwycił rękę Jana.

— A ja na pamięć tej drogiej zmarłej, której mi nikt nie zastąpi, przysięgam Wam, że z ręki Waszej przyjmę narzeczoną, jaką mi dacie... Ona będzie nowym węzłem między mną a wami...

Tak, przy zaledwie ostygłych zwłokach, już Margrabia Karol rzucił myśl dla polityki swej potrzebną, i mającą związek pomiędzy Polską a Luksemburczykami utrzymać.

Kaźmirz przyjął ją ze ślepem zaufaniem, pod ciężarem przepowiedni i trwogi zejścia bezpotomnym.

Córka, którą mu zostawiła Aldona, nie mogła wziąć na skronie korony tej, której obrona męskiej potrzebowała dłoni...

Z równie wielkim żalem, jak przed chwilą radość była — pogrzebowe odbyły się obrządki. Kaźmirz pozostał, aby zwłoki narzeczonej odprowadzić do grobu królewskiego na Zbrasławiu.

Ponowiono jeszcze po smutnym obrzędzie zapewnienia przymierza i nierozzerwanej przyjaźni, a Jan i Karol zobowiązali się uroczyście wynaleźć dla króla nową narzeczoną — którą on z ich rąk przyjąć miał bez wyboru.

Pożegnanie było uroczyste i najczulsze, lecz orszak polski, który z tryumfem, weselem i wrzawą wjeżdżał do złotej Pragi, wyciągnął z niej rankiem, po cichu, przeprowadzony przez Margrabiego Karola — odziany żałobą i smutny.

Król Kaźmirz we wszystkich litość obudzał. — Wprawdzie po przemożeniu pierwszego wybuchu rozpacz, odzyskał on męstwo i siłę ducha, lecz głęboki smutek czynił go martwym na wszystko.

Jechał, dając się prowadzić — nie okazując niczem zajęcia — zobojętniały i pograżony w sobie.

Takim na pierwszym noclegu na czeskiej ziemi — wieczorem, znalazł go ulubiony mu powiernik, ksiądz Suchywilk, Grzymalita, który mu towarzyszył do Pragi.

Był to jeden z najpoważniejszych, najuczestniejszych swojego czasu duchownych, mąż dobrej rady, nieskazitelnego charakteru, a wielkiego przywiązania do Kaźmirza, który mu miłość jego dla siebie zupełnie odplacał zaufaniem.

Jak wuj jego, Arcybiskup Bogorja, tak on kształcił się za granicą, w Bononji, Padwie i Rzymie dokończył nauki, a oprócz suchej ich treści, przywiózł z sobą zdrowe i żywe pojęcie wszystkiego, co własny kraj wymagał.

Wielkiej siły ducha mąż, umiejący prawdę mówić i nie zniżający się nigdy do pochlebstwa — cenionym był przez króla wysoko.

Szanował go Kaźmirz i często mu był posuszny.

Sama postać jego wrażała uszanowanie i oznaczała męża charakteru energicznego a nieuleknionego. Król po nim miękkiej pociechy innych spodziewać się nie mógł.

Suchywilk, wszedłszy do izby, w której król siedział pogrążony w sobie, a Kochan stał u proga — popatrzył chwilę nań, nim się zbliżył.

Wstydząc się swojego tak jawnie słabość odkrywającego smutku, król powstał, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu. Kochan czuł się tu już niepotrzebnym, i zniknął.

Zostali sami.

Czas jakiś Grzymalita milczał.

— Miłościwy panie — odezwał się, — mierząc króla swem wejrzeniem spokojnem — nie trzeba się tak poddawać boleści, choć jest ona bardzo usprawiedliwioną. Lecz, taka kolej rzeczy ludzkich — takie są losy nasze, nic na ziemi nie ma pewnego. Bóg doświadcza i próbuje.

Po tej przedmowie Suchywilk począł zwolna.

— Ludziom, co dla siebie żyją, boleć i lubować się w boleściach swych jest wolno — nie wam, nie nam. Kapłani i królowie synami są bożemi. — Mocarze w dłoni trzymają losy państw... Macie, miłość wasza, co czynić. — Kraj cały odłogiem leży, czeka na was... Nie godzi się wam nad własną niedolą lzy wylewać.

Kaźmirzowi oczy zabłyśły, począł słuchać z uwagą. — Ksiądz mówił dalej, ożywiając się...

— Miłościwy Panie... pomyślcie o owczarni waszej a ból wasz własny nie da się wam tak uczuć uciskająco i przygnębiająco.

— Ojcie mój — odezwał się Kaźmirz — macie słuszność, lecz są cierpienia nad siły...

— Siły wola wywołuje, a ta od człowieka zależy — rzekł Suchywilk.

— Wnijdźcie w położenie moje... Ta groźba straszna, iż mogę być ostatnim z rodu mojego! — szepnął Kaźmirz. — W chwili, gdym sądził, iż przecucia przełamie, gdym miał nadzieję...

— Ale nadzieja straconą nie jest — rzekł energicznie duchowny. — Przecucia i przepowiednie są to pokusy szatana. Bóg rzadko objawia przyszłość, a gdy to czyni, dzieje się objawienie jej przez usta poświęcone i wiary godne.

Lecz wy, królu miłościwy — dodał — gdyby nawet, od czego Boże uchowaj, ta jakaś przepowiednia ziścić się miała, możecie po sobie zostawić więcej niż potomka, więcej niż potomstwo — dzieło wasze, pamięć spraw wielkich, dłużej trwającą, niż rody.

Król spojrział nań z ożywieniem i ciekawością.

— Cóż ja uczynić mogę? — zapytał smutnie.

— Tu, u nas, w tej Polsce, ledwie do kupy jako tako orężem ojca waszego sklejoniej? — odparł Suchywilk z mocą wielką. — Pytacie, miłościwy królu, co czynić?

Aliści żywota ludzkiego najdłuższego nie starczy na to, co tu jest do czynienia!

Miłościwy królu, widzieliście to miasto Pragę tak wspaniale się wznoszące, alboż my miast takich mieć nie możemy i nie powinniśmy? Wszystko u nas odłogiem! Cóż to są te zamki nasze, stopy drzewa, jakby na opał przygotowanego? Szkół u nas mało, kraj na pół pusty, ludu mało, ściągnąć go trzeba...

Kaźmirz słuchał, ożywiając się.

— Naostatek, miłościwy panie — dodał kapłan — gdzież u nas prawa są? Inne kraje mają je spisane, u nas każdy sędzia podług jakiegoś starego obyczaju inaczej sądzi... jako sam chce. Jakież to królestwo jedno, gdy w niem zwyczajów tyle, a pisanego prawa lub nie ma, albo je sobie pisarczyki notują dla pamięci, jak się im podoba, a potem te ich mazaniny służą za kodeksa? Alboż i to godzi się, żeby nasze mieszczaństwo, gdy się sądzi, a wyrokom nie rade, do Magdeburga pod cudze panowanie słało z apelacją?

Suchywilk, który równie biegłym teologiem jak prawnikiem był, mówiąc o tym przedmiocie, mimowolnie się zapędził.

Zmiarkował sam prędko, że nie pora była królowi szczegóły te teraz stawić przed oczy, i zwrócił mowę swą inaczej.

— Ojciec wasz wojował — rzekł — wy budować musicie i gospodarzyć. Alboż to nie boleśnie nam słuchać, gdy obcy, o kraju naszym rozpowiadając, dzikim go zwą, barbarzyńskim, zarostym, niewytrzebionym, na pól pogańskim? Albo nie wstyd, gdy nam gościńców naszych niebezpieczeństwa i niewygody zarzucają w oczy?

Rzemiosł u nas mało, wszystko u obcych kupować musimy...

Każmirz zdał się zapominać o swej boleści.

— Ojczy mój — przerwał — to ty wiesz najlepiej, bom ci się nieraz spowiadał z myśli moich, że całą żądzą mą i staraniem było i jest na ten cel pokój utrzymać, okupić go, aby lud ubogi się wzmógł, bezpiecznie zasiedlił, wzbogacił! Pragnę tego wszystkiego co wy, lecz jak i czem tak wiele rzeczy razem dokonać możemy?

— Jak? — zawołał Suchywilk — rozpoczynając od najpilniejszego.

Wasza miłość daliście najezdzanym i pustoszonym ziemiom wytchnienie, to już do-brodziejstwo wielkie. Zważmy, co czynić, i bierzmy się do dzieła.

Król się zadumał.

Widocznie było, że Grzymalita zręcznie potrafił odwrócić myśl jego od tych drę-czących wspomnień, co ją zajmowały. W Każmirzu odezwało się to, co go od młodości obchodziło najżywiej, chęć podźwignięcia kraju i postawienia go na równi z innymi kró-lestwami w Europie.

— Cóż więc najpilniejsze? — zapytał.

Suchywilk spojrział nań.

— Chleb i zamożność da nam pokój — odezwał się — a po nich co najpierwszą wszelkiego kraju potrzebą?

Każmirz łatwo mógł w myśl mówiącego trafić, wiedział, co go najżywiej obchodziło zawsze.

— Sprawiedliwość — odparł nieśmiało.

— Tak jest — odparł Suchywilk z radością. — Miłość wasza nieśmiertelną po sobie zostawić możesz spuścizną Polsce. Prawa jej daj!

Każmirz powstał odżywiony.

— Dobrze — rzekł — lecz wy mi bądźcie do wielkiego dzieła pomocą. Pocięchą ono dla mnie się stanie...

Zamilkł. Książd przedłużał rozmowę znalazłszy w niej dzielne lekarstwo.

— Prawa pisanego tak jak nie mamy — rzekł — co gdzie jest z ust i tradycyji ludzkich pozbieranego, jedno się drugiego nie trzyma, trzeba to zebrać, zjednoczyć, zlać, aby, jak król jeden jest, i prawo było jedno...

Każmirz począł go ścisnąć.

— Pomóż mi — zawołał — pomóż! Trzeba, aby to prawo osłoniło lud biedny, kmiecie wzięło w opiekę. Na to umierającemu ojcu słowom dał, iż bronić go będę...

— Chrystus ten lud, jak nas, krwią przenajświętszą odkupił — dodał kapłan.

Taką rozmową Suchywilk zajął króla do nocy.

Nazajutrz rozpoczął ją znowu. Każmirz sam wznawiał chętnie przedmiot ten, do któ-rego serce go ciągnęło i pocziwa chęć zostawienia po sobie pamięci dobrej.

Tak dojechali do Krakowa. Stolica, do której spodziewał się, wyjeżdżając z niej, po-wracać szczęśliwy obok młodej małżonki, wznawiała bolesne wspomnienia. Zatrzymać się kazał na drodze, aby przybyć ukradkiem, nocą, wprost na Wawel pusty... do swej sierotki, której matkę obiecał.

Są nieuniknione ciosy.

W bramie miejskiej król podniósł oczy na przemykającego się w przeciwnym kierun-ku rycerza, który uciekać się zdawał.

Mignęła przed nim blada twarz, kruczemi włosy otoczona, a przed oczyma znowu ukazały się krwawe, poszarpane ciała.

W przemykającym się król poznał — Amadeja!

Na przyjęcie króla nie wyjechał nikt, Każmirz zakazał, by go witano. W progu tylko spotkał wiernego swojego Mikołaja Wierzynka, który nisko mu się do kolan pokłonił, nie mówiąc słowa.

Spojrzeni na siebie; wierny sługa z oczów pana wyczytał całe smutne dzieje tej podróży, która żalobnym dzwonów dźwiękiem się skończyła, jak pogrzeb!

KSIĘGA DRUGA. WIADUCH

Na Prądniku pod Krakowem siedział naówczas zdawna już tam osiadły kmieć, a było mu na imie Aleksy, ludzie zaś zwali go pospolicie Leksa i dali, jak to było naówczas zwyczajem, przezwisko Wiaducha. Oznaczało ono, że Leksa ów wiele znał, wiedział wiele i w kaszy się zjeść nie dał.

Kmieć był bardzo zamożny, lecz, jak inni, do szczytu się żadnego nie przyznawał, ziemianinem się nie zwał, owszem, z rodzajem dumy powtarzał, że z pradziadów jest kmieciem.

I nosił się tak, aby nikt omylić się nie mógł, a nie wziął go za kogo innego, niż był. Więc i czapka była pospolitego kroju, i sukmana taka, jaką pospolity lud nosił, i miasto oręża kij z obuszkiem.

Choć ubożsi chłopkowie nisko mu się kłaniali, a niejeden sołtys pozdrawiał go panem bratem, Wiaduch taką naturę miał, że najchętniej z małemi ludźmi przestawał, bronił ich, swojemi zwał, a kto się nad nimi znęcał, tego cierpieć nie mógł.

Postać jego niewiele była obiecująca. Mały, krępy, gruby, twarz miał rysów pospolitych, ogorzałą, pomarszczoną, ale przy brzydocie swej coś rozumnego miał w oczach, tak, że każdy się na tem mógł poznać.

Wiaduch, tak zwany dla tego, że wiele wiedział, nigdy się niczego nie uczył, całą swą mądrość wziął, jak mówił — z lasu, a w istocie z ust ludzi tych, którym ją dziadowie i pradziadowie przekazali.

Nikt nad niego lepiej nie znał wszystkich starych ziemi zwyczajów, podań, śpiewów i praw, które niepisane, pokolenia podawały pokoleniom.

Zaszłali jaka w tem wątpliwość, jak w dym się do Wiaducha udawano. On rzekł, nie było już o co pytać innych, nikt się nie sprzeczał.

W chacie było dostatnio, ale Leksa pilno strzegł, aby nad chłopską potrzebę nic tu nie weszło. Sama też chata wyglądała tak biednie, iż niktby się po niej rzeczywistego dostatku gospodarza nie domyślił.

Wiaduch powiadał chytrze, że dla pięknych skórek zwierza zabijają, i że kto mądry, ten się z tem, co ma, nie chwali.

Starej swej sukmany połatanej niezrzucał, tylko gdy szło o chwałę Bożą, do kościoła na wielkie święta.

Babę jego, niemłodą już niewiastę, którą sobie dobrał do pary rozumnie, choć imię jej było na chrzcie Marja, a gdy dziewczuchą chodziła Maruchna, że się stała na starość gderliwą, opryskliwą a bardzo zabiegłą gospodynią była, przezwano też Garusnicą.

Wiaduch ciągle się z nią o coś spierał, kłócili się do spotkania, ale się kochali bardzo, i żyć bez siebie nie mogli.

Starym dwojgu dał Pan Bóg naprzód syna, którego proboszcz, że się jakoś jesienią narodził, ochrzcił Marcinem. Za młodu wabiono go Cinkiem, ludzie, że był hoży, dorodny, bo się jakoś nie wdał w ojca, nazwali go Ciarachem, i przyłgnęło to do niego.

O wiele młodsza córka, śliczne dziewczę, tyle tylko, że nie bardzo wyrosła i silne, nad czem matka mocno ubolewała, zwano Bogną, ale, jak to po wsiach się dzieje, a bywało dawniej i po szlacheckich dworach i jej dano imienisko, przydatkowe, Gierki. Znaczyło ono coś, jak jej własne w języku ludu.

Wiaduch, że gospodarstwo miał dosyć znaczne i samby mu z synem nie podołał, choć oba pracowali pilno, od rana do nocy, trzymał parobka, którego sobie podobno był kupił u żyda, ale tak się z nim obchodził, jakby nie był niewolnikiem, choć wówczas niewolnych ludzi, jeńców wojennych i takich, co za dług w niewolę popadli, było po świecie wielu.

Dziwak ten stary przecie powiadał, że jak wół wołu, tak człowiek człowieka kupować nie może. Pomimo to, karmiąc go dobrze, pilnował też ostro i wypoczywać nie dawał.

Miał takie swoje różne na wszystko pogadanki i gdy o robotę szło, powtarzał: — Jeść chcesz? prawda? no to pracować musisz. Jak ci się odechce jeść, spocznieś sobie.

Temi pogadankami sływał Wiaduch, a miał język tak wyprawny, że czy duchownemu, czy kasztelanowi, czy wojewodzie, gotów był powiedzieć toż samo, co chłopowi.

Gdy się go pytano, czy się kogo nie boi — mówił: a juści — Pana Boga!

Nie dziwuje się nikt, że rycerze na wojnie na śmierć idą nie mrużąc oka — to ich sprawa, ale Wiaduch też żadnej śmierci się nie obawiał i żadnego niebezpieczeństwa.

Uchodziło mu to jego zuchwałstwo jakoś, choć kilka razy w dyby go brano i po sądach włóczono. Zawsze bez prokuratora umiał się obronić tym swoim wyprawnym językiem.

Wiaduch siedział na kilku łanach ziemi, która, jak on twierdził, od wieków do jego rodu należała, ale Toporczyk Neorża, który później Sandomirskim wojewodą był, w sąsiedztwie ziemi swoje mający, utrzymywał, że łany te do niego należały, że puszczone były tylko kmieciami który z nich i płacić był obowiązany, coś tam dawać, i posługi pewne pełnić.

Wszystko to, razem wzięte, i snadź nie tak wiele stanowiło dla Wiaducha, bo choć ziemię miał za swoją, Neorży coś dawał i do sądu z nim nie szedł.

Tak się to ciągnęło.

Wprawdzie byłby mógł sobie łatwo znaleźć gdzieindziej roli czy wyrobionej czy zarosłej, ileby chciał, z wolą na lat kilka lub kilkanaście, i byłby mógł wynieść ztąd choć gwałtem, ale mu żal było w pocie czoła obrobionego od tak dawna pola, chaty ojcowskiej, do której nawykł, mówił, że stary był, żeby nowego szczęścia próbować, i choć Neorży nie lubił, nie ruszał się z miejsca.

Z Toporczykiem, dumnym a chciwym panem i z jego Sołtysem i włodarzem, sprawa była nie zawsze łatwa — przecież Wiaduch choć cierpiał nie mało, zawsze jakoś umiał się biedzie wysliznąć.

Śmiejąc się czasem, obiecywał sobie, iż Neorża, który bardzo zuchwałym był, popadnie kiedy pod klątwę kościelną, a naówczas on się z ziemi jego wyniesie bez sporu.

Toporczyka samego rzadko kmieć widywał, słyszał o nim wiele, znał go dobrze, lecz unikał spotkania, a urzędników jego umiał sobie jednać.

W ogóle, choć mówił śmiało i ludziom się do zbytku nie kłaniał, zwad i sądów unikał — sędziów nie lubił.

Gospodarstwo było u niego lepsze, niż u innych, dobytku dużo, a że na targu wszystko się łatwo i prędko sprzedawało, choć trzeba było Neorżę zaspokoić, urzędników smarować, dziesięcinę do kościoła oddać, a nieraz i podwodzie obronić, Wiaduch miał się dobrze.

Jak sam wielce zabiegliwy był i pracowity, tak też dzieciom nie dozwalał odpoczywać. Syn musiał z nim ciągle być, a gdy go do miasta posłał, prędko powracać; córka przędła, tkala, szyła i matce pomagała. Nie mógł się skarżyć, bo mu się ich udało oboje. Ciarach był dzielny parobczak, a Bogna choć drobna i dziecinnie wyglądająca, piękna, żwawa, wesoła i pracowita.

Jednego wieczora, gdy właśnie Wiaduch (bo to było na jesieni) powracał z pługiem do chaty, syna mając przy sobie i parobka, a Garuśnica, która była wieczrę przygotowała, stała w progu, męża za coś strofując — na drodze się ukazał mężczyzna, prędzej młody niż stary, lat nad trzydzieści mieć mogący, który konia kulejącego za sobą za uzdę prowadził.

Ubrany był tak, jak się ziemianie dostatni odziewać zwykli, czysto bardzo i z przyboru widać było, że z łowów powracać musiał.

Zmęczony był, a że koń ledwie na nogę stapał, zatrzymał się we wrotach, przypatrując chacie, jakby miarkował, czy też tu znajdzie przytułek chwilowy. Stary Wiaduch, Ciarach, parobek Wąż i Garuśnica obrócili się wszyscy ciekawie, mierząc oczyma podróżnego.

Twarz, choć pańska, podobała się Leksie, który, gdy kto w nim na wejście wstręt obudzał, nie spieszył nigdy ku niemu.

— Hej! głodny jestem i zmęczony — odezwał się stojący za płotem — nie dalibyście mi spocząć i zjeść cokolwiek? Zapłacę dobrze...

Wiaduch przybliżył się pozdrawiając go, jak należało, lecz swoim obyczajem bez zbytekniej unizoności. A był jakoś wesołej myśli.

— I bez zapłaty — rzekł — człek przecie człeka głodnego od progu nie odpycha. Ale, miłośniwy mój, wy, jak to z sukni widać i z twarzy ani w chacie dymnej odpoczywać, ani z glinianej misy drewnianą łyżką jeść nie zwykliście.

— Ho! — rozśmiał się dobrodusznie za płotem stojący. — Głód nie patrzy misy, a zmęczenie strzechy i posłania nie wybiera.

Wiaduch zwrócił się do starej Garuśnicy.

— No — babo — rzekł, abyś wstydu nie miała! jest co jeść dla takiego władyki?

O ile Wiaduch się ze swą zamożnością tał, o tyle stara Garuśnica lubiła się z nią popisywać. A przytem i na przekór czasem staremu coś zrobić rada była.

— Ale, ale — rzekła — nie ogaduj własnej chaty... Ja się nie powstydzę, choćby sam Neorża na wieczerzę się wprosił.

Usłyszawszy Neorży nazwisko, podróżny spytał.

— Neorża! a zkądże go znacie?

— Jak go nie mam znać — odparł Wiaduch — przecież on uparcie się chce moim panem zwać, choć ja w to niewierzę, bom sobie kmieć wolny, ale trudno mu wojnę wydawać.

To mówiąc, stary wrota na podwórko otworzył i podróżny wszedł, kulejącego mocno konia prowadząc za sobą. Wziął go zaraz Ciarach, bo mu żal było bardzo pięknej szkapki, jakiej podobnej w życiu w ręku nie miał, i ujawszy za chorą nogę począł się kopytu przypatrywać.

Po krótkim badaniu zabity w nią cierń ostro zręcznie dobył, bez pomocy żadnego narzędzia i zawołał wesoło.

— Nic mu nie będzie, tylko tłustością zalać trzeba.

Z ciekawością się temu przypatrujący podróżny, zawołał wesoło:

— Bóg zapłać! bo mi koń bardzo miły, a nie radem go był widzieć kaleką.

Szli więc do chaty, Wiaduch go prowadził, ale podróżny ów, jak gdyby po raz pierwszy w życiu na wsi był, szedł bardzo powoli, z niezmiernem zajęciem przypatrując się wszystkiemu.

Stawał, spoglądał a choć nie pytał, widać było, że mu się tu wszystko osobiwem wydawało.

Chata Wiaducha, tak jak on sam, nie odznaczała się niczem od pospolitych chizyn kmiociów, chyba tem, że w niej sprzęt zwykły był czysty, mocno i porządnie zrobiony, nie zszarpany i cały. Jak we dworach, ławy były do koła, stół w jednym rogu świetlicy, ognisko w drugim. Podłogę zastępowało klepisko dobrze ubite i twarde. U drzwi, jak wszędzie, stało wiadro ze świeżą wodą i czerpakiem, na policach garncarskie naczynia, dalej łyżki i dzbanki a kubki drewniane, czerwono zdobione, smołą wylewane. Na stole widać było bochenek chleba świeżego dobrze nadkrojony, nóż przy nim i sól szarą w drobnych grudkach, bo tę lud naówczas, jak dziś, za lepszą i oszczędniejszą uważał.

Nie było w tej porze gotowego nic jeszcze, ale ogień się palił, garnki stały przy nim dokoła. Garuśnica wprost do nich poszła. Miała jaja, była słonina, mleko zsiadłe, śmietana, był miód w plastrze, i chleb niecierstwy. Mieli i piwo niekwaśne, czegoż głodnemu podróżnemu więcej mogło być potrzeba?

Wszedłszy do izby, znowu się dokoła obracając rozpatrywał, a Wiaduch nie spuszczał go z oka. Nareszcie, gdy obejrawszy się siadł na ławie, gospodarz też, wprawdzie opodał, usadowił się także. Mówiliśmy już, że dnia tego był dosyć wesół, i język zawsze ochotny do obracania się w ustach, usposobienie miał nie próżnować.

Jak podróżny chacie, tak Wiaduch jemu pilno się przyglądał, rad był wiedzieć, co za jednego miał w gościnie. Dostatek na nim widać było — ziemianina się mógł domyślać, ale i mieszczaństwo niektóre też się z pańska nosiło.

Podróżny skinąwszy głową gospodarzowi z uśmiechem, dosyć niezgrabnie wziął się do ukrojenia sobie kawałka chleba, posypał go solą i począł jeść chciwie.

Wiaduchowi zdawało się, gdy krajał, jakby to pierwszy raz czynił w życiu, tak był niezgrabny.

— Nie rozkazując wam — jeżeli łaska — rzekł grzecznie gospodarz — zdaleka miłościwy pan?

Gość wskazał w stronę Krakowa.

— Od Krakowa — rzekł.

— Pewnie ziemianin tuteczny? — odparł Wiaduch.

— Nie! głową potrząsając, rzekł zajadający.

Zdziwił się Leksa, pomyślał że pewnie urzędnika jakiegoś chyba ma przed sobą.

— Juści nie mieszczanin... zamruczał... to widać.

— No — rozśmiał się badany, nie jestem ci, prawda, mieszczaninem, ale przecie — od miasta jestem...

Powiedzieć jakoś nie chciał kto był, Wiaduch dał mu pokój. Wiedział, że ziemianinem nie był, to mu starczyło.

— A wam jak się tu dzieje? — zapytał z kolei gość. Dużo ciężarów na sobie macie? Płacicie co Neorzy? — To człek żądny grosza?

— Znacie go — miłościwy — rozśmiał się Wiaduch, ale, który z nich inny! Każdyby rad wziąć, czego sam nie zapracował! I nie dziw, potrzeba im dużo. A z czego te szaty mieli piękne, i woźniki, i stroje, i klejnoty, i dobre jadło i napitek zamorski?

Słuchał z ciekawością podróżny, który o chlebie nawet zapominać się zdawał. Usta mu się do uśmiechu składały.

— Jak was mianują? — zapytał.

— Mnie na chrzcie świętym nazwano Leksa, a ludziska niepoczciwe ochrztili Wiaduchem...

Ruszył ramionami — Wiaduch! Niech będzie i Wiaduch!

— Gospodarka dobrze idzie? — badał dalej gość.

— A no — idzie i kuleje — różnie bywa — mówił poufale kmieć. Pracować trzeba, bo człowiek i na siebie i na dzieci, na grad, na burzę, na złodzieja musi zarobić, na pana Neorzę i na księdza... Wszyscy żyją z nas...

— Tak ci jest — mój stary — odparł, wysłuchawszy przybyły, ale wy lejecie pot, a drudzy was broniąc, krew wylewają.

Wiaduch się rozśmiał serdecznie.

— No — krew i nasza się leje — rzekł... nie jeden raz... ale jaki tam pan Bóg na świecie porządek ustanowił, my go nie przerobimy. Machnął ręką.

— Przecie chleb macie? — pytał dalej ciekawy podróżny, przypatrując się, jak Garuśnica z dziewczęciem koło ognia i garnków chodziła.

— Bywają i głodne lata — westchnął kmieć. U mnie to tam jeszcze ziarna w zapasie trochę jest, a drudzy na przednowku czasem i trawę gotują, zielska i korę tartą jedzą... a z głodu mrą; który Boga w sercu nie ma, naówczas rozbija.

Rozśmiał się słuchający i dodał butno.

— Nie dziw, bo ziemianie a rycerstwo często i głodu nie znając, rozbija po gościńcach.

Zdawało się to śmiało powiedzenie dziwić gospodarza, pomyślał w duchu, że juści sam on do rycerstwa należeć nie mógł, kiedy się tak o niem odzywał.

Spojrzał bystro...

— Miłościwy mój — odezwał się poufale, pp. ziemianom się nie dziwować. Wszak ci to z przeproszeniem, i bydle gdy się dobrze naje, bryka a dokazuje. Im ci też tu w tem naszym królestwie nieźle się dzieje...

Po namyśle poprawił się Wiaduch.

— Pono tak i wszędzie na świecie.

— Tak jest — potwierdził gość — w innych ziemiach toż samo, albo i gorzej.

— Nie zawsze to tak bywało — począł Leksa — ojcowie mówią, wszyscy jednacy byli, potem się to popsulo... i kmieć, na pół niewolnym został.

— Ależ! — zaprzeczył słuchający — kto wolen był, ten i jest!

Wiaduch głową potrząsał.

— Siłaby o tem mówić — rzekł.

— Mówcie, proszę, rad posłucham — wtrącił, do chleba powracając, siedzący na ławie. — Kmieciowi tak źle u nas nie jest...

Popatrzał mu w oczy Leksa i potrząsał głową.

— A no — rzekł — tylko że za kmiecia zabitego lada kto gdy zapłaci cztery grzywny winy, a za głowę blizkim sześć, nic mu nie będzie, a za ziemianina musi sześćdziesiąt dać i czasem tego nie starczy...

Kmieciowi, gdy dokuczy Neorża taki, nawet się z ziemi jego wynieść nie może, musi czekać wedle obyczaju, albo na pana kłątwy, albo żeby mu dziewczynie krzywdę wyrządził, lub by za jego długi pokutował... a i tak...

— Przecie sędziów macie? — zarzucił gość.

— Sędziowie albo ziemianie są, lub się ich boją; sprawiedliwości u nich nie znależć.

Osądzą źle, jakże tu sędziego naganić? Jeżeli kasztelan przy sądzie był, gronostaje lub łasicę trzeba mu dać za to. Sędzia za każdą sprawę cztery grosze żąda, bo dla niego małej niema.

Woźny przyjdzie z czeladzią swą, bierze woły, suknie, siekiery, motyki... kiedy się czem opłacić nie masz.

Gdy tak Wiaduch rozprawiał, podróżny się przysłuchiwał pilniej coraz.

— A jakżby na to rada była, aby sprawiedliwość się działa każdemu? — zapytał — boć i kmieć ją powinien mieć.

Wiaduch aż z ławy wstał, tak mu się pytanie dziwnem zdało.

Popatrzył na badającego.

— Miłościwy panie — rzekł — jam prosty człek, ale mnie się widzi, że na to rady nie ma. Chodzę ja do kościoła i słucham, co ksiądz rozpowiada; pono na świecie tak bywało i do końca świata zostanie.

Zamyślił się gość, ale wtem Garuśnica z Bogną zaczęły się zwijać około stołu, przynosząc jadło... A choć niewytworne ono było, chłopskie, głodny zabrał się doń śmiejąc, i jakby po raz pierwszy w życiu tych przysmaków kosztował.

Smakowało mu wyśmienicie.

Wiaduch też miskę wzięwszy na kolana, zajał spuściwszy głowę.

Postawiła Bogna przed gościem dzbanek z piwem i prosty kubek drewniany, tylko z instynktem kobiecym, chcąc go przyjąć dobrze, dobrała najpiękniejszy. Świeżo był wystrugany, jak toczony, a na jasnym drzewie kraśne obwódki jakby obręcze zakreślały.

Gość nalał sobie, i do zapatrzonego ładnego dziewczęcia kiwnąwszy głową przepił, aż się zarumieniło, twarz zakryło i ku ognisku cofnęło.

Jedli czas jakiś milczący, lecz młody pan, wkrótce przerwana na nowo począł rozmowę.

— Mówcież mi, proszę — rzekł — o waszym stanie i o dolegliwościach jego, dobrze to wiedzieć, aby radzić temu.

Wiaduch ruszył nieznacznie ramionami z niedowierzaniem.

— Wiedzieć jak wiedzieć — rozśmiał się — ale poradzić ani król nie potrafi...

— Ani król? — zdziwiony podchwycił gość — przestając jeść i wlepiając oczy w niego, a to dla czego? przecie siłę ma, wolę ma!

— A no, jeno rycerstwa swe musi oszczędzać, ziemianów nie drażnić, bo on panuje, a oni go trzymają. Za ziemiany i rycerstwem kmiecia nie widać. On stoi na końcu, ostatni.

— Przecie król wszystkim panem jest — sprzeciwił się słuchacz — tak rycerstwu jak kmieciowi.

— Pewnie — rzekł Leksa — ono się tak zwie, ale w rzeczy tylko to prawda, że kmieć wszystkim służy, a nim się nie opiekuje nikt krom pana Boga.

— To się przecież na opiekuna skarżyć nie możecie — zaśmiał się słuchacz.

— Nie skarżym się — zamknął stary, którego rozmowa nie zdawała się bawić...

Zamilkli, pomilczeli. Garuśnica nową miskę przysunęła gościowi... Bogna, wytarłszy fartuchem, podała mu łyżkę drugą za co się jej uśmiechnął tak, że znowu do ognia uciec musiała.

Zadumał się trochę przybyły, nim jeść począł, głodu już pierwszego zbywszy, jakby coś mu na myśli ciążyło.

— Więc nie bardzo sobie życie chwalicie? — zapytał.

— Ani chwałę, ni narzekam — rzekł Wiaduch. — Mam ci taką naturę, że wesoło biorę co Bóg zeszele, bo gdybym się trapił, sambym sobie szkodził... i tyle.

Znowu ręką zrobił ruch żywy, niby odpędzający.

— Bywacie w Krakowie? — zapytał podróżny.

— Na targu i do kościoła czasem jeżdżę — rzekł Leksa. — Nie ciekawym...

— Przecie jest na co patrzeć?

— A w domu jest co robić! — rzekł Wiaduch.

Podróżny się uśmiechnął.

Po chwili stary kmieć dodał.

— Patrzeć, to prawda, że jest na co, gdy pod pręgierzem stawią złodziei, a kosterów z mieściska chłoszcząc wyganają, a no więcej się czem zabawić nie ma...

Do piwa Swidnickiego kmieć się nie dociśnie, firtelnicy nie dopuszczą go nigdzie...

— I na zamku nieraz by się czemu było przypatrzeć — rzekł gość.

— O! na zamek już chyba nam nie iść — śmiał się Wiaduch — tam droga dla panów nie dla sukmany... A po co?

— Po co? — odparł podróżny. — Juści, kiedy by się wam krzywda działa, dla czegożbyście i do króla nie mieli iść? On ci przecie najwyższym sędzią.

Leksa brwi podniósł do góry...

— Boże uchowaj! a jakby król przez nieświadomość osądził źle, naganic go się nie godziłoby, bo za naganę i sobola byłoby mało, a do kogo sprawa? do Boga...

— Nie bardzo więc królowi ufacie? — spytał ciekawie gość.

Pytanie to zdumiało i może nastraszyło kmiecia, zamyślił się, długo zbierał z odpowiedzią.

— Król! król! — począł. — Ma on o czym innem myśleć, nie o nas.

— I o was powinien... — rzekł podróżny.

Wiaduch dziwnie się mu począł przypatrywać, rad był już odgadnąć, z kim miał do czynienia.

— Nie lubicie go? wtrącił gość.

Na to pytanie spoważniała twarz Wiaducha.

— Złego on nam nie zrobił nic — rzekł — myślę, że dobrze by chciał, a no nie może... Nieboszczyka starego Łokcia tośmy znali, młodego, trudno zobaczyć... Tamten dobry był... a i z prostym kmieciem jak z człowiekiem się nieraz rozgadał.

Lekki rumieniec wystąpił na twarz podróżnemu...

— Tamtego — mówił, zbliżając się doń Leksa — myśmy i ratowali nieraz, gdy się opuszczony od rycerstwa po kraju błakał... ot tam wedle jaskiń i wąwozów! Kmiecie za niego broń brali i krew przelewali... pamiętamy to!!

— I syn jego wam to pewnie będzie pamiętał — odparł, spierając się na rękę, zadumany gość.

Popił piwem trochę, wlepił oczy w Wiaducha, który prawil ciągle.

— W tym starym jakby ojca i brata myśmy czuli. Zył tak jako my, dla rycerstwa był surowy, dla nas dobry... pan Bóg mu to wynagrodził, boć się korony dobił...

Podróżny z ławy wstał, poruszony dziwnie i przejęty... Obejrzał się, wieczór nadchodził.

— Bóg zapłać gospodarzu, Bóg zapłać gosposiu i wam — dodał skinąwszy Bognie.

To mówiąc powoli do kalety sięgnął i zabrzączały w niej grosze.

Wiaduch się namarszczył.

— Krzywdy mi nie czyńcie — rzekł spokojnie — za gościnę nikt nie bierze zapłaty..

— Dla czego? — zapytał podróżny.

— Po starym obyczaju nie godzi się to — przerwał Leksa — chata nie gospoda... Krzywdy nie czyńcie. Kmieć jestem i choć Neorza kłamię, żem jego, byłem i będę wolny...

Począł się uśmiechać, chcąc obrócić to w żart. Gość stał wielce zakłopotany, myślał.

Naostatek z ręki, z palca ściągnął pierścień i skinął na Bognę, która zamiast zbliżyć się, skryła w kącie przestraszona.

— Chciałem choć dziecku waszemu pamiętkę zostawić — odezwał się — niechaj by miała na zrękowiny, gdy za mąż iść będzie...

To mówiąc i nie chcąc dziewczęcia zmuszać, pierścień swięcący dużym okiem na stole położył, pokłonił się i szedł na próg, a Wiaduch za nim.

Ciarach pobiegł po konia, który choć nakuliwał nieco, ale napojony i wypoczęty trochę, był daleko raźniejszy. Podróżny dziękował znowu wszystkim do koła, siadł rażno na wierzchowca i za bramę się wydostawszy, dosyć spieszno pojechał, a zarośla go wprędce im zasłoniły.

Gdy Wiaduch do izby powrócił, zastał wszystkich zapatrzonych nad pierścieniem Bogny... Był on z czystego złota, a na przedzie miał jakby sznurem poopasywany kamień czerwony, w którym pod słońce woda się przelewać zdawała.

Nie mogli mu się nadziwić, ani nacieszyć nim, tylko Wiaduch stał mocno zadumany. Napróżno starał się odgadnąć, kto był ten gość, co o sobie nic powiedzieć nie chciał, a przed którym on się tak szczerze wygadywał...

Do duchownego, choć oni naówczas różnie się ubierali, nie był podobnym, na mieszczucha był za wielkim panem, a do rycerstwa się nie przyznawał. Trudno było zaiste odgadnąć. Przytym nie musiał być ubogi, bo podarek, choćby nie złoty był (rozpoznać nie umieli kruszcu) zawsze się drogim im wydawał.

Sama Garuśnica, nie chcąc go Bognie powierzyć, gdy się wszyscy przypatrzyli pierścieniowi, zawinęła go w czystą szmatkę i poszła zachować do skrzyni.

Na dworze ściemniać się zaczynało.

Ciarach jeszcze około szop i dobytku chodził z Wężem; a Bogna wiaderko świeżej wody niosła do chaty — gdy na drodze zaczęło tętnieć i krzyki, głosy i hukania się ozwały...

Nocą się rzadko trafiało, aby tędy kto przejeżdżał, dla bezpieczeństwa pobiegł Ciarach wrota wielkie drągiem założyć, gdy już około nich stanęli jacyś jezdni, których w ciemności ni twarzy ni odzieży nie było można rozeznaczyć. Ciarach tylko dopatrzyl się, że zbrojni byli, a rozmawiali między sobą hałaśliwie, głośno, niespokojnie, jak gdyby się kłócili...

Jeden z nich kłął i nawoływał.

— Sam tu?

Ciarach się odezwał.

— A czego chcecie?

— Jechał kto tą drogą?

— Mało kto tą drogą jeździ — odparł chłopak

— A no — dziś, teraz, niedawno! Nie widzieliście kogo?

Zbliżył się Wiaduch, i zwyczajem wieśniaczym na pytanie odpowiedział drugiem:

— A kogóż wam potrzeba?

Rozśmiali się słuchający.

— Ciekaw, bestyja, chłop.

— Pan tędy jechał jaki...

— Był jeden.

— Na jakim koniu?

Ciarach maść im i piękność opisał, i wnet się podniosły krzyki.

— To on! on!

— Jechał tędy, godzina temu albo więcej gdy ruszył dalej; konia miał zranionego w nogę i tu spoczywał, a posilił się, bo i my mu dali na co stało...

— Zdrówże był? nic mu?

— Jako wy wszyscy — rzekł Wiaduch — zdrow jak ryba i dosyć wesoły był... Ino mi nie chciał mówić kto on... a zlitowalibyście się nademną, gdybyście mi jego nazwisko dali...

Wesołe głosy tłumne nie dawały usłyszeć nic.

— Jedźmy, gońmy! poczęto wołać ochoczo.

— E! Szczęśliwy ty chłopie, odezwał się jeden z za płota... nie wiesz kogoś w chacie przyjmował, gdy ci pany wszystkie zazdrościć będą!!

— Kogóż! przerwał Wiaduch...

— Królaś miał, król u ciebie był! krzyknął jeden i nie czekając dłużej, jak prędko przypadli, tak prędeż jeszcze dalej pobiegli.

Wiaduch i Ciarach stali w osłupieniu. Kmieć się zamyślił głęboko, ręce zacisnął, czoło namarszczył...

— To się też odemnie nasłuchał! powiedział sobie w duchu.

Tymczasem Ciarach i Bogna biegli do matki wołając, parobek się za głowę trzymał — powstała wrzawa i trwoga...

— Król! król!

— Aby się tylko czego nie rozsierdził na mnie — powiedział sobie Wiaduch — bo ze mnie ciągnął, com na duszy miał.

A no — wola Boża — co ma być, to będzie.

Poszedł smutny nazad do chaty. Ale tu gdy rozważać zaczęli jak patrzył, co mówił, jak się do Bogny uśmiechał — jak jej pierścień podarował — wszelka trwoga ustąpić musiała i sam kmieć uznał, że król gniewnym być nie mógł.

Rozważał teraz i on, i wszyscy, jak on do innych ludzi i rycerstwa był podobny, a po niczem w nim królewskości jego odgadnąć nie było można.

Chociaż niespodziane te odwiedziny wielkie nawet na Leksie uczyniły wrażenie, jednakże nazajutrz wstał do dnia swoim zwyczajem i na pole wyszedł...

Ciarach też i Wąż, rozprawiając o wczorajszym przez cały dzień, ani się spostrzegli, jak wieczora doczekali. Ani dnia tego ani następnych nie przyszło nic takiego, coby mogło lub gniew króla, albo jego łaskę im oznajmić.

Powoli więc zacierało się wspomnienie, a w miesiąc potem Wiaduch żartując sobie, opowiadał jak króla poufale, siedząc przy nim na ławie, przyjmował.

Już był uspokojony zupełnie, gdy jednego południa zawrzało przed wrotami aż strach. Wiaduch był na polu, Garuśnica z córką, choć nie bardzo trwożliwa, zaparła się w pustej chacie, i myślała czy się nie wdrapać na wyżki, drabinę wciągając za sobą, bo rycerstwo jakieś zuchwałe, strasznie kłęło i dokazywało, o Wiaducha się upominając.

Baba wyjrzawszy ostrożnie z po za zasuwy, poznała Neorzę.

Sam on był, opasły człek, któremu z konia zleść i na konia się wdrapać było trudno, czerwona, okrągła twarz paskudna, oczy małe czarne... Siedział na szkapie spasej jak sam i wściekał się...

Wiaducha wołano na gwałt.

Był niedaleko na swoim łanie i posłyszawszy hałas, powoli, z rękami w kieszeniach ukazał się w dziedzińcu. Zobaczywszy i poznawszy Neorzę, zdjął czapkę i pokłonił się, ale go łajanie i gniew wcale nie poruszyło.

Przystąpił blisko.

Neorza rękę, w której bat trzymał, do góry podniósł.

— Tuś mi! — krzyknął, ha! zbóju! — Będziesz ty na mnie królowi skarżył? — dam ja ci! — Skórę zedrę z ciebie.

— Ja? — zapytał Wiaduch ze zwykłą swą spokojnością szyderską i niecierpliwą gorzej niż zuchwalstwo. Ja?

— A któż?

— Nie wiem, jam na was nie skarżył — rzekł Leksa zwolna. Mówiłem ci z miłością jego, i był u mnie gościem, ale o waszą miłość nie pytał, a jam nie wiedział, kto on jest...

Neorza patrzył nań i pięści ścisnął w kulaki.

— Oszyp dałeś? — grzywnę zapłacił? — krzyknął.

— Nie winienem nic — rzekł Wiaduch — patrząc w ziemię.

— Było ci dotąd dobrze na mojej ziemi — zawołał pan — bo ziemia ta moja jest i jak pies łże, kto mówi inaczej — siedziałeś spokojny — teraz dopiero poznasz, jakim ja być umiem!

Boś skarżył na mnie.

Wiaduch popatrzał nań.

— Król na was skarżył przedemną, — odparł obojętnie — nie ja przed nim...

Pan nie odpowiadał nic.

— Czyńcie sobie co chcecie — dodał Leksa — wola wasza.

Neorza miał widać wielką ochotę inaczej się z kmieciem rozprawić — lecz coś go wstrzymywało. Podniósł rękę do góry, pogroził.

— Poznasz ty mnie! — zawołał — poznasz...

I batem z całych sił skropiwszy konia, pobiegł dalej, a dwór i ludzie za nim się puścili.

Wiaduch nałożył czapkę na uszy, ręce powkładał w kieszenie, obejrzał się ku studni, a że na zrębie wiadro stało, poszedł się napić z niego, otarł usta i tak obojętny, jak przyszedł, do swojego pługa powrócił.

Ciarach myślał, że mu co powie.

— Wiu hot! — odezwał się na konie i — orać począł...

W chacie cicho było, ale w dni trzy urzędnik Neorzy stóg siana z łąki Wiaducha w biały dzień zabrał do siebie. Na zapytanie odparł, że takie było przykazanie, że trzy miarki żyta miał zaraz przywieść Leksa i pół grzywny zapłacić.

— Za co?

Włodarz powtórzył krótko, że takie było przykazanie.

Nazajutrz dwóch urzędników włodarskich wzięli gwałtem wóz i konie, niewiadomo dokąd i na jak długo. Ciarach, żeby mu chudoby nie zniszczono, siadł tam też i pojechał.

Zaczynało się prześladowanie.

Wiaduch cierpiał, lecz nie syknął, Garuśnica po całych dniach kłęła.

— Milczałabyś babo — rzekł do niej — nie pomoże to nic. Poczekamy mało, a jak się wilczysko nie nasyci rychło — no — to pociągniemy w świat. Ziemi jest dosyć... Jam ci nie niewolnik, a człek z pradziadów swobodny...

Garuśnicy starą chatę opuścić, było jak życie stracić — płakała...

Wóz z końmi spędzonemi ledwie powrócił, aż wódarz byczka z obory wziął. Takie było przykazanie. — Na polu, w trzodzie owiec, psy jego szkodę zrzędziły umyślną, kilka owiec było pokaleczonych. Gdy Wiaduch zagadywał go o to, odpowiadał mu: — Przykazanie mam!

Czekaj — nie koniec! będzie więcej.

Jeden z czeladzi włodarskiej przyszedł potem wieczór, niby z wielkiej przyjaźni podszepnąć, żeby Wiaduch z podarkiem do Neorzy pojechał przebłagać, ukorzyć się i o przebaczenie prosić.

Kmieć nic na to nie odpowiedział, zmarszczył się i wkrótce go zbył w ostatku.

— Idź, zkałd cię wysłali.

Baby rozpaczały, nie lepiej może było i Wiaduchowi — ale on, im go co mocniej bolało, szczelniej usta zaciskał.

Wtem jednego dnia, gdy na południe do chaty przyszedł, słyszy wołanie w dziedzińcu i śmiech wesoły...

Nim się do progu dostał — ujrzał zbliżającego się do chaty króla, który parę psów z sobą wiodąc, konia zostawiwszy u wrót, wchodził już wołając.

— Zdrów bywaj — gospodarzu!

Wiaduch, jak panu należało, do nóg przypadł.

— Wstawajże, stary — odezwał się król — bądź ze mną tak, jakeś był pierwszą razą. Na Zamku ja królem jestem, a tu — jam prosty myśliwy...

I siadł na ławie. Psy mu na kolanach głowy ogromne pokładły.

Wiaduch stał milczący.

— Mówcie mi — cóż tam u was? — baby zdrowe? — żyto wschodzi?

Kmieć się zupełnie opamiętał i ochłonął z pierwszego niepokoju.

— Miłościwy królu — rzekł, wyście dobrzy dla ludzi, ale co za wami chodzić, licha warto...

Neorża mnie prześladowa za to, jakobym skarżył przed wami nań. Dalej nie strzymam!

Głos mu zadrżał.

Król oburzył się.

— Niepocziwy człek — zawołał, mówcie co wam uczynił?

Wiaduch począł skargi rozwódzić, ale jak zawsze — chłodno, z pomiarkowaniem, z szyderstwem.

— Do sądu go pozwij — rzekł król.

— W sądzie siedzi albo brat, albo swat — do sądu bez datku nie dostąpię — nie stać mnie nań.

Królowi zapłonęła twarz.

— Spokojny bądź — odezwał się powstając z ławy, ja go zawezwę jutro na sąd przed się... U mnie on nie wygra sprawy.

Wiaduch podbiegł do Kaźmirza ze złożonemi rękami.

— Królu — panie — krzyknął, a nie czyńcież tego! Neorża mnie potem zje przez zemstę, a ja zawsze do was na skargę chodzić nie będę mógł... Trudno. Wy macie całe królestwo, o którym musicie pamiętać, nie mnie jednego. Nie zawsze czas, nie zawsze wy tutaj... Pojedziecie na Ruś... na Węgry, Bóg wie dokąd w odwiedziny jakie do królów, na łowy. Was nie będzie, a Neorzę ja na karku zawsze będę miał.

— Cóż ja ci uczynić mogę? — zapytał smętnie król na pół przekonany.

Kmieć westchnął, myślał czas jakiś, niby nie śmiejąc powiedzieć, co mu się do ust cisnęło.

— Mów! — dodał król żywo...

— Nic wy dla mnie uczynić nie możecie — z cicha odparł Wiaduch, a nietylko dla mnie, jak i dla nas wszystkich kmieci, ile nas jest. Panów ziemian jeden król nie upilnuje, ani strzyma... Wy widzieć i wiedzieć nie możecie, co się z nami dzieje. Spytacie, powiedzą wam, że spełnili rozkaz, a nas będą dusili, jak duszą...

E! — dodał, ja z Neorżą moim powoli sobie radę dam.. jam nie wieczny, ani on...

Posmutniał król.

— Wierz mi — gospodarzu — rzekł, iżbym los wasz poprawić chciał, ale, masz ty słuszność — król bezsilny przeciw nim...

Ha! — dodał szydersko, na to już chyba tę jedną macie radę. Krzesiwo u pasa, na polu się krzemień znajdzie, w lesie huba rośnie...

Kmieć się uśmiechnął smutnie.

— Tać! — rzekł, nie jeden się tego sposobu chwycił, gdy innego nie było, ale to już chyba ostatni.

Zażądał król mleka.

Zasłali mu ręcznik czysty, przynieśli chleb świeży, na ławie siadł. Dwór miał rozkaz, aby na pana za wrotami czekał.

Gospodarstwo oboje pyszni tem, że pana przyjmowali, krzątali się, aby ugościć... Garuśnica nawet psom mleka postawiła na misie u pieca...

Król tymczasem rozpytywał starego o gospodarstwo, o życie, o zarobek, o ciężary...

Ośmielający się coraz bardziej stary Leksa, tak w końcu poufale i swobodnie odpowiadał, jakby z prostym człowiekiem rozmawiał. Daleko mniej straszny mu był król od Neorzy.

Znowu tedy nazwisko to się nawinęło na usta kmieciowi.

— A toś się powinien pocieszyć, mój stary — rzekł król do niego, bo nie ciebie jednego odziera Neorza, próbował i mnie.

— Miłościwy panie! a jakżeby się on ważył! zawołał kmieć.

— Jak? tak jako na ciebie — rozśmiał się Kaźmirz. Masz wiedzieć, że w Wieliczce przy soli konie moje żupnicy utrzymywać mają powinność... Dobrze się tam szkapom dzieje... Neorzy się też zachciało swoich tam parę dać, aby mu je żywiono darmo... Trukła i Lewko, gdy je przyprowadzono, nie śmieli odpędzić... jadły więc moje obroki i spasy się...

Wiaduch głową pokręcał.

— Alem dobrze skarcił tego śmiałka — dodał Kaźmirz, i zakazałem, aby mi się na oczy nie pokazywał...

— Ot, czego mu się zachciało! rozśmiał się gospodarz...

— Widzicie więc — dokończył Kaźmirz, żem ja od was nie lepszy — i mnie drą. A nie jeden Neorza, ale i drugich wielu...

Trudno mi wszystko widzieć i być wszędzie...

Tak się dalej przeciągnęła rozmowa, bo król o stan kmieci rozpytywał pilno. Gdy naostatek zabierał się do odjazdu, Wiaduch za poły sukni go ujął i całując ją szepnął.

— Miłościwy panie — dobrzy dla nas być chcecie, uczynicież to dla mnie, a między Neorzę a mnie nie wkładajcie palca... bo się mścić będzie. Ja sobie z nim poradzę.

— Krzesiwem? spytał Kaźmirz.

— To już na ostatnie danie zostawić muszę — odparł wieśniak... I głową potrząsnął.

Przeprowadził króla aż do wrót.

Tym razem Bogna wcale się nie pokazała, choć Kochan, który z królem był, a o piękności jej słyszał od pana, podglądał, czy nie zobaczy dziewczęcia. Matka z jakąś trwogą przeczucia, skryła ją w komorze, tak, że tylko przez szpary drzwi, mogła się przypatrywać królowi...

Jechali nazad ku Krakowu, Kaźmirz przodem, tuż za nim Kochan, który odwiedzin tych inaczej sobie nie umiał wytłómaczyć, chyba tem, że mu dziewczę ładne w oko wpadło...

Zagadnął więc o to, że Bogny im nie pokazano.

Król się obejrzał nań szydersko.

— Dobrze uczynili — rzekł, bo nie na to ją chowali, aby się zmarnowała. Żalby jej było...

Ziemianka a mieszcza... nie wiele sobie waży niewieścią poczciwość, ale u kmiecia to rzecz święta, i tykać się nie godzi, co u niego skarbem jedynym.

Kochan się śmiać zaczął po cichu.

— Miłościwy Panie — odezwał się, ziemianie was nie darmo królem chłopów przezywają...

Myślał, że Kaźmirz to weźmie do serca, lecz uśmiech tylko wywołał na usta pańskie.

— Myślisz — Kochan — że ja bym się powstydział królem im być, gdybym mógł? — rzekł. Toć niedola moja, że ja tu król malowany — wiele pragnę, a mogę mało!! Westchnął, jechali dalej milczący.

Neorża ów, który w Sandomirskiej ziemi posiadłości miał i w Krakowskim, należał do Toporczyków, to jest do najmoźniejszego i jednego z najstarszych rodów w Krakowskim, który się już i po innych ziemiach rozrodził, a wszędzie możnym był.

Dwór też miał w Krakowie, w którym często przesiadywał.

Królowi w początkach przypodobać się starał, marząc o wielkich dostojenstwach i łaskach, a chociaż Kaźmirz, obdarzony instynktem dobrym do ludzi, pochlebcy zabiegliwego nie lubił, zimno go przyjmował, odpychany, narzucał mu się gwałtem.

Nie rychło dopiero postrzegł, że Kaźmirza ani zmusi, ni podejdzie, i choć Województwo mu dawniej przyobiecano, aby się go zbyć, łask się już więcej nie spodziewał.

Przed ludźmi Neorża nie wydawał się z tym zawodem, mówił wiele o swej przyszłości, lecz do króla zęb miał i nie lubił go.

Nie było im wszystkim zbytnikom w ład, że Kaźmirz porządek chciał zaprowadzić wszędzie, wglądał we wszystko, z chłopami rozmawiał o tem, co im ciążyło, żydów do siebie puszcząc kazał ze skargami, żupom i dochodom z nich marnować się nie dawał...

I Neorża i inni na to szemrali mocno, nie takiego króla miećby byli chcieli.

Gdy się wydało przez Lewka, który Wieliczkę trzymał, o owych koniach, narzuconych mu przez Neorżę, a król przepędzić je kazawszy, srodze się pogniewał i winowajcy na Zamek do siebie nie kazał puszcząć, wpadł w gniew wielki Neorża...

Takich jak ów niechętnych z różnych powodów, Kaźmirzowi było wielu... Sarkało po cichu duchowieństwo, bo Arcybiskup Bogorja zbyt, według niego, był królowi powolny, ziemianie się skarżyli, że w sądach im nie dawano przewodzić, i pilno strzeżono wymiaru sprawiedliwości.

Nie lubiono i księdza Jana Suchywilka, który był nieustanną radą przy królu, bo ani duchowni, ani rycerstwo z tego surowego prawnika nie byli radzi.

Z dniem każdym mnożyły się skargi i żale na króla.

Wiedział o nich, czy nie, Kaźmirz? donoszono mu, czy tajono? nie było można poznać, bo po sobie nie okazywał, aby dbał wiele o ludzkie mowy i niechęci. Nie wstrzymało go nigdy nic na drodze, którą sobie wyznaczył.

Do niechętnych królowi liczył się i młody ksiądz Marcin Baryczka, z rodziny, która niegdys z Węgier przesiedliła się była na Ruś, zrodzony z Grzymalanki, a za granicą wychowany, i z wymowy, surowości obyczajów, nieustraszonego charakteru słynący.

Naówczas jeszcze ks. Baryczka wikarjuszem był tylko, i przy biskupie krakowskim na dworze jego zostawał.

Mało znaczył młody Wikarjusz, lecz mu już naówczas ludzie przepowiadali w kościele dostojenstwa wielkie.

Gdy inni kapłani zawsze po troszę ludźmi się okazywali, o beneficjach, o godnościach, o podnoszeniu się myśleli i stan duchowny dla nich był drogą do ziemskiego celu; u księdza Marcina nic nie ważyło, oprócz co jego powołanie mu nakazywało. W ogień, w wodę, gdzie wołała powinność, zawsze był gotów, i to tak chłodno a cicho, jakby najprostszą rzecz spełniał.

Wszyscy go szanowali, ale mało kto się nie obawiał. Czasem i biskupowi bywał nie-dogodny, bo ustępstw żadnych nie rozumiał. W sprawie bożej gotów był iść przebojem, nie zważając na nic.

Sama jego powierzchowność budziła trwogę. Żółty, wychudły, asceta na modlitwach i karceniu ciała, przedwcześnie zestarzały, wzrok miał ostry, przenikający, głos suchy i niemily, ruchy gwałtowne. Cnota w nim przechodziła w namiętność, nabożeństwo w passję. Na kazalnicy niemal szalony zapal go ożywiał.

Przez Grzymalankę, matkę swą, spokrewnionym był z Neorżą, którego wujem zwał, i widywał go dosyć często.

Dwór Neorży drewniany i niepokazny stał na Okolu. Siedział w nim odźwierny jeden, baba i dworzaniń stary, gdy pana nie było. Kilka izb składały mieszkanie opuszczone, zaniedbane, które przecież jedną izbę większą miało, aby było gdzie ludzi przyjmować.

Chciwy i skąpy Neorża, nie często ich u siebie miewał, i nie bardzo się doń kwapili, bo nie po pańsku przyjmował, choćby go było na to stało. Jadł sam i pił dużo, często, żarłocznie, lecz bez wyboru... Najprostsze potrawy, kwaśne piwo, wszystko mu było dobre... Gdy nikogo w domu nie miał, co dla czeladzi gotowano jadał, nie przebierając, byle mu największą misę zastawiono.

W kilka dni po bytności króla u Wiaducha, gdy konie mu wypędzone z Wieliczki parobek przyprowadził, a dowiedział się, że król gniewny nietylko je wygnać kazał, ale się na niego odgrażał, i na oczy go do siebie nie kazał puszczać, Neorża wpadł w złość okrutną...

Nie było jej na kim spędzić, a nawet i przed kim się z nią wylać, bo sam się został. Ludzie dowiedziawszy się o głośnej niełasce królewskiej, stronili od niego, jak to zwykle bywa.

Nie znalazł się nikt przez cały dzień aż do wieczora, gdy podsędzia Sandomirski Jaśko, grochem zwany, przywłókł się już o mroku.

Jaśko Groch także do malkontentów należał. Jako prawnik, był to samouk, który mało co nauki przy szkole u P. Marji w Krakowie liźnawszy, naprzód skryptorem był przy sądzie, potem wdrożywszy się w prawo, wyszedł, gdy innego nie było, na Podsędzię.

Im mniej umiał, tem się dumniej z tą odrobiną nosił i cenił do zbytku...

Chytry, chciwy jak Neorża, biedny przytem, sływał z tego Jaśko Groch, że najlepiej w sądzie z win, groszy i różnych opłat korzystać umiał. Ludzie się nań skarżyli, nie zważał na to.

On też na cały świat stękał, a szczególnie na to, iż tak małym był dotąd, gdy się czuł najwyższych miejsc godnym.

Neorża zobaczywszy w progu długiego tego i jak kij wyprostowanego Grocha, natychmiast wybuchnął.

— Wiesz! wiesz! — począł wołać niewyraźnie i bełkocząc, bo język miał tłusty. — Wiesz ty! czegośmy to doczekali? Króla chłopów! a tak! Dla nich on jak ojciec rodzony, dla nas, ziemian starych, kat, tyran...

— Patrzajże, dodał, mnie, ziemianinowi staremu, Toporowi, mizernych parę koni nie wolno było żydowi łotrowi na wypas dać w Wielicze! Kazał natychmiast szkapy... precz!.. Hę? co mówisz na to?

Czekał na odpowiedź, lecz Groch tylko głębia wywraçał.

— Do mojego kmiecia, tego obwiesia Wiaducha, jeździ król w goście... a mnie na zamek nie puszczają? Rozumiesz ty to?

Groch się zebrał na krótką odpowiedź.

— Tak u nas wszystko...

— Co on to sobie myśli, ten król? — zawrzał Neorża — że z nami, rycerstwem i ziemiany, jak z niewolnikami będzie postępował...

Przechadzając się po izbie, sapał mocno Neorża... Groch tymczasem rozglądał się po pustce. Nie był on tak chciwym jadła i napoju jak gospodarz domu, ale — rad jednak bywał przyjęciu, bo go od zapłaty za strawę i napitek uwalniało.

Neorzę też gniew wewnątrz palił... klasnął i odartemu parobczakowi piwa kazał utoczyć. Przyniesiono cynowy dzban i kubki gliniane. Siedli do cienkusza. Neorża sapał, Groch stękał.

Tamtemu ciągle jedno na usta wracało — konie wypędzone z Wieliczki...

Podsędzia dzielił jego oburzenie.

Po drugim kubku cicho począł:

— Pewnie, że się wam krzywda stała... Wasze konie króla by nie objadły, ale to jeszcze nic... Gorsze się zwiastują rzeczy. Kamień na kamieniu nie zostanie.

— Hę? — spytał Neorża zdumiony — gdzie?

— Jak te ziemie długie i szerokie, oni tu wszystko poprzerałają...

— Kto?

— A no, Suchywilk i król — odparł cicho Groch, który i skarżyć się chciał, i podsluchanym się być obawiał.

Neorża zdumiał się mocno.

— Co? co? gadaj! wyjąknął pochylając się ku niemu.

— Nic nie wiecie?

Gospodarz ramionami ruszył i kubek wychylił.

— Suchywilk gdzieś za górami nauczył się takich rzeczy, które na naszej ziemi nigdy nie rosy. Chce nam tu sadzić winnice, kiedy u nas proste drzewa marzną. Prawo! prawo, słyszę, dali wszędy spisywać... i co były różne obyczaje w ziemiach różnych od wiek wieków, chcą wszędzie jedne zaprowadzić, jak z igły nowe...

Neorzy od słuchania oczy rosły, nie dobrze rozumiał.

— Co? co? — bąkał po cichu.

— Teraz my, sędziowie — ciągnął w piersi się palcem uderzając Groch — my, widzimy, słuchamy, ważymy i sądzimy według sumienia... otóż nie! to się im nie podoba... każą nam sądzić wedle jednego prawa pisanego!

Rozśmiał się szydersko.

— Ale to nie może być! — zawołał Neorża oburzony...

— A król tego chce, bo mu Suchywilk nagadał, że tak jest gdzieindziej na świecie...

Śmiał się gorzko Podśędzia.

— Hej! hej! — dodał — pilnujcie się panowie ziemianie! pilnujcie! Co dziś na nas sędziów przyszło, jutro na was. Stary obyczaj wszystek rzucą pod nogi i podepczą, a po swojemu wystroją to królestwo na węgierski czy na czeski sposób...

Neorża zamilkł z grozy i oburzenia.

— Mało, że nas, sędziów, zgniecie i niewolnikami prawa zrobi — mówił Groch. — Słychać ze wszechstron... tylko wywracanie i przerabianie...

Jakie zdrowe były nasze dwory drewniane... he! król wszystko murować każe... a w murze mieszkać, to śmierć! Chce nas wygubić.

Sól nam pan Bóg dał dla wszystkich. Dawniej człeczyna jej za co miał, za to sobie dostał w Wieliczce, teraz... ho! nastały rachunki, żydzi karbują każdą miarkę i wpisują do rejestru...

— A moje szkapy precz z Wieliczki! — wyjęknął zboląły Neorża. — Ot co... ot co!!

Ziemiianinom i rycerstwu — począł bełkotać — król krzyw... oni mu nie w smak... dla chłopów i dla żydów serce ma tylko...

Lewko ten z Wieliczki, co moje konie bestja zdradził, i monetę trzyma, i sól trzyma, i co powie to święte... Mojego kmiecia, zbója chytrego, król po ramieniu klepie... a my... co my?! co my?

— Skończenie świata! — rzekł Groch — patrząc na dno kubka, w którym już nic nie było.

Wtem w progu zjawił się ks. Marcin Baryczka, który pono chwilę tu już stał, nim go postrzeżono...

Groch, który dla duchownych był z niezmiernem poszanowaniem i pokorą, poszedł go w rękę pocałować. Neorża wstał. Zrobiono miejsce. Siadł ks. Baryczka z twarzą chmurną i posępną.

— Słyszę, że się na króla JMci uskarżacie — rzekł, potrząsając głową.

Neorża się rozkładając, ręce obrzękłe zwrócił ku niemu, z bolesciwym twarzy wyrazem.

— Słyszeliście co się stało z mojejmi końmi w Wieliczce? he? O pomstę do Boga to woła.

Zdumiał się ks. Baryczka.

— Miałem parę szkap na wypasie u Lewka — dodał gospodarz — król precz je kazał wygnać.

— A jakież prawo miałeś je tam trzymać? — zapytał Baryczka.

— Prawo? — z oburzeniem krzyknął Neorża — takie prawo, że jak wiek wieków tam ludzie tacy jak ja... wypasali i po dwa, i po cztery... Żydaby lichu przez to nie wzięło ani króla też.

Ks. Baryczka głową pokręcił.

— Mało tego — podchwycił gospodarz — Posłuchajcie co Groch prawy. Włosy powstają na głowie.

Ksiądz się zwrócił ku podsędziem.

— Strach! — rzekł Groch — prawo słyszę nowe pisać.

Uśmiechnął się Baryczka.

Groch począł narzekać długo i z coraz większym zapalem, lecz na duchownym wrzenia nie uczynił. Słuchał go obojętny.

— To jeszcze nie jest najgorszym z tego, co czyni król — odezwał się surowo...

Oba słuchacze zamilkli. Ksiądz smutne przybrał oblicze.

— Potomka mieć chciał, nie było w tem nic złego, żenił się z tą Czeszką, która mu umarła... Palec był Boży! Zaraz po niej król Jan i syn jego wyswatali mu Adelajdę Heską... Długoż z nią żył? a co się teraz dzieje?

Groch głową trząsał.

— Ta niemkini, która mu i dwu tysięcy kop posagu nie przyniosła, a w dodatku szpetna...

— Żenił się z nią przecie — przerwał ksiądz...

— Widziałem ja ją — mruknął Neorża — a choć króla nie lubię, ale go nie winię. Brzydka bo baba, a po naszymu słowa nie umie i mówią, że na umyśle słaba.

— Przecie żona! — dodał Baryczka.

— Za tą się nie macie co tak ujmować — rzekł Groch — krzywda się jej nie dzieje. Królowi wstręt czyniła, posadzili ją na zamku w Żarnowcu, i żyje sobie jak królowa, tyle tylko, że męża nie widzi...

Ale... szpetna bardzo!..

Groch głową kręcił.

— Nie mógł z nią żyć — rzekł Baryczka — choć po bożemu należało się to, bo człowiek nie do rozkoszy się rodził... oddalił ją... niechby i tak było... ale na cóż sobie innych szuka... i zgorzenie ludziom daje?

Słowa te, które dobitnie i surowo wyrzekł ks. Baryczka, nie znalazły jakoś oddźwięku i potwierdzenia w słuchaczach, tak samo, jak utyskiwania na nowe prawa u niego.

Neorża i Groch spuścili oczy. Nie byli i oni bez grzechu, a w owych czasach, gdy ludzkie namiętności wybuchały gwałtowniej, mało kto czystem życiem się mógł pochłubić.

Srogi więc sąd ks. Baryczki przyjęto milczeniem.

— Wina króla — mówił dalej duchowny, iż się daje do złego ciągnąć... ulega chuciom, ale nie mniejsza tych z kapłanów naszych, co z nim obcuja, z nim żyją, patrzą na to, a nie strofują go i nie karcą.

Wie pewnie o zbytkach tych Pasterz nasz Gnieźniński, bo przy królu często bywa, wie ks. Suchywilk, co ze dworca pańskiego nie wychodzi, wiedzą kapelanowie... a milczą.

Milczeli słuchacze uparcie.

Groch znajdował, że spisywanie praw nowych było grzechem daleko większym, a Neorży się zdawało, że wypędzenie koni jego z Wieliczki, było straszniejszą jeszcze zbrodnią.

— Gdybym ja na dworze był — dodał Baryczka, gdybym ucho jego miał — nie zniósłbym tych miłośnic, o których wszyscy wiedzą, palcami je wytykają.

— W Krakowie bo ich nie ma — szepnął Groch, ręką na różne strony pokazując. — Siedzą pono po królewskich dworach — w Opocznie, w Czehowie, w Krzeczowie...

— Pełno ich wszędy — burząc się ciągle, mówił Baryczka — znajdują się i w naszym mieście...

Mało tego! — krzyknął wreszcie — ludzie prawią o żydówkach!

Groch i Neorża dopiero tę okropność posłyszawszy, załamali ręce z przerażenia.

— Nie może to być — wtrącił Groch...

Neorża milczał... Rozmowa o królu przerwała się, bo pod oknami dworu przesunęła się jakaś postać, a nikt podsłuchanym być nie życzył.

Jeden mężczyzna ks. Baryczka, to co mówił, gotów był powtórzyć zawsze i wszędzie.

Gospodarz podniósł się, oczekując na przybywającego, co się przed chwilą przemknął.

Drzwi otwarły się z wolna, i na progu ukazał się, znany dobrze Neorży, jeden z Jaksów miechowskich.

Była to, jak wiadomo, jedna z najzamożniejszych rodzin przed wiekiem, część jej dotąd majątności zachowała, druga, która wiele bardzo świadczyła zakonom, zubożała była, i właśnie jakoś pod te czasy ten sam Mikula, który stał w progu, z majątności niegdys zapisanych opactwu Jędrzejowskiemu, z których sobie dziadowie jego serca bydłce wymówili na znak posiadania, odprzedał je opatowi za grzywien trzydzieści...

Neorża córkę miał jedną, mówiono, że Mikula starać się był rad o nią. Ale... Jaksza do dworu króla należał, krzywo nań patrzano. Gdy wszedł, zamilkli.

Choć zubożenie znać było na młodym Gryfie, ale i ród szlachetny z twarzy poznał każdy. Postawę i rysy miał piękne, rycerskie, może dla mężczyzny zanadto słodczy i wdzięk.

Coś pańskiego wiało od niego, choć odziany był skromnie bardzo...

Neorża go zimno przywitał, odgadywał już, że Jaksza, na dworze króla przebywający, niesie mu pewnie jaką nielaski jego przestrożę. Wolał z nim o tem nie mówić...

Zagadano o rzeczach obojętnych, o nabożeństwach po kościołach, o miejskich posłuchach.

— Jam się przybył pożegnać z wami — ozwał się Jaksza, bo lękam się, ażali nie wyjeżdżacie.

Tak mi się zdało!

Gospodarz ostro nań spojrział.

— Pewnie, że ja tu robić co nie mam — rzekł, ale też i spieszyć ztąd nie chcę, aby się nie zdało komu, że uciekam od zagniewanego oblicza pańskiego!!

Jaksza spojrział nań nawzajem, i zamilkł.

— Cóż król? — chmurno zapytał Neorża...

— Na łowach.

— Gniewny? — burknął stary.

— Jam go w gniewie nie widział nigdy prawie — odparł Jaksza. Na chwilę się uniesie, ale prędko hamować umie...

— A na mnie sierz się przecie! — wykrzyknął Neorża.

Nie chciał Jaksza odpowiadać wprost, co myślał.

— Ja tam nie wiem — zamruczał, sądząc jednak, że gdy na czas jakiś z oczów mu zjedziecie, a wróćcie potem, nie będzie pamięci o tem, co zaszło.

— Ale ja mu tego nie zapomnę! — zamruczał Neorża.

Ks. Baryczka wstał, wuja żegnając, i wyszedł. Groch pozostał, Jaksza siedział.

Wspomnienie króla na nowo poruszyło Neorżę, chodził i pomrukiwał groźnie.

Chociaż o Jaksie wiedział, że przy królu stał, nie powstrzymał języka, sądząc, że gdy się o dziewczkę jego starał, potakiwać mu musi.

— Nie takiego nam tu króla było potrzeba — rzekł, to dla chłopów król, nie dla nas... On ziemian nie chce znać, ani miłować, my go też nie miłujemy.

Zarumienił się Jaksza i rzekł żywo:

— Darujcie — my co przy nim jesteśmy, kochamy go.

— A no! — na zdrowie! — szydersko rzekł Neorża. Twarz mu się krwią cała zalała.

Jaksza wstrzymać się nie mógł, powstał z ławy.

— Tak — dodał, my, co mu służemy, miłować go musimy, bo dobry, i sprawiedliwy, i dobrze pragnący pan jest, a nieszczęśliwy.

— On! — mruknął Neorża — on! a co mu jest? Skarb, co za starego stał próżny, u niego pełen; dwadzieścia tysięcy grzywien wyliczyć niemcowi, to u niego nic; klejnotów i sreber jak lodu... Cóż mu brak?

— Miły panie — począł Jaksza łagodnie. — Nie wiem, czy to szczęście daje... Potomka nie ma.

— Czemuż z żoną nie żyje?

Jaksza zmilczał.

Neorża małym przeciwieństwem zniecierpliwiony, już na przyszłego zięcia i patrzeć nie chciał.

Dumny Gryf, poznawszy się na tem, mało co się skłoniwszy, wyszedł. Wzrokiem za nim pociągnął Neorża i siadł za stół przy Grochu, którego pewnym był, iż z nim jedno myśli.

— Jak ci się zda? sędzio — odezwał się po cichu. — Mamy my jego cierpieć?

— Kogo? — zapytał trochę zdziwiony gość.

— A, króla! — mówił Neorża. — Dawniej przecież ziemianie sobie królów wybierali, a jak im byli krzywi, zrzucali ich.

— Ależ to koronowany król! — szepnęła Groch nieśmiało.

— E! e! — odparł gospodarz, ręką machając — co nam tam jego korona!! Tu w krakowskim, ja wiem, że my mu nic nie zrobimy, ale trzeba z innego końca zaczynać.

W Wielkiej Polsce, w Poznaniu tacy się znajdują, co mogą się ruszyć, bo im to nie po myśli, że koronę im z Gniezna wywieźli, i ze stolicy ich zrobili małe miasteczko.

Tam każdemu wielkorządcy śni się, że jak Pomorzanie, oderwie się i z pod króla wyswobodzi. Tam jedni by może Brandenburgowi radzi, drudzy Szlązakom.

Tam...

Mówiąc, spojrzął na podsędię i przerwał nagle. Groch wprowadził na króla narzekal, ale tak zuchwałych myśli nie mógł pochwalić. Znacząco się zasepił, a Neorża postrzegł, że się niepotrzebnie przed nim wypaplał. Naprawiając ten błąd, począł się uśmiechać zakłopotany.

— At, plotę — rzekł — at, plotę! Nie mogę bo mu moich szkap przebaczyć. W Wieliczeby się były spasyły.

Groch nie dał się zwięść tym zwrotem.

— Niepotrzebnie wy z tym żalem, i takimi tam rzeczami wygadujecie się — zamruczał. — Co tam te Wielkopolany myślą, Bóg ich wie, ale jak Wincz z Szamotoł nie dał rady Łokietkowi, i kajać się musiał, a potem go ziemianie rozsiekali, tak może być i z temi, co poprobują się teraz przeciw panu ruszać!! jeśli się na to ważyć będą!

Neorża stał zadumany.

— Albo to on taki mocny, jak jego stary ojciec był? — począł uspokojony. — Do wojny nie bardzo sposobny... budowałby tylko i przewracał wszystko. Baby nadto lubi, za stołem rad siaduje, na łowy jeździ, turnieje wyprawuje.

— Otóż wy go nie znacie — rzekł Groch, głową pokręcając. — Wszystko to prawda, a no, bieda, że wolę ma taką żelazną, jak i ojciec, a rozum chytrzejszy, przebiegłość większą.

Neorża patrzył bardzo zdumiony, słuchał, niepewien, co począć z człowiekiem, na którego się usposobieniu nie poznał, ruszał ramionami.

— Jak nam z tem będzie, gdy on wszystko do góry nogami wywróci i zechce przerabiać — mówił Groch — to jeszcze niewiadomo, ale postawi na swem — westchnął sędzia.

— Nam z tem nie będzie dobrze — mówił dalej. — Co naówczas sędzia ma znaczyć!! Pewnie nam i naszego grosza obetnie... bo on więcej dba o kmiecie, o osadniki, o biedny, ciemny lud, niż o nas i o ziemian... Ale co postanowił, toć to... dokaże! Ja go znam! A co wy mówicie o Wielkopolanach... także na tem bardzo polegać nie można. Choćby rycerstwo nie bardzo było chętne, znajdzie zaciężnego żołnierza na Węgrzech, po Niemczech...

Westchnął Groch, zadumał się Neorża.

— Wkrótce i ruskiego ludu będzie miał siła, gdy zechce — dokończył podsędzia.

Wszystko to, co mówił, podziało na gospodarza, który zamilkł smutnie.

Trwało milczenie dotychczas, a że piwa nie stało, Groch zamyślał odchodzić.

Rozstali się dosyć zimno.

Neorża popatrzał za odchodzącym.

— Baję — rzekł do siebie — ziemianie też coś znaczą! Zobaczmy, ja mu za wstyd mój i szkapy moje nie daruję.

Największe dzieło panowania swojego Kaźmirz chciał mieć dokonaniem w Wiślicy, nie dla czego innego, tylko aby niem uczcić pamięć ojca, którego imię z gródkiem tym związane było. Wiślicę on po dwa kroć zdobywał, tu się ukrywał, tu się modlił, ztąd jeszcze ledwie się w siły wzbijając, na dalsze odzyskiwanie posiadłości wyciągał. Drogą była Łokietkowi ta miejscina, bo mu gniazdem i przytułkiem była w ciężkich dniach życia.

Że myślą tą miłości synowskiej powodowanym był Kaźmirz, nie ulega wątpliwości. Jeden z pierwszych gród ten murami opasywać, i z muru wznosić go począł. Kościół z ciosu stanął na miejscu tego, w którym Władysław modlił się czasu ucisku.

Stary był ten gródek nad Nidą, w widłach rzeki jak wysepka na pagórku rzucony, łąkami otoczony szeroko, na wiosnę wodą oblany. W trzęsawiskach tych, wedle podań odwiecznych, było królestwo żab, węzów i żmij, tysiącami się tu lęgnących. Stare podanie opowiadało, że gdy tu w kościółku małym na przedmieściu, ksiądz mszę świętą odprawiał,

a żabki mu skrzeczeniem okrutnem przeszkadzały, zaklął je w imię Pańskie, i od tej pory dopiero ciszej się sprawować poczęły.

Choć teraz, dzięki Kazimirzowi, Wiślica nowemi mury świeciła, których jej zacniejsze miasta mogły zazdrościć, stara to była i tak odwieczna osada, że ludzie początku jej nie pamiętali.

Za pogańskich jeszcze czasów na pagórku tym siedzieli ludzie, okopywali się rycerze i działy się tu krwawe historye, o których lud okoliczny dziwy opowiadał. Lecz w najwyższej pamięci było teraz wspomnienie o tym małym bohaterskim króliku Łokciu, tułaczem biednym, który przez pół wieku cudów dokazywał, aż połamaną Chrobrego koronę spoił na nowo, i na skroń uznojoną włożył.

Zdawna już po wszystkich ziemiach chodziły wieści, które z przekąsem i niechęcią sobie powtarzano, że król chciał ze starych praw ukuć jakieś jedno nowe prawo dla całej Polski, że Suchywilk nad tem pracował, i że do któregoś z miast zwołać miano Małopolan, potem Wielkopolany, i potem prawo to królewskie, spisane, dać wszystkim, aby jego, nie innego słuchano.

Lat kilka się do tego przysposabiano. Ludzie, jak zwykle nowościom, tej sprawie nie byli chętni. Obawiali się innego prawa nad to luźne, słowne, zwyczajowe, które sobie każdy jak chciał wykladał i tłómaczył.

Sędziowie się szczególnie na to krzywili, jako i ten Groch, upatrując w pisanem prawie poniżenie dla siebie.

Nie było też w ówczesnej Polsce pojęcia tego, że zjednoczenie różnych ziem, wedle myśli króla, pod prawem jednym i monetą jedną, pożądaniem i siłodajnym być mogło. Każda ziemia broniła zwyczaju swego, przy nim się opierała, i odrębność swą rada była zachować.

Ziemianie lękali się, aby to prawo nowe nie zmniejszyło ich władzy nad kmieciem, nie odjęło im tych praw, do jakich od wieków byli nawykli.

Pewna część ludności, na niemieckich prawach osiadła, może też niespokojnie na to prawo nowości zapowiadające spoglądała, obawiając się, aby polski zakon ten ich odrębności nie naruszył.

Słowem, w przededniu zjazdu wiślickiego, które jeszcze inne miały poprzedzić, niepokój w umysłach panował wszędzie.

Nawet duchowieństwo niezupełnie było bezpiecznem. Ów Jan Suchywilk ze Strzelca, główny doradca króla, prawa jego ręka, której on zawierzył spisanie zakonu, choć sam kapłan i siostrzeniec arcybiskupi, nie bardzo był dobrze przez duchownych widzianym. Zarzucano mu, że się więcej sprawami świeckimi niż kościołem zajmował, że mu na sercu więcej państwo leżało, niż sprawy sług bożych. Obawiano się, aby prawem nowem starych swobód, jakich duchowni używali, nie nadkąsił.

Ruszano się na te zjazdy i na ów wielki wiec czy sejm do Wiślicy z większą ciekawością i niepokojem, niż pociechą. Niektórzy się odzywali z tem, że swoich prastarych swobód bronić będą, inni nie wiedzieli sami jak postąpią. Lecz kto tylko mógł, a chciał swą powagę utrzymać, do Wiślicy się wybierał.

Kmiecie też gwarzyli o prawie nowem, nie wiele się po niem spodziewając dla siebie, bo mieli przekonanie, iż ziemianie z rycerstwem nawet nad króla są silniejsi; choć wierzyli w to, że Kazimierz o nich tam nie zapomni.

Wiaduch po owej bytności królewskiej, której mu zazdrozczono, o którą go badano wielce, bo o niej wieść się rozniosła, nie rad opowiadać szeroko, przycupnął i powrócił do robót w polu, do gospodarstwa, unikając spotkania się z ludźmi, którzy nań patrzyli dziwnie.

Neorża, który go prześladował w początku, potem już tylko pokory żądał od niego, naostatek nic nie zyskawszy, zostawił go w spokoju. Włodarze, mając widać inne przykazanie od niego, Wiaducha już nie zaczepiali, owszem, byli nań łaskawi. Poszły w niepamięć uczynione szkody, o które kmieć się nie upominał.

Król jakoś w owych czasach do czynienia miał wiele, więc o Wiaduchu zapomniał.

Jeden rok zajęła wyprawa owa ruska, która się opłaciła zdobyczami wielkimi, zajęciem Przemyśla, Halicza, Łucka, Włodzimierza, Sanoka, Lubaczowa, Trębowli, a z niemi mnogich skarbów, wozami całemi do Krakowa ściąganych. Żenił się potem Kazimierz

z niemką, którą zaledwie przywiózłszy na zamek, dla szpetoty i obyczaju obcego musiał od siebie oddalić.

Nieprzełamany ten wstręt, który go dzielił od niej, może przez siostrę Elżbietę rozbudzony i utrzymywany, bo tej szło o polską koronę dla syna, pozbawiał Kazimierza znowu nadziei potomka płci męskiej.

Potem wydawał król córkę, zaledwie dorosłą, za Bogusława Szczecińskiego w Poznaniu, wyposażywszy ją po monarszemu; dalej na Rusi Daszkowa i jego przyjaciół zdrada, napad tatarski powołał na granicę, i z Czechami po wielkiej owej druźbie przyszło się też ścierać; gdzie Bóg dał zwycięstwo.

Mało Kaźmirz w Krakowie siedział, na Wawelu krótko bawił, i kmieć już nawet stracił nadzieję, aby go widział kiedy.

Kilka tak lat upłynęło. Bogna za mąż wydaną została. Ciarach sobie przywiódł żonę, i już synkiem się cieszył. Wiaduch niewiele przez ten czas postarzawszy, odpoczywać jeszcze nie chciał, ani zdać gospodarstwa. Lecz, rozumny człek, opodał pod lasem dla syna i synowej osobną chatę postawił, aby, jak się po prostu wyrażał, baby się nie jadły z sobą. Garuśnica, choć kochała synową, ale syna więcej jeszcze, i młodej miała coś zawsze do zarzucenia; lepiej więc było, że nie ciągle razem żyły.

Na Leksie teraz lat upływających mało znać było. Doszedł do tego kresu, którego pracowici i ciągle czynni ludzie nie przechodzą, choćby jak najdłużej żyli. Śmierć potem bierze ich niespodzianie, albo we śnie, lub jak obuchem uderzywszy w głowę.

Wiaduch chodził za pługiem jak dawniej, brał się do cepa, gdy było potrzeba, sił próbował i nie dawał im zastygnąć w sobie... Stał się tylko na starość trochę więcej milczącym, lecz gdy mu się usta rozwiązały, plótł jak dawniej.

Wczesną bardzo wiosną, bo jeszcze w post jakoś 1347 roku, Wiaduch właśnie sposobił się do posiewów, jakby tylko z ziemi zlazła lodowa i śniegów skorupa. Był w szopie, gdzie z Wężem opatrywał pług, sochę i brony, motyki a inne proste ówczesne gospodarskie narzędzia, gdy usłyszał z podwórza wołanie.

— Hej! gospodarzu...

A potem z proga głos Garuśnicy.

— Gdzież bo się podział mój? Tylko co tu byli. Leksa! bywaj!

Na ten pozew wydobył się z pod szopy kmieć, i spojrzawszy ku wrotom, zobaczył kogoś na koniu stojącego, twarzy dojrzeć nie mogąc.

Na dworze, choć niby blade świeciło słońko, chłodno było, a ów jeździec na głowie miał kaptur, jakich wówczas wiele noszono po całej Europie i u nas... Strojnisie wielcy do końca kaptura dla ozdoby przyszywać kazali nie jeden chwost, ale cały sznur z węzłów grubych i kutasów złożony, a właśnie taki miał na głowie ów przyjezdny...

Dopiero gdy twarz ku kmieciowi zwrócił, Wiaduch poznał w nim króla, choć zmienionego wielce. Nie stracił on był wprawdzie ani piękności rysów dawnej, ani świeżości ich, ale oblewał je smutek jakiś, zatęsknienie za szczęściem, znużenie żywotem. Przybyło mu powagi, ubyło młodości i wesela.

Ten ci to sam pan był łaskawie i po ludzku rozmawiający z kmieciem, jakby z najwyższym urzędnikiem lub rycerzem, ale żal było, spojrzawszy nań, tak mu się zdało ciężać to, co miał na barkach.

Wiaduch do nóg mu przyszedł pokłonić się.

Król w małym poczcie jechał, sokoły za nim wieszono, szło psów kilka, otaczali go łowcy, u boku stał nieodstępny jego Kochan.

Zdawał się Kaźmirz niepewien, czy z konia zsiędzie, potem coś Kochanowi szepnął, u wrót konia rzucił, i po ramieniu klepiąc starego, zwolna z nim kroczył do chaty.

Garuśnica z wielką pokorą i radością, a z dumą, witała go znowu, serce jej rosło.

Chciała się zaraz, jako troskliwa gospodyni około jadła zakrzętnąć, lecz Kaźmirz dał znak, iż nie będzie nic jadł. Był miód stary, zaczęła się z nim napraszać, król uśmiechając się, przystał, choć mechy nie lubił.

Wiaduch przed nim stał, a Kaźmirz mu się przypatrywał pilno.

— Anis ty mi nawet przez te lata postarzał — odezwał się do niego.

— Bom już starym był naówczas — odpar Wiaduch wesoło. Prawią u nas ludzie o jednym człeku, co cielaka gdy się narodził, wziął pierwszego dnia na ręce, potem dru-

giego dnia nosił go, i tak codziennie dźwigając, do tego doszedł, że potem wołu mógł podnieść. Otóż, miłościwy panie — tak jest z pracą naszą. Kiedy się jej nie rzuca, siły nie ubywają, i człek nie słabnie. Niechbym dnia jednego spoczął, nazajutrzby się do mnie starość zakradła.

Rozśmiał się król smutnie.

— Rozumnieś to rzekł — szepnął doń.

— Jam tylko powtórzył, co się po świecie słyszało — odparł kmieć.

— Rad i ja z tej mądrości będąc korzystał — dodał Kaźmirz.

Po chwilce, obejrawszy się do koła, począł król, ręką się opierając na stole.

— A wiesz ty stary, co cię czeka? Wiaduch głową pokręcał.

— Otom ja przybył od ciebie posługi żądać...

Kmieć się pokłonił.

— Rozkazujcie — miłościwy panie.

— No, i nie małej — dodał król, ale mi ona potrzebna...

Pomilczawszy chwilę małą, Kaźmirz się odezwał.

— Słyszeliście może, iż do Wiślicy zwołałem ziemian na czwartą postu niedzielę. Będą im tam nowe prawo czytali, a prawo to nie dla jednych ziemian jest, ani dla duchownych, ale dla wszystkiego ludu i kmieci też...

Wiaduch się uśmiechnął niedowierzająco.

— Miłościwy panie — rzekł, ja na to codzien patrzę, gdy obrok koniom zasypuję, a z jednego żłobu wszystkie mają jeść. Żeby człek nie pilnował, starsze i silniejsze wszystkoby zjadły. Tak to i z tym żłobem pono będzie, do którego się nam docisnąć nie dadzą.

— To wasza rzecz — rzekł król uśmiechając się, ja w żłób zasypuję... i póki żyw, też przy tym żłobie stać będę.

Zjadą się ziemianie do Wiślicy, duchowni, rycerstwo i proste panosze... trzeba, aby i kmieć też tam był...

Wiaduch spojrział zdziwiony na króla, nie odpowiadał nic.

— A dopuszczają tam inni? szepnął po namyśle...

— Powiecie tym, coby was chcieli gnać lub bronić przystępu, że moje przykazanie macie.

Chcę abyście tam byli.

Kmieć potrzeby jakoś nie widział i głową pokręcał.

— Jedź ty — rzekł król, weźmij z sobą zamożnych a poczesnych kilku, bądźcie przy mnie, aby nie rzeczone, że o was zapomniał lub pogardził wami.

Przecież i tak mnie królem chłopów zwą — niech wiedzą, że ja nim chcę być, jak jestem królem ziemianina, i rycerstwa, i wszelkiego ludu, który w królestwie tem żywie...

Rozkazuję więc wam, abyście mi kilku waszych braci do Wiślicy przywieśli. A miałyby was nie stać na to, bo paszy dla koni jeszcze nie będzie, lub ją pod Wiślicą szlacheckie szkapy zjedzą i stratują, oto macie na drogę.

Król mówiąc to, sięgnął do kalety, w której miał przygotowany mieszek i położył go na stole...

— Do Wiślicy pojedziewa — odezwał się z dumą kmieć — chyba bym żyw nie był, ale nie o waszych pieniądzach, miłościwy... Stanie na to ubogich. My tam żyjemy z prosta, prawda, takeśmy się urodzili i do tego nawykli — złota na nas nie widać — miły panie — ale grosz jaki w garnuszku pod sypanką w komorze się najdzie na czarną godzinę.

— Weźcie to przecie — mnie nie zubożycie — rozśmiał się król, weźcie dla innych, abyście ich mogli wybrać nie wedle przemożności, a wedle statku i rozumu... i — z Bogiem ostawajcie. Król wstał i kroczył już do drzwi, nalanego miodu ledwie dotknąwszy ustami. Wiaduch wiódł go, schylając się, do drzwi. Odwrócił się ku niemu.

— Pomnijcież — dodał, przed czwartą postu niedzielą, trzeba tam być... jak się patrzy... bo o was pytać będę.

Gdy król wyszedł do swoich, ci się jeszcze wyniesioną im mechę pocieszali, i coprędzej wasy ocierając, do koni przypadli.

Kaźmirz się już z dworem dobrze od wrót odsadził, a stary kmieć stał jeszcze zadumany, i jak w ziemię wrosły...

Garusznica aż musiała przyjść, i po ramieniu uderzywszy, rozbudzić.

— Co tobie stary?

Nic nie odpowiadając, Wiaduch wszedł do chaty, gdzie jeszcze worek królewski na stole leżał, siadł na ławie, sparł się i milczący zamyślił.

Baba przed nim z rękami założonemi, wlepiwszy oczy w niego, stała, głową potrząsając.

Leksa nie mógł myśli pozbierać, a na pytania jej długo nie odpowiadał. Nareszcie wstał, przeżegnał się, czapkę poprawił na głowie i westchnął.

— Dzieje się wola Boża i pańska. Jak do Wiślicy to i do Wiślicy...

— Cóż to ci, krzywda, nie cześć? — zapytała Garuśnica

— Milczałabyś stara, bo nic nie znasz — zawołał Wiaduch. Za taką cześć, człek potem skórą płaci. Z dostatkiem jam się nigdy nie chwalił, aby go ludzie nie zazdrościli, a tu, wstydu sobie i stanowi swemu uczynić się nie godzi!

Powzdychał trochę Wiaduch, przeszedł się po izbie, z kubka po królu miodu dopił, pasa mocniej ściągnął, na chodaki popatrzył, ku słońcu wyjrzał, i rzekł do żony.

— Na wieczrę albo powrócę, albo nie — patrzajcie matko, aby łyżka ciepłej strawy była. Trzeba mi w drogę.

Najlepszą szkapę wybrałszy ze stajni, stary, który się konia jeszcze nie bał, dosiadł jej rażno i pokłusował.

W sąsiedztwie kilku bogatych kmieciów siedziało...

Nie wszyscy oni byli do Wiaducha podobni. Najdostojniejsi z nich do ziemiaństwa się cisnęli i przypytywali a do szczytów się za grosz lub za posługi przyjmować dawali. Tym o stanie kmiecym mówić nie było można, bo choć do niego należeli, już się fałszywymi sześciu świadkami wywiedli na panosze.

Drudzy, radzi byli cicho siedzieć a nie narażać nikomu, gdy tu niewątpliwie przytomnością swą, rycerstwu solą w oku być mieli. Innych jeszcze, dla prostoty ich nie mógł wezwać do towarzystwa Leksa; wybór więc był trudny i głowa go bolała. Małą do zbytku garstką ograniczyć się wstyd mu było.

Wzdychał więc jadąc, iż mu król za ciężkie brzemię na ramiona włożył, lecz zrzucić go już nie mógł.

Czekała Garuśnica, drzemiąc na ławie, do późna napróżno, nazajutrz ani na obiad, ani na połudzień, ani na wieczrę stary nie wrócił. Nietyle o niego niespokojną była, co gniewna...

Chodziła się poskarżyć do syna, wróciła nazad i nie zastała swojego, dopiero dnia trzeciego około południa głos jego usłyszała, że Węża wołał, aby konia postawił.

Spojrzała mu zaraz w oczy, aby poznać z czym wracał, miał twarz jasną i uśmiech na ustach. Zażądał jeść, co też było dobrym znakiem.

Nie zwykł się był spowiadać przed żoną z tego, co czynił, nie pytała go, wiedząc, że się potem łatwiej wygada, gdy ona ciekawości nie okaże...

Zaczęły się od następnego dnia do podróży wybory...

Pierwszy raz Leksa oba gospodarstwa synowi zdał, sam mając za wiele do czynienia. Co było najlepszego z odzieży, podobywano, a i do Krakowa musiał Leksa, aby lepiej wystąpić. Nie lubił on tego, lecz teraz mówił, że stanowi swemu hańby uczynić nie może...

Musiano też wóz kowany sporządzać, konie do niego dobierać, bo choć kmiecie jechali konno wszyscy, zapasy na drogę prowadzić było potrzeba. Gdzie ludzi wiele, tam czasem i za pieniądz chleba nie dostanie, a w Wiślicy się zjazdu licznego spodziewać było można.

Czas zbiegał szybko bardzo, aż i kmiecie się dowiadywać zaczęli niektórzy, i dzień wyjazdu naznaczono. Co dnia prawie przybywał który po radę jakąś, bo już Lekse jakby za głowę swoją pocytywali.

Nie całym taborem ruszyli z Prądnika, bo inni po drodze się przyłączać mieli. Milcząco Wiaduch żonę pożegnał, zaszepiony, synowi przykazując, aby mu gospodarstwa pilnował, chcieli być cały.

Gromadka kmieci, choć nie zbrojna, bez szczytów, bez szyszaków, wszakże i pokaźną dosyć była, i nie bezbronną całkiem. Na dłuższą podróż miał każdy obuszek, wielu siekierki i toporki, którymi się od złych ludzi obronić było można w potrzebie.

Dobierał towarzyszków sobie przemyślny kmieć, i wedle rozumu, i wedle dostatku, ale też i takich, coby mu lada jaką postawą wstydu nie robili. Chłop w chłopu byli urodziwi, przystojni, silni i barczyści. Część miała powagę starości i siwiznę srebrną, brody do pasa;

inni kwitli młodością rumianą. Wszyscy oni czuli to, że nie dla siebie jechali, ale stan kmiecy cały w nich miał oko w oko obok innych się postawić.

Po gościńcach, którymi nad Nidę dążyli, nie było pusto.

Ciągnęli ziemianie zewsząd dworno, szły czeladzie biskupów, poczty wojewodów, jechało znaczniejsze rycerstwo. W owych wiekach, prawie każdego stan z odzieży, z uzbrojenia można było rozpoznać. Synody przepisywały ściśle, jak się duchowieństwo w domu, w kościele i podróży miało odziewać. Mieszczanom nie wolno było ani w jedwabie, ni w klejnoty się stroić, choćby mieli za co, rycerstwo i panoszków uzbrojenie odznaczało, comesowie i barony mieli dwory z sobą, słowem kto spojrział na przejeżdżających gromadnie kmieciów, łącznie poznawał ich, co za jedni byli i że do ziemian nie należeli.

Spotykający ich, nie kryjąc się z tem, głośno się zdumiewali co kmieciów prowadziło do Wiślicy. Niedowierzano nawet, aby się oni ośmielili tam przybyć. Czasy te, w których się szczyty i osobny stan rycerski nie wyrobił jeszcze odrębnie, gdy pospołu wszyscy do wieców należeli i wszelka starszyzna się na nie zjeżdżała, oddawna zapomniane były. W miarę jak panosze i rycerstwo rosło, upadali na znaczeniu kmiecie, i już im innych praw nad dźwiganie pospolitych ciężarów nie przyznawano.

Pielgrzymka więc ta kmieciów w dosyć znacznej gromadzie — jadących ziemian wprawiała w podziwienie.

Zaczepiano ich, badano, lecz Wiaduch ostróżny, zawczasu swoim zapowiadał, aby w rozhowory żadne się nie wdawali i milcząc pomijali tych, co ich zaczepiać mogą. Pilnowano się też porządku tego.

Leksa nawet, aby zaczepianym nie być i uniknąć badania, omijał gościńce pospolite, a prowadził bocznymi drożynami.

Dojechali tak wreszcie na równinę błotnistą nad Nidą i mury zamkowe, nowy kościół, który Kaźmirz wystawił, okolne ściany grodu, jego baszty i bramy, ukazały się z daleka na pagórku, w widłach rzeki.

Lecz w miarę, jak się zbliżali ku zamkowi i miastu, a tu już na drogach był tłok wielki... mogli zmiarkować łącznie, iż nie tylko w Wiślicy samej, ale na przedmieściu Gorzysławickiem, ani na Kucharach, miejsca dla siebie znaleźć nie będą mogli.

Roilo się ludem wszystko. Nad zamkiem powiewała królewska chorągiew. Wozy z żywnością biskupów i panów, ciągnęły otoczone czeladzią; spychano się, wymijano, powstawały klótnie i ludzie rwali do orężów. Musieli więc kmiecie ostrożnie obmyśleć sobie gdzieś stanowisko na uboczu i na niem się osobno obozem położyć, zdala, bo w pobliżu, co było miejsca suchego, już wszędzie namioty rozbite, wozy wkoło stojące, konie i ogniska zajmowały.

Wiosna była bardzo wczesna, zaledwie się poczynająca, na łąkach trawa mało co się wytykała, o zielonej paszy i pomyśleć nie mogli. Lecz o nią też nie bardzo się troszczyli, bo im szło o samych siebie. W środek między ziemian się wcisnąć i niebezpiecznie było i niewygodnie. Stanęli więc na gościńcu przed bramą krakowską, trochę na uboczu, a Wiaduch pojechał na los szczęścia szukać kąta i dostać języka...

Nie przyszło to łatwo i błąkać się było potrzeba... Na drodze którą jechali od Czerwonego Chodcza, od Latanicz i Kobylnik, wszędzie ludu było mnogo i gdzie się kmieć pokazał, oczyma chodzono za nim, co tu robi?

Na ostatek, w końcu Gorzysławickiego przedmieścia najrzadziej Leksa chatę ni zbyt okazałą, ni nadto biedną, i na wszelki wypadek postanowił zajść do niej. Wyglądała na kmieć. A było takich pół mieszczan, pół kmieci-rolników około miasteczek dosyć... Swojego brata wszędzie czuje człowiek. Wiaduch zsiadł z konia. Chciał wniknąć do chaty, lecz spostrzegł że i tu czeladź jakaś rycerska izbę już zajmowała. Trafił jak najgorzej, bo właśnie ludzie Neorzy się tu rozgospodarowywali. Jeden z nich zaraz często widywanego poznał.

— Wiaduch, he? a coś to ty także do Wiślicy zjechał z ziemiany, w gości do króla? począł szydersko człek wojewody, bo Neorża już Sandomirskim został, choć go król nie lubił.

Stary nie miał ochoty odpowiadać, ale go coś załaskotało od tego szyderstwa.

— Jak widzicie — rzekł, i my w gości!

W dłuższą się nie chcąc wdawać rozmowę, wysunął się. Wyszedł za nim gospodarz chaty, kmieć, człek stateczny, chcąc rozpytać, czego by żądał.

I z tym odrazu się wdać i odkryć mu całkiem Wiaduch wahał. Dopiero wyrozumiawszy go obojętniejszemi słowy powiedział kto był.

— Co mam się z tem kryć? rzekł. Król nam kazał tu być, abyśmy i my posłuchali co się głosić będzie. Jest nas gromadka, nie mawa się gdzie przytulić. Radźcie.

Nie było łatwo dać radę. Błotnista okolica, a jeszcze teraz w części wiosennym wylewem Nidy uszczuplona, ledwie starczyła na tych, co się tu zebrali. Król na zamku gościł z Arcybiskupem Jarosławem Bogorją, z Jangrotem krakowskim mieszcząc się w izbach niewielu i szczupłych. Wojciech Pałuka, poznański biskup, i Maciej Włocławski, przy kościele i plebanii stanęli. Z wojewodów i kasztelanów, ledwie dwóch poufalszych przy królu na zamku jako tako się cisnęli, inni w miasteczku, po dwóch u mieszczan, a nawet bramy miejskie: krakowska, buska, zamkowa ludem były przepełnione; koczowano w rynku i po ulicach.

Nie mieli więc kmiecie kąta dla siebie, i szukać go musieli aż u Brzezin. Tu na nocleg się do chłopów wprosili, postanowiwszy nazajutrz po cichu na zamek iść, bo słyszeli, że tego dnia już, a była właśnie czwarta postu niedziela, po nabożeństwie wielkiem w kościele, które sam Arcybiskup odprawiać miał, na dziedzińcu zamkowym, gdzie dla króla tron i przy nim też dla Arcybiskupa był przysposobiony, miano prawo głosić nowe.

Tymczasem nasłuchać się mogli, co o niem zawczasu mówiono po kupkach. Nie licząc tego co prosty lud bredził, ziemianie, a nawet duchowni nie kryli się, iż tej nowinie królewskiej wcale nie byli radzi.

— Wie on co robi! wołali jedni — pewnie sobie nie uszczupli władzy, rychlej drugim odejmie, a sobie przysporzy. Rycerstwa swobody powoli zczezną, będzie tak jak na Rusi, gdzie ziemianie głosu nie mają, jeno kniaziowie. Spodobało mu się to, gdy Ruś zawojował.

Duchowni, którzy już więcej coś o nowem prawie wiedzieli, znajdowali je barbarzyńskiem i nic użytecznem, gdy można było inne cudzoziemskie, albo rzymskie do kraju wprowadzić.

W ich mowie jawiła się niechęć i nieufność, jaką mieli ku Suchywilkowi. Lecz Arcybiskup stał przy królu, a On ci tu był pasterzem najwyższym.

Nie bez tego, by i na niego nie sarkano po cichu. Ks. Suchywilk siostrzanem mu był, znano go jako królowi powolnego, wiedziano, iż raz w potrzebie ze skarbcza gnieźnieńskiego kilka tysięcy grzywien królowi w krzyżach, misach i innych klejnotach dał, za co później z wielickich żup roczny dochód naznaczono, że dobra duchowne z Kazimierzem, dla dogodności jego, na inne mieniał.

Małopolanie, Wielkopolarie, Kujawiacy, a było i Mazurów ciekawych trocha, obawiali się, aby swoich ziemskich posiadłości nie potracili.

Naostatek znana króla skłonność dla chłopków, któremi się rad opiekował, budziła obawę, aby prawo ich nie wyniosło, a ziemian nie osłabiło.

Burzyły się więc umysły, lecz władza króla, choć nie określona prawem żadnem, choć nie mająca oznaczonych granic, była przecież uznawaną i wrażała poszanowanie. Mógł król, jako najwyższy sędzia, każdemu zuchwałemu głowę kazać zdjąć i karać go na gardle. Przeciw niemu wystąpić nie ważył się nikt i nie mógł. Szemrano tylko.

Otoczenie zaś królewskie, nauczone jak mówić miało, powtarzało, co od Suchywilka słyszało wielokroć, iż nowe prawo sprawiedliwość zapewni i wszelkie gwałty i nadużycia pohamuje, że wstyd było dłużej, gdy wszystkie państwa statuta owe miały, aby ich Polsce brakło.

Nazajutrz, jak zapowiedzianem było, zadzwoniono na nabożeństwo, a że znaczniejsza część w kościele się pomieścić nie mogła, stanęło wielu w podwórzcu otaczając do koła.

Wszyscy się potem z Arcybiskupem i królem na czele ruszyli ku zamkowi.

Dzień nie bardzo sprzyjał uroczystości, wiatr smagał chłodny, niebo było zakryte. Lecz ani Kaźmirz, który szedł z twarzą zwycięzcy, ni inni nie zważali na to.

Cisnęła się starszyna strojna do koła pana, którego dwór występował też w dniu tym z przepychem prawdziwie królewskim, w całym blasku zbroi i sukni szytych, a futrami kosztownymi okładanych.

Sam Kaźmierz odziany był czarno, z łańcuchem na szyi i pasem rycerskim wspaniałym, a płaszcz na ramionach miał szkarłatny, sobolami podbity. Część dworu występowała w purpurowych sukniach, z orły polskimi na piersiach, druga w zbrojach i szyszakach wyłaczanych, na których znamiona widać było, Topory Chusty, Sokoły, Księżyce...

Chociaż tłum się uciszył, gdy król przemówić miał, nikogo nie doszły słowa jego, gwar dolatywał z dala, wiatr szumiał.

Widziano tylko, gdy Suchywilk karty pergaminowe z pieczęcią na sznurze podnosił, gdy Arcybiskup błogosławił, gdy król przemawiał znowu, a oblicze mu pokraśniało, oczy się tak śmiały, jakby najwyższą osiągnął szczęśliwość.

Twarz pańska opowiadała ludowi, iż się dokonało wielkie i wiekopomne dzieło.

Gdy się to wszystko spełniało, Wiaduch ze swemi, ledwie się dostawszy na zamek cudem jakimś, innego sobie miejsca i swoim nie znalazł, jak przy murze, wysoko, na blankach. A choć i tam ciasnota była wielka i niewygoda, miał tę pociechę, iż król, do koła rzucając oczyma jasnemi, postrzegł go i uśmiechnął mu się.

Poszły zaraz innych oczy za temi, i dostrzeżono kmieciów, o których zresztą Neorża już wiedział, rozповідаł, a gniewał się, że tu przybyć śmieli...

Tak się wszystko odbyło dnia tego łatwo, dla tego, że kilka poprzednich, poświęcił król naradom z Comesami i rycerstwem, i rzecz była już postanowiona.

Zastawiono potem stoły i ludzie po troszę rozpływać się zaczęli, a Wiaduch nie bardzo wiedział co poczynać z sobą, gdy ze dworu królewskiego jeden, który z Kaźmirzem był na Prądniku i znał starego, zbliżyli się doń.

— Mam przykazanie od pana, abym was ugościł. Jest dla was stół osobny na podsieniu, chodźcie.

Kmiecie się wahali, obawiali się obudzić zazdrość, lecz posłuchać musieli. Prowadził ich tedy ów Gosław Krojc, dworzanin do zamku na ubocze. Lecz zdala już postrzegli, gdy im na miejsce dla nich wyznaczone wskazywał, że je jacyś ziemianie samowolnie zajęli.

Chcieli kmiecie odejść, niepozwolił Gosław. Obok stołu zajętego bezprawnie, kazał na dwóch beczkach stare drzwi położyć, misy i dzbany podawać.

Dopieroż owi panoshowie obok, gdy zobaczyli przy sobie kmieciów, krzyczeć i wywoływać zaczęli na niepomierne zuchwalstwo...

Nie zważano na to, ale, gdy przy tym stole poczęta sprawa kmiecia, poszła zaraz po innych...

Ziemianie cierpieć ich przy sobie nie chcieli. Zanosło się na burzę groźną...

Wiaduch skinął na swoich że nie pora ją wywoływać było, więc zakosztowawszy ledwie chleba królewskiego i usta w kubkach umoczywszy, wyszli powoli boczną furtą, którą im Gosław ukazał.

Odejście ich nie zażegnało wielkiego poruszenia w rycerstwie. Widziało kmieci wprzódy wielu, była już mowa o tem, że przybyli, pewnie ze skargami do króla, i oburzenie coraz się zwiększało.

Odgrązali się ziemianie, iż tym których dosięgną i o których się dowiedzą, nie darują.

Chodziła wprawdzie wieść, iż się stawili na żądanie samego króla, lecz wierzyć w to nie chciano...

Wrócili z Wiaduchem wszyscy niezaczepiani do Brzezia...

Tu narada była, co poczynać. Obowiązek stawienia się spełniony został, nie mieli już co robić, znaczniejsza część do domów się wyrwała. Inni chcieli jeszcze kupą do pana iść, dziękować mu. Zdania były podzielone, Wiaduch radził spocząć jeszcze i czekać.

— A no! czekać — odparł stary — którego zwano Stroka, doczekamy jeszcze tego, że nas rycerstwo pokrwawi... Nie ma tu już co poczynać, a i kupy się trzymać nie koniecznie, niechaj każdy swoim rozumem i drogą do domu powraca.

Nad ranem przybył komornik od króla, gdy ledwie wstawali, i kazał im na zamek. Dnia tego cokolwiek się było przeredziło i po drodze, choć spotykali jadących, którzy się z nich wyśmiewali i zaczepiali, przystęp do grodu był wolny...

Kazano im stać w przedsieni. Król z kilku panami wyszedł do nich z uśmiechem na ustach. Głową skinął Wiaduchowi.

— Chciałem — rzekł na głos — abyście i wy tu byli, gdzie w imię Boże, nowy zakon, albo raczej stare zakony ojców spisane... ogłoszone zostały... Wszystkim one, i wam też służą ku obronie i bezpieczeństwu...

Idźcież w pokoju do domów, do pracy i powiedzcie ludowi wszystkiemu, iż go odtąd nie sędzia będzie karał i sądził... ale jeden zakon dla wszystkich.

Pokłonili się kmiecie, a król, spoglądając na nich, bardzo dobrotliwie uśmiechnął, mówiąc do tych, co go otaczali:

— Ci są, którzy karmią nas, należy im opieka i bezpieczeństwo. Idźcie w pokój.

Przytomny kapelan królewski pobłogosławił ich po łacinie i odeszli nareszcie wielce uradowani, że się to przecie skończyło.

Nie było już sposobu dłużej ich tu zatrzymać. Kto żyw, konia wyprowadzał, wóz zaprzęgał, aby prędzej z Wiślicy... Nie mówili tego, ale pogrożki i szyderstwa ziemian trwożyły ich niepomału.

Wiaduch, choć był rad mieć kogo za towarzysza podróży, nim się miał czas z kim umówić, sam jeden pozostał. Nie zafrasowało go to wielce, bo miał parobka Węża z wozem i dobrego konia pod siebie. Strachu nie czuł. Wypoczął więc dobrze, i z południa dopiero w drogę wyruszył.

Na gościńcach teraz nie tak było ludno, bo wielu jeszcze pozostało w Wiślicy. Jechał więc Leksa zamyślony, w duchu sobie wszystko to przypominając co go spotkało, co widział i słyszał.

Pomimo obietnic i nadziei wielkich na to prawo nowe, on, stary i doświadczony, zachował swe przekonanie, iż z prawem tak będzie jak i bez prawa, że się nie zmieni nic. Nie wątpił, iż król dobry chciał jak najlepiej, lecz w moc królewską nie wierzył.

— Ziemianie uczynią co zechcą, i — będzie po staremu! — mówił w duchu.

Dnia tego nie wiele ujechawszy, a gospodę i szopę znalazłszy zawczasu Wiaduch zanocewał.

Tymczasem na Prądniku stara Garuśnica i syn około gospodarstwa chodząc dnie i godziny liczyli wyglądając Wiaducha.

Baba obrachowywała raz i drugi; wiedziała że w niedzielę w Wiślicy musiał być, że tam nad dzień, dwa nie zabawi, i że do domu potem, dla zbliżających się świąt pośpieszy.

Tymczasem Wiaducha nie było. Wszystkie rachuby zawiodły... Z sąsiedztwa powrócił jeden z kmieci oznajmując, że Leksa lada chwilę powinien już być. Popowracali inni, o Wiaduchu słychu nie było...

Jednej nocy, nie mogąca zasnąć Garuśnica posłyszała skrzypiący wóz, jakby się u wrót zatrzymał... Wyszła narzuciwszy okrycie...

W mroku widać było w istocie konie i wóz pod bramą. Na zawołanie jej, głosem słabym odpowiedział ktoś, jakby Wąż... Podbiegła do wrót. On to był, ale milczący, przerażony i sam jeden. Koń Wiaducha do wozu był uwiązany.

Z parobka nic się dowiedzieć nie było można w początku, tak płakał. Wskazał wreszcie na wysłany i pokryty wóz, na którym trup Wiaducha z głową porąbaną leżał.

W drodze na gościńcu spotkał się z kmieciem Neorzą, który podchmielony był, więc zły i bez pamięci. Ząb miał już do kmiecia, złość do króla. Lżyć go począł, ludziom kazał zatrzymać i zarąbał.

Mścił się za swoje szkapy, z Wieliczki wygnane.

— Za głowę zapłacę! — krzyczał, miecz chowając skrwawiony — kością mi w gardle stał chłopisko.

TOM II

KSIEGA TRZECIA. BARYCZKA

Zimowego dnia 1348 roku, wieczorem, mimo srogięgo mrozu i zamieci, która śniegiem miotła, we dworze Neorży wielka izba pełną była i ciągle ktoś jeszcze nowy, otulony opończą, odziany kozuchem, zakapturzony, przybywał.

Z różnych stron miasta ubocznemi drożynami ściągali się tu ludzie, zdając unikać, by ich nie postrzeżono. Przesuwali się rozglądając, wypatrując, omijając spotkanych, wsuwając w podwórze nieznacznie, wchodząc do dworca nie wprzódy, aż się ze służbą w sieniach rozmówili i przez drzwi pół otwarte zajrzeli do wnętrza.

Okna w wielkiej izbie pozasuwane były szczelnie i dla chłodu i dla tego może, aby przez nie światło nie zdradzało zgromadzonych.

Było ich już tu kilkudziesięciu, stojących, kupą w pośrodku i półgłosem wiodących żywą rozmowę, która niekiedy w gwar niezrozumiały się zmieniała.

Gospodarz na przyjęcie tych gości nie wysilił się bardzo; stało piwo i kubki, jakie wówczas w lada kramie kupowano, kilka dzbanków glinianych na pół opróżnionych, resztki chleba i misy, na których oprócz kości okrojonych nic nie było.

Neorża w kozuchu prostym, który ciągle z ramion się zsuwał, a on go nieustannie naciągał na nie, z twarzą czerwoną i nabrzmią, z oczyma zaognionemi, rękami sobie dopomagał, bo mu wymowy brakło.

Otaczający goście poważniej wyglądali i rozumniej im z oczów patrzyło. Nie bardzo też wielką zdawali się przywiązywać wagę do tego, z czem się Neorża odzywał, więcej między sobą się naradzając, niż zwracając ku niemu.

Dla izby ustronnej śnać bardziej niż dla pana jej tu przybyli.

Właśnie może to lekceważenie sprawiało, iż wojewoda natrętnie, uporczywie do rozmowy mięsząc się starał, drugim ją przerywał, za ręce chwycił mniej uważnych i po ramionach ich klepał.

Pomiędzy zgromadzonymi wyźółkła, chuda, pełna surowości namiętnej, odznaczała się twarz znanego nam już księdza Marcina Baryczki. Z brwiami ściągniętymi groźnie, z czołem pofałdowanym, jak z kazalnicy przemawiał kapłan, ognistym językiem, natchniony, przejęty, rozgorączkowany.

Słuchano go z ciekawością i poszanowaniem, choć z wyrazów twarzy słuchaczów widać było, że nie wszyscy się zgadzali na to, co mówił, jawnie mu przeczyć nie śmiejąc.

Bełkotanie Neorży przechodziło niesłuchane wśród gwaru i podnoszących się tu i owdzie głosów.

Gospodarz niewiele też miał do powiedzenia, powtarzał tylko pieśń starą, wszystkim już dobrze znaną, urazy swej do króla i chęci pomszczenia się za nią.

— Pomsta to Boża! palec to Boży! — wołał głośno ks. Baryczka. — Miara zgorzenia i nieprawości przepelnioną została, znużyła się cierpliwość Bogu, miłosierdzie ustępuje pomście i sprawiedliwości. Bóg, który dzieci karze za rodziców grzechy... jak w piśmie stoi, królestwo to nasze dotyka plagami okrutnymi za złość i winy tego, który mu panuje!

Nie chcę być sędzią drugich, bom sam grzesznym człowiekiem, ale niejedyn król winien, który wodze wszystkiej swej namiętności puszcza, winni drudzy, bo ich karygodne milczenie współnictwem nazwać można...

Komuż przystało skarcić, do opamiętania skłaniać, na dobrą drogę go prowadzić, jeśli nie duchownej starszyźnie, ojcom kościoła, którzy przy tronie stoją?

Kto będzie się śmiał odezwać, jeżeli oni zmilczą?

To mówiąc pierś uderzył pięścią ściśniętą ks. Baryczka.

— Winien, tak, winien Arcybiskup nasz Bogorja, pobłażliwy do zbytku; winien siostrzan jego, kapłan, co duchownych swych obowiązków dla świeckich spraw zapomina, ks. Suchywilk... jurysta więcej niż kapłan, dworak raczej niż ksiądz... a wreszcie mój najdroższy ojciec, ks. Biskup Bodzanta, który obowiązek czuje, a za długo się ociąga z surowym spełnieniem jego. Lecz tego ja skłonię, na kolanach uproszę, poprowadzę przed króla, a nie... to sam w imieniu jego stanę.

Tak, dodał, unosząc się i oczyma ognistymi wodząc po przytomnych — tak, stanę ja, choćby mnie miał spotkać los Stanisława biskupa, błogosławionej pamięci.

Takiego jak on, męznego bojownika pańskiego potrzeba nam, a ja, choć rzemyka obówia świętego męczennika rozwiązać nie jestem godnym — ja, pójdę w jego ślady.

Stojący obok ks. wikariusza Otto ze Szczekarzewic Toporczyk (Neorzy powinowaty i tegoż co on szczytu) z zakąszoną wargą i przymrużeniem okiem jednym, począł się uśmiechać nieco szydersko.

Ks. Baryczka dostrzegł ten uśmiech, zmarszczył się groźnie, i pytające ku niemu z gniewem zwrócił oblicze.

— Ojczy mój — z przekąsem odezwał się Otto ze Szczekarzewic — nie te to czasy, w których królowie rozgniewani męczenników czynili z was, a sobie gotowali klątwy i wygnanie... Wściecie co we Wrocławiu król czeski powiedział naszemu biskupowi, gdy mu za zajęcie dóbr klątwą zagrażał? Rozśmiał się obojętnie i rzekł:

— Widzę, że ci się męczeństwa zachciało, alem ja do tego nieskory. Dóbr ci nie oddam i życia nie odbiorę, a o klątwę rozprawim się w Rzymie.

Wszystkich oczy zwróciły się na ks. Baryczkę.

Oblicze jego marszczyło się i mieniło, drżał od wewnętrznego poruszenia. Zwrócił się z pewnym lekceważeniem do Ottona i zawołał, mierząc go wzrokiem dumnie:

— Nie każdemu Bóg wieniec i palmę męczeńską dać raczy, ale każdy winien święty spełnić obowiązek. Alboż myślicie, że i to męczeństwem nie jest, gdy kapłana, służęce bożego, sponiewierają pogardą?

To rzekłszy, odstąpił nieco ks. Baryczka z koła, otarł twarz, na którą pot wystąpił, i zamilkł.

Drudzy milcząco patrzyli po sobie.

Piotr Pszonka z Babina, niewielkiego wzrostu, człek z twarzą rozognioną i niespokojnym wejrzeniem, pierwszy się po nim odezwał.

— Sprawa księży, a nasza, nie jedna. Co nam tam do tego, jakie król życie prowadzi? Każdy za swoje odpowiada, z Bogiem się o nie rachować będzie. Gorsza to, że dla nas on nie takim jest, jakimbyśmy go mieć chcieli.

Na rycerstwie i na szczytach naszych stoi to królestwo, a nas, ojczyców jego, co raz spychają na dno. Prawo nam nowe narzucił, chce, aby wszystkim dobrze było, mieszczanom, kmieciom, chłopom, żydom nawet; tylko nam swobody dawne obrzyna i niewolą grozi.

Albo my to niepomni jesteśmy dawnych czasów, gdy z duchowieństwem królów i książąt sadzaliśmy i wysadzaliśmy? W cóż się to nasza siła i moc obróciła?

Daliśmy ją sobie po kawalku odbierać, przez własną winę, pójdziemy za to w niewolę.

Nieopodał od Pszonki stał, patrząc na mówiącego, mężczyzna w sile wieku, ujawnszy się w boki, oblicza zuchwałego, razem i przebiegłość chytrą znamionującego.

Barczysty był, gruby, i jak dąb rozrosły. Z obejścia się z nim otaczających, z wejrzeń, jakimi go mierzyli, wszyscy niemal ciekawie mu się przypatrując; widać było, iż znaczenie miał tu niemałe; i inni radzi byli jego też głos posłyszeć w tej sprawie.

Gęsty włos ciemny z odbłyskami miedzianymi zwił mu się dokoła twarzy nie pięknej, ale moc wielką, upór i zarozumienie wyrażającej. Brodę krótką, a szeroką, rudą miał prawie, policzki wystające, usta mięsiste, z pod których białe rzędy zębów przegłądały; oczy niespokojne, błyszczące. Strój na nim, wdziany niedbale, bogaty był i pański. Spodem suknia lamowana i spinana guzy świecącemi, na wierzchu dostatnia z kun szuba, okryta drogą tkaniną, miecz, który spierając się w bok ręką, przyciśnięty trzymał, kuty był, sadzony kamieniami, spięcie pasa świeciło podobnie, dostatek zdradzając.

Choć Neorza gospodarzem był, a ks. Baryczka dostojeństwem duchownym przed innymi świeckimi przodował, on tu zdawał się najpierwszym być, on prawo mieć jakieś do kierowania drugimi. Oglądano się nań ciekawie i trwożnie.

Ten jednak więcej słuchał, niż mówił, badać chciał raczej, niż się sam spowiadać.

Gdy Pszonka dokończył, usta mu drgać zaczęły.

Ścigano go tak oczyma, domagając się, by przemówił wreszcie, iż dłużej już milczeniem ich zbywać nie mógł.

— Wszystko to prawda, co mówicie — odezwał się rubasznie i jak od niechcienia — ale jeszcze to niespełna, co potrzeba. Tego nie dość! Ziemianie upadają na siłach, tak, boć i ich ziemie, z których się królestwo składa, przepadają w niem a toną. Żadna już się, jak dawniej, do tego przyznać nawet nie chce, że odrębną była, że swych własnych książąt miała.

Prawo jedno, pieniądz jeden, król jeden — a nasze swobody wielkopolskie, kujawskie, krakowskie, mazowieckie, wiele ich było, zmelli nam w pańskich żarnach na jedną mąkę, i będą nam teraz z niej dawali taką miarę, jaką zechcą.

Każda ziemia naprzód o sobie pamiętać powinna, każde rycerstwo z sobą się silno w kupę związać. Gdy pułki takie staną, wojsko z niego urośnie, a dziś co jest? tłum niesforny i zbieranina!

Większa część słuchaczy, jakby rozumną tę radę znalazła bardzo, poczęła żywe dawać przyzwolenia znaki.

— Rozumnie mówi! — szemrali jedni. — W sedno trafił! — dodawali drudzy. — Ten głowę ma! Jego słuchać!

— Ja moich Wielkopolan — ciągnął dalej mówca, uśmiechając się, rad sobie — około siebie ściskam, wiązę ich i gromadzę; królowi się kłaniam, ani mu wypowiadam wojny, ni posłuchu odmawiam. Milczę pokorny, ale w domu chcę panem być i będę, a gdy zastępnasz silny urośnie, nie weźmie nas nikt gołą ręką, nie damy się nikomu.

— Prawdę mówi Maciek Borkowicz — głową potrząsając, ozwał się Janina z Rogowa — o! święte to słowa... Ta nas jedność zgubiła...

Ziemianie się po różnych stronach rozpierzchli, swojego nie trzymając kąta. Dawniej krakowscy ojczyce potęgą byli w domu, teraz ich po wszech ziemiach pełno, a starej gromady nie ma. Wielkopolanie do nas nadciągają, o naszą sprawę się nie troszcząc, my też osiedlamy się, gdzie który chce obcemi się potem czując.

Stanie na tem, że będzie jedno królestwo, ale i ziemiany, rycerstwo, panowie przedpadną dawne prawa ich, a tylko moc królewska urośnie.

Słuchał tego, lekko poruszając ramionami, książdz Baryczka, słuchał, niecierpliwiąc się, aż przerwał nagle wielkim głosem:

— Wy rozumem chcecie wszystko złe zwojować! Rozumem, a bez Boga! Hej! hej! do lepszego nie tędy droga. Związując się w pułki i zastępy, nie uczynicie nic, nie podolacie niczemu, boście grzesznicy, rozpustnicy, a zbytniki, jako i ten, przeciw któremu wstajecie...

Naprzód żywota poprawcie, kajajcie się, a Bóg za was uczyni to, czemu wy rozumem nie podolacie. Król w grzechu, ale i wy nie lepsi! Bić się naprzód w piersi i pokutować...

Do tego przyszło, że w państwie chrześcijańskim Sakrament przenajświętszy bezbożni ludzie z kościoła chwycili i w błoto cisnęli!! Nie byłoż za co całego państwa karać i smagać? Co po tem, że świątynię w owem miejscu budują, a życia nie poprawili.

Widzieliście, jak zaraz po świętokradztwie tem przyszła w tropy kara boża, nasał Pan mór czarny, śmierć wymiotła tysiące, wyludniło się miasto! Jak Sodomę i Gomorę zniszczył Bóg to gniazdo wszeteczne, jeśli się nie poprawicie.

Nikt odpowiadać nie śmiał na ten groźny wykrzyk kapłana.

Przypomnienie niedawno przebytego moru, który po sobie straszne pozostawił ślady, bo ludność miasta w części się była rozpierzchła, a w części padła jego ofiarą, i całe osady a miasteczka po nim opustoszały, zbyt jeszcze było żywe, przerażało wszystkich.

Neorża nawet spuścił głowę i trwożliwie powiódł dokoła oczyma.

— Na wielkie zło — dokończył ks. Baryczka — ostrych też potrzeba leków... pokuty, włosiennicy, skruchy, poprawy; w nich zbawienie, a nie w waszych związkach i naradach!!

Bóg zsyła i mory i króle!

Maciek Borkowicz zacisnął usta... skrzywił się, pokręcił głową, i na kilka kroków w tył odstąpiwszy, kołpak poprawił, szubę ściągnął, jakby się już odchodzić zabierał, nie mając tu co poczynać więcej.

Lecz i ks. Baryczka, wypowiedziawszy co na sercu miał, nie spotykając ani przeciwniństwa, ani oznaki, by mu prawdę przyznano, gospodarza ukłonem żegnał, i zadumany ku drzwiom szedł szybkim krokiem. Maciek Borkowicz, zobaczywszy to, wstrzymał się z ustąpieniem, do koła powrócił.

Inni także, jakby im ksiądz ten ciężył i przeszkadzał, po odejściu jego spojrzeli na się różnie i odetchnęli swobodniej.

— Święty to człowiek — zabełkotał Neorża — a no, z niego nam nie wiele korzyści, chyba tyle, że królowi dokuczy... ten zaś i do klątwy gotów, nikogo się nie złąknie.

— Niechaj go tylko wyknie — przerwał Otto Toporczyk, śmiejąc się i pomrując. — Stoi przecie w tem prawie, które sam król postanowił, że od wyklętego pana chłopom wolno precz iść wszystkim, i nam się go pozbyć będzie łatwiej własnym prawem jego.

Rozśmieli się niektórzy, potwierdzali chętnie wszyscy. Lubelscy ziemianie, Pszonka, Otto i Janina coś pomiędzy sobą szeptać zaczęli.

Maciek Borkowicz poufale rękę położywszy na ramieniu gospodarza, po cichu mu kładł w ucho jakąś radę. Inni rozpraszali się powoli.

Wtem Pszonka znowu głośno mówić począł, a ci, co się byli już rozpierzchli, powoli ciekawie ku niemu się ściągali.

— Ksiądz po księżemu prawi, ale też słuszność ma — mówił Pszonka, rozglądając się dokoła i zbierając słuchaczy oczyma. — Albo to nie wstyd i hańba, że królowa siedzi wdową na Żarnowcu, a jemu coraz nowych niewiast sługi szukają... Mało im swoich, ściągają po wszystkich ziemiach węgierki, czeszki i niemki... Jak począł od poganki litewki, tak teraz coraz mu innego owocu trzeba... Co nadkąsi, to rzuci, a czeladź dojada!!

Zobaczycie, gdy się przebierze, jeszcze na żydówce gotów skończyć! Tego brakło, a i to będzie... bodajbym sromoty tej nie był prorokiem!

W śmiech obrócono wykrzyknik Pszonki.

— A, niechajby sobie smakował w czym chciał — odparł Janina — co nam do tego, to ks. Baryczki i spowiedników sprawa... Nam, byle rycerstwo i jego prawa szanował, choćby... wiedźmę wziął... nic do tego.

Toż gorzej, że nas ode dworu i od łask odpychają. Kilku ulubieńców swoich ma, ot takiego Kochana, co się nawet wojewodom nie kłania, a oni jemu nisko, takiego Dobka Bończę, który do góry głowę zadziera, jakby od innych był lepszy; zresztą kto przy nim? mieszczanin, półniemca, Wierzynek, żyd Lewko... kat ich zna!

— Lada chłop! lada rab! wykrzyknął, bełkocząc po swojemu Neorża, ja o tem najlepiej wiem. Byłże u mnie Leksa, co go Wiaduchem przezywali, prosty człek, gbur, co myślicie? Król do niego jeździł w odwiedziny, w chacie się zasiadywał, najmilej się z nim zabawiał, rozprawiał jak ze czlekiem, rady mu dawał, skarg miłościwie słuchał. Tego juczę, gdy śmiał potem do Wiślicy jechać, jakby tam dla nich prawo pisano, za co mu król jeszcze pono dziękował, powracającego na drodze, gdy mi zuchwale odpowiadał, schwycilem i zarąbał... Niechaj drudzy znają, aby mi kmieć lba do góry nie podnosił. Wara im stawać na równi z nami.

— A co o żydach powiadaliście, wtrącił żywo Otto ze Szczekarzewic, to też prawda, że on ich broni i strzeże lepiej, niż chrześcian... choć pana Boga naszego zamordowali. Pytajcie, dla czego? He! he! przez nich i przez mieszczan wielkie skarby mu płyną, a na złoto bardzo chciwy jest. Skarbiec już na Rusi dosyć napełnił, wieźli go wozami do Krakowa, że się pod nim osie łamały; tron ze szczerego złota sadzony kamieniami, jak pięści ogromnemi, dwie koronie z berłami, krzyż ogromny, a naczynia srebrnego i złotego, rogów kutych na seciny... Mało tego, z Gniezna kościelne srebra pooddawał mu druh Bogorja... Zdaje się dosyć ma, by krzyżaków, i węgrów, i czechów opłacać, a pychę swą stroić — a no, nie? Więcej i więcej coraz pragnie... Popatrzcie na dwór, jaki on był za Łokcia, który w prostej opończy chadzał, a co za zbytki u niego. Ino szkarłaty i perły na nich... złoto kapie z parobków stajennych, z Cesarzem chce iść o lepszą wspaniałość. A nam co po tem?

Na to mu jego Wierzynek, którego on już rycerzem uczynił i szczytu mu dozwolił, na to Lewko z innemi żydy pieniądze dostarczają... Każdą grudkę soli teraz liczą i ważą, ze wszystkiego korzyści ciągną, a gdzie dawniej ziemianie korzystali, teraz on sam i skarb...

Dla tego on żydów lubi, bo oni mu pieniądze kowają, no — i taka natura w nim przekorna, że co najpodlejszy gmin, na który nikt nie spojrzy, jemu smakuje najlepiej. Przyjdzie doń dwu na skargę albo z prośbą, popatrzy, zawsze który najnędzniejszy, tego wybierze i do niego się zwróci. A z pokłonem rycerz starego rodu zjawi się, zmierzy go od stóp do głów oczami, rzadko słowo powie. Żebrak na drodze, chłop u radła, żyd

w nędznej chałupie, to dla niego przysmaki. Nie pominie żadnego, stanie, zaczepi, będzie z nim rozmawiał i okaże mu oblicze najlaskawsze.

O tych żydach powiem wam, na com ja sam własnymi oczyma patrzył.

Wszyscy około mówiącego Ottona ze Szczekarzewic skupili się ciekawie, Neorza śmiał się uradowany, bo na jego młyn woda płynęła, powtarzał ciągle:

— A co? a co?

To, o co obwiniano króla, szczególnie mu smakowało.

— Chłopów król, a nie nasz! — mruczał — chłopów król.

Tymczasem Otto dalej opowiadać zaczął:

— Łońskiego roku, gdy Pan Bóg nas tym strasznym morem pokarał, który wiatry z kądś przyniosły, a drudzy prawią, że z kupcami do nas i kupią przywędrował, ludzie padali jak muchy. Trwoga była okrutna, tak, że niektórzy ze strachu samego marli, choć czarnych wrzodów, i krost, i dymienicy nie mieli. Kto żyw, z Krakowa życie unosił, bo tu powietrze, jak ks. Baryczka powiada, za przenajświętszy Sakrament sponiewierany mściło się bezlitośnie.

Zakonnicy tylko i księża, gdzie którzy pozostawali, aby umierającym ostatnią oddać posługę. Nie nastarczyć było grabarzy i trumien... Walały się trupy pod płotami, co je potem lada gdzie do dołów rzucano, aby zarazy pozbyć.

Król, który w Krakowie podówczas nie był, gdy się to poczynało, jakby sobie z mocy Bożej urągawisko czynił i wyzywał ją, choć go ten z Melsztyna i inni prosili, po rękach całowali, aby się kędy w lasy schronił, nie, wprost na Wawel powrócił!

Było to właśnie w porę, gdy ludzie dowodnie doszli, iż pomorek był bodaj sprawą żydów, albo za żydowskie grzechy, które u siebie cierpiemy, zesłany. Postanowiono niewiernych wybić i wytopić, aby Boga przebłagać.

Niektóre żydowstwo ostrzeżone, pouchodziło, inni u chrześcijan szukali drogo okupionego schronienia, po lochach i jamach się zakopywali.

Mnie się naówczas ani śniło do Krakowa, w paszczę tej potworze leżć, jakby onemu smokowi Krakusowemu pod Wawelem, aż dowiaduję się, że tam stary mój pan rodzic zaniemógł, a woła mnie do siebie, abym go wyzwolił, albo pogrzebał...

Musiałem więc, wzięwszy błogosławieństwo kapłańskie, a od bab różnych ziół siła i zaklęć, spieszyć do pana rodzica. Miałem postanowienie takie, tylko z wozem krytym pod domostwo po niego podjechać, starego zabrać, i ani wody kropli do ust nie biorąc, ani chleba kawałka, natychmiast nazad do Szczekarzewic z powrotem. Alem na złą trafił godzinę. Właśnie się było pospółstwo na żydów zniosło i zbiegło, a sprawiedliwość i pomstę nad niewiernymi domierzać zaczęło. Trafiłem, jakbym pośród rozpalonego ogniska padł.

Rynek, targowice, ulice, kąty, wszystko pełne było czerni i tłumów. Jeszczem jako żyw, ludzi tylu tak oszalałych nie widział, niby bestje dzikie i zwierz leśny, bez pamięci, bez litości mordujących, krwią pijanych.

Com się ja wówczas napatrzył, nie zapomnę do śmierci. Z pod murów zamkowych, od Okoła, kędy tylko o żydach wiedziano, wywlekali ich, albo pół żywych, lub już pobitych, siekierami łby ucinając, postronkami dławiąc... Napróżno się o chrzest prosili z trwogi, mordowano starych, młodych, niewiasty, dzieci rzezano na sztuki, aby nasienie tego plemienia nie zostało.

W niektórych miejscach po ulicach trupy już stosami pod ścianami, w kałużach, w rowach, zalegały obnażone, zsiniałe, w sztuki porąbane. Indziej, gdy już sił do mordowania tego plugawstwa nie stawało, gnali je i wlekli do rzeki, topiąc z kamieniami u szyi.

W mieście wycie, płacz, jęki, a szalony wrzask dzwony głuszył. Jam się tem pospieszniej do ojca przebił, często mieczem sobie drogę torować zmuszony, a mało mnie gwałtem też do tej roboty nie zaprzężono, bo lud wściekły na nikogo nie zważał.

Jużem się był nieopodal od zamku dostał, aż widzę, jakbym dziś jeszcze na to patrzył, naprzeciwko mnie, z muranego dworca, którego wrota wylupane na ziemi leżały, oprawcy wywlekali właśnie całą żydowską stadninę, która się w lochu ukrywała. Był jeden stary, z brodą siwą, z szat odarty, wychudły, nagi, z głową ogoloną, któremu sznur na szyję już i pętlicę zadziergnięto, było dwu młodszych na poły omdlałych, którzy ręce łamali, klękali i opierali się, że ich wlec musiano, i żydowica stara w poszarpanych

sukniach, której ze strachu mowę odjęło. Ta jeszcze córkę czy wnuczkę, dziewczę może dziesięcioletnie, obejmowała pokaleczonemi rękami tak silnie, że trzech ludzi wyrwać jej nie mogło...

Kupa ludzi tłocząc się, gnała ich. Jeden już zabity, padł twarzą na ziemię i tam został, z drugich krew się lała, ranami byli okryci... Żydowica też porąbana, posieczona, jakby nie czuła nic, dziecko sobą okrywając, ratować próżno chciała od śmierci.

Dziecko to, choć żydówka niewierna, takiej było cudnej piękności, że ja oczów od niej nie mógł oderwać, a wypieszczone i wątłe, jakby pańska córka. Włosy jej czarne, rozpuszczone, do kolan niemal spływały, a co z pod podartej koszuli ciała było widać, jakby z kości słoniowej wyrzeźbił, tak śliczne... Oczy, gdyby dwa węgle czarne, patrzyły przerażone na tych, co ją pochwyć chcieli... Rączkami białymi trzymała się pokrwawionej matki. Choć żydów, i mnie się chwilę żal zrobiło...

Jużby jej wnet był który cios zadał, bo się coraz większa kupa zwała, a starą siekli i cięli, która ślaniając się, jeszcze sobą okrywała dziecię, jak wilczyca, gdy jej szczenięta biorą, aż od zamku król wypadł, jako piorun, ze swojemi kilkunastu dworzany, i wprost na tę gromadę z mieczami podniesionemi.

Stanąłem mało, patrząc a dziwując się, myśląc, że i Kaźmirz też przyłoży rękę do dzieła, by niewiernych wytepić, a no, stało się, czegom nie spodziewałem...

Wszyscy królewscy i on sam, nie na żydów wpadli, ale na ten motłoch, co ich mordował. Sam widziałem, jak kilku ciał i okrwawił, rozpędzając precz. Z konia zsiadł i wprost do matki z dziecięciem pobiegł, okrywając ją sobą... i gromiąc napastujących. Won... precz!! Żydowica się rękami zbuczonymi za szaty jego chwyciła, a ową dziewczyninę król objął i płaszczem otulił. Żydowie starsi popadali mu pod nogi, za kolana go chwytając.

Kochan i Dobek, przy nim stojący, poczęli krzyczeć:

— Precz zbóje — precz!

A miecze mieli obnażone, i tłum, choć był rozjadły, pierzchnął, szanując wolę pańską.

Zaraz i drudzy żydowie, którzy poblizu byli, korzystając z tego, że oczy wszystkich na Kaźmirza były zwrócone, i że na nich nie baczono, poczęli się cisnąć, zbiegać z wrzaskiem i jękiem ku niemu.

Skinął, aby rozpędzono gmin, i sam na to patrzałem, jak starą żydowicę, z której posoka się lała, wzięwszy za rękę, a dziecko wciąż płaszczem otulając i starym żydowinom iść za sobą rozkazując, nazad na zamek pociągnął pieszo, dworowi zalecając, aby motłoch rozeznano, a niewiernym żadnej krzywdy czynić nie dano... Tak się to morderstwo podówczas skończyło, i żydów połowa albo i więcej uszła. Niektórzy na zamku, inni po miastach dalszych, nocami zbiegając, poprzebierani, ukryć się potrafili.

Mówili potem, że ową starą żydowicę, własnemu lekarzowi kazał obwiązywać, smarować i leczyć, a przez dni kilka spokoju nie miał, aż matkę z córką na królewskim wozie, pod strażą, do Opoczna odwieziono...

Gdybym sam nie patrzył na to, nie uwierzyłbym temu, że król się tą krwią niewierną nie wahał zboczyć, że tych nieczystych judaszów dotykał, bronił i ratował...

— O dziewczynie tej i matce jej słyszałem i ja, zaszeplenił Neorża, było o tem mowy dosyć... Powiadał Goworek, który ją widział, że tak pięknego wyrostka jak ten, w życiu nie widział. Choć to jeszcze pół dziecka było, ale królowi piękność kazała zapomnieć o żydostwie... Wszyscy się dziwowali, uśmiechali, a niektórzy nie mogli pojąć, jak Bóg niewiernej takiej mógł dać postać i ciało, coby jej królowa mogła zazdrościć...

Goworek, co na zamku mieszkał, rozpowiadał, że dziewczyna była nad swe lata rozumna, a śmiała i dumna... Dworacy i sam król napatrzeć się jej i nasłuchać nie mogli, gdy opowiadała, jak ich mordowano...

— Co po piękności i rozumie, przerwał Pszonka, kiedy to naród jest niewierny, do którego król ani się powinien był zbliżać, ani z nim przestawać. Szatan na pokusę nieraz daje swoim dzieciom takie oblicza anielskie... Lepiejby się było stało, gdyby to plugawstwo wybito w pień.

Janina, słuchający jak inni, dodał:

— To bo żydzi pono z tego rodu, który u króla żupy trzyma i pieniądze mu kuje. Bez nichby się nie obszedł... dla tego ich ratował.

Neorża, wielickich dzierzawców i swoje konie przypomniawszy, dodał z przekleństwem:

— Jeszcze my ich kiedyś, judaszów tych, razem z tym, co ich tak kocha, wyženimy precz... dopiero lepiej będzie.

Śmiała ta pogrożka, choć może wielu była po myśli, w nikim jednak wtóru nie znalazła, przeszła jakby niedosłyszana.

Niechętni byli wszyscy królowi, przecie bali się i wahali inaczej jak szemraniem myśli objawić.

Maciek Borkowicz, przysłuchujący się z półumiechem pogardliwym, potrząsając głową, rzekł, wodząc oczyma do koła:

— E! e! próżny to gwar! miłościwi moi! Nałajac z kąta, to tam każdy potrafi — a do roboty się zabrać, mało kto. Ja, nie chwając się, wielkopolan ściagam moich do kupy — radzę, czyńcie wy też samo u siebie. Z gadaniny nie urośnie nic, chyba kwas.

I kołpaka znowu poprawiwszy, z miną butną, Neorży się trochę skłoniwszy, szedł precz na innych nie patrząc.

Gdy się to w wielkiej izbie działo, z której goście powoli rozchodzić się zaczęli i rozjeżdżać, pilnując, aby gromadnie na ulicę się nie wysypywali i każdy w inną rozjeżdżając stronę; dotąd milczący człek, który się tu nie wiedzieć jak wcisnął, i nie odzywając ani mięszając do rozmowy, słuchał tylko nie bardzo nawijając na oczy, wysliznął się też, opończą osłoniwszy ze dworu Neorży, pieszo pod płotami poczynając iść ku miastu i rynkowi.

Był już za drzwiami, gdy gospodarz, ciągle rozgrzany rozmową, który mało co na kogo zważał i prawie go nie postrzegł wprzód, dopiero wychodzącego zobaczył lepiej, chcąc dognać, ale już było zapóźno.

Stał koło niego Jaksza, co się o córkę Neorży zawsze jeszcze starał i do niego chodził, choć wiadomo było, że na dworze królewskim służył i z królem trzymał. Nie obawiano się go, bo przyszłego teścia zdradzić nie mógł.

Tego porywczco spytał Neorża.

— Kto to taki?

Wskazał palcem za odchodzącym.

— Ja go nie znam — rzekł Jaksza.

— Któż go przywiódł? z kim tu przybył? — podchwycił niespokojnie Neorża — nie wy?

— Nie ja! — odparł zapytany.

Neorża zaburczał gniewnie...

— Do kata! — zawołał — stał jak mruk, uszy nastawiwszy — i niewiadomo kto on jest. Gotów na zamek z językiem.

Włosy sobie zaczął targać Neorża, usiłując przypomnieć kto nieznanego przywiódł tu ziemianina, przed którym, sądząc go swoim, z niczem się tajono.

Jaksza go nieco uspokoił tem, że przecie na podsłuchy przysłanym nie był a samby się wnijsć nie ważył, ktoś więc za niego ręczył.

— Wy też nie do nas, a do króla i do dworu należycie, to ja wiem, odezwał się gospodarz do Jaksy, ale przecie skarżyć nas nie pójdziecie.

Spojrzał nań, Jaksie na twarz rumieniec wystąpił.

— Jam tu przybył się wam pokłonić, miłościwy panie, a nie języka szukać — rzekł żywiej. — Boli mnie to, co przeciw królowi mówiono, bo ja go miłuję, ale nie moja to rzecz rozgłaszać, co przy mnie, zaufawszy mi, mówiono... otwartym sercem.

Zresztą — dodał przybliżając się do Wojewody — nie jest na zamku tajemnicą, co który z ziemian myśli i co o królu prawi. Wie o tem dobrze Kochan, ulubieniec pański, a o czem on wie dziś, pewnie król jutro będzie wiedział.

Neorża się skrzywił, ręką poruszył, splunął, lecz że Jaksza się żegnał z nim, rozmowy nie przeciągał.

Zmęczony, ziewający z troską poszedł do pościeli. Nie wiodło mu się jak pragnął.

Nieznajomy ów, który się był niepostrzeżony zrazu wcisnął pomiędzy niechętnych królowi, wprost ze dworu wolnym krokiem na zamek się zawrócił.

Był to Przedbór Zadora, z bratem swym Pakosławem zostający na usługach królewskich, prawdę rzekłszy, Kochanowi więcej służący niż panu, który go rzadko widywał.

Obaj bracia zdawna wiernie stali przy ulubieńcu, który się im wypłacał zalecając ich Kaźmirzowi, jako najwierniejsze sługi. Z ubogiej rozrodzonej rodziny pochodzący, Przedbór i Pakosław musieli przy dworze szczęścia szukać, a dorabiali się go, nie bardzo patrząc, co im czynić kazano.

Kochan miał z nich posłów, pośredników, pomocników, a gdziekolwiek nie mógł sam, jednym lub drugim z nich się wyręczał.

Przedbór i Pakosław stworzeni się zdawali do tego rzemiosła dworskiego. Obydwaj milczący, potulni, pokorni, roztropni, ostrożni, niezmordowani, chętni i gotowi gdzie im kazano, w potrzebie odważni i mocnego korda... sami przez się czynili mało, nie wazyli się na nic własnym rozumem, aby za to nie odpowiadać skórą własną, ale co im zlecono spełniali jak najgorliwiej i najrzęcznie. Stąpić bez nich nie mógł Kochan, a Kochan ten, choć mało na dworze widoczny, choć żadnego tytułu i dostojenstwa nie mający, był jednym z tych ludzi, z którymi się wszyscy, i najwyżej położeni rachować i oglądać musieli na nich.

Nie jeden raz, gdy króla przygotować do czego, nakłonić, przekonać było potrzeba; Arcybiskup Bogorja, pan z Melsztyna i inni po cichu się doń udawali.

Ale datkiem ani pochlebstwem ująć go nie było można. Samowolny był, dumny, czuł swą siłę. Niekiedy, gdy mu to, co od niego żądano, nie po myśli było; wręcz odpowiadał, iż tego nie uczyni. Potem już próżno go było chcieć nakłaniać.

Między królem a Kochanem, wiemy już jaki był stosunek. Zrosli razem, Kaźmirz znał druha tego, wiedział co mu miał zwierzyć, a co zmilczeć; a gdy nań skinął, pewien był, że nikt lepiej woli jego nie spełni nad Kochana. Przy ludziach on wydawał się sługą pokornym, sam na sam z królem często za pan brat sobie poczynał, a nieraz go strofował.

Bez Kochana Rawy Kaźmirzowi trudno obejść się było, choć czasem hamować go potrzebował. Najlepiej zawiadomionym o wszystkim co się w kraju, mieście, na zamku działo, a co króla dotyczyć się mogło, był ten ulubieniec. Donosił wszakże panu tylko o tem, co uznał potrzebnym, aby uszów jego doszło.

On i Wierzynek, z którym Rawa poufale przestawał, družbę z nim mając wielką, stanowili tę radę potajemną w sprawach osobistych Kaźmirza, która mu życie ułatwiała, osładzała, a w wielu wypadkach od ciężkich osłoniła razów. Przed niemi nie skryło się nic, oczy mieli otwarte, ucho czujne, a, choć dobrodziejstwy obsypywani hojnie, króla nie przez chciwość ani przez wdzięczność, ale jako człowieka kochali.

Oni też jedni znali go takim, jakim był w istocie.

Z ludzi jak z kwiatów woń wychodząca na świat, niekoniecznie odpowiada temu, co się w nich w istocie znajduje. Pachnie często trucizna, odraża wonią dobroczynne ziele. Tak i sława ludzka nie pełna bywa i niesprawiedliwa, podnosi często to, co na to nie zasługuje, zapomina o tem, co najbardziej pamięci warto.

W Kaźmirzu naówczas widziano to, co każdy chciał upatrzeć; całego nie znali nawet ci, co mu byli najbliżsi; ani Bogorja, ni Suchywilk, ni pan z Melsztyna, ni Trepka, ani Wierzynek, ni Kochan nawet.

Każdy z nich widział odsłoniętą mu część jakąś tego człowieka, króla, pana lub przyjaciela... sądząc, że ona nim całym była.

Króla zaś wielkiego a nieszczęśliwego, brzemiennego myślami a troskami straszniemi, dopiero z czynów przeszłość odgadnąć może.

Zwali go jedni chciwym, drudzy pysznym, samowolnym jedni, swawolnym i rozpasanym drudzy...

W nazwaniu urągliwym króla chłopów tkwiła już niechęć rycerstwa, choć król nie ukrócił mu ani swobód, ni przywilejów, mieli mu za zło, że na równi z niemi dbał nie tylko o mieszczanina, o kmiecia, ale nawet o żyda; a rycerzem będąc, nietylko nim był, ale skrzętnym gospodarzem.

Jak Neorza koni wypędzonych z Wieliczki nie mógł mu darować, tak inni tego, że za krzywdy kmiecia się ujmował, a sprawiedliwość równą chciał mieć dla wszystkich; że miasta dzwigał, a mieszczan rad możnemi widział.

Ten podnoszący się od ziemi stan średni, choć wzrost jego wprędce zatamować miało... już się rycerstwu groźnym wydawał. Król z czasem oprzeć się mógł na nim i stawać przeciw roszczeniom ziemian i panoszków.

Wiedział Kaźmirz, jak go sądzono, lecz miał w obec ludzkich sądów toż samo mężtwo, które ojciec jego przeciw nieprzyjaciołom okazywał.

Nie troszczył się o głosy złośliwe, nie obawiał pomsty niczyjej, nie cofnął nigdy przed oporem tłumu i szemraniem... Krzyczano na Wiślickie prawa... przecież król je przewiódł, na swem stawiając. Obok mężstwa miał obyczaj taki, że o tem co czynił, mówił mało albo nic; i to chyba z wybranymi. Gdy myśl się w nim zrodziła a dojrzała, nie pytał, jak ją przyjmą... spełniał, co postanowił.

Milczenie to wstrzemięźliwe czyniło, iż częstokroć ludzie domyśleć się nie umieli, co postanowi, kędy pójdzie, odgadnąć nie mogli... i obawiali się.

Teraz, po owym morze, który znaczna część duchowieństwa, jako karę za królewskie grzechy poczytywała i głośiła... po opiece żydom prześladowanym okazanej, po nadaniu przewiska króla chłopów, wiedząc, ilu sobie niechętnych miał Kaźmirz, wcale się o przejednanie ich nie troszczył; a gdy Kochan mu wyliczał nieprzyjaciół, uśmiechał się potrząsając głową.

— Za słowa mścić się nie będę — mówił, zbywając się ulubieńca — gdy występki popełni z nich który, dla przykładu i grozy nie przebaczę... Słowo wiatr... ci co mówią wiele, zazwyczaj czynią mało.

Tak, ani Neorzy którego tylko nie przypuszczał do siebie, ani innych nie dał przesła-dować, zbywając ich pogardą.

Nazajutrz po dniu tym, gdy nieprzychylni królowi ziemianie u Neorzy się zeszli i co który na sercu miał, głośno się z tego wypowiedali, dając się nieopatrzanie podsłuchać Przedborowi, który doniósł o nich na zamek; Kochan, ledwie strzymawszy wieczorem przy sobie co mu doniesiono, wszedł do królewskiej sypialni zawczasu rozpowiedzieć mu o schadzce wczorajszej.

Król dnia tego wstał z łoża znękany, i, jak mu się to często trafiało, niemal pod brzemieniem życia upadać się zdawał. Od owej tragedyi na Węgrzech, od niedosłego smutnego wesela w Pradze, bardziej jeszcze od ożenienia z Adelaidą, przychodziły nań często takie chwile niesmaku i zmęczenia, z których Kochanowi nawet, znającemu go najbliżej, trudno go czemś wyrwać było.

W chwilach tych Kaźmirz milczący był, obojętny na wszystko, głuchy; niczego się nie zdawał pragnąć, i nic go nie obchodziło.

Często po dwakroć i trzykroć ulubieniec mu coś powtarzać musiał nim zrozumiał, nim się tem rozbudzić dał i odpowiedział.

W takich to dniach znękania Kochan mu rozrywek szukał, niewiasty rań, aby go do życia przywrócić, wesole towarzystwo ściągał do stołu, Szupce, trefnisiowi pana, towarzys-zów dobierał... a gdy to wszystko nie pomagało, naostatek do ks. Suchywilka się udawał, który królowi myśl jaką wielką poddawszy, najprędzej nią z tej obumarłej wyprowadzał go martwoty.

Tak po pragskim niedoszłym weselu, uleczył go Suchywilk ze smutków, rzucając pierwszą myśl Wiślickich Statutów; teraz król zamki budował, miasta podnosił, drogi kopać kazał, i tem żył znowu.

Lecz po niejakiem czasie, gdy nowa myśl ciało przybierać zaczynała, krótką go obda-rzywszy pociechą, nowej już karmi szukać było potrzeba.

Wiecznie rozdartą, niezgojoną raną serca Kaźmirzowego była ta groźba straszna, że nie zostawi męskiego potomka po sobie, a koronę na obce dłonie zdać będzie musiał, i zejść ostatnim swego rodu.

Nadzieje, które pokładał na ożenieniu z Adelaidą, spełzły były. Królowa, odesłana do Żarnowca, siedziała tam samotna, a Kaźmirz żyć z nią prawie nie począwszy, nieprzewy-ciężony wstręt powziął ku niej i widział w niej tylko zawadę, na wieki mu odejmującą wszelkie lepszej przyszłości wróżby.

Na to rozstanie tak prędkie z Adelaidą wiele się różnych przyczyn składało.

Z twarzy nie piękna, na umyśle upośledzona, rada swemu wyniesieniu na królowę, Adelaida znosiła wygnanie prawie obojętnie.

Niemka to była, której się zdało, że polskiemu królowi pustyni i lasów dzikich przyniosła wielką cześć i szczęście z sobą. Pewną się czuła, że ją kochać musi, a pozyskać tej miłości inaczej, jak rubaszną zalotnością, przy brzydocie wstrętliwą, nie umiała.

I teraz jeszcze, gdy już od dawna męża nie widywała, spodziewała się zawsze, pewną była, że do niej powrócić musi. Trefiła rudawe włosy, malowała piegowate wędniejące policzki w nadziei, że Kaźmirz kiedyś się zjawi. Czekala na niego od miesiąca do miesiąca, od roku do roku, a dwór jej baśnie plotąc, utrzymywał ją w tych złudzeniach.

Może Kaźmirz byłby przemógł odrazę do kobiety dla miłości rodu swego, lecz... królowa Elżbieta stała na straży, aby synowi jej obiecana już korona wyrwaną nie była. Ona i jej przyjaciele, w otoczeniu króla znajdujący się, do których najznakomitszych liczono dostojników — starali się co mogli donosić o Adelaidzie i wstręt do niej pielęgnować i powiększać. Królowa Elżbieta rachowała na tę koronę dla syna, drżała na samą myśl utracenia jej. Rycerstwo miało już obietnice wielkich swobód, duchowieństwo wielkich łask, jeśliby Ludwik został polskim królem. A do tego właśnie potrzeba było, ażeby król nie żył z tą żoną ani z żadną inną, aby miał bodaj kochanki i potomstwo pokątne, ale nie korony dziedzica.

Z Węgier, jak mówiono, szły na to do Polski pieniądze, aby króla pilnowano...

Kilka razy ci, co się lękali połączenia z Węgrami, starali się nakłonić Kaźmirza do przewyżczenia odrazy... Przybywał król z mocnym postanowieniem zbliżenia się do Adelaidy, ale wnet zrażała go pewnością zwycięstwa, pychą, zalotnością niezgrabną, samą swą powierzchownością śmieszną i dziecinnie pyszniącą się jakimś kobiecym urokiem, którego nie miała. Nie była to ani prosta chłopka, dziecko lasów i pól dobrodusze, ani kobieta jak Margareta, na rycerskich dworach w obcowaniu z ludźmi ogłodzonego obyczaju wykształcona... ale coś mieszczańsko, dziwacznie nadymającego się sobą, a odrażającego... nicością... Król po każdym takim spotkaniu ze zwiększoną obrzydliwością od niej uciekał.

Królowa Adelaida słysząc, że niewiast wiele mężowi jej za miłośnice dawano, sądząc go namiętym, w taki sposób tę namiętność wywoływać się starała, iż pogardę i srom obudzała.

Nie umiała sobie potem inaczej wytłómaczyć wstrętu i uciezki tylko czarami i podszeptami zauszników królowej Elżbiety, o której zabiegach była uwiadomiona.

Strutego pana swojego wioził potem Kochan co prędzej do jednego z tych dworów, w których dlań młodością, świeżością, wdziękiem nęcące trzymał niewiasty, i smętnemu panu niemal gwałtem je narzucał.

Król ulegał pokusom... lecz nie na długo, życie to przykrzyło mu się wprędce... Żona, niewiasta, któraby sercu jego odpowiadała, w jego przekonaniu już się nie znajdowała na świecie.

Umarła, może w męczarniach, z Klarą, może we wdowim smutku z Margaretą.

Wkrótce odwiedziny w Żarnowcu zupełnie ustały, Kochan po każdym widząc pana więcej zbolalym, jak mógł od nich odwoził.

Królowej nie działo się nic złego, miała dwór znaczny, cześć należną, pańskie otoczenie, zabawy, jakie chciała. Śpiewaków a bazarzy i błaznów z Niemiec sobie sprowadzała, stroiła się w szaty bogate, duchowieństwo opuszczoną starało się pocieszać. Obiecywano jej ciągle lepsze losy.

Lecz dla nieprzyjaciół króla, ten rozbrat z ukoronowaną małżonką prawą, bronią był skuteczną dla zohydzenia go u ludzi. Posługiwali się nim i powieściami o jednodniowych kochankach królewskich, aby wystawić Kaźmirza jako rozpustnika, wiarołomcę, rozpasanego na wszystko zbytnika.

— Miłościwy panie mój — począł nazajutrz Kochan, spoglądając na znużonego króla — który patrzył, nie widząc nic, wprost przed siebie — miłościwy panie, czasby ludziom złym gęby zamałować.

Kaźmirz rzucił nań okiem roztargnionem i ruszeniem ramion odpowiedział.

— Znowu się u tego Neorzy zbierają — dodał Rawa — liczba ich się mnoży, wygadywać im wolno bezkarnie, więc języki na dziadowski bicz rozpuszczają.

— I cóż mówią? — zapytał król obojętnie, zbywając go się.

— A cóż? zawsze jedno! Mnich ten zuchwały Baryczka, nie darmo Amadejów pokrewny... węgier też, choć ojciec z polką się ożenił, Baryczka się odgraża, że gotów z kazińnicą piorunować na króla... Nawet arcybiskupa i biskupa nie szczędzi za to, że oni was nie zmuszają z żoną żyć, a... inne niewiasty porzucić.

Jakby kochanek i księża nie mieli? dodał Rawa.

— Kochanki? miłośnice? powtórzył król z uśmiechem chłodnym — gdzież one są? Na dworze ich nie chowam.

Kochan zamilkł.

— Ani Arcybiskup, ni Biskup, dołożył król, nie dopuszczą temu szaleńcowi rzucić się na mnie.

— Biskup? kto wie? odparł Kochan. Ks. Bodzanta to nie Jangrot spokojny, temu potrzeba koniecznie z kimś koty drzeć, mało mu może będzie mniszek sądeckich, porwie się na króla.

— A inni, jacy tam u Neorzy byli? spytał król po chwili.

Neorza człowiek zły — to prawda, lecz głupi jest, obawiać się go nie ma powodu. Nie szanuje go nikt, i nikt nie pójdzie za nim.

— Przecież tacy ludzie się do niego garną, jak Maciek Borkowicz, rzekł Kochan, który tam wczoraj był, ten nie obrany z rozumu, a w wielkiej Polsce dużo swoich ma.

Każmirz bystro spojrział, tknęło go to.

— Borkowicz? powtórzył. Jam go nadaniami i łaskami obsypał, miałżeby niewdzięcznym być? Cóż przeciwko mnie mieć może?

— Nie wiem, odparł Kochan, ale to pewna, że z temi trzymam, co jawnie przeciwko nam są.

Król zdawał się niedowierzać.

— Człek to przebiegły i śmiały, rzekł, może tylko języka szuka.

— A jabym mu nie wierzył, przerwał Kochan, niepomiarne wielkości jest chciwy.

— Któż był więcej? zagadnął król.

— Było ich pono dosyć — krótko zamknął ulubieniec królewski, Pszonka, Janina, Otto ze Szczekarzewic.

Milczeli chwilę, a król dumał.

— Otto im gadkę prawił, jak wasza miłość żydów ratowaliście łońskiego roku, osobliwie ową niedorosłą dziewczkę, której matkę tak okrutnie posieczono.

Każmirzowi twarz się rozjaśniła.

— Co to za śliczna była ta przestraszona! — zawołał — w życiu nie widziałem piękniejszej twarzyczki, ani oczu podobnych! Co z niej będzie, gdy urośnie! Westchnął.

— I zmarnuje się ta piękność przedziwna pomiędzy żydowstwem brudnym — dodał ciszej.

Kochan baczenie się w króla wpatrywał, jakby chciał sobie zapamiętać jego słowa.

Rozmowa się przerwała.

— Miłościwy mój — dorzucił po przestanku Kochan, Neorzę by gdzie na Rusi na zamku posadzić, aby tu kłokolu nie siał, drudzy by zamilkli.

Rozśmiał się król głośno.

— Aby się miał za takiego człowieka, którego ja, pan i król, lękać się muszę? Cześć by mu się wyrządziła za wielka. Głupców nie ma się co obawiać.

Ruszył ramionami wzgardliwie.

Aż wtem do drzwi już pukano.

Kochan wnet pokorniejszą przybrawszy postawę cofnął się ku progowi. Po chodzie i kołataniu on i król poznali nadchodzącego Suchywilka.

Wszedł z powagą, bez zbytej poufalości, ani nadto się korząc, jak człowiek co królewską i swą godność oszacować umiał, a stanowiska był pewnym.

Każmirz go witał uprzejmie.

Wejrzenie, które duchowny na Kochana stojącego w progu rzucił, znakiem było, ażeby się oddalił.

Rawa wszedł natychmiast — wyszedł, ale za progiem pozostał i ucho do drzwi przyłożył.

O łaski, jakie u króla miał zdawna siostrzeniec Arcybiskupi, nie był faworyt zazdrośnym.

Zastąpić go mógł, walczyć by się z nim nie ośmielił, znał wielką wyższość człowieka, który się szanować kazał, lecz o wszystkim wiedzieć potrzebował.

Król doradcy swojemu wskazał siedzenie. Skłonił się posępnego oblicza kapłan — ale nie usiadł. Obie ręce na stole oparłszy przy którym król spoczywał — zadumał się nieco, przygotowywał do rozmowy.

— Przychodzę z przestrogą — rzekł po namyśle. Czy z rozkazu króla dobra Złockie biskupowi krakowskiemu zajęchano?

Spojrzał, nastąpiła chwila milczenia, król milczał, gotując odpowiedź rozważną.

— Dobra Złockie? odparł zacinając usta — tak jest. Układałem się ze ś. p. biskupem Jangrotem; godził się na to, bym mu inne w miejsce ich wyznaczył. Złockie mi do moich lasów i majątności są konieczne potrzebne.

— Umowy nie było spisanej? zapytał Suchywilk.

— Byli świadkowie.

— Ks. Bodzanta o układzie tym nic wiedzieć nie chce, mówił dalej duchowny, — na żadną zamianę przyzwolić.

— Krzywda by mu się nie stała — dodał król. Z wujem waszym nie jednąśmy podobną przeprowadzili zamianę. Kościelnego dobra nie pożądam, duchowieństwa krzywdy nie chcę.

Niedokończywszy, król głowę spuścił.

— Bodzanta rozszalony, zburzony mocno... dodał Suchywilk.

— Przecież da się uchodzić — rzekł król — potrzeba tego.

— Wątpię, żeby z nieco upartym a sierzdystym starcem już się co dało uczynić — odezwał się, głos zniżając, Suchywilk. Być może, iż go podbudzono i oliwy do ognia dolano, ale się pali już jasno i trzeba mu dać wygorzeć.

Złockie dobra bodaj zwrócić, a później zrobić się coś może.

Król wstał, jakby go co ubodło nagle.

— Powagę bym królewską naruszył — rzekł głosem drżącym, ulegając biskupowi. Nie mogę. Nagrodzę go sowicie, nadam więcej niż warta ziemia ta, ale ją dziś puścić nazad sromby był dla mnie.

Suchywilk na stole sparty, stał zadumany, brwi ściągając.

— Zajątrzy się ten spór mocno — odezwał się zwolna, poglądając na króla. Ks. Bodzanta gwałtowny jest, trzeba mu dać czas ostygnąć, nie jątrzyć go więcej oporem. Dobra Złockie wojny z nim nie warte.

— To pewna, żywo odparł król — dobra Złockie, nie, ale cześć moja królewska warta, bym stał przy niej.

Com uczynił, cofnąć nie mogę. Król sobie kłamu zadawać nie powinien.

— Tak, dodał pomilczawszy chwilę. Wrogów mam dosyć, potwarzy na sobie noszę niemało. Wyśmieliby mnie ludzie, że nie wiem co czynię, gdy nazajutrz odrabiać muszę.

Wy — obrócił się do Suchywilka, idźcie do Biskupa, wyłóżcie mu, jak sprawa stoi. Umowem miał, wynagrodzenie obiecuję. Żalować powolności nie będzie, lecz król się upokorzyć nie da.

Uchodźcie go, proszę...

— Radbym, rzekł uważnie słuchający Suchywilk — ale czy zdołam, nie wiem. On też swą cześć na tem zasadza, aby dobra odzyskał, te, a nie inne. Woła i narzeka, że władza duchowna słabnie i coraz bardziej świeckiej ulegać musi, gdy na równi z nią stać ma prawo.

Król coraz się groźniej marszczył.

— Nie mogę! zawołał — niestety! nie mogę. Biskupem on jest, ale ja, królem. Com uczynił musi być dobrem, choćbym za to w dziesięcioro miał zapłacić.

Zaprawdę, źle się stało, żem zaraz umowy z Jangrotem spisać nie kazał. Zwlekało się to od dnia do dnia, aż śmierć go niespodzianie zaskoczyła. — Niech Bodzanta żąda czego chce, dóbr zajętych nie powrócę.

Z twarzy słuchającego widać było, iż niemal przekonanie królewskie podzielać musiał, a przynajmniej sprawy biskupa bronić wielkiej nie miał ochoty.

Zarzucono mu naówczas powszechnie, iż za mało się czuł duchownym, a spraw stanu swojego zbyt sobie nie ważył i słabo za niemi obstawał.

— Ciężkie to będzie! — westchnął.

— Któż Biskupa podżegł do tego? bo on sam zrazu milczał — zapytał król.

Suchywilk się uśmiechnął.

— Być może, iż go namówiono! — odezwał się ciszej.

Spojrzeni sobie w oczy, i porozumieli, iż jedna myśl przyszła obu.

— Ks. Baryczka za biskupem stoi? — rzekł król.

Głowy skinieniem potwierdził to słuchający.

— Z tym się porozumieć i przejednać nie będzie łatwo — dodał Kaźmirz — znam go z dawna. Niechętnym mi jest może; jako Amadejom pokrewny — nie wiem — szuka tylko powodu aby walkę rozpoczął. Duch w nim niespokojny. Walce bym nie rad był, bo duchowny stan szanuję, bo niepożytecznej walki unikam zawsze i wszędzie. Królewska godność kapłaństwem jest także! Nie będą mnie szanować poddani, gdy ja się sam nie poszanuję.

A wy... co mówicie o Baryczce? spytał, oczy wlepiając w Suchywilka, który się zadumał głęboko.

— Kapłan jest nieposzlakowany — odparł po małym namyśle, ale człowiek namiętny, natura niespokojna... jak Salamandra w ogniuby żył...

Do pogan go ślać nawracać, na niewiernych z krzyżem... bo mu słowa nie brak górcącego, a odwagę ma nieustraszoną.

Myślał chwilkę jeszcze i dorzucił.

— I rozgłosu może jest żądny, choć sam się nie poczuwa do tego.

Król stał chmurny.

— Uczynię, co mogę, by walki uniknąć — rzekł — radźcie mi?

— Powiedziałbym, że ustąpić potrzeba, gdybyś miłość wasza nie wyrzekł wprzód, że ustępować się nie godzi.

— Nie mogę! — powtórzył Kaźmirz stanowczo i dobitnie. — Kaźmirz oddałby dobra Złockie, król nie może.

Uśmiechnął się. — Radźcie inaczej.

Ksiądz milczał długo.

— Nie będę taił przed wami, miłościwy królu — rzekł — żem z biskupem Bodzantą mówił już o tem. Znalazłem go we wzburzeniu wielkiem i próżnom go uchodzić się starał. Starzec się klątwą odgraża...

— Klątwą? — podchwycił król — nie bardzo zastraszony. — Wicie najlepiej, jak krzyżacy, jak inni też mało sobie dziś klątwy kościelne ważą. Nadużyto tej broni, aż się wyszczerbiła.

— Przecież nie godzi się jej lekceważyć — z powagą przerwał Suchywilk — kościół innej broni nie miał i nie ma. Używać jej musiał, straszna ona zawsze.

— Ależ... wy sami, wy, duchowni, nie wszyscy jej już posłuszni jesteście — przerwał Kaźmirz — księza przeciw msze odprawiają i grzebią...

— Żli księza — przerwał Suchywilk, marszcząc się — źli to księza, miłościwy królu, bo się przeciw władzy swej buntują, a zachwieje się ona — padną i duchowni z nią.

Po małym przestanku, ksiądz dodał.

— Juściż, Bóg da, do ostateczności tej nie dopuścimy...

Król nic nie odpowiedział.

Na twarzy jego zaszła zmiana, jaką często dostrzegali obcujący z nim. Ostygłe oblicze znużonego człowieka nagle się przeistoczyło na poważne, na królewskie.

Poczucie jakiejś dumy obwiodło je aureolą.

— O innem mówmy — rzekł. — Spodziewam się z pomocą waszą przewieść to, ażeby mi od sądów z prawa magdeburckiego nie chodzono z powołaniem i naganą za granicę, do niemieckiego miasta i niemieckich rozumów. Wstyd to dla nas... jakbyśmy własnych sądów nie mieli a sprawiedliwości sami nie mogli znaleźć u siebie. Na krakowskim zamku postanowimy sąd najwyższy.

Suchywilk, słuchając tak nagle zwróconej ku czemu innemu mowy, widocznie się zdumiał, i nie ukrył zdumienia. Lecz, zrozumiał to, że król o sprawie z biskupem krakowskim już więcej mówić nie chciał.

Zamilkł więc postuszny.

Po chwilce, ledwie coś o tem prawie niemieckiem przebaknąwszy, wyszedł Suchywilk do drzwi, przeprowadzony przez króla.

Za progiem drugich podwoi, Kochan dotrwał do końca i wysłuchał rozmowę całą. — Rumienił się, gniewnie wstrząsał, pięści zaciskał, to radował, gdy król stałość okazywał.

— A! — mówił sam do siebie, — Baryczka nam tu grozić myśli i królowi pokój mać. Nauczę ja klechę rozumu!!

Z tem po cichu odszedł od progu.

W pół godziny potem Kochana już na zamku nie było. Przystroił się jak był zwykł do wyjścia, mieczyk przypasał mały, łańcuch od króla dany na piersi zawiesił, pacholę za sobą wziął, aby mu większy miecz niosło, który był rycerstwa oznaką, i — na miasto się udał.

Kamienica Wierzynka, jedna z tych wielu, których on już naówczas był właścicielem, a nabywał, mieniał i sprzedawał je często, znajdowała się w samym rynku.

W niej całe ówczesne życie miejskie, a przynajmniej część jego najgłośniejsza się skupiała.

Mikołaj był jednym z najczynniejszych ludzi swojego czasu i stanu... Chociaż, za prawdę, stanu jego już oznaczyć było trudno. Mieszczanin, do ziemian miał się liczyć prawo i szczyt miał, Łagodę, jako inne rycerstwo, do dworskich urzędników wyższych także go wmieścić było można, bo choć tytułów nie nosił, obowiązki pełnił nie jednego, ale kilku.

Podskarbin się nie zowiąc, skarbem króla rozrządzał, miał na oku mennicę, w mieście stał za wójta i za Radę.

Handel też prowadził rozległy a różny na wsze strony... Kupcy w nim głowę swą widzieli.

Ziemianie potrzebowali go dla grosza, duchowieństwo szanowało dla szczodrobliwości. Król naostatek, jakby z niemieckiego Viersinga przerobione na polskiego Wierzynka chciał usprawiedliwić imię, zwierzał mu wszystko, we wszystkim wierzył, i do wiernych rąk co miał, bez liczby oddawał.

A miał też w nim sługę, który życie, mienie, wszystko był gotów dlań poświęcić.

Niewielkiego wzrostu, lat średnich, lecz krzepki, zręczny i ruchawy Miklasz, choć czoło marszczył często, bo miał myśleć o czem, na ustach uśmiech łagodny nosił ciągle.

Twarz nie piękna, rozumna była i dobra, życiem uspokojona, bo gdyby wielkie jego zawody i troski wszystkie odbijać chciała, a sam człowiek brał je do serca, nie zniósłby ich i padł pod niemi.

Krzętał się Wierzynek nieustannie, wstając o brzasku, pracując część nocy, chodząc a jeżdżąc, to do Wieliczki, to do Olkusza, to do Nowego Sącza, to po za granice z poselstwami królewskimi i sprawami własnymi. Miał ich więcej niż inni na głowie, a pospolity człek, tylu podolałby nie mógł, — on pamięcią, rozumem, czasem, na wszystko starczył, choć nie spieszył się nigdy. Król się go radził i w tem, co do niego nie zdawało się należeć, mieszczaństwo nic nie poczynało bez niego, kupcy nie stąpili kroku, nie spytawszy go o radę, lub nie wezwawszy na pomoc. W domu nie dzielił się z nikim robotą, posługiwał tylko obcemi, bo z rodziny synów dwóch dorosłych Bóg obu zabrał, a po nich zostały tylko wnuki, nad którymi czuwać było potrzeba. Żonę tęsknota po dzieciach dobiła, sam był więc jeden... i na wszystko oko mieć musiał Wierzynek.

Sług i czeladzi kręciło się koło niego mnogo, bo mu młodzież swą dla nauki życia chętnie oddawali mieszczenie, ta rozkazy spełniała, które wszystkie wprost od niego szły.

Gdy pana nie stało w domu, a zabawił dłużej, niż zamierzał, zatrzymywało się wszystko, bo go nikt zastąpić nie śmiał i nie mógł. Dworzec możnego mieszczanina, murami i wspaniałością zewnętrzną oczów nie ściągał, rozległy był jednak, ogromny, i choć się co roku rozszerzał szpichrzami, składami, szopami, ledwie ściągającej się zewsząd kupi mógł starczyć. Dzień w dzień wjeżdżały we wrota jego ogromne wozy ładowne, karawany całe, zbrojnemi ludźmi otoczone, bo kosztownego towaru naówczas przez puste gościńce prowadzić inaczej nie było bezpiecznie. Łotrzyków się włościło wielu, polujących na zdobycze.

Młodzieży żwawej kręciły się roje w podworcach. Jedni ważyli i liczyli, co wyładowano, zapisywali drudzy, dozorowali inni. W sieniach, po izbach, czekających na posłuchanie zawsze pełno było; w dziedzińcach, póki dnia, nieustanny ruch i targowica. Inni tu tracili głowy, on jednym oka wejrzeniem mierzył, poznawał rzecz każdą, a często,

nim go zapytano, odpowiadał. Dość mu było na człowieka wejrzeć, aby wiedzieć z czym przychodził.

Mówił krótko, jak wódz czasu boju, a co rzekł, to się spełnić musiało zaraz, bo zwłoki nie cierpiał, a nieposłuszeństwa nie rozumiał.

Często widywano pana tego, który z królem poufale przestawał, a bogactwem nie jedno książątko przechodził, gdy zniecierpliwiony powolnością lub niezgrabstwem, przypomniawszy sobie dawne czasy, sam chwycił za ciężar, albo rozbijał przywiezioną w skrzynkach kupię, młodzież ucząc, jak się brać do tego, nie tracąc czasu.

On sam, choć się na pozór nie spieszył, choć gorączkowej i nieporządnej pracy nie znosił, chłodno i rozważnie czynnym był ciągle. Rzadko usiadł i spoczął, nie biesiadował nigdy prawie, na rozmowy próżne godzin nie tracił. Śmiał się z niego król, że zmuszony słuchać czczych słów i daremnej paplaniny, tymczasem o czym innym ważniejszym przemyślał.

Osiodłany koń, lub zaprzężony wózek, stał u niego zawsze w podwórzu na zawołanie, bo nie mógł wiedzieć ani dnia, ani godziny, gdy go gdzie zawołają, a gotów musiał być zawsze, kędy sprawa wymagała.

Spotkawszy go w podróży lub ulicy, nieznamy człek nie poznałby w nim może głośniego już podówczas Wierzyńka, bo odziewał się skromnie i nie bijąco w oczy. Dopiero sukni się przypatrzawszy, temu co na nim i około niego było, dostrzedz mógł, iż tkaniny a przybór do nich wszelki, przedziwny był i doborny, jakiego pospolici ludzie nie noszą.

Lubił bowiem Wierzynek wszelkie rzeczy osobliwe, piękne, rzadkie i drogie, a te się z całego świata do niego ściągały.

Izby, w których swoich towarzyszków, kupców, mieszczan, ziemian i mnogich co dzień gości pospolitych przyjmował, nie świeciły tak bardzo sprzętami; dopiero głębiej wszedłszy do tych komnat, w których odpoczywał, poufałych swych i rodzinę gromadząc, bogactwa poznać było można, napatrzyć się zamorskich tkanin drogich, rzeźby z kości i drzewa, szkła, gliny polewanej, kruszców, kamieni i kobierców kosztownych...

Flamskie opony okrywały tu ściany, a wschodnie miękkie tkaniny podłogę; skrzynie pięknie wyrzeźwane, okryte poduszkami, za siedzenia służyły po pod ścianami, a po szafach i na nich napatrzyć się było można naczynia różnego, puharów, kubków, flasz, dzbanów misternie barwionych i pozłocistych.

Przywożono mu je z Włoch, Francji, z Hiszpanji, ze Wschodu, ze wszystkich tych ziem, z którymi różne handle prowadził. Co mu się najpiękniwszem zdawało, to dla siebie zostawiał. A że i król miłował piękne dzieła rąk i przemysłu ludzkiego, dla niego i dla siebie, do kościołów i ich skarbców zwozić kazał Wierzynek, o czemkolwiek zasłyszal, gdzie co najlepiej robiono. Kochał się też w klejnotach, choć nigdy ich nie nosił, na wielkie tylko uroczystości łańcuch kładąc lub pierścień jaki, a pilnując tego, aby swych mieszczan nie raził przepychem, którego im zażywać nie było wolno.

Przepisy ówczesne, surowe dosyć, wzbraniały im zbytku wszelkiego w sukniach, u stołu, przy weselach, stypach, obchodach chrzcin i zabawach.

Tak on, jak nieboszczka żona jego, dzieci i wnuki, gdy do kościoła szły, albo się w ulicy pokazywały, starali się do innych mieszczan podobnie odziewać, choć żaden z nich, ani Awileje, ni Wigandy, Bochnery, Kempowie, ani Keczerowie z Wierzyńkami się mierzyć nie mogli.

Miklasz ich przecież panami bracią nazywał, choć ziemianie jego też swoim bratem mieć chcieli.

Gdy Kochan Rawa przybył do dworu pana Wierzyńka, właśnie ów w kozuszkach i kołpaku futrzanym stał w podwórzu, spoglądając na sanie, które ze skrzyniami wielkimi, kupi pełnemi, dnia tego nadążyły z Niemiec do Krakowa.

Zobaczywszy Rawę, którego król często posyłał z ustnemi poleceniami, pospieszył doń Wierzynek z dobrodusznym swym uśmiechem na ustach.

— Bóg z wami! z Zamku? cóż mi niesiecie? zapytał, witając go uprzejmie.

Kochan stał, nic dobrego nie pozwalając się domyślać, piękna jego twarz chmurna była.

— Macie li czas, do izby z tem iść musimy? odparł gość — aby wiatr słów naszych nie poniósł, gdzie nie trzeba.

Zbliżającemu się doń plecystemu mężczyźnie z kartą w ręku, jak on w dostatni koczach odzianemu, szepnął coś Wierzynek żywo, ukazując na skrzynie, a sam, pod rękę ująwszy Kochana, do izby swej go poprowadził.

Była to ta, w której on sam zwykle spoczywał, a dopuszczał do niej tylko tych, przed którymi z niczem się ukrywać nie potrzebował. Dwoje okien, żelaznymi kratami obwarowanych, jak kosze odstającymi, na włoski sposób, nie wiele światła wpuszczało do sklepionej komnatki. Pod oknami i u ścian widać było ciężkie skrzynie dębowe, kowane mocno, i wielą misternymi opatrzone zamkami, w których skarbów domyśleć się było łatwo. Obok nich stały szafy i police pełne zwitków papieru i pergaminów, worków i mis z pieniędzmi, a prób różnego kruszcu i kupi.

Na stole też papieru, pieczęci, wosków, sznurów, naczyń różnych było wiele, wagi dla złota i klejnotów, zegar stał piaseczny i inne drobnostki.

Małeńkie łoże w kącie, przy niem lampka zagasła, nad niem krzyż czarny z Chrystusem z kości okazywał, że tu Wierzynek spoczywał. Małeńki tryptyk rzeźbiony u wezwłowa otwarty, Wniebowzięcie ŚŚ. Mikołaja i Jana przedstawiał.

— Cóż mi to dziś tak chmurno patrzycie? odezwał się gospodarz, spoglądając na gościa, który zwolna za nim kroczył, pacholę z mieczem w sieniach zostawiwszy.

— Bom zły! wybuchnął Kochan, którego twarz jeszcze się mocniej zasepiła. A gdy mówię, że zły jestem, odgadnąć łatwo, że nie za siebie, ani o siebie, ale o naszego pana.

Bystro i niespokojnie spojrział nań Wierzynek.

— Mówcie! cóż znowu przyszło, aby mu pokoju nie dać? co dolega? zawołał.

— Gorsza daleko sprawa, niż te, któreśmy przebyli — odparł Kochan, siadając. Wiecie, że król dobra Złockie, o które się był z Jangrotem ułożył za zamianę, a biskupowi krakowskiemu, tak jak nic z nich nie przychodziło, zająć kazał. Mieniali się przecie nie jeden raz... Bodzanta, warchoł sam, a tu jeszcze i Baryczka, gorszy od niego, do wojny podżega... Klecha ten pierwszy począł krzyczeć na pogwałcenie praw, na świętokradztwo, i domagają się dóbr powrotu... szkód wynagrodzenia.

Król inne majątności gotów dać, ale co raz wziął, tego oddawać nie może. Przyznałby, że zajął bezprawnie... Co wy mówicie? już się z groźbami klątw i interdyktów noszą zuchwałę klechy!

Wierzynek ręce małe i pulchne zacisnął, słuchając, twarz spokojna pobladła nieco, i jakby dreszcz przebiegł po niej.

— Złego słowa nie mówcie w złą godzinę — odezwał się zafrasowany. Niech Bóg od tego uchwala! Bodzanta odgrażać się może, ależ — nie rzuci klątwy... nie!

— Baryczka sam się na to gotów ważyć, męczeństwa mu się gwałtem zachciało... a może też pewien, że bezkarnie mu ujdzie, i sławę sobie zyszcze, iż króla zmógł. To sprawa Baryczki...

Wierzynek przerwał mówiącemu lekkim uderzeniem po rękach...

— Nie przypuszczajcie, nie domyślajcie się takich złych rzeczy!... zawołał. Dość i bez nich król ma na głowie, wszystko się to rozproszy i rozwieje...

— Niech mi się pana mego tknąć waży — nie zważając na wyrazy uspokajające, rzekł Kochan, mocno zburzony — a ja mu to pożądane czy nie męczeństwo sprawię. Tylko może nie takie, jakiegoby pragnął, żeby o niem po całym świecie głoszone, po cichu klechę sprzątnąć każę, i przypadnie bez wieści... kamieniem w wodę!

Wierzynek powtórnie go po rękach uderzył.

— Milczcie, rzekł, nie do rzeczy prawicie. Postrachy groźne tylko sięją, aby więcej na królu wymogli. Wykupimy się im pieniędzmi, bo tych tylko pewnie chcą.

— Chyba nie znacie Baryczki — podchwycił Kochan. — Nie o pieniądze mu idzie! ale o to, aby duchownej władzy moc okazał, króla ustraszył i upokorzył. Król zaś, jak dobry jest, tak powagi swojej i korony swej zazdrosny. Nie ustąpi on, nie cofnie się i klecha.

Tu, bębniąc palcami po stole, aż sprzęt na nim brzęczeć zaczął, Kochan zamilkł... twarz zła reszty dopowiadała.

Wierzynek zadumał się nieco, chociaż widocznie do serca tak bardzo nie brał tego, co się stało i co się zapowiadało. Zdało mu się, że rozdrażnionego człowieka najprędzej ulagodzi przyjęciem, i począł wołać na czeladź, aby wina korzeniem zaprawionego podano.

Ale Kochan prędko ręką wskazał, że pić go nie będzie.

— Żółcim się już napił — rzekł — mam dosyć.

— Król co na to? — zapytał gospodarz.

— Jak zawsze, spokojny na pozór — odparł Kochan. — Znacie go, niełatwo się porusza, a tem mniej poruszenie okaże, aby powagi swej nie nadwęgzył w oczach ludzi. Ja tylko, co głębie duszy jego znam, wiem, co się w nim dzieje. Gdy się najwdzięczniej uśmiecha, pewnie naówczas najcięższe brzemień okrywa tem udaniem weselem.

Poszedł w tej sprawie Suchywilk do Bodzanty, ale nie wskóra nic... Nie lubią go tam i boją się razem; Baryczka stoi na straży przy biskupie, aby mu zmięknąć nie dopuścił.

— Baryczka! Baryczka! — odezwał się Wierzynek, dumając — z tym w istocie ciężko będzie trafić do końca, jeżeli sobie osnuł co i wbił w głowę. Twardy klecha...

— Alem ja też nie miękki — odparł Kochan — a ze mną się mu przyjdzie rozprawić. Znajdę nań sposób, aby się go więcej obawiać nie było potrzeby.

Wierzynek potrącił go znowu.

— Gniew złym doradcą — rzekł niechętny.

— Nie o mnie mi idzie, ale o pana! — zawołał Kochan. Żal mi go wielki. Dosyć ma z krzyżakami, z Mazury, z własnymi ziemiany, z Rusią, z żoną, jeszcze tego brak, aby duchowieństwo wystąpiło przeciwko niemu? I bez tego on męczennikiem. Nie ścierpię, aby dla jednego mizernego klechy miał resztę spokoju postradać.

— Z miłości waszej dla pana roście to — rzekł Wierzynek — że zawczasu czarniej widzicie, niż jest.

Unosicie się... drżącemi rękami mało co dobrego zrobić można.

Kochan spuścił głowę, nie chciał się sprzeczać, ale przy swem pozostał. Czuł Wierzynek, że go nie przekonał. Siedzieli tak czas jakiś niemi przeciw siebie.

— Zabiję klechę!! — zamruczał wreszcie niepohamowany Kochan, poruszywszy się, jakby do wstania.

Udał, że tej pogrózki nie słyszy Wierzynek. Ulubieniec króla głos podniósł.

— Wczoraj — rzekł — zebrali się u Neorzy niecnoty. Baryczka krzyczał, potakiwali mu drudzy. Maciek Borkowicz tam był i Otto ze Szczekarzewic i inni... Bluźnili przeciwko panu...

— Niezważać na to, niesłuchać tego, nie poczną nic, bo nie mogą, przerwał mieszczanin. Kto wie zresztą, gdyby rycerstwo się z jakim szaleństwem porwało przeciw królowi, — lepiejby może było... Warcholów byśmy się pozbyli, a siły przeciw nim się znajdą.

Kochan głową potrząsał.

Wstał naostatek z siedzenia smutny, jakby nie sprawił nic, zawiodłszy się na Wierzynku, który ani obawy jego, ani gniewów przedwczesnych nie podzielał.

— Choć nie wiele w to ufam — odezwał się, zabierając do wyjścia — pójdźcie i wy do Biskupa. Ostrzeżcie go, — zważy może, posłucha... Niech Baryczce milczeć każe... Król za dobra we dwójnasób nagrodzi, a Złockich — nie puści...

Wierzynek dał mu znak, że będzie wiedział, jak postąpić.

Wtem już do drzwi pukano, posłańcy różni nalegali z pilnemi sprawami do Wierzynka, który do progu gościa odprowadzał.

Druga izba, obszerniejsza, pełną była rajców, ławników, kupców, urzędników od żup solnych, a w kącie też żydów kilku stało, bliżej przysuwać się i mięsząc z chrześciany nie śmiejąc. Wnet wychodzącego do nich obstępiono Wierzynka, pokłonami dopraszając się przedszej rozmowy, zagadując, cisnąć ku niemu. On, spoglądając po przybyłych, odgadywał z czem przyszli, i nim usta otworzyli, odpowiadał na niezadane pytania.

Widowisko to było do przyjęcia na królewskim dworze podobne. Tylko się tu wszyscy obracali swobodniej, choć niemniej gospodarzowi poszanowania okazywali. Niektórzy kłaniali mu się do ziemi, do kolan, twarzami układnemi pozyskać sobie usiłując.

Przesuwający się zwolna pomiędzy tłumem tym Kochan, zdawał się nie widzieć nikogo, chociaż mnodzy, ustępując mu z obawą jakąś, witali królewskiego ulubieńca.

Znano go powszechnie a nie bardzo miłowano, gdyż z ludźmi się surowo, szorstko, dumnie obchodził, zrażał ich szyderstwami, lekceważeniem odpychał.

Kochan, wyszedłszy tak ze dworca, postął we wrotach chwilę i po namyśle zawrócił ku gospodarzowi starosty sandomirskiego Ottona z Pilcy, który, choć Neorzy pokrewny, jednego z nim szczytu... nie był mu przyjacielem, przy królu wiernie stał i z Kochanem poufale żył.

Tego na wypadek wszelki chciał mieć Rawa sprzymierzeńcem, i poszedł doń, aby mu zawczasu opowiedzieć sprawę a do wspólnego działania przygotować. Nie wątpił, że łatwo zyszcze go sobie.

— Niech mi się tylko klecha ruszy, a króla zaczepi — mówił, na próg wstępując — ze świata go sprzątnę!!

Mieszczanin był dostatni, tylko się brzydko nazywał, wołano go Swiniągłowa!! Świadczą najdawniejsze akty miejskie i księgi sądowe, ziemiańskie, że zwyczajem ówczesnym każdemu niemal do imienia chrzestnego, do nazwiska miejsca, z którego pochodził, dodawano przezwisko jakieś, często żartobliwe, które z początku wyglądało na złośliwy przydomek, a potem przyrastało do człowieka i często na dzieci przechodziło... Nie byli wolni od takich nazw panoszowie i rycerstwo, nosili je mieszczenie, tak samo wreszcie między sobą rozróżniali się i kmiecie.

Swiniągłowy dziad pono, rzeźnik z powołania, napiętnowany został tym przydomkiem, a od niego syn i wnuk wzięli je, i już się go nie wstydzili.

Teraźniejszy właściciel, imienia, Kuba Swiniągłowa, rzemiosło był porzucił, kupował i sprzedawał bydło, frymarczył żywem mięsem, ale w jatkach go już nie sprzedawał.

Ożenił się on był na Szlązku z mieszczańką w Opolu, która na pół niemką, pół polką była, a choć, gdy ją brał, nic oprócz wdzięków i oprawy nie miała, bo rodzeństwo było liczne, tak się potem złożyło, iż ona z niego sama jedna pozostała, po ojcu wzięła wszystko, i Kuba Swiniągłowa z niej i z siebie znacznej się dorobił majątności. Szło mu w życiu zawsze nie jak zamysłał, ale nad wszelkie spodziewanie szczęśliwie. Rachował na pięć, zyskiwał dziesiątek... Wszystkie kłęski go omijały, wszelkie szczęśliwości cisnęły mu się pod strzechę.

Więc z tem nazwiskiem niepięknem był to jeden z najbogatszych mieszczan krakowskich, a oprócz tego i na rozumie, ani na postawie mu nie zbywało.

Zona jego, Agata, słynęła z piękności, ale Kuba jej nie ustępował i można go było, gdy podróżował konno a bez trzód, które kupował, wziąć łatwo za ziemianina, taką miał postawę rycerską, wzrost piękny, ramiona szerokie, głowę do góry podniesioną, wąs zawieszisty, oko jasne, — no, i strój, który mimo praw i zwyczajów, trochę się do rycerskiego zbliżał. Kuba się lubował w tem, że go brano za panoszę.

Tak samo żona jego Agata, nie bardzo zważając na uchwały miejskie, które zbyt ków broniły, chadzała w jedwabiach, nosiła łańcuchy i kolce złote, wdziewała zabronione srebrne pasy i otwarte jupki z wyłogami z futerka...

Piękność jej, którą długo zachowała, choć znacznie się zaokrągliła i ociężała trochę; świeża i rumiana twarz z żywem okiem czarnem; śmiałość jej, wreszcie męża dostatek i stosunki dozwalały bezkarnie występować na ulicach i w kościele, na złość innym mieszczankom...

W mieście Kuba miał domów i dworzyszcz dużo, nabywał je, mieniał, budował, frymarczył niemi i na tem zarabiał... Dla większej powagi raz się dał obrać Rajcą miejskim, i sprawiał urząd ten do nowych wyborów, lecz że mu z nim niedogodnie było, bo musiał na Szlązk jeździć, na Węgry, i handlem się zabawiać, nadal się wyrzekł dostojęństwa, z którego mu tytuł tylko pozostał.

Byłby to najszczęśliwszy z ludzi, gdyby mu Pan Bóg dał płci męskiej potomka. Z dzieci, które na świat przyszły, a pozmiały wszystkie, Rajcy Kubie została tylko córka jedna Basia...

Tę jedynaczkę oboje rodzice pieścili, chuchali nad nią, czuwali, jakby była dzieckiem królewskim. W zamożnym domu łatwo było cokolwiek zamysliła spełnić, zbytkiem ją otoczyć i zawczasu tak samowolną uczynić, tak swawolną i nieposkromioną, że potem, gdy dorosła, ani matka, ani ojciec, ani żadna w świecie siła pohamować nie mogła dziwacznych jej zachcianek.

Rodzice, szczególnie matka, tak ją kochali, że największa niedorzeczność, gdy Basi się na nią zebrało, wydawała się im i niewinną i usprawiedliwioną.

Dzieckiem, była na pół dziką, a dziewczęciami dorosłszy, wydawała się szaloną.

A była tak śliczną, może piękniejszą, niż matka swojego czasu. Cudo dziewczyna, ale szatan nie kobieta. Rodzice się nią zachwycali: lecz każdy co ją zobaczył, musiał też zdu-

miewać się wesolej, śmiałej, rzeźkiego słowa, a nadzwyczajnego wdzięku Baśce... Starych i młodych, i takich, co bywali uprzedzeni źle o niej, gdy tylko chciała, zyskiwała sobie jednym uśmiechem... Miała lat ośmnaście, gdy ojciec, a nawet matka, widząc, jak trudno ją utrzymać na wodzy i dopilnować, zaczęli się naradzać, za kogoby ją wydali. Mieli prawo wybierać, bo Basia bogatą była, okrutnie piękną, i sobąby żadnemu domowi krzywdy nie uczyniła.

Świniągłowa obiecywał po niej zaraz dwa domy, dwie jatki, i dworzyszczce na pół za-budowane, a były i grzywny w nadziei i skrzynie pełne kobiecych przyborów kosztownych bardzo.

Najbogatszych mieszczan młodzież zalecać się szła do Basi, czasu świąt i przyjęć izby zawsze były pełne, lecz, choć wszyscy się w niej kochali, żenić się wahał każdy.

Nie kryła się z tem dziewczyna, że jak swawoliła swobodnie, u rodziców będąc, tak i po weselu z czepcem razem nie myśli statku brać na głowę. Muzyka, skoki, pieśni i rozmowy bardzo śmiało i dwuznaczne lubiła niezmiernie, smutku znać nie chciała, a posępnych twarzy — ani patrzeć.

Z ośmnastu lat doszła do dwudziestu, potem parę lat przybyło jeszcze, a o weselu słyhać nie było. Kuba Świniągłowa zaczynał się frasować, a Agata łajała go, gdy o tem mówił, dowodząc, że powinna jak najdłużej swobody zażywać, póki się w jarzmo małżeńskie zaprzęże, i że dla niej zawsze łatwo będzie o męża.

Tymczasem Baśka się stroiła, rozkwitała, nabierała śmiałości coraz większej, pieśni uczyła się coraz nowych — i nie spieszyła na kobierzec...

Różne o niej historie opowiadano, lecz nie wszystkiemu wierzyć można. To pewna, iż kilku bardzo znacznych ludzi, kręciło się koło niej, i jeden rycerz wielkiego imienia, u Świniągłowy gospodą stając w Krakowie, po kilka tygodni tu przemieszkiwał, po całych dniach dziewczę bałamuć, a ona jego.

Potem nagle, oczy miała zapłakane, a Śreniawita wpadł jak w wodę.

Pochodziła Baśka czas jakiś smutniejsza, ale długo nie mogła; piosnka wróciła na usta, rumieniec na twarz, i oczy zapłakane znów jak dwie gwiazdy świeciły. Tego to czasu jakoś, piękny i zawsze strojny jak królewicz, Kochan Rawa zobaczył ją, idącą ulicą do kościoła... Spojrzał na nią, ona na niego, i co miał iść za sprawą pilną, powłókł się za nią do P. Maryi. Jak się tam modlili oboje, nie wiemy, ale oczy latały żywo.

Za powracającą do domu Baśką, której ochmistrzyni stara towarzyszyła, bo matka była trochę chora, Kochan poszedł w ślad, po drodze rozpoczął śmiało rozmowę, okazało się, że ona znała go, kto był... Zaprowadziła z sobą do kamienicy Kuby, którego w domu nie było.

Dziewczęciu zalotnemu, lubiącemu, co świetnie i błyszcząco a dostojnie wyglądało, piękny Kochan, choć nie młodzieniaszek, bardzo się podobał. Uparła się go oczarować, nie było trudno.

Zapraszano królewskiego ulubieńca, Baśka nawet marzyła, że się z nią ożeni.

Trwało to dosyć długo, zdawali się kochać wielce, lecz Rawa o zrękowinach nie bąknął ni słowa. Jednego ranka, ni z tego, ni z owego, gdy pani Agaty w izbie nie było, żywa rozmowa skończyła się kłótnią i krzykiem.

Gdy matka nadeszła pytać o przyczynę, Baśka nic powiedzieć nie chciała, lży gniewu na oczach miała, dumę na czole. Kochan wyszedł, nie wiele tem wzruszony. Kilka dni go nie było, Baśka gniewała się ciągle, nareszcie jednego dnia strojna bardzo, poszła rano do zamkowego kościoła. Chodziła przez dni kilka na jakieś przechadzki ze starą Wawrową, chwaliła się, że króla na nich spotykała, że raz do niej nawet przemówił bardzo łaskawie. Ulękła się matka, Baśka ją wyśmiała.

Wkrótce potem Kochan powrócił. Byli z sobą teraz inaczej, szeptali cicho, matka podedrzwiami wypatrująca, uradowała się zgodzie i najlepszemu porozumieniu obojga...

Nie wiele upłynęło czasu, i Świniągłowy szeptali z sobą o weselu, gdy jednego rana Baśka poszła rano na nabożeństwo z Wawrową, a w godzinę potem ochmistrzyni wróciła, pędząc, jak oszalała, ręce łamiąc i narzekając, że dziewczę jej w ścisiku kościelnym przepadło.

Pobiegł zaraz ojciec, lecz nabożeństwo się skończyło, kościół pusty, a Baśki ani śladu, ani o niej słyhu...

Ojciec nie czyniąc wrzawy, aby dziecka sławie nie szkodzić, począł ostrożnie czynić poszukiwania na wszystkie strony. Posądzanie było na Kochana, lecz ten na zamku się znajdował, pokazywał na mieście, i o Baśce jakoby nie wiedział nic.

Matka przed ludźmi powiadała, iż córka leżała chora. Ruszano ramionami, szeptano różnie. Skończyło się na tem, iż Kuba doszedł, że Baśka była w Krzeszowie...

Przez kilka miesięcy opowiadano ją chorą, gdy dnia jednego zjawiła się w Krakowie znowu, ciekawi goście popłynęli do domu. Choroby na niej najmniejszego śladu widać nie było. Owszem, jakby jej ta słabość na dobre wyszła, piękniejszą się wydawała, świeższą, i tylko poważniejszą a dumniejszą może. Trochę smutku miała na czole, trochę jakiejś w oczach tęsknoty... Przybył znowu Kochan, zjawili się inni znajomi i przyjaciele, Baśka królowała jak przedtem, a ludzie dla niej szaleli.

Znikła im królową, powróciła królową, a nie zdawało się to ją wiele kłopotać, gdy dopytywano o słabość, żartowano z tego, że tak długo jej nikt nie widział. Złośliwi utrzymywali, że ilekroć króla w ulicy spotkała, Kaźmirz stawał, dobrotliwie się do niej uśmiechał, pozdrowiał, a ona pół gniewnie, pół zalotnie odpowiadała mu wzrokiem i słowem.

W sukniach i klejnotach, teraz jeszcze większy okazywał się koło niej dostatek. Czółko jedno kładła całe perłami szyte, tak drogie, a tak osobliwe, że je na kilkaset grzywnien ceniono.

Czas był Baśkę nareszcie za mąż wydać. Ojciec naprzód spróbował, nikomu nie mówiąc o tem, rozmówić się z Kochanem. Spodziewał się go ująć nadzieją posagu, ale z niczem powrócił.

Kochan przyjacielem się ofiarował być na wiek wieków, lecz powiadał, że czasu nie ma do ożenku, królewskim będąc sługą.

Tak tedy, przebierając pomiędzy różnemi, Świniągłowa w ostatku trafił na młodego mieszczanina Materterę.

Fryc Matertera pochodził z dobrej rodziny, ojciec jego majątnym był, i ławkę miał swoją, a żelazem kupczył. Szło mu nawet długo niezgorzej, gdy nagle, tak jak Świniągłowie się wiodło, jemu poczęło się nieszczęście. Spalił mu się dom, obdarli go zbóje w powrocie z Węgier, nieład wkradł się do domu, stary pić zaczął, w ratuszowej piwnicy po całych dniach siedział, zbiedniał i gdy zmarł, synowi tylko sprawy koszlawe pozostawił i długi.

Szczęściem dla Fryca, chłopak był roztropny, pilny, głowa otwarta, i, co nigdy nie szkodzi, piękny bardzo.

Choć się nie miał w co ubrać dostatnio i musiał ładajako odziewać, gdy się pokazywał w ulicy, wszystkie dziewczęta za nim oknami i drzwiami wyglądały. Szkoły trochę u Panny Marji liznął, z początku chcąc do stanu duchownego się sposobić, potem mu ochota odeszła. Handlu już swojego nie miał, bo mu i ławkę zajęto, i żelaza nie było kupować za co; więc u Keczera, któremu był krewnym, niby służył, niby się wprawiał.

Baśka, która pięknych chłopców lubiła, kilka go razy pochwaliła przed matką, ubolewając nad tem, że nic nie miał. Kuba go do siebie zaprosił. Począł przychodzić na wieczorne płasy, a zbliżka się Baśce podobał jeszcze lepiej, bo śmiały był, wesoły, pieśni podostatkiem umiał, a że odwagi nie miał się starać o bogate dziewczę, ani mu to w głowie powstało, był z nią za pan brat, nic nie mając do stracenia.

Do zabawy był jedyny...

W czasie, gdy nagle Świniągłowianki zabrakło, a mówili, że chora leży, Fryc się do nich nie dowiadywał, gdy się ukazała powrócił.

Śmieli się do siebie, jak dawniej, i Wawrowa powiedziała, iż na oczy swe widziała, jak we drzwiach raz o mroku całowali się z sobą. Może ta plotka skłoniła Kubę, że do Keczera, opiekuna Matertery poszedł, długo się z nim naradzał na cztery oczy, potem Fryca przywołano, i rozmowa przeciągnęła się godzin parę, a nikt jej nie słyszał. Tęgoż wieczora Fryc zjawił się u bogatego handlarza, wesół, śmielszy niż bywał, przysiadł się do Baśki, powracał potem codzień i w tydzień zaczęto mówić na mieście, że Baśka za niego wychodzi.

Spytał o to ktoś Matertery, czy prawdą było, że się żeni.

— A co komu do tego? odparł zuchwale, albo to ja się żenię dla kogo, nie dla siebie?

Rodzina matki i niektórzy Keczerowie poczęli Frycowi ożenienie odradzać, dowodząc, iż statku dziewczynie brakło, że różnie na nią wygadywano, na co Fryc ramionami ruszając, nawet odpowiadać nie chciał.

W mieście już bębniiono o weselu... Mówiono, że zaraz po Godach je wyprawi Świniągłowa, i już się ku temu u niego sposobią. A miało być weselisko tak huczne i wspaniałe, jakiego Kraków nie widział dawno.

Były naówczas prawa, które zbyt wiele mieszczanom nie dozwalały; więcej nad trzydzięści mis, po trzy osoby na jedną, nie wolno było dawać przy weselu, nie licząc w to księży i panien, a potraw na weselu więcej pięciu zakazywano, trefnisiów weselnych nad ośmiu nie mógł ojciec sprowadzić, itp., lecz Świniągłowa wcale się tych surowych przepisów trzymać nie myślał. Wiedział dobrze, iż nikt go skarżyć nie będzie, a ci, co z uczt skorzystają, łatwo go rozgrzeszą.

Całe dostojniejsze mieszczaństwo z rodzinami i powinowatami, krewni Materterów, Keczerów, Świniągłowy, rajcy, ławnicy, a ze dworu Dobek i Kochan, i dwóch Zadorów zaproszonych było.

Z duchownych trafiło się tak, że ks. Marcin Baryczka musiał być na weselu, bo on pono Baškę chrzczył, czy też inne jakieś łączyło go z tym domem duchowne powinowactwo.

Kto tam tego wielkiego zbytku, na który się zanosilo, był sprawcą, trudno dojść było, chciała go Agata, domagała się Baška, żądał sam ojciec, aby ludziom okazać, iż jedynaczka jego nie gorzej od innych za mąż wychodzi.

Dziewczę pono najwięcej wymagało i pyszniło się tem, że weselem pańskim ludziom złym usta zamknie.

Trzeba było, gdy dzień się zbliżał, cały niemal dom na nowo urządzić, tak, aby półtorasta głów zasiąść mogło wygodnie do stołu, aby było gdzie płaszać, i innych ciekawych gości, nadchodzących z podarunkami, zwykłymi dla nowożeńców, umieścić.

Świniągłowa chciał się też z dostatkiem popisać, i dostojniejszym srebrne postawić naczyńia, innym cynowe, a pić i jeść dać w bród.

Nie trzydzięści, ale pięćdziesiąt mis ledwie mogło starczyć... Wino gotowano słodko i korzenno, a do potraw nie żalowano przypraw zamorskich... Wiele było w mieście trefnisiów weselnych, wszystkich zawczasu zamówiono, obiecując im dobrą zapłatę, jedzenia i napitku, ile zechcą. Kochan przyrzekał, że nawet królewskiego Szupkę sprowadzi.

Nie obchodziły się wówczas zamożniejszych wesela bez wierszowanych powinszowań i życzeń, często trochę swawolnych, zawsze tłustych i dwuznacznych. Tych rymarzy, wierszokletów (*rimarij*), którzy pięknie zastosować umieli stare koncepty do młodego stadła, drogo opłacać było potrzeba, więcej, niż najświetniejszych trefnisiów. Mieszczanom więc ich uchwały tego zbytku nie dozwalały, ale Świniągłowa nie myślał się i do tego prawa stosować.

Zamówił więc klechę, Wyrwantem zwanego, który sływał z tego, że ludzie się za boki trzymać musieli, gdy oracją prawil nowożeńcom. Wyrwant obiecał coś przedziwnego i w najlepszym gatunku. Imię jego za towar ręczyło.

Sam dwór Kuby i zewnątrz został na nowo posmarowany, i wewnątrz przyozdobiony... Co gdzie skrzynie miały najdroższego, dobyto wszystko: kobierce, sukna, opony. Pożyczać Kuba nie potrzebował.

A że zima na inną zieleń nie pozwalała, jedlinką musiano przybrać drzwi i okna.

Jeszcze do wesela kilka dni było, a w mieście całem mówiono już o niem, z przekazem jedni, z podziwem drudzy, z zazdrością wszyscy prawie. Prorokowano Kubie, że majątek na ten zbytek nadweręży...

Baška tymczasem o jednym myślała, aby nietylko wystąpić piękną, lecz tak strojną bogato, żeby się wszystkie dziewczęta, które koso na nią patrzyły, powściekały ze złości.

Na dostatkach i klejnotach jej nie zbywało, a oprócz tych, które zdawna u Świniągłowów znano, jawiły się i nowe jakieś, drogie, osobliwe, o których pochodzeniu zle języki dziwy szeptały...

Gdy przyszedł uroczysty pochód do kościoła z muzyką, z trefnisiami, z gromadą ludzi postrojonych przepysznie, a potem powrót od ślubu, który dawał ks. Baryczka, wysypało się patrzeć na to, co żyło, tak, że weselni ledwie się przez tłumy mogli przecisnąć. Na panią młodą patrząc, ludzie słupieli, tak była klejnotami okryta, a suknię miała z takich tkanin

i szycia osobliwego, że istna z niej była królowa. Szła dumna, śliczna, wyzywająca oczyma, zwycięzka, prowadząc się za ręce z Frycem, także wystrojonym przepysznie, jak gdyby chudy pachol mógł być panem. Powiadano, że Keczerowie mu to wszystko sprawili, aby się nie wstydzili za niego. Jedna szubka, aksamitem okryta, futrem pięknym podbita, którą na ramionach miał, na kilkanaście grzywien była ceniona.

Gdy cały orszak weselny z muzyką począł do dworu wchodzić, zdawało się, że się w nim nie pomieści — przecież nikt w ulicy nie został.

Stoły zastawione były po izbach, po sieniach, i tak misternie, że nikomu miejsca nie zabrakło. Pierwsze zajęli młodzi małżonkowie, dalej rodzina, rajcy, ławnicy, duchowni i przyjaciele domu.

Trafilo się przytem niespodzianie, że ks. Baryczkę, jako ojca duchownego, posadzono między pierwszemi, a Kochanowi wprost naprzeciw niego siedzenie się dostało. Zaledwie go tak blisko ujrzał, wnet pobladł, i o mało mu z rąk nóż, który trzymał, nie wypadł, lecz się pohamował. Szepnął tylko Dobkowi, który przy nim siedział:

— Sam Pan Bóg zrządził, że mi się tu nawinął ten klecha, ale poczekawszy, nie wypuszczę ja go ztąd, aż mu powiem, co mi serce gniecie. Popamięta on to wesele.

Dobek go wstrzymać chciał, lecz bardziej jeszcze rozjątrzył. Ks. Baryczka, który biesiad takich nie lubił, a zmuszonym był choć czas jakiś u stołu pozostać, siedział, gdyby posąg kamienny, z twarzą swą żółtą, smutną, wychudłą i oczyma straszniemi, mało co jedząc, kubka ledwie chcąc dotknąć, zadumany i gniewny. Tymczasem już i Wyrwant nadszedł z wierszami, do których wypowiedzenia dobrym się kubkiem wina przygotował, przez co odwagi nabrawszy, na nikogo nie zważał, dosadnie a głośno prawiąc takie rzeczy, przed któremi niewiasty śmiejąc się, oczy zakrywać musiały.

Ks. Baryczce twarz się surowiej zmarszczyła, i czoło pogarbiło. Spoglądał na klechę piorunującym okiem wzgardy i gniewu, lecz Wyrwant lub nie widział gróźb tych, albo na nie nie zważał.

Śmiechami rozlegały się izby, bo dla słuchania Wyrwanta, od drugich stołów powstawali goście i ciasnem kołem go otaczali. Zaledwie ten dokończył, kilkunastu trefnisiów, poprzybieranych pociesznie, pstro, w różne jaskrawe strzępki, w kapturki dziwacznie postrojone, do koła stołów zaczęli wyprawiać skoki, figle, nucić piosenki i obudzać do wesołości.

Wrzawa ochocza napełniła izby wszystkie, a im ona rosła, tem oblicze duchownego straszniej się zasepiało. Widać było, iż rad chciał ztąd ustąpić, tak mu to rozpasanie języków i szal ludzki przykre były. Wstać jednak od stołu nie mógł, bo gospodarz Kuba pilnował go, kłaniał się, prosił, wstrzymywał po rękach całując.

Wyjść też, a z ławy wstać, dla wielkiego ścisku, nie było sposobu. Nawet mis, gdyby ich zawczasu nie ustawiono, służbawy przynieść była nie mogła. Dzbany i flasze z rąk do rąk po nad głowami podawano sobie.

Śpiewali jedni, śmieli się drudzy, krzyczeli inni, a muzyka w kącie też przygrywała hałaśliwie; ledwie siedzący w pobliżu posłyszec się i zrozumieć mogli.

Kochan, z twarzy mu to wyczytawszy, iż ksiądz się wyrwać ztąd pragnie, czatował nań niespokojny, nie chcąc go wypuścić na sucho. Baryczka naprzeciw siedzący, parę razy okiem go zmierzył pogardliwym i unikał potem spojrzenia na królewskiego ulubieńca. I on też czuł może, że Kochan radby znaleźć powód, aby się z nim rozprawić... Wiedział w nim nieprzyjaciela. Osobiście znali się oni i nieznali, spotykali z dala, wiedzieli o sobie, nie mieli jednak do czynienia nic.

Baryczka w otoczeniu króla, a szczególnie w Kochanie widział sprawcę wszelkich Kaźmirza zbytków... miał więc ku niemu wstręt największy...

Misy się wypróżniały, a dzbany pełne ciągle na stół przychodziły nowe, muzyka grała zapalczywie, podchmieleni śpiewali pieśni co raz tłustiejsze polskie i niemieckie, a trefnisie, szczególnie w pobliżu państwa młodych, od których się spodziewali podarku, popisali z wyuczonym dowcipem.

Ci weselni wesołkowie mieli na wszelkie wypadki gotowe przycinki, zapas obfity zagadek, piosenek i gadek, któremi gości zabawiali, parami chodząc i jedni drugim dopomagając. Swoboda słowa była naówczas większą, a leniwe umysły potrzebowały dosadnych wyrażań, aby się niemi poruszyły. Zamiężne mieszczki odpowiadały na zaczepki

wcale się nie sromając i nie drożąc; a rumieniec dziewcząt zdradzał, że i one rozumiały skierowane ku nim przytyki.

To rozpasanie, które nic w sobie nie miało nadzwyczajnego, surowemu Baryczce w końcu tak się przykrem stało, że trefnisia jednego zbesztawszy, siłą prawie od stołu się wyrwał, i Kubę naganiwszy za zbyt wrzaskliwe wesele, chciał precz iść.

Ułaski się Kochan, że gdy mu tu ujdzie, już nie łatwo sposobność mieć będzie zbliżyć się do niego, ruszył się więc z ławy natychmiast, i niespuszczając go z oka, szedł aż ku drugiej izbie, która do wyjścia prowadziła.

Nie bardzo na to zważano, bo goście wszyscy podchmieleni już byli. Swiniągłowę, który szedł za księdzem, wstrzymano po drodze, i ks. Baryczka wymykał się już ku drzwiom, gdy Kochan, pospieszywszy, od nich mu zastąpił.

W boki się ujawszy, stanął wyzywająco. Ks. Baryczka wzrokiem go zmierzył ostro i pominąć chciał. Wrzawa biesiadnicza dozwalała się rozprawić nie słuchanym, bo mieszczanie czem innem byli zajęci.

— Wasza miłość — odezwał się Kochan — nie raczycie dłużej z nami... Czyśmy nie godni?

Uśmiechał się, Baryczka nie odpowiedział, spróbował go wyminąć, nie było można.

— Jam dawno na to czekał, aby się rozmówić — odezwał Kochan — poczekajcie mało.

— A ja z wami ani rozmowy, ani spółki żadnej nie chcę — odparł ksiądz gniewnie. — Puszczajcież mnie...

— Słówek tylko — rzekł, nieustępując Rawa — cóżem to ja wam tak krzyw, że mnie nawet posłuchać nie raczycie?

Baryczka zmierzył go oczyma, twarz jego coraz się stawała groźniejszą.

— Puszczaj mnie — odezwał się nakazująco.

— Nie macie się tu przecie czego obawiać odemnie — począł Kochan szydersko. — Wolno wam, choćby i na króla głośno bluźnić, czemużby mnie z wami rozprawić się nie było wolno?

— Czego chcesz? — gwałtownie spytał Baryczka.

Rawa począł od wejrzenia, które już mówiło naprzód, że od niego nic nie posłyszysz dobrego.

— Wiecie o tem, że ja od dzieciństwa sługą królewskim — rzekł — a miłuję pana mojego nad życie własne. Co jego dotyka, mnie boli więcej niż jego...

Choć was wygolona głowa i suknia bronią od innych, odemnie one nie zasłonią, jeżeli przeciw królowi, jakieście poczęli, będziecie sarkać a ludzi jątrzyć...

Zuchwalstwo tych wyrazów oniemiało zrazu ks. Baryczkę. Stał, bledniejąc i czerwieniąc na przemiany, ręce mu drżały...

— Coś ty za jeden, żebyś śmiał duchownemu dawać nauki! — wykrzyknął w uniesieniu — precz mi z drogi, zuchwalcze...

— Z drogi nie ustąpię, aż się rozmówimy — odparł Kochan — a com ja za jeden, wiecie. Jestem króla sługą, a wy jego nieprzyjacielem... Strzeżcie się, księżę, a nie myślcie, żeby wam to uszło bezkarnie!

Pogardliwie uśmiechnął się Baryczka, hamował się widocznie, nie chcąc wdawać z człowiekiem, dla którego czuł pogardę, ale krew się w nim burzyła, gniew poczynał kipieć; buchnął wreszcie, ręce podnosząc.

— Ani króla, ani was nie lęka się sługa Boży... Tyś królewski, jam tego, który nad królami jest... a moc jego mnie obroni... Tyś sługą nieprawości, jam stróżem prawa... precz z drogi... z tobą ja nic do czynienia nie mam...

Kochan wytrzymał ten raz, jak policzek mu w twarz rzucony...

— Nie zbędziesz się mnie tak łatwo — rzekł — ani się ja zleknię ciebie. O panu Bogu prawisz, a z szatańską złością na najlepszego z panów następujesz, drugim serce psowasz i do buntu ich podbudzasz...

Krół może ci przebaczyć, ale my, co koło niego stoimy na straży... nie darujemy... choćby żywotem płacić przyszło.

— Ja też, choćby żywotem płacić, prawdy nie zamilczę — zawołał Baryczka — precz!

Chciał iść przebojem, silny Kochan za ręce go porwał i jak żelazem przykutego trzymając, wołał:

— Klecho zuchwały, jeśli ci życie miłe... strzeż się a milcz...

Ostrzegam cię, abyś wiedział, co cię czeka. Zginiesz...

Mało ci tego, że po kątach króla bezcześcisz, jeszcze biskupa nam nasadził... jeszcze nam klątwami nad głową machacie... Nim ona klątwa na nasze głowy przyjdzie, twoja gęba zamilknie...

Im bardziej się rozzuchwał i rozsierdzał Kochan, tem ks. Baryczka, w początku roznamiętniony i oburzony, więcej sobą zawładnywał i na pozór spokojniejszym zdawał. Kapłańska powaga przyoblekała go, a przed śmiałym wejściem Kochana zmieszany, spuszczać musiał oczy... Głos mu drżał, zabełkotał i zamilkł.

Ksiądz poczuł wyższość swą i zapominając o miejscu, w którym się znajdowali — podniósł głos...

— Precz... Myślisz, że cię się ułękne, albo pogroźek twych? Wyście to nad króla winniejsi, posługacze namiętności, czeladź rozpusty, stręczyciele swawoli... ty, ty pierwszy... kara cię nie minie... bezwstydy...

Nie pohamujesz mnie strachem, ale mnie do nowej pobudzisz gorliwości... Gniew twój sprawia mi rozkosz... Łajanie jest mi czcią... Precz synu Beljale!

Pomimo zgielku i wrzawy w izbie, rozmowa księdza z Kochanem długo nie mogła przejść niepostrzeżona. Swiniągłowa domyślił się zajścia i usiłował ku nim precisnąć, pochwyił za rękę, Kochana, który go odepchnął...

Baryczka rozogniał się coraz więcej...

— Wezmijcie go, a wyżeńcie precz w ulicę! — krzyknął do Kuby — bo człowiek ten kła dom, którego próg przestąpi, przynosi z sobą srom, ciągnie nieszczęście...

Rozbójnicy, co po drogach łupią i mordują, lepsi są od niego, bo ciału śmierci zadają, a ów duszę zabija...

— Klecho! — wrzasnął Kochan, któremu na twarz wystąpił rumieniec — przysięgam, nie zginiesz, tylko z mej ręki... a zgniotę cię tak, że nawet śladu i pamięci nie zostawisz po sobie, warchole, który szukasz sławy, rzucając błotem na namaszczonego!

Pamiętaj te słowa — zginiesz...

Pogróżka, która przeraziła Kubę, bynajmniej nie ustraszyła Baryczkę, ruszył ramiony. Podnosił się teraz duchem coraz wyżej i stał spokojny.

— Szatan potężniejszy od ciebie jest — rzekł — przecie się go nie lękam... Zginać za prawdę i za kościół mogę, Bóg mnie pomści... ty zginiesz w błocie i plugawstwie...

Kochan byłby się może rzucił na mówiącego i wesele zakrwawił, lecz w tej chwili nadbiegł Dobek, pochwyił gospodarza, odciągnęli go na stronę szamoczącego się, i ks. Baryczka, korzystając z odkrytych mu drzwi, zwolna, mierząc Kochana wzrokiem spokojnym, wyszedł z izby.

Pogoniłby może za nim Rawa, nie dano mu, Dobek silny, przyparł do ściany i wołać począł, aby się opamiętał.

Kuba zaklinał i prosił, przypadli inni, Kochan choć się miotał i wykrzykiwał, dał się wreszcie do ławy doprowadzić, posadzić na niej i powoli trochę przytomności odzyskał.

Czuł, że przegrał sprawę, i walka, do której wyzwiał, źle się dlań skończyła... bolało go to nad wyraz... Zamilkł w duszy, sobie odwet obiecując.

Pomiędzy biskupim dworem a Wawelem rozbrat już był zupełny... Król nie okazywał ani niepokoju, ni troski, przynajmniej powierzchownie nie chciał wiedzieć o tem, co mu groziło, a o czem mu tylko usłuźni z boku donosili.

Naganiał Kochana, zakazywał wznawiać rozmowę, a że ks. Suchywilk, wysłany do Bodzanty, nie przyniósł żadnej odpowiedzi, nie domagał się o nią.

Życie szło zwykłym swym trybem spokojnym. Król sprawami państwa zajmował się pilno, zaprowadzał ład i porządek, gdzie mógł; kazał budować i jeździł wznosząc się oglądać gmachy. O oddaniu Złockich dóbr mowy nie było.

Gdy spokój taki panował na Wawelu — około Biskupa skupiało się wszystko, co królowi było niechętnem. Chciano wyzyskać duchowieństwa opór przeciwko władzy królewskiej.

Im Kaźmirz zachowywał się obojętniej, — chłodniej — tem oburzenie na Biskupstwie wzrastało, a ks. Baryczka je żywił coraz nowemi doniesieniami.

Biskup Bodzanta, zgryźliwy, niespokojny, chciwy znaczenia człowiek, kosem okiem patrzył na ścisły związek króla z Arcybiskupem Bogorją, na powolność jego dla Kaźmirza, na wpływ, jaki mu ona dawała i stanowisko, które siostrzan arcybiskupa, Suchywilk, przy królu zajmował.

Pomiędzy Gniezmem a Krakowem ciągle, choć ciche były zatargi. Bodzanta pragnął odzyskać dawne niezależne znaczenie duchowieństwa, które monarchów stanowiło i zrzucało, i niemal od nich więcej mogło... Wzrost władzy świeckiej, — zwierzchnictwo metropolii gnieźnieńskiej, zmniejszone znaczenie biskupa krakowskiego jątrzyło go. Bojowniczego ducha, pragnął wywołać walkę, pewnym prawie będąc zwycięztwa i poparcia w Rzymie... Wyświęcony na pasterza mimo wyboru kapituły, bez jej wiedzy, złamał był jej niechęć ku sobie, tak samo się spodziewał zwyciężyć króla i zmusić go do większego poszanowania duchownej władzy.

Nie szło już o same dobra Złockie; król, który śmiał się opierać biskupowi, malowanym tu był jako człowiek najgorszego obyczaju, rozpustny, samowolny, a biskup odgrażał się, że z obowiązku swojego skarci go.

Podżegano tę waśń, z każdym dniem rosnącą, donoszono na zamek, król wcale nie chciał o tem słyszeć, ani okazać, że się czegokolwiek lękał.

Na biskupstwie wiedziano też o wszystkim, co się prywatnego życia Kaźmirza tyczyło, sprawa królowej podniesioną została na nowo... Liczono kochanki niebywale, zgorszenia wymyślone.

Baryczka z wesela u Swiniagłowy powrócił w największym gniewie i wprost pobiegł do biskupa na skargę, zuchwały postępek Kochana kładnąc też na karb królewski.

Nie ośmieliłby się taki dworzanin napaść na kanonika i wikarjusza, gdyby ze strony nie był pewien poparcia...

Biskup Bodzanta wciąż jeszcze spodziewając się, że samemi groźbami zmusi Kaźmirza do ustąpienia i upokorzenia — czekał...

Ale na zamku wcale już nie bywał. Król widywał go tylko w kościele, do rady nie był wzywany... Spotykali się z dala; unikając nawzajem.

Tymczasem Baryczka niecierpliwy, naglił na Bodzantę. Według niego zgorszenie było straszliwe, wystąpienie stanowcze — konieczne.

Biskup naostatek, dnia jednego, przyciśnięty, zagniony, postanowił nazajutrz jechać na zamek. Król właśnie był z polowania w Niepołomicach powrócił, a mówiono, że do Pragi się wybierał.

Odwiedziny te czeskiego dworu, jak wszystkie czynności królewskie, tłómaczono sobie tem, że Kaźmirz się tam swobodniej mógł zabawiać i piękne czeski wabić do siebie.

Na zamku dowiedziano się wieczorem, że nazajutrz z kościoła Bodzanta ma być u króla.

Kaźmirz czekał.

Łagodny i dobry dla maluczkich, tam, gdzie jako król stawać musiał, przywdziewał powagę, i nie dawał się łatwo zastraszyć...

Biskup występując — nie chciał z tego kroku czynić rozgłosu, a wahał się jeszcze wojnę rozpocząć... Miał więc na osobności króla strofować.

Kaźmirz się tego spodziewał...

Po skończonem nabożeństwie, zaledwie król miał czas przejść do zamku, gdy mu oznajmiono Bodzantę. Wyszedł według zwyczaju na powitanie, nie okazując względem niego najmniejszej w postępowaniu zmiany.

Miał tę wyższość nad Biskupem, iż najzupełniejszą krew zimną zachował, gdy Bodzanta, który długo się na ten krok zbierał, długo wewnątrz gryzł się i niepokoił — szedł zawczasu poruszony — przedwcześnie już gniewny.

Po przywitaniu, gdy zasiedli oba, a kilku urzędników stało opodal, niepewnym głosem, rzucając oczyma zapalonemi, biskup zażądał rozmowy na osobności, Kaźmirz skinął, usunęli się wszyscy.

Wielki chłód i nieporuszona tem powaga króla, Bodzantę coraz mocniej rozjątrzały...

— Z obowiązku ojca duchownego miłości waszej — odezwał się głosem drżącym i przerywanym — przyszedłem tu... Odpowiadamy za owieczki nasze... za najmniejszą z nich, cóż dopiero za taką, której przykład świeci wszystkim, albo w ciemności ich po-grąża.

Spójrzal na króla, który słuchał, najmniej nie okazując wzruszenia.

— Miłościwy królu... pocznę od sprawy kościelnej... krzywda się stała nie tylko mieniu, ale powadze kościoła i mojej. Zabrano mi dobra...

— Wiem o tem — przerwał Kaźmirz spokojnie. — Posyłałem z tem do was ks. Jana, aby sprawę wytłómaczył. Nikt, tylko przodkowie moi majątności te kościołowi nadali, odbierać mu ich nie myślę. Stanął układ pomiędzy mną a s. p. poprzednikiem waszym Jangrotem o zamianę; z mocy umowy tej zabrałem Złockie, dam inne dobra...

Biskup natychmiast wpadł w gorączkę wielką, którą już był z sobą przyniósł, i krzyknął:

— O żadnych układach nie wiem, żadnej zamiany nie chcę... własności kościelnej się upominam!! Idzie mi o powagę moją, o nienaruszalność mienia naszego, którego ja stróżem jestem.

I dodał złośliwie, na myśli mając Bogorję:

— Nie jestem z tych pasterzy, którzy przez grzeszną pobłażliwość dla władzy świeckiej na frymarki się puszczają...

Zły przykład może zgubne wydać owoce. Co kościół raz dostał, to mu odebraniem, zamienionem być nie może — jest nietykalnem.

Spojrzal na króla, na którego twarz rumieniec nawet nie wystąpił.

— Szanuję ja kościół, wiernem jestem dzieckiem Rzymu, lecz w sumieniu będąc spokojnym, opierając się na umowie, gotówem z tem i do Rzymu — a dóbr oddać niemogę, bobym się na pośmiewisko wystawił.

— Więc wolisz wasza miłość mnie narazić na nie! oburzył się Bodzanta...

Groziecie mi Rzymem? ja też do niego znam drogę!!

Ton jakim to mówił biskup, był zaczepny, groźący, niewłaściwy do króla, Kaźmirz też nie odpowiedział nic.

Sparł się na rękę, twarz zwrócił do mówiącego wypogodzoną — słuchał...

Biskupa chłód ten drażnił i do gniewu pobudzał.

Król więc nawet uniewinniać się, nawet łagodzić go nie chciał!!

— Nie z jednym tem przyszedłem do was, miłościwy królu — czekałem długo, milczałem nadto, sumienie obciążone mam... któż wam powie prawdę, jeżeli nie ojciec duchowny, nie ja??

Żle żyjesz, królu... toż samo, co niegdyś Stanisław wyrzucał Szczodremu, ja muszę Wam powtórzyć — żyjesz źle... królowa odsunięta, odepchnięta, miłośnice wasze palcami skazują. Królestwo wasze pójdzie w niewolę i pod panowanie obcych za grzechy wasze.

Jako ojciec duchowny, wzywam was, królu, po chrześcijańsku żywot rozpoczniejcie na nowo. Precz z nierządnicami, precz z zuchwalstwem i ulubieńcami, królowa powinna powrócić... Domagam się tego...

Głos drżący, coraz mocniej biskup podnosił, tak, że go z drugiej izby słyszeć było można, Kaźmirz pobladł nieco, surowszym wyrazem twarz się oblokła.

— Znam grzechy moje — rzekł — i przed Bogiem za nie odpowiem.

Z żoną żyć — nie mogę... Nerozważne było małżeństwo, ale znoszę je, królowej się krzywda nie dzieje. Miłośnic moich nie widzi nikt, a więcejbym ich mógł ukazać przy opatach i prałatach kościoła, którą mu głową jesteście, niż przy mnie. Oczyścicie naprzód co bliżej was jest i większe zgorszenie czyni.

Biskup rzucił się z siedzenia — podnosząc rękę.

— Królem jesteś — krzyknął, ale twa wiedza nie sięga nas! Kościelne sługi do was nie należą.

Raz jeszcze wzywam o poprawę żywota, abym niebył zmuszony użyć tego oręża jaki mi jest zwierzony...

Jeżeli kościół cię odepchnie, zachwieje się korona twa, pójdiesz jak ojciec wygnanecem, ale jak on nie powrócisz...

Wspomnienie ojca, króla poruszyło do żywego, zalała się twarz błąda krwią.

— Czyńcie ze mną co chcecie, zawołał groźnie, lecz świętej pamięci rodzica nie tykajcie!

Niemacie do tego prawa...

Wstał i z dumą odezwał się:

— Żegnam was.

Biskup stał jeszcze, mając gwałtowniej napaść na króla, gdy ten, powolnym krokiem ku drzwiom podszedłszy, zasłonę szkarłatną podniósł i zniknął

Bodzanta padł na krzesło. Potrzebował ochłonąć... Prawie w tej samej chwili drugimi drzwiami wszedł Suchywilk, Otto z Pilicy, Wojewoda i Starosta sandomirski, Jaśko z Melsztyna i kilku innych.

Ostatni z nich, skłoniwszy się biskupowi, rzekł cicho — że król się uczuł niezdrowym i kazał Bodzantę przeprosić.

Niechcąc okazać, jak był gniewnym i czuł się obrażonym, biskup wstał żywo z siedzenia, zamruczał coś, pobłogosławił pospiesznie przytomnych i skierował się ku wyjściu.

Z poszanowaniem dwór go cały odprowadził.

Tak się skończyło owo posłuchanie na którym ks. Bodzanta daleko większe pokładał nadzieje. — Powrócił na dworzec swój smutny, bo w duszy przekonany, iż niezręcznym wspomnieniem ojca królewskiego, rzecz dobrze poczętą popsuł. Czuł się do winy, do której przyznać się nie chciał

Na dworcu czekał nań z wielką niecierpliwością ks. Baryczka — i wniósł z milczenia upartego biskupa, że krok się nie powiodł.

Nie prędko ochłonawszy, Bodzanta w krótkich słowach opowiedział mu, że uporu króla przełamać nie mógł, że rzucił może tylko nasienie, które rozwaga rozwinie... Potrzeba było czekać, dać czas do niej.

Ks. Baryczka był całkiem przeciwnego zdania. Pocałował w rękę Bodzantę, ale sprzeciwił się stanowczo.

— Nie trzeba im dawać czasu do rozmyślu! nie! Bić żelazo, póki gorące, nie dać odetchnąć, piorunować, klątwę zawiesić nad głową...

Uniósł się.

— Nie chcecie wy sami mieć z bezbożnikiem do czynienia, macieli nadto litości w sercu i dobroci — szljicie mnie! Nie ulękne się, pójdę, wzięwszy krzyż w ręce, w obec ludu karcieć go będę, po kościołach obwołam... Dla mnie on nie królem ale niepoprawnym, zatwardziałym grzesznikiem, wiarołomcą...

Wpadł w szal wielki ks. Baryczka, aż Bodzanta, którego zawstydział tem bohaterstwem, musiał pod posłuszeństwem kazać mu się pohamować i zmilczeć. Ledwie to na chwilę usta mu zamknęło.

Na Wawelu, gdzie znaczniejsza część dworu króla część rozmowy mimowolnie słyszała, gdyż Bodzanta głos podnosił — zburzenie było nie mniejsze. Niektórzy się na biskupa odgrażali, chciano skarżyć do Rzymu, Otto z Pilicy wołał, żeby go uwięzić należało za nieposzanowanie króla. Inni, umiarkowańsi, widząc, że Kazimir zachował się spokojnie i rozmowy nawet o wypadku tym nie wznawiał — wnioskowali, że z wielkiej chmury tej burzy nie będzie.

U stołu króla mówiono o turniejach, o nowej broni, o nowinach z Węgier, o krzyżakach — a o biskupie ni słowa.

Tylko Otto z Pilicy, przywiązany do króla, uspokoić się nie mógł. Kochan go nie spuszczał z oka. Już wprzód go usposobił jak mu było potrzeba. Wnet po obiedzie zeszli się z nim w kątku izby z której inni się rozchodzili.

— Panie Wojewodo, rzekł Kochan uśmiechając się, po cichu — króla znam — darowałby on biskupowi wszystko, ale nieposzanowania pamięci ojca nie przebaczy. Wiem to — że choć sam mścić się nie będzie, gdyby kto się zań ujął przyjmie wdzięcznie. Macie tam dobra biskupie pod bokiem... He? Każcie urzędnikom swym, aby klesze dokuczali. Będzie musiał do króla na skargę, naówczas wszystko się zładzi.

Otto z Pilicy nie był od tego.

— Zrobię tak, rzekł — są spory o granicę... łatwo mi przyjdzie dokuczyć Bodzancie...

Kochan w ramię go pocałował.

— Stary dobre oczy ma, gdy cudze rzeczy wypatruje — dodał, a co pod nosem u niego się dzieje nie widzi. Zabawna to historia, o której prawią ludzie o nim i bracie jego, Zawiszy. W rodzinnym swoim Janikowie Bodzanta zamek budować kazał, bo mu się zachciało króla naśladować... Zwierzył ono budowanie bratu. Lat już kilka trwa owo bajeczne a kosztowne wznoszenie zamczyska, na które ani jednego kamienia, ani belki jednej nie sprowadzono, a Zawisza co roku płacić Biskupowi każe za to, czego nie zrobił.

Słuchając go, gdy o zamku prawi, którego na świecie nie ma, gdy biskup się rozkoszuje i rozporządza — ludzie boki zrywają.

Bodzanta by rad do Janikowa dojechać i te mury, na których tyle kop groszy dawał, zobaczyć — lecz, Zawisza baczny, zawsze mu coś przeszkodzi... Tymczasem pieniądze do kalety wysypuje...

Zabawiwszy Wojewodę tą powiastką, która wcale zmyśloną nie była, Kochan nastąpił jeszcze na to, aby biskupich dóbr nie szczędził.

— Jedyne to sposob — odezwał się — sam sobie sprawiedliwości nie wymierzy, musi po nią do króla — wówczas dopiero my się i o Złockie dobra z nim rozprawimy, wymożem zamianę i jaką taką zrobimy zgodę.

Otto z Pilcy, który Kochanowi ufał, nie wspominając o tem królowi, nazajutrz pojechał do Sandomierza i natychmiast się wziął do dzieła.

W dni kilka dziekan przybiegł na dwór biskupi z lamentem wielkim... Królewscy urzędnicy w lasach gospodarzyli, osadników brano z ziemi biskupiej i przesadzano — wojsk oddział jakiś zajął część majątności biskupich.

Gwałt ten, który od czasów wojen Łokietkowych był bezprzykładny, nie mógł być przypadkowym, czuć w nim było rozkaz z góry, skazówkę, wydaną wojnę.

Biskup, słuchając przybyłego ze skargami, na zamek chciał natychmiast — z groźbą wyraźną — klątwy. Ledwie go wstrzymano.

Posłał po Baryczkę...

Ten tryumfował.

— Stało się, jak przepowiadałem — zawołał — bezkarnie uszło jedno, próbują więcej — cierpliwość pasterska wynagrodzona! Tu piorunów potrzeba! piorunów, piorunów!!

Zebrano tegoż dnia kapitułę na radę...

Od mianowania i wyświęcenia przez Papieża biskupa Bodzanty, choć kapituła opierać mu się nie mogła, zawsze między nią a nim nie było miłości wielkiej. Zebrani kanonicy przyszli w milczeniu, wysłuchali żaloby, nie odpowiadali nic na wnioski, do serca jednak tego zatargu nie wzięli.

Bodzanta też o radę ich niepytał... Baryczka nim owładnął zupełnie, szedł z nim nie oglądając się na nikogo.

Ks. Marcin do wojny, na męczeństwo — gotów był, chciał natychmiast iść biskupowi towarzyszyć, poprzeć go...

Po dłuższej naradzie Bodzanta uznał, iż mu powtórnie iść raz odprawionemu nie przystało — Baryczka ofiarował się w imieniu jego uroczyście udać się na zamek z przestrogą do króla i ostatnią groźbą.

O ile on pragnął tego — biskup się wahał jeszcze. Radby był mniej gwałtownego wybrał posła... lecz — Baryczka nastawał, prosił, błagał...

To, o czym marzył, spełnić się miało nareszcie! Bodzanta dzień postanowił. — Było to w końcu stycznia, król ciągle na łowy jeździł, obawiano się, aby im nie uszedł. Jak skoro postanowiono, iż na zamek ma iść — ani dnia nie chciał już folgować ks. Marcin...

Długo oczekiwania, gwałtowna żądza wystąpienia przeciwko zgorszeniu, gorliwość nadzwyczajna człowieka przejętego świętością posłannictwa swojego, nie dały mu w nocy zmrużyć oka.

Spędził ją na klęczkach w zimnej izdebce swej, modląc się aby go Bóg natchnął, dał mu siłę i wymowę, moc przekonywającą. O świecie poszedł mszę świętą odprawić do kościoła na Wawelu — w czasie której płakał i Bogu dziękował, iż mu dozwolił narażać życie dla chwały swojej...

Gdy z tą gorącą modlitwą na ustach powracał do zakrystyi, nie widząc nic, cały w sobie i pełen świętej gorączki, zapалу męczeńskiego — spostrzegł w niej, zrzucając z siebie szaty obrzędowe, stojącego i jakby nań oczekującego Suchywilka.

Były to dwa zupełnie sobie przeciwne i nie mogące się pogodzić charaktery. Zaczęły oba, różne zupełnie. Baryczka na apostoła stworzony, Suchywilk na spokojnego władcę i kierownika.

Modlił się więcej Baryczka, skuteczniej od niego był czynnym Suchywilk. O ile tamten gorącym, ten był rozważnym. Pierwszy znał świat, jakim go widział z kościoła i od ołtarza, drugi jakiego się z życia nauczył.

Ks. Marcin, przeczuwając, iż mu tu grozić może rozmowa, której wcale nie życzył, starał się jej uniknąć — chciał wyniszczyć natychmiast.

Ksiądz Suchywilk z powagą zaszedł mu drogę i pozdrowił go.

— Słówko, mój ojczu, rzekł, choć widzę, że się spieszycie. Posłuchajcie mnie.

Nie było sposobu odmówienia chwili rozmowy.

— Duchownym jestem jak wy, mój ojczu, mówił dalej ks. Jan. Sprawy kościoła, stanu naszego, obchodzą mnie tak gorąco jak was. Wiem, co wczoraj doniesiono, iżżeście z rozkazu pasterza wysłani do króla.

Woli biskupa swego żaden z nas, duchownych, opierać się nie może. Spełnijcie ją, lecz ojczu mój, słudzy kościoła ludźmi są, a Bóg gniewem i namiętnością źle bywa usłużonym. Postąpcie łagodnie uczynicie więcej i lepiej.

Zczerwienił się Baryczka.

— Postąpię, jak mi sumienie moje i obowiązek nakazuje, odparł niecierpliwie. Środki łagodności wyczerpane zostały, potrzeba grozy i odwagi!

Chrystus frymarzczących chłoszcząc gnał precz ze świątyni, słudzy też jego bicz ten czasem w ręce ująć muszą na grzesznych.

Suchywilk słuchał cierpliwie.

— Tak, Chrystus raz w życiu tylko za nieposzanowanie domu ojca swojego chłostał... i Chrystusowi Panu bicz przystał bo on był Bogiem... Myśmy ludzie, nam jego pokora, łagodność, jego miłość i pobożanie w spadku się dostały... Przekazał nam je w słowach Pawła świętego...

Ojczu mój — zaklinam was! nie unosić się. Klękniejcie na modlitwę raz jeszcze, proście Boga, aby pokój zesłał na duszę waszą, idźcie z prawdą na ustach, ale z miłosierdziem w sercu... Grzesznym jest król, nie proszę was, abyście dlań mieli pobożanie — błagam, abyście byli panem nad sobą... Królem jest...

— Dla mnie człowiekiem i grzesznikiem! odparł Baryczka.

Suchywilk ręce załamał.

— Wielbię, rzekł, święty zapal wasz i gorliwość — szanuję tę odwagę — lecz nie sprawicie nią tego, co uczynić chcecie, oburzycie, nie nawrócicie go...

Powstanie ztąd walka, która zamiast zbliżyć nas do tronu, oddali od niego, przyniesiesz zgorzenie...

Bądźcie jak Chrystus Pan surowi a miłosierni, prawdomówni a litośni...

Baryczka poruszył się niecierpliwie.

— Mam to przekonanie, zawołał, iż święte posłannictwo spełniam, i że w takich godzinach posługi kościołowi, Bóg na niegodną czeladź swą zlewa z góry promień ducha świętego... On sam przezemnie mówić będzie. Gdybym rozumem mym ludzkim, ten głos boży w sobie tłumił a psował — byłbym grzesznym!! Modliłem się do ducha Świętego! To rzekłszy ks. Baryczka, pokłonił się, i nie chcąc już przedłużać sporu, z zakrystyi wyszedł.

Gdyby o takim stanie ducha, w jakim się znajdował, powiedzieć można, iż upojeniem jest, możeby to najlepiej go malowało. W upojeniu posłannictwem tem, odziany w komżę i stułę, z krzyżem w ręku, sam jeden, blady, stanął ks. Baryczka w sali wielkiej, poprzedzającej izby króla.

Wiedział, że tu miał nieprzyjaciół, że mu może nawet przystępu do króla bronić będą. Od progu spotkały go wejrzenia urągliwe, dumne — złośliwe.

Nic go to nie obeszło.

Odwracano się od niego, nie chcąc widzieć

Śmiało postąpił ku Dobkowi Bończy, który był najbliżej i na głos się odezwał.

— Oznajmijcie o mnie królowi. Przychodzę przysłany przez Biskupa, w poselstwie od niego.

Dobek ani żaden ze stojących w pobliżu, nie odpowiedział mu z razu... Zbyto go milczeniem. Powtórzył dobitniej i głośniejsze toż samo.

Od niechcienia Przedbór Zadora, zdala rzucił za całą odpowiedź.

— Z królem się widzieć nie można.

— Zatem czekać tu będę, i nie poruszę się ztąd, aż godzina przyjdzie... — odparł Baryczka...

Nastąpiło milczenie.

Potrzeba było męstwa, aby wśród dworu młodzieży szyderskiej, wejrzeń pogardliwych, gwaru umyślnego, potrącania, wytrwać na stanowisku.

Ściskając krzyż w dłoni, blade, mrużąc modlitwę, Baryczka stał nieporuszony.

Ci, którzy sądzili, że się go pozbyć potrafią, widząc ten opór kamienny, zaczęli być niespokojni. Jawnem było już, że Baryczka nie odejdzie z własnej woli, a duchownego nikt się nie mógł ważyć za drzwi wyrzucić. Godzina upłynęła na takim oczekiwaniu.

Ludzie wchodzili i wychodzili z komnat królewskich, dworzanie mieniali się, przesuwały postacie obce, którym posłuchanie dawano, Baryczka czekał.

Ci, którzy śmiechem go przyjęli i lekceważeniem, patrzali nań z trwogą. Kochan wyglądał razy kilka i znikał. Naostatek obrachował to, że im dłużej go wytrzymają i więcej udręczą, tem więcej zółci się i gniewu w nim zbierze.

Po kilku innych, wskazano, nic nie mówiąc, drzwi ks. Baryczce... Wszedł do komnaty króla, a wchodząc, umyślnie za sobą zostawił otwarte podwoje, po za którymi ciekawych dwór natychmiast się zebrał i nacisnął.

Każmirz siedział u stołu — królewskie swe przybrałszy oblicze, nie to, jakie miewał, gdy rozmawiał z chłopami i żebrakami, i kumoszkom w ulicach Krakowa pozdrawiającym go, odpowiadał.

Ks. Baryczka ledwie głowę przed nim skłonił.

Usta otworzył, chciał przemówić, i uczuł teraz dopiero, że gorączka oczekiwania, męczarnia, jaką znosił od wczora, wysuszyła mu język i usta. Musiał czekać chwilę, nim zdołał się odezwać.

— Jestem przysłany do Miłości Waszej — rzekł ponuro, przez Pasterza naszego, i w jego imieniu tu stawam, jego wolę głoszę.

Raz już Pasterz napominał Was, królu, o życia poprawę, o poszanowanie kościoła... słowa jego próżno przeszły... Owszem, mścić się jeszcze za nie ważono...

Nie przystało ojcu drugi raz dziecięcia napominać... Jam tu za niego, nie z upomnieniem już, ale z groźbą...

Spojrzyjcie na życie swe... godneli ono króla? Wszystkie prawa Boże pokruszyliście dla dogodzenia namiętności, kościołowi zabieracie mienie, napomina biskup, zemstę wywieracie na nim... Królowa wygnana...

Każmirz zmarszczył brwi groźno, i znak dał ręką.

— Dosyć — zawołał — com od biskupa mógł cierpliwie wysłuchać, od ciebie...

— Kapłan jestem — odparł dumnie Baryczka.. poseł jestem... sługa Boży, musicie słuchać głosu mojego, a wzgardzicie nim, kłątwe rzuci kościół...

— O kłątwe słyszałem — odparł król obojętnie — widzicie, że się jej nie uląłem...

Spojrzał na Baryczkę.

— Wy macie kłątwy, z których Rzym rozwiązuje i rozgrzesza, rzekł, ale ja też mam siłę i moc królewską. Jesteście ziemianinem tej korony, ja sędzią.

— Nie nademną — wykrzyknął Baryczka — nie jestem królestwa tego podsądnym, pan mój w Rzymie, sąd mój przed biskupem... nie należę do Was, królu...

Blady, wstał król z siedzenia, udając obojętność, lecz ręce mu drgały i usta, oczy biegały po komnacie, jakby szukały kogo, coby go uwolnił od natręta.

Baryczka stał, czując, że nie przeszły wyrazy jego bez wrażenia...

— Mór i głód i straszne klęski padały na to królestwo — począł znowu — padną większe jeszcze, bo grzesznemu ludowi, którego pan jawno grzesznikiem jest — nie przebaczy Bóg i miłosierdzia mieć nad nim nie będzie...

Potomka ci nie da on, zczecznie na tobie ród, rozsypie się państwo twe... mury, które wznosisz, pójdą w gruzy, bogactwa, które gromadzisz, rozszarpią nieprzyjaciele, kamień na kamieniu nie pozostanie z Sodomy i Gomory... bo wkrótce jednego sprawiedliwego nie będzie tu, gdy ten, co najsprawiedliwszym być winien, w grzechu się tarza.

Królu a Panie, wołam do Ciebie głosem Bożym, popraw się... wyzywam Cię do upamiętania.

Każmirz w ciągu tego natchnionego wołania stał u okna i patrzył w nie oczyma nie-ruchomemi. Widać tylko było niecierpliwe drganie, które tamował. Postanowił nie odpowiadać więcej, i raz odwróciwszy się od Baryczki, nawet już nań nie spojrział.

Było w tem coś tak wzgardliwego, tak groźnego, że ks. Marcinowi słowo na ustach zamarło...

Zmięszął się — umilkł.

Po za nim w otwartych drzwiach, zgromadzony dwór szeptał, burząc się. Słyszał, jak mówili:

— Precz go wyrzucić! precz!

Lecz nikt zbliżyć się i tknąć go nie śmiał.

Nastąpiła chwila milczenia.

Kochan do drzwi przyparty, z pięściami zaciśniętymi, rozjadły, wstrzymywał się całą siłą od zuchwałego kroku w obec króla. Kilka razy chwycił za mieczyk i rzucał go.

Tuż za nim Przedbór i Pakosław Zadory, jakby na rozkazy jego oczekujący, z tem samem co on uczuciem, spoglądali na nieustraszonego księdza...

Starszyzna dworska, widząc ich tak oszalałych, szeptała wstrzymując i nie dopuszczając, aby się na Baryczkę porwali...

On stał chwilę jeszcze...

— Spełniłem, co mi nakazano — odezwał się w końcu — pomnijcie, że klątwa wisi nad głową waszą.

Nie odwrócił się król, Baryczka zatrzymał się oczekując słowa, gdy Kaźmirz bliżej jeszcze się ku oknu przysunął, i jakby coś w podworcu widział, co go najmocniej zaprzętało, cały się tam pochylił.

Ks. Marcin zawahał się nieco, potem krokiem śmiałym zawrócił do drzwi, i pomiędzy rozstępującymi się dworzany nazad do pierwszej izby wszedł...

Otarł się prawie o stojącego przy progu Kochana, który go za rękaw komży pochwycił.

— Com ci przyrzekł, to dotrzymam! rzucił mu w ucho. Zginiesz, klecho!

Baryczka nie zdawał się słyszeć groźby, modlił się, i powolnie nazad do zakrystji iść począł. Zdala za nim gawiedź ciekawa krocząc, przeprowadziła go aż do drzwi kościelnych, w których zniknął.

Wprost przed wielki ołtarz podszedłszy, kląkł się modlić.

Z niecierpliwością i niepokojem oczekiwał powrotu jego biskup. Dłuższy, niż się spodziewano, czas upłynął, nim się zjawił z twarzą posępną Baryczka.

Spojrzeni na siebie — Bodzanta czytał w jego twarzy...

Sił zabrakło mężnemu szermierzowi na opowiedzenie smutnej wyprawy swojej, wyczerpały się one bezsennością, modlitwą, samem tem wystąpieniem bohaterskiem, odechniętem wzgardą milczącą.

Bodzanta, widząc go drżącym i osłabłym, sam mu przyniósł kubek wina i zmusił, aby w nim umoczył usta.

Ten rozogniony niedawno, gotów na męczeństwo kapłan, lży miał na oczach teraz i drzał znękany. Zdało mu się niepojętem to, co go spotkało. Był pewien tej siły, o którą się modlił, i pewien skutku — niemoc własna przyprowadzała go do rozpaczy, upokarzała.

Nie mógł jej inaczej sobie tłómaczyć, tylko tem, że niegodzien był łaski Bożej, o którą się modlił, aby nań spłynęła.

Bodzanta gniewnym był, oburzał się.

— Nie lęka się klątwy król, zawołał — więc mnie do rzucenia jej zmusi! Nie ulęknę się i ja jej skutków... Stanie się, co Bóg przeznaczył — imię Jego niech będzie błogosławione...

Smutnie głowę zwiesił na piersi.

Pozostawała ta jedna ostateczna broń... Wojna była wypowiedziana, zgoda bez upokorzenia niepodobną. A jednak, choć gotowym się opowiadał do użycia oręża tego Bodzanta, wahał się jeszcze...

Baryczka lży ocierał...

Na biskupstwie milczenie było, znękanie, nieokreślona jakaś obawa jutra i niepewność. Stał Pasterz na skraj, nad ostatecznością doniosłości największej, przed którą się cofnąć nie mógł.

Przerażała go ona...

W ostatnich czasach rzadsze coraz stawały się klątwy i interdykty, w samym Rzymie nie pochwalano pośpiechu, nie doradzano ich, widząc, że wielka siła tego duchownego oręża osłabła znacznie.

Każmirz miał u stolicy apostolskiej jeśli nie takie zachowanie co ojciec, to poszanowanie pewne i obrońców. Sam Arcybiskup Gnieźnieński był z nim i musiał stanąć w jego obronie.

Gotowała się więc dla biskupa Bodzanty ciężka do spełnienia ostateczność, brzemien-na nieobrachowawcami następstw. On sam, kościół, wierni cierpieć mieli, królestwo narażone być mogło, nieprzyjaciele korzystać z osłabienia władzy króla...

Lecz cofnąć się nie czas było...

Król nie odwrócił głowy ku wychodzącemu Baryczce, nie spojrział nań, nie odpowiedział nic, lecz gdy po chodzie i ruchach, domyślił się zbliżającego Kochana — będąc pewien, że książd odejść musiał. — Spojrział nań — Rawa widokiem twarzy, nagle zwróconej ku sobie, przeraził się i zadrżał. Rzadko Każmirza szlachetne rysy, którym wiek dał już marmurowy spokój i majestat, tak silnie odbijały, co się w duszy jego działo. Królewski kunszt zamykania uczuć we wnętrzu, aby świat im ani się dziwić, ni cieszyć, ani mógł urągać, posiadał Każmirz w wysokim stopniu. Rzadkie godziny swobody w małym kółku dawały poznać, co cierpiał i czego doznawał. Nawet ten nieprzewyciężony smutek groźnego przecucia, iż bezpotomnym być ma, i z rodu ostatnim, umiał król zamykać w sobie. Wylewał się z nim tylko przed najbliższymi...

W tej chwili poruszonym był tak silnie, obrażonym tak boleśnie, iż zapomniał o godności swej, a wiedział może, iż nikt obcy go nie zobaczy, i nie zdradzi.

Kochan, którego postawa i oblicze kipiały jeszcze uniesieniem gniewu, zamienił z nim wejrzenie tylko — król mniej niż zwykle pewnym krokiem poszedł ku siedzeniu swemu przy stole, padł na nie i sparł się na rękę.

Z wolna przychodził do siebie.

Kochan stał przed nim, jakby na rozkazy oczekiwał, nie śmiał się odezwać — król oczyma błędnymi, długo wodził po komnacie — drgnął, jakby ciężar z ramion chciał zrzucić — ruszył się, jakby wstać miał, siadł znowu i zapytał o Suchywilka głosem cichym.

Nie było go na Wawelu. Kochan spytał, czy po niego ma posłać, Każmirz zaprzeczył ruchem głowy. Po chwili rzucił pytanie, czy nań kto czekał, powiedziano mu o kilku przybyłych. Kazał podać wody i wina; otarł twarz i począł się po izbie przechadzać.

Ulubieniec nie śmiał mówić o tem, co się stało, a czego z innymi razem był widzem i słuchaczem. Wyszedł.

Równie z nim cały dwór przerażony był i rozjątrzony. Pobożniejsi lękali się następstwa, znając Bodzantę i Baryczkę, znaczniejsza część wrzała gniewem i zemstą. Nikt odgadnąć nie umiał, jakie było usposobienie królewskie, jeden Kochan, czytający najlepiej w jego twarzy, znalazł w niej rzadko bardzo objawiającą się obrazę ciężką, i pragnienie odwetu. Myśl tę, czyby był odgadnął lub nie, Rawa od pierwszej chwili miał najmocniejsze postanowienie pomszczenia się za króla. To, co powiedział Baryczce na weselu, co mu powtórzył u drzwi, poprzysiągł spełnić.

Rady w tem niczyżej zasięgać nie myślał — słuchał wewnętrznego oburzenia tylko.

— Klecha musi zginąć, powtarzał sobie, ażeby drudzy króla się szanować nauczyli.

Miłość dla króla zaślepiła go tak, że następstw tego kroku, który zamierzał — nie rachował.

Wyszedłszy z komnaty, do której natychmiast wpuszczono oczekujących, bo król już był odzyskał krew zimną i ze zwykłą łagodnością i uśmiechem przyjmował, poczynając od najbardziejniejszych, co było we zwyczaju przy posłuchaniach, Kochan pobiegł do siebie.

Przedbor i Pakosław Zadorowie, powolni słudzy jego, bez których on obejść się nie mógł, pospieszyli za nim. Szedł zadumany Dobek Bończa, już powszechnie znany pod przezwiskiem świeżo zdobytym Fredry.

Mieszkanie ulubienca królewskiego na zamku, acz szczupłe, bo ze trzech tylko izdebek niewielkich się składające, tak było wytwornie urządzone, jak on sam, do zbytku i okazałości przywykły.

W mniejszych rozmiarach znajdowało się tu wszystko, co w owych czasach najmniejszych przyozdabiało mieszkania. Sam król, znający upodobania ulubienca, mnodzy przyjaciele i ci, którzy łaski jego potrzebowali, obsypywali go kosztownymi podarun-

kami. Niejedną osobliwość miał od przyjaźnego mu Wierzyńka. Sam on też, zamiast pieniądź zbierać i oszczędzać, chętnie błyszczące i wabiące oczy rzeczy kupował.

Izba główna i sypialnia pełne ich były. Lubował się w tem Rawa równie, jak w bogatym stroju. Ściany więc okrywały szpalery tkane i szyte, a na policach stały do koła naczynia najprzedziwniejszej roboty, z kości, srebra, złota, gliny i szkła weneckiego. Jedna ściana cała była zawieszona bronią najpiękniejszą, lukami i sahadakami, szytymi złotem i perłami, tarczami z kruszcu, mieczami, których ciężkie, szerokie pasy często od tego, co na nich zawieszano, kosztowniejszymi były. Stół w pośrodku, cały osłonięty kobiercem, zastawiony był niemniej pięknym doborem złotniczych wyrobów.

Słowem, przepych panował tu największy, a cytra na wezgielciu rzucona przy siedzeniu, domyślać się kazała, że Kochan niekiedy się i muzyką zabawiał.

W istocie, cytarzysta ulubiony królowej węgierskiej Elżbiety, która była miłośniczką muzyki i grajków z sobą wszędzie wozila, uczył Kochana do śpiewu sobie brzdąkaniem towarzyszyć. Kochan nie miał ani czasu, ani zdolności do muzyki, lecz zabawiał się nią w rzadkich chwilach spoczynku.

Gdy pospiesznie za nim nadążywszy tu, dwaj Zadorowie i Dobek, znaleźli się w małej izbie sklepionej, a Kochan się ku nim zwrócił, usiłując wyczytać z twarzy, jakie na nich zuchwałstwo Baryczki uczyniło wrażenie, znalazł ich wszystkich w takim, jak sam był usposobieniu.

Tylko Dobek Fredro, który się nigdy nazbyt nie wydawał z tem co czuł i miał począć, stał na pozór chłodny. Lecz wiedziano, co ten jego chłód oznaczał. Zadorowie, nie nawykli pierwi głosu zabierać, drżeli, oczekując, co Kochan powie.

— Klecha na siebie wydał wyrok — ozwał się po chwili Rawa. Gdyby mu to uszło bezkarnie, dalej król bezpiecznymby już nie był. Będą go po kościołach bezcześcić i na ulicach wytykać palcami.

Zamilkł nieco Rawa.

— Kto mi dotrzymać słowa pomoże, i klechę sprzątnąć — dodał, pewnym być może królewskiej łaski, a mojej wdzięczności.

Napaść go i zabić — dla niego byłoby może pożądanem, nie dla nas, powinien zginąć bez rozgłosu i nikczemnie...

Dobek słuchał, w boki się wzięwszy, patrząc z góry na Kochana, Zadorowie spoglądali na siebie, jakby naradzając się z sobą. Mówili zazwyczaj mało.

Wtem Fredro, wytrzymałszy chwilę, mruknął.

— Zła rada twoja, Kochanie. Ty wiesz, że ja nie pochlebiam nikomu, ani królowi, ani tobie. Powiem ci wręcz, zła rada.

Księżda sprzątnąć, łatwa rzecz, ale co z tego? Oni tego pożąдают, na króla to zrzucą, zbójem go uczynią i wyklną. Kto wie! on się może na to poświęcił.

Ja króla bardzo miłuję, niemniej od ciebie, gdyby mu co groziło, życiebym zań dał i ubić się pozwolił, ale takiej zemsty na mizernym klesze nie radzę i do niej ręki nie przyłożę.

Oni tego chcą, on po to szedł, aby go męczennikiem uczyniono, król nim pogardził — masz skazówkę. Obrócił się do okna, zmilczał. Nie rzekł słowa.

— Ja króla lepiej znam, nikt go, tak jak ja, nie zna! zawołał Kochan obrażony — jemu nie przystało nic innego nad wzgardę, nasza powinność inna! Ja wiem, co wiem.

Nie chcecie wy być z nami, obejdziemy się bez was.

Dobek kołpaczka na głowie poprawił, usta ściągnął.

— Właśnie chciałem ci to powiedzieć, ażebyś się bezemnie obszedł — rzekł, ale dokończę dobrą radą; daj klesze żyć i nie porywaj się na niego...

Zdrów bywaj.

I Dobek z tą swą dumą spokojną, jaką mu dawała pięść i dusza silna, obejrzawszy się po izbie, zaświstał coś i wyszedł.

Zadorowie pozostawszy z Kochanem, zbliżyli się do niego. Tych on tak pewnym był, iż spełnią co każe i poleci, jak samego siebie. Gniew też jego podzielali...

Zaczęła się cicha we trzech narada, która dosyć długo trwała. To, co mściwi dworzanie zamierzali, nie było do wykonania zbyt łatwym, księżda napaść a choćby zarąbać, czy

idącego z Wikarji na biskupstwo, czy powracającego nocą z jednym chłopcem i latarką, było łatwo, ale Kochan inaczej się go chciał pozbyć.

Uchwalono więc naprzód nie spieszyć z wykonaniem, aby zemsta doraźna nazbyt widoczną nie była, potem starać się księdza sprzątnąć tak, aby tego mściwego wyroku spełnienie pozostało na wieki tajemnicą.

Kochan dopuszczał, że go o to będą posądzać, nic mu to nie wadziło, lecz nie chciał, by mu dowiedziano morderstwa.

Pogróżki jawne były przeciw niemu — tem się gotów był chlubić, zabójcą wytykanym być nie chciał, bo — duchowieństwo też ścigać go mogło.

W ciemnościach i tajemnicy miała się dokonać zbrodnia.

Gdy po więcej niż godzinnej naradzie Zadorowie wyszli od Kochana z pomarszczone-
mi twarzami i zagryzionymi wargami, poznać było można, iż ich nie lada brzemień gniotło. Pobrali zaraz kożuchy i szli oba na miasto, każdy w swoją stronę.

Ze dworu wiadomość o rannem wystąpieniu Baryczki wkrótce się na miasto przeniosała. Wierzynek zawsze najprędzej byławiadomiony o tem, co się działo na Wawelu. Chciał natychmiast do króla pospieszyć z prośbą i radą, ażeby cierpliwym był, lecz nim się wybrał, doniesiono mu, iż Kaźmirz wyjechał na łowy.

Rozmowa więc odłożoną być musiała.

Ks. Baryczka, o którego wielkiej odwadze tegoż dnia po wszystkich klasztorach i probostwach szeroko rozpowiadano, bądź co bądź, u znaczniejszej duchowieństwa części, znalazł poklask i uznanie.

Ci nawet, co najmniejby go byli mogli naśladować, wynosili to męztwo pod niebiosa. Wychwalano biskupa Bodzantę, który go wysłał, rozprawiano szeroko nad tem, co król pocznie.

Odgadnąć tego nie umiał nikt. Znano go z pobożności przystojnej, ale umiarkowanej bardzo. Kościołów i klasztorów nie obdarzał tak szczerze, jak poprzednicy; zakładał ich mało. Wprawdzie świeżołożył na prędkie zbudowanie expiacyjnej świątyni Bożego Ciała — lecz wiedziano, iż z Bogorją dobrami duchowieństwa frymarczył, i przypisywano mu zamiary oswobodzenia się od zbytnej duchowieństwa przewagi. Nie opuszczał nabożeństw, lecz nie trwał na nich długo, w pobożności jego gorącości i przejścia się nią nie było.

W ogóle też zbytnej miłości u duchowieństwa nie miał, które śmiały krok Bodzanty i Baryczki witało, jako skuteczne usiłowanie przywrócenia dawnego stanu, dawnej powagi biskupiej, na równi z królewską stojącej. Bohaterem dnia stawał się ks. Baryczka, a że w istocie mężem był pobożnym, czystym i prawym, choć zbyt gwałtownego temperamentu, podnoszono go jako wyznawcę, jako już niemal męczennika za przekonania swoje.

Ażeby król, albo ci, co go otaczali, mścić się mogli na nim, nikt tego nie przypuszczał.

Oczekiwano zwycięstwa...

Po krótkim spoczynku w dworcu biskupim, Baryczka udał się do mieszkania swojego w domu wikariuszów.

Tu on szczupłych dwie celek zajmował.

Człowiek się zawsze maluje w gnieździe swoim, choćby je nie sam zbudował. Życie wyciska się na tem wszystkim, co mu posługuje za narzędzie i podkłady.

Dwie cele księdza Baryczki były tego najlepszym dowodem. Nieopalane nigdy, ciśnie, zaniedbane, nawet tych węgli żarzących, któremi inne, pozbawione jeszcze pieców i kominów mieszkania, bo te dopiero w możliwszych domostwach zaprowadzono, nie widywały nigdy.

Ks. Marcin prowadził życie umartwień umyślnych a nielitościwych. W pierwszej izdebce mieszkał ubogi chłopak, który mu wieczorem nosił latarkę i towarzyszył, gdy wychodził — w drugiej tapczan, lichy i twardo zasłany, klęcznik, dyscyplina z drucianemi haczkami na ścianie, krucyfiks prosty, nieco książek, odzież na kołkach, składały całe mienie. Licha skrzynka niezamknięta, mieściła bieliznę i pomniejsze mienie. Syn za-
możnego dosyć rodu, raz wdziawszy suknię kapłańską, dobrowolnie stał się ubogim. Co miał, dzielił z biednymi, dla siebie zostawiał tylko tyle, by mógł życie utrzymać. Żadnych wygód nie potrzebował.

Modlitwa, posty, biczowanie, nieustanne posługi duchowne, w których drugich wyręczał — utrzymywały go w stanie podniecenia duchowego, w rodzaju ascetycznej gorączki, z której nie ostygł nigdy. Nie czuł więc nawet umartwień, na które się skazywał, bo stan taki rodzaj anestezji sprowadza.

Zimno, głód, wyczerpanie, często dopiero wówczas dawały mu się uczuć, gdy na pół omdlały już upadał.

Surowy dla siebie, nie był też pobłażającym dla drugich — karciał, strofował, obchodził się z ludźmi bez litości, i ci nawet, co go szanowali, zdumiewali się, musieli być wdzięcznymi, — kochać go nie mogli. Zdawał się odstręczać umyślnie od siebie, aby mu miłość ludzka nie wynagradzała tego, za co chciał mieć w niebie zapłatę.

Jest to pewnikiem, iż najłagodniejsi ludzie, często przez samolubstwo świata się wdzięczą, aby uniknąć prześladowania i powolnością spokój sobie zakupić.

Ks. Baryczka postępował przeciwnie; ostrym i szorstkim był, aby go nie oszczędzano.

Widziano już w nim natenczas męża przeznaczonego do zajęcia najwyższych stanowisk w kościele, którego praw mógł być nieuleknionym obrońcą.

Wyjechał król na łowy... Przez dni kilka mówiono wiele o poselstwie Bodzanty do Kazimirza, domyślając się różnie jego skutków. Ode dworu nic a nic słyhać nie było.

Kłątwa, zawieszona nad głową króla, zdała się do czasu odwleczoną... Biskup Bodzanta w postanowieniu trwał, ale z wykonaniem go nie spieszył.

Ks. Baryczka, jak przed spełnieniem swojego poselstwa niespokojnym był, wyzywającym, niecierpliwym, tak po nim stał się dziwnie pokornym i milczącym.

Pobożność kazała mu po dokonaniu czynu, który on sam za wielki uważał i w życiu stanowczy, nie chlubić się nim. Pan Bóg, wedle jego przekonania, skarał zarozumiałość, z jaką rzucił się na króla, odmawiając jej skutku. Włożył całą swą siłę i duszę w wysiłek — nadaremny.

Karciał się więc sam za zbytne nadzieje.

Życie jego szło trybem dawnym, niezmienione, ustały tylko zbyt częste wprzód odwiedziny biskupiego dworu. Siedział w kościele, modlił się, spełniał swe obowiązki duchowne.

Ubogie chłopię, sierotka, z ulicy wzięty Janczyk, posługujący mu, który jak psiak w oczy mu patrzył i z oczów wypatrywał wszystko instynktem przywiązanych zwierzątek — powiadał często, iż ksiądz jego smutny był, że się biczował dłużej, klęczał w nocy na podłodze zimnej i na modlitwie płakał.

Szpiegiem domowym był ten Janczyk, ale z dobrego serca, bo bał się równie ks. Baryczki jak kochał go. Wszystko też był winien jemu, począwszy od ciepłej odzieży i obóvia, aż do pożywienia, którym ksiądz, poszczący ustawicznie, z nim się dzielił. Janczyk, który wprzód z garnuszkiem od drzwi do drzwi chadzał, jak to było w obyczaju w Krakowie młodzieży, która do szkoły P. Maryi uczęszczała, nie mając żyć z czego; — teraz rumiano wyglądał, pyzato i rósł szybko.

Przywiązanym też był do dobrodzieja swojego nad wyraz wszelki i żył tylko w nim.

Nadchodziła wigilia św. Łucyi. Ks. Baryczka ze mszą świętą zaproszonym był do Franciszkanów, a że modlitwy zawsze długie poprzedzały świętą ofiarę, którą rano bardzo miał odprawiać, wybrał się z domu o mroku jeszcze, a chłopcu za sobą iść nie kazał.

Zazwyczaj powracał na obiad wspólny z innymi kapłanami, na wikaryi z nim mieszkającymi, czekano go naprzód dnia tego, i domyślając się, że mógł u Franciszkanów pozostać, siedli inni do stołu, Janczykowi tylko kazawszy z kuchni jego porcję wydzielić. Po południu nie było księdza Baryczki.

Gdy wieczór miał nadchodzić, Janczyk, wszystko co było potrzeba, przygotował, spodziewając się pana z powrotem lada chwilę. Nigdy się ks. Marcin nie spóźniał zbyt, bo codzień mszę św. odprawiając, wedle przepisów, przed północą, zasypiał, a długie wprzód odmawiał modlitwy.

Spóźnił się tego dnia bardzo, ogarek się dopalał. Janczyk coraz niespokojniejszym być zaczynał. Miarkował, jak inni, nawykli obchodzić się bez zegarów, iż godzina była północy bliska, a opóźnienie bezprzykładne.

Na lada szelest w domu wybiegał z ogarkiem do sieni, przysłuchiwał się. Wszyscy księża z dawna już byli popowracali, ks. Baryczki nie było. Janczyk modlił się już ze strachu. Wypadek był tak nadzwyczajny, iż chłopiec ku północy, nie mogąc wytrzymać,

zapukał do drzwi sąsiednich, do ks. kanonika Andrasza, który zazwyczaj do późna się nad księgami zasiadywał.

Ks. Andrasz był średniego wieku człek, wesołego usposobienia, umysłu swobodnego, lecz z chłopcami udawał zawsze surowego, lajał i gderał, śmiejąc się razem. Nieobawiano się go najmniej i Janczyk poufalszym z nim był, niż z innymi, choć go za czuprynę i uszy targał.

Grubym głosem, gderliwym, ozwał się czuwający jeszcze ks. Andrasz, łajac już zawczasu, choć jeszcze nie było za co...

Janczyk wszedł.

— Czego się ty po nocy włóczysz, jak mara?

Słów tych ledwie dokończywszy, ks. Andrasz postrzegł taki wyraz dziecinnego przeżalenia na chłopcu, i dodał, zbliżając się pospiesznie.

— Na rany pańskie! Co się stało?!

— Ks. Baryczki nie ma — nie powrócił.

— Nie powrócił!! — powtórzył kanonik — a gdzie był?

— U Franciszkanów ze mszą.

— A potem?

Janczyk płaczący poruszył ramionami — nie wiedział.

Zadumał się ks. Andrasz, lecz że nie zwykł był nic brać bardzo tragicznie — rzekł ustami przekręcając...

— Biskup pewnie mu robotę dał pilną, albo — ja tam nie wiem co. Już z północy być musi, kiedy go nie ma, to go nie będzie. Idź spać, o pacierzu nie zapominając, światło zagaś, drzwi pozamykaj... Juźci mu się nic stać nie mogło.

Tak chłopaka uspokoił ks. Andrasz, ale sam zadumał się głęboko. Trwało to tylko chwilę, póki natura i obyczaj góry nie wzięły. Spokojny i na wszystko zawsze zrezygnowany ks. Andrasz, powiedział sobie, iż złego nic nie było — a jutro wszystko wyjaśni.

Z tem począł krótką modlitwę i spać się położył.

Janczyk dopiero zasnął nadedniem. Ks. Baryczki ani od niego wieści i o świcie nie było.

Przebudziwszy się, ks. Andrasz przypomniał sobie, co wczoraj zaszło, zajrzał do Janczyka, dowiedział się, iż ks. Marcin nie wrócił dotąd, i wybrał z ciekawością wielką śledzić, co się też z Baryczką stało.

Zaszedł naprzód do Franciszkanów. Tu, na zapytanie o wczorajszą mszę ks. Baryczki, Gwardjan mu odpowiedział z wielką żywością, że go ze mszą czekano wczoraj napróżno, ornat i ampułki w zakrystyi były gotowe... ale nie wiadomo dla czego zawód im uczynił, a nie trafiło się to mu nigdy — i choćby chorym się czuł, przecieży chłopca mógł przysłać o tem dać wiedzieć zawczasu...

— Ale on chory nie jest, bo go od wczoraj rana w domu nie ma. Ot co! zawołał zaczynający brać do serca sprawę tę ks. Andrasz. Strach ogarnął obu księży.

Kanonik przyspieszonym krokiem pobiegł do biskupa. Sądził, że tu może jeśli nie ks. Baryczkę, to języka o nim dostanie.

Kapelan, którego w progu spotkał, na zapytanie odparł, że Biskup właśnie posłał po ks. Marcina, bo przez cały dzień przeszły nie widziano go tu...

Oba poszli do ks. Bodzanty...

Wypadek się wydawał już zagadkowym i groźnym. Biskup ręce załamał.

— Jezus! Marjo! — zawołał — miałby on paść ofiarą? ale nie, to być nie może.

Popłoch wielki stał się na biskupstwie, rozesłano natychmiast na wszystkie strony... ks. Andrasz powrócił na Wikaryję. Tu Janczyk tylko sam modlił się a płakał.

Niektórzy księża wpadali już na myśl, iż zbrodnia mściwą ręką popełnioną być mogła.

Po całym mieście rozniosła się w prędcie wieść o zniknięciu ks. Baryczki. Chociaż od wystąpienia jego do króla czas jakiś upłynął, i nie było najmniejszej poszlaki, aby dwór chciał się mścić na pośle biskupim, jednakże domysły różne i przypuszczenia rosły jak grzyby...

Śledzono najpilniej, czy się dnia tego nie pokazał gdziekolwiek. Wiadomo było, że bardzo rano wyszedł z domu na mszę do Franciszkanów, jeden z firtelników utrzymywał, że spotkał go w ulicy zmierzającego ku klasztorowi. Tu wcale go nie było... W tej porze

dnia, w lutym, mało się co jeszcze w mieście poruszać zwykło, przechodniów bywa mało, i trochę życia tylko w pośrodku miasta i na głównych, do targów wiodących drogach, czuć się daje... Ranek był zimny, mroźny i mglisty... Szron okrywał drzewa, ale mróz nie zelżał, wzrósł jeszcze.

Na śniegu wśród miasta śladów szukać nie było sposobu.

Cały dzień upłynął w oczekiwaniu, w nadziei że ks. Baryczka mógł w drodze być pochwycony do chorego. Znano jego gorliwość, że w razie gdy o duszę, o nawracanie, o ocalenie człowieka chodziło, chętną z siebie robił ofiarę. Spodziewano się więc jeszcze, że się zjawić może.

Biskup Bodzanta szczególniejszy okazywał niepokój wielki, i on pierwszy począł posadzać dwór o zemstę wywartą na ks. Baryczce...

Trzeciego dnia zaszła okoliczność, dająca wiele do myślenia. Chłop z Łagiewnik, jadący bardzo rano na targ z drobiem do Krakowa, rozповідаć miał, jakoby w wigilię Ś. Łucji, przebywając Wisłą po lodzie, świadkiem był wypadku, który go wielkim nabawił strachem.

Niepostrzeżony, widział jakoby kilku ludzi, których ani twarzy, ani ubioru we mroku rozpoznać dobrze nie mógł, wlokących człowieka nie opierającego się im ku Wiśle... Tęgo oni w przygotowany już wór ogromny zawiązawszy, w oczach jego w przeręblę pod lód wrzucić mieli i sami natychmiast uciekli.

Posłano po włościanina do Łagiewnik i sprowadzono go na dworzec biskupi. Pod przysięgą zeznał przed pasterzem, iż w istocie patrzył na to własnymi oczyma. Mówił, że ów utopiony złożone miał ręce jak do modlitwy, nie krzychał, ani się wyrwał i że ubrany był czarno. Godzina i dzień dozwalały przypuszczać, iż mógł to być ks. Baryczka, lecz — pewności nie było. Rzeka zamarzłą była jeszcze i ciała poszukiwać niepodobieństwo, a do wiosny wody by je daleko uniosły.

Pomimo, iż przypuszczenie tylko dozwalało wnosić — że morderstwo popełnione zostało — po mieście mówiono już z pewnością, że ks. Baryczka został utopiony.

Po mrozie na św. Łucję nastąpiła nagle odwilż gwałtowna, spadł deszcz, powietrze się nadzwyczaj ociepliło i przedwcześnie, nadspodziewanie, lody puszczać się, łamać, kra płynąć poczęła.

Prawdziwym cudem ludzie około brzegów rzeki mający coś do czynienia, postrzegli wór spływający po wodzie. Spodziewali się w nim zdobyć jakiejś, bo go z niebezpieczeństwem życia, drągami i hakami pochwycili i na brzeg wyciągnęli.

W worze tym, ze złożonemi jeszcze do modlitwy rękami, z twarzą spokojną i wyrazem ubłogosławionym jaśniejącą, leżały zwłoki ks. Baryczki.

Poznał je zaraz ktoś z gromady ciekawych, stojących u brzegu, a że trup wcale nie był w wodzie nadwreżony i zachował postać swą dziwnie poważną a piękną — krzyknęto na cud, poklękali ludzie, dano znać do Biskupa.

Niewysłowione poruszenie umysłów objawiło się w mieście. Biegli wszyscy oglądać zwłoki męczennika, cisnęli się, płakali, klękali, okrzyki zgrozy i oburzenia dawały się słyszeć w tłumach.

Odebrawszy o tem wiadomość, biskup natychmiast sam z duchowieństwem, rozkazawszy krzyż przed sobą nieść i chorągwie żałobne, a po kościołach we dzwony uderzyć — udał się nad brzeg rzeki, trumnę z kościoła, służącą do odprawiania egzekwii, wzięto, dla złożenia w niej zwłok. Duchowieństwo ze wszystkich klasztorów, z kościołów, powychodziło też z chorągwiami i niemal cała ludność zbiegła się oglądać trupa ks. Baryczki.

Gdy go z woru, w którym był zawiązany, wyjęto, nie uszedł i on bacności ludzi, bo szukano poszlaki jakiejś, ażeby sprawców dośledzić. Worek był z prostego płótna grubego jak inne, do sypania zboża używane, niepomierne tylko wielki i może naumyślnie ze dwu uszyty.

Okolo zwłok znaleziono sznur i pasek, który jeden mógł na ślad jakiś naprowadzić. Był on rzemienny, z klamrą żelazną, a podobnych właśnie czeladź zamkowa używała.

Nie ona jednak sama nosiła je — posądzenie tylko urosło....

Przeprowadzenie uroczyste zwłok do kościoła, nabożeństwo, kazanie, które młody duchowny do ludu miał, wszystko to razem umysły niezmiernie rozgorączkowało — przejęło wszystkich grozą, usposobiło do skrucy i pokuty.

Ze dworu i otoczenia króla, co zauważano, nikt się nie pokazał w kościele, ani na pogrzebie, ani nawet w ulicach. Głośno więc już powiadać zaczynało, że zabójstwo nie czyją inną było sprawą, tylko królewskich służalców, i dopełnione z rozkazu jego.

Biskup we łzach powróciwszy od ciała, które przez dni kilka rozkazał w kościele wystawić, aby widok jego tem mocniej ludzi poruszył i przeciw królowi usposobił, już stanowczo mówił, że klątwę rzuci.

Lecz dowodu, kto i z czyjego rozkazu popełnił zbrodnię, nie było... *Vox populi*, prawnicze argumenty jurystów *is fecit cui prodest* i t. p. nie starczyły na potępienie prostego winowajcy, cóż dopiero króla.

W ciągu dni kilku, gdy zwłoki ks. Baryczki na widok publiczny wystawione były, a głoszone już, że cuda się przy nich działy, że światłość je nocami otaczała, że cale niezsute trwały i wydawały woń przedziwną — lud coraz więcej grozą się przejmował i na duchu podnosił...

Zastarzali grzesznicy biegli do spowiedzi, nawracali się bezbożni... — trwoga przychodziła jakaś na wszystkich.

W domu Świniągłowy, w którym Baryczka bywał często, stary Kuba, mimowolny świadek rozmowy Kochana czasu wesela z ks. Marcinem, głośno zaczął opowiadać, iż na uszy swe słyszał, jak mu Rawa śmiercią groził.

Nie mógł więc tego dokonać nikt inny, tylko on.

Tak, obok imienia króla stanęło zaraz ulubieńca jego imię, jako posłusznego narzędzia.

U ludu tworzyła się z domysłów legenda, mająca wszystkie prawdopodobieństwa cechy — przyjęte za prawdę — lecz niedowiedzione niczem.

Ks. Suchywilk widząc, jaką ona królowi krzywdę czyniła i jaką plamę nań rzucała, przekonany, iż Kaźmirz ani mógł, ani myślał podobnego wydawać rozkazu, zapytał króla i zaklął o wyjaśnienie mu prawdy.

Uroczyście król mu zapewnił, że w zbrodni tej żadnego nie miał udziału.

Ks. Jan poszedł z tem poprzysiężeniem do Biskupa, lecz ten ani chciał słuchać nawet, a krok uczyniony wziął jako oznakę niepokoju i zakłóconego sumienia. Dla niego był to owszem dowód jeden więcej, iż do winy zbrodni tej dwór się poczuwał.

Gdy dnia ostatniego ciało męczennika w kościele było wystawione jeszcze, a matka, która przyszła z chorem dzieckiem, przez dotknięcie zwłok cudownej doznała pomocy, — powszechny już głos obwołał świętym Baryczkę. W tej samej chwili człek odarty dość, z włosom rozczochranym, z twarzą przerażoną, oczyma obląkanemi, wpadł do zakrystyi i żądał gwałtownie spowiedzi. Chciano go do jutra odłożyć i zbyć się, lecz począł na kolanach błagać, bić się w piersi, wołać, że jest grzesznikiem wielkim, i jeden z duchownych ulitowawszy się, wziął stułę i siadł z nim do konfesyonału.

Chwila zaledwie upłynęła, gdy i on powstał, i spowiadający się z nim, we łzach cały, szedł do dworca Biskupiego.

Był to stajenny parobek zamkowy, Wargę zwany, z powodu, iż miał rozciętą wargę spodnią od dzieciństwa. Ten, do skruchy pobudzony, na kolana przed biskupem padłszy, zeznał, iż topiącym ks. Baryczkę był pomocą, nazwał po imionach dwóch Zadorów i dodał, że wprzód ich widział z Kochanem się naradzających.

Zeznanie to spisano zaraz przy świadkach, a że nieostrożnie w pierwszej chwili mnóstwo się osób nacisnęło za księdzem i Wargą, w jednej chwili miasto całe wiedziało, że sprawcy zbrodni odkryci byli.

Głoszono tedy z pewnością już największą, iż król sam wydał rozkaz Kochanowi, aby utopiono Baryczkę, że Zadorowie spełnili jego polecenie.

Na zamku przez te wszystkie dni niepokój był wielki.

Król domyślał się sam i posądzał, że Kochan przez przywiązanie do niego mógł się ważyć na tę pomstę, nie pytał go jednak — nie chciał wiedzieć o tem.

Rawa chodził zmieniony i niespokojny, tak, że po nim poznać było można obawę i niepewność o przyszłość. Królowi jednak nie mówił nic — unikał nawet doniesień wszelkich o ks. Baryczce.

W dniu, gdy chowano zwłoki, oba Zadorowie znikli, jakby przeczuwając, że Warga ich zdradzi. Było to poszlaką wielką.

Wieczorem ks. Suchywilk pospieszył z miasta i mimo spóźnionej godziny, domagał się widzenia z królem. Kochan niespokojny poprowadził go i sam przy drzwiach pozostał.

— Miłościwy panie — odezwał się ks. Jan wchodząc — ze złą wieścią i sercem zranionem przychodzę. Jeden z tych, którzy się morderstwa dopuścili, skrucną tknięty, wyznał wszystko.

Spojrzał na Kochana.

Ten stał blady ale mężny, podniósł głowę — czekał.

— Przedbor i Pakosław Zadorowie są obwinieni — dodał ks. Suchywilk, a parobek Warga, który im miał pomagać, oskarża i Rawę, że go z niemi przedtem na naradzie widział.

Ztąd posądzenie na was, miłościwy panie.... Biskup gotuje się rzucić klątwę, nic go już od niej nie strzyma.

Król słuchał dosyć spokojnie, przy stole stojąc na wpół już rozdzielony, bo miał iść na spoczynek. Rzucił okiem na Rawę, który milczał.

— Lepiejby było, ażeby klątwa biskupia Was tu, miłościwy panie, w Krakowie nie zastała. Jedźcie do Poznania lub Gniezna, do wuja mojego, tymczasem.

Król skinął głową i przerwał krótko.

— Dziś? jutro?

— Z rana jedźcie, rzekł Suchywilk.

— Wy ze mną? — dodał król, pytając i prosząc razem.

— Jadę — odparł ks. Jan.

Kochan milczał, nieustępując.

Każmirz się zwrócił ku niemu.

— Rozkaż natychmiast, aby się gotowano do podróży...

Była to odprawa dana ulubieńcowi, który wyjść musiał.

Gdy się oddalił, królowi jakby ciężar spadł z serca.

— Nie darmo przysłowie powiada, że Boga prosić trzeba, by nas od przyjaciół bronił, a od wrogów człowiek sam łatwiej się uchroni. Kochan uczynił to z miłości ku mnie, pewien jestem, innej nie miał pobudki, i oto ja... brzemię tego występku dźwigać będę musiał.

Westchnął.

— Wiecie — dodał łagodnie — iż krwi chciwym nie byłem i nie jestem i pogardą zbywam tych, co mi szkodzić chcą... Nie dałem ani półsłowem żadnem pobudki do tego... nie winien jestem. Mamże dla popełnionej zbrodni wyrzec się jednego człowieka, któremu zaufać mogę, w którego wierzę serce?..

— A zatrzymacie go przy sobie — odparł Suchywilk — to was o współnictwo czynu obwinia.

Król zmilczał dumnie.

Wkrótce potem ks. Jan odszedł, a Każmirz pozostał sam, oczekując na Kochana, którego powrotu się spodziewał.

Nadszedł winowajca z pokorą rzucając się do nóg królewskich, objął je wzruszony.

— Przebac mi, panie najdroższy... złem usłużył, złym jestem sługą! Przyznaję się... tak, jam sprawcą. Zadorowie spełnili, com im polecił... Nie odpędzajcie mnie od siebie, panie, bo bez was życie dla mnie nie warte nic... Nie odpędzajcie!

Król mu rękę, milcząc, na ramieniu położył.

— Będę pokutował, zmażę tę winę — wołał Kochan — odprawię pokutę, jaką włożą na mnie. Mężobójcą zostałem... tak, lecz człowiek ten ostrzeżonym był, na was się rzucił — poniósł karę, na jaką zasłużył...

Drżący głos Kochana ucichł.

— Jutro do Poznania w drogę — odezwał się król, swym zwyczajem nie chcąc odpowiedzieć ani rozprawić o tem, co mu dolegało.

Kochan wiedział już, iż odpędzonym nie będzie, podniósł się z ziemi uradowany, pocałował kolana królewskie, twarz mu się wyjaśniła...

Nie było mowy ani o Baryczce, ni o klątwie...

Wybierano się, nie śpiąc noc całą, w podróż; król zabierał znaczniejszą część dworu swojego, łowiectwo całe, choć miał drugie w Poznaniu, mnogich komorników, konie, wozy i oddział znaczny rycerstwa.

Na biskupstwie tymczasem gotowano się uroczyście, z całym ceremonjałem kościelnym, w katedrze na Wawelu wyrzec to anathema na króla, które w rozumieniu biskupa od narodu go miało oddzielić, zmusić do pokuty i pokory...

Bodzanta, pod świeżym wrażeniem męczeństwa swojego ulubieńca, nie chciał ani zwlekać z tem, co za konieczne uważał, ani sobie dawał odradzać... Niektórzy kanonicy pokornie mu przedstawiali skutki tego kroku wątpliwe, a dla kościoła mogące być uciążliwymi. Biskup słuchać ich nie chciał. Sam on, otoczony duchowieństwem, miał wyrzec to straszne — anathema na pomazańca bożego.

Dzień trzeci po tym był wyznaczony; jak gdyby królowi dano jeszcze jedną dobę do opamiętania.

Bodzanta gotów był miłosiernym być, lecz warunki zakreślał ciężkie i upokarzające...

Wiedział, iż na Wawelu nic nie jest tajemem, co się u niego uchwała, bo nawet najskrytsze rady natychmiast tam jakimiś nieodgadnionymi drogami przechodziły. Tak samo on miał sługi swe na dworze, i nazajutrz rano, gdy cały zastęp rycerstwa, dworzan, wozów, czeladzi, komorników, ciągnął jeszcze na pół uspionymi ulicami Krakowa, kapelan przybył oznajmić ks. Bodzancie, iż Kaźmirz do Poznania wyjechał.

Dodawano, że Kochan, który się nawet nie schronił i od dworu nie został odepchnięty, jechał z królem razem... Było to jeszcze jedno wyzwanie, jeszcze jedno więcej lekceważenie. Gniew się wzmógł.

— Chciał sam tego! — zawołał biskup, podnosząc się z łoża, niech się spełni wola Boża i jego żądanie. Klątwa nieuniknioną jest. Zobaczmy, kto w Rzymie mocniejszym jest, król i ks. Arcybiskup, czy Pasterz krakowski...

Nazajutrz znowu tłumy ludu, zwabione rozpuszczoną wieścią zawczasu, że biskup króla kląć będzie za utopienie Baryczki, cisnęły się do kościoła, zalegały ulice i podwórza.

Z okazałością wielką, z krucyferym, z dostojnikami kapituły, poważny starzec wyjechał z dworca swego do katedry na Wawelu...

Kościół był przepełniony, lecz ani jeden z wyższych urzędników królestwa, ani jeden ze dworu Kaźmirza nie ukazał się w nim. Czeladź nawet, na zamku pozostała, schroniła się do swoich szop i komor. W dziedzińcach pusto było i jak wymarło... Drzwi zamkowe pozamykane na kłody, żywej duszy przy nich.

Neorża tylko, Otto ze Szczekarzewic, Pszonka, Janina i ludzie tego obozu przyszli słuchać okrutnej klątwy kościelnej i patrzeć na rzucane i łamane świece, na ten obrzęd straszny, jak spełnienie śmierci wyroku, groźny, jak katowanie zbrodniarza...

Rozległo się — anathema... zaparto drzwi kościelne, biskup powrócił do dworca swego.

Zdawało mu się, że wszelkie życie ustać powinno było w Krakowie, że płacz i jęki rozleźd się po nim miały, że kirem i popiołem ludzie się pokryją... Tymczasem powszedni żywot bez żadnej zmiany widocznej, płynął trybem swoim dalej, a Wierzynek zagadywany przez ciekawych, odpowiadał, głowę spuszczać — że, sprawa między królem i biskupem w Rzymie się rozsądzi i zagodzi.

Dziś więc nie była to już walka między kościołem i władzą świecką, lecz prosty spór Kaźmirza z ks. Bodzantą.

Za taką ją uważano. Czasy się wielce zmieniły...

KSIĘGA CZWARTA. BICZOWNICY

Lat trzy upływało od opisanych wypadków.

W domu niegdyś Kuby Swiniągłowy, a dziś, po zgonie jego i niegdyś pięknej Agaty z Opoła — należącym do piękniejszej od niej Baški, żony Fryca Matertery — wiele się rzeczy zmieniło nie na lepsze.

Była to niegdyś gospoda wesela, gniazdo dostatków, miejsce ulubione tych, co się zabawiać lubili i ochoczo spędzać wieczory przy dźwięku muzyki, w płasach, a często zabawnej paplaninie miejskich trefnisiów, dla których tu drzwi stały otworem.

Żywot, już obfity w wypadki, pięknej Baški, od ożenienia, po którym ona sobie obiecywała królowanie nad mężem i domem, a używanie świata po swej myśli — uległ niespodzianej przemianie, równie jak ona sama.

Dziewczęciem była trochę szaloną i lekkomyślną, zdało się, że zamężna niewiasta spoważnieć mogła i uspokoić się. Lecz zamążpójście za Fryca zupełnie nadzieje jej zawiodło. Za życia rodziców jeszcze jakokolwiek godziło się i porozumiewało małżeństwo młode, chociaż między niemi miłości nie było. Fryc żenił się dla pieniędzy, Baśka szła za męża, aby światu okazać, że piękny, młody chłopak mógł się z nią ożenić, choć ją ludzkie, nielitościwe szarpały języki.

Okazało się wkrótce, że Fryc ów, którego przeznaczeniem było ulegać i słuchać, wcale nie miał ochoty pani swej zachcianek spełniać, że miał swoją wolę, a przebiegłość niezmierną. Nim wybuchnął z buntem otwartym przeciwko Baśce, zaplątał naprzód tak jej majątek, domy, dworzyszczka i summy, które miał Swiniągłowa u różnych ludzi, tak mienie żony umiał zręcznie na swoje poprzerabiać, iż, co on miał przez nie być jej niewolnikiem, ona w jego zależności się znalazła.

Oprócz tego, piękny Fryc, sam bałamut, mający miłośnice z dawnych czasów, żonie ani się bawić tak swobodnie, ani białych ząbków wyszczerzać nie dawał. Gdy wkrótce jakoś po śmierci jej rodziców obojga, dawny domu i Baški przyjaciel Sreniewita, zajechał do nich i gospodą chciał stanąć, Fryc, który o przeszłości żony swej dobrze znać był uwiadomiony, okóniem stanął.

Rozparł się, w boki wzięwszy, we wrotach i wręcz pięknemu panu powiedział, że go w domu swym znać nie chce.

Baśka z okna wołała na przekorę, że dom do niej należy i ona gospodę w nim ofiaruje, on śmiejąc się przeczył i chciał sam panem w domu być.

Sreniewita, wpadłszy w ten spór małżeński, z początku śmiać się chciał, potem splunął, Baśce całusa od ust posłał, zawrócił od wrót i gdzieindziej na miasto pojechał. Miał tam przyjaciół dosyć.

Między małżeństwem rozpoczęły się kłótnie i spory nieustające. Fryc zawsze wesół, dobrej myśli, żonie prawil niemile prawdy, ona go od ostatnich słów łajała i płakała.

Więcej daleko brała do serca to wszystko, niż małżonek.

Ten zdawna mieć musiał osnute plany i szedł z obrachowaniem do celu. — Babę, powiedział, krótko trzymać potrzeba, ona zaś wcale być trzymaną nie chciała.

Powstała wojna otwarta, z której piękna Baśka wyszła zwyciężoną. Świat jej zbrzydł, ale i ona nagle jakoś brzydnać zaczęła i długa jej młodość od razu, jakby cięciem jednym się zawarła. Włosy naprzód wypadać zaczęły, potem zęby, poźółkła biała twarzyczka, a im ją mocniej malowała, tem okrutniej ciemniała i marszczyć się zaczęła brzydtko.

Oczy gasły, schudła... Świat, jak zawsze, rachujący się tylko z terażniejszością, zobaczywszy ją tak zbiedzoną, odsuwać się począł. Prawda, że Fryc gościnnym nie był do zbytku. Muzyki ani chciał znać, trefnisiów kolanem za drzwi wypędzał, a próżniakom próżne kubki stawiał.

Osamotniona biedna Baśka, której pan Bóg odmówił jedynej pociechy, mogącej osłodzić życie, bo dzieci jej nie dał — płakała po dniach całych. Fryca te łzy gniewały, a nie rozczulały.

Miał czasem takie szyderskie pogadanki o skaczącej kozie i tym podobne, które gniew żony i łzy podwajały...

Sam zaś on był jak z kamienia. W mieście się zabawiał, nic sobie powiedzieć nie dawał, wesół był, obojętny, i w domu, do którego wcisnął się przybyszem — panował...

Nic też dziwnego, że napróżno szukając sobie pociechy, piękna Baśka znalazła ją dopiero w nabożeństwie i modlitwie. Jak we wszystkim i życiu całym namiętną była zawsze, tak i pobożność jej, gdy raz się na nią zaniosło, stała się niepohamowaną a gorączkową. Dawniej ludzi brała przebojem, teraz tak samo cisnęła się do Boga.

Rozpocząwszy pokutę, nie miała w niej miary. Zmieniły się zaraz suknie owe szyte i bramowane na długie czarne, szare i brunatne, prawie mniszego kroju.

Miała klejnotów dosyć, które jej własne były, a Fryc na nie zęby ostrzył; na złość jemu, jedne pooddawała do kościołów, drugie posprzedawała na ofiary, a perłami najśliczniejszymi ornaty szyła do dominikanów. Może też na przekór mężowi, mnichów zaczęła zapraszać gromadnie do domu, a że tych męż jej, bez narażenia się całemu duchowieństwu, pozbywać się, ani źle przyjmować nie mógł — było ich zawsze kilku przy obiedzie i wieczorem... Resztę dnia sama Baśka spędzała po kościołach.

Było to jej jedyne nad Frycem odniesione zwycięstwo, i, przyznać trzeba, że plac boju wybrała tak, iż mąż na nim całą swą siłę stracił.

Wprawdzie uciekał z domu, lecz tym sposobem jej oddawał nad nim władzę. Rozpuścił się w końcu Fryc i powiadano, że się napijał. Ona teraz mu nauki moralne dawała, nietylko sama, ale umiała tak swych dominikanów nasadzić nań, że choć mówili zawsze o rzeczach niby obcych, dalekich, Frycowi do żywego dopiekali.

Jak dawniej uczyły, tanów i wesela, płaśów i muzyki bez Baški nie było, tak teraz nie obeszła się bez niej procesja żadna, odpust, nabożeństwo, żadne śpiewy kościelne, żadna uroczystość doroczna. — W domu najściślejsze posty, przeciw którym się Fryc obawiał występować, szczególnie dla niego były zachowywane.

Matertera, który jej wszystko zagrabił, życie zatrzał, w końcu i sam zaczął na duchu upadać, życie mu obmierzło.

Jej zaś z tym nowym jego trybem wcale znośnie było.

Przekonała się naprzód, iż w czerni do twarzy jej było i trochę dawnego wdzięku wróciło, potem ludzie nawrócenie jej, terażniejszy jej statek i pobożność oceniając, co wprzódy stronę męża brali, teraz wszyscy mówili za nią, Fryca, znajdując winnym... Przodowała też gorliwością swoją innym kobietom, a pobożność jej była dla drugich przykładem, którego doścignąć nie mogli.

Codziennie leżała krzyżem w kościele przynajmniej w czasie jednej mszy, w czasie innych klęczała... W czasie procesji najcięższy krzyż wypraszała sobie na ramiona, pod którym się ugiwała. Wdziwiała suknie różne tercjarskie, pielgrzymowała od kościoła do kościoła w zimie boso, stacje w post odbywała na kolanach...

Wszystko to jeszcze jej nie starczyło, raz wszedłszy na tę drogę, znajdowała, że ciało swe jeszcze powinna była srożej kaźnić, że ludzie wszyscy nadto światowemi sprawami byli zajęci, a Bogu służyli chłodno i opieszale.

Nawet mniszki, które odwiedzała w Nowym Sączu i po innych klasztorach, wpraszając się do nich na dni czasem kilka, żywot ich ascetyczny, surowy, jeszcze jej nie spaakajał.

Wymyślała osobliwe męczarnie, biczowała się krwawo codziennie, ścisnęła paskiem pijającym w ciało, nie zrzuciła włosienicy.

Te religijne praktyki wprawiały ją w stan odurzenia, upojenia jakiegoś, zapалу, który czasem łzami, niekiedy śmiechem dziwnym, serdecznym wybuchał.

Nigdy pokuta za grzechy nie była jawniejszą i przykładniejszą...

Sama ona spowiadała się z przeszłości swej, opowiadała, bijąc się w piersi, sprawy, o których nikt nie wiedział, a że to przy mężu czyniła, nieraz boleśnie go temi spowiedziami publicznymi raniła i upokarzała.

Dom przybrał wcale nową postać. — Znikły z niego powoli kosztowniejsze i piękniejsze sprzęty, rozdane kościołom, posprzedawane, wyrzucone, jako grzeszny zbytek. Natomiast ściany się przybrały w rozmaite godła, obrazki i wyobrażenia religijne. U każdych drzwi wisiała kropielnica, w każdej izbie stał krucyfiks, a w sypialni jawnie rozłożone były narzędzia do poskramiania i trapienia grzesznego ciała, rozmaite dyscypliny, pasy i t. p. Klęcznik był umyślnie tak urządzony, ażeby kolana ranił.

Fryc na to wszystko patrzeć nie mógł i życie mu coraz bardziej brzydło, tak, że z domu uciekał. Nie mógł jednak żonie zabronić starać się w ten sposób o zbawienie duszy i odpokutowanie za grzechy.

W tem wszystkim więcej było pewnie fantazji, niż skruchy, i ta sama chęć popisu z pobożnością, jaka dawniej piękność Baški głośnie czyniła.

Zwolna jednak te namiętne praktyki wpłynęły na ducha — i, co było zrazu dziwactwem może, stało się potrzebą dla nieszczęśliwej, która znajdowała pociechę i uspokojenie w tej pokucie.

W końcu trzechlecia tego, nietylko piękna Baška uległa wpływowi ducha czasu, który powoływał do tak surowego kajania się za grzechy.

W krajach sąsiednich i w Polsce, prąd ten, religijna egzaltacja, dawała się czuć ogólnie.

Wielkie klęski, które tysiącami trupów zasypały cmentarze, głód, mór straszliwy, wylewy wód, dziwaczne zmiany w powietrzu, zdające się kolej pór roku zmieniać i grozić ludzkości zagładą — duchowieństwo wszędzie ukazywało jako karę za grzechy, jako przestrożę i napomnienie ku poprawie i pokucie.

Ziarna religijnego zapachu, egzaltacji, w przeszłych wiekach zasiane, na nowo bujnie kiełkować zaczęły.

Nadzwyczajne klęski wymagały nadzwyczajnych środków prześlągnięcia zagniewanego bóstwa. Trwoga niemal obłąkiwała umysły. Niektóre z nich miały widzenia, objawienia, natchnienia jakiegoś, które zdawały się odpowiadać powszechnej ducha potrzebie.

Kościelne procesje błagalne, z pokutnikami w kapach i kapturach, biczującymi się publicznie, zrodziły wkrótce dobrowolne gromady biczowników, które znalazły wodzów, i wyrzekając się życia, rodzin, wszystkich węzłów, łączących je ze społeczeństwem — poszły, krwią się oblewając, wołać świat do nowych apostołów jakichś, mających go odrodzić.

W Polsce klątwa rzucona na króla, chociaż nie sprawiła może tak piorunującego wrażenia, jakiego się spodziewano — bo nie rozciągnęła się pono dalej nad krakowską diecezję, także umysły zaniepokoiła.

Kościół stały pozamykane, obrzędy uroczyste umilkły — ludzie się trwożyli, obawiając za ten brak chwały Bożej kary Boga. Obwiniano króla, oskarżając go o morderstwo, duchowni nie oszczędzali go, przepowiadając nowy mór, głody, szarańczę, która już była nawiedziła Czechy, najścia pogan i t. p.

Król — czynił wprawdzie kroki do pojednania z pomocą Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, lecz Bodzanta więcej się domagał, niż powaga Majestatu mogła ofiarować — przedłużał się więc spór między kościołem a Kaźmirzem, nie hamując całkowicie życia, ale je łamiąc i utrudniając.

Wierni i pobożni za grzech króla codziennie pokutować musieli, nabożeństwa odprawiali się wyjątkowo, cicho, — na każdą posługę duchowną, wyjednywać było potrzeba osobne pozwolenie, jako łaskę.

Trwało to zbyt długo, a sprawa w Rzymie, popierana ze stron obu, dotąd rozwiązana być nie mogła. Sam król był nią znużony i rad był ofiarą znaczną przedjednanie zyskać. Lecz zajątrzył się spór, a ludzie korzystali z niego dla siebie i zgodę utrudniali.

Znaczna część duchownych z innych diecezji nie opuściła wprawdzie Kaźmirza, kapelani odprawiali nabożeństwo na zamku — lecz gdziekolwiek zetknąć się musiał z władzą biskupią król — odpychano go, znać nie chciano, jako wyłączonego i wyklętego.

Arcybiskup i siostrzan jego pracowali gorliwie nad przedjednaniem, król znużony był, a Bodzanta czując, że stał się potrzebnym, coraz bardziej był wymagającym.

Łatwo pojąć, iż stan ten kraju przyczynić się musiał wielce do religijnej egzaltacji.

Te milczące dzwony, te zaryglowane wielkie drzwi kościelne, pogrzeby bez śpiewów, chorągwi, obrzędów wszelkich, ciche msze odprawiane po ustronnych kaplicach, utrudnienie chrztów i wesel — trwożyć siał w sercach.

Ostygłejsi ludzie mogli się wprawdzie nauczyć obchodzić bez tego, czego im odmawiano, lecz gorętsze duchy tęskniły, niepokoiły się — trwożyły o zbawienie.

Niedawno przebyty w Krakowie mór, który, jak miecz mściwego anioła przeszedł, tysiące zabierając ofiar — stał jeszcze na myśli i w pamięci, jakby znowu miał powrócić. Rozsiewano wieści, iż się wznosił w niektórych miastach.

Niepokój więc panował wszędzie, z każdą chwilą rosnący. Jedną z prorokiń zagłady i pomsty Bożej była ta niegdyś płocha, dziś w gorączce coraz się potęgującej pokutująca Baśka.

Z rozplamieniem religijnym łączyło się w niej męstwo wielkie, — z którym porównywała się na najśmielsze kroki, — wciskając się wszędzie, i wywołując to, do czego, jak mówiła — czuła się natchnioną.

Wpadła tak raz na zamek, do Kochana, potem do króla, ubrana w habit tercjarski, z paciorkami i krzyżem, grożąc im, wyrzucając zbrodnię i opowiadając, że posłaną była do nich, aby do pokuty ich nawoływała.

Wiek to był pobożności jeszcze nie nadwężonej niczem; ci nawet, co mniej byli usposobieni do niej, mieli ją w głębi duszy, wiara zachwiana nie była — więc i taki głos niewieści zostawiał wrażenie po sobie.

Król wysłuchał napomnień milcząco... posmutniał, Kochan przez długi czas chodził strwożony, i ofiary na kościoły, jakie czynił od śmierci Baryczki, podwoił.

Jednego wieczora w domu Fryca Matertery, w którym on się mało pokazywał, — gospodyni sama przyjmowała zwykłych swych gości. Siedział za stołem tylko co przybyły

przeor ks. dominikanów Tomasz, pobożny tegoż zakonu kapłan Ireneusz, a tuż obok jeden z wikariuszów kościoła panny Marji, młodszy od nich, lecz wielkiej pobożności i nauki ks. Paweł z Brzezia. Gospodyni, która siebie karciała najsroźszymi postami, dla ojców duchownych nie tylko była pobłażającą, lecz starała się ich jak najlepiej ugościć. — Przynoszono więc misy i flasze, a Baśka, nie siadając do stołu, posługiwała ojcom, podając im w miejscu sługi wodę do umycia rąk i ręczniki, gdy ks. Paweł, suchy, wysokiego wzrostu, twarzy pociągłej i długiej mężczyzna, wyciągnął dużą, białą, z kościstymi palcami rękę i odezwał się do przeora Tomasza.

— Słyszeliście ojcze, o biczownikach?

Ks. Tomasz, siwy, otyły, ciężki, z twarzą okrągłą, dosyć wesołego wyrazu, ocierał właśnie pot z czoła, bo się to działo na początku lata i dnie były gorące.

Spojrzał na mówiącego zdziwiony nieco i zapytał:

— O jakich?

— Głośno już o nich po całym świecie — odparł ks. Paweł — a mówią, że i u nas już od granic się zjawili, i w niektórych miastach gmin za sobą wielki ciągną. Tylko co ich nie widać w Krakowie.

Ks. Ireneusz, błydy i chudy, pokaszlujący mnich, którego oczy, żywo biegające, bystry umysł zdradzały, pokręcił głową, jakby wątpliwość pewną okazać chciał i niewiarę.

Baśka, trzymająca jeszcze nalewkę i ręcznik, mając już odejść, zatrzymała się ciekawie. Wejrzenie jej skierowało się ku ks. Pawłowi z prośbą gorącą.

— Biczownicy? — zapytała.

— Tak, pokutnicy biczujący się... i przebiegający świat o żebranym chlebie, a wołający grzesznych do pokuty...

Wszyscy umilkli — ks. Paweł zamilkł też na chwilę.

— Zjawisko to wielkiego znaczenia — dodał zadumany. — Przebrała się grzechu miara, czują wszyscy, że życie zmienić trzeba. Bóg zsyła natchnienie na małych, ubogich, biednych tak, jak apostołów swych z gminu wybierał...

Cuda o nich opowiadają.

Baśka postawiła dzban, rzuciła ręcznik, i ze złożonymi rękami zbliżyła się do ks. Pawła.

— A! mówcie! mówcie! — zawołała — Serce mi uderzyło. To palec Boży... Pokuta publiczna, chłosta dobrowolna... nędza i głód — nowy zakon... nowi apostołowie!!

Ks. Paweł się zmarszczył.

— Nowego zakonu być nie może, ani nowych apostołów potrzeba — zawołał kwaśno — całą prawdę i wszelką naukę przyniósł Chrystus... ale myśmy jej do serc nie wzięli ani części, nie spełniamy z niej tylko to, co najłżejsze.

Przeor i ks. Ireneusz milczeniem to potwierdzali.

— Gdzież są? zkąd idą? będę szukać tych świętych pokutników! — zawołała gospodyni, żywo następując na ks. Pawła.

W tem Ireneusz się cichym głosem, prędko płynącymi z ust słowy, odezwał.

— Powoli — powoli! — Niechno kościół się w tem rozpatrzy i przekona, czy w tej pobożności nie tkwi herezja jaka.

Baśka stanęła zdumiona.

— Ojcze mój! — poczęła — a jakaż może być herezja, co grzesznego w pokucie? Im ona sroźsza, tem Bogu miłsza.

Ks. Ireneusz ręką przebiegał po stoliku.

— Ciemno w tem, ciemno — rzekł — a póki się to nie zbada, nie rozpatrzy, ostrożnym trzeba być, aby zamiast Bogu służyć, nie poszło się w więzy szatańskie.

Groźne podniósł palce i gospodyni zamilkła, lecz widać było, że gorączkowa ciekawość paliła ją.

Ks. Paweł z Brzezia usiadł tymczasem przy stole... Miał widać litość nad niewiastą.

— Gdzie się to zrodziła ta pokutnicza...

— Sekta — poddał ks. Ireneusz.

— Sekta, czy towarzystwo, Bóg to wie — ciągnął dalej Paweł — lecz razem gruchnęło o niej i z nad Renu, i z Węgier, i od Włoch... Gromady ich przebiegają sąsiednie kraje, weszły i do nas. Niektórzy duchowni otwierają im kościoły, inni podejrzenia mają.

— O co? — spytała gospodyni.

— O to, com rzekł — wtrącił ks. Ireneusz — że sektą są. Nasz zakon właśnie powierzone ma sobie badanie herezji wszelkiej, tej zjadliwej rdzy, która się czepia łatwo umysłów słabych a żywych... Inkwizytorowie o tem wyrzeką.

Przeor, który zmęczony nic dotąd nie mówił, rzekł głosem cichym, przerywanym oddechem ciężkim.

— Tak... tak... wszystko trzeba baczenie roztrząsać... Djabeł nie śpi.

Gospodyni słuchała z uwagą wielką.

— Przebaczcie mi, ubogiej na duchu — odezwała się — ale jakież błęd być może w surowej pokucie?

Ks. Ireneusz z uśmiechem odparł:

— Wieleby o tem mówić trzeba... a ja, duszyczko pobożna, jedno tylko powiem. Gdzie kapłana nie ma jako przewodnika, tam się łatwo ludzie obłąkać mogą. Tu zaś, pomiędzy tymi Biczownikami, o kapłanach nie słychać. Jacyś nieznajomi, nieświęceni, samozwańcy wodzowie, prowadzą te gromady.

Niewiasty i mężczyźni różnego wieku idą pospołu, żyją pospołu... hm! hm! nie zdaje mi się, by to czysta sprawa była...

Gospodyni zadumała się nieco.

— Grzesznicą jestem — rzekła — wielką i niegodną łaski Pana... nieświadomą rzeczy wielu, ale mi się ta pokuta publiczna, to życie jej oddane całe, ta krew brocząca goścince nieprawości, wydaje tak piękną! tak piękną!

Przeor się zmarszczył.

— O! o! — przerwał — gotowaś sama pójść z niemi!

Baśka chwyciła się z siedzenia, i krzyknęła...

— A! tak... niech się zjawia tylko — rzucę wszystko... nie wytrzymam, pójdę!!

Księża spojrzeli po sobie, ks. Paweł zamilkł, i chcąc rozmowę odwrócić, wtrącił, iż wieść chodziła, że wkrótce król miał uleźć i kłątwa zdjętą będzie, a kościoły otwarte i dzwony zabrzmiały znowu.

Gospodyni słuchała dosyć obojętnie.

— Król? — rzekła, bynajmniej nie okazując sromu. — Znam go dobrze, wszak ci szatan mnie był zawiódł ku niemu, a raczej ten człek, zbójca, który tyle dusz niewinnych pogubił, zausznik jego Kochan... Znam ich obu. Król w duszy dobry jest, litościwy, ludzki, ale do Bożych rzeczy chłodny... Nawrócić by go można, gdyby się dał poruszyć... Jemu życie i wszystko obojętne...

— Bo nadto używał — rzekł ks. Ireneusz.

— Wszystko z tego popłynęło — dodała Baśka — że syna nie ma i nie spodziewa się, to mu życie struło i odebrało do niego ochotę.

— Właśnie tą bezpotomnością karze go Bóg — rzekł ks. Paweł — za to, iż sromotny żywot prowadzi...

Gospodyni ze spuszczoną głową słuchała tych wyroków, leciuchny rumieniec przesunął się po twarzy zwiędłej, jak jakieś przeszłości wspomnienie.

— Winien on, tak, tak — począł otyły przeor — ale zausznik winniejszy. Ten jest kamieniem obrażenia, ten wszego złego sprawcą... ten...

Baśka już myślą być musiała gdzieindziej i spytała.

— Sąż już u nas gdzie ci Biczownicy?

Ireneusz się uśmiechnął.

— Bądź spokojna, duszyczko moja, rzekł trochę szydersko, nie miną oni Krakowa...

— Bogdajby — westchnęła Baśka.

Gdy to mówili, półmiski stygły — i ks. przeor okazał ruchem ręki, że radby począć wieczkę. Gospodyni przybliżyła mu mięsiwo i wychudłemi rączkami poczęła kubki nalewać.

Ks. Paweł, oczyma się porozumiewając z towarzyszami, zagał inny przedmiot. Z poszanowaniem go słuchając gospodyni, widocznie o czem innem myślała. Zatopiona w sobie, rozartagniona, machinalnie posługując gościom, dumiała, nie odzywając się prawie — biczownicy ci z myśli jej nie schodzili.

Wśród tego milczącego Krakowa, który klątwa przez Biskupa rzucona, okryła żalobą — jednego dnia letniego powstał ruch nadzwyczajny...

W rozmaitych miasta dzielnicach — z niewiadomej przyczyny, ludność, rzuconem słowem jakimś poruszona — wybiegała z domostwa, wyglądała z wrót, szła ku czemuś niewidomemu i pierzchała strwożona.

Niektórzy palcami ukazywali w dal, inni bojaźliwie poszeptawszy z przechodniami, do domów zbiegali, zamykali wrota. Ciekawość i trwoga malowały się na twarzach wszystkich.

Przed kościołem ks. Dominikanów stał ks. przeor w towarzystwie Ojca Ireneusza. Oba mieli na sobie płaszcze jak do wyjścia, lecz zdawali się wahać — czy wyruszą lub zatrzymają się w miejscu...

— Nie mamy po co śpieszyć, ani iść przeciwko nim — mówił ks. Ireneusz. — Grzeszna to sprawa, której z miasta i z kraju potrzeba się pozbyć co najprędzej. Chociaż naszemu bratu Ojcu Rainierowi przypisują, że on pierwszy do tej pokuty wołał, i onych Biczowników stworzył — ja nie wierzę, aby Tomaszowe dziecię herezję taką uknuło... Ludzie źli, wzięli myśl dobrą i wypaczyli ją.

Przeor zamruczał coś, niespokojnie się oglądając.

— Rajnier nie Rajnier, przemówił wzdychając, jakby mu ta cała sprawa wielką przykrość sprawiała — niedorzeczństwo jest...

Ludzie się tego morowego powietrza ulękli...

— Juści, niezapreczenie to kara Boża — odparł Ireneusz — ale i to kara, gdy herezja nowa wyrasta... Nową sobie wiarę chcą tworzyć! kto? szaleńcy jacy... Już lat bodaj trzy temu, gdy Ojciec święty potępił ich.

— Myśmy się dopiero o tem dowiedzieli, no i Biskup też wie..., rzekł przeor. Nie dadzą im tu popasać, rozpędzą.

— Oni sami dłużej nigdzie nad dzień nie popasają — odparł ks. Ireneusz...

— Chodźmyż popatrzeć na to dziwowisko, rzekł przeor wzdychając. Wczoraj oznajmiono, że się tu wloką... już powinni być... Staną pewnie w rynku...

— Chodźmy, dodał Ireneusz, ale wnijdźmy gdzie do kamienicy. Dostyć będzie patrzeć zdala, aby znowu nie powiedziano, że to dominikańska robota, a my z nimi trzymamy.

— Do Wierzyńka, rzekł przeor, tam nas przyjmą. Okien ma dosyć. Mówiąc to, wolnym krokiem poruszyli się, idąc ku rynkowi i przed się patrząc ciekawie. Ulice pełne były ciekawego ludu, lecz nie sama ciekawość tylko malowała się na twarzach, trwoga, niepokój, nieokreślone to uczucie, które opanowuje na widok spraw niezwykłych i niewytłómaczonych.

W naturze ludzkiej jest coś, co ją czyni podległą wpływowi szczególniej uczuć gorących i wielkiego zapału. Są one w całym słowa znaczeniu zaraźliwe. Człowiek od nich częstokroć broni się z razu szyderstwem, zasłania niewiarą, ale w końcu siła dla niego nie zrozumiała opór ten łamie, zwycięża, i gdy tłumy przejmie ten ogień a porwie i pochłonie, jednostki uleść muszą i dać się porwać prądowi.

Zapowiedź tego widowiska, o którym już dziwy głosili, ci co się z niem spotkali, a większe jeszcze ci, co tylko słyszeli o niem, słabszych napełniała bojaźnią, zwiastującą, że ono ich pociągnie i pokona, że mogą, nieświadomi tego co czynią, rzucić domy i iść z temi pokutnikami.

Chronili się więc i zamykali, lecz ciekawość górę brała.

Wszystek ten tłum, który umyślnie około P. Maryi i na rynku się gromadził, miał pozór wystraszonego, milczał. Ściskano się i kupiono jakby wzajem w sobie szukając obrony. Trwożliwie oczy zwracały się w stronę, z której się biczowników spodziewano i zamykały z trwogą. Cisza grobowa panowała w ścisku, ledwie szeptami i mrużeniem przerywana.

Nietylko wiodące do rynku ulice, chodniki pod ścianami były przepelnione, ale okna wszystkie głów naciśniętych w nich pełne.

Niewiasty i dzieci przeważały.

Dzień był skwarny, powietrze duszne, chmury ciemne, ciężkie, przeciągały po niebiosach zamglonych jakby oparem, a słońce, choć się rzadko przebijalo przez obłoki, piekło okrutnie.

Gawiedz, która w ulicy się nie mogła pomieścić, gdzie niegdzie powdrapywała się na drabiny, przylegała do kominów na dachach.

Ks. Przeor z Ireneuszem ledwie mogli się przebić przez ściśnięte gromady do kamienicy Wierzynka, a że im z miejsca ustępowano, winni byli tylko sukni swej, którą lud szanował. Po przejściu ich natychmiast znowu, jak rozpruta fala, lud się skupiał, a stojący w pierwszych rzędach, z obawy stracenia miejsc, z których lepiej widzieć mogli, bronili się milcząco całą siłą.

Przeor, który znudzony był pochodem niezmiernie, oczy ociężałe podniósł ku oknom kamienicy, do której dążyli. Nie zwiastowało się tu nic pomyślnego, wszystkie były zajęte.

Pomimo to szli oba duchowni, nie mając już nic lepszego do czynienia, jak tu bezpiecznego szukać miejsca.

W sieniach domostwa natłoczone było nie mieszczanami, ale rycerstwem i ludźmi, z których ubrania wnieść było można, iż do dworu należeli. Poznawano między nimi twarze królewskich sług.

Szeptali z ulicy patrzący, iż pono sam król się tyłami przesunął tu, aby też widzieć tych pokutników, o których tyle rozpowiadano.

W istocie, pilnie się przypatrując oknom izb przednich mieszkania Rajcy, po za zasłoną na wpół spuszczoną dostrzedz było można strojów, twarzy, jakie w otoczeniu Kaźmirza znano. Ale król, jeśli tam był, widzianym być nie chciał pewnie, stał zakryty, chociaż oczy ludzi, wznoszące się ku oknu temu, czuły go i odgadywały. Niekiedy zasłona drgała, ręka biała wysuwała się z za niej i nikła. Szeptano, potrącając się — król.

W tłumie dwojaki panowało usposobienie, i względem króla i dla spodziewanych pokutników. Wszystko, co trzymało z biskupem i ocierało się o niego, szemrało i niechętnie spoglądało ku Kaźmirzowi. Wyrzucano mu wszystko złe, wszelkie klęski. Gorzej jeszcze, niż przeciwko niemu, mrużano przeciw dworakom i Kochanowi, piętnując go mordercą.

— Tam, tam, szemrali biskupi słudzy... przyszli patrzeć... zbóje, jak za ich grzechy musi lud pokutować... A co im?

Biskup wszakże, choć nie uczynił żadnego kroku ze swej strony jeszcze przeciwko biczownikom, wiadomo było, iż zamierzał co rychlej się ich pozbyć z Krakowa.

Z tego, co tu przyszło już na biskupstwo o pokutujących z Niemiec i z Węgier — źle ich sądzono i duchowieństwo w ogóle potępiało, mając po sobie bullę papieża Klemensa. Ze Szwabii, ze Spiry, ze Strassburga ich powyganiano, starano się ustraszyc, lecz tłumy, mimo wyroków kościoła, chciwie się łączyły z tymi, których dobrowolne męczeństwo urok miało dla nich nieprzewyciężony. W każdym zadrgało coś na widok tych krwią oblużanych, bezdomnych, nędznych pokutników nie za swe, ale za grzechy świata całego.

Obawiano się, ociągano z gwałtownym wystąpieniem. Snuli się oni już po Polsce, a nigdzie nie ścigano ich inaczej, tylko słowem z ambony i to dopiero naówczas, gdy już ich nie było.

Nieopodał od kamienicy, w której król się miał znajdować i księża do niej wniść się kusili, na chodniku, stała w pierwszym rzędzie z twarzą rozognioną, poruszona, niespokojna, nie mogąc chwili w miejscu wytrwać, znana miastu całemu Baśka Świniągłowy. Na ten dzień odziała się stosownie w brunatną suknię, krojem zakonnym, podpasaną prostym sznurem, z pacierzami wielkimi drewnianymi u pasa, zakończonemi trupią głową i krzyżem.

Na głowie, krótko postrzyżonej, miała zarzuconą zasłonę, niegdyś białą, lecz długiem użytkowaniem zbrukaną i pożółkłą. Nogi bose, zapylone, poranione, wystawały z pod kraju sukni. W rękach miała dyscyplinę i krzyżyk. Stała już jakby w gotowości połączenia się z tymi, o których od dni wielu marzyła dniami i nocami.

Nie samą była, bo zdawna miała swój dwór, który chętnie wszędzie jej towarzyszył. Były to babki, żebraczki z pod kościołów, ubodzy, kalecy i kilka kumoszek tak pobożnych jak ona, które karmiła i obdarzała, wymagając od nich nawrócenia i pokuty.

Cała ta gromadka, jakby wydzielona z tłumy, bo się do niej niechętnie mieszała obcy, zwracała teraz oczy ciekawe. Szczególniej roznamiętnioną, głośno wykrzykującą Baśkę pokazywano sobie palcami, poszeptując kto była, zwierając sobie życia jej przygody.

— To ta od Swiniągłowy, co za Matertera ją wydali, za Fryca, szeptali niektórzy. Nażyła się ona, nażyła dopóki jej księża nie nawrócili do pokuty. Jeździł do niej Sreniawita, była i u króla, skakała i śpiewała aż się na łzach skończyło.

— O piękna była! dodawali drudzy.

— Jeszcze teraz nieszpeta, choć tak zestarzała rychło, mówił inny. Ale jej teraz ani poznać... wszystko słyszę, zmarnowali. Fryc pije, a ona co ma, to do kościoła za grzechy wynosi.

Każdy jej ruch i słowo podawali sobie ciekawie.

— Patrzajcie ino, a to nie jak pokutnica, ale jak opętana się rzuca!!

Poruszenie w tłumie od strony ulicy Grodzkiej w całym tem się zbiegowisku odbiło. Zaledwie zadrgał ścisk ten z jednej strony, jakby prąd przebiegł po wszystkich... Jedni w tył się cofali, drudzy naprzód parli, przypierano do ścian, do wrót, kilka wykrzyków się wyrwało z różnych miejsc, głowy i ręce falować zaczęły jak woda wiatrem rozkołysana.

— Idą, idą! patrzajcie! idą.

Na palce podnieśli się ciekawi, inni naprzód powyrywali.

Zdała jakby śpiewy i jęki słyszeć się dały, głosy przeciągłe, stłumione, których boleściwy wyraz przejmował skargą i płaczem. Lecz nie widać było nic jeszcze, nic, oprócz po nad głowami tłumów tych gwarynych, na wysokim drągu powiewającej krwawo czerwonej chorągwi. Nie miała ona kształtu rydwanu kościelnego, była to płachta, spłowiła już, na której tle trudno było rozpoznać znaków jakichś malowanych.

W dali za nią mniejsze szły kościelne chorągwie żałobne z trupiami głowy i narzędziami męki Chrystusowej.

Zwolna musiał się posuwać pokutniczy ten orszak, gdyż nierychło tłum się rozdarł na dwoje i szeregami idący ukazali się biczownicy. Przodem postępował mężczyzna atletycznej postawy, obnażony do pasa, z głową i twarzą kapturem brunatnym okrytą.

Szedł wolnymi krokami i biczem, który w rękę trzymał, o czterech sznurach i żelaznych hakach, smagał się nielitościwie po plecach, już krwią zaschlą i świeżo rozlaną spływających.

Ta postać beztwarza, straszna, katowska, krocząca powoli i w takt pieśni chłuszcząca się nielitościwie, — była zjawiskiem tak przerażającym, iż ludzie bliżej stojący cofnęli się krzycząc, jakby się lękali, ażeby ich nie pochwyciła...

Tuż za tym wodzem szedł drugi mężczyzna, równie zakapturzony, obnażony do pasa, bosi, z biczem w rękę jednym, w drugim niosący zwitek pargaminu. Ciało jego, jak pierwszego, było smaganiem pokrajane...

Za nimi dwoma rzędami postępowali zmieszani z sobą mężczyźni i niewiasty, wszyscy prawie z nakrytymi głowy, niektórzy z twarzami na pół odsłoniętymi, w pół nadzy i biczujący się przy śpiewie jakiejś pieśni.

Brzmiała ona jak kościelna, jak psalm wielkopiątkowy, jak żale gorzkie u Chrystusowego grobu, lecz niezborne głosy, jakimi ją nucono, ze śpiewem zmieszany płacz i jęki, chrzęst dyscyplin, szelest chorągwi powiewających nad głowami, zmieniały ją w jakąś wrzawę dziką i odrażającą.

Nie było też powagi w tym pochodzie pokutniczym, ani pokory, jakaby ludziom skruszonym przystała. Niektórzy z nich rzucali się jak opętani, rękami wywijali w powietrzu, nogami podrygiwali, — wykrzywiali się i całym ciałem jak zbolu miotali.

Z pod zasłon i kapturem gdzieś podkrywane twarze, miały wyraz osobliwego rozpasania, zuchwałości, szyderstwa, upojenia... kobiety przechodząc, groziły ścisniętymi pięściami, mężczyźni dla uczynienia popłochu zataczali się ku gminowi, który z krzykiem od nich się cofał...

Razem jednak wzięty ten tłum w lachmanach brudnych, katujący się, pijany jakimś szalem, jęczący jakimś bolem, czynił wrażenie, któremu oprzeć się trudno było.

Nie byli to pospolici ludzie, w stanie powszednim, w zwykłego życia pojęciach i nawykniach, ale coś wyższego nad nich, a przynajmniej wyrzuconego z kolei spraw i uczuć wszystkim wspólnych. Z lekceważeniem jego obyczajów, szli nie lękając się męczarni, śmierci, niepomni na nic, wyżsi nad to, co drugim drogim było i niezbędnym.

Pokrwawione ciała, poszarpane nogi, ręce zbroczone, same ich twarze zdziczałe, ziejące ogniem, ryczące pieśnią, strach obudzały i podziwienie.

Z tłumów kilka krzyków się słyszeć dało... kilku odartych żebraków zaczęło się rwać ku nim, zdzierać z siebie odzież i łączyć z zastępem, który z wolna zmierzał ku środkowi rynku, ciągle śpiewając i chłoscząc się ciągle.

Naówczas można było się lepiej rozpatrzyć w zbiorowisku tem, liczącem paręset głów, a składającym się z najróżnorodniejszego żywiołu ludzkiego. Chociaż twarze w większej części były pozasłaniane, na ciałach nagich czytać było można wiek, płeć i pochodzenie. Począwszy od zgarbionych starców, których barki kościste, z pomarszczoną skórą i żyłami nabrzmiałymi oplątane, zdawały się, gdyby nie krew, wykopanemi z dołów cementarnych, do białych plecu niewiast młodych, do chudych i szczupłych ramion wyrostków, wszystko się tam razem mięszało w nieładzie jakimś, upojeniu i rozognieniu, które nikomu nie dawało trzymać wyznaczonego miejsca, — pchali się, wywijali, smagali wzajemnie, cisnęli, rozszarpywali... Niektóre z niewiast, obnażone zbyt i jakby umyślnie odarte z odzieży, chlubiły się równie krwią na plecach i młodem kształty ciała.

Wśród pochodu z pieśnią do środka rynku działy się rzeczy niespodziane a gorszące. Idący na końcu szeregów chwyтали ze straganów żywność, porywali co napadli, inni rykiem straszyli dzieci, inni za suknie ciągnęli stojących bliżej, chcąc ich zabrać z sobą.

Pierwszy tylko rząd idących zachowywał się z pewną powagą... reszta rozpasaną była i swawolną...

Zakapturzony wódz stanął wreszcie w rynku, około niego poczęły się ustawiać chórągwie... Człek, który zwitek trzymał w ręku, odrzucił kaptur zupełnie, i z pod niego ukazała się głowa ogolona, z oczyma wypukłemi, z twarzą żółtą, usta niepomiernie szerokimi. Gdyby nie strój i nie miejsce, jakie zajmował, najłatwiej by go wziąć było można za jednego z tych wierszokletów weselnych lub trefnisiów do których był podobny. Zarazem jednak klechę przypominał i bakalarza.

Na policzkach koloru żółcią zaprawnego, dwie ceglaste plamy odbijały jak malowane.

Na dany znak podniósł on rękę do góry, w której papier trzymał, potrząsał nią i zakrzyczał.

— Słuchajcie! Słuchaj ludu pobożny!

Ze wszystkich stron ciekawi zaczęli się zbliżać i naciskać ku niemu, popychając i wyprzedzając. Szmer i wrzawa ustały, pokutnicza pieśń powoli ucichła, skonał jęk jej ostatni, a wielu z tłumy poczęło padać na ziemię, jedni na kolana, drudzy twarzami w proch, inni jakby do snu się układając, a nagiemi poranionemi plecami uderzając o kamienie. Bolu nikt z nich czuć się nie zdawał.

Gdy cisza się stała dokoła... ten, który zwitek trzymał w ręku, rozsunał go, przybrał postawę naśladowującą księdza na kazalnicy, i głosem to jęczącym, to krzykliwym, to podniesionym bezmiernie, mówił, patrząc po stojących dokoła:

— Słuchaj ludu pobożny! Słuchajcie wierni Chrystusowi! Oto do was przychodzimy jak niegdyś apostołowie z nowiną dobrą, z ewangelią nową. Albowiem świat miał być ogniem zniszczony, morem wytępiony — za grzechy straszne, za winy mnogie, aż oto, widząc Chrystusa zagniewanego i pomstę zawieszoną nad ziemią, przypadła doń matka Jego, przyszli z błaganem święci pańscy i prosili o miłosierdzie...

I jęczeli a lży leli trzy dni i trzy noce całe, aż ulitował się Chrystus i przez anioła, posła swojego, zanieść kazał list do kościoła Ś. Piotra w Jeruzalem...

To mówiąc, kartę nad głową rozwinął, podniósł i potrząsał nią.

Wziął ją potem przed się do oczów i znowu mówił, jak gdyby z niej czytał:

— Ja, który jestem żywotem i śmiercią, panem i sędzią, stwórzycielem i odkupicielem waszym, prawem i słowem prawdy — mówię do was, abyście się kajali, a krwią waszą, która z moją połączoną zostanie na zagładę grzechów, zmazali przewinienia.

Rzucicie domy i rodziny wasze, dzieci swe i rodziców, małżonków i żony, wyrzeczcie się mienia wszelkiego, weźmijcie bicz w dłonie wasze i idźcie głosić pokutę i wyzwolenie światu po gościńcach, po osadach, po wsiach i gdziekolwiek ludzie w grzechu leżą...

Będziecie się bez litości i bez przestanku biczowali przez dni trzydzieści i cztery, tak, jakom ja lat tyle w mizernem ciele ludzkim żył dla was... A nie będziecie mieszkać pod dachami, ani spoczywać, ani dłużej trwać nad jeden dzień na każdym miejscu.

I stanie się, że ktokolwiek z was przed drugim z grzechów się swych wypowiada, temu odpuszczone będą, albowiem wszyscy krwią swą namaszczeni będziecie na kapłaństwo, i co rozwiążecie, rozwiązaniem zostanie.

Gdy tych słów doczytywał, czy domawiał pokutnik, pomiędzy słuchaczami, wśród których byli duchowni i klerycy, powstał cichy ale wyraźny okrzyk zgrozy i podziwu...

Szmer ten nie dał mu czytać dłużej, — i wkrótce potem zakapturzony wódz zanucił pieśń, a za nim porwawszy się z ziemi inni śpiewać zaczęli, cisnąc się znów i iść, chociaż prowadzący nie wiedział jeszcze, dokąd się skieruje.

W wielu miejscach duchowieństwo naprzeciw nich wychodziło z procesjami i chorągwiemi, prowadzono ich do kościołów, spodziewali się może i tu tego samego przyjęcia, lecz rozkazy były wydane, podwoje kościołów pozamykane, duchowni nie chcieli brać udziału w praktykach tych sekty nowej.

Zakapturzony rychło zrozumiał, iż miał do czynienia z tłumem ostyglym, ostrzeżonym, mało wiernym. Niewielu prostaczków dało się uwieść listem tym przyniesionym przez anioła...

Ten, który czytał z karty, i ten, co szedł przodem, naradzili się wejrzeniami z sobą, dali znaki tym, co szli za nimi.

W tłumie tym, przewodzcy pomieszani z nim, natychmiast, biczami smagając, zmusili powstawać tych, którzy legli i odpoczywali... na skinienie ich ustawiono się w szeregi, bicz się podniosły do góry, padli wszyscy na kolana i zanucili pieśń żalną głosem boleściwym.

Smaganie to i śpiew ze snu i odrętwienia obudziło biczowników. Stali się jakby in-nemi, z chłostą razem, coraz zapamiętałą, coraz nielitościwszą, coraz szybszą, śpiew się podnosił — głosy stawały wyrazistsze, szal święty ich upajał — zdawali się doznawać rozkoszy jakiejś, w szmaty drąc ciało, dobywając z niego krwi, która ściekała strugami.

Czego nie uczynił list anioła i opowiadanie ewangelii nowej, widok biczowania sprawił na ciżbie. — Zapal biczowników przechodził do tłumy... wyrwali się ludzie ku nim... jęki i płacz dał słyszeć. Ci, co przyszli tu z niedowiarstwem, ze zgrozą, zaniepokojeni w sumieniu, żegnali się, modlili, płakali, — serce ich biło.

Cóż dawało im tę siłę do zniesienia razów, które sobie zadawali z rozkoszą? Kto sprawiał ten cud, że dla nich boleść była pożądaną i błogosławioną?... Duchowni nawet doznawali tego wrażenia, i kilku z nich odwracało się od biczowników, jak od pokusy, której się uledez lękali.

Śpiew schrypleni i znużonemi w początku nucony głosami, rósł, potęgował się, podnosił, płynął coraz zgodniejszy, a miał w sobie jakąś siłę straszną, która przeszywała serca.

Kobiety zachodziły się od płaczu spazmatycznie...

Tłum w rynku stojący cały, uląkł się tej pokuty... wahając, czy nie ma pójść z nim także i nowej ewangelji stać się wyznawcą.

W chwili takiego podniesienia na duchu... naprzód kleryk jeden, chłopak młody, wybiegł z pomiędzy patrzących, szarpiąc na sobie odzież, jak szalony pognął do zakapturzonego i padł przed nim na kolana...

Ten, który kartę niósł, wnet począł suknię z niego zdzierać, która kawałami zwisała i podał mu własny bicz... Z wściekłością uderzył się nim kleryk po białych ramionach i krew trysnęła.

Na widok jej, ciżba dokoła odezwała się głuchym wykrzykiem.

Za tym razem pierwszym posypały się inne, plecy całe spłynęły krwią, a nowy pokutnik podniósłszy głowę do góry zwycięzko, z wyrazem ubłogosławienia na twarzy, z uśmiechem na ustach, pieśń nucić począł...

Widok ten był jakby hasłem i przykładem. Ze wszystkich stron wybiegali ludzie. Jednych rodzina powstrzymywała, inni sami wahali się niepewni, niektórzy stawali w pół drogi... lecz wielu dobiegło do miejsca, gdzie stał przewodnik, i biczować się zaczęło.

Baśka która drżąca patrzyła na to i płakała, zrywała się kilka razy — naostatek jakby pchnięta siłą jakąś przeważną, skoczyła, w ręku niosąc gotowy bicz... a drugą obnażając się z sukni, która jak wór uszyta, rozerwana u szyi, opadła z niej.

Białe jej ramiona, na których widać było zaschłe blizny dawniejszej dobrowolnej chłosty, krwią się świeżą zarumieniły.

— Baśka! — zaczęto wołać w tłumie.

Fryc Matertera, mąż, który dotąd mało dbał o nią, poruszony wstydem jakimś i trwogą, rzucił się zapóźno, aby ją nazad odciągnąć... tłum go zatrzymał w miejscu...

Gdy się to działo w rynku, w oknach kamienicy Wierzynka stał, tajemnie przybywszy, król, otoczony kilkunastu osobami swojego dworu. Odradzano mu to widowisko, które na posępnym i tak usposobieniu mogło przykre uczynić wrażenie. Kochan osobliwie sprzeciwiał się wycieczce, więcej się starając o roztargnienie dla niego, niż o to, co mogło spowodować smutek i rozdrażnienie. Łatwo było przewidzieć, że król ztąd przyniesie na zamek gorycz i zadumę.

Nie mogąc przełamać woli Kaźmirza, Kochan sam mu towarzyszył, i powołał innego jeszcze, w łaskach znajdującego się od niejakiego czasu ulubieńca, człowieka wcale niepospolitego, który, pomimo sukni swej duchownej, w godzinach czarnych był najlepszym na nie lekarstwem.

Był nim ks. Jan, opat benedyktynów z Tyńca, pomimo godności, jaką piastował w zakonie, mimo reguły, do której należał, więcej dworak i człowiek światowy niż mnich i kapłan.

Z ubogiej dosyć rodziny panoszków krakowskich pochodzący, ks. Jan w nadziei, że go stosunki i opieka możnych, spowinowaconych z nim, dźwignie na wyższe stanowisko duchowne, stan ten obrał sobie... W początku kapłan świecki, udawszy się dla studjów do Bononii i Rzymu, młodzieniec nabrał tam włoskiej lekkomyślności w rzeczach religijnych, i z nią powrócił do kraju, z wielką ogładą powierzchowną z zasobem wiadomości, ze znajomością świata, i z zepsuciem, któremu rzadko ówczesne duchowieństwo polskie miejscowe ulegało.

Nie stworzonym on był wcale na duchownego, pierwsze lata młodości spędził jak wszyscy ziemianie, usposabiając się do powołania rycerskiego, na koniu, na łowach i w wesołych towarzystwach. Wielkie zdolności, umysł żywy i pojętny doradziły opiekunom, aby go skłonili do wzięcia sukni duchownej. Suknia ta i reguła zakonna nie zmieniła natury człowieka namiętnej. Zostawszy benedyktynem, wysadzony na opata, ks. Jan pozostał czem był — ziemianinem z krwi i kości, a w dodatku włoskim *cortegianem*, przekładającym towarzystwo wytworne dworskie, zabawy, myśliwstwo, uczyt dowcipem zaprawne, muzykę i śpiewy, nad nabożeństwo w chórze i ślęczenie nad księgami. Pięknej bardzo powierzchowności, młody, zdrów, silny, wesół, opat Tyniecki często na łowach i w podróży ledwie się dawał poznać, iż mógł do zakonu należeć.

Dawna surowa reguła benedyktyńska, pomimo usiłowań obostrzenia jej na nowo i reformy — wielce rozwolnioną została. Bogactwo zakonu, napływ do niego cudzoziemców, przynoszących z sobą obyczaj obcy, daleko mniej wymagający, a pobbajający do zbytku, zmieniły zupełnie charakter zgromadzenia, dawniej pracy i nauce oddanego.

Benedyktyni zabawiali się na wszelki sposób, namiętnem myśliwstwem, muzyką — uctowaniem, sztukami pięknymi, a nauka ledwie kilku starych do księgarni, pobożność kilku gorliwszych do chóru napędzała.

Ks. Jan żył po pańsku na Tyńcu, a że życie to dzielił z innymi braćmi i na wszystko, co się działo w klasztorze, patrzył przez szpary — lubionym był i wszystko mu uchodziło bezkarnie.

Rumiany, z uśmiechem na ustach, postawą zręczną, w stroju wykwińtnym zawsze, doskonały jeździec, niezmordowany łowiec, Opat dowcipny był i w towarzystwie zupełnie zapominał, że duchowne miał obowiązki.

Dwór trzymał książęcy, przyjęcia na Tyńcu służyły z wystawnej gościnności. Działo się tam dobrze wszystkim, a ogromne bogactwa zakonu nie dawały mu uczuć rozrzutności, z jaką szafowano niemi.

Kaźmirz, któremu najmilszym było towarzystwo europejsko ogładzonych i z życiem zachodniem oswojonych ludzi, przy pierwszym spotkaniu z Opatem polubił go bardzo. Przyjaźń niemal związała ich z sobą, ks. Jan mu towarzyszył na łowy, dosiadywał z nim do późna u stołu, opowiadając o Włochach, Rzymie, Francji i Niemczech, w których przebywał. Król słuchał go, ożywiał się rozmową i ściągał do Krakowa, lub do Tyńca zjeżdżał często.

Wielkie pobożanie wszystkim króla słabościom, a nadzwyczajne uwielbienie dla wielkich pomysłów monarchy, który kraj swój chciał na równi z innymi europejskimi postawić — czyniły Kaźmirzowi Opata najmiłszym.

On jeden nie naganiał go nigdy, tłumaczył wszystko, usprawiedliwiał, pocieszał i bawił rozumnie, zręcznie, trafnie dobierając środków.

W sporze z biskupem krakowskim w sprawie kłątwy, Opat był naturalnie po stronie króla i pomagał mu chętnie do wyłamania się z pod surowości interdyktu. Nie zważając na nic, ks. Jan odprawiał msze, sprawował obrzędy wszelkie i dowcipnie nawet żartował z anathemy.

Gdy król pogrążony był, smutny, znużony, Kochan, niemający już nad nim wielkiej przewagi, powoływał na ratunek ks. Jana, który znalazł zawsze nową jakąś rozrywkę, opowiadanie, zabawkę, rozpędzającą chmury z królewskiego czoła. Samo ukazanie się Opata, którego na dworze lubili wszyscy, bo i hojnym był i chętnie poufalszym niżby przystało z dworzany — rozweselało wszystkich.

W rzeczach poważnych, gdzie szło o nowe prawa, reformy, o instytucje — rządził ks. Suchywilk, w którym król zaufanie pokładał; gdy potrzeba było ładu zaprowadzić w żupach wielickich, w mennicy, w zarządzie miast, w stosunkach handlowych, służył Wierzynek; do spraw miłośnych był Kochan pośrednikiem — dla rozjaśnienia czoła, przy biesiadzie, na łowach, w urządzaniu świetnych zabaw rycerskich, ks. Jan przewodniczył.

Krół nie miał tajemnic dla niego. Nikt nadeń więcej nie bolał nad nieszczęśliwym małżeństwem z Adelaidą Hesską, a nawet Opat gotów je był, z pewnych kanonicznych pobudek, uważać za nieważne.

Gdy król ubolewał przed nim nad bezpotomnością swą — ks. Jan głosił za nowym małżeństwem pomimo życia żony, utrzymując, że w Rzymie da się wyrobić rozwiązanie węzła źle skojarzonego. Przywodził przykłady... król jednak wstrzymywał się obawiając nowej walki z duchowieństwem, gdy pierwsza jeszcze nie była skończoną. W sprawie ks. Baryczki Opat utrzymywał, że on sam winien był swej śmierci porwaniem się na majestat królewski, niewinnych zabójców i t. p.

Słowem, powolniejszym nikt być nie mógł dla Kaźmirza, ani wymowniej i zręczniejszym przekonywać, iż nieprzyjaciele jego wcale po sobie słuszności nie mieli.

Mówiono, że na Opata Bodzanta kilkakrotnie słał skargi do Rzymu, lecz ks. Jan oszczędnym, posyłał podarki i umiał się zawsze uniewinnić.

Dnia tego, gdy król uparł się iść przypatrywać Biczownikom, Kochan ściągnął umyślnie ks. Jana, rachując, iż przykre wrażenie, jakie oni na umyśle króla wywrzeć mogą, zręczność i dowcip Opata rozproszą.

Ks. Jan wiedział o biczownikach w Perugii, we Włoszech i odzywał się o nich z szyderstwem, utrzymując, że dla tego we dnie się biczowali, aby po nocach najrozpasańsze orgie odprawiać...

Oprócz księdza Jana, w orszaku króla był Kochan i znowu na dwór z chwilowego ukrycia wrócił, Przedbór i Pakosław Zadorowie.

Dwa te giętkie i posłuszne narzędzia w ręku Kochana, pokutowały za swą bezwstydną powolność dla ulubieńca. Rawa umiał w oczach króla znaczniejszą część winy na nich spędzić — dobroci tylko Kaźmirza zawdzięczali, iż im przy dworze zostać dozwolono. Biedni młodzieńcy, którzy nierozmyslnie, pod silnym naleganiami Kochana, dopuścili się zbrodni, teraz i przez ludzi za nią prześladowani i w sumieniach byli niespokojni. Pobożni jak wszyscy owego czasu, chodzili wszędzie, domagając się rozgrzeszenia, ofiarując na pokutę, żaden duchowny nie ośmielił się im dać absolucji. Radzono do Rzymu... chciano, aby oba przyoblekli suknie zakonne. Zadorowie byli najnieszczęśliwsi. Oprócz tego musieli pilno baczyć, aby ich biskup nie pochwycił i do więzienia nie wtrącił, z czym się odgrażał.

W takim razie i ukaranie śmiercią, przy gwałtownym charakterze ks. Bodzanta możliwym było. W Polsce samej przykłady się znajdowały takiego wymiaru sprawiedliwości przez władzę duchowną.

Stał w otoczeniu króla i sługa jego a gospodarz Wierzynek... Widok pokutników na każdym tu inne czynił wrażenie, z każdego inne wywoływał sądy.

Krół patrzył na nich ze zdumieniem, z podziwieniem, niespokojny, nieumiejąc może wytłumaczyć sobie tego stanu ducha — który takie objawy rodził.

Czoło jego powlekało się chmurami, brwi ściągały — wzdychał...

Ks. Jan ramionami ruszał i oburzał się, wyrzekając, że takiej zgrai dzikiej pozwalano po świecie błądzić bezkarnie.

Wierzynek nie mówił nic, lecz widać było, że spokojnemu kupcowi a przemyślnemu gospodarzowi to naruszenie powszedniego porządku i spokoju — nie smakowało...

Drgnął król i rzucił się ku oknu, gdy zobaczył Baškę wybiegającą z pod domów, i z krzykiem a szałem przypadającą do pokutników. Spojrzał na króla ruszającego ramionami i Rawa zbliżył się do królewskiego ucha.

— Zawsze była szaloną, rzekł — co dziwnego!!

Inni z pospólstwa, którzy poszli za przykładem Baški — wywołali szyderską uwagę opata.

— Juźciż lepiej im będzie u biczowników za trochę podrapanych pleców mieć wszystkiego do woli, bo ich głupstwo ludzkie obficie karmi i poi, a młodych dziewcząt dosyć jest w tej kupie — niż od drzwi do drzwi chodzić po żebraniu.

Król jednak nie zdawał się podzielać tego zdania opata; milczał, coraz smutniej zamysłony.

Wtem ruch mały zwrócił uwagę Kaźmirza pomiędzy bliżej stojących za nim. Dwaj Zadorowie bledzi, drżący, patrzali na siebie, jakby wzrokiem się naradzali. Pakosław chwycił za rękę Przedbora i poruszyli, z miejsca nagle. Nim Kochan i inni mogli zapobiedz i powstrzymać ich, oba pospieszyli ku drzwiom...

Kaźmirz niespokojnie spoglądał za nimi. Znikli mu z oczów. Po chwili ruch zrobił się przed kamienicą Wierzynka, ukazali się bracia Zadorowie, pospiesznie zrzucający z siebie odzież dworską, obnażający się nawzajem.

Kochan pospieszył, domyślając co zamierzali, aby wstrzymać ich gwałtem, bo przewidywał, jakie to wrażenie na królu uczyni, lecz już było po czasie.

Obaj bracia szli, za ręce się pobrawszy, wprost do zakapturzonego, przed którym uklękli. Dano im bicze... poczęli się chłostać.

Król wstał od okna, aby przykrego uniknąć widoku, a nieopuszczający go opat rzekł głośno:

— Lepiejby uczynił ks. Biskup, ażeby się tu wdał z władzą swoją i ludzi opętywać nie dopuścił, niż w inne wdawał się sprawy.

Król powracał na zamek...

Wśród wrzawy i wielkiego poruszenia w rynku, gdzie lud się zbliżać zaczął do biczowników i przemógłszy trwożę, mięszał z nieszczęśliwymi — wieczór nadszedł. Słońce skryło się za budowy miejskie, mrok wieczora zaległ ulice.

Biczownicy pozostali na Rynku, który zwolna wyludniać się zaczął. Pieśni i biczowanie ustało, zgraja włóczęgów wysilona, znużona, padała na ziemię i zabierała się do spoczynku, w miejscu, które zajmowała.

Co przyległo do nich z miasta, pozostało wśród przybyszów, usiłując pobratać się z niemi. Lecz tu spotykały ich dzikie wejrzenia, niezrozumiałe szyderstwa i przekleństwa. Oprócz wodzów nikt ich znać nie chciał, odwracano się od nowych braci.

Po wrzawie i miotaniu się nastąpiło milczenie głuche i spoczynek. Niektórzy już usypiali, leżąc na pyłe ulicznym. Litościwi mieszczanie czuwającym jeszcze i głodnym spieszli, przynosząc strawę, chleby i napoje w dzbanach.

Usiłowano, zbliżając się, dojrzeć twarzy, których część większa umyślnie kapturami była zakryta. Niektóre z nich miały rysy jakieś obce, nie swoje, inne widocznie pochodziły gdzieś z okolicy, i odarta odzież różnego też pochodzenia być musiała.

Król odszedł ztąd pogrążony w myślach, smutny, a Kochan skłonił Opata łatwo, aby go nie odstępował i rozerwać się starał. Stan ten ducha u króla, powracający często, wymagał albo rozrywki, któraby go mogła zająć silnie, lub jednej z tych spraw, kraju tyjących, dla których o wszystkim zapominał. Ks. Suchywilka nie było aby niemi z pogrążenia tego wyprowadził, cała nadzieja zostawała w ks. Opacie Janie.

Ten też, poznawszy usposobienie Kaźmirza, nieustawał z wesołą i lekką rozmową, choć sam prawie prowadzić ją musiał, bo król mu zaledwie spojrzeniami roztargnionemi odpowiadał.

Widok tej niegdyś tak pięknej Baški, dziś pokutnicy, dwóch Zadorów, którzy nagle opuścili dwór skruczą dotknięci, całe wystąpienie biczowników, zachmurzyło więcej niż zwykle twarz królewską. Kochan, który każdy ruch jej śledził, widział także, iż król drgnął

cały, zobaczywszy występującego zakapturzonego wodza biczowników, którego postawa i głos kogoś mu przypominać musiały. Kochan sam nie mogąc wyszukać w pamięci, do kogo był ten człowiek podobnym, pewien był, iż go gdzieś spotykał i że nie był mu obcym.

Przewidywanie ulubieńca, który chciał króla wstrzymać od wyjścia dla widzenia biczowników, ziściło się — Kaźmirz wracał przerażony i znękanym.

Na biskupstwie w początku lekceważono sobie tych prostaczków i ks. Bodzanta mówił tylko o tem, że gdy się wąż do miasta, rozkaże ich czeladzi swej rozegnać, a przewodzców pochwyta i do kuny na pokutę posadzi.

W ostatnich chwilach, gdy się już biczownicy zbliżali, zaczęły do biskupa przychodzić wiadomości, dające do myślenia o liczbie pokutników i ogromnem wrazeniu, jakie czynili na tłumach wszędzie, gdzie się ukazali.

W kilku miasteczkach, gdy ich rozpędzać chciano, lud się ujął za nimi, przyszło do bójki i krwi rozlewu.

Po innych posłach nadciągnęli na biskupstwo ks. Przeor dominikański z ks. Ireneuszem, domagając się z pasterzem rozmowy. Byli naocznymi świadkami zapału, jakie wywołali tu biczownicy, słyszeli płacz i głosy tłumów, — lud gorąco był przejęty...

Nie można było lekkomyślnie porywać się na tych włóczęgów, których pozór gorliwości religijnej okrywał jakimś urokiem w oczach ludu.

Lecz biskup, ze zwykłą sobie energią, uwag tych słuchać nie chciał, miał się za silniejszego nad gawiedź zbłąkaną i roznamiętnioną — pobłażać nie myślał wcale.

Miano już wysłać pacholków, gdy nadejście dwu dominikanów wstrzymało na chwilę wyprawę.

Wysłuchawszy ich, biskup ręką rzucił — stał przy swoim, nie obawiał się czerni...

Ks. Ireneusz, całując go w rękę, szeptał cicho.

— Wasza pasterska mość pewnie lepiej wiecie co począć, ale ludek pobożny, choć ślepy, poruszony bardzo — płakali i ci nawet, co płakać nie chcieli. Jakaś siła zła czy dobra jest przecie w tem obrzydliwym zbiegowisku — trzeba dać ostygnąć zapałowi... porozchodzą się ludzie....

— Po co zważać na ludzi? odparł biskup — sam mówisz ojczy, że jakaś moc w nich jest, a nie inna, tylko szatańska, bo on wszelkie herezye pysze ludzkiej podszeptuje... Więc precz z nimi, precz, aby się nie mnożyło zło, za które ja w sumieniu odpowiedzialnym będę. — Rozpędzić ich, niedosyć... wygnamy ich ztąd, pójda gdzieindziej, poniosą dalej tę zarazę... Przewodzców ich potrzeba zabrać, posadzić, wybadać... Reszta tego stada się rozbieży.

— Bez wątpienia — szepnął ks. Ireneusz... tylko w tej chwili biedny ludek ma lzy na oczach... a wnętrności poruszone tym widokiem, więcby pofolgować, aż ostygną.

Biskup się zżymał przeciw temu.

— Co? ja? pasterz? miałbym się ulęknąć włóczęgów jakichś i własnych owieczek obłąkanych? — Nie będzie nikt śmiały porwać się na pacholków moich, przeciwko mnie...

Z zebranego duchowieństwa jedni szli za biskupem, drudzy też trochę cierpliwości radzili... inni przynosili rozmaite wiadomości z okolicy o przeciąganiu biczowników, ich rozbojach, kradzieżach zuchwałych, nieposzanowaniu własności przez włóczęgów, którzy do chat samotnych wpadali, zabierali co znaleźli, gwałtów się dopuszczali, gdzie im się opierano.

Rozpowiadano, że w drodze, gdy ich na polu noc zachwycała, legali pospołu, bez różnicy płci, jak bydłeta, i po szale pokutnym rozpasywali się na rozpustę wszelką, sami się potem z niej spowiadając przed sobą i rozgrzeszając.

Oburzenie było powszechne...

W powieściach część prawdy była, coś zmyślonego może, ale we wszystkim herezya widoczna i biskup ścierpieć szerzenia się jej nie mógł, był to bunt przeciw władzy kościelnej, której biczownicy podlegać nie chcieli.

Nie mógł więc biskup słuchać umiarkowańszych doradców — ponowił rozkaz stanowczy, aby się czeladź jego zbierała, na rynek ciągnęła i przewodzców koniecznie schwycała.

Noc tymczasem nadeszła...

W rynku spoczywała dzika gromada na ziemi. Wbite w ziemię chorągwie powiewały nad legowiskiem starszyny... Tłum zmniejszył się był wprawdzie, lecz jedni odchodzili, ściągali się drudzy, kupki ciekawych krążyły ciągle i otaczały biczowników.

Wśród ciszy, jaka tu teraz panowała, oddział biskupiej czeladzi przybliżył się do rynku właśnie w chwili, gdy do zamku powracała garść żołnierzy królewskich, dobrze uzbrojonych. Od czasu jak Bodzanta wyklął był Kaźmirza, pomiędzy ludźmi jego a królewskimi stosunek był nieprzyjacielski. Nie przychodziło do bitw krwawych, bo ich zakazywano, ale bójkki trafiały się codziennie.

Zamkowe żołnierstwo spostrzegłszy skradających się ku rynkowi biskupich ciurów — stanęło, sotnik starszy znajdował zrzeczność bardzo pożądaną poturbowania kleszych rycerzy.

Biczownicy obudzili litość.

— Patrzcie oto — rzekł do swoich, co im to biedactwo winno? Biskup pewnie każe pobrać i będzie męczył po lochach... a toż przecie pobożni pokutnicy, co się modlą lepiej niż on, i gdy stary w puchach się wylega... krwią zbroczeni na ziemi się walają.

Spojrzeni po sobie ludzie królewscy. Rozkazu żadnego nie mieli, lecz pewni byli, że ich za to nikt nie skarci, gdy kleszych przetrzepią. Stanęli więc, zajmując w cichości takie stanowisko, z którego najłatwiej im było wypaść w potrzebie.

Biskupi półkowiedzka okrążał już powoli biczowników...

Ci po dosyć gorącym przyjęciu w mieście, nie spodziewali się pewnie napadu żadnego i spokojnie do snu się układali... Ludzi biskupich trudno było rozeznąć wśród ciekawych, którzy jeszcze się snuli.

Gdy nagle głos starszego dał się słyszeć nie daleko chorągwi, porwał się na nogi zakapturzony dowódzca i krzyknął na swoich... Chwycili za chorągwie, dyscypliny swe i kije, stając, jakby bronić się chcieli.

Wśród ciemności krzyki powstały i zamieszanie wielkie... Lud, nie widząc kto nastawał pokutników... rzucił się na ich obronę. Zgiełk, wrzawa... ścisk w rynku stał się straszny. Z kamienic ludzie powybiegali z pochodniami... Wołanie na ratunek, na gwałt, rozległo się po mieście... królewskim ludziom tego było potrzeba, puścili się na biskupich z dobytymi mieczami, płazując i siekąc. Znali się dobrze, i w tłumie wybrać umieli. Lud, poparty przez zamkowych, padł też na czeladź biskupią.

Biczownicy tymczasem, z ziemi się pozrywawszy, a lękając nadewszystko, aby ich nie pochwymano, rozpierzchać się zaczęli na wszystkie strony, wbiegając do kamienic, pod parkany, do ogrodów, gdzie się komu schować udało... kupka jedna puściła się ku zamkowi, inne po kątach i małych uliczkach...

Dowódzca biskupi tyle dokazał tylko, że w pierwszej chwili, pomimo dzielnego oporu, zdołał opanować i związać zakapturzonego i jego towarzysza. A że królewscy nacierali mocno, zdobyczą tą się ograniczając, biskupi pierchnęli na dworzec pański.

Oczekiwano ich tu z ciekawością wielką, Biskup sam nie chciał spocząć, póki by nie wiedział o skutku wyprawy. Poprzedził zwrot pacholków pędem wbiegający kupką małą, dowódzca, który ciągnął z sobą dwu jeńców i zaledwie wpadłszy na podwórzec, obawiając się by go i tu nie ścigano, wrota kazał drągami zakładać i straż stawić u nich.

Gniewu jakim biskup się uniósł, gdy mu doniesiono o napaści królewskich na wysłańców jego, odmalować nie podobna.

Zsiniał starzec, załamał ręce... słowa przemówić nie mógł.

Dowódzca straży niejaki Żuber, dla uniewinnienia siebie, malował starcie w rynku daleko straszniejszym, niż było w istocie — porwanie się ludu, straszliwe pastwienie się nad jego ludźmi bezbożnych zamkowych...

W takich warunkach cudem było prawdziwym, że potrafił hersztów schwycić, narażwszy życie... Ks. Bodzancie już nietyle teraz szło o biczowników, jak o niesłychane zuchwałstwo królewskich żołnierzy, którzy się przeciw jego czeladzi porwali...

To wołało znowu o pomstę do Boga! Niepoprawni więc byli, a duch pana w sługach się jego odbijał...

Zgrozą przejęte duchowieństwo, potakiwało pasterzowi; już nieco złagodzony spór na nowo rozjątrzył się okrutnie.

Było to wyzwanie — była to umyślna zasadzka, król brał stronę herezji.

Zakapturzonego dowódcę rozkazując rzucić zaraz do więzienia biskupiego i strzedz pilnie, ks. Bodzanta rozmyślił się po chwili i dał go sobie związanego przyprowadzić wraz z jego spółnikiem...

Cały dwór, służba, czeladź pasterza, zbiegła się oglądać tych ludzi.

Olbrzymiej postawy i siły, zakapturzony szedł ze związanymi w tył rękami, nie okazując najmniejszej obawy, ni poruszenia. Zerwano mu kaptur, który twarz okrywał, i wyszła z pod niego głowa, czarnym włosom krótko postrzyżonym okryta, z rysy jakby wyciosanymi z brunatnego drzewa, brwiami krzaczystymi, czarnymi sówkami oczyma, które prawie całe pod powiekami zajmowały miejsce. Wyraz był dumny — boleść, zaduma, coś dzikiego razem i skamieniałego — jak w zwierzu pochwyconym i ubezwładnionym, patrzących nań przerażało.

Ani Pasterz, ani duchowieństwo, nie odjęły mu śmiałości, nie schylił głowy, nie ugiął karku. Popchnięto go, stał.

Obok idący ten, który głosił w rynku list u Ś. Piotra w Jerozolimie znalezionej, drżał i szedł, chwając się, obłąkany... Pot mu czoło oblewał, usta się krzywiły, jak do płaczu.

Ks. Bodzanta przystąpiwszy, począł od gwałtownego wybuchu i pogroźek.

Czarny wódz, oczy spuściwszy na ziemię, ani patrzył nań, ani chciał słuchać. Towarzysz jego klęczał, ręce na piersiach złożył i zachodził się od szlochania.

Bodzanta jednego ze swych sędziów duchownych, zasiadłszy, wyznaczył do natychmiastowego przesłuchania winowajców.

W milczeniu odpowiedzi słuchano.

— Kto jesteś? rzekł, przystępując doń badający.

Musiano potrącić czarnego, który zdał się pytania nie słyszeć, lub nie chce wiedzieć, że do niego było wystosowane.

Uderzony przez pacholka, grobowym głosem odparł.

— Grzesznik.

Mówił po polsku, lecz z akcentem jakimś obcym.

— Zkąd jesteś, jak się zowiesz?

Długie było milczenie...

— Nazwiska się wyrzekłem — rzekł pokutnik — gdzie się rodził — zapomniałem...

— Kto cię nauczył tego, co głosisz zuchwale ludowi?

— Człowiek boży otworzył mi oczy, pokutnik jako ja, począł, oczów nie podnosząc, pytany. Z nieba miał objawienie... Pokuty tak srogiej jak grzechy, któremi ziemia skalana, żąda Bóg...

Księża spoglądali na siebie.

— Ażali ci niewiadomo, zawołał niecierpliwie inny duchowny, że Bóg ustanowił kapłaństwo, że przez jego usta tylko idzie czysta nauka, że kto sobie przyznaje moc duchownych, winnym jest świętokradztwa?

— Bóg mówi wprost do dusz ludzkich, nie potrzebując pośredników — zawołał czarny, a kto głosu jego nie słucha, winnym jest...

Szmer oburzenia dał się słyszeć. Biskup Bodzanta ręką wskazał, aby zawieszono pytanie zuchwałego herazjarchy, i na klęczącego przy nim w postawie skruszonej, we łzach, z ogoloną głową — zwrócił badanie.

Ten drżał ze strachu...

— Ktoś ty? — spytał go ksiądz.

Nim odpowiedź nastąpiła, czarny groźnie się obejrzał ku niemu; klęczący, który się obawiał równie władzy, co go w ręku miała, i straszego wodza swego, niezrozumiale bełkotać zaczął.

Naostatek wybąknął, że był klerykiem w Wrocławiu, że się zwał Adam Siwek, i że — nie był winien, bo był opanowany, obłąkany, zagrożony i musiał być posłuszny.

Spytany o kartę, z której czytał, dobył ją z za pazuchy, i co prędzej oddał księdzu. Pismo było świeże, niezgrabne i niedorzeczne. Podano je Biskupowi, który spojrzawszy na nie, rzucił pod nogi z pogardą.

Zwrócono się znowu do czarnego, zatwardziałego wodza Biczowników, lecz z niego nic wyciągnąć nie było można. Czuć w nim było upojonego jakąś fantazją zbłąkaną człowieka, który męczeństwa się nie lękał i wierzył, że to, co czynił, dobrem było.

Półgłosem, pogardliwie niemal, ledwie raczył coś odpowiadać, zupełnie zubożniały na los, jaki go spotka...

Za to Siwek, chcąc się skruczą wykupić, mówił aż nadto, na ziemię twarzą padał, obiecywał poprawę — drżał jak liść.

Obu ich Biskup kazał odprowadzić do więzienia swojego.

Królewscy żołnierze, z wielkim tryumfem powróciwszy na zamek, zanieśli tam wiadomość wesołą, jak się rozumnie znaleźli w rynku, i skorzystali z okoliczności, aby czeladź biskupią przetrzepać.

Doniesiono o tem Kochanowi, a ten, korzystający chętnie z każdej okoliczności, która króla z biskupem różnić mogła, pobiegł do Kaźmirza, który z Opatem Janem i kilku ze starszyszy swej siedział jeszcze u wieczornego stołu.

Lubił król te swobodne pogadanki w kółku poufałym, a i nikt w nich nie był wprawniejszym, nikt lepiej prowadzić nie umiał nad ks. Jana Opata...

Wspomnienia jego Rzymskie, Awiniońskie, Bonońskie, z Włoch i Niemiec, obfitego dostarczały mu materiału.

Powiastrki włoskie, których już tyle naówczas w rękopismach i z ust do ust krążyło, historyjki z *Gesta romanorum*, ułamki poematów łacińskich i trubadurów umiał na pamięć. Suknia duchowna nie wzbraniała naówczas nauki moralnej, zawartej w tych opowiadaniach, okrywać szatą bardzo świętą, jaskrawą i dobitnie rzeczy wyrażającą. Powiastrki Opata o kobietach, o małżeństwach, o tragicznych wypadkach — zabawiały smutnego króla, i o trosce mu dawały zapominać na chwilę.

Wśród takiej wesołej wieczornej rozmowy, śmiechami przerywanej, nadbiegł Kochan z wiadomością, że biskup się chciał znęcać nad biczownikami, że się na nich czeladź jego porwała, a zamkowi ją rozpędzili i przetrzepali.

Opat był wprawdzie niedawno sam tego zdania, iż ks. Bodzanta przeciwko publicznemu zgorszeniu wystąpić był powinien — ale — trzymał z królem, a król okazał dla pokutników współczucie — zmieniło się więc zdanie Opata.

W istocie, na pierwszą wiadomość o tem zajściu, Kaźmirz żywo wyraził swe oburzenie i litość nad biczownikami.

— Jeżeli się jacy na zamek schronić przyjdą, zawołał — dać im bezpieczny przytułek. Obląkani są, ale biedni... należy im litość tem większą.

Opat milcząco skłaniał głowę.

W walce z Biskupem król musiał korzystać z każdej zręczności, aby mu opór stawić i dać czuć siłę swoją.

Jak skoro biczowników on ścigał — Kaźmirz ich musiał bronić...

Była to zwykła logika namiętności, ale gdzież i kiedy się dzieje inaczej?

Tak się ten dzień skończył.

Ulubieniec króla rad był, że choć rozdrażnienie zastąpiło ten smutek odrętwiający, tępy, którego się najwięcej obawiał. Wolał widzieć pana gniewnym niż obumarłym.

Za odchodzącym Opatem, który na zamku miał nocować, poszedł Kochan na radę...

— Widzieliście go, rzekł Rawa, odprowadziwszy do izb dlań przeznaczonych. Litość bierze nań patrzeć! To najniezszczęśliwszy a najlepszy z ludzi. Kraj przez niego zabuduje się, zmuruje, urośnie, pobogacieje, będzie prawa miał, bogactwa, ład, wszystko — ale on — on... szczęścia nie zazna...

Co warto życie takie!

Ks. Jan słuchał milcząco...

— Czuwać powinniście nad tem — rzekł po namyśle, aby mu rozrywkami osładzać ten żywot smutny... Widzicie, że i ja czynię, co mogę.

Łowy lubi — ale te go na krótko rozruszają, znużony wraca do czarnych myśli.

— Czarnych myśli — podchwycił Rawa — jedną on tylko ma, jedną, i ta mu życie truje... Potomstwa płci męskiej odmawia Bóg, korona przejdzie na Węgry...

Opat ramionami ruszył — jakby chciał powiedzieć — rady na to nie znam...

— W Krakowie — dodał Kochan, każda zabawa królewska zaraz za zbrodnię jest głoszoną. Podoba mu się gładka twarz, wypominają mu opuszczoną królowę, zabawi się rozmową z kmieciem, krzyczą, że to król dla chłopów...

Bolał jeszcze dłużej Kochan, i zapewniwszy się, że Opat dłużej zabawi, odszedł narzecie.

Jemu nie dosyć było na tem, że królewscy żołnierze rozpędzili czeladź biskupią; wiedział od nich, że dowódców uprowadzono. Nazajutrz usłyszano, że ich do więzienia wtrącono... Wyrwać ich z rąk Bodzanty, było dlań zadaniem — od którego nie chciał ustąpić. Wyszedł na miasto.

Tu wszystko jeszcze było wczorajszymi wypadkami rozkołysane, zaniepokojone, a lud, jak zawsze lud, pognębionych i biednych brał w obronę.

O popłochu nocnym opowiadano osobliwe rzeczy. Przerażona napaścią Baśka Matertery, która już była postanowiła iść w świat z biczownikami, zawstydzona, splakana, pokrwawiona, odarta, wróciła do domu i leżała chora. Fryc, lękający się, aby mu nie uszła, nim resztę jej mienia prawnie opanuje, pilnował ją zamkniętą. Biedna niewiasta w gorączce rwała się ciągle do dyscypliny, śpiewała pieśni pobożne, śmiała się, szalała jeszcze...

Pokutnicy, z różnych stron świata pozbierani, którzy wczoraj tak uroczyście do Krakowa wchodzili, nocą prawie się wszyscy rozproszyli małemi po okolicach kupkami. Bez chorągwi, bez wodza — nie wiedzieli już, co począć z sobą. Duchowieństwo wiejskie, mające przepisy surowe, zamykało im kościoły — nie dozwalało, jak w początkach, pobożnym wychodzić na powitanie z procesjami, krzyżami i śpiewem...

Dwaj Zadorowie, którzy się wczoraj także dobrowolnie złączyli z pochodem Biczowników, po rozproszeniu ich potajemnie na zamek powrócili. Lecz oba oni już do świata i życia pierwszego powrócić nie chcieli.

Poszli razem do Franciszkanów prosić, aby ich do zakonu przyjęto.

Po wczorajszym szale stygło miasto powoli, lecz w umysłach zostało wspomnienie chwili, która do pokuty była wyzwaniem. Z rana kościoły, które biskup otworzyć pozwolił, były pełniejsze, niż kiedy, spowiadali się ludzie, oblegali ołtarze, płakali...

Krwawa procesja nie schodziła im z oczów, i ta pieśń z jękiem pomieszana, w takt chłosty, którą wczoraj się rynek rozlegał...

Kochan myślał nie o pokucie, lecz o wyrządzeniu ks. Bodzancie przykrości, o wyrwaniu z rąk jego schwyconych biczowników. Mówiono właśnie, iż Biskup chciał surowym kary przykładem odjąć innym ochotę do herezji nowych. Nie było niepodobieństwem, by śmiercią nawet ich nie karał. Władza duchowna w przeszłych wiekach po kilkakroć sama się nią posługiwała, przeciw winowajcom przez sądy jej skazanym...

Nie mogło to jednak stać się bez badania i spełnienia form pewnych, które choć kilka dni czasu wymagały.

Kochan miał swoich na biskupstwie, tak jak ks. Bodzanta na zamku. Śledzono się wzajemnie, donoszono na obie strony, walkę podsycając.

Rozzarzyła się już nieco uszpięta, na nowo, a Rawa chciał ją jak najdłużej utrzymać...

Więzienie biskupie, nieopodal od dworu, było dosyć pilno strzeżone, lecz rzadko mieściło w sobie takich winowajców, na którychby zbytnią zwracano bacność. Budynek drewniany, stał jedną ścianą do ulicy, podkopać się doń nie było trudno...

Król z ks. Opatem wyruszył na polowanie, Kochan pozostał... Brakło mu teraz ludzi tak zręcznych i tak oddanych, jak byli dwaj Zadorowie, lecz grosza królewskiego nie chciał żałować na to. Miejskich pacholków miał w ręku przez Wierzynka...

Dzień jeden po pierwszym badaniu biczowników, zostawiono ich w zamknięciu, nimby sąd się zebrał. Tylko klecha Szlązak wyprosił się i wymodlił obiecujące zeznania, iż go z więziennej izby przeprowadzono i pisarzowi sądowemu na ręce oddano.

Czarny pozostał sam jeden.

Trzeciego dnia, po rannej mszy biskupiej, wszedł do biskupa zafrasowany kapelan.

Spojrzał nań ks. Bodzanta.

— Z biczownikami skończyć raz potrzeba, póki to nie wystygło, odezwał się biskup. O herezję przekonać ich łatwo, wyrok trzeba ogłosić publicznie...

— Ale spełnić go nie będzie na kim — przerwał kapelan, potrząsając głową.

— Jakto? zakrzyczał Bodzanta, dwaj główni przewodzcy w rękach naszych!

— Byli — dokończył kapelan.

Zdumiał się Biskup.

— Dzisiejszej nocy herszt się wykopał z więzienia i uszedł — mówił ksiądz, a kleryk, którego pisarzowi oddano, poszedłszy wody się napić, wpadł jak w wodę...

Rozgniewał się biskup strasznie, powołano tych, co mieli obowiązek strzeżenia więźniów, indagowano. Jawnem było, że jakaś niewidzialna ręka w pomoc przyszła biczownikom. Wykopana jama nie mogła być dziełem jednej nocy i jednego człowieka. Wyrzucanie ziemi ukazywało, że z zewnątrz się podkopywano.

Byliż to bracia biczownicy, skryci w Krakowie, czy kto inny? Kto klerykowi zbiegłemu w biały dzień dał przytułek?

Chciał biskup rzucić klątwę na współników i posiłkujących herezjarchom...

Kochan tymczasem wcale z tego nie czynił tajemnicy, iż zbiegom dwóm z biskupiego więzienia dał na zamku przytułek...

Gdy król z łowów powrócił, stawił się przed nim ze śmiałą twarzą i wesołym obliczem. Nie przyznawał się do pomocy danej zbiegłym więźniom, oznajmił tylko wprost Kaźmirzowi, iż proszącym o przytułek, dał go na zamku.

Król pochwalił to głowy poruszeniem.

Zaledwie się wieść o tem po mieście rozbiegła, gdy ją usłudni Biskupowi przynieśli. Można sobie wystawić, z jakim gniewem przyjął ją ks. Bodzanta. Pocieszał się tem tylko, iż nowy i ciężki zarzut przeciw królowi przesłać będzie mógł papieżowi, jako przeciw opiekunowi sekciarzy.

Pozostawało teraz Kochanowi pozbyć się tak tych gości niepotrzebnych, ażeby znowu w ręce biskupa nie wpadli i bezpiecznie się gdzieś schronić mogli.

Sam on nie widział ich jeszcze. Czarny wódz izbę miał w zamku przy czeladzi, a klecha Szlązak, bojąc się z nim siedzieć, gdzieindziej się wyprosił. Wszedłszy, zastał zbiega już odzianego w suknie, które mu na zamku dano, i kaptur na głowie, twarz zakrywający. Podobieństwo, jakie zdala go widząc, znalazł między nim a jakimś we wspomnieniach swych dawniej znanym człowiekiem, uderzyło go na widok tej postaci, chociaż rysów twarzy widzieć nie mógł.

Nieznajomy tak tu, jak wprzód w więzieniu i na badaniu, zupełnie zdał się na los swój obojętnym...

Kochan zapytał go, co z sobą myśli poczynać. Ruszenie ramion było całą odpowiedzią.

Niecierpliwiło to ulubieńca króla, iż nawet podziękowania za wyświadczoną pomoc nie otrzymał. Siedzący nie wstał na widok jego... Kaptur zwieszony nad czołem zwiększał ciekawość Rawy.

— Pomogliśmy wam do wyswobodzenia się z rąk biskupich, rzekł, któryby litości nad wami nie miał. Kto wie, życiem mogliście przypłacić.

— Życiem? zamruczał pokutnik — a życie, co? Umrzeć przecie potrzeba...

Mówił to szyderskim tonem, powoli, głos był jakiś znajomy.

— Kto ty jesteś? zapytał Kochan, przystępując.

— Człowiek; dla tego, jak ty umrzeć muszę — rzekł pokutnik obojętnie.

— Lecz jeśliś pokutować chciał za grzechy — odezwał się Kochan, to ci coś przecie życie warto... Będziesz miał czas pokutę twą odprawić...

Czarny nie odpowiadał. Kochan coraz się bardziej zżymał i niecierpliwił.

Dokądże ztąd iść myślisz? zapytał.

— W świat, szukać takich jak ja i iść dalej, wołać grzesznych do pokuty.

— Schwycą was...

Ruszył ramionami pokutnik...

Nie mogąc słowa z niego dobyć, zniecierpliwiony tym oporem, Kochan zamruczawszy coś, stuknął drzwiami i wyszedł.

Wieczorem, gdy Kaźmirz się kładł do snu, Kochan mu począł opowiadać swoje spotkanie i rozmowę z wodzem biczowników. Słuchał jej król z żywym zajęciem.

— Cóż to za człek? zapytał.

— Ani twarzy okazać, ani mówić nic o sobie nie chce — rzekł Kochan, a przysięgłbym, że go gdzieś widział i głos ten słyszałem...

Zadumany Kaźmirz, już się kładnąc, zawołał nazad odchodzącego faworyta.

— Kochan — ja tego człowieka widzieć muszę...

Rawa z okrzykiem się temu sprzeciwił.

— Miłościwy panie, to widowisko nie dla was, rzekł. Nie rozweseli ono a smutku mamy i tak dosyć... Z niego nic nie wydobędziecie?

— Ja? zapytał król — ja?

— Dziki jest...

— Chcę widzieć dzikiego! powtórzył Kaźmirz...

Rawa, nie przedłużając rozmowy, wyszedł. Sądził, że fantazji tej król zabędzie, a on tymczasem pokutnika z zamku wyprowadzi. Lecz nazajutrz król po dwakroć mu przypomniał z naciskiem, iż człowieka tego widzieć musi.

Sprzeciwiać się mu, gdy w ten sposób wołę swą objawiał, nie śmiał Kochan.

Ku wieczorowi kazał się prowadzić Kaźmirz.

Zapobiegając temu, ażeby dziki człek nie przyjął króla, nie znając, w ten sposób, jak jego, Kochan pobiegł mu oznajmić przodem, iż król, pan miłosierny i dobroczynny, widzieć go chciał. Usłyszawszy to, poruszył się nieco pokutnik, lecz z miejsca nie powstał.

— Po co? rzekł — król mnie a jam jemu nie potrzebny, król mój teraz na niebiesiech, jego jednego znam... Ten, który był niegdyś moim, wymordował mi rodzinę, znieważył siostrę, zabił ojca, skazał na wygnanie ród mój...

Wstał mówiąc to, odsłonił kaptur, i Kochan z przerażeniem poznał w nim tego Amadeja, brata Klary, którego widok dawniej król za wróżbę nieszczęśliwą, za przypomnienie życia chwili najpełniejszej goryczy uważał.

Kochan przeraził się, chciał biedz natychmiast, aby Kaźmirzowi nie dopuścić z nim spotkania. W sieni już kroki słychać było. Drżący Kochan zastąpił drogę panu.

— Miłociwy — królu mój — wy tego człowieka widzieć nie możecie.

Wyraz twarzy ulubieńca, zamiast ustraszyć Kaźmirza, więcej jego ciekawość obudził. Zmarszczył się.

— Puszczaj mnie — zawołał groźnie — puszczaj!

Kochan ukląkł przed nim.

— Nie puszczę was! rzekł, chwytając za suknię.

Wtem król wyrwał się z rąk jego i śmiałym krokiem postąpiwszy ku drzwiom, otworzył je... Czarny człek siedział zakapturzony, oparty na rękę, nie podniósł głowy...

Kaźmirz go po ramieniu uderzył.

— Wstań — mów, kto jesteś? chcę widzieć cię...

Westchnienie wyrwało się z ust siedzącemu, wyprostował się, ręką chudą i czarną odrzucił kaptur i stanął nie mówiąc nic — król poznawszy go, pobladł i na krok się cofnął.

— Tyś jest? zapytał zdumiony...

Chwila milczenia nastąpiła długo.

— Za jaki grzech pokutujesz? dodał po chwili.

Amadej wlepił oczy w niego.

— Za jaki? za twój może — królu — rzekł szydersko. Pokutą moją błagam Boga, aby krew naszą toczyć przestał, aby reszta rodu mojego wolną była od pomsty jego... aby nie wszyscy Amadejowie ćwiertowani i darci końmi, mizerny żywot kończyli... Pokutuję i za was, aby wam coście ostatnim z rodu naszego przytułek dali, zapłacił przebaczeniem miłosierdzie wasze...

Król słuchał milczący i poruszony...

— Odpokutowałeś już, rzekł głosem złamanym po krótkim przestanku... Wracaj...

— Dokąd? zapytał z szyderstwem Amadej. Tam, gdziebym wrócić chciał, na ojcowiznę moją, czekają mnie tylko: wspomnienie zbrodni, srom i groby... a tu? obcy kraj...

Chciałem przyrosnąć do niego... nie mogłem.. Rwie się dusza gdzieindziej — zaparto! Tu domu nie mam, nie chcę mieć domu...

— Żądasz czego odemnie? odezwał się król cicho...

— Aby mnie puszczono wolno... pójdę, rzekł.. nie potrzebuję nic...

— Stał jeszcze chwilę król, zwrócił się powoli i wyszedł milczący. Na progu zachwiał się, odwrócił, spojrział, i nie mówiąc słowa, wrócił do swej komnaty.

Chociaż ks. Jan był jeszcze na dworze, król dnia tego, ani jego, ani nikogo widzieć nie chciał. Zamknął się, zakazując wpuszczać. Kochan tylko posługiwał mu milczący...

Trzeba było dłuższego czasu, nimby smutek i gorycz dnia tego przetrwały się w nim i osłabły... Kochan posłał po Suchywilka, bo ten jeden sprawami kraju mógł go tak zajmując i opanować umysł jego, że nawet największe strapienie ustępowało temu, co król za obowiązkiem i zadaniem głównym życia liczył.

Ks. Suchywilk przybył, niosąc przygotowane prawo o sądach wyższych dla osadników na niemieckim zakonie. Wierzynek przyniósł wiadomości i plany, jak żupy wielickie urządzić na nowo. Dwie te ważne sprawy wyrwały Kaźmirza z odrętwienia i pogrążenia w sobie...

Trzymano go niemi, jak najdłużej je przeciągając. Wierzynek potrzebował ściągać urzędników od soli, ks. Suchywilk naradzać się z temi, co na prawie magdeburским osadzeni byli — a tych mnogo już w kraju się znajdowało.

Nie dawano królowi spoczynku, lecz znużenie było zbawiennem, prowadziło z sobą zapomnienie... nie dawało się zatapiać w przeszłości.

Tymczasem spór z biskupem ciągnął się bez końca — i spokoju nie dawał... król musiał wyprawić posłów do papieża.

Kochanowi zabrakło wreszcie pomysłów do rozrywania ukochanego pana, który pracy miał zawsze podostatkiem i troski, — a nad łowy i rzadkie odwiedziny książąt Mazowieckich, posłów krzyżackich, którego ze Szlązkich Piastów, żadnej zręczności pokazania się i zobaczenia świata.

Od czasu nieszczęśliwego pobytu w Pradze, zakończonego pogrzebem, nawet to miasto, ulubione Kaźmirzowi, zrażało go wspomnieniami smutnemi. Zapraszał go cesarz, pamiętny dawnej przyjaźni i pragnący dobre utrzymać stosunki z Polską, Kaźmirz się wahał i ociągał.

Dnia jednego ks. Jan, Opat z Tyńca, przybył do Krakowa, było to wiosną w roku następnym...

Zawsze wesół i dobrej myśli, tym razem jeszcze był więcej ożywiony i rozmowny.

Powracał on z Pragi, dokąd się był udał w interesie zakonu, lecz korzystał z tego, aby się rozpatrzeć w mieście; dostał na dwór cesarski Karola i z uniesieniem mówił o życiu i świetności, które otaczały monarchę. Praga była niejako chwilowo stolicą cesarstwa, nieustannie napływali tam książęta z Niemiec całych; odbywały się turnieje, dwór zabawiał się, a około cesarza gromadzili ludzie uczeni, artyści, co Europa miała najslawniejszego i najgodniejszego widzenia.

Z wielkim zapałem opisywał Opat wszystko, i wychwalał cesarza — który, jak wiedział, — pamiętnym był dawnych stosunków z Kaźmirzem i mocno go widzieć pragnął.

Ks. Jan nie wahał się też mówić i o piękności dam na cesarskim dworze, o wielkiej oglądzie ich obyczajów i przyjemności obcowania z niemi.

— Miłościwy panie — dodał — czas jest, abyście dla dobra Polski nawet, zbliżyli się do cesarza. Związek z nim da nową siłę, zagrozi nieprzyjaciółom, w sprawie z krzyżakami będzie pomocnym, u Papieża też dać może poparcie; W. miłości zaś przyniosą odwiedziny w Pradze nowe życie, potrzebną rozrywkę. Któż wie... może jaki widok o połączeniu w przyszłości, gdy związek z ks. Adelaidą rozerwany zostanie, co nieochybnie nastąpić powinno...

Król słuchał z ciekawością natężoną, widać było, iż dusznie pragnął udać się do Pragi, wspomnienia tylko Margarety wstrzymywały go.

Opat nalegał — Cesarz właśnie bawił w czeskiej stolicy, otoczony gośćmi dostojnymi.

Nie chciał król najechać sąsiada niespodzianie, i po krótkim wahaniu wyprawił z listami Podkomorzego Szczedryka, dodając mu do boku Kochana.

Szczedryk był urzędowym posłem, Rawa poufnym. On miał rozpatrzeć się tam między ludźmi, zbadać humor i usposobienia, przynieść królowi skazówki przed podróżą potrzebne.

W ciągu kilku dni wrócili posłani, z zaproszeniem życzliwym i gorącym od Cesarza, a Kochan z większem uniesieniem jeszcze począł mówić o dworze Karola.

Licząc się do najprzedniejszych dworzan Kaźmirza, Kochan razem ze Szczedrykiem miał zaszczyt znajdować się na wieczornej zabawie w pałacu cesarskim. Piękny mężczyzna, wielki strojniś, miłujący ubiory wykwintne, Kochan wystąpił tam tak, aby panu swojemu nie uczynił wstydu; i był bardzo dobrze przyjętym.

A że do niewiast miał słabość, wiele prawił o nadzwyczajnych wdziękach tych, które tam oglądał.

— Było ich tam dość, i książęcych rodów i rycerskich, różnej krwi, bo i Włoszek, i Francuzek, i Niemek — powiadał Kochan — lecz, nie do wiary, prawie jedna miesz-

czanka czeska z Pragi, niedawno owdowiała po Rokiczanie, Krystyna, przed wszystkimi prym trzymała. Piękność jej przystałaby i królowej, ale też królewską ma dumę.

Wszyscy tam ku niej mieli tylko zwrócone oczy, a inne się z zazdrości wściekać musiały. Oprócz wdzięków i młodości, bo mało co rok dwudziesty przeszła, ubiór jej i klejnoty, które na sobie miała, jeszcze ją czyniły piękniejszą. Choć mieszcza, strojem się równała z żonami komesów, baronów i książąt, a umiała go dobrać i do twarzy swej, i do płci, i do postawy...

Począł się król z ciekawością wielką dopytywać o tę Krystynę, a Kochan, który to może przewidywał, dobrze był bardzo uwiadomiony i szczegółów mógł dostarczyć.

Wiedział, że wdowa była bardzo bogatą, że o rękę jej starali się możni, nawet czescy panowie, że wcale nie była przystępną — a więcej może miała dumy niż piękności i — przepowiadano też jej świetną przyszłość, bo na dworze Cesarza głowy wielu pozawracała.

Kochan, jakby naumyślnie ciągle do Krystyny tej powracając, króla ciekawość obudził do najwyższego stopnia.

— Miałebyś w niej być rozmiłowany, że tak ci stoi ciągle na myśli? zapytał król żartobliwie Kochana.

— Niech Bóg mnie od tego uchowa — odparł Rawa — bo by się moja miłość wcale na nic nie zdała. Wyżej ona patrzy, i na mnieby się obejrzeć nawet nie raczyła.

Ani pochlebstwa, ani podarkami ująć jej nie można — doświadczenia ma dość, a, jeśli prawda, wyżej ceni dostojęństwo i tytuły, niż wszystko... Ktoś ze dworu cesarskiego pewnie piękną jej rączkę pochwyci...

Z licznym poczem i okazałością królewską, w orszaku znacznym rycerstwa, Kaźmirz ostatnich dni marca wyruszył do Pragi, w odwiedzinę do Cesarza.

TOM III

KSIEGA PIĄTA. ROKICZANA.

Kochan Rawa stworzonym był na pańskiego ulubieńca. Dobrze mu z tem zapewne było, lecz nie życzył więcej zostać niczem i do swojego rzemiosła szczególne miał talenta a w niem upodobanie.

Żył on w panu swym, i więcej pewnie się nim troszczył niż on sam o siebie.

W czasie bytności swej w Pradze ze Szczedrykiem, zobaczywszy na dworze cesarskim piękną Rokiczanę, której majestatyczna postać wpadła mu w oko, pomyślał zaraz o Kaźmirzu.

— Taka niewiasta mogłaby go uczynić szczęśliwym! powiedział sobie w duchu. Zaledwie mu to przebiegło przez głowę, gdy natychmiast posłał na zwiady. Kto była, od kogo zależała, jak ją tam sądzono i co mówiono o niej.

Piękna Krystyna miała samych wielbicieli. Rodzina bogata, do której należała, szczyliła się nią jak perłą, na dworze cesarza należała do najsłynniejszych piękności. Wychowanie, które odebrała, nadzwyczajna piękność, którą się od dziecka odznaczała, otwierały jej nawet cesarskie podwoje. Nie było też młodej niewiasty, któraby w tańcu wydawała się zręczniejszą, grała lepiej na cytrze i śpiewała głosem wdzięczniejszym.

Oprócz języka czeskiego i niemieckiego, mówiła po włosku, rozumiała francuzki, a co do obyczajów, nic jej zarzucić nie było można. Nie była wcale zalotną, prędzej odstręczającą i do zbytku przez dumę surową.

Znaczny majątek, nieposzlakowane imię, które nosiła, zawczesne uwielbienia tych, co się do niej zbliżali, uczyniły ją tak mało przystępną.

Wydana za mąż za młodu, za starszego znacznie od siebie człowieka, w krótkim z nim pożyciu zachowała się z godnością, lecz serce jej, które w małżeństwie nie miało udziału, nie rozbudziło się niem, pozostało zamkniętem, ostyglęm.

Po śmierci męża, zostawszy młodziuchną wdową — piękna, bogata, bezdzietna, po zrzuceniu żałoby, rozpoczęła życie na nowo, okazując mnogim dworującym około siebie — iż nie będzie łatwą w wyborze.

Słusznego wzrostu, śnieżnej białości, brunatnych włosów i oczu, rysów dziwnie pięknych i dostojnych, miała w istocie w sobie coś królewskiego, pańskiego, ale też i ten poważny chłód, i ten majestat obojętny życiu, którym się przystrajają królowe. Rzadko kiedy uśmiech, jakby wymuszony koralowe, jej otwierał usta, — rzadko wejrzenie powie działo o wzruszeniu wewnętrznem. Natura czy życie nauczyły ją nie okazywać nigdy co się działo w duszy. Można było sądzić, patrząc na nią wśród ożywionej zabawy, że jej była zupełnie obojętną. Przyjmowała słodycze, nie okazując w nich smaku, przykrych rzeczy nie chcąc słyszeć. Nie mógł się nikt dotąd pochłubić, by go nad innych choć chwilowo przenosiła. Czasem tylko, gdy na dworze cesarza zwabieni jej pięknnością dostojniejsi panowie, książęta i hrabiowie zbliżali się do uroczej mieszczki, rumieniec twarzy jej okraszał, oczy ciemne miały iskierkę życia i pierś prędszym poruszyła się oddechem.

Pospolitą gawieź ledwie przelotnym wejrzeniem zaszczyciała. Życie jej od młodości spływało wśród dostatków — i bez zającia... W domu miała liczne sługi, poddostatkiem strojów i klejnotów, dużo czasu niczem nie zaprzątniętego; trawiła go więc, ubierając się wykwintnie, zmieniając strój po kilka razy na dzień, brzdąkając na cytrze, śpiewając piosnki, odwiedzając kościoły, słuchając rozmów przybywających gości.

Mówiła zwykle mało — a nie można było zaręczyć czy ją obchodziły wielce rozmowy, których się zdawała słuchać z roztargnieniem.

Uczyły i zgromadzenia, na których mogła ukazać się, tryumfować, zabłysnąć, może dla niej najmilszymi były. Przed każdą z nich kilka sług musiało ją stroić, trefić, upiękniać, i godziny całe upływały, nim nareszcie sama sobą była zaspokojoną.

Więcej ją obchodziło to, by wszędzie była pierwszą i zagasiła inne, niż wszystko w świecie. Opowiadanie o tem, jak ludzie się nią zachwycali, czyniło ją szczęśliwą.

Zdawała się marzyć tylko o świetnej przyszłości.

Z rzadkich jej słówek odgadywała rodzina, iż nadzieje sięgały tak wysoko, że z trudnością ziścić się mogły. Miała jakby przecucie jakiegoś losu nadzwyczajnego, na który czekała.

W istocie, ze dworu cesarskiego wielu znacznych panów żywo się nią zajmowało, lecz żaden z nich nie występował jako pretendent do ręki. Odprawiała też ich, przekonawszy się o tem, z dumą pogardliwą, nie chcąc nawet patrzeć, gdy jako prości wielbicielowie powracali.

Niewiasty jej stanu, rodzina, pokrewni, nie zupełnie byli z niej radzi; lecz uwagi ich i przestrogi wcale na nią nie działały. Słuchała, ramionami poruszając, zbywała uśmiechem dwuznacznym.

Młoda wdowa miała w domu przy sobie daleką krewnę ubogą, staruszkę skromną i cichą, bez której nigdy nie wychodziła i nie przyjmowała nikogo.

Była to powolna towarzysząca, coś na kształt sługi, której obowiązkiem było strzedz tego skarbu i być świadkiem życia...

Od czasu, jak Rokiczana dostała się na dwór cesarski i na wieczornych zabawach występowała, duma jej dawna wzrosła jeszcze...

Wszyscy też byli pewni, że potrafi rozmiłować jednego ze znakomitszych panów i celu swojego dopnie. Lecz nie była zalotną wcale, miłą być nie chciała, nie okazywała nikomu, by się jej podobał, niemal odstręczała chłodem.

Ci, co się z początku cisnęli, wkrótce odchodzili od niej zrażeni.

Jeden tylko — był jeden — który dziewczeczką ją pokochawszy, gdy za mąż jeszcze nie wyszła, nie mogąc sięgnąć po jej rękę, bo był tylko stosunkowo mniej możnym, choć dostatnim mieszczaninem... miłował ją dotychczas wiernie.

Krystyna wiedziała o tem dobrze, ale patrzeć nań nie chciała, aby sobie próżnych nie czynił nadziei.

Jędrzyk z Podbrzeża, któremu rodzice zostawili piękny dom na starej Pradze i ławkę towarów jedwabnych a tkanin, był mało co starszym od Rokiczany, urodziwym młodzieńcem, z głową otwartą, lecz nie miał za sobą żadnej z tych zalet, których ona od przyszłego męża wymagała.

Tyle tylko, że ją mocno kochał i stale. Nie chciał się nawet żenić, nie mogąc wyrzec nadziei, że — może mu jakim cudem szczęście zaświeci.

Patrzył na nią zdala, czasem zbliżyć się starał, nigdy nawet dobrego słowa nie zyskał, cierpiał to, nie skarżąc się, i — milczał. Lecz z oczów jej nie tracił. Wiedział najlepiej o każdym jej kroku, o każdym żądaniu i — spieszył zawsze ze spełnieniem go, nie myśląc nawet o podziękowaniu.

Miłość jego była niewymagającą, i gdy swą królowę zobaczył idącą zdala, gdy przeszła koło niego a spojrzała choć dumnie, Jędrzyk miał wesela i szczęścia na długo.

Jej o nim ani mówić nie było można, bo ją oburzało, że jeden kupczyk śmiał kochać się w Krystynie, wdowie po Rokiczanie — i na nią oczy podnosić.

Wszystkie te opowiadania o piękności, która go tak zachwycała, Kochan łatwo pozbiierał, mnogie mając w Pradze stosunki; właśnie taka kobieta zdawała mu się zrodzona na to, by zastąpiła królowę.

Miłośki dotychczasowe Kaźmirza, o których tyle mówiono, i na oczy mu je wyrzucano, nie mogły się nazwać tem imieniem.

Największa piękność, najświeższa młodość nie zdołała Kaźmirza stale przywiązać. Zrażał się nieokrzesianiem, prostotą obyczajów, brakiem myśli, i wprędce te kilkodziwne kochanki porzucał.

Z rozmów z królem Kochan miarkował, że Kaźmirz marzył o niewieście jak Margareta i więcej pragnął ducha niż krasy.

Rokiczana temu ideałowi najlepiej odpowiadała, nawet jej zimna powaga i obejście się dumne mogło być dla króla pociągającym.

— Tak! ta nam zastąpi królowę!! powtarzał Kochan, przybywając do Pragi.

Przyjęcie króla polskiego równie było świetne i uprzejme jak za ślepego króla Jana...

Cesarz niemiecki, który braterstwo Kaźmirzowi przysiągł, witał go jak brata.

Na cały czas kilkodziwowego pobytu, pierwszych dni kwietniowych przygotowane były zabawy, turnieje, łowy, uczyty, tak, że gość nie miał prawie chwili spoczynku.

Pierwszego zaraz wieczora Kochan, będący w orszaku króla, postarał się zwrócić jego uwagę na piękną Rokiczanę. Kaźmirz już ją był wyróżnił, nie wiedząc jeszcze imienia,

takim blaskiem promieniła jej piękność dnia tego. Nie miał jednak zręczności zbliżyć się, ani przemówić do niej.

Oczy jej zwracały się ciekawie na polskiego króla, który powierzchownością godności pełną i dobroci, — mógł się podobać, choćby nie był monarchą panującym.

Nie pierwszej młodości, Kaźmirz zachował w postaci, w ruchach, na twarzy ożywionej, w wejrzeniu bystrem i rozumnem nieprzeżyty zasób życia. Był młodym jeszcze duszą, i ciału zestarzeć nie dawał.

Innych też niewiast oczy zwracały się nań z przyjemnością, z zajęciem, a bogaty bardzo strój, klejnoty, któremi był okryty, smakowny ubiór, piękniejszym go jeszcze czyniły dnia tego.

Przyczyniała się do rozjaśnienia twarzy i radość, którą nader gościnne obudziło przyjęcie.

Bardzo prostego a odwiecznie znanego chwycił się środka Kochan, usiłując zbliżyć do siebie tę parę, którą chciał skojarzyć... Nazajutrz rano postarał się o to, aby go do jej domu wprowadzono... Jeden z komorników cesarskich, mający wstęp i znajomość z całą Rokiczanów rodziną, podjął się go wziąć z sobą.

Piękna Krystyna zrazu dworzanina królewskiego posadzając o jakieś zuchwałe marzenia, dosyć zimno przyjęła...

Wprędce jednak rozbroił ją, spiesząc z tem, iż pan jego od wczorajszego wieczora nie miał spokoju, wciąż myśląc o niej, a wielce w niej będąc rozmiłowany.

Cicho wyszeptana wiadomość ta wywołała rumieniec, i widocznie dumę polechtała. Po chwili jednak odparła, sznurując usteczka.

— Wszakże polski król ma żonę? Tęgo pytania nie spodziewał się wcale Kochan i nie był na odpowiedź przygotowany.

— Król, pan mój — rzekł — od lat wielu ani żyje z żoną, ni jej widzi... Małżeństwo to zapewne przez Papieża rozwiązane zostanie...

Z tą swobodą, jaką ówczesny obyczaj usprawiedliwiał, Krystyna po namyśle rzekła.

— Ale mówią o panu waszym, że miłośnic ma wiele i płochym jest.

— Kłamstwo to zmyślili księża, którzyby go do pożycia z kobietą brzydką i dla niego nieznośną zmusić chcieli — odezwał się Kochan. — Kaźmirz w lada pierwszej niewieście się nie rozmiłuje...

Lepszego pana i lepszego serca nad jego nie ma na świecie — dodał Kochan. — Żal mi go, że tu przyjechał, aby spokój utracił i potem tęsknił tylko za wami.

Uśmiechnęła się Krystyna, nic nie odpowiadając. Pochlebiało jej to wielce.

— Wiem — począł dalej Kochan — jakby się pragnął zbliżyć do was... Nie pozwolicież mu, aby dom wasz odwiedził kiedy?

Jakkolwiek może w sercu rada tej prośbie, wdowa nie mogła od razu się do niej przychylić. Zarumieniła się mocno, potrząsała głową i odparła.

— Nadto by ludzie o tem mówili, bo, choć nasz dom bardzo dostojnych nieraz przyjmował gości... Królowie w nim nie bywali... a ja czci mojej strzedz powinnam...

Zaprzeczył Kochan żywo, by odwiedziny króla mogły szkodzić sławie jej — lecz Krystyna na ten raz słuchać już więcej nie chciała. Potrząsała głową, nie mogła zezwolić na to.

Kochan nie nalegał.

Krótko zabawiwszy, i dla siebie wyrobiwszy zezwolenie, ażeby mógł nawiedzić wdowę, oddalił się. Powrócił co najspieszniej do króla na zamek, i znalazłszy chwilę sposobną, począł mu opowiadać, jako wszystkich to uderzyło, że piękna Krystyna ciągle za nim oczami goniła, a z własnych ust jej słyszał, jak wychwalała postać i twarz króla polskiego...

Tak z obu stron przygotowawszy rolę, Kochan pewien był już, iż lada zbliżenie stosunki ściślejsze zawiąże, i zacierając ręce powtarzał swoje:

— Ta nam zastąpi królowę...

Przez wszystkie dni pobytu Kaźmirza w Pradze, po turniejach i rozdaniu zwycięzcom nagród przez panie, następował zwykły taniec i zabawa wesola...

Kochan, który miał mnogich przyjaciół na dworze, podszeptnął urzędnikom cesarskim, którzy przy tańcach i rozsadzaniu niewiast porządek utrzymywali, aby Krystynę Rokiczaną starali się zbliżyć do króla, nie okazując, iż to czynili z umysłu.

Z uśmiechem przyjęto wniosek, gdyż wszyscy starali się być dla dostojnego gościa jak sam cesarz uprzejmi. Nie dziwiło nikogo, iż wdowa podobać mu się mogła.

I złożyło się zaraz tak, iż po turnieju, wchodząc do sali, Kaźmirz się znalazł w pobliżu Krystyny...

Oczy jej śmiało go zmierzyły... a choć była panią siebie, twarz, po której przebiegła żywiej krew, lekkie ust drgnięcie, zdradziło wewnętrzne uczucie. Była to gra miłości własnej, polechtanej przyjemnie, lecz trudno ją od innego wrażenia rozróżnić było.

Z łatwością przyszło Kaźmirzowi przybliżyć się do pięknej mieszczki, która dnia tego z nadzwyczajnym smakiem i bogato była strojną. Pas jej szczególnie, sadzony drogiemi kamieniami, strumienie pereł na szyi, czółko świecące rubinami — zwracały zazdrosne kobiet oczy.

Król, znalazłszy się tak blisko, iż rozmowę mógł rozpocząć, wprost zagaił ją wielkiem uwielbieniem nadzwyczajnej piękności.

— Miłość wasza — odpowiedziała śmiało Rokiczana — musiałeś wiele w życiu widzieć piękniejszych, a niepowinieneś sądzić, że przesadzoną pochwałą potrafisz z ubogiej mieszczki pragskiej zażartować.

— Wziąłbym was za królowę! — odparł Kaźmirz — gdybym już wczoraj, tą pięknoscia uderzony, nie spytał o nazwisko.

Było to potwierdzeniem tego, co Kochan mówił jej rano. Rokiczana się uśmiechnęła.

— Wielka to cześć dla mnie — odpowiedziała, spuszczać oczy — lecz, łatwoby się też ona w smutek mogła zamienić, gdyby nie to, że prędko przeminie pamięć...

Nie dał król dokończyć.

— Piękna Krystyna — rzekł — pewną być może, iż póki żyw, o niej nie zapomnę.

— Wasza Miłość znać od francuzkich trubadurów uczyłeś się słów pięknych, któremi biedne zwodzą niewiasty, lecz i my też wiemy, co one wąż — odezwała się Krystyna.

Kaźmirz, wpatrzywszy się w nią bardzo śmiało a lubując się wielkiej piękności, nie znalazł na to wprędce odpowiedzi. Wzrok ten badawczy i przeszywający, który zdawał się przebijać zasłony, poczuła dumna Krystyna, wyprostowała się, spojrziała z góry i odezwała cicho...

— Królewskie względy dla nas niewiast nie zrodzonych do tronu, często wielkiem bywają nieszczęściem...

Ruch, który zdał się oznajmywać, że odejść chciała, zmusił króla do spiesznej odpowiedzi.

— Przecież i królom wolno jest piękność w niewieście uczcić... i czuć dla niej miłość jak innym ludziom.

— A! miłość — z szyderskim uśmieszkiem przerwała Krystyna — nie przychodzi tak prędko... królowie nawykli, aby im służyło wszystko, a uczciwa niewiasta o takiej miłości słuchać nie powinna.

— Nie gniewajże się, piękna Krystyno — zawołał król, śmiejąc się. — Obrazić bym was nie chciał, raczej zjednać sobie...

— Nie czuję się godną tego — odparła wdowa. — Może być, że W. królewska mość spotykał w życiu takie, które się dały wziąć na jeden uśmiech i słowo — ja, do nich nie należę...

— Nie żądam nic więcej, nad trochę życzliwości — rzekł Kaźmirz — i choć piękna Krystyna bardzo jest srogą, nie wyrzekam się nadziei, że bliżej poznawszy mnie, łaskawszą będzie...

Rozmowa króla z Rokiczaną powszechną już zwróciła była uwagę, pokazywano ich sobie palcami. Wdowa była i radą, i dumną, ale musiała okazać przed ludźmi, jakby drożyła się z sobą i natychmiast wymknęła, szukając niewieściego towarzystwa. Odchodząc jednak, wbrew temu, co usta rzekły, spojrziała na króla wielkimi oczyma tak wyraziście, uśmiechnęła się tak uprzejmie, iż serce mu żywiej uderzyło...

Zabawy na dworze przeciągnęły się do późna. Nazajutrz jeszcze Kaźmirz miał w Pradze pozostać, ważne sprawy powoływały go nazad do Krakowa.

Rozpoczęte miłości, którym Rawa tak dzielnie dopomagał, nieobiecowały nic więcej nad miłe po sobie wspomnienie. Z powziętych wiadomości Kochan się mógł przekonać, że piękna Czeszka żadnemi obietnicami ani ofiarami ująć się nie da. Król, dla pozyskania

jej, dłużej zabawieć nie mógł, do Krakowa ją ściągnąć nie było podobieństwa. Ulubieniec łamał głowę nad tem, jak ją pozyskać dla pana.

Ostatniego dnia pobytu były łowy w Zwierzyńcu, potem uczta, która się zakończyła tańcami, Rokiczana nie pokazała się dnia tego. Kaźmirz powrócił do swojego mieszkania wcześniej, bardzo niespokojny i zajęty tą pięknnością, tak do pozyskania trudną.

Godzina nie była spóźnioną.

— Nie było jej — odezwał się do Kochana niespokojny — nie mogę odjechać bez jakiejś nadziei... Co począć?

— W. miłości teraz do niej iść niepodobna — odparł Kochan. — Głośno by o tem mówiono, a toby u niej więcej zaszkodziło, niż pomogło. Dba wielce o sławę swoją.

— Idź ty w poselstwie odemnie — zawołał Kaźmirz, zdejmując pierścień z palca z kosztownym szafirem. — Zanieś jej ten mały podarek, jako pamiątkę odemnie, i powiedz, że ją do Krakowa zapraszam, że ją przyjmę, jak królowę.

Rawa ramionami ruszył.

— Z tego co wiem, wnoszę, że ją chyba istotnie królową czyniąc, dostać można — odparł ulubieniec. — Pójdę jednak szczęścia próbować.

— Największe ofiary dla niej, nie będą mnie kosztowały — rzekł rozmiłowany król. — Wyrozumiej ją, mów otwarcie i powracaj mi z dobrą wieścią.

Kochan poszedł na miasto... nie biorąc nikogo z sobą, gdyż chciał sam na sam się z piękną wdową rozmówić.

Rokiczana dnia tego miała zaproszenie na zamek na dwór cesarski tak, jak dni innych, lecz, przebiegła i po kobiecemu obrachowując, postanowiła się uczynić chorą trochę i okazać tem, że pięknymi słowy króla ująć się nie daje.

Była pewną, że Kaźmirz nie wyjedzie, nie zgłosiwszy się do niej, nie dając życia znaku. Czekala. Przez cały ten dzień siedziała wystrojona, chodziła do okna, spodziewała się jakiegoś poselstwa, i dotrwała tak w próżnem oczekiwaniu do wieczora.

Nie było u niej nikogo, oprócz starej towarzyszki, lecz światła stały zapalone w komnatach, i wieczorne nawet przyjęcie, złożone z wina, ciasta i słodczy stało na stole w pięknych naczyniach. Tymczasem godzina coraz późniejsza mało już dawała nadziei odwiedzin, gdy Kochan zjawił się u drzwi, dopraszając posłuchania. Uczyniono mu dla formy trochę trudności, ale go wpuszczono do wdowy.

Krystyna przyjęła go chłodno, z powagą wielką i zdziwieniem. Rawa począł od tego, iż pan jego, nie widząc jej na zamku, troszczył się o jej zdrowie i przysłał umyślnie się o nie dowiedzieć.

Wdowa odpowiedziała, że istotnie czuła się zmęczoną i niebardzo zdrową, i dla tego została w domu.

— Tembardziej to króla pana mojego obeszło — rzekł Kochan — iż jutro zmuszeni jesteśmy powracać do Krakowa, i smutnym bardzo odjedzie, nie widząc jej, gdyż srode jest rozmiłowany.

Rokiczana się uśmiechnęła.

— O, mężczyzni! — zawołała — a szczególnie królowie, łatwo się kochają a zapominają łatwiej jeszcze. Szkoda, że pan wasz innej sobie gładkiej twarzyczki na tych dni kilka nie znalazł, któraby się łatwiej dała ująć. Nie jestem niedoświadczoną dziewczką! — wierzcie mi — nie mam ochoty być igraszką na dni kilka, choćby największego monarchy.

Rawa tym obrotem rozmowy zmięszal się trochę.

— Pan też mój — rzekł po namyśle — nie chwilową powziął dla niej miłość, ale taką, która trwać będzie pewnie, byle znalazła wzajemność. Najlepszym dowodem tego, iż wysłał mnie tu umyślnie do niej, sam nie mogąc przyjść, aby się na jej gniew nie naraził, — i prosi, abys mu dobrą pamięć zachowała, gdy na ten mały podarek wejrzysz czasami.

Podał jej pierścień piękny z szafirem, którego cenę Rokiczana łatwo mogła odgadnąć. Zarumieniła się, zmięszala i ręką naprzód odsunęła pierścień... okazując się jakby obrażoną.

Kochan nalegał przedstawiając, że królom przecie przystało i było we zwyczaju podarki dawać tym, którzy się im podobać umieli.

— A niechce go piękna Krystyna wziąć tak, — rzekł — bez wywzajemnienia, to proszę w zamian o lada jaki pierścionek lub obrączkę — a najprostszy z rąk jej królowi będzie najmilszym.

Wdowa wahała się, spoglądała na szafir, na podłogę, na ręce swe... i, nagle, podnosząc główkę, śmiało patrząc na Kochana, poczęła:

— Miły pośle królewski, który umiesz tak dobrze sprawy pana swojego popierać, jakbyś nie po raz pierwszy miał z niemi do czynienia. Mówmy lepiej otwarcie...

— Tak, bądź szczerą, piękna Krystyno — powiedz, pan mój nie jest ci wstrętnym? — zawołał Kochan.

— Choćby mi najmilszym był — zapowiedziała wdowa żywo — i choćby jeszcze jedno miał tak wielkie królestwo, jak to, które posiada... cóż z takiej miłości? Ja na miłośnicę nie jestem stworzoną i płocho nie pójdę ze spokojnego mojego domu na jakiś dwór, z którego bym ze sromem powróciła. Wy to sobie powiedzcie zawczasu. Podarki, namowy, podejścia, obietnice... wszystko to się na nic nie przyda.

Moja cześć nad wszelką miłość więcej warta... tej nie oddam za nic.

Zatem, próżne zabiegi wasze...

Kochan zbity tak stanowczo, nie uważał się jednak za zwyciężonego. Naprzód wiedział dobrze, iż kobiety zwykły drogo się cenić, aby więcej były cenione, gdy w końcu ulegną... niebardzo wierzył tej tak rzeckiej odprawie, — potem zyskać chciał na czasie, bo czas zmienia najstalsze postanowienia.

— Piękna Krystyno — rzekł ze śmiechem wiele znaczącym. Tam, gdzie jest wielka miłość, jak w sercu pana mojego dla was, znajdują się i środki do zaspokojenia jej... któż wie? Małżeństwo nie jest niepodobieństwem, korona mogłaby spocząć na pięknym jej czole... To coś warto przecie, ale — trzeba za to cokolwiek życzliwości okazać, nie odtrącać tak, nie zrażać.

Krystyna słuchała z uwagą.

— Wy mówicie — przerwała — jak szatan do Ewy w raju. Tamten jej obiecywał świadomość wszystkiego, wy mnie, jak dziecku cacko, ukazujecie koronę z daleka, ale — ja, ja nie wierzę... nie, nie!

To mówiąc, machinalnie jakoś wzięła ze stolika leżący pierścień z szafirem, włożyła go na palec, zwróciła rękę przeciw światłu i uśmiechała się pięknej wodzie kamyka. Był to znak dobry.

— Macie słusność — dodała — za podarek należy królowi wywdziękzyć podarkiem także, ale ja, biedna wdowa, nie znajdę nic godnego tak wielkiego pana...

Zwolna ściągnęła rubin z ręki, niewielki lecz przedziwnego blasku, z zalotnością, niby dla pożegnania z nim, do ust go przyłożyła i rzuciła na stół przed Kochana.

Ten pochwycił go łapczywie.

— Nabral on wysokiej ceny, gdy usta wasze na nim spoczęły... — odezwał się, chowając go starannie. — Powiem królowi, żeście mu z nim całus przesłali.

— Nie powinniście mówić tego — śmiejąc się zalotnie, rzekła Rokiczana, było to pożegnanie z miłym mi pierścieniem... Nic więcej.

Rawa szyderską zrobił minkę.

— Wszystko jedno! — zawołał — wy sobie mówcie pożegnanie pierścienia, ja powiem całus dla króla! Niech się biedny choć tem pocieszy.

A jutro, piękna Krystyno, gdy z Pragi wyciągać będziemy ranną godziną, pan mój pod oknem waszem przejeżdżać będzie... wyrzycieź ku niemu, skłońcie mu głowę — proszę!

Na to nie odpowiedziała nic wdowa, zajęta była nalewaniem wina słodzonego i zaprawnego dla Kochana i przysuwaniem mu przygotowanych słodczy.

Jak gdyby, wypowiedziawszy na początku co jej ciążyło najwięcej, i co za konieczne uważała, teraz swobodniejszą się czuła, twarz nawet przybrała weselszą i z większą uprzejmością przyjmowała posła.

Ten sprawiwszy, co mu zlecono, rozpoczął opowiadanie o panu swym, mocy jego, potędze i bogactwach.

— Mogą sobie ludzie po świecie pleść o nas co chcą — odezwał się do niej — że kraj nasz jedną jest puszcza dziką, że miast nie mamy i grodów kamiennych, że żyjemy

w skórach chodząc zwierzęcych, a żywimy się kaszą i mąką... lecz gdybyście skarb królewski zobaczyli, stopy srebra i złota, całe korce pereł, opon szkarłatnych seciny, futer kosztownych tysiącami, naczyń pięknych choć na przyjęcie gromad całych, dopierobyście wiedzieli, co jest ów król polski... a na dworze też naszym, równie jak siostry jego, królowej Elżbiety nie zbywa ani na rycerstwie pięknym, ani na śpiewakach, muzykach i ludziach mądrych, bo w tych się oni kochają. I życie u nas nie tak smutnie płynie jak się z daleka zdawać może...

— Wszystkiemu temu wierzę — odezwała się Rokiczana — ale cóż mi potem? ja tego widzieć nie będę.

— Dla czego? — przerwał Kochan — ja nie tracę nadziei, że was na dworze naszym widzieć będziemy.

Spojrzeni na siebie. Rokiczana spoważniała znowu.

— Na toby potrzeba — rzekła — żeby król był wolnym, ja małżonką jego została — inaczej nie zobaczycie mnie tam!

Kochan zamilkł, i odwrócił rozmowę znowu.

— Na świecie dzieją się rzeczy wielkie i niespodziewane przez miłość — dodał — ale na to potrzeba, aby ona była wzajemną.

Wdowa znaczącem odpowiedziała wejrzaniem.

— Myślicie być znowu kiedy w Pradze z panem waszym? — zapytała.

— Bywaliśmy tu często, i da Bóg, nie, jeden raz jeszcze zjedziemy, piękne oczy wasze nas tu przyprowadzą pewnie.

Zatem kielich ze szkła weneckiego, który w rękę trzymał, wypiwszy za zdrowie wdowy, rękawiczki założone za pas wziął Kochan i zabierał się do odwrotu.

— Dajcie mi jeszcze — rzekł na ostatek — dobre jakie słowo dla pana mojego, lżej nam będzie jechać precz...

— Wszystkoście już słyszeli, com do powiedzenia miała — odezwała się nie wstając Rokiczana... — Powiedźcie mu wdzięczność moją i to, że lepiej, aby zapomniał o mnie, niżby miał o tem marzyć, iż czci się mej dla niego wyrzeknę.

Droga do mnie, przez Kościół tylko!

Mówiła tak, lecz wyraz twarzy nie był ani odstraszący, ani surowy, i kazał się więcej spodziewać, niż obiecywała.

Rawa skłonił się z poszanowaniem, choć na ustach miał szyderski nieco wyraz, zapewnił wdowę, że wiernie poselstwo jej sprawi — i powoli wysunął się z domu, na zamek powracając...

Nie zdawało mu się jednak koniecznem królowi zdać zbyt szczegółową sprawę z rozmowy, przyniósł mu pierścień, zapewnił, że Krystyna dlań bardzo jest życzliwą, zaprasza go z powrotem do Pragi — i kazał mieć najlepszą nadzieję.

— Droży się piękna wdowa, dokończył, mówi o ślubie i kościele, wysoko się ze czcią nosi — ale to są znane piosnki, które one wszystkie nucą... Żal jej będzie króla stracić, bo ich na świecie równych naszemu niewielu i — gdy się jej piękny zamek, dwór i skarbczyk przygotowuje — pójdzie do złoconego gniazda ptaszyna...

Tak sądził Kochan, ale w przewidywaniach swych się mylił. Rokiczanów rodzina liczyła się do najbogatszych i najznacniejszych w Pradze. Zmarły w r. 1346 mąż Krystyny Miklasz, sam kosztem swym założył był kościół Ś. Ducha na starem mieście, niejednym raz pieniędzmi przychodził w pomoc królowi Janowi, cesarzowi i miastu. Wbijają to w dumę i wdowę, a rodzina liczna stała też na straży jej czci.

Głośno mówiono w Pradze o rozmiłowaniu się króla polskiego w Krystynie, ale poruszano ramionami na to, utrzymując, że z miłości tej nic być nie może. Na kochankę Krystyna była zbyt dumną i o dobrą swą sławę troskliwą, a żonaty król za małżonkę jej wziąć nie mógł.

Jędrzyk, który z zazdrością kochanka szpiegował co się działo około dworu wdowy, wiedział, że wkrótce po bytności króla jeździli jacyś posłańcy — przynoszono podarunki — lecz ramionami ruszał na to i śmiał się. Nadto znał dobrze Krystynę, aby się obawiał o nią.

Król do Krakowa powróciwszy, Kochanowi nie dawał spoczynku... zajęty był piękną wdową, jakby mu młodsze wróciły lata. Nie tyle może wdzięki jej, jak powaga i ogłada miały urok dla niego. Skazany na miłostki, które w nim wstręt i odrazę budziły, pragnął jakiegoś stałego przywiązania dla serca, domowego szczęścia spokojnego, którego nie miał.

Rawa, widząc ten zapal i niecierpliwość Kaźmirza, łamał sobie głowę, czemuby wdowę mógł skłonić do — powolności.

Dwa razy potajemnie jeździł do Pragi i wrócił z jedną zawsze odpowiedzią, że droga do niej przez kościół prowadzi. Adelaida Heska stała na zawadzie, bo choć zerwanie tego związku obiecywano królowi, nikt się go wyrobić nie podejmował u Papieża.

Pomimo wszystkich spraw ważnych, które w tych czasach zajmowały króla — miłość owa nie wychodziła mu z myśli.

Doprowadziwszy do skutku zwiążanie holdem Mazowsza z Koroną, ustanowiwszy ów upragniony trybunał wyższy dla sądów niemieckich w Krakowie, Kaźmirz nękanym przez siostrę i Ludwika, siostrzeńca swego, o przekazanie mu korony, o co już umowa stanęła ponowiona — tem więcej gryzł się brakiem potomka płci męskiej.

Małżeństwo z Adelaidą odejmowało mu nadzieję wszelką.

W jednej z tych chwil rozdrażnienia i niecierpliwości, jakie to położenie często wywoływało — przybywający z Tyńca ks. Opat Jan zastał go tak smutnym i przybitym, iż własną wesołość i gadatliwość musiał podwoić, aby króla wywieść ze stanu tego.

Król przed nim nie ukrywał przyczyn goryczy.

— Przekłeta wróżka, miała słuszność — mówił doń — wszystko mi w życiu się powiedzie... dla kraju uczynić zdołam co zamierzałem, sobie szczęścia znaleźć nie potrafię!

Nie posądzam nieboszczyka króla Jana i cesarza Karola, aby ze złą wolą i świadomością skutków narzucili mi te kajdany — lecz gdyby nie to nieszczęsne ożenienie moje, ten kamień uwiązany u szyi, miałbym synów. Ludwikby mi nie wyrwał korony, nie byłbym ostatnim...

Opat, jakeśmy mówili, był jednym z ludzi najlękomyślniejszych, gdy szło o wygodne tłumaczenie niewygodnych praw kościelnych — miał na wszystko łatwą radę.

— Lecz ja waszej miłości mówiłem i powtarzam — odezwał się — że to małżeństwo bez pożytku z żoną, blisko lat piętnaście trwające, nie ma żadnej wagi, nawet wedle praw kanonicznych. W. królewska mość jesteście wolnym, ale potrzeba mieć odwagę w sobie, powiedzieć i działać do tego stosownie.

Król zdumiony nań patrzył.

— Tak jest, tak jest — powtórzył Opat — małżeństwem tego nazwać nie można.

— Któryżby z duchownych ślub mi się dać ważył, nim to Papież rozwiąże? odezwał się król, a czekać na rozwiązanie jakiegokolwiek sprawy w Awinionie... to i życie upłynie.

Nikt mi ślubu nie da!

Opat skłonił się królowi i z uśmiechem a fantazją rzekł.

— Ja dam, miłościwy panie! Wprawdzie do małżeństwa królewskiego co najmniej potrzebaby Biskupa, ale z ks. Bodzantą, dojść sprawy trudno, a ja, choć Biskupem nie jestem, infulę noszę, i gdy się przystoję, wcale poważnie wyglądam.

Kaźmirzowi wydawało się to tak nieprawdopodobnym iż w śmiech obrócił obietnicę.

Ks. Opat powtórzył ją.

— Znajdź tylko miłość wasza oblubienicę wedle serca swojego, ja nie cofam com rzekł. Ślub dam.

Kaźmirz zadumał się nad tem mocno, nie mówił więcej — lecz nie zapomniał.

Wieczorem, gdy do ks. Jana nadszedł Kochan dla rozmowy o panu swym i wielkim utrapieniu, jakiego doznawał, widząc go tak dręczącym się i bezdzietnością, i życiem samotnem, Opat mu przerwał żywo.

— Niepotrzebnie stękanie! mówiłem to królowi, powtarzam wam, niech Kaźmirz sobie znajdzie żonę, — ja ślub mu dam. — Ja! słyszysz. Jak mnie oto widzisz żywego. Nie lękam się... Papież po namyśle tamto małżeństwo z Adelaidą uzna za nieważne. Co za związek, gdy lat piętnaście z sobą nie żyją! Narzucili mu gwałtem babę brzydką i nieznośną, nie zbliżył się nawet do niej, mężem jej nie był i nie jest.

— Możeż to być? — zawołał Rawa.

— Mogłoby być, gdyby tylko król odwagę miał taką jaką ja mam.

— Na odwadze mu nie zbędzie, bo umęczony jest i bezdzietnością tą, i życiem bez rodziny, w pustym domu, a miłości mu już obrzydły. — Ale któraż księżniczka albo wielkiego rodu pani zechce wyjść za niego, gdy jest wątpliwość... gdy.

— A wam koniecznie księżnej potrzeba! rozsmiał się Opat, przecie królewskie dziecię z jakiejbądź małżonki prawej zrodzone, takim będzie królewiczem, jakby w nim niewiem czyja krew płynęła. Byle młodą była a miłą mu i potomka dać mogła — niech bierze kogo chce...

I Opat raz jeszcze powtórzył wesoło, ręką błogosławiąc, jakby już ślub dawał.

— Ślub, ja dam.

Stał Rawa zadumany...

— Hm! — rzekł — król w Pradze będąc u cesarza, napatrzył sobie niewiastę, która mu bardzo w oko wpadła.

— Jakiego stanu? — zapytał ks. Jan.

— Mieszczka jest, ale bogata, poznał ją przecie na dworze, czasu zabaw cesarskich. Nie nazbyt młoda, urodziwa, poważna, stateczna, wdowa po Rokiczanie...

Ks. Jan odwrócił się żywo, bo nieraz w Pradze bywając, znał tamtejsze stosunki.

— Wiem ją — rzekł — mąż Miklasz przecie kościół swym kosztem zbudował. Ród dobry, choć mieszczański, niewiasta z urody słynna i nikt na nią złego słowa powiedzieć nie śmie.

— To prawda — rzekł Kochan — lecz na królowę tego wszystkiego mało.

— No, to szukajcie innej, po Niemczech dziewcząt w książęcych dworach dosyć, ale zamtąd pono drugiej nie dadzą. Z Rusi król nie zechce, bo się drugiej Aldony prostytutki obawiać będzie.

Pokręcił głową wesoły ksiądz.

— To nie moja rzecz wam swatać. Szukajcie niewiasty, a ja — com rzekł, nie cofnę; powiadam raz jeszcze — jak mnie żywym widzicie, ślub dam.

— Cóż na to powie biskup krakowski? — spytał Kochan.

— Wolno mu powiedzieć, co chce — odparł Opat — nie lękam go się. Lepiej jest ślub dać, niżby miał się zagryźć i zmarnieć...

Kochan wyszedł równie głęboko zadumany, jak król po rozmowie z Opatem. Nazajutrz razem jechali na łowy, a ks. Jana, ktoby nie znał, nigdyby w nim Benedyktyna i infułą przyozdobionego Opatą się nie domyślił.

W krótkiej sukni, z mieczykiem u pasa, który niby usprawiedliwiał prawo, pozwalające w obronie życia nawet duchownym używać oręża, (a na łowach zwiierz się mógł trafić drapieżny); — na dzielnym koniu, którym władał jak rycerz, w płaszczu zarzuconym na ramiona niedbale; ks. Jan stawiał się młodo, pięknie, rażno, lecz księdza w nim nie zostało ani śladu. Wielka tylko pewność siebie, wejrzenie śmiałe i częste, z przyzwyczajenia ręką prawą pospiesznie udzielane błogosławieństwa, kazały się duchownego domyślać.

Dobrej myśli zawsze, do rozmowy swobodnej ochoczy, do uczyty towarzysz chętny, niezbyt dla ludzkich ułomności surowy — ks. Jan miał wielką miłość u wszystkich — lecz surowsze duchowieństwo koso nań spoglądało, o co on wcale się nie zdawał troszczyć.

Król bardzo go lubił; i jak mógł, ku sobie przynęcał i przy sobie utrzymywał.

W czasie łowów, na odpoczynku w lesie, ległszy przy królu, ks. Jan wczorajszą rozmowę wznowił.

— Miłościwy panie! szukajcie oblubienicy — ksiądz i stula gotowe!..

Kochan prawi coś o Rokiczanie.

Spojrzał na Kaźmirza, który drgnął, bo od wczora ją też miał na myśli.

— Niewiasta, jakiej się i na cesarskim dworze dziwowano, i pierwsze jej miejsce dawano — rzekł Kaźmirz. — Nie kryję się z tem, podobala mi się bardzo, przyłgnęło do niej serce moje... Na skroniach jej i korony nie będzie nadto...

— Gdy się lat tyle dręczyło, mając to, czego kochać nie było można — odezwał się Opat — czas wziąć sobie to, co się miłuje. Alboż to królowie mieszczanek nie zaślubiali, a w rzymskich dziejach, ba i w innych są przykłady i dziewczek chłopskich? Jeśli sercu miła... na co innej szukać?

Król zarumienił się i rękę doń wyciągnął.

— Czekajcie mało, księże Opacie — rzekł — któż wie? wezmę was może za słowo... Ks. Jan ochoczo i natarczywie, znowu się ze swą posługą ofiarował.

Wrócili do Krakowa, i tegoż wieczora Kochana król od warcab z Dobkiem oderwał, pozywając go do siebie.

— Słuchaj — odezwał się do wchodzącego, zbliżając się z niecierpliwością, jaką zwykł był okazywać, gdy myśl wziął gorącą do serca — słuchaj — potrzeba mi — tu się zatrzymał i namyślał trochę.

— Potrzeba mi do Pragi zbiedz, lecz nie chcę aby ktokolwiekbydź wiedział o tem, iż tam będę.

Dla Rawy nie było w tem nic nad miarę trudnego.

— Pojedziemy wrzekomo na łowy — odezwał się — któż nas śledzić będzie? W podróży sposobów jest dość, by się nie dać poznać.

— A w Pradze? wrzucił król, i sam zaraz dodał.

— Przodem kogoś ślać potrzeba do Pragi.

Kochan celu podróży dorozumiał się łatwo.

— Jeśli do Rokiczany w poselstwie jechać, jam gotów! rzekł.

— Na nic się nie zdały posły i poselstwa — odezwał się król, ja sam się z nią rozmówić muszę. Chwila przyszła stanowcza... ks. Jan ofiaruje się ślub mi dać. Na wszystko się waże, byłem miał nadzieję, że krwi mej Ludwik korony nie wydrze! Rokiczana mieszcza jest, ale królową być godna.

Rawa bynajmniej się nie sprzeciwiał temu. Dobek Bończa, przewany Fredrą, mógł dla bezpieczeństwa towarzyszyć Kaźmirzowi, bo na jego przytomność, odwagę i olbrzymią siłę śmiało rachować było można; Rawa sam chciał przodem do Pragi aby gospodę pewną przygotować i wdowę uprzędzić.

W krótkich słowach wszystko tak postanowionem zostało, jak król życzył, a Kochan doradzał. Dniem jednym miał on uprzędzić Kaźmirza, który z małym pocztem nazajutrz po nim puścić się chciał do Pragi.

O świcie w kilka godzin zakapturzony Kochan wyruszył najkrótszą drogą, przesmykami i manowcami dobrze znajomymi do czeskiej stolicy...

Gospodę na Starem mieście miał już u mieszczanina Wujka, u którego parę razy stawał... szło tylko o obmyślenie jej dla króla i rozmowę z Rokiczaną.

Obrachował się i tak złożyło, aby o mroku a przed zamknięciem bram wjechać do miasta i do Wujka prosto pociągnąć. Pewien był tu dobrego przyjęcia, bo się szczerze opłacał, a Wujkowa córka, piękna Zonia, zalotne, wesołe dziewczę, którą sobie pozyskał, bardzo mu bywała rada.

Wiedzieli lub domyślali się wszyscy z czem tak często przybywał i — nie czynili z tego tajemnicy.

Zoni też, szczebioczącej chętnie, trudno było cokolwiek utrzymać w sobie; wypaplałyby była własny grzech, tak ją język świerzbiał. Sama do zbytku zalotna, rada była drugich służyć zalotom, bo się jej zdawało, że to ją uniewinniło... Właśnie był zajechał Kochan i w danej mu izbie się przebierał, gdy stojąca w progu Zonia postrzegła przechodzącego Jędrzyka. Znała go dobrze i o jego miłości dla Rokiczany wiedziała. — Litowała się nad nim i podżartowywała sobie z niego. Szedł z głową spuszczoną mimo niej, gdy swawolne dziewczę nachyliło mu się do ucha i zawołało:

— Powieś się Jędrzyk! powieś. Taki oni ci Krystynę wezmą. Znowu od króla polskiego przyjechał ten, co jej klejnoty wozi, żeby kamienną była, musi wreszcie zmięknąć... Ha! szczęśliwa niewiasta!

Stanął Jędrzyk i namarszczył się mocno; tego mu właśnie potrzeba było, bo już z dawna na Kochana czatował. Miał zamiar ostro natrzeć nań i spróbować odpędzić zabiegających około wdowy. Miał na sercu jej cześć, a i zazdrość go piekła.

Zonia, splatawszy figla tego, pierzchnęła, śmiejąc się, na górę. Jędrzyk się przyczał w rogu kamienicy.

— Nic nie wskórają, mówił w duchu, niechże darmo nie włóczą się i sławy jej dobrej nie ujmują. Raz temu koniec musi być.

Zmierchało już, gdy przebrany Kochan wybiegał od Wujka, spiesząc do wdowy, lecz zaledwie w ulicy się znalazł, Jędrzyk mu zastąpił drogę.

Sądząc, że go omyłką za innego wzięto, Rawa zamruczał i usiłował wyminąć natręta, lecz Jędrzyk go za płaszcz przytrzymał.

— Nie bójcie się, rozbójnikiem nie jestem, rzekł, wiem kto wy i z czym tu przybywacie, rozmówić się musimy.

— Ale ja niewiem kto wy jesteście — odparł Rawa niecierpliwie chwytając za mieczyk, i niemam czasu ani ochoty mówić z wami.

— Jestem Jędrzyk, kupiec tutejszy, znają mnie wszyscy — zawołał Czech niedając mu ujść — musicie mówić ze mną.

Rawa się zżymał.

— Musu nie znam! zakrzyczał. W tej chwili Jędrzyk mu coś na ucho szepnął. — Kochan zlągodniał, o kilka domów dalej weszli do jego mieszkania.

Zapaliwszy światło, kupiec kazał podać wieczorny napój, chcąc prawu gościnności zadość uczynić, siadł na ławie naprzeciw Rawy i począł...

— Przyjechaliście znowu? he? ale to wszystko nadaremnie! król czy nie król, Rokiczany nie weźmie bez ślubu. Ja ją znam od dzieciństwa. Gdyby chciała nawet, a nie zechce pewnie i sama, rodzina i przyjaciele jej nie dopuszczą.

Pocóż nadaremnie ludzkim złym językom karm, dawać!

I chwilkę pomyślawszy, Jędrzyk oczyma rozpalonemi spojrział na Rawę, dodając z od wagą, która go widocznie dosyć kosztowała.

— Prawdę wam powiem całą, jam jej ni brat, ni swat, pokrewieństwo z nimi bardzo dalekie, alem ją od dzieciństwa miłował i choć z tego miłowania tylko zgryzotę mam, a więcej nic mieć nie będę — przecie nie przestanę. Dla mnie ona za wysoko, ale nie dopuszczę, aby drudzy jej krzywdę czynili.

Powinniście wiedzieć, że z wielkiego miłowania, człowiek na szalone się rzeczy porywa... Otóż, zważajcie... ja wam to tylko powiem, że kto jej sławę i cześć naruszy, — jam na wszystko gotów...

Męża nie ma, krewni, Bóg ich wie święty czy się ruszą w obronie, a no... ja, jak Bóg Bogiem. Człek jestem mały, kupiec sobie... ale to nic, ręce mam i grosz ostatni w to włożę...

Nie dokończył, pięścią tylko uderzywszy w stół... Zagryśł usta i na przeciwnika spojrział, czekając odpowiedzi.

Kochan, człowiek doświadczony, wedle potrzeby umiał być zimny i mógł być gorący, a trzymał się tego prawidła, że przeciw gorącym stawał się zimnym, dla zimnych zaś bywał sierzysty i gorący.

Tu, mając przeciw sobie roznamiętnionego i złego już, acz na wodzy się trzymającego Jędrzyka, — ostygł umyślnie.

— Posłuchajcie no, rzekł — ja bo dobrze nie rozumiem, czego chcecie. Kłamać nie będę, no tak, król mnie do Rokiczany posyła, ona nie wypędza za drzwi. Wdową jest, panią siebie.

— E e! ofuknęła Jędrzyk — kobieta zawsze potrzebuje dozoru... to darmo.

— Opiekunów też ma, w braciach nieboszczyka Miklasza! odparł Rawa.

— A tak — rzekł Jędrzyk — ale oni się mogą nie dopilnować, a ja...

I rzeźko zagadnął.

— Mówcie, czego chcecie od niej? Cóż? żeby do was do Krakowa jechała? Obiecujecie jej bogactwa? ziemię? co?

Kochan ramionami ruszył.

— Spowiadać się wam nie mogę, odparł, powiem tylko, że wy sobie nadaremnie krew psujecie. Ona sama na plewę się nie da wziąć, kobieta rozumna.

— A tak! podchwycił Jędrzyk — ale kobieta, a to — król!

— Niedość, że król, lecz człowiek taki, który niczyjej krzywdy nie chce — rzekł Kochan i zamilkł.

Spojrzeli na się mierząc się oczyma. Gra nie była równa, Kochan, człek przebiegły, dworak, Jędrzyk poczciwy, prosty i nadto gorący.

— Ja wam to powiem — odezwał się, pomilczawszy, że uchowaj Boże pokrzywdzicie ją — ja, nie daruję...

Sparł się na rękę.

— Przypomnijcie sobie głośną tę historię z Amadejami na Węgrzech. Tu o niej wszyscy wiedzą. Stary ojciec prawda życie stracił, nie pomścił dziecka, ale się porwał — cześć mu była miłą. Ona dla mnie więcej niż córka dla ojca, ja ani rodziców, ani rodziny nie mam. Jedno słońce na niebie, jeden ja na świecie...

Kręcił głową Kochan.

— Dalej, że co? rzekł. — Powiedzieliście, coście chcieli — jam wysłuchał, na tem koniec.

Teraz zaś ja wam tyle tylko odpowiem, że ostrzeżeni przez was jesteśmy, zatem wy dla nas mniej straszni. I — po wszystkim.

Jędrzyk widząc powstającego z ławy Kochana, jego zimną krwią więcej jeszcze zniecierpliwiony, chwycił się też z siedzenia.

— Ostrzegłem was przez poczciwość, bo nie chcę... nie chciałem napaść niespodziewających się.

— I sądzą, że się ulękniemy? spytał Kochan.

Jędrzyk rękę w długie włosy zatopił i rwąc je — zawołał:

— Wasza sprawa w tem — mnie gdyby ostatni grosz przyszło stracić, pięćdziesiąt i sto ludzi nając... — gotówem.

— A my możemy postawić ich trzystu, zaśmiał się Kochan. Lecz po co się to zdało mówić, wodę warzym...

Chciał wstać znowu.

Jędrzyk postradał cierpliwość.

— Dajcie pokój temu nadaremnemu jeżdżeniu zawołał — z tego nie będzie nic, ja wam mówię — nic!! a kobiecie głowę psujecie. Ożeniłby się z nią który z bogatszych naszych mieszczan albo i panów...

— Lub wy! rozśmiał się Kochan.

— Nie! zawołał Jędrzyk, jam dla niej za mały — ja o tem nie myślę — ale jej losu psować nie dam.

Dajcie pokój temu jeżdżeniu powtórzył.

— Wiecie przecież, iż jestem sługą króla — odparł Rawa — nie mogę rozkazowi się sprzeciwiać.

— Mów królowi!

Rawa ręką rzucił obojętnie.

— Darujcie — rzekł — wstając raz jeszcze. Chcieliście rozmowy, dałem się wciągnąć, wysłuchałem, coście mieli do powiedzenia, a teraz czasu nie mam...

Więc — czolem.

Jędrzyk mruczał, dąsał się, zły był, że nic nie sprawił, lecz wstrzymywać go już i nie mógł. Powtórzył pogroźkę, za wychodzącym spojrzął i ręce załamał...

Kochan ramionami ruszywszy, do Rokiczany szedł wprost, lecz nie zastał jej w domu, ani starej ochmistrzyni, którą już był sobie, równie jak sługi, podarkami kupił.

Dano mu więc w pierwszej izbie na ławie siąść i czekać na jej przybycie, zapewniając, że z wesela na Nowem mieście wkrótce będzie z powrotem. Na przekorę mu się to stało, bo powinien był jeszcze gdzieś dla króla szukać bezpiecznego ukrycia, a potem naprzeciw niego wyjechać aby go tam zaprowadzić.

Późno już, strojna jak wielka pani, klejnotami okryta, tańcem prawie całodniowym zmęczona, zjawiła się wdowa, którą bardzo piękny, rycerskiej postawy mężczyzna odprowadzał. Był to, jak łatwo poznał Rawa, nowy zalotnik jakiś, ubogi baron niemiecki, urzędnik z cesarskiego dworu, który pono więcej dla pieniędzy, nie dla piękności zalecał się Rokiczanie. Zmierzył oczyma podejrzliwemi Kochana oczekującego, namarszczył się groźnie i — odszedł.

Drugie to już niemiłe było spotkanie.

Wdowa tym razem Kochanowi niezbyt rada była. Przyjęła go kwaśno; brwi ściągnęła...

Niedługo czekając, Rawa jej szepnął, że pan jego sam ma nazajutrz przybyć potajemnie.

Usłyszawszy to, Rokiczana aż ręce załamała.

— Po co? zawołała, aby z ust moich to posłyszał, co mu przez was tyle razy mówiłam? Daremna to rzecz, bo mnie za żadne skarby świata nie kupi.

Z czymże jedzie?

Rawa nie chciał odkryć się z tem.

— Nie wiem, rzekł, lecz choćby tylko, aby wam w oczy popatrzeć, co za dziw?

— Tak! jemu to nie zaszkodzi pewnie — odparła wdowa z goryczą. Zabawi się, a co mnie potem spotka od swoich i obcych wymówek i szyderstwa, co ja będę musiała odplakać za to i odboleć, wy tego nie liczycie! wam to wszystko jedno.

Myślicie, że gdybyście go w Pradze najlepiej ukryli, ludzie o nim wiedzieć nie będą? A co o mnie powiedzą, do której król potajemnie w odwiedziny przyjeżdża?

Zagniewała się i płakać zaczęła, a chustkę niosąc do oczów, i na Kochana spojrzeć nie chcąc, szła do drugiej komnaty — on za nią.

— Z czem król przybywa, nie moja rzecz — rzekł pocieszając ją, ale ja wam to tylko powiedzieć mogę, że jeśli — ten raz darmo przyjedzie... więcej go nie zobaczycie. Wiecie wam... ważne słowo!

Rokiczana podniosła oczy na niego.

— Jakież słowo?

Rawa zamilkł...

— Posłyszycie sami — odparł. Bądźcie dobrej myśli, mnie się widzi, że was większe szczęście spotka, niż się spodziewacie.

Uśmiechnął się — i odszedł, zostawując ją w rozmyślach — co król za słowo ważne mógł jej przywieźć.

Dnia tego już nie było co począć dla spóźnionej pory, wrócił więc do Wujka i jego Zoni, z którą cały wieczór na wesołych żartach i swawoli przepędził, bo dziewczyna była śmieszek niez mordowany, zalotna bez miłosierdzia — i świeża jak jagódka. Przyszło do tego wśród żartów i dwuznacznych słówek, że Zonia Kochanowi szepnęła.

— Jeżeli Rokiczanę ztąd weźmiecie do Polski dla króla — wiecie co? mnie jej dajcie za starszą służkę. Będziemy tam wieczorami tak się we dwojgu zabawiali jak tutaj.

— Albo i lepiej! zawołał Kochan, śmiejąc się. Dobrze! Byleście chcieli...

— Pojadę — ale z Rokiczaną... Będę wam jej pilnowała...

Poszeptwała coś Kochanowi na ucho.

— Juści tak czy owak, a panien do boku jej potrzeba dodała...

Rawa pół żartem, pół naprawdę przyrzekł, że co otrzymał całusa, niby ukradzionego, niby zdobytego, lecz w istocie obiecującego wiele.

Zoni się marzyło — na dworze bogato i sławnie za męża wyjść.

Po cichej rozmowie z Wujkiem, którego wtajemniczyć musiał Kochan, okazało się, że najlepiej było króla w jednym z klasztorów na Starym Mieście ukryć, gdzieby go oczy ludzkie nie tak łatwo wyspiegowały. A że zakony wszystkie prawie te, które w Krakowie miały domy, i tu się znajdowały; stosunkami były połączone z polskimi klasztorami — nie zdawało się to rzeczą trudną. Udał się więc poseł do Przeora Dominikanów, i po krótkiej we cztery oczy rozmowie z nim, z wielką łatwością otrzymał zapewnienie, iż króla przyjmą, nikomu nie wyjawiając tajemnicy...

Ułożywszy to Rawa, na konia siadł i sam jeden wyjechał na spotkanie króla.

Lecz przeznaczeniem jego było, by go rozmaite przeszkody niecierpliwiły i — czas mu zabierały.

W ulicy, zaledwie kroków kilkanaście od domu Wujka odjechawszy, spotkał stojącego na koniu, tego samego zalotnika, cesarskiego komornika, barona Hasch'a, który go wczoraj u Krystyny widział.

Poznawszy go, starał się uniknąć i wyminąć, lecz Hasch, który na niego czekał, dogonił i obok stanąwszy — dość niegrzecznie począł rozmowę.

Rawa nie nawykł był od nikogo znosić nawet lekceważenia...

— Nie ujdziecie mi! wołał, doganiając go Hasch. Wiem, kto wy jesteście, i coście u pięknej Krystyny porabiali. Czy posłem przybyliście, czy dla siebie — trzeba się ze mną wprzód rozprawić, nim do mojej wdowy się dostaniecie.

— Jako, do waszej? zapytał Rawa, stojąc i gniewny już.

— Do mojej, bo ja się zalecam do niej, a nie zwykłem cierpieć drugich obok siebie!

Kochan się rozśmiał pogardliwie.

— Jeżeli wiecie, kto jestem, rzekł, musicie wiedzieć, że ja tu nie dla siebie przybyłem.

— Hm! zawołał Hasch — ludzie mówią różnie. Jesteście sługą króla — są tacy, co utrzymują, żeście się dla niego ożenić gotowi.

Rawie krew uderzyła do głowy.

— Jestem takiego pochodzenia, jak i wy, pasowanym też rycerzem — rzekł zimno — potem coście powiedzieli, nie pozostało nic, tylko na rękę wyzwąć i — bić się.

Dziś na to czasu nie mam, jutro gotówem.

Hasch wyduł usta.

— Dobrze, rzekł — do jutra...

Kochanowi szło o to, aby mu się wyrwał, i mógł zawczasu przeciw króla wyjechać, rękawicę mu zręcznie na siodło rzucił, jako znak, konia spiął i poleciał...

Niemiec nie pogonił za nim. Chwilę stał, namyślając się, potem za późno już było.

Wykupiwszy się od niego wyzwaniem, Rawa wybiegł z miasta na gościniec ku Krakowu, i dopiero dobry kawał drogi zrobiwszy, koniowi pofolgował.

Miejsce wybrał pod laskiem, w którym na króla miał czekać, zsiadł z konia, ukrył się w zarośla na przypadek pogoni, i patrzył rychło li Kazimirz nadaży.

Już dobry zmierzch padał, gdy się orszak królewski ukazał, który Kochan poznał łatwo, chociaż nie pańsko wyglądał. W kilkanaście koni tylko wybrał się Kazimirz, dwór swój przyodziawszy szaro i niepozornie. Oręż też, choć najlepszy, tak był dobrany, żeby w oczy nie wpadał. Król sam, aby na siebie nie zwracać uwagi, jechał dalej w orszaku, a przodem, jako pan, pysnił się dorodny i wesoły Dobek Bończa, którego to udawanie zabawiać się zdało. Dwór mu oddawał cześć, jakby on tu był najprzedniejszą osobą. Kochan, zobaczywszy zdale poczet, konia dosiadł i podjechał do króla, aby ze wszystkiego sprawę zdać.

Zatrzymali się jezdni, lecz niewiele na rozmowę czasu było, gdyż zamknięcie bram starego miasta potrzeba było uprzędzić.

O Jędrzyku i jego groźbach nie miał potrzeby wspominać Kochan, lecz Hascha i wyzwania jego zatrzeć nie mógł. Kazimirz się zachmurzył i nierad mu był — przypisując nieostrożności ulubieńca, że się tam bytność jego wydała, a przez nią i królewska zdradzić mogła.

Posepnie więc wcisnęli się do miasta, u bram oznajmując, jako ziemianie z Polski za sprawami swemi przybywający. Nie zwrócili zbytnej uwagi, gdyż między dwoma krajami stosunki były żywe, i nawzajem Polaków do Czech, Czechów do Polski przybywało wielu.

Małemi uliczkami Rawa poprowadził króla do dominikańskiego klasztoru, nikogo szczęściem nie spotykając po drodze...

Wieczora tego oznajmił Krystynie przyjazd królewski, a do jutrzejszej walki z Haschem musiał sobie szukać towarzyszków i świadków.

Każdego dnia, chociażby ani się gości spodziewała u siebie, ani sama wybierała w gościnę, piękna Rokiczana poświęcała czasu dosyć na strój i starania o pleć, o twarz, o wszystkie przybrania niewieściego szczegóły.

Utrzymywano, że dla zachowania piękności swej w całym jej blasku, miała jakieś środki tajemne, jakieś drogo kupione wody, elixiry, barwiczkę, lekarstwa, które świeżość zachowywały, i podwajały ją jeszcze.

Osobna komnata była na to przeznaczoną, do której nigdy nikomu wchodzić nie pozwalała. Klucz od niej zawsze miała przy sobie. Sługom też towarzyszyć jej tam z rana, gdy wprost z łóżka udawała się, nie było wolno. Jedna stara krewna i ochmistrzyni szła tam z nią; zamykały się na klucz ze środka, i często długo czekać było potrzeba, nim wdowa wyszła, już na poły ubrana...

Od dawna bardzo budziło to niezmierną sług wdowy ciekawość, podglądały, gdy wchodziła, czatowały, gdy wracała, próbowały zajrzeć przez otwór klucza, ale ten tak bywał w zamku umieszczony, że oko wcisnąć się nie mogło do wnętrza.

Ze szczególnem staraniem wdowa strzegła klucza tego, nie rzucała go nigdy, zawieszala pod suknią u pasa nawet przy najwykwintniejszym stroju. Kobiety, które nań czatowały, wreszcie zrozpaczywszy, aby się mógł im kiedy dostać w ręce, wyrzekły się nadziei zdobycia tajemnicy.

Rosły ztąd mnogie przypuszczenia, które czarów się jakichś domyślać kazały. Starą ochmistrzynię, jedyną powiernicę, zwano i miano za czarownicę... Udawały się do niej

i inne chciwe odmłodzenia i wypięknienia niewiasty, lecz nic zyskać nie mogły. Śmiała się starucha, spluwała, zrywała, zaklinała, że nic nie zna i o niczem nic nie wie.

Wiedziano, że czasem stara wieczorem grzanego wina wypijała trochę więcej, niż na sen było potrzeba; dziewczęta myślały korzystać z tego, i jakie nieostrożne słówko pochwyć — nie dowiedziały się nic.

Piękność, pełną blasku, wdowy, tajemnym rannym tym staraniom około niej przypisywano... Napróżno było sprzeciwiać się, rzecz stała się z czasem przyjętą powszechnie — i nie ulegającą już wątpliwości.

Dnia tego, gdy król przybyć miał, dłużej może niż kiedy siedziała wdowa w tej komnatce zamknięta, a potem, co się bardzo rzadko trafiało, po raz drugi z ochmistrzynią do niej weszła, i ukazała się tak utrefioną pięknie, tak majestatyczną, tak nadewszystko świeżą i młodą, że jej o lat dziesiątek młodsze zazdrościły dziewczęta.

Każmirz, nie czekając południa, bardzo skromnie ubrany, pieszo, z nakryciem głowy axamitnem, które na oczy było napuszczone, w towarzystwie Dobka jednego udał się do wdowy.

Czekano nań tam, a Rokiczana strojna, wonnościami oblana, chodziła niespokojna od okna do okna wyglądając, aby króla przyjąć u progu. Na twarzy jej tego dnia nie widać było wcale rozradowania i tryumfu, raczej dumę, podrażnienie i troskę. Zbyt łagodną, miłą — nie była prawie nigdy, przypisywano to owdowieniu, iż zawsze chodziła z twarzą zaszępiłą, a wśród najweselszych zabaw, biorąc w nich udział, nie rozśmiała się nigdy z serca. Uśmiech jej był proszonym gościem na ustach.

Gdy król wszedł, i tego nawet wymuszonego na nich nie znalazł; głębokim pokłonem, z wielką powagą przyjęła go i milcząc, zaprowadziła do wielkiej izby gościnnej, przybranej na ten dzień we wszystkie najbogatsze sprzęty domu...

Każmirz, który szedł szybko i niespokojny, nie zwrócił nawet oczu na to, co go otaczało, patrzył na wdowę, ujął jej rękę i zmusiwszy usiąść przy sobie, rozpoczął rycerską rozmowę od oświadczenia, że z wielkiej tęsknoty dla niej, wytrzymać nie mogąc, tu przybywał.

Rokiczana z brwiami ściągniętymi słuchała.

Pokazał jej Każmirz pierścień na palcu i rzuciwszy okiem na rękę, spotkał się też ze swym safirem.

— Miłościwy królu — po krótkim milczeniu, odezwała się Rokiczana z przygotowanym już przemówieniem, bardzo jestem wdzięczną Miłości Waszej za łaskę tę, jaką masz dla mnie. Umiem ją ją cenić — lecz... ludzie mi ją drogo opłacać każą.

Spojrzał Każmirz.

— Ludzie? a to, jak? zapytał.

— Zazdrośni są i złośliwi — więc szarpią sławę bezbronnej wdowy — rzekła Rokiczana. Już sami posłańcy twoi, królu, w oczy im kołą, a cóż dopiero teraz będzie, gdy się o tobie dowiedzą?

Załamala ręce białe.

— Zaklinam Miłość Waszą, ciągnęła dalej, nie gubcie mnie.

Król dotknął jej ręki.

— Dość! dość, odparł — ja tu do was z czem innym przybyłem. Posłuchajcie mnie, bo to godzina będzie dla mnie i dla was stanowcza. Tak mi cześć wasza miła, jak wam... uszczerbku jej czynić nie chcę... Powiedzieliście, że do was droga przez kościół wiedzie... nie wzdramam się jej. Ślubować wam będę.

Rumieniec wystąpił na twarz wdowie, zadrzała, pomilczała trochę, ręką przesunęła po twarzy.

— Jakże to być może? — rzekła. — Całemu światu wiadomo, iż żonę macie?

— I świat cały wie, że lat piętnaście z nią nie żyję, nie widuję jej — rzekł król. — Dałem znać ojcu, aby ją nazad zabrał do siebie — i stanie się to. Małżeństwo zostało rozerwane, Papież mnie rozwiąże, a Biskup ślub jest dać gotów.

Mowa królewska tak była dziwną, a tak ją znalazła nieprzygotowaną, iż czas jakiś siedziała niema, słowa przemówić nie mogąc. Czuliła na skroni swej zimne dotknięcie korony królewskiej, na ramionach płaszcz szkarłatny, widziała się na złocistym tronie, górą po nad tłumami zazdrosnemi, królową!

Lecz ten sen błyskawiczny przeleciał prędko.

— Panie! — zawołała — nie uwodźcie mnie... to być nie może!

— Słowo moje królewskie za to wam ręczy — odparł król z wielką powagą. Nie obiecywałem tego, nie mówiłem przecież o tem, dopóki nie przekonałem się, że to, co przyrzekam, możliwem jest. Ślub nam dadzą, mam pewność.

Wdowa spuściła główkę, zacięła usta, nie miała już odpowiedzi na to... Rzecz nieprawdopodobna więc ziścić się miała — Rokiczana królową!

Spojrzała na tego, który chciał być jej mężem, po raz pierwszy tak blisko, w blasku dnia go widząc przed sobą.

Szlachetne rysy jego nosiły na sobie ślady lat przeżytych i cierpień wielu, czoło było zorane, świeżość młodości znikła z twarzy tej męskiej, lecz jeszcze pięknej, wrażliwej poszanowanie, a nadewszystko dobrocią namaszczonej, której smutek dodawał wdzięku. Piękny ten jeszcze, w sile wieku mężczyzna, z włosiem brunatnym, spadającym na ramiona, w którym zaledwie rzadką siwiznę dojrzeć było można — patrzył na nią z zachwyceniem, z upragnieniem czekając słowa...

Nie mogąc się go doczekać, bo wdowie całej drżącej, myśli w głowie poplątanych zebrać nie było łatwo, Kaźmirz mówił dalej.

— Nie mam potomka, wiecie, że w razie, gdyby mi go Bóg odmówił, korona jest już siostrzanowi memu przyrzeczoną... Lecz nie zwątpiłem jeszcze, wy może będziecie matką tego upragnionego...

— Panie — przerwała Rokiczana niespokojnie — zaklinam was! mówcie, jesteście to pewnem? Miałyby to prawdą być? Nie jest to sen i złudzenie?

— Mówiłem wam, ślub nam dać przyrzeczono... wyciągam do was rękę... ofiarując przysięgę...

Tu król zatrzymał się nieco...

— Tak jest, jak powiadam — dodał — lecz, ponieważ z Biskupem krakowskim jestem od lat kilku w wojnie, błogosławić nam będzie inny... Aż do tego czasu zachowaną być musi tajemnica, aby nam przeszkód nie stawiono. Księżę ojciec zabiera Adelaidę, ja was na zamek wprowadzam...

Rokiczana milczała, wszystko to tak się jej nieprawdopodobnem zdawało, iż przyjść jeszcze do siebie nie mogła. Obiema rączkami ujęła się za skronie.

— A! panie! — zawołała — wy to wiecie sami, jakżeby mogła odrzucić koronę i cześć taką dla mnie i dla rodu mojego? Lecz — lecz, wszystko to jeszcze brzmi mi jak dziwny sen. — Dajcie zebrać myśli i sercu niespokojnemu się ukołysać. Nie wiem co myśleć, co mówić, nie wiem co czynić!

Kaźmirz skorzystał z tej chwili niepewności i na białem jej czole złożył pocałunek, rękę jej bez oporu wziął w dłonie, pochyliła się ku niemu. Widział, że była zwyciężoną, że się poddawała, lecz tak jeszcze wydawało się to jej dziwaczne, tak niemożliwe, pomimo zapewnien króla...

— Mów, piękna Krystyno — nalegał Kaźmirz — wszak mam słowo twoje?

— A rodzina? — spytała wdowa.

— Na Boga! dość będzie miała czasu się tem uradować, gdy ją po ślubie, o nim uwiadomiemy — rzekł król z pewną dumą. — Sprzeciwiać się przecież nie mogą?

— Dajcież mi choć chwilę namysłu! — szepnęła Krystyna, głowę cisnąc rękami.

— Na co ci rozmyślanie potrzebne? — odparł król trochę zniecierpliwiony. — Ja się tu przekradając, dostałem; na dworze cesarskim nie wiedzą o mnie i wiedzieć nie powinni; powracać muszę jak najrychlej, czekać nie mogę, odkładać nie chcę... Wszystko natychmiast potrzeba ułożyć i zapewnić...

Nie potrzebujesz głosić o tem przedwcześnie, aby nowych jakich przeszkód nie wywołać. Nim dojedziesz do Krakowa, ślub nasz odbędzie się w Tyńcu. Wszystko już do niego przygotowane.

Piękna Krystyna zmięszana, to ręce załamywała, to skroń uciskała niemi; nadzwyczajne to szczęście budziło w niej przestrasz, obawę czegoś równie niespodziewanego, jak ono.

— Panie mój! — zawołała zwracając się do króla. — Przynosisz mi zaprawdę wielką cześć... nadzieję losu, jakiegom się nigdy spodziewać nie mogła... lecz — pozwól, daj mi — odetchnąć, myśl zebrać... westchnąć do Boga! Drzę cała.

Król spojrział na nią z powagą i litością razem; wstał zwolna... Przyłożył usta do jej czoła i rzekł z cicha.

— Odchodzę więc — wrócę za godzin kilka. Uspokój się, piękna Krystyno, wierz słowu królewskiemu... nie obawiaj się nic... Uczynisz mnie szczęśliwym, a ja o szczęście twe starać się będę.

To mówiąc, ujął jeszcze rękę jej drżącą, spojrział w oczy, uśmiechnął się i zwolna wyszedł z komnaty.

Rokiczana nawet odprowadzić go nie mając siły, padła na siedzenie i płakać zaczęła, sama nie wiedząc dla czego.

Jakaś trwoga niewysłowiona, bezprzyczynna, ogarniała ją — mrowieć przechodziło po ciele, serce biło. — Królową, miała zostać królową — lecz... w istocie ona nią była tu pomiędzy swojemi, pięknnością, dostatkiem, znaczeniem, a tam — królową się zwąc, miała się czuć podniesioną, dźwigniętą, — wziętą z tych poziomów na wyżyny.

Rozumiała to, iż królową zostając, straci — król był dla niej miłym mężczyzną, ale miłości dlań nie czuła, tak, jak jej dotąd nie miała dla nikogo...

Nowe życie, świetne, blasku pełne, miałoż jej przynieść szczęście?.. Tu otaczał ją cały krąg wielbicieli — a tam? tam!!

Łamała ręce. — Nie wiedziała kogo wezwać na radę, co postanowić. Odrzucić, duma nie pozwalała, przyjąć, strach bronił...

Siedziała jeszcze, ocierając łzy i dumając, gdy — wszedł, prawie przebojem, Jędrzyk.

Krystyna od dzieciństwa nawykła była do tej miłości i opieki, jaką nad nią rozciągał. Gniewał ją czasami, odpędzał ją, gdy nadto widocznie i natrętnie do spraw się jej miewał — wierzyła mu jednakże i ufała, że najlepiej jej życzy.

W tem usposobieniu, w jakim się znajdowała, Jędrzyk zdał się jej jakby zesłanym po to, aby przyniósł dobrą radę.

Kupiec skłonił się, i jak zawsze, od przeproszenia rozpoczął.

— Gniewajcie się na mnie, jeśli chcecie — rzekł — alem się tu wparł gwałtem. Posłuchajcie mnie, piękna Krystyno, Bóg świadek, nikt lepiej wam nie życzy.

— Wierzę — odparła wdowa, zbliżając się zwolna ku niemu — wierzę i dam tego dowód... Nie zdradzicie mnie?

— Ja? — odparł Jędrzyk — kładąc rękę na piersi.

— Powiem wam pierwszemu, wam może jednemu, co mnie spotkało. Król polski...

Kupiec rękami strzepnął i przerwał.

— Któż nie wie, że się on w was rozmiłował? Całe miasto o tem trąbi, a ja przychodzę, żebyście im dali odprawę, tym...

Ruszając ramionami, spojrzała na niego groźnie Krystyna.

— Król polski żeni się ze mną — odezwała się, patrząc, jakie na nim zrobi wrażenie.

Jędrzyk się szydersko uśmiechnął.

— Zwodzą was niegodziwie! okłamują! — krzyknął. — Jak on się ożenić może? od piętnastu lat ma żonę? Żyje przecież ta Adelaida.

— Słuchaj — przerwała wdowa kwaśno — król, król sam mi to mówił, z jego ust słyszałam; małżeństwo to rozerwane, ona odjeżdża do ojca — a on — żeni się ze mną.

Jędrzyk uszom nie wierzył.

— Tak jest! — potwierdziła Krystyna — tak jest. Biskup się zobowiązał ślub nam dać.

Zamyślony kupiec nie odpowiadał nic. W głowie mu się to nie mogło pomieścić.

— Ja ani praw tych tam dobrze nie znam, ani wiem, co można, a co się nie godzi, i czy królom to wolno, co drugim zakazane... ale to mi się zdaje oszukaństwem, kłamstwem...

Pamiętam, żem słytał kiedyś o jednym francuzkim królu, co się z jakąś hrabianką Merańską ożenił, żonę pierwszą odprawiwszy. A co potem było? Papież mu ją precz kazał odprawić!

Ruszył ramionami.

Rokiczana się zadumała, splotły się jej ręce, zaczęła przechadzać się po pokoju. Jędrzyk stał i głową pokręcał dziwnie. Patrzał za nią.

— Nie! — odezwała się nagle — nie! słowu królewskiemu wierzyć można. Z oczów mu patrzy szlachetność — ten człowiek kłamać nie może...

Jędrzyk drgnął i podszedł ku niej żywo.

— I wy myślicie, nikomu o tem nie mówiąc, zawierzyć i oddać się?

— Mówić o tem nie mogę nikomu. Wam powiedziałam, boście przyszli w taką godzinę, żem w sobie tej tajemnicy utrzymać nie mogła... a wierzę, iż mnie nie zdradzicie...

Odepchnąć koronę? nie chcieć być królową? — dodała. — Byłabym szaloną, ludzie by mną wzgardzili.

Chodziła po komnacie.

— O Boże! — zawołała jakby sama do siebie. — O Boże! Co pocznę? co odpowiem? Głowa pęka...

Jędrzyk westchnął, litość czuł dla niej.

— Wiecie co? dam wam radę dobrą — odezwał się cicho. — Nikt was lepiej nie oświeci nad naszego poczciwego biskupa Jana z Drażyc. Duchowny jest, tajemnicy nie wyda — a on to lepiej niż wy zrozumie...

Krystyna się namyślała.

— Nie... nie mogę głosić tego! nie mogę za radą biegać! czasu nie mam. Żłem uczyniła, żem wam to powiedziała... ale, stało się... za godzinę muszę rzec — tak, lub nie...

Kupiec długo nie odzywał się, dumiał.

— Kiedyż wam to król mówił? król, sam? spytał. Jegoż tu nie było temi czasy?

Zarumieniła się wdowa, postrzegłszy, że mogła zdradzić przyjazd Kaźmirza i zawołała żywo:

— Jak się do mnie słowo królewskie dostało, to moja rzecz... dosyć, że je mam! żem go pewna...

— A ja mu nie wierzę — rzekł kupiec — nie rozumiem... Wiele dla was uczynić można, ja to wiem, wiele ucierpieć... ale są takie sprawy, którym i królowie nie podoleją... Żony porzucić nie godzi się, a ta, co wasze szczęście oblewać będzie łzami — u pana Boga wam nie pomoże...

Na co wam jakiejś tam korony żądać? albowście między swojemi nie królową? na czem wam zbywa? Także tego króla miłujecie?

Krystyna nie zdawała go się już słuchać, chodziła zadumana.

— Jędrzyk — przemówiła w końcu — nie zdradz mnie — nie darowałabym ci tego... Co Bóg nazaczył mi — stanie się. — Niech będzie co chce...

I powiedziawszy te słowa, rozplakała się. Płacz był dziwny, mimowolny, padła na siedzenie, zakryła oczy, Jędrzyk szepnął kilka słów uspokajających, powstał, nie mogąc się doczekać słowa — na ostatek widząc, że darmoby już ją chciał przekonywać, wyszedł tak zafasowany, tak pogrążony w siebie, iż sam nie wiedział, jak znalazł się u siebie w domu...

Krystyna była — zgubioną! powtarzał to sobie — nie było już na to ratunku.

W kilka godzin potem król znowu wszedł do dworu Rokiczany, zabawił w nim z godzinę, i wymknął się z niego uradowany, wesół, Dobkowi, który z nim był, zapowiedziawszy tylko, że do podróży z powrotem jak najprędzej wybierać się mają. Brakło do niej Kochana, który tego dnia zrana wyszedłszy z domu, nie obiecał się, aż sprawę z Hasczem załatwi. Rawa bił się dzielnie, ani na mężtwie, ni na zręczności mu nie zbywało. Król chciał go mieć przy sobie, lecz dnia dłużej tu pozostać nie myślał.

— Nagoni nas — odezwał się do Dobka — czekać tu, niebezpieczna dla mnie rzecz. Nużby się na dworze dowiedziano?

Będą później mówić o tem? złoży się na puste pogłoski...

Zaczęto się już przysposabiać do drogi, gdy pacholę od Wujka, wysłane do klasztoru, przybiegło z wiadomością, że Kochan dosyć ciężko cięty mieczem w rękę, leżał i — potrzebował dni kilkunastu, aby się rana przygoiła.

Król zżymał się na to, lecz orszakowi kazał stawać do podróży, mnichom szczodry zostawił datek i Dobkowi kazał prowadzić się do kamienicy Wujka, bo chciał Kochana widzieć i pomówić z nim na osobności.

Ponieważ dzień jeszcze był jasny, ważył Kaźmirz wiele — lecz tak był na duchu swobodnym i śmiałym, że go to prawie bawiło, iż miał niepostrzeżony w tłum się wmięsząć i niepoznany się przemykać po mieście.

Kochan leżał, tylko co obwiązany, i rozprawiał z gospodarzem o swoim spotkaniu, — gdy na progu ukazał się król.

Jakiś czas Rawa, zobaczywszy go, nie mógł oprzytomnieć i nie wiedział co począć. Kaźmirz dał mu znak, aby odprawił świadków niepotrzebnych.

Zostali sami.

— Musisz w Pradze siedzieć — rzekł Kaźmirz prędko — ja jadę tej chwili. Pilnujże mi tu Rokiczany. Słowo mi dała. Trzeba, abys ją wyprawił do Krakowa, a naprzód do Tyńca, gdzie Opat ślub nam da... Niech jedzie, niech co najprędzej jedzie — a ty, kiedy się tak złożyło, razem z nią.

Wierzynek ci przysze pieniądze. Zwlekać nie dawaj.

Kochan nie miał czasu odpowiedzieć słowa, król już się otuliwszy płaszczem, z wesołą twarzą nazad zawracał.

— Rana ci się wynagrodzi, boś ją dla mnie dostał — dodał — nie frasuj się zbytnio. Przybywaj skoro... zdrów bywaj...

O ile mógł dla ręki, pochylił się Rawa do kolan króla, który raz mu się jeszcze do-
brotliwie uśmiechnąwszy, wnet wyszedł i już na koń siadał.

Rannemu przez kilka dni z domu się ruszyć nie było podobna — lecz pielęgowanym był dobrze przez troskliwą Zonię i przez lekarza izraelitę, który naówczas tam szczególnie z leczenia ran był sławnym.

W Pradze bytność króla nie została rozgłoszoną, Jędrzyk milczał, Rokiczana, chociaż czyniła przygotowania do podróży, kryła się z niemi. Kaźmirz zalecił jej na odjeźdne, ażeby o małżeństwie wczasu nie głosiła.

Niepewność i obawa pierwszych chwil ustąpiły zupełnie, nadzieja zostania królową wzięła górę i rosła z dniem każdym, świetnie malując jej przyszłość. Jędrzyk, który próbował jeszcze zachwiać jej postanowieniem, odprawiony został tak stanowczo, że wracać już nie śmiał. I on zachwiał się też... Rozumiał to dobrze, że nadziei tak wielkiego szczęścia, takiego losu, bogata mieszczka odrzucić nie mogła.

Wdowa z rodziną swą, z bratem męża, nie mówiła o tem wcale, można w niej tylko było poznać jakąś zmianę wewnętrzną — rosnącą coraz dumę i samowolę.

W domu i ze wszystkimi stała się już za wczasu królową. Nie cierpiała sprzeciwiania się najmniejszego...

Ludzi widywała mniej niż zwykle. Hanscha odprawiła zupełnie, zamknęła się w domu.

Powiernicą przygotowań była tylko ochmistrzyni i — Zonia, którą, dotrzymując słowa, nastęrczył Kochan, poręczając, iż tajemnicy nie wyda... Pięknej dziewczeczce szło nadto o to, aby się na dwór królowej dostała — by tajemnicy nie dochowała.

Rana goiła się dosyć szybko.

Żyd miał jakiś balsam cudowny, który przyspieszał zabliznienie, plaster, którym okładał, i tajemnicze środki, z pomocą których prędkie uleczenie obiecywał. Rawa, choćby już może z podwiązaną ręką mógł się wybrać do Krakowa, umyślnie pozostawał, aby towarzyszyć Rokiczanie.

Trudnością było największą tak z Pragi ująć, aby przedwcześnie nie zdradzić się i nie zwrócić na siebie oczów rodziny, któraby, nie wiedząc o celu podróży, stanęła jej na przeszkodzie.

Rokiczanie z pewnem podejrzeniem spoglądali od niejakiego czasu na bratową, śledzili ją, zdawali się czegoś domyślać. Dopuszczyć jej zostać miłośnicą, choćby królewską — nie mogli. Byliby siłą zatrzymali.

Kochan więc doradzał, aby wdowa chorą się uczyniła i zamknęła w domu. On orszak, mający towarzyszyć jej zebrać, trzymać pogotowiu na zawołanie się zobowiązał. Stara ochmistrzyni miała dla niepoznaki pozostać, i opowiadać o chorobie, a Zonia towarzyszyć w podróży...

Naglił ulubieniec królewski, sam ciąglemi posłańcami przynaglany, i w końcu jednego wieczora Rokiczana, której skrzynie, stroje i klejnoty już były wprzód wyprawione, wysunęła się tylną furką, przeszła, gdzie na nią czekały konie i wymknąwszy się za starą Pragę — ruszyła z bijącym sercem... do tego marzonego szczęścia i korony, dla której poświęciła wszystko.

Na dzień naznaczony król Kaźmirz przybył do Tyńca w niewielkim orszaku dworzan, z kilku znacniejszymi państwa urzędnikami, lecz ani na jego twarzy, ani na obecnych przy

nim świadkach przyszłego wesela nie było widać tej radości, tego spokoju, jaki przynosi spełnienie upragnionego i dawno postanowionego czynu wielkiego znaczenia.

Wszyscy ci, którym król zwierzył się i objawił im, że Opat Jan, ślub z Rokiczaną dać mu przyrzekł, — przyjęli to milcząco, smutnie, nieśmiało objawiając wątpliwość, czy małżeństwo to ważnym będzie, a potomstwo uznanem.

Ludwik, naznaczony przyszłym spadkobiercą korony, w razie gdyby potomka płci męskiej zabrakło, miał przyjaciół wielu w najbliższym kole króla, w rodzie jego. Złe języki mówiły o przekupieniu, o ujęciu darami i obietnicami, łączyły się z tem u rycerstwa inne może pobudki; król Ludwik zapewniał ziemianom i temu właśnie stanowi, który najmniej był od Kaźmirza w ciągu panowania jego otrzymał, — a czuł się upośledzonym — przywileje nowe, swobody, na przyszłość dać mu mające wielkie znaczenie.

Zemianie z tego powodu, ujęci przyrzeczeniami królowej Elżbiety i jej syna, a mniej mogąc się spodziewać od pana młodego, któryby większe miał do tronu prawa — skłaniali się ku Ludwikowi — spoglądali więc na małżeństwo nowe okiem niechętnym. Duchowni, nawet najbardziej królowi oddani, zgodnie mówili, że ślub, gdyby go Opat dać się ważył, w oczach kościoła nie będzie mieć żadnego znaczenia.

Sam ks. Jan, który w chwili jakiegoś uniesienia, lekkomyślnie się zobowiązał, niespokojny, poszedłszy po radę do uczonych w kanonicznym prawie, przekonał się, iż miał popełnić czyn zuchwały, a nie obowiązujący w przyszłości króla do niczego, oprócz pokuty.

Wątpiono też, czy Opatowi może to ująć bezkarnie.

Nie wielu się zwierzywszy, ks. Jan tak został przez nich oświecony, iż, gdyby nie dane królowi słowo — cofnął by się był może.

Lecz był to człowiek, w którym więcej rycerskiego tła ducha, niż było kapłańskiej surowości — powiedział sobie, iż spełni, do czego się zobowiązał, i wszystkie następstwa czynu zniesie. Nie wątpił, iż król go bronić będzie i nie da mu ginąć...

Rokiczany w Tyńcu nie było jeszcze — gdy w bramach starego Opactwa ks. Jan uroczysto przyszedł przyjmując Kaźmirza i poprowadził go do obszernych komnat na przyjęcie przygotowanych, po za obrębem klauzury wzniesionych.

Król i Opat, gdy spojrzeli na siebie, wyczytali w twarzach swoich — nie to, czego się spodziewali. Kaźmirz niespokojny był i podrażniony, ks. Jan źle ukrywał wątpliwość, która go dręczyła. Nie umiejąc i nie chcąc się tać przed Kaźmirzem, zaledwie sami zostali w małej bocznej komorze, na spoczynek przeznaczonej, gdy Opat skłopotany widocznie, pospieszył z wyznaniem, które mu ciążyło.

— Miłościwy Panie — rzekł — jestem zmuszony przyznać się do grzechu. Miłość moja dla was to sprawiła, że to, czego pragnąłem, wyobraziłem sobie możliwem... Tu westchnął ks. Jan.

— Niestety! — rzekł — Niestety! widzę, że się omylił. Ślub dać mogę i muszę, lecz żelazne te prawa nasze duchowne, z których się wyłamać niepodobna — przeciwią się temu związkowi. Wszyscy prawnicy nasi twierdzą iż małżeństwo nie będzie miało wagi.

— Nie mogę tego zataić miłości waszej. Tembardziej, iż idzie o dziedzica korony, gdyby Bóg nas nim pobłogosławił — u Papieża się łatwo postarają, by ślubu mojego nie uznał. Bądź co bądź, królowa, chociaż ją ojciec do Niemiec zabiera — żyje... Ślub z nią był prawny... Gdybyż miłość wasza ani dnia z nią nie żył... dałby się związek unieważnić... Lat piętnaście nie protestowaliście.

Król spuścił głowę smutnie, z rodzajem rezygnacji obojętnej.

— Toż samo słyszałem od innych, — rzekł z cicha. — Lecz, na słowie waszem polegając, ja też dałem słowo tej kobiecie, która tu ma wkrótce przybyć — ja mojego cofnąć nie mogę. Nie byłoby rycerskiem — uczynić zawód, a za grzech, jeżeli go popełnim, odpokutujemy...

— Stało się — dokończył król smutnie... Walka z losem, który mi odmawia syna, zapędziła mnie za daleko...

Wyjdę z niej zwyciężonym, bo los i wola Boża silniejsze są od nas — ale chcę walczyć do ostatka... któż wie?... Pan Bóg się ulitować może.

Opat nie odpowiedział nic — ten sam smutek jakiś i zakłopotanie, które widać było na królu i Opacie, malował się w twarzach wszystkich przybyłych. Niemilem okiem

patrzano i na to, że król tak wielkiego państwa zaślubiał niewiastę nierównego mu pochodzenia. Patrzano na to, jak na krzywdę wyrządzoną koronie, którą nosił na skroni. Kaźmirz spotykał do koła wejrzenia jakieś dziwne, chłodne, niemal nadąsane. Sam on też nie mógł się zdobyć na wypogodzenie twarzy, na usposobienie weselsze.

Miłość dla Rokiczany zrodziła się jakoś w tak dziwnych warunkach, przyszła tak szybko, rozwinęła się tak kunsztownie, pod naciskiem gorących pragnień i nadziei, że teraz, gdy piękna Krystyna miała mu oddać rękę, król się niemal dziwił w duchu sam sobie, iż tak nierozważnie, pospiesznie sobie postąpił.

Właśnie gdy miał jechać do Tyńca, doniesiono mu, że Adelaida, którą ojciec do Niemiec zabierał, od niejakiego czasu chora, czuła się źle bardzo, a lekarz przyboczny, nie długie jej obiecywał życie.

Mógł więc król owdowiały, stosowniejszy, jawny wybór uczynić i zawrzeć śluby, któreby nie miały na sobie tej cechy nieprawości jakie zapowiadano małżeństwu temu. Nie chciał się już cofnąć — wysłany orszak naprzeciw Rokiczany, tegoż wieczora przywiódł ją do Tyńca. Kaźmirz, siłą się na okazanie radości, wyszedł naprzeciw niej.

W kościele wszystko już przygotowanem było do ślubu.

Ks. Jan w Infule swej, z pastorałem, otoczony licznym orszakiem duchownych, wyszedł przed ołtarz...

Małżonkowie stali przed nim... Z pośpiechem, z obawą jakąś, niezrozumiałą dla pani młodej, Opat dopełnił obrzędu, związał ręce, pobłogosławił i król z młodą żoną natychmiast puścił się w podróż do Krakowa...

Z przyczyny trwającego sporu z Biskupem krakowskim, oznajmił zaraz Krystynie, iż małżeństwo pozostać musi do czasu jeśli nie tajemnicą, to przynajmniej rzeczą dla świata nie ogłaszaną.

Piękna Krystyna przyjęła ten wyrok w milczeniu posępnem. Rękę, którą król trzymał, wyrwała, twarz obróciła w drugą stronę. Było to pierwsze nieporozumienie dwojga ludzi, nieznających się prawie... zapowiadające nie większą miłość, mającą rozkwitnąć z pączka, lecz podrażnienie, nieufność i spory...

— Dla mnie — rzekł król — jesteś żoną, — nim zostaniesz królową czekać potrzeba.

Rokiczana nie odpowiedziała nic, dumnym milczeniem przyjęła to i zamknęła się zaraz w swoich izbach, czyniąc chorą. Kaźmirz próbował ją ulagodzić i został odrzucony. Królewska duma rozbudziła się w nim. — W kilka dni po ślubie wyjechał na łowy, zostawując ją samą. Rokiczana płakała nie z żalu po nim, lecz z gniewu i obrazy miłości własnej.

W Krakowie, oprócz Kochana, który zdawał się jej być życzliwym, nie miała jednego człowieka, jednej twarzy przyjaznej. Wszyscy patrzali na nią nie jak na królowę, lecz jak na zawadę, niemiłą i upokarzającą. — Nie zbliżał się nikt do niej, nie starał o łaski, jak gdyby przeczuwano, że żadnego mić tu nie będzie znaczenia. Śmiałe pokuszenie się króla o żonę drugą, ganiono głośno i powszechnie.

Znajdując ją gniewną, nachmurzoną, zapłakaną, rozpaczającą z powodu obojętności męża, Kochan doradzał, aby łagodnością, pokorą go starała się przejednać i zbliżyć do siebie.

Na to się ona zdobyć nie mogła. Domagała się praw swoich, czyniła wyrzuty i wymówki, a król za każdą bytnością u niej wychodził więcej zrażony i chłodniejszy...

Kochan widział już, że małżeństwo będzie nieszczęśliwym, zmieszało go to, iż począwszy od Opata, wszyscy zgodnie mieli je za nieważne.

Rokiczanie wątpliwość nawet żadna nie przychodziła na myśl... była pewną, iż ślub dany przez biskupa (bo ją z błędu nie wywiedziono) — nie może być ani naruszonym, ani złamanym...

Kaźmirz obojętniał i ostygł... Wśród tego życia, które zaledwie rzadkie jaśniejsze chwile znośnem czyniły; ludzie już przygotowywali plany na przyszłość...

Mówiono otwarcie o pozbyciu się dumnej czeszki, o wyszukaniu królowi młodziej, większego rodu i słodsze go charakteru towarzyski.

Rokiczana nie dała się złamać przeciwnościami — zamiast zyskiwać serca, jątrzyła wszystkich skargami, obejściem się szorstkiem, wymaganiami coraz większemi. Ludzie od niej uciekali...

Króla odrywały sprawy ważniejsze, w których szukał pociechy, jakiej w domowym nie miał pożytku... po spisaniu praw, ustanowieniu trybunału na Wawelu, po uporządkowaniu żup solnych, budowanie miast i zamków pochłonęło go całkowicie.

Dotychczas wszystkie one niemal były drewniane, wałami ziemnymi i ostrokołami a rowami otoczone, słabe tak, że lada napaści oprzeć się nie mogły.

Z końca w koniec tych ogromnych przestrzeni, któremi władał Kaźmirz, potrzeba było dla obrony, dla bezpieczeństwa, wznosić mury, które jedne nowym środkiem oblężniczym, podrzucaniu ognia, łatwemu obaleniu ścian taranami, mogły się dłużej opierać.

Stała już w murach, droga Łoktkowi Wiślica, obmurowywano Płock, trzeba było stroić zamki na zdobytej Rusi, — i wszędzie, gdzie tylko nieprzyjacieli mógł się dostać, a gdzie na tych szerokich płaszczynach, które jedne tylko słabsze rzeki broniły, w zimie mrozem ścinane, wróg nie mógł bez przeszkody się zapędzić?...

Kaźmirz miał na sercu dźwignienie miast i zamków, wstydił się starych lepiarek, owych gródków z chróstu i gliny, — owych szop z bierwion sosnowych, stosów, które lada ogień obracał w perzynę... Każda podróż jego po kraju, każda wycieczka, wywoływała nowe rozkazy — gdzie gród miał stanąć i ściany potężne.

Myśl ta zostawienia po sobie kamiennych grodów, któreby wiekom, jego imię potarzały, tak go teraz zajmowała żywo, tak gorąco, jak wprzód Wiślickie ustawy.

Jednym z ulubieńców, na równi z ks. Suchywilkiem, stał się Waclaw z Tęczyna.

Zazdrościli mu wszyscy...

Człowiek był wielkiego rodu, małego już mienia a osobliwego wyposażenia na owe wieki, gdy Toporczyk, dziedzic jednego z najstarszych szczytów rycerskich w Polsce — nie mógł mieć innego powołania nad wdzianie zbroi i władanie orężem...

Toporczykowie rozrodzeni już byli i wiele gałęzi ich, szczupło wyposażonych, — czekało na odkwitnięcie lepszego losu, spadku, małżeństwa lub nadań królewskich. Waclaw za młodu rycersko się począł kształcić; potem do stanu duchownego namawiano go, prorokując mu najwyższe dostojeństwa. Zwrócił się do szkoły, do ksiąg i udał za granicę, do tych Włoch, które były jeszcze zawsze bogatą skarbnicą — wszystkie z niej narody czerpały.

Tu Waclaw z Tęczyna, patrząc na wspaniałe szczątki starożytności rzymskich, na nowe gmachy, grody, miasta wznoszące się na wierzchołkach gór, na ruinach odwiecznych, rozmiłował się w budownictwie, w kamieniach, które myśl ludzką zmuszone było opowiadać i ubezpieczać wojnami, pożogą zagrożone ludzkie życie.

Ziemianin, rycerz, stał się dobrowolnie kunsztmistrzem... Nie mogło go nic odwieść od przypatrywania się sztuce, z jaką tu ludzie kamienne hymny śpiewali na cześć Bożą, — otaczali głazami swe ogniska domowe, zabezpieczali swe skarby i pracy owoce. W Polsce nic podobnego nie było, a być mogło.

Upojony tą myślą, powrócił młody Waclaw do kraju i wprowadzony na dwór królewski, z taką żywością począł przed Kaźmirzem rozpowiadać o widzianych cudach, o tem, co się z ich tajemnic nauczył, iż król przejęty — powołał go jako swą rękę prawą, do wznoszenia grodów.

Ludzi, pieniędzy, kamieni — wszystkiego mu obiecywał dostarczyć. Wielka myśl obwarowania kraju, uczynienia go podobnym do tych, które go wyprzedziły, ogarnęła zarówno obu.

Z zazdrością spoglądano na tego nowego ulubieńca, do którego król się z każdym dniem przywiązywał więcej. Gdy rodzina i powinowaci Toporczyka koso patrzyli na tego rycerza, który kamieniarzem i murarzem być się ważył, król go zwał przyjacielem, pomocnikiem, sadzał do swojego stołu, całe godziny z nim spędzał na rozmowach, miłował go tak, jak on kochał ten kunszt, który z sobą zdobyczą przywiózł od obcych.

W godzinach tych, gdy z królem rozprawiali o wszystkim, czego Polsce ówczesnej brakło, co chcieli jej dać we dwu, Kaźmirz zapominał o wszystkim: o Rokiczanie, o dawnych smutkach i nowych zawodach; cieszył się tem, że kraj po sobie zostawi obdarzony prawem silnem, uporządkowany, zagospodarowany, zbogacony, powiększony, mocniejszy niż był, a w nim miasta jakby serca bijące, z których życie się rozpywać miało, w nim kmieci pod opieką sprawiedliwości, osadników obcych, mnogich przybyszów, bezpiecznych, szczęśliwych, mających się stać synami tej ziemi, którą uprawiali.

Pociecha wielka spływała mu na serce... i mówił sobie w duchu.

— Nie zostawię potomka, lecz potomstwem mem będą grody, sądy, ludność rozrodzona pokojem i te gmachy moje, które wieki przetrwają.

Często po rozmowie takiej z Waławem z Tęczyna, gdy ten i ów gród wspomnieli, zrywał się król natychmiast, jechać, oglądać i obmyślać, jak być miał obwarowany. I nic go wstrzymać naówczas nie mogło, zapominał trosk, nie pragnął innych rozrywek, siadał na koń z małą garstką ludzi, z Waławem swym u boku, biegł oglądać położenie, szukać środków prędkiego wykonania swej myśli, z żup wielickich najczęściej naznaczając znaczne sumy dla przyspieszenia budowli, które pod okiem ulubieńca z dziwnym pośpiechem się wznosiły.

Budował król, naśladowali go inni, Bodzanta wznosił ów bajeczny pałac, na który ciągle pieniądze dawał bratu, a niemiał go ujrzyć nigdy; murowali po miastach kupcy, ziemianie po swych wioskach...

Jak słońce wiosenne wywodzi z ziemi ziarna w niej uszione, tak Kaźmirza opieka tworzyła naówczas ludzi; ks. Suchywilka, Wierzynka, Waława z Tęczyna, — były to jego ducha dzieci...

Miał tę gorączkę czynu Kaźmirz, która myśli powziętej nie dawała usnąć w powiciu. Raz ją powziąwszy, król z równą niecierpliwością doprowadzał do skutku, jak ożeniecie z Rokiczaną, jak wszystkie inne swe sprawy... Lecz gdzie o szczęście szło własne, spotykał prędko przesyt i rozczarowanie; — gdzie szło o sprawę kraju, tam go nic zrazić nie mogło. Tak długo przygotowywanego statutu wiślickiego, nie dozwolił oporowi ziemian, niechęci duchowieństwa, — wyrzecz sobie, — nie zważając na szemranie ogłosił go i położył na nim kamień węgielny prawodawstwa przyszłego Polski.

Kochan z zazdrością pewną spoglądał na tych ludzi, co jak Suchywilk, Wierzynek, Waław z Tęczyna, umieli królowi służyć, nie czyniąc zawodu, nie ściągając wymówek — on nie umiał nic więcej nad dogadzanie fantazyom jednodniowym, które zawsze potem niesmak i zgryzoty obudzały.

Nie czynił mu wymówek Kaźmirz za ów związek z Rokiczaną, już ciężący mu, chociaż w istocie Kochan był jego sprawcą, a chwilowy jakiś popęd i obietnica Opata Jana — dokonały reszty.

Rawa, jak tylko dostrzegł, że Kaźmirz dumą, uporem i chłodem pięknej Krystyny zrażony był — począł już przemyślać nad pozbyciem się jej. Dla niego najpierwszem było panu usłużyć, a ofiary, jakie usługa miała kosztować, wcale go nie obchodziły.

Niemile pożył z dumną czeską, która się natarczywie i nieustannie korony upominała i tytułu królewskiego, więcej niż kiedy króla wypędzały z domu.

Dosyć było wzmianki Waława o nowym zamku — który miał lub mógł zbudować, aby król rozkazał zaraz gotować się do drogi i ruszył oglądać miejsce, obmyślać robotnika i pieniądze, jakie budowa miała kosztować.

Z jednej z takich wycieczek Kaźmirz powracając, miał noc przepędzić w Opoczynie; królewscy stanownicy wyprzedzili go kilku dniami wprzód, aby mu obmyśleć wygodny spoczynek...

Na łowach, w podróżach pospiesznych czasu wojny, Kaźmirz się umiał, jak ojciec, łada namiotem lub szałasem obchodzić, gdy kraj objeżdżał jako gospodarz, zatrzymywał się wszędzie, chętnie rozmawiał ze wszystkimi, począwszy od sołtysów i kmieci, musiano szukać dlań izby czystej i pomieszczenia dla dworu. W takich wycieczkach często, gdy albo miejsce lub ludność uderzyła króla, zamiast jednej nocy, spędzał dni kilka.

Tam gdzie głód, nieurodzaj, wylew wód, dotknął lud wiejski, król posłyszawszy skargi, natychmiast szukał środków zaradzenia klęsce. Najczęściej trafiało się, że ci, co nie mieli chleba, powoływani byli do kopania kanałów, do znoszenia budulcu, kamieni, cegły i wznoszenia murów, których Kaźmirz był tak łakomy. Klęska opłacała się krajowi, dając mu grody nowe, gościńce i splawy.

Gdy Stanownicy zwany Greczynem, a przez innych Hreczyną, przybył do Opoczna obejrzeć się za domem dla króla w miasteczku, w początku zafrasował się wielce, nic znaleźć nie mogąc takiego, coby dla pana i orszaku jego starczyło. Jedyne obszerniejsze i wygodniejsze domy w mieście były własnością żyda, a Hreczyna, stary człek przesądny, choć wiedział, że król żydami, jak innymi mieszkańcami królestwa, opiekował się chętnie — miał wstręt do szukania gospody u niewiernego. Aaron, żydowin zresztą, nie był

jednym z pospolitego gminu izraelskiego, który już wówczas znaczną część mieszkańców małych i wielkich miast stanowił.

Pokrewny dzierżawcy żup wielickich Lewka, kupiec słynący z bogactw, prowadził on handle znaczne, a głównie trudnił się sprzedażą wyrobów złotniczych i drogich kamieni, których dostarczał możnym i skarbcom kościelnym — Aaron oprócz tego, który wiele sam widział świata i przepodróżował niemal całą Europę, był człowiekiem, jak mówiono, nauki i rozumu wielkiego, wiadomości rozlicznych — i, gdy go nie zajmował handel, siedział nad księgami. Miano go niemal za czarownika i obawiano się, ale szanowano razem, bo wielu dobrze, a nikomu nic nie czynił złego.

W chwili gdy Hreczyna po miasteczku się kręcił, i nie wiedząc jak sobie da rady, kłął ciężkie obowiązki stanowniczych, — z obwarowanego jak twierdza domu Aaronowego wyszedł mąż bardzo poważny, czarno w jedwabie ubrany, z wysoką laską okowaną srebrem w rękę, w kółpaku sobolim, i rozpytawszy się, wprost zbliżył do Stanowniczego.

Chociaż izraelity się w nim domyślał Hreczyna, a wstręt miał do nich wszystkich — ten, który się doń zbliżał, tak miał poważną postawę, niemal pańską, tak sam jego strój skromny ale kosztowny zapowiadał zamożność, iż stary sługa królewski na ukłon jego odpowiedział niemal grzecznie.

Aaron, gdyż on to był sam, nie szedł bez posługi i towarzyszków. Tuż za nim kroczyło dwóch młodych izraelitów, odzianych przystojnie którzy na służbie u niego być musieli.

Hreczyna nie mógł się domyśleć, czego żyd chciał od niego.

— Mówiono mi, odezwał się stary lecz bardzo jeszcze krzepki izraelita — ręką witając Hreczynę, że wasza miłość szukacie dla króla naszego gospody...

— Tak jest — tak — odparł Hreczyna.

Aaron brodę pogładził i ręką wskazując na dom z którego wychodził — dodał.

— Mój skromny dom na usługi wasze. — Nie będzie on może godnym tak wielkiego pana a monarchy, ale w Opocznie nie znajdziecie lepszego, a w podróży król niewiele wymaga.

Będę bardzo szczęśliwym...

Hreczyna byłby może ofiarę odrzucił, lecz nie miał wyboru, domu nie znalazł — a czas upływał.

— Proszę was przestąpić próg mój i spojrzeć... rzekł Aaron, — ja się z rodziną wyniosę, choćbym na podwórzu lub w szopie obozować miał, byle mnie to wielkie szczęście spotkało...

Mówiąc to, Aaron prowadził już Stanowniczego. Weszli przez warowne wrota w obszerny podwórzec, na którym stało kilka wozów ładownych, zaledwie wyprężonych. Dokoła otaczały go szopy i składy, stajania dla koni i różne proste ale kształtne dosyć budowli. Z jednej strony był dwór duży, powierzchnością niezbyt uderzający, w części murowany, częścią po staroświecku z drzewa wzniesiony.

Aaron wskazał naprzód szopy, obiecując, że je dla orszaku króla opróżnić każe, potem wiódł do wnętrza dworu. Mało go kto znał, jakim był wówczas, bo oprócz jednej większej komnaty, w której Aaron przyjmował, inne były dla odwiedzających go nieprzystępnymi...

Izba ta pierwsza niczem się nie odznaczała oprócz czystości wielkiej, rzadkiej owego czasu, nawet po dworach ziemian i duchowieństwa...

Okna tylko zamiast błon pospolitych, miały szklane szyby w ołów oprawiane, co jeszcze wielki stanowiło zbytek. Prędko przeszedłszy tę komnatę, którą ręką wskazał tylko Aaron, otworzył drzwi do drugiej, a tu — widok niespodziany wcale, zdumione oczy Hreczyny uderzył.

Izba była takiej wielkości jak pierwsza, lecz niemal z przepychem urządzona i przyozdobiona... Pułap drewniany rzeźbionymi kwadratami był okryty, ściany miały obicia tkane, podłoga kobiercami była usłana. Do koła ławy, siedzenia, szafy z dębowego drzewa misternej roboty, pochodzić musiały z obcych krajów, gdyż podobnych im jeszcze nie robiono w Polsce...

Kosztowne i piękne naczynia cynowe, srebrne, szklane, kamienne, widać było na policach... Dostatek wielki, pański zdumiał Hreczynę, który głową potrząsał.

Nie dosyć na tych dwóch, Aaron wskazał jeszcze trzecią komorę, najmniejszą, gdzie i łoże piękne, z namiotem, i wszystek sprzęt był potrzebny w sypialni.

— Starczy to dla pana naszego, rzekł żyd, obracając się do Hreczyny — szczęśliwym będę służyć panu mojemu, któremu wielką winienem wdzięczność.

Komu innemu — dorzucił ciszej, nietylko bym nie otworzył domu, ale bym się od gospody wykupił, bo wiem, że żydowi z dostatkiem się odkryć — nie jest rzeczą bezpieczną — ale nasz król!

I gospodarz ręce białe, niespracowane, chude, lecz pięknych kształtów, podniósł do góry...

Hreczyna ofiary odrzucić ani mógł, ani myślał — skłonił głowę. Oglądał się ciekawie, oczom prawie nie wierząc, aby u prostego kupca, w skromnym dworze, taki zbytek i takie się mogły znajdować dostatki.

Twarz Aarona rozjaśniła się, i natychmiast odprowadzając do pierwszej komnaty Hreczynę, dał znak jednemu ze sług, aby podróżnemu napój powitalny podano...

Zmęczony Stanowniczy, rad był i temu, a zwłaszcza, że wino, które mu przyniesiono, doskonale było, a łakocie zagraniczne smakowały po podróży...

Natychmiast Aaron wydał rozkazy, aby podwórze i szopy opróżnić, sam zajął się usuwaniem ksiąg, zwitków i sprzętów, które mogłyby razić gościa, jako nadto izraelitę przypominające. Liczna dosyć służba, choć znaczna jej część lichy była odziana i odarta, zaczęła się krzątać, zamiatać, kadzić wonnościami wschodnimi, znosić zewsząd jeszcze sprzęt, jaki się wydawał potrzebny.

Aaron bardzo pragnął wiedzieć, kiedy król przybędzie, gdyż wymawiał sobie tę cześć, aby sam mógł Kaźmirza w swoich progach powitać.

Do wieczora ze Stanowniczym byli już w najlepszych stosunkach, Hreczyna obdarzony, nakarmiony, napojony, rad, że panu wygodny a mało służbę kosztujący pracy zgotował odpoczynek — niemal z poszanowaniem obchodził się z Aaronem.

Tegoż dnia pod noc króla się spodziewano. Była to znowu wiosna, ciepła już, wczesna i piękna bardzo...

We dworze, którego część przeznaczona na królewską gospodę, była oddzieloną od mieszkań pozostałych rodzinie Aarona, ruch panował wielki, Goniec wysłany, zapowiadał przybycie Pana... W rynku przyległym, w ulicach, cała ludność okoliczna stała, czekając na przyjazd królewski. Miał już Kaźmirz tę wielką miłość u swego ludu, szczególniejszego, której pamięć dany mu przydomek przechował... Co tylko żyło, wyglądało go... Duchowieństwo stało u drzwi kościoła, ziemianie, którzy się dowiedzieli o przejeździe, osobną stali gromadą na koniach...

Słońce zachodziło, gdy orszak królewski się ukazał.

Król w podróży i wszędzie dosyć lubił występować ze wspaniałością monarszą; niezbyt liczny poczet króla odznaczał się tem, że europejską miał więcej, niż dawnego obyczaju postawę. Zbroje, suknie, rzędy na konie, wozy, wszystko było z francuzka, z niemiecka, z włoska, ale zastosowane do miejscowej potrzeby.

Sam król jechał konno, a że mu powiodło się nowych kilka zamków kazać zakładać — a w Rusi szczególniejszej dbałym był wielce o nie, aby mu do utrzymania jej dopomagały — twarz miał wesołą, uśmiech na niej dobrotliwy...

Zsiadł naprzód u drzwi kościelnych, aby przyjąć błogosławieństwo kapłańskie, wszedł na chwilę do małej świątynki, i nie dosiadając już konia, bo mu Hreczyna blizką wskazywał gospodę, pieszo poszedł ku dworowi Aarona.

Stanowniczy wiedział, iż gospodarz sam przyjmować miał u progu króla... W istocie, w bramie już czarny jego płaszcz długi widać było, lecz obok białł jakiś strój i jakaś postać, której Hreczyna sobie wytłómaczyć nie umiał.

Gdy się zbliżyli — obok Aarona ukazała się kobieta, a piękność jej tak nadzwyczajnie była uderzającą, że na widok jej Kaźmirz stanął zdumiony, i cały orszak mu towarzyszący osłupiał niemal.

Było to dziewczę kilkunastoletnie, takiego oblicza, takiej świeżości płci, takich rysów pańskich, szlachtetnych, wdzięcznych, iż królewnaby ją nazwać prędzej było można, niż dzieckiem izraelskiem.

Strój też od pereł, jedwabów, klejnotów, wykwinny, bogaty, przyczyniał się do podniesienia wschodniej tej piękności, która choć wcześniej przekwita, w pierwszych latach młodości niezrównanego jest blasku. Ogromne oczy czarne, rzęsami długimi na pół

przykryte, śmiało i z uczuciem wielkiem wlepiła zdala już w króla... W białych rękach, trochę drżących, trzymała złocistą misę, pokrytą jedwabnym ręcznikiem złotem szytym...

Pomimo wzruszenia, jakie się na jej cudnej malowało twarzyczce, widać w niej było odwagę, którą daje młodość i królewska potęga piękności...

Król oczów nie mógł oderwać od tego zachwycającego zjawiska.

Za zbliżeniem się jego, Aaron ręką wskazał na nią, i pochylając się nisko, odezwał:

— Miłościwy panie — niech będzie błogosławiony dzień i godzina, w której raczyłeś przestąpić próg domu mojego. To jedyne dziecko moje, które tobie jest życie winno, i nie zapomniało o tem... Przyjmijcie od niej upominek...

Na wzmiankę o tem, że piękna owa żydówka królowi życie miała być winną, wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni, Kaźmirz zaś natychmiast przypomniał owo dziecię, które wraz z pokrwawioną matką w czasie wzburzenia przeciw żydom w Krakowie, wyrwał z rąk oprawców...

Teraz nawet w tej rozkwitłej piękności mógł poznać ową dziewczeczkę, cudnie już wówczas piękną, gdy przerażona, pół omdlała, pod płaszczem jego się tuląc, na zamek z nim biegła.

Aaronowa córka przyklękła przed królem, podnosząc ku niemu misę, którą w rękach drżących trzymała... Ręce jej drżały, lecz oczy, cudne te oczy czarne, z niewymownym wyrazem czci i miłości na Kaźmirza śmiało były zwrócone, mówiły mu, zastępując usta, jak żywą wdzięcznością biło serce...

Schylił się nieco król, dar z rąk jej przyjmując — i bardziej jeszcze został przejęty, gdy srebrnym głosem, czystym językiem polskim, młode dziewczęcę odezwało się do niego...

— Chciałam tylko dnia tego dożyć, aby widzieć mojego pana i dobroczyńcę. Uczylałam się języka, aby nim podziękować.

Z uśmiechem pochyliła się do stóp króla, który podniósł ją prędko i wesoło się odezwał.

— Cóż za śliczny kwiatek z tego pączka pięknego się rozwinął. Jak jej imię?

— Moje imię Esthera — odpowiedziała zarumieniona, lecz odważna dziewczyna.

Idący tuż za królem kapelan, szepnął, krzywiąc się.

— *Nomen, omen!* bogdajby się nie wywróżyło i to jeszcze...

Aaron z córką wiedli króla do izb mu przeznaczonych.

Dwór szedł za nim, zdziwiony trochę, uśmiechając się, ramionami ruszając, niektórzy wielką łaskawością i uprzejmością, jaką król okazywał dla żydóweczki, zgorszeni, inni szydersko na nią spoglądając — a kapelan obruszony i gniewny.

Aaron, wwiódłszy Kaźmirza do izb, których woń wschodnia była upajającą, wskazał stół bogatym obrusem nakryty, naczyniem srebrnem pozłocistem zastawiony, i prosił, by posiłek przyjął raczył.

Najdroższe wina, przyprawy, najwytworniejsze ówczesne łakocie, półmiski ryb i zwierziny czekały na króla.

Z wielką śmiałością, z uśmiechem uroczym, Esther prosiła, aby król pozwolił jej usługiwać sobie. Sama podała mu misę, nalewkę i ręcznik do umycia, i gdy Kaźmirz pierścienie zrzucił do umywania, trzymała je, póki nie otarł rąk. W czasie posługi tej, uśmiech z jej ust nie schodził, wejrzenie czarnych oczów ścigało króla i upajało.

Zasiadł do stołu sam, a Esthera zastąpiła podчасzego, nalewając mu pierwszy kubek wina.

— Niechże go wychylę za wasze zdrowie, rzekł wesoło Kaźmirz, zwracając się ku niej, i stojącemu tuż Aaronowi.

Kaźmirz lubił stół dobry, a że podróż i ruch głód obudziły, wziął się do zastawionych potraw ochoczo, chwalać je i dziękując pięknej gospodyni, która rumieniąc się, ciągle na posłudze trwała.

Parę razy król ją zagadnął o coś, odpowiadała śmiało, nie trwóżąc się, i tak dobrym językiem polskim, iż Kaźmirz musiał jej to pochwalić.

Aaron, dumny swą córką, głaszcząc ją pod brodę, począł chwalić w żywe oczy, choć zawstydzona, mowę mu przerwać chciała.

— Perła to moja, mówił, i perła całego rodu naszego. Mała rzecz, że Pan Bóg ją pięknością obdarzył, bo jej dał to, czego wielu niewiastom poskąpił — rozum i miłość nauki, zdolności do wszystkiego!! czego ona nie umie! czego by się ona nie uczyła! Nie

jeden ten język, zna ich ona kilka, i mówi niemi doskonale. Kobiece roboty! w tych jej nie przejdzie żadna...

— To mnie dziwi, przerwał król, że, gdy u was małżeństwa się młodo kojarzą, perły dotąd waszej, już wam ktoś nie porwał...

Esthera spojrzała na króla, i z lekka poruszyły się jej ramiona.

— Chciałem ja ją dać synowi Lewka, dzierżawcy żup — rzekł Aaron, umówiliśmy się z nim o to, ale ten umarł młodo, a Esthera teraz chce mieć wolę swoją, i nie spieszy a wyprasza mi się, abym jej z domu nie dawał...

Prawda — dodał Aaron — że męża dla niej znaleźć, któryby był jej godnym, nie będzie łatwo...

W ciągu całej wieczerzy, Aaron i jego córka nie ustąpili, król rozmawiał z niemi. Stary i córka jego odpowiadali na pytania z wielkim rozsądkiem i szczerością. Zdumiewała szczególnie Esthera przytomnością, odwagą, swobodą, z jaką rozmawiała z królem, który z niej nie spuszczał oczów, i słuchał z uwagą wielką.

Esthera podała mu wreszcie misę i kubek do umycia rąk po jedzeniu, i pożegnawszy nizkim do kolan ukłonem, razem z ojcem odeszła.

Dwór, który w czasie wieczerzy stał we drzwiach, patrzył i przysłuchiwał się — gdy Kaźmirz sam pozostał, przystąpił dopiero — a pierwszym słowem jego było podziwienie nad piękną dziewczynką i jej rozumem.

— Cóż wy mówicie na to dziwo? odezwał się do nadchodzących. Widział kto z was księżniczkę piękniejszą i śmielszą a mądrzejszą nad tę córkę Izraela? Prawdziwy cud!!

Nie przeczył nikt, lecz milczeli wszyscy, bo im ta poufalość z żydóweczką, więcej niż dziwną się wydawała. Kapelan szczególnie nachmurzony był i kwaśny; inni też znajdowali, że się król nadto pospolitował, dozwalając takiego spoufalenia.

— Nie zapominajcie — rzekł król, czytając w twarzach dworu — że ja jej życie ocaliłem, i że mi tylko ojciec i córka wdzięczność swą wyrazić chcieli. Nie mogłem odrzucić jej, gdy najczęściej ci, którym świadczym najwięcej, inaczej się nam wyplacają.

Wedle zapowiedzi, król noc tylko miał przepędzić w Opocznie, oświadczył jednak zaraz, że czując się zmęczonym, następny dzień radby tu spocząć nieco. Złośliwi ludzie zrozumieli to wcale inaczej, uśmiechano się i żartowano; lecz Kaźmirz nie zwykł był nigdy zważać na to, jak ludzie jego czynności sobie tłómaczyli.

Następnego dnia, przy obiedzie piękna gospodyni przyszła znowu z wdzięcznym uśmiechem usługiwać Panu swojemu wraz z ojcem. Mowa była o niedawnych prześladowaniach żydów w tych krajach, które morowe nawiedziło powietrze, o potwarzach na nich rzuconych — o losie ich nieszczęśliwym. Esthera umiała go wymownie malować. Przypomniawszy Aaron stary Bolesławowski, żydom dany przywilej, prawne ich położenie w Polsce zabezpieczający, a Kaźmirz po namyśle obiecał kazać go rozpatrzyć, i gdyby potrzeba było, odnowić.

Dzień ten upłynął i dla dworu króla wesoło, gdyż Aaron podejmował wszystkich po pańsku, dostarczając co tylko potrzebować mogli ludzie, służba i konie.

Dziwiono się hojności izraelity i dostatkom jego. Uważano i to, że Esthera, która pierwszego dnia wystąpiła w stroju kosztownym, nazajutrz zupełnie go zmieniła, przybrała klejnoty nowe, suknie piękniejsze jeszcze, i dnia tego wydawała się znowu w inny sposób zdumiewającą wdziękami. W czasie stołu król ze stojącą przed nim rozmawiał ciągle, a Aaron nie spieszył z odpowiedziami na pytania, które ona daleko piękniej i jaśniej rozwiązywała.

W istocie dziwić się było potrzeba w młodem dziewczęciu takiej umysłu przytomności, pamięci i rozmowie. Niewiele niewiast naówczas, nawet na dworach królewskich znaleźć było można równie usposobionych, szczególny dar trzeba było przyznać kobiecie, która prześcigała płeć swą, stan i wiek.

Nic dziwnego, że gdy król trzeciego dnia, po pożegnaniu gospodarzy swych, z Opoczna wyjechał, przez całą drogę nie mówił i nie myślał tylko o pięknej Estherze, ubolewając, że się takie чудо narodziło w plemienu wzgardzonym i przeznaczone było na los wcale niezazdrośny...

Kochan, będący w orszaku królewskim, przysłuchiwał się temu z uwagą wielką. Snuł on już na przyszłość plany...

Zapał, z jakim się Kaźmirz odzywał o Estherze, zapowiadać się zdawał, iż niełatwo o niej zapomni...

— Rokiczanie ostatnia godzina wybije niezadługo — mówił w duchu. Zbrzydnie mu ona teraz bardziej jeszcze...

W istocie, powróciwszy do Krakowa, król nie spieszył do Czeszki, chociaż wiedział, że mu obiecywała potomka, którego narodzin się wkrótce spodziewano.

Uradowałoby go to było, gdyby małżeństwo jeszcze za ważne w jakimkolwiek sposób uznanem być mogło. Dziś, zgodnie wszystkimi głosy postępek Opata Jana potępiano, i nikt ślubu tego za prawowity nie uważał. Posłano w sekrecie zapytanie do Papieża, czyliby w jakimkolwiek sposób nie dał się związek uprawnić, odpowiedź przyszła stanowczo zaprzeczająca.

Być bardzo może, iż starania królowej Elżbiety i syna jej przyczyniły się do tego. Obawa, aby Ludwik tronu polskiego nie stracił, była wielką.

Siostra, która starała się widzieć z bratem, ciągle posyłała doń wyprawiała, wystawiała mu mniemane małżeństwo jako postępek, którego nawet rozgłaszać się nie godziło.

Zubożenie króla dla Rokiczany ze wszystkiego jednak najwięcej wpłynęło na zapomnienie i lekceważenie ślubu danego w Tyńcu... Król nie mówił z nią nigdy o nim, a teraz coraz ją rzadziej widywał i spotkania unikał.

Dumna czeska zamiast chcieć go przebłagać i przejednać łagodnością i dobrocią, stawiała się coraz gniewniejszą, opryskliwszą, groźniejszą.

Blizką będąc słabości — wezwała do siebie Kaźmirza, i, gdy zmuszony przyjść, ukazał się w progu, wstała, wyrzutami go obarczając...

— Nie napraszałam się wam — zawołała — nie pragnęłam tej korony... Byłam szczęśliwą, szanowaną, miałam dostatki, mogłam wybierać między rycerstwem cesarskiego dworu... Uwiedliście mnie królewskim słowem, uwiedli ślubem fałszywym, — Bóg was skarże za mnie!

Napróżno Kaźmirz starał się ją uspokoić, odpychała go, domagając się praw swoich.

— Miłośnicą twoją ani niczyją nie mogłam być — wołała — nie byłam, jestem żoną... Pójdę ze skargą do papieża, rozgłoszę światu podstęp niegodny...

Ścigany temi i podobnemi wyrzutami, Kaźmirz uszedł od niej, zmięszany, strapiony, czując swą winę. Opat, który go na tę drogę wprowadził, aby uniknąć wymówek, udał się był za granicę... Nie było go na Tyńcu...

Biskup krakowski, z którym zgoda oplacona drogo przychodziła do skutku, o ślubie tym ani słyszeć nie chciał...

Zamyślano Rokiczanę z zamku krakowskiego oddalić, gdzie nazbyt wielu oczu i uszu było świadkami królewskiego upokorzenia. Lecz chorą, nieszczęśliwą, chyba siłą było można ztąd przenieść, oświadczyła bowiem, iż się nie ruszy i praw swoich do zgonu choćby, bronić będzie.

Rodzina można, powołana przez nią, mając na dworze cesarskim stosunki, aż do pośrednictwa Karola się udała, aby uwiedzionej uzyskać zadośćuczynienie.

Cesarz jednak mięszać się nie chciał w tę sprawę, i swym zwyczajem, ostrem a nielitościwym słowem szyderskiem Rokiczanych odprawił.

Narodzenie syna, któreby króla szczęśliwym uczyniło, jakby szyderstwem losu przyszło wśród tych zgryzot i zatargów.

Nie zmieniło ono losu kobiety, którą Kaźmirz właśnie może dla tego znenawidził, że czuł względem niej winę swoją.

Szło już tylko o znalezienie środka jakiegoś mogącego rozłączenie ułatwić.

Kochan chodził zadumany, próbując namowy, obietnic, — groźb nawet, a nie mogąc złamać oporu mężnej niewiasty, która gotową się opowiadała choćby ginąć a nie ustąpić nic...

— Jestem żoną królewską — powtarzała — ktokolwiekby ślub nam dawał, błogosławiono nam w kościele... Niech winowajca zostanie ukarany, jam była niewinna. Zgrzeszyłam tem tylko, że wierzyłam słowu króla i zapragnęła tej korony, która dla mnie cierniową być miała...

Każmirz nie miał nic do wyrzucenia Rokiczanie, brakło mu nawet pozoru do rozstania się z tą, którą na chwilę taką namiętną miłością pokochał...

W orszaku nieszczęśliwej czeszki, przybyła z nią z Pragi, znajdowała się dotąd Zonia, która tak bardzo pragnęła do Krakowa się dostać i równie pono jak jej pani była w nadziejach zawiedziona.

Kochan, na którego naprzód rachowała, przyjacielem jej był zawsze, lecz o małżeństwie mówić sobie nie dawał.

Śmiejąc się, odpowiadał na przymówki, iż coraz większe czuł powołanie do stanu duchownego i drogi do niego sobie zawiązywać nie chce. Groził, że wkrótce przywdzieje habit mniszki, ale ze spełnieniem tego postanowienia nie śpieszył.

Inni też przyjaciele Zoni do załotów szli ochoczo, o małżeństwie nie wspominali.

Zonia chwilami wraz ze swą panią na całą Polskę, na dwór, na króla, na wszystko, co tu znalazła wykrzykiwała, żale rozwodząc; potem przychodziły na nią chwile, gdy Rokiczana obejściem się z nią ostrem zrażała, że przeciw niej powstawała gwałtownie.

Wiedziała ona, że pozbyć się Czeszki chciano, że szukano, co by jej zadać i czem królewskie zniechęcenie wytłómaczyć.

Raz, gdy Kochan otwarcie się przed nią wygadał, dowcipnie dziewczę z minką tajemniczą, odezwało się dwuznacznie:

— Może, gdybym ja chciała, znalazłoby się coś do powiedzenia przeciw tej słomianej królowej, ale mi jej żal! Takeście ją zwiedli, jak wszystkie nas zwodzicie!!

Utkwiło to w pamięci Kochanowi, zaczął dopytywać usilnie; dziewczę się śmiało.

— Wiecie o jakim kochanku jej? — pytał.

— Co to, to nie! — śmiała się Zonia — coś wiem może od tego gorszego, ale jej kochankowie nie w głowie. Ona nigdy nie kochała nikogo...

— Cóż? może królowi co zadać chciała przez zemstę? — próbował Kochan.

Zonia śmiała się coraz mocniej.

— Gdybyście trzy dni i trzy noce sobie głowę łamali, nie zgadniecie; to próżno. A że ja coś wiem... to jak Bóg Bogiem prawda, i że wam, zdrajcom, kobiet zwodzicielom, nie powiem, to też prawda!!

W nadziei wydobyć z niej tej tajemnicy, Rawa stał się czulszym, nadskakującym, rozmiłowanym na nowo; dziewczę zrozumiało dobrze cel jego i wyśmiało niezręczność.

— Jeśli myślicie, że się wygamam za darmo! ho ho! mylicie się srodze...

— Cóż? myślicie sprzedać tajemnicę? no — to mówcie, co chcecie za nią?

— Za pieniądze jej nie dam! — odparło dziewczę. — A wreszcie kobiety mi żal...

— Bałamucicie mnie tylko — zawołał Rawa. — Nie wiecie nic, dla tego i powiedzieć nie możecie.

Zonia uderzyła się w piersi.

— Że wiem, na tom przysiędz gotowa...

Łamał głowę Kochan, sposobu z nią nie było.

Po kilku dniach, naparł znowu.

— Mówiłaś, że tajemnicy twej nie dasz darmo i że jej za pieniądze nie sprzedasz, cóż za nią chcesz?

Zonia popatrzała mu w oczy.

— Ożenisz się ze mną? — zapytała. — Ale, nie żaden Opat z Tyńca ślub nam będzie dawał, tylko na zamku w obec wszystkich albo Biskup lub kto tu z nich najstarszy, w biały dzień...

Rawa wziął to za żarty i obrócił w śmiech...

Jednakże tajemnica Rokiczany nie wychodziła mu z myśli. Sądził, że może która ze służebnych wiezieć coś także, począł śledzić i tego tylko doszedł i dopytał, iż królowa jak dawniej w Pradze ze starą ochmistrzynią codzień się w osobnym pokoju zamykać była zwykła, do którego wszystkim przystęp był wzbroniony, tak i na Wawelu z Zonią z rana, a czasem i parę razy w ciągu doby do osobnej komórki chodziła i w niej się z nią na klucz zamykała...

Żadna z niewiast służebnych podpatrzeć nie mogła, co one tam robiły. Wychodziła ztamtąd odświeżona i odmłodzona, z włosami utrefionymi...

W istocie więc Zonia mogła jakąś wiezieć tajemnicę...

Za drugim spotkaniem, Rawa ponowił Zoni ofiarę — jakiejby zapragnęła za sekret swój, z wyjątkiem tylko małżeństwa, do którego wstręt miał nieprzewyciężony.

— A jam sobie słowo dała — odparła filutka że w Polsce za mąż wyjść muszę.

— No, to ja ci innego wyszukam męża na miejsce moje — rzekł śmiejąc się Kochan.

— Zgoda — odpowiedziała Zonia — ale potrzeba, żebym ja go sobie wybrała sama. Chcę go mieć bogatym, młodym, przystojnym, i za mieszczanina nie pójdę, rycerz być musi!..

— Zawiele żądasz! — zaśmiał się Kochan.

— Bo wiem, że to co dam w zamian, wiele warto — mówiła Zonia pół żartem. — Chcacie się jej pozbyć, a nie macie jej co zarzucić? prawda? cięży wam? Otóż sposób w moim ręku. Zdradzę biedne kobiecisko — westchnęła — żeby było przynajmniej za co pokutować... Dajcie mi męża, jakiego chcę!

Kochan brał to znowu za żarty, lecz przekonał się po dniach kilku, że Zonia w istocie na taki frymark rachowała.

— Jabym tego nie uczyniła — dodawała, uspokajając sumienie — za żadne skarby świata, nawet dla czepca na głowę, ale — cóż? wy, czy tak, czy owak Rokiczany się pozbędziecie, nie dziś to jutro... niechże wasza niepoczciwość choć się komu na co przyda...

Zabiegi Kochana, który jednego dnia wierzył Czeszce, drugiego niedowierzał i posądzał ją o podstęp, ciągnęły się długo. Zonia nie ustępowała, starając się rozbudzić żywą ciekawość w Rawie i drażniąc go coraz więcej.

Lubił ją za wesołość i szczebiotliwość Kochan, chętnie z nią przestawał, ale zalotności się obawiając, żenić nie chciał.

Napytał więc ubogiego wprawdzie, lecz z nadziejami spadku po stryju i łask królewskich, młodego i przystojnego Doliwę Janka, i pocałował go swatać Zoni...

Oświadczyła, że z biedy go wziąć gotowa. Kochan mu od króla (choć bez jego wiedzy) obiecywał złote góry. Chłopak krwi gorącej, gdy go zalotne dziewczęc w obroty wzięło, głowę stracił. Gotów był i do ślubu...

Lecz z Zonią, przebiegłą i nieufną, do końca trafić było trudno. Zgadzała się na wszystko — tajemnicę objawić obiecywała, nieinaczej jednak, jak po swym ślubie...

Kochan tak już był zniecierpliwiony oczekiwaniem, że i na to się zgodził...

Za królewską zgodą, bo Doliwa był pod opieką jego, Janek miał się żenić. Wesele na zamku kosztem pańskim się odbyło...

Przy wyjściu z kościoła czatował Kochan na pannę młodą i siedł przy niej do izby, w której uczta weselna zastawioną była. Zonia się uśmiechała żartobliwie...

— A co by było — szeptała — gdybym ja teraz, jak dzieci, co grają w cet czy lichu, otwarła dłoń i pokazała, że w niej nie ma nic?

Kochan pogroził...

Wytrzymawszy go pani młoda, rzekła mu w ostatku:

— Jutro rano przyjdiesz do mnie, a dowiesz się, co potrzeba...

Rawa stał się do państwa młodych, Zonia przyjęła go z minką na pół figlarną, pół kwaśną. Stała zamyślona długo, nim mówić poczęła.

— Codzień rano — rzekła po cichu i jakby zmuszona — królowa idzie ze mną do komory i — zamyka się...

Jutro... ja drzwi na klucz spuścić zapomnę niech król przyjdzie, a to, co zobaczy... wystarczy mu...

Nie dokończyła i odbiegła prędko, więcej już nie chcąc powiedzieć.

Kochan został z tą niepewnością, z jaką przyszedł. — Udał się do Kaźmirza i — musiał mu się szeroko wytłumaczyć z tego, co przedsięwziął. Zakończył tem, co mu Zonia powiedziała.

Od dawna król Rokiczany unikał, i nie bywał u niej, wymówki i przekleństwa go nużyły... Zmarszczył się, pomyślał.

— Pójdę więc — rzekł. — O niej i o synu jej pamiętać będę, nie opuszczę ich, ale kobiety złej i niezdolnej pozbyć się muszę.

Następującego dnia wszystko było tak osnute, ażeby Kaźmirz wchodząc do Rokiczany, nie zastał nikogo i by przyjsie jego do owej komory, w której się zwykła była przystrajać — wydawało się przypadkowem.

Kochan doprowadził go do mieszkania... W rannej godzinie służba niewieścia i mążka była rozpiezchła, w komnatach nikogo. — Kaźmirz przeszedł je wolnym krokiem, i do wskazanych mu drzwi dostawszy się, za klamkę ujął...

Nie były one zaparte... wszedł, lecz na głos jego kroków, Zonia, niby przelękną, zapóźno, aby go wstrzymać, rzuciła się do drzwi.

Rokiczana siedziała na wezglowiu przed zwierciadłem, z głową obnażoną... Zwykle okrywał ją piękny, ciemny włos bujny, w trefionych misternie splotach otaczający owal twarzy... W tej chwili ujrzał król głowę tę, całkiem prawie włosów pozbawioną, wyłysiałą, i — skutkiem zapewne leków, których używała, okrytą plamami i bliznami czerwonymi...

Rokiczana, widząc nadchodzącego króla, przed którym tajemnicę tę tak długo i zrećźnie ukrywać się starała — krzyknęła straszliwie, rękami twarz zakryła, pochyliła się na stół... Chwilę krótką zdawało się, że omdleje, lecz zamiast mdłości, gniew ją ogarnął...

Z rozpuszczoną włosów swych resztą, z oczyma zaognionymi, porwała się przeciw Kaźmirzowi.

— Patrz! — zawołała — chciałeś tego zapewne, abyś mnie podejrzwał i wiedział, jaką jestem... Zdradzono mnie, wydano...

A! wstydu tego nie zniosę!

Blizko stojącą Zonię silną ręką popchnęła od siebie ze złością.

— Precz mi z oczów, ty źmijo! — krzyknęła.

Król stał niemy, wstręt go większy jeszcze ogarnął na widok kalectwa kobiety i wzruszenia jakiego doznała, ale i litość zarazem.

— Nie możecie się skarżyć na to, abyście byli oszukana — odezwał się, bo i wy mnie oszukiwaliście długo... Żyćbyśmy z sobą dłużej nie mogli, wiecznie się wzajem gryźć i kąsać obojgu nam nie przystało. Lepiej uczynicie, opuszczając Kraków, o synaczku ja nie zapomnę i wychowam go jak królewskie dziecko...

Rokiczana, padłszy na siedzenie, już nic nie słuchała, zachodząc się od płaczu i jęków...

Kaźmirz, nie mówiąc więcej, wyszedł, zostawując ją samą, a Kochan z rozkazu jego wysłał natychmiast służebne, aby miały o niej staranie.

Tegoż dnia sędziwy kapłan, który był spowiednikiem słomianej królowej, przyszedł do niej z poleceniem od króla — dla układów...

Rokiczana, która dotąd niewzruszenie się opierała wyjazdowi i powrotowi do Pragi, — nie obstawała już więcej, by zostać w Krakowie. Z dumą, która jej nie opuszczała nigdy — zabezpieczając przyszłość dziecięcia swego, dla siebie nie chciała nic — odmówiła darów i wyposażenia. Wszystkie klejnoty, którymi ją król obdarzył, zebrane razem kazała odnieść do skarbcza, nic sobie nie chcąc pozostawić, nawet pierścienia z safirem, który był pierwszym łańcucha dziś skruszonego ogniwem.

Jak dawniej z uporem, opuszczona od wszystkich, umiała wytrwać na stanowisku, tak teraz z pośpiechem nadzwyczajnym czyniła przygotowania do podróży. Nie chciała ani godziny dłużej pozostać tutaj — odmówiła rozmowy wszystkim, co się do niej zgłaszali, dziecięcia, aż do wzrostu oddać i od siebie odłączyć nie dała...

Jednego poranka, nim się na brzask zebrało, potajemnie, unikając ludzkich oczu, w małym orszaku, wozem zakrytym wyruszyła cicho z zamku krakowskiego, osłoniwszy się tak dokoła, aby jej nikt widzieć i poznać nie mógł w drodze.

W niewielkiem od miasta oddaleniu czekał na nią brat z pocztem dostatecznym, aby bezpiecznie przeprowadzić do Pragi...

Gdy rano Kochan królowi dał znać, iż cheski na zamku już nie było, odetchnął swobodniej Kaźmirz, lecz chmura nie zeszła z czoła jego. Ciężki wyrzut zachował w głębi serca, przeciwko samemu sobie. Teraz, gdy jej już nie było, żałował jej... bolał, litował się... a drugiego dnia wyprawił Kochana za nią do Pragi, aby się dowiedział o podróży, przybyciu i dalszych jej zamiarach, zapewniając, że zawsze na opiekę jego może rachować.

Posłuszny ulubieniec pojechał wprawdzie, chociaż przeczuwał, jakie go tam spotka przyjęcie. Nie spieszył z podróżą wcale, umieścił się u Wujków, gdzie po śmierci ojca Zoni brat gospodarzył i — niechętnie powłókł się do znanej sobie kamienicy, w której Krystyna znowu mieszkanie zajęła.

Chociaż przybyła niedawno, miała czas już swój dwór i czeladź tak zebrać, przystroić i rozmieścić, iż Kochan znalazł tu niemal królewskie otoczenie i porządek obyczajem pańskim ustanowiony.

Marszałek dworu, któremu się oznajmić musiał, poszedł o nim i poselstwie jego oznajmić pani.

Kochan w przedsienu czekać musiał na posłuchanie i zrazu mu go odmówiono. Nalegał na marszałka z tem że nie odjedzie do Krakowa tak pogardliwie zbyty. Poczęły się więc układy, i upór posła zwyciężył.

Piękna jeszcze Krystyna, po długich sporach, naznaczyła przyjęcia godzinę. Gdy Kochan nadszedł, znalazł cały dwór jej wspaniale ustrojony, w przedsieniach i bocznych izbach stojący jak na pokaz, a ją samą w głównej komnacie, na złocistem siedzeniu, przepysznie ubraną, przystrojoną klejnotami, z małym, naumyślnie włożonym diademem na głowie, dumną i majestatyczną jak królowę...

Nie zrzekała się ona dostojności i tytułu, do którego wierzyła, iż miała prawo.

Skinęła zaledwie głową posłowi, bez najmniejszego wzruszenia wysłuchała przemówienia jego i odparła obojętnie.

— Możesz donieść panu swojemu, że Rokiczana, nic od niego nie potrzebując, żadnej nie przyjąwszy łaski, godność swą utrzymać potrafi i wstydu mu nie uczyni.

Nie było się więc co w dłuższą wdawać rozmowę, a Krystyna kilka słów tych rzuciwszy ulubieńcowi królewskiemu, wstała natychmiast z siedzenia, dwóm przybranym w barwę szkarłatną paziom dawszy znak, aby ogon sukni jej nieśli za nią. — Niewieści orszak w porządku i milczeniu parami wysunął się za odchodzącą w głąb dworca.

Marszałek dworu Rokiczany zapraszał potem Kochana na przygotowaną wieczerzę, lecz po przyjęciu, jakiego doznał — ulubieniec króla chleba w tym domu przełamać z nikim nie chciał i z dumą też, pożegnawszy go, odszedł.

Nie było królowi przyjemnem to, że Rokiczana, zawsze się królową mianując, chciała nią pozostać do żywota, wolałby był pewnie wydać ją za mąż i widzieć zatartą pamięć błędu; lecz charakter niewiasty spodziewać się tego nie dozwalał.

Tak uwolniony od krępującego go związku, król najmocniejsze powziął postanowienie nie zawierać już żadnych ślubów nowych, nie dać się uwieść nowej szczęścia domowego nadziei.

Poddawał się losowi swemu i wyrokowi temu, który oddawna brzmiał mu złowieszczą, przepowiednią: — Nie zostawisz po sobie potomka...

W sile wieku jeszcze, z sercem młodem, zobojętniały przez tę próżną z losem walkę, w której tylekroć był zwyciężonym — znużony, smutny — cały się znowu oddał spełnieniu tego, co po nim miało wiekuistą zostać pamiętką...

Na tem polu król widział jakby czarodziejską różczką spełniające się wszystkie życzenia swe, wcielające myśli.

Rosły w oczach zamki i grody, mnożyły się w skarbcach zbiory, kraj wśród pokoju zaludniał, przybysze z Niemiec i innych ziem sąsiednich płynęli doń — rosła i sława wielkiego króla i potęga jego, i siły wewnętrzne państwa...

Gdy wśród tych dostatków i pomyślności przyjaciele królewscy, Wierzynek, oddany mu, Kochan, sługa wierny, ks. Suchywilk, Bogorja, Waclaw z Tęczyna — widzieli zasępione czoło, błędnie czasem chodzące oczy, jakby szukały po świecie czegoś marzonego — litowali się nad panem wszyscy...

— Co mu po tem wszystkim — mówili — gdy szczęścia nie ma i mieć go nie może.

Kochan ramionami ruszał niecierpliwie.

— Dla czego nie może? — odpowiadał. — Los go, prawda, prześladował długo, ale w jego wieku rozpaczać się nie godzi. Wolny jest, ożenić się może — wolny jest, niewiastę sobie wedle serca wyszuka...

Lecz król, ilekroć Kochan dał mu zřęcznie do zrozumienia, iżby mógł towarzyszkę znaleźć, ramionami wzgardliwie odpowiadał i wnet rozmowę na inny przedmiot odwracał...

Unikał nawet wszelkiej zřęczności, w której, by z niewiastami mógł się spotykać.

KSIĘGA SZÓSTA. ESTHERA.

Król miał jechać na łowy. Nie był on zapalonym ich miłośnikiem, nie tęsknił za niemi, jak inni jego poprzednicy, jak wszyscy niemal współcześni książęta i rycerstwo, dla których one, czasu pokoju, były jakby wprawą do wojny i jedyną męzką zabawą — lecz, gdy raz

wyjechał z ogary, z oszczepy, z ptaki i łucznikami swoimi, gdy w lasy się zapuścił, gdy mu psy zagrały, zwier się pomknał — odzywała się gorąca krew piastowska w nim i zapędzał się za jeleniem, za żubrem lub łosiem tak zapalczywie, jak inni.

Niemniej też był wprawny w ciskaniu strzały lub oszczepu od drugich, niemniej wytrwały na niewczasy i znużenie — lecz — milszem mu było poufale towarzystwo mądrych ludzi, długie u stołu biesiady i rozmowy, a nawet prosta z kmieciem pogadanka. W polu, gdy chłop przy robocie zobaczył, a ci go wszyscy znali w tych okolicach, w których częściej przebywał, mało kiedy się nie zatrzymał, na pozdrowienie nie odpowiedział, nie pożartował poufale, nie pocieszył lub nie obdarzył.

Zazdrośne rycerstwo za złe mu to miało, pokątnie a kwaśno szydzono z tego upodobania. Byli i tacy, co przypominali, że chłop i kmiecie Łoktkowi ojcu pierwsi w pomoc przyszli, gdy się państwa dobijał na nowo i przypisywano to wdzięczności.

Każmirz wiedział o tem, że go chłopskim królem zwano, uśmiechał się i wcale nie gniewał, choć naówczas obelżywe to było nazwanie.

— Chłopskim i mieszczańskim razem chcę być — mawiał — równie jak ziemian i rycerzy. Wszyscy u mnie dobrzy, co na tej ziemi mieszkają, pracują i potem ją swym oblewają.

A im panosze i rycerstwo więcej na to sarkano, tem król jawniej się ze swą miłością dla ludu okazywał na przekorę. Miał nietylko serce dlań, ale i tę fantazję pańską, by nie po cudzej myśli iść, ale wedle własnej i jak sobie raz zamierzał.

Łaskawym będąc, surowym być umiał też, zwłaszcza dla tych, co mu się ostro nastawiali. Nie gniewał się i nie burzył, często uśmierzał, opór spotykając, a szedł tem mocniej i dzielniej przeciwko niemu.

Rycerskie to było usposobienie, szlachetne, pańskie a ufne w siebie. Mnogie powodzenia dały mu tę pewność i wiarę, — jedną tylko zachwiawszy nadzieję, by kiedykolwiek potomka miał po sobie zostawić.

Przekleństwo Amadejów, sprawiedliwe czy nie, ciążyło na nim. Swatano mu ciągle, obawiał się próby nowej, lękał samego siebie, znając swe serce, które łatwo umiłować mogło, bo miłować pragnęło, lecz zrażało się rychło, gdy piękna istota, zmieniała się wprędce w brzemień nieznośne.

W chwili, gdy już na koń król miał siadać, odziewszy się w kaftan, przypasawszy miecz myśliwski, oglądając się za trąbką, którą miał na ramionach zawiesić, Kochan wszedł z dziwnie wyjaśnioną twarzą.

Król go tak znał, że z jego uśmiechu łatwo myśl i humor czytał.

— Cóż ci to? — spytał. — Widzę, żeś rad czemuś?

— Ja? nie — odparł Rawa, ramionami poruszywszy z lekka — ale, tylko co mi Gozdawa Zbysz opowiadał coś...

Król trąbkę trzymając w ręku, nie wkładał jej, patrzył na Kochana i powieści czekał. Był pewien, że ona wkrótce nastąpi.

— Cóż ci to przyniósł Gozdawa?

— Powiadał mi, że w Krakowie widział piękną Estherę z Opoczna...

Spojrzał na króla, który, nie chcąc się może wydać z żywą ciekawością, na trąbkę spoglądał.

— Mówi, że... — począł.

— Wydano ją pewnie za męża do Krakowa? — zapytał król.

— Za męża nie wyszła, straciła ojca... ciągnął Kochan dalej, i co dziwniej na żydówkę, bo u nich niewiasty mało, albo i nic nie znaczą, sama pono się rządzi... Przeniosła się tu na mieszkanie.

— Rodzina czuwać nad nią musi — rzekł król, zwolna sznur od trąbki nakładając na ramię, w czym mu Kochan dopomógł.

— Ona opieki nie potrzebuje, bo rozumniejsza jest od nich wszystkich — mówił Rawa. — Właśnie to osobliwe, że oni przez pamięć na Aarona i poszanowanie w niej wielkiego rozumu, z którego słynie, dają się jej rządzić samej...

Każmirz spojrzał, nic nie mówiąc.

— Cóż? za męża się wydaje? — powtórzył.

— Nie słyhać o tem — dodał Kochan. — Gozdawa tyle tylko wie, że jak była piękna kiedyś ją widzieli w Opocznie, tak jeszcze, jest teraz piękniejszą. Żydzi, nie żydzi, kto ją zobaczy, powiada, że takiej niewiasty, jako żyw, nie widział.

Wtem na podwórku trąbić zaczęto na łowców, król ruszył się wychodzić.

Spytał o psy swoje i tem Kochanowi dał do myślenia, że piękną Esterą wcale się nie zajmuje. — Zwrot ten króla, dla tak dobrze jak Rawa znającego go człowieka, miał wcale inne znaczenie, niżby mógł mieć dla kogoś obcego.

Nie przedłużył Kochan rozmowy, Kaźmirz wyszedł konia dosiąść i ruszył na łowy.

Trzeciego czy czwartego dnia, gdy Kochan sądził, iż król zapomniał o tem, nagle spytał go przy końcu obiadu.

— Cóż tam, Kochan — masz nowe wiadomości o tej Estherze, która cię tak żywo obchodzi?

Był to znak, że król sam o niej myślał.

— Nowego nie mam nic — odparł dworzanin — lecz gdyby potrzeba było, gotówem się dowiedzieć!

Zmarszczył się Kaźmirz i rzekł sucho.

— Jeśli tobie potrzeba...

Na tem się wszystko skończyło — lecz Rawa zachował przekonanie, iż Esthery piękność nie została zapomniana.

Po smutnem doświadczeniu z Rokiczaną, którą po troszę miał na sumieniu, nie śmiał już uczynić kroku żadnego.

Dzierżawca żup wielickich Lewko przyszedł w tych dniach do króla za sprawami żupnemi.

Był to jeden z tych ludzi, którym Kaźmirz, doświadczywszy ich, ufał całkowicie; czego dowodem było, iż Lewkowi wspólnie z Janem Jelitkiem do wiernych rąk oddał monetę swą i mennicę.

Lewko, chociaż nie sam dzierżawił żupy solne, bo z nim Drukla, Henzel Burg, Arnold Welker i Bartko, należący do mennicy, wspólnie ją trzymali, wielkie miał u króla zaufanie. Człek był stateczny, rozumny i dobrej rady. Przeszłych czasów skarb ten, jakim były kopalnie soli, szarpały po trosze wszyscy, nieład w nich panował wielki.

Szlachta, rosząc sobie jakieś prawa do soli, mięszała się do gospodarstwa, narzucała żupnikom ciężary rozmaite, gospodarzyła tu, napadała każdego czasu; król właśnie teraz chciał porządek surowy wprowadzić i pod gardłem zabronić nawet zwiedzanie żup bez pozwolenia; a sobie i podkomorzemu od siebie wyznaczonemu pozostawić wyłączne prawo rozporządzania dochodami.

Ciężary terażniejszych dzierżawców ograniczały się do utrzymywania tylko królewskich koni, sześciu ubogich żywiono w Wieliczce, a sześciu w Bochni, którzy za duszę rodziców króla modlić się byli obowiązani.

O ustanowieniu rady zwierzchniej nad żupami król miał z Lewkiem się naradzać.

Izraelita ten był innego kroju i postawy niż Aaron. Równie jak on majątny, mniej chciał się wydawać z pochodzeniem swoim, nosił się bogato a strojem niewiele różnił od chrześcian.

Przestawał też więcej z chrześcianami, nie unikał ich, — a umiał się z ludźmi wszelkiego stanu tak obchodzić, iż i powagę swą utrzymywał, i niczyjej nie uczynił ujmy.

Już podżyły Lewko wyglądał młodo i zdrowo. Rysy twarzy wybitnie wschodniego typu, czarne biegające oczy, usta uśmiechnięte — czoło wysokie, czyniły go pięknym jeszcze. Przebiegłość widać było w wejrzeniu, której ówczesne położenie izraelitów wszystkich ich uczyło.

Krół go mile widział i mawiał z nim poufale o sprawach soli i monety. I tym razem przeciągnęły się pytania, odpowiedzi i objaśnienia. Lewko miał odejść, jak zwykle wielce uspokojony królewskimi słowy, gdy Kaźmirz zwrócił się do już cofającego się ku drzwiom.

— Słuchaj, Lewko — rzekł — odpoczywając w Opocznie, stałem w domu krewnego waszego Aarona. Widziałem tam naówczas córkę jego, Estherę. Mówiono mi niedawno, że staremu się zmarło i pozostała sierotą. Wydajecie ją za mąż zapewne?

Lewko zdziwiony pytaniem, zakłopotany przybrał wyraz twarzy, głową poruszył, pomilczał jakby namyślając się, i nierychło począł, zbliżając się znowu do króla.

— Mamy dosyć frasunku z tą jedyną córką Aarona — rzekł. Zostawił jej majątek piękny, ale postąpił źle przez wielką miłość dla jedynaczki, dozwolił jej wychowania takiego, które się na nic kobiecie nie zdało. — Dziewczynie ta jej mądrość głowę przewróciła. Do czego jest kobieta? dodał Lewko poważnie — ażeby była matką naszych dzieci... aby domu, kuchni, gospodarstwa pilnowała... Uczyc się nie jej rzecz. To też która z nich cokolwiek nauki dostanie — zaraz jej ona idzie do głowy.. tak i z Estherą się stało. Nasi żydkowie jej nie smakują, za lada kogo wyjść nie chce i mamy z nią wiele frasunku! — powtórzył wzdychając...

— Przybyła do Krakowa, sama ze swą ciotką, wdową bezdzietną, i coby miała jak najprędzej męża z naszych rąk wziąć — sama nie wie kogo i czego chce, na co czeka. Nie chcielibyśmy jej gwałtu czynić — a szkoda, bo i piękna jest, i na biedę swą — rozumna.

Król trochę przeciągłego narzekania Lewka słuchał z uwagą, patrząc nań i nie przerywając mu.

— Cóż z nią czynić myślicie? — zapytał.

— Nic jeszcze familia nie postanowiła — rzekł Lewko — ale w końcu i nasi duchowni i my musimy dziewczynę komuś dać. Prawo nasze nakazuje: szkoda niewiasty pięknej. Całe nieszczęście, że nadto rozumna.

Król się uśmiechnął.

— Prawda, — dodał — rozumna, śmiała jest, ale i piękna...

Lewko na wspomnienie piękności, popatrzył z pewną obawą na króla, nic nie odpowiedział, skłonił się i chciał odejść, gdy Kaźmirz dorzucił.

— Wiecie, żem ja temu dziewczęciu szczęśliwie życie ocalił. — Dla tego los jego mnie obchodzi.

Lewko skłonił się bardzo nisko, ręce podniósł dziękczynnie do góry, westchnął i skiniem głowy łaskawem odprawiony, wyszedł nareszcie.

Znowu czas jakiś upłynął, a o Esterze mowy, ani słyhu, ani dychu na zamku nie było. Dom, do którego się przeniosła, stał właśnie na drodze, którą król zwykł był przejeżdżać, jadąc na łowy lub w okolice. Wiedział o tem Kochan, lecz panu mówić nie śmiał.

Dnia jednego, gdy król się do Tyńca wybierał, bo go tam zaproszono w lasy na łowy, przejeżdżając rano — na progu kamienicy zobaczył niespodzianie, jakby nań oczekującą Estherę. Mogła przez kogoś być uwiadomiona, o tym przejeździe króla, gdyż zwykle dniem wprzód rozkazy były wydawane, poznać to łącno było można po starannem stroju i zejściu ze wschodków, aż w ulicę...

Z dala już oczy króla zatrzymały się na niej z zajęciem wielkiem, wstrzymał konia, i domyślając się, że wyszła umyślnie na spotkanie, pozdrowił ją ręką i uśmiechem.

Koń stanął.

Esthera szła wolnym krokiem, śmiało ku Kaźmirzowi, w całym majestacie swych wdzięków, których potęgę znać musiała. Skłoniła głowę przed panem i pozdrawiając go, odezwała się, oczy zaraz podnosząc.

— Na drodze miłość waszą musiałam jak żebraczka napastować. W istocie też jestem nią, przychodzę prosić o opiekę tego, który raz już mnie ocalił. — Smutna to rzecz być zmuszoną skarżyć się na tych, których kochać i szanować się powinno. Nie mają oni złej woli przeciwko mnie, ale i dobrze chcąc czynić, trzeba wiedzieć co dobrem komu.

Uśmiechnęła się, rumieniąc trochę.

— Chcą mnie koniecznie swatać i za mąż dać... — dodała — a ja proszę, aby mnie nie zmuszano.

— Przecież, — rzekł dobrotliwie król — los kobiet jest taki, iż muszą ślubować komuś aby opiekę miały...

Esthera westchnęła.

— Niechże mnie, której ojciec rodzony wolę nad sobą dawał, i oni ją zostawią. Miłość wasza raczycie się wstawić za mną do Lewka...

Oczy jej czarne nie opuszczały na chwilę króla, który patrzył w nie zachwycony...

— Bądź spokojną — rzekł — z Lewkiem o tem mówić będę...

W ciągu krótkiej tej rozmowy, więcej nad usta, mówił król z nią oczami. Wejrzenie pięknego dziewczęcia z dziwną śmiałością, którą nieświadomością dziecinną i wielką czcią dla króla tłumaczyć było można, nie unikało spojrzenia pana, owszem wyzywać się go zdawało.

— Jam miłości waszej życie winna, — zakończyła, rękę białą kładnąc na piersiach — chcę jej winną być i szczęście moje...

Każmirz, którego ciekawe oczy i uszy zbierających się w ulicy przechodniów wprawiły w zakłopotanie, prędzej może niżby był chciał pożegnać ją, koniowi dał ostrogę i odjechał.

Esthera, patrząc za nim, wcale nie onieśmielona tem, że się jej przyglądano, ustąpiła z drogi zwolna i znikła we drzwiach kamienicy, w których na nią starsze towarzyszeki oczekiwały.

Spotkanie to głośnem się stało po mieście. Różnie je sobie tłómaczono, a że nikt prawie rozmowy całej nie słyszał, przypuszczenia były najdziwaczniejsze i sarkano powszechnie na zuchwalstwo pięknej żydóweczki, iż się królowi narzucała.

Ówczesne wyobrażenia, świeże jeszcze prześladowania izraelitów obwinionych o ztruwanie wód i pokarmów, o zabijanie dzieci i używanie krwi ich do zabobonnych obrzędów — pogarda, z jaką się od społeczeństwa z nimi odłączano, odcechowując ich zewnętrznymi znakami dla uniknięcia mieszania się ich z chrześcianami — wszystko to razem poufalsze obcowanie z niemi, zwłaszcza króla samego, czyniło czemś nadzwyczajnem, a dla duchowieństwa szczególnie oburzającym.

I tak już wyrzucano Każmirzowi miłość jego dla ludu, szczególną nad miastami i obcemi przybyszami opiekę, teraz oddanie żup i mennicy izraelitom, ocalenie kilku ich od napaści tłumy, naostatek łaskawość, z jaką wdał się w rozmowę z piękną żydóweczką, — do najwyższego stopnia podniosły niechęć przeciw królowi tych, którzy do niej tylko pozoru szukali.

Duchowni zawczasu przepowiadali, iż dojdzie do tego, że jeszcze sobie ulubienicę weźmie z krwi Izraela, na ostatnie upokorzenie chrześcian... na poniżenie korony, którą nosił. Nie było wprawdzie drugiego Baryczki, któryby przyszedł to publicznie królowi wyrzucać na oczy, lecz pokątnie tem więcej wykrzykiwano, a Każmirza głosy te dochodziły, bo mu je usłudźni przynosili ludzie.

Ile razy Każmirz spotykał się z taką naganą swojego postępowania, czyniła ona na nim zawsze to wrażenie, iż w nim wywoływała opór stanowczy — chłodne, ale niezłomne postępowanie wbrew sądów ludzi.

Poruszeniem ramion wzgardliwem i uśmiechem przyjąwszy doniesienia, Każmirz, któryby był może unikał widzenia Esthery, z pańską fantazyą człowieka, który wołę swą czyni — jadąc wkrótce potem rano bardzo na łowy, kazał się zatrzymać przed domem Esthery, wywołać ją, i gdy niespodziewająca się tego szczęścia wyszła, zaledwie zasłonę na wpół utrefione narzuciwszy włosy — rzekł głośno.

— Mówiłem z Lewkiem, spodziewam się, że wołę moją spełnić był powinien...

Lecz, niechcę was tem w ulicy zatrzymywać, — dodał — wieczorem powracając, wstąpię do waszego domu. Czekajcie na mnie.

Rumieniec wystąpił na białą twarzyczkę Esthery, radością zablęskły oczy, złożyła ręce na piersiach, skłoniła się i odparła głosem drżącym ale pełnym szczęścia...

— Sługa wasza i niewolnica czekać będzie na tę łaskę, której wszyscy jej muszą zażdrościć. Błogosławieństwo jedynego Boga niech będzie z wami!

Król odjechał.

Tuż za nim postępujący Kochan i Dobek spojrzeli po sobie. Dla pierwszego z nich nie ulegało już wątpliwości, że z tego stosunku coś się wywiązać musi, piękność Esthery — śmiałość jej, znana króla pochopność do rozmilowania się — przepowiadały to niechybnie.

— Lecz żydówka! — myślał Kochan, — żydówka! Co ludzie, co duchowni zwłaszcza powiedzą? Co nieprzyjaciele króla wysnują z tego?!

W ciągu dnia Każmirz był najlepszej myśli, i choć wcale nie wspominał o Estherze, domyślano się łatwo, iż sobie obiecywał przyjemność wielką ze zbliżenia do niej. Dawno go tak odmłodzonym i rzeźkim Kochan nie widywał.

Łowy nie potrwały zbyt długo. Król tak obrachowywał czas, iż gdy dał znak do odwrotu i konia puścił klusem, widocznem było, że przed mrokiem stanie w mieście u kamienicy Esthery. Kochan i Dobek znowu po sobie spojrzeli, nie mówiąc nic.

O mroku w istocie zaledwie zapadającym, Kaźmirz zsiadł z konia u drzwi, w których czekała nań piękna i wystrojona Esthery; dworowi swojemu nakazał wracać na zamek, a Kochanowi jednemu pozostać przy sobie dozwolił.

Ten nadto był dobrym i starym dworakiem, ażeby miał iść za panem do izby, w której go przyjmować miano, siadł w przedsieniu.

Komnata gościnna, przestronna, przybrana tak jak w Opocznie, odświeżona tylko, pełna kwiatów, czekała na króla przyjęcie. W pośrodku jej, pod wielkim świecznikiem mosiężnym kilkuramiennym, stół był nakryty i zastawiony błyszczącym naczyniem złocistym.

Wielkie krzesło, okryte złotogłowem, stało przy nim... Esther cała w klejnotach, jedwabiu, rąbkach drogich, woniejąca wschodnimi jakimiś eliksirami, cudniej piękna niż kiedykolwiek, wiodła króla, dumna, szczęśliwa, wcale nie zdając się ani myśleć o tem, ni ważyc, co sobie ludzie powiedzą o odwiedzinach tych wieczornych...

Królowi ta przygoda też zdawała się wielce miłą, — najmniejsza troska nie zasępiła pięknego jego męzkiego oblicza...

Obejrzał się po izbie i spostrzegł ze zdumieniem, że w niej, oprócz starej żydówki, zdała u drzwi w głębi pokornie stojącej, nikogo nie było.

— Jestem o trzy kroki od zamku, odezwał się siadając i przypatrując pięknie zastawionemu stolowi — nie potrzeba było dla mnie przyborów tyłu.

Esthery śliczną białą rączką już mu nalewała wino — patrzyła w oczy, i śmiejąc się białymi ząbkami, poczęła z zalotnością dziecinną.

— Jakżebym ja z tego szczęścia mojego nie miała korzystać — odezwała się — i mojego pana nie ugościć w tym domu, który na wieki pamięć dnia tego zachowa?

Król podniósł kubek...

— Chcesz bym pił i jadł? — zawołał. — Siadajże do stołu zemną...

— Ja? ja? — składając ręce i cofając się nieco, z wyrazem zdumienia i radości razem poczęła Esthery — ja? najmniejsza z niewolnic twych, o panie. Ja, śmiałybym? a! nie, moje miejsce u nóg twoich...

Mówiła z tak szczerem, wielkiem przejęciem — z takim głosu drżeniem, z takim oczu wyrazem, iż król spoważniał nagle. Na chwilę krótką ogarnęła go bojaźń jakaś.

Ułakł się samego siebie i niebezpieczeństwa, które mu groziło. Lecz pokuszenie zbyt było silne, wdziękowi dziewczęcia oprzeć się nie mógł.

Starał się w żart obrócić, co powiedział.

— Nadto bo mnie przyjmujesz gościnnie, piękna Esthero... szepnął, do ust niosąc kubek. Nawet na zamku takiejby nie zastał wieczerzy, a nadewszystko takich jej przyświecających oczów diamentowych... Pamiętaj o tem, że gdy mi tu dobrze będzie, zapragnę powrócić, zateśknę może — cóż wówczas?!

Esthery słuchała z uwagą, ale na twarzy jej nie widać było ani pomięszania, ani zawstydy od tej groźby.

— Miłość wasza — odpowiedziała po namyśle — jesteś u każdego ze swych poddanych, w państwie całym jak w domu, cóż u mnie, której życie do was należy?..

— A gdyby królowi często się u was gościć zażądało — odparł Kaźmirz — cóż wówczas powiedzieliby ludzie na was i na niego?

Esther słuchała znowu z natężeniem.

— Na króla nie śmiałyby nikt mówić nic — bo król wyższym jest nad wszelką, mowę — rzekła — a na mnie cokolwiekby rzekli, jaby się tem pyszniła.

— A gdyby źli ludzie nazwali cię jego... ulubienicą? zapytał król, rumieniąc się i ściągając ją oczyma.

Nie spuściła ich Esthery — owszem, zatrzymała długo na królu, jakby niemi mu naprzód odpowiedź dać chciała.

— Albożby to nie było szczęściem i dumą dla mnie?.. odezwała się cichszym głosem... Dać temu chwilę choćby zapomnienia o świecie, komu się winno życie na nim? Ale — nie może to być miłościwy panie. Nigdy chrześcijański pan nie zniży się do córki tego narodu, który skazany jest na pogardę i poniżenie...

Król poruszony, zapomniawszy się, rękę jej pochwycił.

— Esthero! zawołał — gdybyś chciała?...

Nie odpowiedział reszty.

— Mogłabym nie chcieć takiego szczęścia? — odparła śmiało córka Aarona... Ja — ja musiałabym z radością uczynić cobyś rozkazał, bom twoja, lecz ty panie nie zażądaś tego, coby ciebie poniżyło, a mnie uczyniło nieszczęśliwą.

Tak jest, królu i panie mój, byłabym razem szczęśliwą i najniezszczęśliwszą — bo musiałabym wprędce twą łaskę utracić. W rękach twych byłabym igraszką i zabawką, którąbys cisnął potem na ziemię, a ludzieby ją nogami zdeptali...

Król spuścił oczy, jakby zawstydzony.

— Esthero — rzekł z wolna i smutnie — prawdą jest, że bywałem w życiu płochym — że miłowałem i rzucałem... ale nie trafiłem nigdy ani na taką piękność jak twoja, ani na taki rozum, ani na takie serce...

Tys stworzoną do wielkich losów... Gdybyś raz chciała być moją, zostałabyś nią na zawsze...

Nie wiązałem się, ani ciebie, żadną przysięgą — lecz słowem królewskim... Możesz że ty zresztą obawiać się być opuszczoną, ty?...

Esthery powieki po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy opadły na oczy czarne i osłoniły je, drżenie w twarzy widać było. Usta poruszały się bez głosu, jakby jej siły zabrakło.

Zwolna potem podniosły się zasłony, wzrok jakiś omdlony i łzawy zwróciła milcząca na króla...

— Panie mój — rzekła cicho — ze służebnicy swej nie czyni sobie igraszki bolesnej. Szydziłeś ze mnie — nie może to być.

Król powstał z siedzenia i coraz mocniej rozgrzewając się rozmową — zawołał.

— Na koronę moją — nie żart to był — Esthero!!

Zbliżył się ku niej, pocałował ją w czoło i rzekł gorąco:

— Esthero! oczekuj na mnie jutro — przybędę sam. Nikt widzieć i wiedzieć nie powinien...

Dziewczyna spojrzała nań oczyma wielkimi.

— Dla mnie? odezwała się spokojnie — niech świat cały widzi, niech wiedzą wszyscy; ja mego szczęścia się nie zawstydzę — będę nim dumną. Król i pan mój nie zechce mnie — odpychając, dać na wzgardę ludzi.

Każmirz pomyślał chwilę, upojony, wzruszony, rękę jej podał...

— Bądź mi wierną — zostanę ci na zawsze takim, jakim mnie widzisz dzisiaj... Ozłocisz mi dni moje...

To mówiąc, jakby go wspomnienia przeszłości przygniotły — poruszył się do wyjścia milczący.

Esther odprowadzała go do drzwi... pocałowała w rękę i cofnęła się, widząc oczekującego nań Kochana; który udawał rozespanego, choć podedrzwiami słyszał całą rozmowę.

Rawa wiedział, że tu już pośrednictwo jego nie było potrzebne — kaprys ten królewski zdał mu się jednym z tych, jakich już wiele widywał, a doświadczenie uczyło go, że wszystkie one nie trwały długo. Pochodzenie Esthery mało czyniło prawdopodobnym, aby ona mogła mocniejszym węzłem przywiązać do siebie Każmirza. Pięknością i młodością wprawdzie przechodziła wszystkie swe poprzedniczki, lecz urok ten tak łatwo i prędko znika, a Rawa na charakter, rozum i takt dziewczyny nie rachował wcale.

Każmirz przeciwko swojemu zwyczajowi nie zwrócił mu się z niczem. Kochan nie śmiał go pytać.

Dni kilka upłynęło. Po miesiącu zaczęły już chodzić pogłoski, że król miał nową kochankę i że nią była — żydówka.

Łatwo przewidzieć, z jaką zgrozą mówić o tem zaczęto, z jakim oburzeniem duchowieństwo przeciw królowi występowało.

Rzecz zdawała się dowiedzioną, niewątpliwą; rozpowiadali o niej wszyscy — jednakże były to tylko pogłoski, posłuchy, plotki miejskie, którym wielu wiary nie dawało. Król we dnie nigdy do domu Esthery nie zajeżdżał... nie widywano jej nigdzie.

Z każdym dniem jednak rosły rozsiane o tem wiadomości, bogacąc się i prawdziwymi i zmyślonemi szczegółami. Starszyzna dworu, stojąca u boku króla, zaniepokojoną była. Nalegano na nią, aby nastąpiła na Każmirza i zagnęła go do zerwania, godności jego uwłaczającego stosunku.

Lecz ci, co bliżej go znali, wzruszali ramionami, i nikt się podjąć nie chciał mówić o tem, wiedząc, iż w życiu prywatnym Każmirz niczyją się radą powodować nie dawał.

Napadano na Kochana, wiedząc, że on mógł być sprawcą; czego się najuroczyściej zapierał. Ks. Suchywilk, dowiedziawszy się o pogłoskach, poszedł do Wierzyńka. Najbliżej króla stojący, jego osobisty podskarbi, płatnik, doradca, także nic o tem nie wiedział.

On zresztą był tak pobleżającym dla pana, iż wszelką fantazję pańską uznawał za usprawiedliwioną — nic za złe mu mieć nie mógł.

— Mówcie o tem z nim, odezwał się Suchywilk, ma nieprzyjaciół dosyć, przyczynia ich sobie... Duchowieństwo zamykało oczy na wiele zbrodni i słabości — ta jest upokarzająca.

Wierzynek, który znał Kaźmirza nadto dobrze, by w skutek czyjegokolwiek pośrednictwa wierzył — potrząsł głową.

— Ojciec mój, rzekł z cicha do Suchywilka — nie wiem nic, nie bardzo wierzę pogadankom, bo na króla wymyślają wiele, lecz, gdyby to prawdą być miało — my pewnie nie odciągniemy go, ani zrazim; dla ludzkich języków nic nie uczyni.

Jeśli jest droga, to inna...

— Jaka? zapytał Suchywilk surowo.

— Znam tych żydów — odparł Wierzynek; choćby mogli dumni być z tego, że król sobie kochankę wybrał z ich krwi, wiem, że oni więcej się na to oburzają może, niż ci, co na króla krzyczą. Dosyć będzie pomówić z Lewkiem, aby i prawdy się dowiedzieć i — może zapobiedz temu. Pojadę do Wieliczki...

Tegoż dnia wieczorem Wierzynek był u Lewka.

Znalazł go, jak zwykle, rachunkami i żupami zajęтым, i rozpoczynającym rozmowę od sprawy składu solnego, który był w Krakowie. Na twarzy jego, w obejściu się, nie postrzegł nic, coby niepokój jaki lub zmartwienie zdradziło... Lewko ochoczo przyjmował krakowskiego gościa i starał się pozyskać sobie jego względy, bo choć sam u króla dobrze był położony, wpływ Wierzyńka przechodził łaski, jakimi się chlubił.

Późnym wieczorem, gdy sami pozostali, Wierzynek poufale go zagadnął.

— Nie doszło was nic nowego o Aaronowej córce Estherze?

Lewko wpatrzył się pilno w mówiącego.

— O Estherze? zapytał — drugiej takiej zuchwałej niewiasty nie ma w Izraelu i, dałby Bóg, aby takich i jej podobnych nie było!! Nie wspominajcie mi o niej, bo ona jest utrapieniem dni naszych, smutkiem rodu swojego całego...

Wierzynek, pomilczawszy trochę, rzekł powoli.

— W mieście rozpowiadają, jakoby królewską kochanką była?

Rzucił się Lewko, jak rażony wiadomością, i ręce załamał. Stał czas jakiś, nie mogąc ust otworzyć — oczyma rzucał przerażony — zadumał się.

— Nie może to być!! wykrzyknął. Dla króla naszego życiebym dał — ale — ani onby mógł tego zażądać, ani ona zgodzić się na to. Szalona jest, ale dumna... Wszystko na nią powiedzieć można — płochą nigdy nie była...

— Tak mówią, ja nie daję wiary — odezwał się gość. Coś jednak musiało dać pochop do tej plotki.

— Wiecie, że król jej życie ocalił, i że pamiętał o niej — dodał Lewko zamyślony, — tak — i gdym z nim mówił niedawno... pytał mnie o nią...

To przypomnienie słów królewskich Lewkowi brwi ściągnęło, zasępił się.

— Wspomniał mi o niej! dodał ciszej...

Począł chodzić po izbie niespokojny...

— Nie wierzę — dodał — ale potrzeba wiedzieć prawdę — jadę jutro. Dziewczyna kłamać nie umie...

— A gdyby w tem coś prawdy było! odezwał się Wierzynek — co czynić myślicie?

Żyd, ręce założywszy na piersiach, stanął przed Wierzyńkiem, nie odpowiadając nic.

— Gdyby to prawdą być miało? powtórzył — i urwał nagle...

Widać w nim było walkę wewnętrzną, rumieniec występował na twarz bladą i niknął; z piersi wyrzywały się westchnienia.

Wierzynek napróżno długo czekał odpowiedzi. Żyd nie spieszył z nią i dumał. Stanął wreszcie znowu przed gościem.

— Odpowiedź trudna na pytanie wasze — począł z bolesnym uśmiechem. Wiecie wy, co to jest być żydem na wygnaniu? Pamiętacie te rzezie i prześladowania, jakie nas

tu i po całym świecie niedawno jeszcze ścigały? Łzamiłyśmy może wstyd nasz oblewali, ale...

Tu się zatrzymał i spojrzał nań bystro.

— Jabym przeklął tę dziewczynę, rzekł — ale jeżeli ona, jak nowa Esthera, ma króla łaskawym dla całego plemienia uczynić, myślicie, że wahałbym się dać ją na ofiarę za lud nasz??

Zmilczał Wierzynek.

— Byłoby to nieszczęście wielkie, i szczęście wielkie... Kobieta rozumu ma więcej, niż potrzeba dla niej. Zdałby się on może... Piękna jest, młoda, król przywiązałby się do niej?

Coraz ciszej mówiąc, nie dokończył Lewko i — lzy otarł...

— Taka kobieta wszystko może — dodał na wpeł do siebie — któż wie? Bolałoby nas, mnie — lecz, wiecie, bo pismo znacie — ludzie dla narodu umierali, czemu by niewiasta nie miała dlań tego poświęcić, co nad życie droższe?

Jeśli się to nie stało — zawołał, niech się nie stanie! Ja ją sam wywiozę, zamknę... lecz jeżeli stało się — ja jej powiem — bądź dla narodu Estherą, a my ci przebaczymy hańbę twoją.

Wierzynek nie miał słowa odpowiedzi.

Nazajutrz razem pojechali do Krakowa. Lewko kazał się wozowi swojemu u drzwi Esthery zatrzymać. Nie chciał mówić naprzód z nikim, nikogo wzywać, z nikim radzić, póki by sam z nią nie mówił. Postawę przybrał uroczyście: opiekuna i sędziego. Estera, która go zajeżdżającego widzieć musiała, wyszła naprzeciw do progu.

Nic w niej nie zdradzało upokorzenia, obawy, wzruszenia na widok człowieka, który szedł ku niej milczący i groźny.

Znalazł ją przybraną bogato i starannie, z twarzą rozjaśnioną i dumną. Przywitała go chłodno, jakby przygotowaną była na niemiłe badanie.

— Esther — odezwał się Lewko głosem, jakby przybrany, nieswoim, chociaż znał ją od dzieciństwa, i zwykł był do niej przemawiać inaczej. Esthero! ja tu przybywam nie jako Lewko, krewny twój i opiekun — ale jako sędzia, jako jeden ze starszyzny narodu naszego. Prawdę mi mów.

— Nigdy nie skalała ust moich fałszem — odparła Esthera spokojnie — pytaj...

— Król — począł Lewko wpatrując się w nią. Co mówią o tobie i o królu w mieście? Może to być?

— Co mówią? spytała zimno...

— Zowią cię kochanką jego...

Wpatrzył się jeszcze silniej w nią, nie spuściła oczów...

Milczeli oboje — chociaż Esthera nie zdała się odpowiedzi szukać i być jej niepewną.

— Król, ocalił mi życie — rzekła zwolna — ja i ono do niego należało...

Lewko jęknął.

— Przyznajesz się więc? zawołał.

— Król pokochał mnie — rzekła — a król może wiele dla narodu naszego... Miałam dla niego cześć i miłość...

Spuściła głowę i ręce rozpostarła.

— Nie zapieram nic! chlubię się tem...

Lewko plunął przed nią na podłogę i kroków kilka odstąpił. Hamował się, aby nie rzucić przekleństwa. Estera patrzyła nań z dumą i spokojem.

Odszedłszy od niej, żyd padł na siedzenie i zakrył sobie oczy... Oplakiwał wstyd krwi swej... lecz nie rzekł słowa... Esthera zbliżyła się ku niemu...

— Lewi — bądź spokojny — odezwała się, hańba, jeżeli jest, spada na mnie, dobrodziejstwa na was spłyną. Król kocha mnie, a ja nie przestałam być córką Izraela, odciągnąć mnie od niego nie potraficie — musielibyście zemsty się jego obawiać. Nie plujcie na niewiastę, która pod płaszcz swój weźmie plemię całe!

Lewko milczał, białemi, suchemi, kościstymi palcami twarz ciągle zasłaniając...

Przemógł się wreszcie, odsłonił ją i powstał.

— Nie przeklinam cię, — rzekł — Bóg nasz niech sądzi. Trzymasz serce królewskie w dłoni — nie rzucajże go... Żadna dotąd niewiasta przywiązać go nie mogła do siebie — przykuj go, nie puszczaj. Tem tylko uzyskasz od nas przebaczenie.

— Przebaczenie? powtórzyła dumnie Esthera — dziękować mi powinniście, nie przebaczać.

Lewko spuścił głowę upokorzony... Surowy twarzy wyraz, z jakim wszedł, zwolna z niej schodził. Był coraz bardziej izraelitą obrachowującym korzyści uczynionej ofiary...

Esthera śledziła w nim tę zmianę, jak gdyby naprzód pewną jej była.

— Kocha cię król — począł Lewko, stało się to... któż wie, co to zrządziło? Każde mu się kochać gorąco, bądź dlań wszystkim, niech w tobie znajdzie to, czego szukał życie całe... Jeśli porzuci cię...

— Nie porzuci mnie — odparła Esthera. Tamte, które brał i ciskał, nie kochały go, jak ja... on czuje, że ma całe serce moje... Tamte miłowały go dla królestwa jego, dla skarbów, dla wielkości — ja kocham człowieka, nie króla — ale król i pan mój dla rodu mojego pozyskany zostanie...

Lewko słuchał — skłonił głowę, czuł, że kobieta, którą miał przed sobą, nie samą pięknnością musiała wziąć serce pana, ale i rozumem tym, który z każdego jej słowa wytryskał...

Cóż więcej mówić miał? naciągnął płaszcz na ramiona i chciał odchodzić, wstrzymała go Esthera.

— Lewi, rzekła — dobijali się nasi do drzwi moich, zamykałam je przed wszystkimi — tobem je otworzyła tylko. Jesteś człowiekiem rozumnym. Mów im za mną, aby nie przeklinali mnie i nie odpychali, mów, aby napróżno nie starali się mnie oderwać od niego...

Nie zmuszajcie mnie zerwać tego, co wiąże z wami — nie każcie mi iść precz od siebie.

Ze spuszczoną głową stał Lewko, skinął tylko, jakby mu słowo rzec było trudno. Wyszedł milcząco... W progu wahał się chwilę, dokąd pójdzie — do swoich, czy do Wierzynka. Skierował się naprzód do tego, który był Rabbim w Krakowie...

Wierzynek już czynnie zajęty codziennymi swymi sprawami handlu i miasta, czekał nań do wieczora. Gdy Lewko nadszedł, nie potrzebował pytać, twarz żyda zmieniona, sfaldowana, ściągnięta — mówiła o tem, że wieść musiała być prawdziwa. Nie pytając go, czekał.

Lewkowi trudno było wyrzec słowo to, którego jeszcze się sromał. Siedzieli długo, urywanemi wyrazy o rzeczach obcych rozmawiając — jeden czekał, aby go pytano, drugi spodziewał się wiadomości, badać nie śmiejąc.

Patrzyli sobie w oczy... Lewko wyciągnął rękę i z góry spuścił ją na dłoń drugą... Westchnął.

— Prawda więc? szepnął Wierzynek.

Żyd głową tylko potwierdził.

— Jeżeli tak jest — dodał gospodarz domu — strzeżcież się króla narazić sobie próżnym już oporem. Nie czynicie nic — nie sarkajcie... zyszczecie łaskę jego...

— Nie zmuszajcie mnie tylko ani dziś, ani jutro iść przed oblicze jego — odezwał się Lewko — wyczytałby mi w oczach ranę, którą w sercu uczynił. Możemyż my mu się przeciwzić? Możemyż sarkać? My? Rąbek jego szaty za uczyniony srom powinniśmy całować!

Uśmiechnął się Lewko...

— Stało się.

Nazajutrz zjawił się ks. Suchywilk, który miał czas przekonać się z tego, co słyszał na królewskim dworze, iż pogłoska nie była fałszywą. Smutny przychodził tu po jej potwierdzenie.

Wierzynek był już przysposobionym.

— Prawdą więc jest, co powiadają? zapytał ks. Jan.

— Gdyby nią było — odparł, nam wiernym sługom pańskim nie godzi się wiedzieć o tem, co on sam zataił przed nami. Dopóki król nie powie mi: — wypłać Estherze z żup ratę, dopóki nie przyzna ją za swoją, ja oczy zamykam.

— Ale ja ich na to zawartych trzymać nie mogę! odparł ks. Suchywilk... Zarzucają mi ludzie, że mu w wielu sprawach pobłażał... cóż powiedzą, jeżeli teraz zmilczę?

— Powiecie, że wy badać króla w prawie się nie czujecie, rzekł Wierzynek.

— Nie! — zawołał Suchywilk, będzie co chce, zagniewa się na mnie, a co mam w sercu wyleję z niego!

— I nie pomoże to nic — rozśmiał się Rajca krakowski, prędeż go upornym uczyni. Najgorszem jest brać za wielkie, co małem w istocie...

— Małem to zwiecie? wykrzyknął z oburzeniem Suchywilk. Któż wie, jaki wpływ ta niewiasta wywierać może na niego. Ludzie nad pleć rozumną ją głoszą.

— Złą ją nikt nie powiada? szepnął Wierzynek.

— Bronicie go? zapytał ksiądz.

— Sądzić nie będę — zakończył Rajca.

Nie mówili więcej. Wierzynek jak najuprzejmiejsem przyjęciem starał się nachmurzonego rozbroić Prałata — lecz Suchywilk pożegnał go z widocznym strapieniem i frasunkiem.

Wieczorem król zasiadł do stołu w najpoufalszych swych kole. Miejsce obok siebie wskazał ks. Janowi, miał tuż Wacława z Tęczyna, miał młodego pana z Melsztyna i grono przyjaciół codzienne.

Rzadko go widywano tak rozjaśnionym i wesołym, tak zachęcającym drugich, aby z nim dzielili radość, którą twarz jego promieniała. Uderzył go wyraz Suchywilka rysów, nad miarę w tej godzinie surowych i zasepionych. Po kilkakroć zwracał się ku niemu.

Wieczera się przeciągała. Gdy Kaźmirz wstał i dwór jego przyboczny do sypialni go przeprowadzał — Suchywilk poszedł za nim.

Było to znakiem dla drugich, aby się oddalili od progu.

— Godzina może stosowną nie jest — odezwał się Suchywilk, wchodząc za królem, lecz moje przywiązanie do miłości waszej milczeć mi dłużej nie pozwala.

Kaźmirz odwrócił się doń, oczekiwał dalszego ciągu.

— Nie zarzucicie mi, abym się męszal do spraw, do których miłość wasza mnie powołuje... ale dziś.

— Mówcie proszę — przerwał król.

— Uwłączając waszej miłości pogłoski rozsiewają — począł ksiądz, a zdają się one mieć pewną podstawę. Miłościwy królu — byćże to może? Ta Esthera?

— Cóż Esthera? podchwycił król. Czy mieszka na zamku? czy ją królową chcę uczynić? czy mi człowiekiem być nie wolno...

— Nieprzyjaciele twoi — miłościwy panie.

Król się rozśmiał.

— Sądzę, rzekł żywo, iż większej łaski nad tę, uczynić im nie mogłem, dając taki oręż na siebie!!

Poruszył ramionami.

— Pochodzenie jej — przerwał Suchywilk.

— Nie przeszkodziło — podchwycił król — być najpiękniejszą w świecie niewiastą. Słaby jestem i nie taję grzechu mojego...

Ludzie mogą kamieniem rzucać na mnie, nawykłem do pocisków...

Ks. Suchywilk stał, nic nie mówiąc, i błagając go oczyma. Król zbliżył się i uściskał go.

— Ojczy, rzekł — zostawcie to spowiednikowi mojemu, proszę...

Z westchnieniem, nie mówiąc już więcej, ks. Suchywilk pokój królewski opuścił.

Kaźmirz powołał Kochana, kazał podać płaszcz, iść za sobą, i nie mówiąc, dokąd się wybrał, zamek opuścił.

Godzina była późna — pomimo to przez zasunięte okiennice w domu Esthery światło widać było. Piękna gospodyni, strojna z całym przepychem, który lubiła, a było jej z nim do twarzy, od dawna oczekiwała na króla. Jak zawsze, napój mu najulubieńszy, przysmaki, o których wiedziała, że mu były najmilsze, woń nawet w komnacie dla niego dobrana, starannie przygotowane były. Esthera z tym instynktem serca, które odgaduje co ukochanemu miłem być może w najmniejszych drobnostkach, chwile, które u niej przepędzał, starała mu się uczynić wytchnieniem rozkosznym. Jej ubiór nawet zastosowywał się do smaku pana, do wyrzeczonego czasem słówka pochwały, lub rady.

Dla Kaźmirza była ona zawsze piękna, lecz rad ją przystrajał jeszcze, lubując się wdziękiem, coraz inaczej mu się przedstawiającym.

Równie jak zastawa stołu, przygotowaną była rozmowa, aby nie nużyła króla, aby dlań była rozrywką i zabawą. Esthera z ksiąg wschodnich, które czytywała rada, czerpała po-

etyczne legendy i opowiadała je naiwnie. W niektórych z nich tkwiły myśli, może nie bez celu rzucane.

Choć czasem serce jej smutne było i uciśnięte, układała twarz wesołą, zmuszała się dłań do uśmiechu; nie okazywała zachmurzonego czoła, a nadewszystko nie zażądała nigdy dla siebie nic, co było najlepszym sposobem pozyskania wszystkiego, co chciała.

Każmirz, jak wielu podobnego charakteru ludzi, zrażał się żebranią; a milczenie podbudzało w nim chęć odgadnienia życzeń i myśli.

W ten sposób Esthery, która dziękowała pokornie za najmniejszy dar, więcej otrzymała od króla w przeciągu niewielu dni, niż inne latami całymi.

Klejnoty, kosztowne tkaniny, perły, szkarłat, naczynia srebrne, wędrowały potajemnie do jej domu... Esthery przywdziewała dary, ustawiała je, ze czcią je zachowywała, za każdym razem uradowana rzucając się do kolan króla i dziękując mu za nie.

Czarodziejka miała dar przywiązywania do siebie, rozkazywania posłuszeństwem, jednania dowodami miłości, i nigdy król dla żadnej w życiu niewiasty nie czuł tak gwałtownej miłości. Wstydził się jej, wyrzucał ją sobie, lecz zawładnęła nim coraz mocniej i nawet Kochan dostrzegł wkrótce, że rachując na nietrwałość tego związku, omylił się pono.

Dnia tego, witając Każmirza w progu ze zwykłą czułością i pokorą, Esthery, z za wesołości jaką mu zawsze przynosiła, dała się przebić jakby ukrytemu niepokojowi...

Król postrzegł to, gdy usiadła przy nim i spojrzała nań jakiemiś zamglonemi troską oczyma.

— Cóż ci to dziś jest? — zapytał.

— Jestem tak szczęśliwą, jak zawsze — odpowiedziała żywo, nalewając mu kubek i podając go rączką białą. — Nie troszcz się, panie mój, używaj wczasu, odpoczywaj u mnie, zapomnij trochę o ciężkiej twej koronie. Na to ja jestem służką twą, aby ci choć godzina w słodkim upływała oderwaniu od pracy.

— Nigdy też w życiu nie miałem chwil tak szczęśliwych, jak spędzone przy tobie — rzekł Każmirz, i choć mi je ludzie zazdrośni zatruć pragną...

Król nie dokończył, wziął kubek i podającą w twarz piękną pocałował.

— Aleś ty dziś smutna? — zapytał.

— Ja nie mam żadnej przyczyny się smuć — odparła Esthery — radabym o niczem smutnem nigdy nie mówić panu memu — ale dziś muszę.

To mówiąc, wstała. Każmirz patrzył niespokojny na nią, twarz jej stała się poważną, brwi trochę ściągnęły...

— Czyżby ludzie ci śmieli jaką przykrość wyrządzić? — spytał król.

— Mnie? — odparła z uśmiechem — na to bym ja nie poskarżyła się nawet. Przy takim szczęściu, jakie mnie spotkało, cóż znaczy mały ból, jaki mi ktoś zechce uczynić? niesprawiedliwością byłoby się skarżyć.

— Cóż więc? — natarczywie nalegał Każmirz.

Esthery usiadła i powoli, z rozwagą, mówić zaczęła, z każdym licząc się słowem, a oczyma badając, jakie uczyni wrażenie.

— Nasz naród, miłościwy panie mój — rzekła — rozsypany jest wszędzie. W królestwie twojem nie ma mieściny, gdzieby moich biednych braci nie było. Tacy jak my, ażeby się oprzeć i obronić tym, co ich nękają i prześladują — a ścigają ich wszyscy, muszą się trzymać za ręce. My wiemy przez swoich, co się gdzie dzieje, my czasem prędzej i pewniej dostajemy wiadomości od urzędników waszych i was, coście o wszystkim wiedzieć powinni.

Król słuchał z uwagą.

— Panie mój — dodała — zbliżając się ku niemu. Wyście obdarzyli i wynieśli Maćka Borkowicza wysoko. Czy wierzycie mu? czy pewni jesteście, że zdrady przeciwko wam nie ma w sercu?

To pierwsze wmięszanie się Esthery do sprawy publicznej, zmięszało króla i zasępiło go.

— Albożbyście wiedzieli co o nim? — zapytał.

— Nasi... powiadają, że człowiek ten, choć na pozór uległy i posłuszny, przeciwko wam coś knuje — mówiła dalej Estera — wszyscy ziemianie wielkopolscy prawie, zwołani przez niego, związali się z nim przysięgą i pismami pod pieczęcią, że z nim pójdą razem...

— Tak — odparł król — i ja wiem o tem, ale ten związek przeciwko mnie wymierzony nie jest, stoi w piśmie, które ułożyli, iż wierni mi pozostaną.

Estera uśmiechnęła się.

— A potrzebażby pisać było o tem, gdyby inną myśl nie chcieli zakryć tym fałszem? — odezwała się, patrząc na króla. — Ludzie, co uszy mają dobre, mówią, iż właśnie ten związek kryje najniebezpieczniejszą zdradę. Ja jestem głupią niewiastą tylko, ja nie rozumiem tego, ale są u nas ludzie rozumni i przebiegli, a ci powiadają... iż Maciek Borkowicz jest zdrajcą przeciwko tobie, tem niebezpieczniejszym, że się płaszczy i okrywa...

Każmirz zamyślił się chwilę. Esthera mówiła ciągle powoli.

— Ja nie swoje mówię słowa, ale mądrych ludzi radę powtarzam wam, strzeżcie się tego człowieka. Wy żądacie ze wszystkich tych ziem jedno uczynić państwo. Maciek chce wam Wielkopolskę oderwać i tak na niej panować, hołdownikiem tylko, jak Ziemowit na Mazowszu.

Widząc zdziwienie na twarzy słuchającego, Estera wzięła rękę jego i do ust ją poniosła.

— Panie mój — rzekła — ja tym sprawom obca... mój rozum takich tajemnic nie sięga, lecz mądrych ludzi siła w naszym narodzie, co widzą bystro... kryją się oni i milczą, bo dla nich i rozum niebezpieczny. Mądrzy mówią przez usta moje do ciebie. Strzeż się królu Maćka Borkowicza...

W milczeniu Każmirz wysłuchał cierpliwie Esthery — podumał, uśmiechnął się smutnie i począł.

— Rada dobra być może... zawsze ostrożnym powinien być, kto ma panowanie i straż nad krajem... Rada dobra, ale Esthero moja, byłbym ją chętniej z innych ust posłyszał, twoje stworzone są na to, aby słodkimi upajały słowami...

— Tak panie — szepnęła Esthera — a! tak, ja to czuję sama, ale drży serce moje, gdy panu umiłowanemu grozić może niebezpieczeństwo... Mogęż ja milczeć?

I ja, i moi bracia w Izraelu, którym dawałeś i dajesz opiekę w państwie twem, Kochają cię — oni mówią ustami memi...

— Maciek Borkowicz! — zawołał król. — Tak, możny jest przez siebie i przezemnie, mocen jest, bom ja mu dał siłę tam, gdzie jej dla utrzymania ładu było potrzeba, lecz jakem go podniósł, tak zgnieść potrafię. Tak — dodał król spokojnie — ale na to potrzeba więcej, niż podejrzenia, więcej niż słów luźnych... czekać muszę...

— A patrzeć pilno! — przerwała Esthera...

Przestroga nie pozostała bez skutku. Mniej wesół powrócił Każmirz dnia tego na zamek, lecz nazajutrz posłał Dobka do Wierzbicy do Poznania, aby doń przybył, nie głosząc dokąd jedzie, ani że go powołano.

Zjechał był pod ten czas wielce miły królowi i oddany mu całkowicie Bogorja, Arcybiskup Gnieźnieński, do Krakowa. Ludzie, co wszystko wiedzieć chcieli, powiadali po cichu, że go ks. Suchywilk, siostrzeniec jego, potajemnem sprowadził wezwaniem.

Dla króla gość to był wielki i zawsze pożądanym. Nigdy jeszcze żadną chmurką najlżejszego nieporozumienia nie zamglily się stosunki ich z sobą. Bogorja powolnym był, król wdzięcznym, i ów niegdyś tak srogi i energiczny pasterz, gdy o ukochanego króla chodziło, był mu prawdziwym ojcem, bo z rodzicielską łagodnością w najcięższych sprawach tak doń przemawiać umiał, iż się one zawsze zgodą i wzajemnymi ustępstwami kończyły.

Bogorja, przybywszy tu, naprzód się udał na zamek do króla, oświadczył, iż go sprowadziły kościelne trudności i z Biskupem krakowskim układy o dobra i dziesięciny do obu należące dycęzjy, a w granicach im niepodległych położone. Chociaż król się spodziewał a lękał, aby mu pasterz nie wypominał Esthery — w kilku poufnych z nim rozmowach Bogorja najmniejszym słowem nie dał mu uczuć, by wiedział o niej. Tym wdzięczniejszym był mu król za to.

Arcybiskup już przez siostrzeńca swojego ks. Jana był o tem zawiadomiony, a istotnym powodem przybycia jego do Krakowa była właśnie narada, jak króla oderwać od stosunku z żydówką, na który duchowieństwo ze zgrozą patrzyło.

— Dziesięć miłośnic bym mu przebaczył — wołał oburzony Bodzanta — ale takiego zgorznienia ścierpieć nie mogę. Synody nasze sług chrześcian żydom zabraniają, a oto król nasz sam poszedł do żydów na służbę! Co za dziw będzie, gdy niewiernym nada nowe

prawa, im co je już od Bolesława Kaliskiego wymodlili, dalej my ich nie oni nas się obawiać będą!!

Bez wiedzy króla, pod różnemi pozorami zwołano przedniejszych panów, a ziemian ze stron różnych. Zbyszek, proboszcz krakowski, Spytek, kasztelan, Jan Nałęcz podkanclerzy krakowski, jeden z Ligęzów, Piotr Odrowąż Szydłowiecki, Przedysław z Gołuchowa, poznaczyk, wieczorem na trzeci dzień po przybyciu arcybiskupa zgromadzeni byli u niego. Ks. Suchywilk wuja zastępował, pełniąc gospodarza obowiązki.

Wszyscy oni z życzliwości dla króla znani byli, jeden Bodzanta od sprawy Baryczki, choć dziś już przejednany, z królem był zawsze chłodno i niezbyt dlań chętny.

Wnosić wszystkim wiadomej sprawy nie było potrzeba, Arcybiskup zagał westchnieniem. Podniósł do góry dłoń.

— Bóg nas pokarał tem — rzekł. Krewki jest pan nasz, jak wszyscy byli Piastowie, wiele mu przebaczyć trzeba...

Powstał natychmiast, gwałtownie przerywając Bodzanta.

— Dosyćśmy folgowali — rzekł... Padł ofiarą mój zacny a nieustraszony ks. Marcin! Zamiast poprawy, widzicie, co przyszło... Wziął bezwstydnie miłośnicę z plugawego plemienia, którego dotknięcie kala... W cóż się obróci cześć korony tej naszej?...

Klątwą mu zagrozić — dodał żywo — klątwą. Tak, surowości potrzeba... pobłażaniem przywiedliśmy go do tego.

Suchywilk powstał.

— Niech mi wolno będzie się odezwać — rzekł — znam króla nie od dziś dnia, charakter jego, cnoty i wady. Jak w tej nieszczęsnej historii ś. p. Baryczki, tak teraz klątwami i groźbami na królu nic nie wymožemy... nic. Pobudzim go do oporu.

— Więc cóż? wybuchnął Bodzanta — ręce założywszy oślepnąć, milczeć, cierpieć?

Śmiechem szyderskim dokończył, oglądając się dokoła.

Bogorja, słuchający cierpliwie począł zwolna.

— Inny środek widzi mi się tu właściwym. Król boleje od dawna, że potomka meżkiego nie zostawi po sobie. Nie stary jest, żony nie ma. Żonę mu dać potrzeba młodą, piękną, do którejby się mógł przywiązać — porzuci owe kochanie...

Spytek, Kasztelan krakowski, Ligęza i Przedysław z Gołuchowa, odezwali się wszyscy, jako do stronnictwa węgierskiego nie należący, z pochwałą i w myśl Arcybiskupa.

— Nie inaczej uczynić trzeba, tylko wedle myśli ojca naszego, odezwał się, występując nieco Spytek, który tu ze świeckich najstarszy był dostojenstwem. Inaczej się nie poskromi krew gorąca...

Bodzanta, przy Arcybiskupie siedzący, poruszył się, słysząc to, i wnet począł...

— Gdybyśmy to chcieli przyprowadzić do skutku — nie zdołamy. Szanuję pomażanca bożego, lecz powiedzieć muszę co prawda, że osławionym jest... Żaden ojciec córki mu nie da, aby jej los Adelaidy nie spotkał, która przed Rokiczaną ustępować musiała... Żadna księżniczka zań nie pójdzie, a na królowę nie tylko młodości i piękności, ale i krwi potrzeba, żeby nam wstydu nie uczyniła.

— Przeczę — odezwał się Bogorja — i zaręczam, że księżniczkę znajdziemy. Za Kaźmirza stało się to królestwo czem od wieków nie było, państwem wielkiem i mocnem. Koronę jego na skroń włożyć, warto coś ważyć za to.

— Księżniczkę znajdziemy — dodał Spytek... byle on na to nowe zgodził się ożenienie.

— A ono mu na co? odparł Bodzanta. Nadziei potomka pozbył dawno. Bóg sprawiedliwy karze go za śmierć mojego świątobliwego Baryczki. Wie sam, że z nałożnic synów mieć będzie, ale z żony mu nie da ich Bóg...

— Miłosiernym jest Bóg — przerwał poważnie Arcybiskup... Ja lepiej tuszę... Modlić się o to będziemy wszyscy i wy — bracie mój — rzekł, zwracając się do Bodzanty, który brwi ściągał i szeptał.

— Niech na to zasłuży... z żydówką żyjąc, ekskomunice podlega.

Zmilczeli wszyscy.

— Ja sędzę — odezwał się Spytek, iż gdybyśmy króla prosili o to wszyscy, na nowe śluby się zgodzi...

— Wprzód mu księżniczki poszukajcie, któraby pójść zań chciała... wtrącił Bodzanta z niechęcią. Na świecie takiej nie znajdziecie.

— Mnie się widzi — odparł Arcybiskup, iż nam jej szukać i narzucać mu ją — nie naszą rzeczą. Prośmy go, ażeby się żenił, a wedle serca żony szukał...

— Kiedy serce wzięła żydówka! rozśmiał się Bodzanta.

— Sądzę, że nie serce, ale namiętność i chuć cielesna go w te więzy okowała — przerwał Suchywilk...

— Powiadają, że nie głupia jest — żartobliwie a złośliwie mówił Bodzanta. Gdy przy piękności rozum się znajdzie, trudna sprawa...

Znowu chwila milczenia naradę przerwała. Bogorja wcale nie zafrasowany słuchał i do swojego powrócił.

— Chodźmy doń wszyscy — rzekł — nie ażeby go karcić i grozić, lecz by go prosić... Chcemy mieć króla z krwi naszych Piastów, niech się żeni... nakażemy modły, Bóg dla nas czynił już cuda...

— Lecz nie dla tych, co prawami jego pomiatali — dodał Bodzanta. Mili moi panowie (zwrócił mowę do Spytka i świeckich) — czyńcie jak się wam podoba. Idźcie prosić — ja nie pójdę... Modlić się o nawrócenie mogę, dopóki w grzechu jest, odwracam od niego twarz moją tak, jak Bóg i święci patronowie królestwa tego oblicze swe zasłaniają. Karze nas Bóg a chłoscze od śmierci Baryczki nieustannie, morem, głodem i powodziami daje znaki, a zatwardziałości w grzechu nie przelamał — cóż my na to możemy? Chyba jak Bóg i w imię Jego, chłostać też i surowością gnać do pokuty...

— Spróbujciez chociaż wprzód łagodniejszego środka — odezwał się Suchywilk... Gdy wyczerpie się pobożanie.

— Dawno się ono wyczerpać było powinno — rzekł Bodzanta.

Bogorja, jakby nie słyszał co mówiono, począł w myśl swoją:

— Pójdziemy do króla...

Wtem Suchywilk, dając znak wujowi — podniósł głos.

— Ażeby krok ten był skutecznym — rzekł — należy i to rozważyć, czy mamy wszyscy razem do niego iść, czy pojedynczo o to nalegać przy każdej zrzeczności?

Wszelkiego nacisku król nie znosi — owszem, skutek on przeciwny na nim wywiera. Każdy z nas, powodowany miłością dla krwi tej, dla króla naszego, może i powinien błagać go o to. Gdy się zjedną te pojedyncze głosy, skutek przyniosą.

Bodzanta ramionami poruszył.

— Miłościwi moi — rzekł szydersko, za to wam ręczyć mogę, iż czy pójdziecie gromadą, czy pojedynczo — on jutro wiedzieć będzie, iż z narady to wspólnej wypadło!!

Ks. Suchywilk wziął te słowa jako wymierzone do siebie, zarumienił się i rzekł:

— Ani ja, ani ks. Zbyszek, ani kasztelan nasz, pan krakowski, z tem do niego nie pójdziemy, a pasterz nasz (wskazał na Bodzantę) nie pośle pewnie na zamek zawiadomienia.

Bodzanta się rozśmiał.

— Nie wiem kto doniesie i kto donosi, lecz wiem to, że król zawiadomiony zawsze i o tem co powinien i czego wiedzieć nie powinien.

— A o czemże król w królestwie swem zawiadomionym być nie powinien? odparł ks. Suchywilk.

Biskup groźnem zmierzył go wejrzeniem.

— Zgubną naukę szerzycie! — zawołał — chcielibyście wy, ażeby król w państwie sam był panem tylko, a my, duchowni, jego służebnikami... O tem, co my czynimy i przedsiębiorzemy, wiedzieć mu nie trzeba, ani się mieszać do tego...

Bogorja milczący, który wielki swój pierścień na palcu obracał i wpatrywał się weń zadumany — wtrącił.

— Król duchowną i kościoła władzę szanuje.

— A Baryczkę utopić kazał! rzekł Bodzanta.

— Nie godzi się tego kłaść na karb jego...

— Jakże, nie — gdy zabójców osłaniał, wołał nieprześlągany Bodzanta.

— Sprawa ta nieszczęśliwa przecież skończona — rzekł Suchywilk.

— Ale nie zapomniana — odparł żywo Bodzanta, i póki narodu, póty pamięci o niej. Plama z krwi się nie zmywa...

— Chrystus nam przebaczać każe — rzekł Arcybiskup.

Bodzanta nadąsany zamilkł. Po małej chwili uczynił ruch jakby wychodzić chciał, lecz Arcybiskup go powstrzymał.

— Waszego zgodzenia się potrzebujemy, ojcze — rzekł — skłońcie się do myśli naszej!

— Wyście tu u nas głową, odparł Bodzanta dumnie, chociaż ja w mej dyecezi pasterzem... Postanowicie, nie sprzeciwię się, lecz przekonany nie mogę być, bom innej myśli...

To mówiąc, począł żegnać Bogorję, który go pod rękę ujawszy, do drzwi ze czcią odprowadził.

Wszyscy inni pozostali, czas jakiś nie odzywając się. Odejscie Bodzanty, jakby brzemię zdjęło im z serca...

Głos zabrał Suchywilk.

— Książd Pasterz nasz, — chociaż inaczej się zapatruje na położenie, jestem pewny, gdy da Bóg, dokona się to, cośmy tu postanowili — nie sprzeciwi się i sam się z nami połączy. Ma żal jeszcze do pana naszego, ale... ustąpi on.

— I ja tak tuszę, potwierdził Arcybiskup, który chętnie szedł za zdaniem siostrzana swego.

Spytek, Ligęza, Odrowąż i Przedysław z Gołuchowa nie mieli nic do dodania — zgadzali się na małżeństwo i na środki dla przyspieszenia go. A że Suchywilk, najlepiej znający króla, radził pojedynczo występować — i tę myśl trafną, a zastosowaną do charakteru króla, przyjęto.

Bogorja miał najpierwszy wystąpić, a że długo w Krakowie bawić nie mógł, zaraz nazajutrz na zamek z tem jechał.

Budowano tam właśnie i nowe wznoszono mury, król tak się zajmował robotami około zamku, iż sam codzień przypatrywać się im, rozpytywać o nie chodził.

Zamek już za ojca dźwignięty i nieco rozszerzony, chciał Kaźmirz uczynić jeśli nie takim, jakiby przystał wielkiemu państwu jego, to przynajmniej odpowiedniejszym swym upodobaniom.

Brakło i dogodniejszego mieszkania dla niego samego, i obszerniejszych izb dla przyjęcia dostojnych gości. Kaźmirz marzył o takim pałacu, jaki widywał w Pradze, na Wyszehradzie węgierskim i w Budzie; o jakich mu Waclaw z Tęczyna opowiadał w innych europejskich stolicach. Lecz zbywało na kamieniarzach, budowniczych, rzeźbiarzach, i wszystkich tych rękodzielników sprowadzać było potrzeba. Przychodnie ci, mając dosyć zajęcia i w Krakowie, i po innych miastach, w większej części osiedlali się w kraju, a przy nich młodzież tutejsza uczyła się kunsztu i — król miał tę pociechę, że już nie sami cudzoziemcy przy zamku zajęci byli.

Tak samo jak z kmciami w podróżach swych i wycieczkach, Kaźmirz chętnie rozmawiał z rękodzielnikami. Oskarżano go z tego powodu, że cudzoziemców, niemców zwłaszcza, zanadto lubił, zbyt wielu ich ściągał — lecz, nie z miłości dla nich czynił to, ale przez miłość dla kraju, do którego oni przynosili z sobą, naukę tego, na czem mu dotąd zbywało.

Gdy Bogorja zjechał przed zamek, Dobek Bończa oznajmił mu, że król opatruje mury, które wznoszono, i ofiarował się pójść mu opowiedzieć o gościu.

Lecz, nim Arcybiskup wysiadł, a Dobek ruszył, król stał już w przedsienu, uprzejmie witając ulubionego pasterza. Tem może serdeczniej zbliżał się teraz ku niemu, że on jeden, choćby był mógł mu wymówki czynić za Estherę, — nie powiedział ani słowa. Wdzięczny mu był za to. Z wypogodzoną twarzą weszli oba do zamku...

— Dzięki Bogu — odezwał się Arcybiskup — gniazdo to nasze stare... coraz wspanialej się uściela... Daj Bóg, aby urosło i ozłociło się... na pociechę naszą... ale samemu na nim siedzieć królowi nie przystało...

— Nie winienem ja osamotnieniu mojemu — westchnął Kaźmirz — znanie żywot cały... smutki jego i zawody... Dziś, zapóźno!!

— Za późno? — spytał Bogorja, siadając. — Jesteś miłość wasza w sile wieku!

— Przepowiedziano mi, że zejde bez potomka! — dodał król smutnie.

— Niedorzeczne prorocтва! podchwycił Arcybiskup — któż siedział w Pańskiej radzie i zna wyroki Boże?

Król spuścił głowę zadumany.

— My wszyscy, którzy naszych królów krew nauczyliśmy się miłować — mówił Bogorja — modlimy się i pragniemy, aby te omina fałszem się stały. We wdowim stanie wam pozostać, potomka nie mając... nie godzi się. Jest to dobrowolnem wyrzeczeniem się wszelkiej nadziei!

Są w królestwie naszym tacy, którzyby Ludwika, siostrzana waszego, radzi widzieli na Piastów tronie... Wszakże i w nim kropla tej drogiej krwi płynie — lecz — my, my nie wyrzekliśmy się tej słodszej nadziei, że synowi waszemu zostawicie należną mu koronę.

Mówiąc to Bogorja patrzył na króla, który siedział z oczami spuszczone, zachmurzony, milczący, jakby rozmowa ta struny smutnie w duszy jego brzmiące poruszyła. Kilkakrotnie Arcybiskup zatrzymywał się i czekał odpowiedzi, która nie przychodziła.

Każmirz zrozumiał dobrze, dla czego do małżeństwa zachęcał go Arcybiskup. Było to niewyraźne napomknienie, iż rodzaj życia, który prowadził, w oczach jego niewłaściwym się zdał dla króla.

Jakkolwiek lekkie, dotknięcie tego stosunku, który jeszcze pochłaniał całego Kaźmirza, — ubodło go przykro. Sromął się...

— Po próbach, jakie przeszedłem — rzekł nareszcie król — nową czynić trudno mi, ojciec kochany.

— Lecz dla przyszłości królestwa tego powinniście się poświęcić — odparł Bogorja. Po długim milczeniu Kaźmirz odezwał się obojętnie.

— Nielatwo mi o żonę, jakiejbym pragnął, a pierwszej lepszej wziąć nie mogę. Śluby są wiekiuste i omyłkę całem życiem płacićby przyszło.

— Lecz Bóg łaskaw i omyłki nie będzie! — zawołał Arcybiskup. — Szukajcie a znajdziecie! powiada pismo...

Rozmowa ciągnęła się jeszcze, gdy nadszedł kasztelan Spytek, na zamku gość codzienny. Arcybiskup umyślnie się do niego zwrócił.

— Jestem pewien, że i wy mi zawtórujecie — rzekł, zwracając się do niego. — Namawiam króla do ożenienia...

— A! i mybyśmy wszyscy, choćby na klęczkach o nie prosić gotowi! — rzekł Spytek, zniżając głowę przed królem. — Wasza pasterska mość wyrwaliście z serc naszych życzenie, któregośmy objawić nie śmieli, choć je oddawna nosimy...

Całe królestwo ono czeka na to...

— Wszak wiecie najlepiej — odparł król, tem naleganiem zakłopotany, — żeśmy na wszelki wypadek nie zostawili korony bezpańską. Przeznaczoną jest Ludwikowi...

— I ten miłym nam będzie, jeśli, uchowaj Boże, spadnie ona na niego — rzekł Spytek — lecz inna to rzecz swój pan, z nami wychowany, u nas zrosły, a obcy, choćby najlepszy! Obyczaj cudzy, prawo inne mimowoli z sobą przyniesie...

Z udaną wesołością, jakby chciał tok rozmowy odmienić — król przerwał.

— Jam nie skory do nowego wyboru, a i księżniczka żadna nie będzie pochozną iść za wdowca... Stary jestem...

Bogorja się uśmiechnął.

— Byle ochota do ożenienia była... swatać wszyscy będziemy...

— Tak — zakończył król — w moim wieku już trzeba, aby ktoś żenił, bo sam człowiek nie potrafi...

Arcybiskup przez czas jakiś jeszcze o tym samym mówił przedmiocie, chociaż widział, że królowi nie był miłym...

Spytek mu dopomagał.

Kochan, który o naradzie już wiedział i czekał, jaki skutek uczyni przemówienie Arcybiskupa i kasztelana, dostrzegł tylko tę w królu zmianę, że go wesołość opuściła. Wieczorem poszedł do Esthery.

Dni następnych wszyscy, co się do króla zbliżyć mieli zręczność, popierali Bogorję. Ten i ów nie dosyć zręcznie objawił Kaźmirzowi życzenie powszechne... i chmurę na czoło wywołał... Wreszcie ciągle, zewsząd powtarzające się nalegania, dozwoliły się domyślać, iż one w skutek zmowy jakiejś, i za zgodą powszechną obległy tak króla.

Jednego wieczora zaszępiony Kaźmirz spytał Kochana, który zawsze najlepiej był uwiadomiony.

— Zkąd to poszło, że mnie wszyscy tak napastliwie ożenić pragną?

— Nie potrzebuję tego tłumaczyć — odparł Rawa. — W. miłość dobrze rozumiecie znaczenie tych próśb powszechnych... Od żydówki by oderwać radzi.

Król mruknął tylko.

— Takiej, jak ona, królowej mi nie dadzą. Zabiegi próżne, ja się do tej niewiasty codzień przywiązuję więcej.

Ulubieniec ostrożny, zachował milczenie.

Trwał już od kilku miesięcy serdeczny ów związek z Estherą, a szemranie nań coraz wzrastało, gdy zamiast pojedynczych próśb, ziemianie i rycerstwo krakowskie, przybrawszy sobie z innych ziem ludzi znacznych, przyszlizli uroczyscie na zamek do króla, przynosząc mu żądanie ogólne, aby żony szukał sobie.

Król, zmuszony do odpowiedzi, znużony ciągłymi temi nastawianiami, w chwili podrażnienia odpowiedział posłom publicznie, iż gotów jest uczynić zadość woli ich i całego rycerstwa, byle znalazł po myśli swej księżniczkę...

Było to już niejako zobowiązanie się i obietnica.

Kasztelan Spytek i kilku innych pierwsi wystąpili z tą myślą, by księżniczki szukać w rodzie szlązkich Piastów.

Zaczęto się rozpatrywać w rozrodzonych księżących dworach, ten i ów napomykali już imiona...

Król z wielką niechęcią, w milczeniu obojętnem słuchał, co mu donoszono, i ramionami ruszając, odpowiadać nawet nie raczył. Widział już, że od tego nowego związku, obronić się nie potrafi. Wieczory, jak zawsze, spędzał u Esthery, a często, nie zważając na oczy i na złośliwe szeptki, we dnie stawał przed domem Esthery — zsiadał z konia i dwór na zamek odprawiał.

Tak się i dnia jednego stało, w którym Kaźmirz więcej niż innych od nalegań ucierpiał.

Swatano mu najnatarczywiej księżniczkę Jadwigę z Głogowa, o której wieści chodziły, że była młodą, piękną, i wychowaną tak, że i na tronie królewskim usiąść była godną.

O przebiegu całej tej sprawy małżeństwa, Esthery była od początku uwiadomiona. Miała ona już naówczas usłużnych dworzaków; a co się działo i mówiło na królewskim zamku, natychmiast ją dochodziło.

Nigdy jednak nie dała poznać królowi, iż wiedziała o upornem swataniu, nie zachmurzyła się jej twarz, nie okazała obawy — witała go wesoło, zabawiała szczebiotaniem, starała się, by u niej o troskach powszednich zapomniał.

Król też zmuszał się, przestępując próg jej domu, okazać wesołym, a przymus ten wkrótce sprowadzał roztargnienie i myśl dobrą.

Dnia tego wszedł Kaźmirz, nie zdolawszy czoła wyjaśnić, posępny, padł na siedzenie znużony.

Po całodziennych łowach czekała go tu wieczerza... Siadł do niej, prawie słowa nie rzekłszy. Esther też milczała, patrząc mu w oczy...

Przybywał z brzemieniem ciężkiem; postanowił był bowiem otwarcie się o tem z nią rozmówić. W oczy jej spojrział, kończąc wieczerzę... Siedziała przed nim, zawsze piękna, trochę bledsza tylko.

— Esthero — odezwał się król, rękę ku niej przez stół wyciągając, cobyś ty rzekła, gdyby mnie zmuszono do ożenienia?

Duchowni, rycerstwo, wszyscy nalegają na mnie... broniłem się... niewiem, czy potrafię oprzeć!

Nie pragnę żony, Bóg widzi — lecz...

Esther nie spuszczała oczów z niego, słuchała spokojna.

— Królu mój — odezwała się, gdy zamilkł — jesteś ich królem też... Chcą mieć potomka z krwi twojej następcą po tobie... Cóż ja mam na to powiedzieć? Chceszże opuścić Estherę twoją?

— Nigdy! nigdy! — zawołał król z żywością wielką — tyś mi była jedyną, żadna cię nie zastąpi...

— Młodość, wdzięk, nowość, nie odciągną cię mimowoli? — spytała z wyrazem powagi i spokoju żydówka.

— Jestem pewien tego, że drugiej pokochać nie potrafię tak, jak ciebie — rzekł król. — Miłość moja wielką być musiała, gdy mnie zmusiła z tronu zstąpić do Esthery — nie płocze to uczucie, ani je zgasić potrafi lada twarzyczka księżniczki.

Estherze po twarzy popłynęły dwie łzy, i stoczyły się po policzkach, jak dwie perły na białą dłoń.

— Tyś pan mój, jam niewolnica — rzekła — czyń co chcesz... Esthery posłuszna będzie... a co w jej sercu utkwii, to zamknie, abyś rany nie widział.

Wzruszony Kaźmirz wstał z siedzenia, by ją utulić i upewnić, że zmienić się nie może.

Gwałtowny ból, który łzy wycisnął, był jakby przewyciężony, uśmiech powracał, zdawała się zaufaną w nim, szczęśliwą. Król począł rozwódzić żale swe przed nią.

— Nie panami my jesteśmy na tronach, ale niewolnikami! — zawołał. — Odjąć życie człowiekowi prawo mam, lecz własnem zarządzić nie mogę. Duchowieństwo z jednej, rycerstwo z drugiej strony oblega i w końcu najniezlomniejszą wolę zwycięży... Dobrym im jestem, powiadają, żem miękki — surowym, żem okrutny.

Sędzia ma godziny, w których zstąpiwszy z ławy, człowiekiem wolnym się staje, żołnierz odpoczywa, kmięć wytchnąć może, tylko nie król, na którego dniem i nocą tysiące oczu patrzy i każdy ruch jego śledzi.

Zenić się musi dla przymierza, podawać rękę nieprzyjacielowi dla uzyskania spokoju, wojować dla ich korzyści — dla siebie nic mu uczynić niewolno.

— Panie mój — przerwała Esthery — Bóg was przeto postawił wyżej i przez was rządzi ludami... Skarżyć się może człowiek, król dumnym być powinien...

Kaźmirz, który się lękał łez, wymówek i zatrucia tego szczęścia, którego od niedawna przy niej zażywał; wdzięcznym jej był nad miarę, iż tak mężnie i ufnie przyjęła bolesną nowinę.

Wdzięczność ta powiększyła jeszcze przywiązanie; ze łzami wzruszenia w oczach, powtarzał dnia tego, iż nigdy nie opuści jej, i gdyby nań najsilniej nalegano, pozostanie jej wiernym.

Kochan, którego się król nie wystrzeżał, podsłuchujący pode drzwiami, odszedł od nich z przekonaniem, że Kaźmirz z Estherą rychło zerwać nie może. Zmieniło to jego postępowanie z nią. Zapisał się od dnia tego w poczet jej wiernych...

On się nazajutrz sam nastęrczył królowi dla odniesienia darów, jakie dla Esthery przeznaczał. Były one wyrazem tego, co doznał wczoraj, wdzięczności i powiększonego przywiązania. Przechodziły też wszystko, co dotąd przelało się ze skarbcza na Wawelu do skrzyń Esthery...

Kochan z dwojgiem czeladzi zawiózł ze słowem Kaźmirza dary, których Esthery zdawała się spodziewać. Przy tej zręczności starał się ją zapewnić, iż gotów jest zawsze w każdym razie popierać jej żądania i u króla być jej orędownikiem.

Spodziewał się może wdzięczności i poufalszego zbliżenia, lecz Esthery na te nadszkiekowania próżne odpowiedziała tylko bardzo obojętnem głowy skinieniem.

Tak, jak ulubienica królewskiego, przyjmowała wszystkich, którzy się do niej wciskać usiłowali, starając przez nią cokolwiek wyjednać u króla. Odpowiadała na prośby tem, iż ani dla siebie, ani dla drugich nie śmiała nigdy nic żądać od króla.

Nigdy też z ust jej Kaźmirz nie posłyszał żadnego napomknienia nawet o czem innym oprócz tego, co się ich obojga tyczyło.

Lewko i inni pokrewni nalegali o wiele drobnych przysług, ale i tych Esthery odprawiła odmową.

— Dla narodu naszego prosić go będę — mówiła — dla ludzi nie mogę. On u mnie szuka spokoju, a ja mu go żebranią zatruchać nie chcę.

Lewko się gniewał, lecz wprędce zrozumiałwszy ją lepiej, — poszanował jej postanowienie, i nie nalegał więcej.

Spodziewano się może, iż chciwością i nadużyciem władzy, jaką miała nad królem, sama się mu narazi i od siebie odstręczy. Rozum znalazł się niespodziany w dziewczynie, i ta, którą za chwilową fantazję pańską z początku uważano, wkrótce urosła do potęgi, jakiej nikt nie przewidywał...

Kochan milcząco głową potrząsał. Panowanie jego się kończyło...

Od tego wieczora, gdy poddała się konieczności królewskiego małżeństwa, urosła niezmiernie...

Wkrótce przyszedł na świat pierwszy syn jej, którego król, Pelki dawszy mu imię i w szczytce pół orła, a w drugiej tarczy dzielnicy dwie róże białe, — ochrzcić kazał,

przyznając swoim. Narodzenie jego wrzawę przeciwko królowi podniosło jeszcze straszniejszą... a równie nadaremnią jak dawne narzekania i krzyki.

Tymczasem swaty o księżniczkę Jadwigę wyprawione zostały, a na zamku spieszo z przygotowaniami do uroczystego wesela.

Każmierz nie opierał się już, i z obojętnością największą dawał sobą rozrządzać tym, co go otaczali. Jadwiga Szlązka, czy inna, była mu równie nieznaczącą, narzuconą i przy-musem daną towarzyszką...

Możnym panem był ten ruchliwy, gorący, niespokojny, gwałtowny Maciek Borkowicz, któremu nigdy dla zasług ojca, Przybysława, Poznańskiego Wojewody, król ogromne nadał ziemie, Koźmin, Orlę, Bożęcice, Golinę i wiele innych posiadłości.

Widzieliśmy go już u Neorzy, przysłuchującego się próżnym naradom ludzi, którzy coś przeciw królowi chcieli przedsiębrać, a nic nie umieli tylko językami szermować. Maciek miał naturę inną, choć na pozór do wybuchów łatwą, choć niby otworzystą i krzykliwą — umiał to ludziom pokazać co chciał, a co zataić postanowił, z tem się nie wydał. — Pomimo lat swych, których już czterdzieści z górą liczył, mimo, że syna dorosłego miał, którego mu zmarła żona pozostawiła — wyglądał czerstwo, młodo, i do niewiast zalecać się lubił.

Możnym panem był w Wielkiej Polsce nie dla tego, że ziemi w niej miał sporo, lecz, że tu się urodziwszy, przez całe życie pracował na to, aby sobie jednać ludzi, wszelkimi sposoby. Jak jemu podobni, nie zbyt surowi w ich wyborze, Maciek wiedział dobrze, iż najłatwiej pozyskać sobie serca, dogadzając słabościom. Bano się go, bo gwałtownym był, ale wiązano z nim też chętnie, bo myśliwym lasy dawał, ochotnym do biesiady stoły zastawiał, chciwych godności popychał, łakomych na grosz jednał datkami. Zdawna już patrzali niektórzy na Maćka okiem nieufnem. Zanadto się krzątał, zbyt chciał przewodzić w Wielkiej Polsce, a kto mu zawadzał, uprzętał go z drogi, często nieznanemi jakiemś i zagadkowemi środkami. Wielu z tych, co się na niego porwało, a dokuczyło mu, poginęło w lasach, w podróży, w zwadzie jakiejś na gospodzie lub niewiadomo jak...

Na przemiany serdecznym być umiał i straszny. Miał też nieprzyjaciół skrytych wielu, ale i druhów takich, którzy z nim na oślepiec byli gotowi.

Syna wychował, aby takim był, jak on sam, ale w tym, że młodsza krew grała, był jeszcze od ojca zapamiętalszym i śmielszym.

Niewiele też odstał od niego i brat Jan, któremu z dóbr sobie nadanych przez króla, Maciek Czacz odstąpił.

On, brat Jaśko z Czacza i syn, chodzili zawsze razem, jak sprzężeni. Dwu jeszcze miał pomocników, wyręczycieli, zauszniaków i druhów, na których przedewszystkiem rachował: Sędziwoja Nałęcza i Skórę, obu ziemian możnych.

Królowi Maciek niby to służył wiernie, kłaniał się nisko, a że rubasznym był i na oko zdawał szczerym, Każmierz się go nie lękał. — Lepiej uwiadomieni utrzymywali, iż zręcznie, po cichu, podstępnie, przeciwko niemu knował. Podejrzane były jego ścisłe stosunki z książętą Brandeburckiem, nieprzyjaciół Polski i ze Szlązkami, którzy od niej odpadli...

Jawnego jednak nie było, coby mu zadać było można.

Król mu dał wielką władzę, starostą swym w Wielkiej Polsce uczyniwszy, on większą jeszcze przywłaszczał sobie, garnąc wszystkich do siebie tem, że obrońcą praw i odrębności tej ziemi się czynił.

Garnęli się do niego ludzie w dobrej wierze i do tego przyszło, że stanął na czele związku ziemian wielkopolskich, o jakim dotąd jeszcze słyhać nie było. Długo się to przygotowywało, aż wreszcie na zwołanym do Poznania zjeździe wszyscy najcelniejsi ziemianie z Przeclawem, kasztelanem, i Mikołajem, sędzią, na czele, uczynili na piśmie mocną rękę jedną, aby razem iść, wzajem się bronić i w jedność trzymać. Wprawdzie stało tam, że przeciw królowi nikt nie był obowiązany, i zapewnioną była wierność jemu — ale słowo to nic nie znaczyło przeciwko czynowi, który wielkopolan Grzymałów, Nałęczów, Doliwów, Szaszorów, Leszczyców, Habdanków sprzął i dał w garść ambitnemu Staroście.

Przypominano już po cichu zdradę Winca z Szamotoła, który też około siebie uzbierał ludzi, do krzyżaków ich poprowadził.

Lecz szli i tacy, którzy pomnąc, jak król Maćka obdarował, wierzyć nie chcieli, przyścić nie mogli, aby on wystąpić miał przeciwko swemu dobroczyńcy...

Na czele tych, co lepiej znając Maćka, obawiali się go i ostrzegali, aby się z nim nie wiązać, był rodzony wuj jego wojewoda Benjamin, którego drudzy starym Benkiem zwali. Z tym już Maciek zadarł się był śmiertelnie i oba się na siebie odgrażali.

Działo się to właśnie wtedy, gdy poszła po ziemiach wszystkich pogłoska, iż królowi zaswatano Jadwigę Głogowską. Doszła ta wiadomość i do Poznania, a ztamąd do Koźmina.

Dworzec w Koźminie, za miastem, w którym Borkowicz często przebywał, gdy tak bardzo jak w Poznaniu widzianym i śledzonym być nie chciał, dosyć obronny był, wałem osypany, ostrokołem opasany, ale jak wszystkie Borkowicza dwory — służył mu tylko za obozowisko.

Człek to był, który, choć možny, w życiu nie potrzebował błyskotek i wygod. Żołnierz, nieustannie na koniu, w przejazdach, w podróżach, miejsce rzadko gdzie zagrzewając, gdziekolwiek przybył, rozkładał się żywo, jako tako urządzał, byle mu wszystkiego w bród było, bo zawsze z sobą liczną gawiedź ciągnął — ale o okazanie bogactwa przepychem nie dbał.

Ludzie za to u niego dobrani byli i jak najlepiej zbrojni, nakarmieni szczerze, opłaceni hojnie, a wszyscy zbóje, którzy ani swego życia nie żalowali, ani cudze cenili. Był pan skinął, każdy z nich na rodzonego brata był gotów.

Z bratem Janem z Czacza, z synem Przemkiem, z nieodstępnyymi swymi Sędziwojem Nałęczem i Skórą, od dni już kilku siedział Maciek w Koźminie.

Mieszczanie tutejsi, których za roczny czynsz, raz ustanowiony, Borkowicz od wszelkich innych uwolnił był ciężarów — znosili mimo to ucisk, bo na ich przywilej nie zważano, i dwór darł okrutnie, ale milczeli w nadziei, że się go wkrótce pozbędą.

Na Koźmińskim dworze życie i ruch był niezmierny. Ziemianie ciągle przybywali i odjeżdżali, stoły musiały zastawne być od rana do nocy, piwa beczki wypróżniały się w oka mgnieniu, miód wysychał, mięsiwa i chleba nastarczyć było trudno.

A ktoby do izb zajrzał, w których ciągle tłumno było, wrzawliwie, gęsto — nie posądziłby pewnie, żeby się tam coś knować mogło, bo krzyczeli wszyscy głośno, śmieli się, pili, klócili, a prawili o takich rzeczach, które chyba dla nich niebezpieczne być mogły.

Niekiedy tylko Maciek, którego z ziemian za szyję ująwszy, odwiódł do komory, postął tam z nim, poszeptał, a potem śmiejąc się, do stołu powracał. Poczem zwykle ziemianin, najadłszy się i napiwszy, usta ledwie otarłszy, na koń siadał i precz jechał z gęstą miną.

On, brat Jan i Przemko gospodarzyli u stołów po całych dniach gościnnie bardzo.

Osobliwszy był dom wdowca, bo w nim oprócz służby męskiej i czeladzi, młodych dziewcząt postrojonych w wianuszki, wesołych, chichoczących mnóstwo do stołu i po izbach posługiwało. Goście sobie z tej służby stroili żarty swawolne, ale u Borkowicza wszystko było wolno tym, co z nim trzymali.

Wieczorami ta czeladź niewieścia musiała śpiewać pieśni, a czasem i w tany pójść, gdy goście podchmielili.

Dnia tego, w którym Maćka we dworze Koźmińskim znajdujemy, po dłuższym nieco pobycie ziemian się jako przebrało... Jeden tylko, z Krakowa świeżo przybyły, za stołem siedział, jadł, bo był drogą wygłodzony, popijał, a razem plół coś ciągle, bo mu się, aż pełna chleba i mięsa, gęba nie zamykała.

Maciek siedział na ławie rozwalony, w sukni rozpuszczonej i rozpiętej, ręką niespokojną brodę krótką targając, i twarz jego dumą i siłą napiętnowana, wyrażała wielkie z siebie zadowolenie.

Krakowski gość, imieniem a raczej przezwiskiem Groszek, był ubogim panoszą ze szczytu Półkoźców, czepiał się on różnych klamek, jadł chleb nie z jednego pieca, a teraz Maćkowi służył. On mu zwykle języka przynosił, co się na dworze działo, co po drodze słyszał, co u innych druhów Starosty dostał.

Ziemianin był chudy a kościsty, zawiędły, ogorzały, ubrany niedostatnio, z szyją długą, na której łeb się kołysał wyłysiały, brzydki, z oczyma małemi, nosem dużym a czerwonym i uszami odstającymi. Mówił cicho a prędko, potroszę szeptem, a równie mu było pilno jeść, pić i rozpowiadać, aż się kztusił.

Słuchano go pilnie, Starosta z ławy badał.

— Wierzbęta pojechał tam — mówił, albo z siebie sam, aby co utargować, lub zawołany... he?

Groszek brwi podniósł do góry.

— Kat go wie? rzekł — dopytać nie było można, ale na dworze go przyjmowali i u króla jadł.

— A z kim król nie je? odparł Maciek, u niego wszyscy dobrzy, byle mu pochlebiali, a na życie jego nie mówili nic...

— Mało, że Wierzbęta był — dodał szlachcic, było ich tam temi czasy dosyć. Naposiedli się króla żenić.

Maciek prychnął.

— Ma on ich dosyć! zawołał — jeszcze mu jednej trzeba. A cóż z żydówką będzie, bo tę słyszę, tak miłuje, jakby mu Messjasza narodzić miała.

— A no, toż i przyszedł na świat! zawołał Groszek, ochrzcili go w kościele, i szczyt mu król dał... a zowią go Pełką.

Nie mogli snadź inaczej oderwać od żydówki, więc mu żonę zaswatali.

— Niemkę znowu pewno, bo litwinki drugiej ani rusinki dla grubego obyczaju nie weźmie... rzekł, śmiejąc się Borkowicz — anom ciekawy, jaką?...

— Niemkę nie niemkę — począł Groszek — ale tak jak niemki gładko wychowaną i młodą. Mówią na pewno o Głogowskiej Jadwidze...

Maciek, który na ławie leżał, usłyszawszy imię to, zerwał się nagle, aż ława pod nim zatrzęszczała, podniósł i poskoczył do mówiącego z brwiami groźnie namarszczonemi.

— Niedoczekanie jego! krzyknął, wodząc oczyma zaiskrzonemi.

Brat i syn spojrzeli nań tak, jakby go hamować chcieli, lecz w tej chwili powstrzymać go już było ciężko.

Krwiać całe zabiegło oblicze...

— Nie może to być? powtórzył...

— Com słyszał to prawię — odparł, bijąc się w piersi Groszek, trochę przestraszony, jakby na dzikiego zwierza z nienacka nastąpił. Arcybiskup Bogorja z Suchywilkiem... pierwsi go przyciskać zaczęli, aby się żenił koniecznie. Za nimi poszli i kasztelan Spytek, Ligęza, Odrowąż i nasz Przedko z Gołuchowa. Jak go modlić a nalegać zaczęli, rzekł im słysząc: — No, to dajcież mi żonę!

Poszukali mu więc, i księżniczkę Jadwigę znaleźli... Już ci prawią o godach...

Maciek z twarzą zmienioną słuchał. Brat jeden Jan i syn może wiedzieli, co gniew jego znaczył. Wysoko sięgał Starosta! wysoko...

Na Wielkiej Polsce, oderwanej z pomocą swych związkowych, zasiąść udzielnym panem, przy pomocy Brandeburgów i Krzyżaków, a z Jadwigą chciał się on sam żenić.

Na dworze w Głogowie niezgorzej go przyjmowano. Księżniczka nie miała dotąd bohdana, a za mąż wyjść chciała i wydać ją życzone. Młoda, piękna, żywa, śmiała, wesoła do zbytku, podczas i na łowy jeździła, a samotnej w kącie siedzieć nie w smak jej było. Krosien też, jak inne, nie zbyt była rada pilnować...

Maćkowi, już dojrzałemu, śniło się ją wziąć do boku. Zdało mu się, że krzywą dłoń nie była. Chociaż po sobie nie mógł pokazać jeszcze, ażeby się starał o jej rękę, starosta zajeżdżał często, siadywał długo, podarki woził potajemnie, i te przez panią starszą przesyłał. Mówiono, że je przyjmowała, choć trudno było mu dojść, czy ona je brała, czy chciwa niemka, która przy niej ochmistrzyni obowiązki sprawiała.

Wszystkie te piękne nadzieje wiadomość przez Groszka przywieziona — w niwecz obracała. Złość porwała wielka gwałtownego człowieka, stał burząc się i słuchał milczący...

— Szlązacy za niego jej nie dadzą! zawołał wybuchając. Albo to oni go nie znają? kto go nie zna, tego poganina, który żon i pół żon co roku mienia, ile mu Kochan nastreczy... Nie dadzą!

— Na dworze, bo powiadają — przerwał Groszek, iż już się Arcybiskup wprzód upewnił o tem, że ją dać zechcą, nim swatem się uczyni!! Prawią, jak jeden wszyscy...

— A z żydówkąż tą kochaną co uczyni? zapytał gniewnie Maciek — ba i z synkiem półjudą, pół piasciukiem...?

— Żydówka bodaj, aby w zapasie nie została — począł Groszek. Mówią, że się do niej przywiązał, iż bez niej dnia nie wybędzie.

— Mów, nocy — wtrącił zły Maciek, pięścią silną o stół tłukąc. Jeszcze mu jednej było potrzeba! jeszcze! Wszak ci już królestwo i nas sprzedał w węgierską niewolę... a po co mu syn?

Stojący obok Jan z Czacza mruknął, wtórując.

— Węgry nie dopuszczają ożenienia... Potrafią oni. Elżbieta bezręka, choć palców nie ma, zdoła wszystko powikłać i popsuć...

Maciek zwolna, burcząc, ku ławie powrócił. Groszek dobrze podjadłszy i podpiwszy, wąsy sobie połą zabrukanego kaftana ocierał. Milczenie krótkie dało czas do namysłu, Starosta się zdradzać nie chciał.

— Cóż? rzekł — mówisz, że o godach prawią?

— A juści, potwierdził Groszek, i chcą je uczynić głośnemi, a świetnemi, aby zatrzeć pamięć tych z Rokiczaną, których im wstyd...

— O nas tam co mówią? nie słyszałeś? zapytał Borkowicz... Co o piśmie, któreśmy sobie dali? Ja sam o niem królowi doniosłem...

— Wie też o niem, ale sobie z niego nic nie czyni... We dworze słyszałem, jakoby mu to wytłómaczyli, że w tem nie ma nic, jeno bezpieczeństwo od warcholów...

Nic nie rzekł Maciek.

Badalby był może posłańca dłużej, gdyby do izby nie wpadł Skóra, do ucha coś szepnął Staroście, i nim dokończył, na progu się Wierzbęta ukazał, o którym mowa była właśnie, iż w Krakowie się miał znajdować.

Z tym Maciek nigdy dobrze nie był, bo się go obawiał, a ująć go nie mógł. Wierzbęta miał ucho i łaskę królewską, mąż był stateczny, poważny a twardy. Spojrzeć nań było dosyć, by poszanowanie uczuć, bo się sam on szanował, górą chodził, i do tych należał, których nawet na słodkie pochlebstwo nikt nie weźmie.

Na widok jego zerwał się Borkowicz, bratu i synowi znaki jakies dając.

W istocie ta izba stołowa wcale na przyjęcie gościa tak znacznego przygotowaną nie była.

Przesunęło się przez nią od rana ludzi dosyć, a czeladź mężka i żeńska stołów zapomniiała opróżnić i oczyścić.

Na wpół wybielonych obrusikach pomiętych tułały się misy z kośćmi i zastygłą strawą niedojedzoną, kubki piwem pooblewane, chleba kromki i kawałki, dzbanki i różne naczynia. Nielad był, jak w gospodzie na popasie, jak w obozie... Ławy niektóre w poprzek izby stały, inne powywracane leżały... Psisko ogromne, właśnie się niepostrzeżone wkradłszy i sparłszy łapami na stole, misy wylizywać zaczynało.

Maciek z dumną swą miną naprzeciw gościa wystąpił, chcąc dlań uprzejmym być. Wołano na służbę.

Wierzbęta zwolna, nie bardzo się oglądając, zbliżał się do Starosty.

— Przebaczycie mi, miłość wasza — rubasznie rzekł Borkowicz, bom ja tu choć w domu, a jak w gospodzie, więc — nie wonno u mnie i nie wytwornie. Jam żołnierzem bywał a prostych obyczajów nie pozbył się.

— Ano, wszystko dobrze — odparł obojętnie Wierzbęta, byłem was znalazł, reszty mi nie trzeba.

Uczylił Starosta miejsce na ławie dla przybyłego, sam się przy nim sadowiąc, gdy brat i syn oddalili się, aby wydać służbie rozkazy.

Wnet też, jak wprzód nikogo nie było, nagle się zbiegła czeladź mężka i niewieścia, co rychlej sprzątając hałaśliwie, a psy skomlące wyganiając kijmi i nogami. Rozmowa więc w pierwszej chwili trudna była, a Borkowicz po małym namyśle gościa do komory z sobą przeprowadził.

Tu znowu łoże, jak barłóg rozrzucone w kącie, i odzież porozwieszana i porozkładana bez ładu, rumieniec gniewu mu na policzki wybiła. Klął po cichu służbę swoją...

Siedli na ławie...

— Z Krakowa wprost jadę, odezwał się Wierzbęta zwolna, kazał mi was król pozdrowić.

Sklonił głowę Maciek.

— Bodaj nam zdrów jak najdłużej panował, rzekł z cicha.

— Rad się o Wielkopolskę wypytywał, ciągnął dalej przybyły — alem ja niewiele powiedzieć mógł, bo wiem szczupło. Rychlejbyscie wy, albo wuj wasz Beńko, mogli mu o tem donieść.

— Jam się też po piśmie naszym do miłości jego wybierał, rzekł Borkowicz, postępując. Chciałem sam królowi z tego sprawę czynić, ale u nas tyle do czynienia jest, że się pański Starosta oddalić nie może.

Beńko stary i powolny, na mnie ciężar wszystek, a po lasach, po gościńcach rozboje ciągle, warcholów dużo, i żelazną ich ręką karcie trzeba.

Słuchał z uwagą Wierzbęta.

— Juściż będziecie się mieli kim wyręczyć — rzekł, a choć na królewskie gody przybędziecie.

Wspomnienie to poruszyło znowu Starostę, tak, że ledwie się mógł utrzymać nie zdradzając.

— Jakie gody? zapytał, zdziwienie grając.

— Wiedzieć musicie, iż król się nareszcie prośbami wszystkich dał skłonić do ożenienia...

— Jeszcze raz? przerwał Maciek.

— Nie stary jest — mówił Wierzbęta...

— A przyrzeczona Ludwikowi korona!

— Wiecie, że stoi w opisie warunek, gdyby potomka nie miał...

— Daj Boże szczęście! odparł Borkowicz — ano król nie bardzo młody, jeśli parę dobierze do wieku, potomstwa się nie doczeka, jeśli mu młodą dadzą...

Niedokończył, głową potrząsłszy.

— Swatają mu szlążką Jadwigę, rzekł Wierzbęta.

Maciek ramionami poruszył.

— Co mam rzec? daj Boże szczęście, choć ja się go spodziewać nie umiem.

— Boże uchowaj złego! rzekł Wierzbęta. Ja mam lepsze nadzieje.

Tu chwilę pomilczawszy, dodał.

— Do Krakowa jedźcie, królowi się stawcie, taka rada moja. Różni tam ludzie, mogli mu wasz zapis tłómaczyć krzywo, opowiecie sami, że go potrzeba było, a królowi on straszny nie będzie...

— Stoi przecież w nim, iż panu wierność ślubujemy — zawołał Borkowicz... ale ja — wiem to dobrze, nieprzyjacioły mam. Niepocziwe języki wszystko oblużać są zdolne. Z najczystszeo człowieka poczwara uczynią.

Wierzbęta milcząc słuchał.

— Król niepochopny jest do uwierzenia lada komu — rzekł — więc też i pisma źle nie wziął, tylko niemilem mu może, gdy się jedna ziemia osobno wiąże i oddziela, a onby je właśnie rad wszystkie z sobą połączyć.

Borkowicz brodę potarł.

— Odrywać się nikt nie chce, ale ziemianie nawykli zdawna w każdym kraju swe prawo i obyczaj trzymać. Taką Polskę Krzywousty mieć chciał, w której choćby wielu panów było, jeden stał nad wszystkimi najwyższy.

Maciek ożywił się mówiąc, i niby z całą otwartością dalej ciągnął.

— Z krajem tak jest, jak z majątnościami, gdybym ja chciał sam gospodarzyć przez się i tu w Koźminie, i w Orli, i w Bożęcinie, i w Golinie, niczego bym nie dopatrzył, jak należy. Przeto wóldarzy trzymam, władzę im moją zdaję, i liczbę z nich odbieram. Tak i w królestwie, im ono większem jest, udzielnym wóldarzy, którzyby moc mieli rozporządzać się, jako zechcą — musi być wielu.

Wierzbęta słuchał.

— Nie inaczej też jest — odparł, wielkorządców król stanowi w każdej ze swych dzielnic — a Ziemowit Mazowiecki...

— Takich jak Mazowiecki, więcejby być powinno — przerwał Maciek żywo — a wielkorządców mniej. Ci władzy całej nie mają, a przez to niewiele uczynić mogą.

— Nie zapominajcie, że przez takich jak Ziemowit, Pomorze się nam oderwało — rzekł, marszcząc się, Wierzbęta.

Borkowicz, jakby się już za wiele rozgadał, umilkł nagle. Tarł ręce i patrzył w stronę.

Począł więc znowu przybyły gość.

— Nie nasza to rzecz — tem rozporządzać. Król władzę ma, i co uczyni, dobrem będzie, na rozumie i na radcach mu nie zbywa. Ojciec jego życie całe strawił na składaniu z kawałków wielkiego państwa, dzieła jego syn psuć nie będzie.

Z tem do was przybyłem — dodał — abyście do Krakowa jechali, i królowi się jasno wytłumaczyli. Mówicie sami, że nieprzyjaciół macie, ja o nich nie wiem, ale tem ci pilniej powinniście około tego chodzić, aby wam złe języki nie szkodziły.

Namarszczył się Borkowicz i pogardliwie twarz skrzywił.

Choć niewiele ładu w domu jego było, przecież jakiegokolwiek gościa z domu odpuszczać, chleba z nim nie rozłamawszy, nie godziło się — zastawiono co było dla Wierzbęty, a ten odmówić nie mógł. Lecz i jedzenie i napój nie zdawały mu się smakować, a Borkowicz, zwykle przynaglający innych, na niego nie nastawał. Przepili za swe zdrowie po cichu, kubkami uderzywszy... Gość, którego konie stały w podworcu, wstał wprędce i choć go zapraszano po obyczaju, dla pilnych spraw powiedział, że jechać musi.

Borkowicz go wyprowadził aż do przedsieni, i natychmiast wracając do dworca, padł zamyślony na siedzenie, brodę targając i okazując, że się w nim burzyło wszystko. Nie powołanie do Krakowa, ani przyjazd Wierzbęty go tak poruszył — ale wiadomość potwierdzająca się, że księżniczka Jadwiga wychodzić miała za króla polskiego. Oprócz innych zamysłów, dźwignięcia się przez ten związek i pozyskania sojuszu książąt Szlązkich, tak jak już Brandeburgów miał po sobie — Maciek rozmiłowany był, a w jego wieku najniebezpieczniejszym to bywa.

Młoda księżniczka łaskawą dlań była, pochlebiał sobie, iż pozyskał sobie jej serce; myślał już więc nad tem, jak królowi narzeczoną wprost porwać i uprowadzić, bo pewien był, że ona się zgodzi na to.

Niespokojny, gdy wszedł brat Jaśko z Czacza — zawołał doń zdala.

— Muszę jechać — dziewczynę gotowi gwałtem wydać, trzeba zobaczyć, jak tam rzeczy stoją. Była dla mnie życzliwą, jeżeli się uda, gotowem ją uwieść i zaślubić!!

Jaśko coś głową powątpiewająco potrząsał.

— Dobrze rozważcie, abyście się dla podwiki daremnie nie uwikłali. Sprawa gardłowa! Narzeczona królewska — rzekł powolnie.

— Niewiadomo, czy już narzeczona, czy tylko zmówiona! Zrękowin czasu nie mieli uczynić — począł Borkowicz. Mnie natychmiast potrzeba do Głogowa, lub gdzie ona jest, i przez starą ochmistrzynię posłuchanie sobie tajemne wyrobić...

Brat, który się starszemu nigdy nie sprzeciwiał, zmilczał i teraz, lecz niebardzo pochwalał. Borkowicz, gdy raz co postanowił, nie było już sposobu ani go przekonać, ni odciągnąć. Nie słuchał nikogo, a co mu się zamarzyło, natychmiast musiał dokonać. Kazał konie sposobić. Na wieczór, noc, porę, nigdy nie ważył. Zamyślił co o północy, nie czekał do dnia.

Ruszyło się wszystko we dworze, bo myślano, iż pan z całym swym orszakiem z Koźmina wyjedzie. Wieść poszła na miasteczko, ucieszyli się mieszczanie, ale napróżno — bo Borkowicz w kilka koni z bratem tylko na parę dni chciał uczynić wycieczkę, nie mówiąc dokąd.

W oka mgnieniu zwykli byli ludzie spełniać jego rozkazy — i nim się on przedział do podróży, konie i wybrany dwór stali gotowi — syn pozostawał, mając nań oczekiwać w Koźminie.

Po drodze już dowiedzieli się, że Jadwiga była istotnie w Głogowie, gdzie posłów z Krakowa nowych oczekiwano. Głoszono powszechnie, iż rzecz była postanowiona. Maciek burząc się, pospieszał. Nie pojechał na zamek, ani się tu pokazał, znalazł gospodę, a do starej ochmistrzyni pacholę posłał, aby się z nim widziała.

Oplącana sownie za każdą posługę — starsza pani odpowiedziała posłańcowi, iż do gospody wieczorem nadąży...

Borkowicz, nie mogąc się i spocząć na chwilę, oczekiwał na nią. Mrok padł, gdy otulona płaszczem do niepoznania, zjawiała się w progu niemłoda już niewiasta. Była ona niegdyś piękną, lecz od dawna nie mogąc na wdzięki rachować, na zręczność swą, pochlebstwo, przewrotność i niewieście wybiegi liczyła tylko. Zwali ją we dworze od imienia męża Konradową. Umiała sobie na nim wszystkich pozyskać: księżniczkę, którą wychowywała, i której nadskakiwała, na wszystko jej pozwalając, czego tylko zażądała, rodzinę i dwór. Z każdym mówiła inaczej, potakiwała z kolei wszystkim, służyła na prawo i lewo.

Borkowicz ją sobie był pozyskał podarkami; a że księżniczce się, w niedostatku innych, dosyć podobać umiał, i o sobie prawil wielkie rzeczy, a obiecywał udzielnym panem Wielkopolski z pomocą Brandeburgów się uczynić, zawrócił głowę dziewczęciu. Zjawienie się Konradowej nic dobrego nie zwiastowało, przychodziła z twarzą usznurowaną, pochmurzona, skłopotana.

Sam na sam z Maćkiem zostawszy, złożyła chude ręce.

— Wiecie już wszystko — zawołała głosem niżonym a pospiesznie. Co księżniczka łez wylała! ale na co się to wszystko zdało, korony odmówić nie pozwolą, choćby się dla was zrzec jej chciała.

— Mali ona serce dla mnie, przerwał Borkowicz gwałtownie — niechże ma i odwagę! Porwę ją i uwiozę, nie dogonią nas... Gotówem stu i dwóchset ludzi zebrać.

Konradowa się zatrzęsała...

— Ale z niej oka nie spuszczać! zawołała. Gdyby chciała się wyrwać z tej niewoli, nie może.

— Siłą, mocą, na zamek wpaść gotów jestem — poczał Maciek. Załogi wielkiej nie ma...

Zechceli, zgodzi się — niech skinie...

Konradowa wielce zmięszana, milczała czas jakiś, głowę tylko przechylając...

— Gdyby naprawdę sprzyjała mi, dodał Starosta — jam na największe ofiary gotów. Życie postawię!

— Juści, juści, przebaknęła, pomilczawszy jeszcze, starsza pani, — że ona wam bardzo, bardzo sprzyjała i sprzyja — to ja wiem najlepiej. Że za mąż iść za tego króla, który niewiast tyle nieszczęśliwemi uczynił — nie ma ochoty — toć pewna. Nie miło to wzięć człeka od żydówki, bo wiadomo, że król miał miłośnicę...

— I ma ją dotąd! wykrzyknął Borkowicz.

— Ale co ona biedactwo na to poradzi, kiedy jej rodzina każe? kobieta sobą nie władnie, a to — król...

Maciek szydersko się wykrzywił. Stara patrzyła nań.

— O porwaniu gwałtownem ani myślcie, rzekła — onaby was na takie niebezpieczeństwo nie chciała wystawić. Woli sama ginąć...

Zamyślona, Borkowicza zwolna ręką dotknęła, pochyliła się ku niemu, prawie do ucha, i z tajemniczym wyrazem, szeptać poczęła:

— Przeciw takiej mocy się nie zrywać! a na co wam to? Ona króla nigdy kochać nie będzie. Każą jej, pójdzie — to co? albo dla was nie lepiej u królowej ulubieńcem być, niż głowę darmo nałożyć?

Zważcież? Ona wam sprzyja, pojedziecie na dwór... zyskacie u niej, co zechcecie, a przez nią u króla!!

Głowę poruszała stara i rękami go za suknię chwytając, coraz goręcej usiłując go przekonać, że jej rada była najlepszą.

Borkowicz poczał też dumać — Konradowa a któż wie, mogła mieć słusność. Wykradać księżniczkę trudno było, pogoń mogła ich pochwycić, i życiem płaciłby przyszło. Księżniczka też, jak widać było z tego, co mówiła stara, nie ważyłaby jego i siebie. Królowę za sobą mieć, posłużyć mogło? u królowej ulubieńcem być? uśmiechało mu się...

Kto wie, jakie jeszcze myśli wysnuł starosta, lecz nagle zamilkłszy, nie naglił już o wykradanie. Stara się widząc go posępnym, pocieszyć starała, opisując, jak księżniczka płakała, jak ręce łamała, jaki po nim tam żal był.

Borkowicz naocznie chciał się o tem przekonać i poczał naglić o to, aby potajemnie mógł widzieć Jadwigę. Konradowa właśnie pod ten czas, gdy się sposobiono na przyjęcie posłów ostatnich z Krakowa, znajdowała to bardzo trudnem i niebezpiecznem. Oczu tyle stało otwartych.

Im bardziej się opierała temu, tem on mocniej nalegał...

Podarek znaczny, który jej wcisnął w ręce, na koniec Konradowę zmiękczył, lecz potrzeba było, w mieście o sobie nie dając znać, czekać dzień i dwa może. Naówczas ona miała wyszukać sposobu, aby wieczorem na zamku Borkowicz był przyjęty... ale musiała skłonić do tego wprzód księżniczkę, oddalić oczy natrętne, obmyślić miejsce i sposób.

— Dla miłości waszej i dla mojej wychowanki tylko mogę się na to ważyć, rzekła, okazując rękami i wejrzeniem, jak strasznej się sprawy podejmowała. Lecz, kto wie, czy ja tego dokażę? czy ona się nie ulęknie?!

Starosta po tej rozmowie został w gospodzie na dzień następny. Okiennice pozasuwaniano, wrota pozamykano, kazał sobie posłać w izbie i cały dzień strawił jedząc i pijąc z bratem... Wieczorem nie nadszedł nikt z zamku. Czekali dzień drugi...

Jak się to skończyło — nie wiedział nikt. Borkowicz dnia następnego nadedniem odjechał, nim się rozwidniło; nie zły, nie nadąsany, lecz dobrej myśli, z uśmiechem na twarzy, wesoło z bratem gwarząc i na palcu pierścien okazując, którego nie miał wprzód. Na króla przez całą drogę wymyślał i odgrażał się.

W Koźminie stanąwszy, zaraz począł mówić o wyborze do Krakowa i choć na Kaźmirza się sierdził strasznie, pojechać doń musiał. Ani zbyt dwornie, ni zbyt pokornie się nie przybrał do tej podróży.

Bystry człek wiedział, iż mu należało nie popisywać się z siłą, którejby się obawiano i nie ufano jej, ani kłamać biedotę, w którąby nie uwierzono.

— Mała rzecz jechać — mówił do brata, mniejsza o to, że głowę trzeba pochylić przed nim, najgorsza, że kłamać muszę i fałszem się dławić! Przecie inaczej nie wypłynę.

Z królem muszę do czasu dobrze być, aby mnie na te gody prosił, na których, czy on czy ja będę pierwszym... niewiadomo. Dopóki się z niewoli nie wyrwę, dobrze za sobą mieć panią. Zawsze i ona coś może, a ja z nią! wiele potrafiemy, byle rozum miała.

Brat Jaśko tak wierzył w rozum jego, że mu się nigdy nie śmiało sprzeciwiać.

W poczcie więc, do którego się wielkopolan kilku możnych, podpisanych we związku przyłączyło, ruszył Maciek rad nie rad do Krakowa, takim się czyniąc jak mu było potrzeba.

Sędziwoj Nałęcz, Skóra, kasztelan Przeclaw, Mikołaj sędzia jechali z nim.

Szły za starostą wozy i skrzynie kute, okryte suknem i skórą, w których pieniądze wiozł, bo sam ich chciwy, sądził, że niemi wszystko i wszędzie robić można. Dotąd mu się jego najzuchwalsze pomysły tak wiodły, a śmiałość i bezczelność tak popłacały, że w siebie coraz więcej ufał, a drugich lichy ceniał.

Ani Benjamin, wojewoda, wuj jego, ani Wierzbęta straszniemi mu się nie wydawali.

Siłę w sobie okrutną czuł... Zbliżając się do Krakowa, jakoś go trochę śmiałość opuściła, trochę niepokój ogarnął, lecz otrząsł się wprędce i do stolicy wjechał butno, najlepiej sobie tusząc, a szepcząc bratu...

— Głupi są, wszyscy u mnie będą w saku!

Gdy wesele postanowionem zostało w Łobzowie królewskim pod Krakowem, wśród najpiękniejszych drzew starych, w zielonej gęstwinie z rozkazu pańskiego kawał ziemi spory oddzielono, i wyciąwszy w pośrodku zarośla i lipy — dom stawić z muru począto...

Nikt nie wiedział na co i dla kogo był przeznaczony, lecz robotnika najlepszego odezwano od zamku, ludzi siłą spędzono do pomocy, Kaźmirz grzywny kazał na koszt dać Lewkowi z żupy w Wieliczce, i domostwo, jakby czarodziejską laską z ziemi wywołane, coraz to do góry wyrastało.

Wacław z Tęczyna musiał na tę murowankę dać naukę kamieniarzom jak ją stawić mieli. Pytał króla na co służyć miała i dla kogo?...

Kaźmirz mu rzekł: — Tak mi ją wystawcie, aby w potrzebie, choćby z kilku osób złożoną rodzinę pomieścić mogła i czeladź jej potrzebną — a niech na żadnej wygodzie nie zbywa.

Więcej nad to nie wiedziano, lecz domostwo wedle tej skazówki założono obszerne i nie żalowano niczego, coby je wygodnem a pięknym uczynić mogło.

Król sam dojeżdżał je oglądać. Do koła ogród mieć chciał obwiedziony murem, stajania dla koni, szopy i skarbczyk krągły w rogu... Zwano tę poczetą budowę królewskim domem, a domyślano się, że chciał tam odpoczywać czasem, gdy z Wawelu od kłopotliwych spraw zbiedz zapagnie. Murowano więc, jak dla króla, nie skąpiąc najlepszego kamienia, na dole zataczając sklepienia piękne, na górze sufitu wstawiając z belek rzeźbionych w kwadraty.

Wszystkie okna w błonach być miały, po sieniach posadzki kamienne, w izbach z najlepszego drzewa. Spytał raz kamieniarz króla, czy u drzwi nie karze tarczy jakiej wyrzeźbić,

potrząsł głową i znaku żadnego dawać nie pozwolił. Ludzie sobie głowy łamali, co za dom być miał, a to jeszcze tak nagle stawiany, jakby na jutro był potrzebny.

Przed weselem miał być gotowym. Tajemnicę odgadł podobno Kochan jeden, który umiał nie tylko się domyślać ale i podsłuchać...

Gdy król przyszedł raz smutny do Esthery, skarżąc się, że go do wesela napędzano i że wkrótce musi ono nastąpić — piękna żydówka, która na ręku miała małego Pełkę, chorowite i słabe dziecko, z główką na ramieniu jej opartą — przystąpiła z nim do Kaźmirza.

— Mamże ja tu w Krakowie pozostać? zapytała go. Oddaliłbym się nie chciała — a siedzieć tak na oczach złośliwym ludziom, mnie i dziecięciu niewygodnie, niemiło. Ciasno nam w mieście, duszno nam w murach, a i tobie panie z nami nie będzie tu dobrze... Żonie doniosą, któż wie? ludzi złych na mnie nasadzą. Do okna wyjść, na próg wystąpić nie będę mogła.

Król przerwał jej żywo.

— Ale niemasz czego uciekać, ani mnie opuszczać! Żonę biorę dla nich, a dla siebie innej mieć nie chcę nad ciebie.

Dokądżebyś myślała?

Esthera na dziecię usypiające spojrziała...

— Nie wiem — rzekła — gdzieśby nam niedaleko od ciebie, panie mój, od miasta niedaleko... gdzie każesz, dokąd pošlesz, ale nie tu...

Król myślał trochę.

— W Łobzowie, tuż, zielonych drzew dużo, miejsca dosyć, ale domu dla ciebie nie mam...

Z Krakowa tam dostać mi się łatwo będzie, a w zielonych drzewach nikt cię tam nie dojrzy. Usiądziesz jak w gnieździe...

Esthera się uśmiechnęła.

— Uczynicie tak! rzekła. Nigdy was o nic nie prosiła — ale o to gotowam... Lepiej mi będzie w Łobzowie.

Król wziął tę prośbę do serca. Nazajutrz jechał zaraz miejsce oglądać i wyznaczać, z Wacławem z Tęczyna rozmówił się i spieszyć kazał z murowaniem, choćby przyszło roboty około zamku zawiesić.

W istocie tylko je podzielono i część ludzi poszła do Łobzowa. Pora sprzyjała, mury prędko osychały, spodziewano się, że przed weselem domostwo gotowem będzie, ale budowniczy nie radził się wnosić, dopóki czas jakiś nie powstało otwarte na słońcu. Nie tylko dom ten cały król swym kosztem wystawił, lecz gdy skończonym był, kazał się starać o sprzęt do niego, aby swojego Esthera przenosić nie potrzebowała. Opony do komnaty jednej flamskiego dziania dano ze skarbca, wyznaczono i kobierców dość i naczynia różnego...

Zawsze jeszcze niby tajemnicą było, komu ta kamieniczka będzie przeznaczoną, lecz ludzie już szepotali o Estherze, a niektórzy widzieli w tem przepowiednię, że król pozbyć się jej chciał i zupełnie z nią zerwać.

Nie była ona ulubioną tym, co króla otaczali, dlatego, że przez nią, z jej pomocą, nic zrobić nikt nie mógł. Nie przyjmowała podarków, nie podejmowała się pośrednictwa, pochlebstwem się ująć nie dawała.

Tak samo chrześcian jak swoją bracią żydów odprawiała zawsze tem, że do królewskich spraw i do niczego się mieszać nie chce. Gdzie o naród jej chodziło, przemawiała gorąco, zniżala się i prosiła, dla pojedynczych ludzi nie robiła nic.

Królowi właśnie to miłym było, iż przybywając do niej, pewnym się czuł, iż tu żadna frasobliwa sprawa nie zmąci mu pokoju. Spoczywał, bawił się, słuchał opowiadań, zapominał o królewskich troskach. Znając wielki rozum Esthery, czasem sam ją o coś zagadnął, naówczas, skromnie, rozważnie, w niewielu słowach odpowiadała mu, a zdanie jej tak się dziwnie, zawsze prawie, z królewskiem godziło, iż Kaźmirz się temu zdumiewał i więcej jeszcze mądrość jej sławił.

Gdyby chciała była, pewnieby wielką moc nad nim osiągnąć mogła, lecz nie żądała jej, o utrzymanie miłości i serca dbając tylko...

Jedno u niej król znalazł zawsze, czy żądał czy nie — to, wiadomości z różnych stron kraju, które się osoby królewskiej tyczyły, bezpieczeństwa jego lub dobra... Z temi wy-

stępowała śmiało, lecz doniósłszy, co się jej ważnem zdało, wprędce zwracała się do potocznych przedmiotów w rozmowie.

Przez nią król naprzód uwiadomiony został o co Borkowicza podejrzowano, a choć zawsze prawie to, co ona doniosła, sprawdzało się, tym razem jego samego do tłumaczenia powołał. Zdawało mu się, że ze zbytnej gorliwości podejrzewano go niesłusznie.

Borkowicz, przybywszy do Krakowa, gdzie liczne miał związki i stosunki, dowiedział się, niewiadomo z jakiego źródła, iż od Estery pierwszej wypłynęło oskarżenie.

Stawił się Kaźmirzowi śmiało, jakby człowiek na którego potwarz rzucono, bił się przed nim w piersi i z taką na pozór otwartością, z takim oburzeniem przemawiał, że króla nie lubiącego posądzać — przekonał o swej niewinności.

Dobrze też był przyjętym na dworze, a że chętnie sypał pieniędzmi, u stołu przyjmował, podarkami rzucał na wsze strony, służyło mu chętnie.

Już samo prędkie jego stawienie się do Krakowa kłam zdawało się zadawać rozsianym wieściom. Głowyby swej tak pochopnie przecie nie przyniósł, gdyby miał powód obawiać się czego.

Dowiedziawszy się, iż od Estery król pierwszą wieść dostał o jego knowaniach, Borkowicz postanowił trafić do niej i ująć ją sobie.

Nieznał on jej, ani wierzyć chciał temu, co o niej mówiono, wyobrażał sobie niewiastę próżną dumną i chciwą, a łatwo dostępną. Gdy mu ją malowano inaczej, ramionami ruszał, ani się dał odwieść od zamiaru dostania się do niej.

Kobiety, które widywał i z którymi przestawał, nie wyjmując wesolej i dziecinnej księżniczki Jadwigi — inne mu w ogóle o płci niewieściej wyobrażenie dawały. Ludziom, co go od niej odstręczali, w oczy się śmiejąc, gdy mu nikt pomocą być nie chciał w tem, postanowił sam przebojem docisnąć się do tej, jak ją nazywał, pięknej żydóweczki.

Śmiały, możny, nawykły co zamyślał dokonać, Maciek dnia jednego, kazawszy się zaprowadzić do kamienicy Estery, wybrał się do niej rano, niosąc piękny naszyjnik, na podarek przeznaczony.

Drzwi tam niebardzo strzeżono, gdyż Estherę znali wszyscy, iż darmo się jej kłaniać było, i nikt już nie próbował się tam dobijać.

Borkowicz z jednym dworzanim przybył, a nie zastawszy pani domu w komnacie, posługującej dziewczynie kazał powiedzieć o sobie, mianując się kto był. Spodziewał się, iż Esthera wyjdzie go zaraz powitać, lecz poczekać musiał i nierychło zobaczył ją, wysuwającą się z zasłony u drzwi zawieszonych.

Piękność nietylko go uderzyła, co powaga postawy i godność z jaką wystąpić umiała. Nastrojony był do żartobliwego tonu, lecz z tem jakoś nie śmiał potem, ujrawszy ją, poczynać.

— Jestem Maciek Borkowicz — odezwał się, z lekkim ukłonem przystępując do niej. Królowi się przybyłem pokłonić, więc i pięknej Estherze polecić się chciałem.

Zmarszczyła brwi słuchając.

— Kto pana swego miłuje, rzekł, ten wszystko, co mu lube, ceni... Bądźcie na mnie łaskawą, dodał, dobywając naszyjnik z za sukni, a nie gardźcie małym podarkiem.

Zarumieniona Esthera odstąpiła kroków parę.

— Dziękuję wam — odezwała się, mierząc go oczyma śmiało — nie zwykłam od nikogo, krom pana mojego, darów przyjmować. Poświadczą wam ludzie, kogokolwiek zapytacie, iż nie waszym podarkiem gardzę, ale żadnego nigdy nie wzięłam. Łacnoby było mnie potem oczernić... a ja chcę nie posądzoną i wierną panu pozostać.

Borkowicz nalegać chciał, lecz tak stanowczą otrzymał odpawę, że się zmieształ zupełnie.

Miał przed sobą nie tę jakiej się spodziewał, niewiastę płochą, ale surowego oblicza kobietę, do której przystąpić było trudno, mówić nie umiał nawet.

Podarek nazad musiał zatknąć za suknię i stał trochę zakłopotany. Dopiero namyśliwszy się począł.

— Przed panem mnie źli ludzie podali w podejrzenie niesłuszne. Prosić was chciałem za obrońcę.

— Ja w sprawy się żadne nie miesząm — rzekła Esthera — i o tem możecie się dowiedzieć łatwo...

— Przecie mówią, że o wszystkim wiecie! odezwał się złośliwie nieco Borkowicz.

— Widzicie, że źle uwiadomiona — przerwała mu Esthery... bo u nas pogłoski chodziły, jakobyście w wielkiej byli przyjaźni z Brandeburgami, a fałsz to wierutny musi być, gdyście do króla przybyć potem śmieli.

Borkowicza to niespodzianie śmiało odezwanie się jej oniemiło. Stał zarumieniony i gniewny.

— Obrońcy już więc wam nie potrzeba, miłościwy panie — dodała Esthery.

Maciek w bok się ujął i brodę swą targał. Ona patrzyła nań, jakby go poznać i wnikać w niego ciekawą była.

— I to też fałsz być musi — rzekła, wyczekawszy na odpowiedź, którą uśmiech złośliwy zastąpił — jakobyście na dworze szlązkim z narzeczoną królewską mieli dobrą znajomość.

Rzecz ta, która się Maćkowi tajemnicą wydawała — wypowiedziana mu w oczy przez Estherę, w zdumienie go wprawiła.

Ciche przekleństwo z ust mu się wyrwało.

— Jużci, że na dworze w Głogowie bywałem — zawołał gorąco i opryskliwie — zapierać nie mam czego. Na turniejach kilka razy dobrze mi się powiodło, z księżniczką też potem do tańca rycerskiego stawałem...

Estera słuchała z uwagą.

— Ludzie i z tego co na mnie upleść gotowi — mówił dalej obruszając się. Więc słusznie was o obronę prosiłem.

— Sami się potraficie oczyścić — rzekła zimno.

Borkowicz zwolna swe zuchwalstwo odzyskiwał.

— Wam też nowa królowa niebardzo do smaku pewnie — rozśmiał się — królem się przyjdzie dzielić z nią, a dalibóg, piękną i młodą jest, urodziwą i urokliwą.

Zarumieniła się Esthery.

— Ja też — rzekła — precz z Krakowa pójdę.

Borkowicz rozśmiał się.

— A do króla gniewu nie będziecie mieli?

— Ani żalu, ani gniewu — odparła Esthery swobodnie — królowi syna potrzeba, daj Boże by go z niej miał...

Maciek słuchał i uszom nie dowierzał.

Nie było już co mówić więcej, nie powiodło mu sięcale, brwi namarszczył i dokończył tylko.

— Bądźcież na mnie łaskawą.

Esthery nic nie odpowiedziała.

Wyszedł starosta zaszępony i pełen podziwu... a że tego dnia z przyjaciółmi u Neorzy się spotkał, zaniósł tam zdumienie swoje.

— Widział z was który tę żydowicę? zawołał — mała rzecz, że piękna, choć już na twarzy przywiedła, ale to baba na cztery nogi kuta! Jam u niej był dzisiaj. Zaniósłem jej naszyjnik, który mi sprzedano drogo i choć narzeczonej byłbym go mógł dać — nie wzięła. Mówiła ze mną tak, jakby w istocie królową była a nie miłośnicą i dziewczką Judasza z Opoczna... Powiada, że z Krakowa idzie precz...

Drudzy głośno zaprzeczając, zakrzyczeli go.

— Ale... ale — wołali — królby się jej miał pozbyć! a tożby nie wyżył bez niej? Dnia nie ma, żeby tam nie przekradł się i nie spoczywał. Zadała mu jakieś ziele, jak to one wszystkie czarować umieją. Nie wysłiznie się z jej szpon.

Borkowicz dumiał, i rzekł po cichu.

— Tem lepiej!

Nie mógł się jednak uspokoić dnia tego, wszystkim prawiąc o żydówce i, choć zły na nią był, sławiąc ją jako przebiegłą i rozumną, grożąc nią i żydami.

Wielkie owo oburzenie, jakie w początkach przeciwko Estherze panowało, znacznie teraz było się uśmierzyło. Duchowieństwo miało nadzieję, że przed królową młodą ustąpić będzie musiała. Czekano na to... a jak zawsze, pierwsze wrażenie najsilniejsze zwolna się zaciera, tak i do tego związku ludzie, nawykłszy o nim słuchać, wielkiej już wagi nie przywiązywali.

Wielu też Esthera rozbroiła tem, że się szczęściem swoim nie chwaliła i nie nadużywała go.

Nim do wesela królewskiego przyszło, dom w Łobzowie stanął gotowym. Esther krytym wozem pojechała go obejrzyć, a znalazłszy w nim pełno tych królewskich darów, których się nie spodziewała — radości swej ukryć nie mogła.

Domostwo było i obszerniejsze i wygodniejsze, niż jej własne, a rozporządzenie jego i urządzenie samo dowodziły, że król jej opuścić nie myślał, gdyż i izby miał dla siebie przeznaczone osobne, i te, które dla Esthery zostawały, godne były przyjmować gościa takiego...

Poszły zatem naprzód wozy ładowne, skrzynie, służba jej, potem ona sama na rękę wioząc chorego Pelkę, przeniosła się na nową siedzibę.

W mieście się nic nie utai, w parę dni wiedzieli ludzie o Estherze w Łobzowie i różnie sobie tłumaczyli te przenosiny.

Zaledwie rozłożyć się tam czas miała, gdy król jednego wieczora z łowów około Tęczyna powracając, u bramy zatrąbić kazał...

Przyjęła go w progu Esthera, do nóg mu się kłaniając, a dziękując za taki dwór, którego się nie spodziewała.

— Anim ja godna go — rzekła — ani mnie ubogą pieścić tak przystało. Jak w raj u siedzzieć będę, byle czasem się ta trąbka co dziś u wrót odzywała.

Król śmiał się a rad był, znowu znane sobie oglądając izby i komory, tłumacząc dla czego je tak kazał uczynić i na co, wedle myśli jego, służyć miały. Ogród też w kolo zielony radował go, a mur, co się roztaczał zasłaniając od ciekawych — jako z własnego rozkazania wzniesiony, ukazywał.

Tu już dwór swój i czeladź Esthera musiała powiększyć, bo Kaźmirz nalegał na to, aby dla bezpieczeństwa zbrojnych nawet kilku pacholków do usług miała. A choć inne królewskie zabudowania niedaleko stały i nie nadto było pusto, około stolicy zawsze uwijało się tylu włóczęgów i zbójów, że się ich strzedz musiano.

Inne życie poczęła tu Esthera, swobodniejszą się czując! mimowolnie większą panią niż była w Krakowie. Tu jej natręci i ciekawi w oczy już zaglądać nie mogli, ani każdy krok jej śledzić...

Więc i woźniki i kryte wozy, których w mieście nie było, stały się potrzebne, i usługa do nich i ludzie, coby do miasta na posyłki jeździli.

Dotąd sami żydkowie i żydówki około niej się kręcili, bo Synody zakazywały, aby izraelici służby chrześcijańskiej, mamek i stróżów nie trzymali. Tu, ponieważ król przybywać miał, czeladź dlań jego, wydzielona ze dworu, pomieściła się, zarazem służąc Estherze.

Wystawności i przepychu przybyło, a ona sama, jeśli nie dla siebie, to dla króla się o to starała.

Przyszło też nawyknięcie i upodobanie w zbytkownych sprzętach, które Kaźmirz lubił, w kosztownem naczyniu, w jadle wytwornem dla niego.

Mały Pelka był chorowity, musiał lekarz jeździć królewski, do Łobzowa. Wkradali się tam pod różnemi pozorami dworzanie, zawsze w nadziei, że usługując ulubionej Estherze, u niej a przez nią u króla łaski pozyskają. Lecz trwała ona w swem postanowieniu nie utrudzania króla nigdy żadną prośbą, żadnem pośrednictwem dla drugich.

Zbliżał się czas wesela królewskiego, do którego wielkie czyniono przygotowania. Napróżno królowa Elżbieta słała do brata odradzając mu je i wróżąc pożycie niemiłe. — Całe stronnictwo jej na dworze polskim przeciwne było ożenieniu. Wynajdywano napróżno środki rozerwania zapowiedzianego małżeństwa. Duchowieństwo, Arcybiskup na czele jego, nawet Bodzanta byli za niem, a z rycerstwa część znaczna, która wielkimi obietnicami swobód przez Ludwika węgierskiego zjednaną nie była.

Na zamku wszystko już było gotowem i dzień wyznaczony, gdy powiernik Elżbiety węgryz, Almazy, przybył do króla z poselstwem tajemniczem, którego ona pismu powierzać nie chciała.

Wszystkie te zabiegi Kaźmirza niecierpliwiły i prędzej może skłaniały do związku, niż odciągnąć mogły od niego.

Z niechęcią więc prawie przyjął król Almazego. Z postawy jego i wstępnych, przygotowawczych, zawikłanych frazesów poznać mógł król, że o coś nader drażliwego chodziło. Przebiegły i zręczny węgryz począł od najuroczystszeo zaręczenia, że królowa Elżbieta

tylko dobrem króla, brata swego, troskliwością o szczęście jego była powodowaną. To ją skłoniło najpilniej badać wszystko, co się tyczyło księżnej Jadwigi. Almazy z przykrością i smutkiem w jej imieniu oświadczyć musiał, że wiadomości z najlepszych czerpane źródeł w dość niekorzystnym świetle przyszlą wystawiały królowę. Dziewczkę być miało płochę, zabawy nad wszystko lubiącą, z młodemi i starszemi mężczyznami w obejściu się zbyt śmiało. Królowa Elżbieta zaręczała za to, iż między innemi, którzy na dworze szlązkim, bliższe z narzeczoną królewską mieli stosunki, znajdował się i osławiony Borkowicz, który zuchwałe oczy na nią śmiał podnieść, i przez starą ochmistrząnię podarki posyłał, potajemne z nią miewał schadzki i t. p.

Słuchając tego doniesienia, król się niezmiernie oburzył, porwał z siedzenia i oświadczył Almazemu, iż wszystko to jest wierutną bajką. Dalej już nawet mówić mu nie dał.

— Powiedzcie siostrze mej — zawołał wzruszony — że umiem cenić troskliwość tę jej o mnie, lecz — i sam ślepy nie jestem. Nim do umowy przyszło, zasięgaliśmy wieści u ludzi, księżniczka młodą jest, żywą, jak każda w jej wieku, lubi zabawy i śmiechy. Na dworze szlązkim bywało wielu, bywał pewnie i starosta wielkopolski, lecz bajką jest, aby z nią bliższe miał stosunki. Dozór jest pilny, i rzecz wprost niemożliwa, aby jeden ziemianin, chociaż możny, do księżniczki takiego rodzaju śmiał się zbliżyć ze złą myślą.

Wszystko to wcale mnie odstręczyć nie może, a dowodzi tylko, że są ludzie źli, którzy radziby mojemu małżeństwu przeszkodzić. Królowa zna mnie i wie, że ja, gdy ludzie się przeciwko mnie stawiają — z placu nie uchodzę, owszem, na przekór im czynić jestem gotowy.

Almazy mówić już nie śmiał, widząc króla zagniewanym niemal. Pożegnał go, odebrawszy ustną odpawę i odjechał. Tylko pomiędzy stronnictwem węgierskiem po cichu szepnął i rozsiał, z czem go tu przysłano i jak przyjęto.

Przez cały dzień ten Kaźmirz chodził poruszony wielce i zagniewany, lecz, jak zakazał Almazemu mówić o tej potwarzy, tak sam przed nikim się z tem nie wynurzył.

Wieczorem udał się do Łobzowa.

Im bliższem było wesele, tem częściej przybywał do Esthery i dłużej przesiadywał u niej. W zamku, gdy króla nie było, opowiadano zawsze, że jest na łowach. Takie dwór miał przykazanie.

Kochan czasem mu tam towarzyszył, aby Kaźmirz pod ręką miał kogoś do wysłania z poufnem słowem, w razie potrzeby; niekiedy Dobek jechał, a dla towarzyszy tych królewskich izba na dole przeznaczoną była osobna i na niczem im tam nie zbywało.

Jechał tym razem Rawa, który, im go teraz mniej używano, tem chętniej się nastroczał, ucho mając pilne na wszystko... Nie szło mu o własne dobro, ani o łaskę, któraby się wyplaciła, lecz o to serce króla, które miał niegdyś, a od sprawy Baryczki, ostygło ono dla niego. Szukał wszędzie sposobności usłużenia, i odzyskania straconej króla przyjaźni.

Zazdrośnym był nawet o Estherę, która — jak mówił, odebrała mu część serca pańskiego.

Wieczoru tego król więcej się niż zwykle wynurzał przed kochanką; mówił z goryczą — narzekał na ludzi. Esthera pocieszać się go starała, ukazując mu, ile dobrego i wielkiego dokonał za panowania swojego.

— Ludwikowi, siostrzanemu mojemu, zanadto się pragnie królestwa tego — rzekł smutnie. — Prawda, że dwa państwa połączone z sobą wielką mieć będą potęgę i łącznie się od nieprzyjaciół obronić potrafią, lecz i Polska sama, z odzyskanem Pomorzem, w wcielonym Mazowszem i zawojowaną Rusią, ostoi się o własnej sile...

Chcą, bym zszedł bez dziedzica!! Dziś mi poselstwo sprawiał Almazy, wioząc bajkę głupią, jakoby Jadwiga płochą była, a nawet z prostemi ludźmi, jak Maciek Borkowicz, zbyt blizkie zawierała stosunki.

Król rozśmiał się ramionami poruszając.

— Na Borkowicza zwalają wszystko... chcąc go widać uczynić kozłem ofiarnym. Ma związki czynić przeciw mnie, ma mi narzeczoną moją potajemnie zyskiwać... czyhać na spokój mój i korony tej. Lecz, cóż znowu za człek jest, aby się na to wszystko porywał?!

Mówiąc to, spoglądał na Estherę, która stała milcząc, z założonemi rękami, z piękną główką, czarnemi okoloną włosami, zwieszoną smutnie na białe ramię. Twarz jej nie okazywała ani oburzenia, ani niewiary zbytniej. Uderzyło to Kaźmirza...

— Panie mój — odezwała się po przestanku małym Esthera — Borkowicz zuchwałym jest, porywczym, ambitnym, a tacy ludzie jak on, tam czasem sięgają, gdzie niktby się inny nie ważył nawet myśla.

Plotka czy potwarz o której wam wspominał węgryzn — chodzi po świecie — i ja o niej słyszałam. Nie daję jej wiary, ale ludzie ją powtarzają...

Potrząsnęła głową, król się zmarszczył.

— Marne paplaniny — zawołał, zmyślane przez tych, którzyby małżeństwu przeszkodzić i rozerwać je chcieli. Borkowicz, jako wiesz, był tu w Krakowie, tłumaczył się i poprzysięgał mi wierność. — Nie może być, aby knuł... niepodobna, by do tego stopnia oszalał, i Brandeburgów a Szlązaków sobie zyskiwał, sądząc, że mnie na tronie mym poruszyć może! Za mały jest. Zgniółbym go jednym uderzeniem...

Esthera nie mówiła nic długo...

— Panie mój — dodała w końcu — choć nie wierzycie w wieści te, zawsze z człowiekiem, choć małym, — potrzeba być ostrożnym... Mały człek na wielkie się porywając, nie ma dużo do stracenia.

O staroście głoszą, że w Wielkiej Polsce mnogich ludzi sobie pozyskał, że gwałty popełnia, postrach szerzy, a ziemianie się go lękając, wiele cierpieć od niego muszą.

Dla czegoż rodzony wuj, Beńko, czemu Wierzbęta, nie ufają mu, i ostrzegają?

Królowi już dosyć było i przestróg i rozmowy o Borkowiczu. Nie lubił go, lecz za tak niebezpiecznego nie miał.

— Kazałem mieć nań pilne oko — odezwał się — są, co go strzedz i na każdy krok jego oczy będą zwracali — lecz co za śmieszny wymysł, dla zohydzenia go w mych oczach czynić jeszcze przyjacielem księżniczki? Toć jawna baśń. Oczyma zdawał się wyzywać Estherę do potwierdzającej odpowiedzi.

— Obyczajów dworskich nie znam — rzekła po chwili, zawsze z namysłem, który jej był zwyczajnym — możliwe to czy nie... nie wiem, lecz że na dworze szlązkim częstym gościem był — to pewna.

— Przecie nie do księżniczki tam jeździł — odparł król — aniby śmiał oczy podnieść na nią. Piastowie Szlązcy, choć się od nas oderwali, choć z Niemcami związali i woleli im hołdować zanadto się wysoko cenią, by im wielkopolski panek dla córki smakował.

Rozśmiał się król pogardliwie.

Esthera już go jątrzyć więcej nie śmiała i zamilkła...

Każmirzowi ta baśń, jak ją zwał, tak na sercu leżała i tak go zaprzętała niedorzecznością swą, iż się z nią zwierzył w ostatku i Kochanowi.

Rawa odparł, że i on słyszał o niej, lecz choć śmieszna była, Borkowicza znając, nie widział ją tak bałamutną, jak się na oko zdawać mogła.

— Miłościwy panie — rzekł — są ludzie zuchwali, co, jakośmy świeżo przykład mieli, na sakrament w kościele porwać się nie obawiają. Wszak ci to historia kościoła twego, Bożego Ciała, który na pamięć popełnionego świętokradztwa wznosić kazałeś. Otóż Maciek Borkowicz do tych ludzi należy, dla których nic świętego nie ma, a w ich mniemaniu nic dla nich za wysokiego.

Śmiał się król.

— Stracha jakiegoś chcecie mi uczynić z tego Maćka — odezwał się pogardliwie. Nie dziwiłbym się innym; tobie, co ludzi znasz i wagę masz w głowie — dziwię.

— Miłościwy panie — rzekł obrażony nieco Rawa. Nie boję się go dla was, lecz właśnie, iż znam człeka, wierzę we wszystko szalone, o co go posądzają.

Niech sto razy przysięga i zapiera się, a do stóp skłania — powiadam, iż jeśli zdrajcą nie jest, to chyba, że nie zdoła, a że w sercu zdradę ma, z oczów mu patrzy.

Król wysłuchał słów Kochana z uwagą.

— Jeżeli zdradę knuje — rzekł — przykład na nim uczynię, jak zdradę ukarać potrafię.

Nie o mnie idzie, ale o koronę tę, której ktokolwiek tknąłby śmiał — zginie!!

Ostatnie słowo tak głośno i dobitnie rzekł król, iż Rawa milczący — nie wznawiając już rozmowy, wysunął się po cichu.

TOM IV

KSIĘGA SIÓDMA. MACIEK BORKOWICZ

Trzeci już dzień trwały gody na królewskim zamku, z temi wszystkimi obrzędami i przepychem, jaki weselom zwykł był towarzyszyć w owych czasach. Wysilali się na nie zamożni ziemianie, król musiał karmić i obdarzać tłumy. Wszelkiego rodzaju rozrywki, zabawy, igrzyska, następowały jedne po drugich. Rycerstwo codzien miało gonitwy i turnieje; za niemi szły — rozdawanie nagród zwycięzcom, uroczyste tany, muzyka i uczta.

Właściwie, przez cały ciąg wesela uczta nie ustawała na chwilę. Zmieniano tylko opróżnione misy i wysuszone dzbany, a coraz nowi goście zasiadali przy zastawionych ciągle stołach, u których marszałek, podkomorzowie i inni urzędnicy dworu gospodarzyli.

Codzień prawie przybywał ktoś nowy z życzeniami i wieszaniem panu, z małym jakimś podarkiem, za który znaczniejszy ze skarbcu otrzymywał.

Rozdawano kożuchy kosztowne, jedwabiem i sukniem okryte, postawy tkanin różnych, futra, naczynia srebrne, wedle godności osób i łaski pańskiej. Zapas wcześniej przygotowany pozwalał starczyć na wszystko. Król zdał się w tem na swojego Wierzyńka, a ten miał ludzi, którym ufał i rozdawnictwo szło razem hojnie a skrzętnie.

Na zamku wszędzie pełno było i gwaru, i, prawdę rzekłszy, od rana do wieczora — chmielno. Mało kto miał głowę całą i nie zaproszoną; znużenie wymagało posiłku — lada kubek szumiał w mózgu po bezsenności i trudzie.

Wśród pospolitej gawiedzi wesele w istocie wesołem się zdało, twarze były uśmiechnięte, policzki zarumienione, oczy błyszczące, postawy gęste, lecz, uważny widz, w górę idąc, ku starszyźnie mógłby był dostrzedz łąco obliczów coraz mniej rozpromienionych, poważniejszych, niemal smutnych...

Nie było to dziwnem, gdyż królewskie gody budziły uczucia bardzo różne. Znaczna część możnych i otoczenia pańskiego krzywem na nie patrzyła okiem. Wszyscy, co trzymali z królową Elżbietą i Ludwikiem węgierskim, przeciwni im byli, a tych liczba znajdowała się wielka. Jedni ujęci podarkami, drudzy obietnicami swobód wielkich dla ziemian — nieradzi byli małżeństwu, które potomka obiecywało i — stary porządek rzeczy, wzmocniony tylko a ukrzepiony prawodawstwem Kaźmirza.

Król chłopów w sile wieku, miał czas jeszcze nowemi prawami ziemian i rycerstwo ukrócić — a innym mieszkańcom swojego królestwa nadać swobody, mogące równoważyć przewagę dawną stanu szlacheckiego, rycerzy, panoszków, ziemian, mających szczyty swe i zawołania.

Ludwik natomiast przyrzekał rycerstwu udział w radzie swej większy, oswobodzenie od opłat, wyjątkowe przywileje... Rycerstwo też nie zbyt mile patrzyło na to królewskie wesele — i po troszę na nie ramionami zżymało...

Ci, co króla namówili, sami tylko rozgłośnie prorokowali nową Piastów zieloną gałązkę i cieszyli się tem, że króla młoda małżonka zając, a przy sobie utrzymać potrafi.

Spoglądano ze wszech stron ciekawemi oczyma na Kaźmirza, usiłując odgadnąć go i wyczytać z postawy, jakim sercem związek ten — jawnie mu narzucony, przyjmował.

To było trudnem. Królewska twarz z wiekiem coraz bardziej poważniejszą, zastygającą, nie zdradzała uczuć łatwo, gdy występował publicznie. Nawet ci, co go znali dobrze, nie zawsze odgadywali. Wydawał się chłodnym, obojętnym, nieczułym wtenczas może, gdy najwięcej doznawał. W naturze jego było, z wyjątkiem niewielu istot mu sympatycznych, dla reszty się zamykać i być — tajemnicą.

I czasu tych zaślubin kto mu na twarz patrzył pilno, nic z niej wywnioskować nie mógł.

Był to król, który się żenił — człowiek się nie zdradzał.

W niczem nie uchybiono ceremonjałowi i Kaźmirz go nie nadwerężył. Uśmiechał się gdy było potrzeba, uprzejmym był gdzie należało okazać życzliwość, nieznużony, wszystko co od niego wymagały obrzędy, spełniał jak najściślej — lecz, nadto nic więcej.

Żenił się — król polski, dla otrzymania potomka — Kaźmirz zdawał się to tylko spełniać, czego po nim wymagano.

Księżniczka była młoda, świeża, rumiana, piękna swojemi latami i rozkwitnieniem, onieśmielona razem i szczęśliwa z tego, co ją spotkało.

W dumę wzbijała ją korona, lecz i trwogą napełniała.

Usłudni ludzie różne jej historie podszeptali. Piętnaście lat osamotnienia Adelajdy — krótkie słomiane małżeństwo z Rokiczaną, kochanka żydówka, samo oblicze Kaźmierz, chwilami musiało wesołą, swobodną dość w ojcowskim domu księżniczkę Jadwigę zatrząść.

Dotąd... — zabawiała się dobrze, śmiała gdy chciała, obcowała na dworze swobodnie z panami, z rycerstwem, z mnóstwem gości z Niemiec przybywających; lubiła tany, śmiechy i rozmowy wesołe... — teraz królową, okryta płaszczem purpurowym — przewidywała dla siebie dni smutne, długie, może więzienne.

Spojrzenie pierwsze na małżonka, który z wyszukaną grzecznością lecz z niezmiernym chłodem majestatycznym ją powitał, zwiększyło obawę...

Potrzeba było najsilniej przekonywających dowodzeń, ciągle kładzionych w ucho przez starą ochmistrzynię Konradową — aby ulękle nieco dziewczę uspokoić.

Konradowa, przebiegła i znająca swą księżniczkę od dzieciństwa, знаła też środki, jakimi na nią podziałać mogła.

Tłómaczyła jej, że żywot królowej nie mógł nigdy być nazbyt dokuczliwą niewolą, że były środki wylamania się z niej potajemnie, że król zresztą sam zabawy lubił i żonie bronić ich nie mógł...

Ta chwila, co rozstrzyga o przyszłości — co pierwsze niezatarte wrażenie przynosi, na młodej królowej tylko trwogą się oznaczyła, na królu niewzruszonym chłodem...

Po tych dniach — ani jedno ani drugie z nich nie okazywało najmniejszej na sobie zmiany.

Konradowa pilno patrzyła na swą panią, ale zapytywać jej nie chciała o nic — obawiając wywołać jakieś zeznania niemile. Wolała czekać na to, by się jej Jadwiga zwierzyła sama.

Oprócz starej ochmistrzyni niemal cały dwór pański z oka nie spuszczał nowego stadła, szukając jakiejś oznaki, któraby przyszło jego stosunki mogła przepowiadać.

Nie zmieniało się nic — i nic odgadnąć nie było można. Dworzanie szeptali, iż właśnie to złą było wróżbą dla młodego stadła.

Lecz — wszystko się mogło później odmienić, bo czas wesela, nieustannych występów, nużących zabaw, uroczystych obrzędów — opamiętać się nie dozwalał. Królowa musiała ciągle przebierać się, wchodzić, wychodzić, zasiadać obok małżonka, kłaniać i dziękować, uczestniczyć jako królowa w turniejach... jako królowa przy uczcie, jako pani przy wielkim tańcu, który gonitwy dopełniał...

Ci, co najciekawszy byli przyszłości, a sami jej nie śmieli i nie mogli wywróżyć, zwracali się ku Kochanowi, o którym wiedziano, że swojego pana znał jak samego siebie i że w nim czytał lepiej niż inni.

Rawa, dziś już podkomorzy króla, spoważniały, ale zawsze strojny i pięknego oblicza, w ciągu wesela ani chciał ust otworzyć na mnogie zadawane mu pytania.

Słuchał innych, nie mówił nic, przypatrywał się z dala.

Przy turniejach kilka razy Kaźmirz się nieco ożywił, zdawał się zajmować niemi, losem walki, potem wracał do swej zimnej, pańskiej obojętności. Królowa spełniała wszystko, co jej wskazano, z widoczną nieśmiałością — jakby się lękała objawić z tem, co ją zajmowało. Podnosiła oczy nagle, rzucała niemi trwożnie i spuszczała je wprędce, tak że ją otaczające panie z zadumy i roztargnienia wyrwać musiały, podszeptując, co czynić miała.

Nienawykła do strojów, jakie na nią teraz wdziewano, do tych ciężkich i licznych klejnotów, któremi ją okrywano, wydawała się ofiarą, uwieńczoną na jakiś obrzęd, który siły jej wyczerpywał. Czasem tylko oczy jej zbiegły ku dawniej znajomym twarzom, policzki okrywały się nagłym rumieńcem i wnet błądź wracała na nie.

Wśród gości, ze wszystkich ziem polskich przybyłych, znajdował się i — Maciek Borkowicz, który ze świetnym poczem uczcić królewskie wesele przyciągnął z Wielkopolany.

Zapobiegając temu, by go nie podejrzewano o jakieś złe myśli względem pana, wyrwał się chętnie naprzód, ukazywał wszędzie, odzywał głośno, i czynny udział brał w zabawach weselnych.

On i brat Jaśko z Czacza występowali z niezwykłym przepychem. Niepospolitej siły oba, w rycerskich sprawach zręczni i wprawni, stawali oba do wszystkich igrzysk, poodziewani w wykwintne stroje, odznaczając się końmi, siadzeniami i rzędami.

Maciek nastęczał się ciągle na oczy królowi, nadbiegał gdziekolwiek go dostępnym postrzegł, spieszył tam, kędy mu się zdawało, że woli i życzeniu pańskiemu będzie mógł dogodzić.

Nie bardzo mu się z tem wiodło: król, choć nie okazywał mu wstrętu, nie dał też najmniejszej oznaki przychylności.

Spoglądał nań ciekawie zdala. Pierwszych tych dni, czasu igrzysk w szrankach, w których młoda królowa była przytomną — Maciek ubrany i zbrojny z wielką wykwintnością i blaskiem, widocznie szukał miejsca, aby się jej pokazać i zwrócić na siebie oczy...

Królowa też nie mogła go nie poznać i nie widzieć, lecz im mocniej się narzucał, tem uporczywiej zdawała unikać nawet pobieżnego nań spojrzenia. Drgała, ilekroć głos jego dał się słyszeć, odwracała głowę z trwogą i niepokojem.

Borkowicz wśród gości zamkowych był jednym z najruchawszych, przy stole jednym z najgłośniejszych i najlepiej udających wielkie uszczęśliwienie...

Dziwili mu się ci, co go w poufałym obejściu innym znali. Neorża, który tu też, otrzymawszy przebaczenie królewskie, dla oka ludzkiego się znajdował, spoglądał na Borkowicza, jakby oczom i uszom niedowierzał.

Zdawało mu się, że człowiek ten kłam zadawał dawnym swym sprawom i na nową wejść musiał drogę, chociaż ukośne, szyderskie spojrzenia Borkowicza inaczejby go nauczyć mogły.

Trzeciego tego wieczora, na Zamku rozpasanie zabawą i uctowaniem, mimo pilnego dozoru podkomorzonych, marszałka i mnogich nadzorców, wzmogło się do najwyższego stopnia.

Radość z wypadku tak pożądanego usprawiedliwiała swobodę, jakiej sobie dozwolano. Trudno było młodzieży i dworzan utrzymać w karności, i gdy w wielkich izbach zamkowych brzmiała muzyka, a co było najprzedniejszych gości, uctowało lub szło w tany — gawiedź, czeladzie, pomniejsza dwornia po różnych kątach, a nawet w podwórzu u okien zamkowych, w takt muzyce obracała się wesoło, porywając służebne do skoków...

Konradowa, ochmistrzyni, z królową przybyła, rozpacziała, nie mogąc swych dziewcząt utrzymać, ani drzwi od napaści młodzieży obronić.

Wpadali do niej znajomi i nieznajomi, niepokojąc podziły, skwaszoną i znużoną jejmość, która strojna w to, co miała najdroższego, opuszczona, sama jedna, czekać musiała na zawołanie królowej, mogącej co chwila jej zażądać.

Wiedziała dobrze, iż młoda pani nie obejdzie się bez niej. Prawie sama jedna zostawszy, rozmyślała nad czemś, oparta na rękę chudych, okrytych pierścieniami, gdy drzwi uchylono ostrożnie...

Skrzypnięcie ich zwróciło jej uwagę, podniosła się nieco, chcąc dojrzeć, kto jej spokój zakłócił, lecz przez mało co rozwarte podwoje nic dojrzeć nie mogła, oprócz błyszczącego w nich oka...

Nadchodzący zdawał się rozpatrywać bacznie, nimby się wnijsć odważył. Z namarszczoną brwią, i coraz bardziej nadąsana ochmistrzyni już miała zawołać groźnie, aby drzwi zamykał — gdy właśnie się one szerzej otwarły zwolna i — Maciek Borkowicz, dobrze jej znany, na progu ukazał.

Konradowa poznawszy go, nie mogła pokryć przestrachu i zakłopotania, jaki ją na widok natrętnego pana, z którym ją dawne wiązały, dziś niewygodne stosunki — ogarnął.

Borkowicz miał twarz rozweseloną, można było powiedzieć rozzuchwaloną — szedł, śmiejąc się ku babie, która drżała, ręce złożonywszy.

Widząc jej trwogę, Maciek przybliżył się do stołu i opierając oń — odezwał.

— A co? jam tu jest! Widzicie, że za waszą poszedł radą — królową została nasza księżniczka... alem ja starszy u niej niż mąż i król.. i moich praw wyrzekać się nie myślę — tylko z nich korzystać.

Starej mowa na ustach zamarła.

— Co z wami? co z wami? — odezwała się głosem zadławionym i drżącym — opamiętaj się człecz! Pocoś tu przyszedł, nieszczęście na mnie przynosząc z sobą?.. Jakie masz prawa?!

— Jakie? he? — odparł Maciek zuchwale, ja i wy zarówno wiecie! Alboście mnie z księżniczką tajemnych schadzek nie ułatwiali?

— Cicho... — krzyknęła stara, uszy sobie zatulając... Jakie schadzki! jakie! Ona nigdy z wami sam na sam i na jeden pacierz nie pozostała...

Oburzała się coraz więcej Konradowa...

— Mało ją kto po rękach całował jak i ty — zawołała — a co z tego za prawo komu rośnie?

Borkowicz uśmiechnął się, i naprzeciw lampki rękę podnosząc, błysnął starej przed oczyma pierścieniem.

— A to, co? — zapytał jej. — Niby nie znasz tej obrączki z oczkiem i nie wiesz czyja ona była, kto mnie ją dał i kiedy? Któż do tego pomagał? Słuchaj, stara, albo ty mi dalej służyć musisz, albo cię zgubię i wszystko wygadam. Maćka Borkowicza ludzie znają i zowią go — zuchwałym, bo jest zuchwały!! Ze mną żartów nie ma...

Stara oczy zakrywszy, płakać zaczęła.

— Darmo nie szlochaj — odezwał się Maciek — ja com raz sobie osnuł, tego nie odstąpię i nie porzucę... Królową ona jest — zgodziłem się na to — niechaj sobie nią będzie — ale ze mną zrywać nie może! Mam słowo...

Konradowa nie zdawała się słuchać. Jedną ręką oczy zasłoniwszy, drugą mu dawała znaki, by milczał.

Podniecony napojem może i krwią gorącą, Borkowicz ani myślał ustępować.

— Czegoż chcesz? czego? — odezwała się rozpaczliwie stara... — chyba, jak mówisz, zgubić mnie...

— Gubić nie chcę — rzekł Maciek — a no, służyć musisz...

— A jak ja tobie tu służyć mogę? Oszalałeś! zawołała coraz bardziej trwożąca się, oglądając na wszystkie strony, ochmistrzyni, obawiając się być podsłuchaną.

Borkowicz zrozumiał to zapewne i pochylił się ku niej.

— Ja z królową widzieć się muszę — rozumiesz ty to! — zawołał pospiesznie, za rękę ją targając. Nic nie pomoże...

Konradowa nie słuchała go...

— Król albo dziś w nocy, lub jutro... z zamku potajemnie wyjedzie — Jadwiga zostanie samą. Żebyś ty mnie nie mogła do niej na chwilę rozmowy wprowadzić!

Stara krzyknęła i oburącz trzepać zaczęła...

Zamilczał Maciek, dając się jej wyburzyć.

— Nic nie pomoże — odparł — ja z nią widzieć się muszę...

Jak Bóg Bogiem — widzieć się będę — i to na cztery oczy, a ty musisz drzwi pilnować...

Szyję swą stawię — ja to wiem, ale się to stanie, lub ciebie zgubię...

Wśród łkania starej, niewzruszony Maciek stał czekając i rozpatrując się po izbie...

— A znajdą mnie tu — dodał, śmiejąc się — no, to powiem, że dla was tu przyszedłem. Nie zrobi wam to niesławy, że takiego jak ja kochanka macie...

Żart ten więcej jeszcze oburzył starą; pokazała mu na drzwi, Borkowicz stał nieporuszony...

— Ależ szalony — poczęła po chwili Konradowa... Toż tu na nas, na młodą królowę, tysiąc oczów patrzy...

— To co? — odparł Maciek... — Teraz nikomu nie postanie nawet w głowie, aby się kto śmiał do królowej przekradać?

Właśnie to pora — lub nigdy...

Wszyscy oszołomieni, nikt oczów niema a podejrzenia nie poweźmie nikt. Prędkiej uwierzą, że podpisał Borkowicz, młodej nie znalazłszy, do starej poszedł na zabawę...

Odpychała go od siebie napróżno Konradowa, stał uparty.

— Nie odejdę ztąd, aż mi słowo dasz... — rzekł. — Nie darmom przyszedł... Chcesz, nie chcesz, a musisz... albo o pierścieniu historję powiem — niech ci choć szyję ukróć!

Wyczekał chwilę, nie otrzymując odpowiedzi, tylko przeciągłe stękanie i jęki.

— Powiadam ci — powtórzył. — Król albo dziś, lub najdalej jutro się do Estery swojej wykradnie, chorym uczyniwszy. Królowa będzie sama. Wpuścić do niej mnie musisz...

Nic nie pomoże — dodał — ja się niedam odegnąć. — Złęknie się pewnie i ona, nie zechce może tak jak i ty — powiedz jej toż samo...

— A to z was dobry przyjaciel! — krzyknęła Konradowa — po to wymodliliście pierścien, aby nim straszyc?

— Na cóż by mi się inaczej zdał? — rozśmiał się bezwstydnie Maciek. — Albom to ja jak te niemcy lub francuzi, co lada kawałek wstążki noszą lata całe na piersi, dla miłości niewiasty!?

Rozśmiał się dziko...

— U mnie niewiasta niewiastą, choćby dziesięć razy królową była!! A nie zechce mnie znać...

Konradowa, gdy to mówił, oczy nań podniosła, zobaczyła twarz z wyrazem dzikim i rozpasanym, drgnęła ze strachu, i opamiętywając się powoli, rzekła zająkliwie:

— Idźcie ztąd... idźcie... Zrobię, co mogę. Królowej powiem... Niech na waszą głowę spadnie nieszczęście...

Zamruczała coś niewyraźnie.

— Mówcie z nią, a rychło — dodał Maciek śmiało i natarczywie. — Powiedzcie jej, com wam oznajmił... Nie będzie inaczej, musi mówić ze mną. Króla nocą dziś lub jutro na zamku nie stanie... Wpuście mnie...

Konradowa płakać znowu zaczęła, głowę zanurzywszy w dłoń. Popatrzył na nią Borkowicz chwilę — targnął za rękaw i dodał jeszcze:

— Najdalej jutro... słyszysz — bo ja czekać nie będę, a ztąd nie odjadę, aż się z nią rozmówię..

Rób co chcesz! Nagrodzę po królewsku, ale zgubię po katowsku, gdy mnie oszukasz.. Maćka Borkowicza znają ludzie, co on pocnie, to do końca doprowadzi. — Pamiętaj.

Jeszcze raz ją napróżno za rękaw targnąwszy, Borkowicz zwolna z izby się wytoczył, nie bardzo nawet strzegąc, by postrzeżonym nie był.

Wyszedł tak pewien siebie, jakby ani wątpił, że zuchwały krok, który zamierzył, musi się spełnić, wedle jego postanowienia.

Zamknęły się za nim drzwi, gdy Konradowa, jak rzucona siłą jakąś obcą, z siedzenia się porwała, i ręce załamawszy, poczęła po izbie chodzić, coraz to za głowę się chwytając, to palce zaciskając rozpaczliwie.

Tymczasem na zamku zabawa trwała.

Szukała w głowie sposobu, jakimby się zbyć mogła niebezpiecznego człowieka i rozmyślała jeszcze, znaleźć go nie mogąc, gdy śmiało ktoś we drzwi zastukał i natychmiast wszedł na próg.

Był to podkomorzy i ulubieniec pański, Kochan Rawa, którego Konradowa już znała i z twarzy i z rozgłosu, bo wcześniej jej o tem mówiono, że on u pana swego był najulubieńszym i najmoźniejszym.

Ze śmiałością człowieka, który prosić o nic nie potrzebuje, a rozkazy przynosi — stawil się Kochan, ledwie starej głową skinąwszy.

— Mam do was zlecenie od pana — rzekł krótko, wpatrując się w nią bacznie; bo załamane jej oczy i twarz trwogą napiętnowana uderzyły go musiały.

Przerwał sobie i wtrącił.

— Coście to tak zakłopotana, moja jejmość? Juściż źle u nas na dworze ci nie jest, ani na czym zbywać może?

— Nic mi, nic, prędko przerwała Konradowa.

— U nas płakać nie powinniście — mówił Kochan — pan dobry, nagroda hojna, ale panu też służyć dobrze potrzeba i wiernie.

Otóż posłuchajcie.

Tu obrócił się dokoła, oczyma szukając po izbie, czy jakiego niepotrzebnego świadka nie było.

— Posłuchajcie — powtórzył. — Król, pan nasz, nie tak młody jest, aby go to wesele i występowanie nie znużyło. Jemu trzeba odpocząć — ale ludzie o tem wiedzieć nie powinni, że królowę samą zostawi. Niechby i ona też trochę sobie wypoczęła...

Spojrzał na Konradową, która pobladła.

— Cóż? dziwu w tem nie ma — dodał — ale na ludzkie języki nie potrzeba tego dawać, bo ludzie wnet to wyszpacą. Rozumiecie?

Drżąc, stara głową skinęła.

— Dziś? — zapytała...

— Dziś — albo jutro, nie wiem jak pan postanowi — rzekł Kochan — a no, panią uprzedźcie, że nie z niechęci ku niej to uczyni, ale z dobrej woli...

Konradowa powtórnie głową dała znak, iż zrozumiała — Kochan jednak stał przed nią, jakby coś jeszcze miał do powiedzenia.

Badał ją oczyma, chcąc odgadnąć nieznaną prawie jeszcze kobietę, którą milczący ten wzrok, wlepiony w nią — niepokoić zaczynał. Powtórzyła mu, że postąpi jak jej polecono.

— Król, pan nasz — dołożył Kochan — miłośnicy jest wielce i szczodry — trzeba, abyście łaskę jego pozyskali sobie, a z nią dobrze wam będzie...

Konradowa, której na myśl przychodził tylko co odprawiony Borkowicz, pod wrażeniem strachu, jakim ją nabawił, co prędzej się chcąc zbyć Rawy, skłoniła głowę, ręce rozpostarła, postawę przybrała uległą i pokorną. Kochan popatrzył na nią i wyszedł.

Gdy się to działo w komorze starej ochmistrzyni, królowa była jeszcze w sali, w której się tańcom przypatrywała, odmówiwszy w nich udziału. W komnatach panowało życie i gwar wielki, jak zwykle ku końcowi długiej zabawy, gdy i najchłodniejsi się rozochocą, i starzy nawet powracającą resztkę młodości poczuwają w sobie.

Król, który się kilka razy w ciągu dnia tego zbliżał do żony i starał się ją ośmielić, widząc znekana jakąś i zbyt bojaźliwą, w końcu uznał najlepszem pozostawić ją samą z paniami dworu i gośćmi, którzy ją otaczali. Rozmawiał z kolei z kilką starszemi o sprawach różnych, przypatrywał się zabawie, czynił co mógł, aby się okazać wesołym, lecz widać w nim było roztargnienie jakiegoś i źle skrywaną niecierpliwość.

Trwające już dni trzy ucztowanie, nie dziw, że go znużyć mogło. Goście mieniali się, wypoczywali, on i królowa ciągle starczyć im wszystkim musieli sami.

Nie zdziwił się więc nikt, gdy wkrótce potem królowa pierwsza niepostrzeżenie się wysunęła z sali i znikła, a król, skinąwszy na Kochana, zwolna zbliżył się ku drzwiom, wiodącym do komnat swych, i opuścił zabawę.

Marszałkowie jednak, podkomorzowie, urzędnicy dworu, mieli snać rozkazy przyjmowania gości, dopóki by bawic chcieli, gdyż taniec i ucztowanie u stołów nie ustało.

Odejście obojga królestwa nie zdziwiło nikogo.

— Jak na nowożeńca, miłośnicy pan nasz — szepnął do siedzącego przy sobie Spytka Ligęzy młody panicz z Melsztyna — trochę ma za posępne oblicze.

— Bo zmęczony — odparł Ligęza — a może i wesele to, narzucone mu, do którego ludzie zmusili, nie bardzo do smaku.

Melsztyński się rozśmiał.

— Co mówisz? — odparł — królowa jak kwiat świeżo rozwinięty, hoża, a nasz pan kobiety lubi, czemu by nie miał być rad, że mu ją dano?

Ligęza ramionami ruszył.

— A przypatrywaliście się dobrze królowej? zapytał. — Że hoża jest, nie przeczę, ale czegoś też smutna.

— Toć wiadomo — rzekł drugi — iż niewiasty nie okazują nigdy, jakby z małżeństwa rade były, bo się sromają... To u nich prawo i obyczaj...

— Przytem królowa Jadwiga — szepnął Ligęza — może sobie przypomina swe poprzedniczki, nie licząc Aldony...

Spojrzeli na się — lecz żaden z nich dłużej rozmowy tej prowadzić nie chciał, i byliby o czem innem rozpoczęli, gdyby do nich, wszędzie się wciskający, rubaszenie rozochocony, nie przystąpił Maciek Borkowicz.

Zdawało się, że musiał coś zachwycić z tego co mówili, bo wtrącił, spoglądając na Ligęzę.

— Za wdowców za mąż iść i wdowcem się żenić — choćby królami byli.. nie dobra sprawa... Uważaliście, jaki król posępny, choć się śmieje? Bo mu też biskupi gwałtem dali tę białą gołębicę szlązką, kiedy on pono jeszcze swojej żydówki nie porzucił!

Swobodna ta mowa, na zamku trochę dziwna, nie wywołała odpowiedzi, młodzi spojrzeli na się. Borkowicz rozparty przed niemi, siadłszy, ciągnął dalej.

— Nie dałbym złamanego grosza za to, że jednego z tych dni król od godów — uciecze!!

— Nie mówciez tak — wtrącił młody z Melsztyna. — Ktoś posłyszyc i ogadają was znowu...

— Ogadany już jestem — rozśmiał się Borkowicz — a to, co prawię, o tem wróble na dachach śpiewają. Właśnie dla tego, iż mi króla żal i że go miłuję — z litości nad biednym panem stękam nad jego dolą. Czasem, gdy się człowiekowi jeść nie chce, a dadzą mu misę przed się, choćby z najlepszą strawą... kością mu ona w gardle staje; co dopiero ożeniecie!! Biedne panisko nasze, no — i biedna królowa...

Spojrzał na siedzących przy sobie, a Ligęza, który go nie lubił, burknął:

— Hej! hej, panie starosto! mnie się zda, że niejeden, co niby pana żałuje, prędzej mu chyba zazdrości... Szczególnie wy, coście pono na dworze szlązkim bywali, a gadki chodziły o was, żeście do księżniczki przysuwali się bardzo... — nie powinniście się z tem odzywać.

Borkowicz rzucił się z ławy.

Upomnienie o tem, czego on jeszcze rozgłaszać teraz nie życzył sobie, ubodło go. Surowo wzrokiem się odciął Ligęzie, z góry nań spojrzawszy, brwi ściągnął, i oddalił się, nie mówiąc nic.

Gdy królowa, przeprowadzana przez kasztelanową krakowską i panią z Tęczyna — weszła do swej komnaty, żegnając je w progu, z drugich drzwi, czatująca już na powrót jej ochmistrzyni, spieszyła na przyjęcie.

Uśmiech na twarzy księżniczki trwał póty, póki dwie matrony, co ją odprowadzały, nie pożegnały — zaledwie się znalazła sama, padła na siedzenie, chwytając się za głowę.

Konradowa łasząc się, z czułością starej piastunki, okazując litość nad nią, zbliżyła się ku swej pani.

— Królowo ty moja — poczęła słodkim głosem — zamęczyli cię temi gody! Prawda? Jadwiga zadumana, cała w sobie, nic jej nie odpowiadała.

Pochyliła się nad nią stara ochmistrzyni, szepcząc głosem, który starała się uczynić wesołym i swobodnym, choć w nim drgało nieukojone jeszcze rozdrażnienie.

— Dawniej, gołąbka moja lubiła zabawę! lubiła! Ale teraz... już jej ma do przesyty...

Tobie by, królowko moja, spocząć? spocząć? Zdejmę szaty! zawołamy służebne... Możebyś sobie tu odetchnęła dziś, zasnęła? prawda?

Królowa jeszcze nic nie odrzekła.

W czasie, gdy się to działo w komnacie Jadwigi, w tuż przytykającej komorze, w której siadywała stara ochmistrzyni, słyhać było chód, jakby mężki. Przechadzał się tam ktoś tak, jakby chciał, aby kroki jego głośnie były i uwagę zwróciły.

Przeleknionej Konradowej zabrakło nagle głosu, nastawiła ucha, dała znak swej pani, i, o ile jej wiek dozwalał, pobiegła do swego mieszkania. Lękała się tu ujrzeć niegodziwego Borkowicza, którego zuchwałstwo miary nie miało.

Odetchnęła, gdy drzwi otwierając, postrzegła Kochana Rawę. Czekał on na nią, zbliżył się żywo do jej ucha i rzekł:

— Król bardzo znużony, no i królowej mu żal, bo i ta spoczynku potrzebuje... Dziś... będzie u siebie w komnacie spał...

To rzekłszy, i patrząc na starą, aby wyrozumieć, czy dosłyszała co jej oznajmił — Kochan dodał.

— Trzymajcie to przy sobie...

I wyszedł prędko.

Stara, która oczy miała dobre i nic jej uwagi nie uchodziło, dostrzegła, iż Kochan, który nie dawno wszedł do niej w ubiorze bardzo wykwintnym, jak występował na zamku — teraz miał na sobie suknie i płaszcz, jakby do podróży narzucony.

Zdziwiło ją to trochę.

Z obawy, aby kto inny z drzwi niezaryglowanych nie skorzystał, Konradowa poszła za Rawą i zasunęła je mocno.

Wróciwszy do królowej, zastała ją jeszcze siedzącą w krześle, dumającą, z oczyma w podłogę wlepionemi i zwolna zdejmującą z siebie ciężkie klejnoty.

— Stało się, jak ja chciałam dla gołąbki mojej — poczęła, przybliżając się i sama zdejmując strój z głowy Jadwigi — będziesz miała spoczynek, bo i król znużony wielce. Dali mi znać, że ja tu mojej pani posłać mogę...

Na twarz Jadwigi nieodgadniony wystąpił rumieniec. Konradowa, nawykła do tych częstych płomieni na licu wychowanki, często bardzo blednącej i zaczerwienionej, bez żadnej na pozór przyczyny — niezważała nań.

Usta się jej nie zamykały, a oczy badały niespokojnie panią.

Jadwiga mało się przysłuchiwała paplaniu starej, cała była w sobie długo — potem, gdy ozdoby jej z głowy i szyi zdjęła, gdy suknię ciężką rozpięła, jakby czując się swobodniejszą, zwróciła się do niej.

Miała ściągnięte brwi i wyraz surowy a zagniewany.

— Słuchaj Konradowa — rzekła — tybyś powinna — dopytać tego Borkowicza...

Zatrzymała się na chwilę.

— Tak — powinnaś mu powiedzieć, żeby mi się nie ośmielał ani tak patrzeć na mnie, ani tak poufale cisnąć! Niegodziwy człek... niegodziwy! Nie śmiałam dziś oczów podnieść, żeby natrętnych jego zerkań na mnie, mrugań i uśmiechów nie widzieć!

Stara, trzymająca w ręku naszyjnik, rzuciła go na stół i załamała je, do twarzy przysuwając.

— Patrzcie, co za zuchwalec! — wybąknęła — miłosierny Jezu, co z nim począć! co począć!

Królowa milczała chwilę.

— Poczynajcie sobie z nim, co chcecie — rzekła powoli — wyście go mnie naprowadzali w Głogowie, wy podarki nosili, wy jego sprawę popierali, teraz go sobie weźcie — niech go nie znam... Zły człowiek i głupi.

Z wielką uwagą przysłuchiwała się słowom tym, niespodzianym dla niej, stara — głową potrząsała i oczy wywracała.

— Boże miłosierny! — szeptała — Boże! co za człek! co za człek!

— Ja go już znać nie chcę! — powtórzyła królowa — rób z nim co możesz — a — precz go odegnąć.

Namyślała się chwilę stara, przyklękła przed siedzącą panią, podniosła oczy ku niej i szeptała:

— To miało jeszcze, że on na moją królowę patrzeć śmiał i że się cisnął do niej. Na to by nikt nie zważał... ludzi dosyć, nikomu na piękną panią swą patrzeć nie wzbroniono... Mało tego! Ale co ja powiem gołąbce mojej — włosy wstają na głowie! Nie powiedziałabym była może nic, aby darmo nie trwożyć, ale co ja z nim poradzę?

Królowa podniosła wzrok na nią i oczy wlepiała w wylękłą.

— Mało tego, że tam się cisnął — kończyła Konradowa — ale kiedy ja tu siedziałam sama, sama jedna, bo tu teraz do mnie i stróż nawet nie zajrzał, — na raz... kto wchodzi... Maciek Borkowicz...

— Gdzie? tu? — zapytała królowa.

— Tu, do mojej izby — dodała, wskazując na drzwi palcem stara. Tu — tak mi Boże dopomóż. A z czym przyszedł?... Trzeba go było posłuchać! Powiada — pierścień od niej mam.... Pierwej ona mnie się uśmiechnęła niż królowi, chcę mówić z nią, chce się widzieć sam na sam...

Królowa drgnęła i rzuciła się na krzesło nie spokojna. Nowy rumieniec oblał jej nie tylko twarz, ale białe, obnażone ramiona. Oburzenie wyryło się na twarzyczce.

— Tak! tak — mówiła dalej, tajemniczo się przysuwając, Konradowa. — A nie zechcesz mnie wprowadzić do niej i nie zrobisz co każę — to cię zgubię, wydam, oskarżę. — A nie zechce królowa mówić ze mną, pochwałę się pierścieniem, gotówem na wszystko!!

Łzy płynęły z oczów Jadwigi...

— Patrz, stara — coś ty mnie uczyniła? — szepnęła z wymówką.

— Ja? ja? — zapytała żegnając się Konradowa. — Królowo moja, gołąbko ty moja — przypomnij tylko dobrze? Gdybyś mu się w tańcu po turnieju nie uśmiechnęła, gdy cię za rączkę prowadził, gdybyś z nim nie szeptała i nie śmiała się ochotnie, albowy on ważył się do ciebie przysuwać? albowy mnie prosił, abym ja go do ciebie potajemnie przyprowadzała?

Królowa usta jej białą, silną ręką zamknęła.

— Milczcie — zawołała — milcz już! Gdyby nie ty, nie byłoby tego wszystkiego... Co ja, młoda, wiedziałam, czy źle, czy dobrze czynię? A toć się chwalił, że on księciem wielkopolskim zostanie, że go książę brandeburski prowadzi, że panować będzie i żenić się ze mną! Com ja winna!

Stara głową kiwała tylko.

— Królowo ty moja — rzekła — kto tu ma być winien? Ani ty, ani ja, tylko ten zuchwalec... Niełatwo się babom od takiego człeka wyzwolić... Niełatwo! Boże miłosierny... zna on wszystkie sposoby! zna! — Zły człowiek! ale co ja z nim teraz pocznę sama...

— Rób co chcesz! — powtórzyła królowa...

— Było mu to pierścień dawać przy ostatnim widzeniu — szepnęła stara — albowm i ja to też sprawiła! Ja nie wiedziałam o niczem, aż mi go wychodząc, na palcu ukazał.

— Gwałtem mi go z ręki ściągnął — przerwała przelękła i płacząca Jadwiga. — Nie mogłam krzyczeć — siłą wziął! Wiedział zbój, na co to czynił!

Obie kobiety zamilkły, królowa płakała, stara, czoło, trąc przemyśliwała i stękała.

— Zbój! zbój prawy jest — rzekła. — Teraz z pierścieniem tym na palcu... grozi nam i co zechce uczyni...

Już — mówiła przestankami — zapowiedział mi, że król albo tej nocy, lub następcy z zamku zjedzie...

— Dokąd? — spytała Jadwiga.

— Któż to wie? do swej żydówki może! — dodała Konradowa. — Ale jak on to naprzód mógł wybadać?? Widzicie...

Co ja mu powiem, gdy przyjdzie napastować mnie? Mnie na to rozumu nie stało... Gdybym co chciała mówiła, ani mnie nie posłucha, ni ustąpi. Pierścień ten trzeba wykupić, choćby nie wiem, jaką ceną... Ty, królowo moja, ty go musisz przyjąć i mówić z nim!!

— Ja! nigdy! — zawołała królowa, z krzesła powstając.

— Zgubi nas — szepnęła stara — nie ulituje się...

Pomilczała trochę i dodała.

— Królowej on nic odmówić nie będzie śmiały, pierścień odda. A póki go ma... dla nas pokoju nie będzie... Tak! tak, królowo moja...

Jadwiga, nie mówiąc nic, rzuciła głowę.

— Widzieć go nie chcę, znać nie chcę, czyni co wiesz i jak umiesz... Pierścień mi on gwałtem zdarł — a wiesz jaki on był? wiesz, że ten jest, co mi go król pierwszy na zrękwiny przysłał?

Konradowa krzyknęła...

— Zgubi nas... moja głowa na karku niepewna... Tobie, królowej nie stanie się nic, sromać się będą obwinąć, głosić nie będą śmieli, a mnie... stryżek na szyję...

To mówiąc, Konradowa rzuciła się twarzą na podłogę i szlochała. Królowa padłszy na siedzenie znowu, siedziała w niem, jak martwa.

Długi dość czas upłynął, nim stara do siebie przysła i ocuciła się nieco. Wspierając się na rękach, podniosła z wolna z ziemi i z twarzą zmienioną zbliżyła się do swej pani.

— Posłuchajcie mnie — zaczęła — posłuchajcie... My się go nie pozbedziemy inaczej. — Niech już przyjdzie, wyjdziecie doń do izby mojej na chwilę, każecie pierścień oddać, będzie musiał... Ja od progu nie odejdę... Obawiać się go nie masz czego...

Przyrzeczysz mu łaskę swoją... a więcej go potem na oczy nie puścim... Ale pierścień zdarty z ręki oddać musi...

Mnie on go nie da... Zły człek jest! Kto wie, co sobie myśli, i jaką cenę na niego nałoży...

Ostatnie słowo cicho szepnęła Konradowa i spojrzała na królowę, która się wzdrygała oburzona. Nie odpowiadała nic z początku, potem z zaciśniętych ust dobyło się.

— Nie chcę go widzieć! Czyni co chcesz! nie mogę. Zgubiłaś mnie ty... ty...

I płakać zaczęła królowa.

Służebne jej, w trzeciej izbie napróżno oczekując, aby je ochmistrzyni zawołała — szeptaniem półgłosem i śmieszkami zwróciły na siebie królowej uwagę, dała znać starej, aby je zawołała.

Konradowa ręce załamała przed nią.

— Co mu powiem? — chwytając ręce, które całować chciała, rzekła cicho. — Ja się go nie zbędę jutro... Czatować będzie na mnie...

— Ani mi się waź go tu puścić! — odparła Jadwiga... — Rychlejby mnie to zgubiło niż ten pierścień nieszczęsny... Widzieć go nie mogę i nie chcę.

Stara niespodziany opór znalazłszy w swej wychowanicy, której poznać nie mogła teraz, wstrzymała się już od nalegania. Zawołała służebne i sama im przodując, z nadzwyczajną troskliwością przystąpiła do rozbierania z szat reszty, do przygotowania łoża pani.

Wszystkie te starania Jadwiga przyjmowała z obojętnością, nie odzywając się ani do niej, ani do służebnych, dając bezwładnie czynić z sobą co chciały i spiesząc do swego łoża.

Konradowa wszystko w komnacie rozporządziwszy, dziewczęta, które przy królowej czuwać miały, wyznaczony — sama jeszcze poduszki układając, poszeptala coś i wyszła.

Rachowała na to, iż co się jej pierwszego dnia nie powiodło, później naleganiami i namowami na dość posłusznej dotąd pani — wyrobi.

Zmienioną ją znajdowała — i to tylko przestraszało. Spoważniało pod koroną młode dziewczę, siła się w niej znalazła, której nie było wprzód.

Nazajutrz rano, choć nie tak zawczasu, jak dni pierwszych, gody się rozpoczęły na nowo.

Do dziesięciu dni najmniej ciągnąć się one musiały, i ugaszczanie tych, którzy dłużej pozostali. Król rano się ukazał, jak gdyby z zamku nie oddalał się wcale, a na twarzy jego wszyscy postrzegli zmianę, jakby wypoczął i orzeźwił.

Gotowano się dnia tego do nowego turnieju. Rycerzy przybyło kilku, którzy radzi się popisywać chcieli ze zręcznością swoją. Król zdawał się zajmować tem wielce — i szczyty ich wystawione oglądał. Królowa później niż zwykle wyjść chciała. Posłano z oznajmieniem, zgodził się na to Kaźmirz.

Jak dni poprzedzających, Borkowicz w szrankach do gonitw przygotowanych krzątał się, kręcił, gospodarzyć usiłował i starał zwracać na siebie wszystkich oczy.

Król tylko pomijał go, i nie dawał się niczem ze swej obojętności dla starosty wprowadzić. Zły to był znak dla niego, lecz zuchwały człek wcale się nie zdawał czuć, iż zagrożonym był niełaską.

Nie odejmowało mu to pewności i śmiałości, z jaką występował.

Ku południowi już wszyscy byli u zastawionych stołów, a stara Konradowa w swej izbie, postępując, przechadzała się, gdy wcale niespodzianie, wypatrzywszy porę i rachując, iż ją samą zastanie — wpadł do niej znowu zuchwały Borkowicz.

W biały dzień przychodził, nie kryjąc się wcale z sobą.

Konradowa z początku osłupiała, lecz strach zaraz przemogła.

— Mówiliście z królową? — zagadnął wprost Borkowicz.

— Kiedy? jak? mówić miałam? — kwaśno odpowiedziała stara.

— Jak? kiedy? Przecie królowa w swojej komnacie nocowała, a wy byliście przy niej? — rzekł Borkowicz.

Kłamstwem zbyć się go nie było sposobu.

— Nie mówiłam z nią, bo mi na pierwsze słowo usta zamknęła i słuchać nie chciała... — zamruczała Konradowa, w którą starosta wpatrywał się pilno, badając oczyma poszlaki kłamstwa. W istocie, była mówiąc tak zmieszana, że ją o nie posądzić mógł Borkowicz.

— Słuchać nie chciała! — powtórzył, — a! a! królowa słuchać już nie chciała!! Chybaście jej nie powiedzieli, że ja — widzieć się z nią muszę!!

Ochmistrzyńni, nie odpowiadając mu, nadąsana, składała na stole rozrzucone niewieście przybory. Starosta czas krótki stał, czekając na to, co mu powie, aż zmęczony milczeniem pogardliwym wybuchnął.

— Myślicie mnie odprawić, jak natrętnego żebraka? co?.. Alem ja tu nie prosić przyszedł, a domagać się...

W Konradowej resztką strachu walczyła z gniewem, który rozpaczliwe położenie wzbudziło. Co miała począć?

Maciek każdy ruch jej śledził, patrzył i burczał coś cicho.

— Słyszeliście? — zawołał.

— A wy? słyszeliście? — odparła zwracając się ku niemu z twarzą zaognioną stara.

— Myślicie, że na tem koniec? — rozśmiał się Borkowicz.

— Sądźcie, że się was kto boi? — poczęła ochmistrzyni. — Królowa powiada, żeście jej ten wasz sławny pierścień gwałtem z palca zdarli.

— Gwałtem? a gdyby i tak było!? — krzyknął Borkowicz, — toć przecie nie wołała, gdym gwałt jej czynił, i była ze mną tam, gdzie jej nikt na pomoc przyjść nie mógł! He? Rozumiecie, co to znaczy?.. Samaby się potępiła, przyznając do tego. A pociście mnie puszczali tam, gdzie ja mógłbym pierścienie z palca zdejmować?..

I śmiać się począł głosem dzikim. Stara ochmistrzyni zdrętwiała. To, co mówił, w istocie strachem nabawić mogło. Konradowa nierychło znalazła w głowie odpowiedź.

— Cóż myślicie? — zawołała — królowę oskarżyć, aby ją zniesławić? Jej się nie stanie nic, bo ją obraniać muszą, a wy głowę dacie...

Borkowicz groźnie zmarszczony, zawołał pięść podnosząc.

— Ja swojej głowy wiem jak bronić, o to się wy nie frasujcie. Patrzcieo siebie.

Ochmistrzyni pozbyć się go chcąc, znowu składać zaczęła rąbki i zwijać wstęgi. Chwilę postać starosta, oczekując.

— Jeszcze raz powiadam wam, — ozwał się wreszcie, — królowę namówcie, aby mi tu do siebie dozwoliła przyjść na rozmowę, inaczej, źle będzie... Na czyją to głowę spadnie — zobaczycie!!

Zatrzasnął drzwiami i wyszedł. Konradowa pozostała zdrętwiała, z rękami na stole, ruszyć się nie mogąc.

Do rozmyślenia reszta dnia jej zostawała do wieczora. Tymczasem starosta do izb powrócił, w których po turnieju goście się zabawiać mieli.

Młoda królowa rozdawała tego dnia nagrody, lecz żadna z nich Borkowiczowi nie przypadła, bo go dwa razy z konia obalono. Tem zuchwalszym był i gniewniejszym jeszcze.

Szukał tylko środka, jakby się do królowej mógł zbliżyć.

Niełatwem to było. U stołu oboje państwo razem siedzieli. Dopiero gdy się tańce rozpoczęły, od których się młoda pani wymówiła znużeniem, starosta krążyć począł, wypatrując chwili sposobnej, aby za jej siedzeniem mógł stanąć. Król znajdował się daleko, zajęty rozmową. Przy Jadwidze kręciły się tylko starsze panie, dworując jej. Zabawiały ją opowiadaniem różnemi, na które ona ledwie się uważać zdawała, siedząc ze spuszczonemi oczyma.

Starosta wkradł się zręcznie po za krzesło i w chwili, gdy muzyka głużyła szczebiotanie pań starszych, które przerwać je musiały — do ucha prawie młodej pani szepnął.

— Pomnijcie pierścień, a tego, który go wziął od was, nie odprawiajcie tak sromotnie — bo się on odegnąć nie da!!

Ledwie słów tych dokończywszy, nie czekając odpowiedzi, Borkowicz posunął się dalej. Królowa drgnęła, podniosła głowę, oburzona zuchwalstwem, lecz po za siedzeniem jej już nikogo nie było. Nikt też pono nie dostrzegł starosty, gdy się w tłumie przesuwiał.

Wprędce potem stanął już zdala naprzeciw królowej, zuchwale w nią oczy wlepił, i naumyślnie dumną swą postawą nastroczał się jej, aby okazać, jak mało się obawiał.

Jak dnia poprzedzającego, król dał znać żonie, iż u siebie pozostanie, tak tego dnia ona posłała jedną ze swych pań do Kochana, aby oznajmił panu, iż prosi go, by mogła spocząć w swej komnacie.

Dał zaraz po cichu odpowiedź Kochan, iż król się zgodził na to.

Zawczasu się każąc prowadzić, królowa Jadwiga przeszła do sypialni, i odprawivszy sługi, Konradowę zawołać kazała.

Ze związaną głową, stękając, przywlokła się stara.

Nie było już w komnacie nikogo. Na twarzy młodej pani gniew był łatwy do poznania.

— Mówiłaś ze starostą? — zapytała porywczco. — Chceli, abym się ja pierwsza poskarżyła nań królowi!!

Konradowa rękami naprzód machając w powietrzu odpowiadać zaczęła.

— Co z tym nicponiem mówić! — jęknęła — czy do ściany czy do tego człeka, wszystko jedno... On się nikogo nie boi, a wszystkim grozi, pies nie człek...

Z natężoną uwagą słuchała Jadwiga — a gdy stara dokończyła, zakryła sobie oczy chustką — płakała.

— Gołąbko ty moja, królowko ty moja! — przymilając się zaczęła Konradowa po cichu. — Ja cały dzień myślałam tylko nad tem, aż mi głowa pęka od bólu. Z tym

człowiekiem inaczej nie można, tylko trzeba go ugłaskać. Dziki zwierz jest, gotow na wszystko...

Po krótkim milczeniu dodała ciszej jeszcze.

— Pozwólcie, żeby do mojej izby przyszedł na oka mgnienie, przetworzywszy tylko drzwi, pokażecie mu się... zgromicie... Pójdzie potem precz.

Spojrzała na królową i szepnęła

— Albo mu dacie dobre słówko... Takich ludzi czasem można słówkiem ugłaskać. Ugłaskacie go... Obiecać można wszystko, albo to człek dotrzymać w sile, co przyrzecze?

Kiwnęła głową.

Królowa milczała i płakała. Nastąpiła cisza, przerywana łkaniem tylko.

Konradowa z wolna zdejmowała z królowej ubranie. Wiedziała już, nie odbierając odpowiadzi, że pani była na wpół złamaną i przekonaną.

Szeptala ciągle jedno, kręcąc się koło niej i słuchając, co z ust jej wyjdzie.

— Rób co chcesz — zamruczała płacząca — ja o niczem wiedzieć nie mogę... Rób co chcesz... — Nie mogę.

Starej tego tylko było potrzeba. Żywiej teraz układała do snu wychowanicę i spieszno się jej było oddalić. Miała czem, jak się jej zdawało, pozbyć się Borkowicza.

Była pewną, że dla królowej powolnym być musi.

Wieczór spóźniony już dnia tego nie dozwalał się spodziewać starosty, lecz nazajutrz przeczuwała go Konradowa.

W istocie Borkowicz krążył ciągle po podwórcach, podglądając, kiedy się wsunąć może. Czasu uczt, gdy u stołów byli wszyscy, wszedł do komnaty. Konradowa siedziała za stołem spokojna.

— A co? — odezwała się pierwsza do niego — znowu wy na mnie przychodzicie z gniewami, ze strachem i prośbami?

Nie bądźcie no takim srogim, a może lepiej na tem wyjdziecie!

Borkowicz do stołu się przysunął.

— Chcesz podarku? — dam! — rzekł bystro patrząc.

Na ofiarę Konradowa nie odparła nic — co znaczyło, że ją przyjąć była gotową — rzekła tylko.

— Możebym wyprosiła co u królowej... ale ani ona, ani ja dla strachu nie zrobi nic.

Potrząsała głową.

Borkowicz mruczając, do sakwy pod suknią sięgnął i garść dobytých pieniędzy milcząc starej podsunął, która je żywo chustą nakryła.

Siadł przy niej na ławie — cicha rozpoczęła się umowa, jak za dobrych czasów. Borkowiczowi ta zmiana nagle dawała do myślenia, że go oszukują może, zyskać chcąc na czasie i knując zdradę jakąś — lecz, Konradowa zdawała się z dobrą wiarą i wielką troskliwością obmyślać spotkania z królową.

Postanowione tedy zostało, iż Borkowicz, nie budząc podejrzeń i nie kręcąc się nadaremnie, miał tylko wyglądać dnia, gdy mu w oknie Konradowa czerwoną chustę na znak wywiesi. Tego wieczora miał przyjść do niej. Obiecywała mu, że królową zobaczy. Dzień ten nie miał być dalekim, i nimby się wesele dokończyło Maciek obietnicę spotkania się otrzymał — bo później, trudniej było oczów ludzi unikać.

Z tem on odszedł.

Następnych dni próżno do okien zaglądał, czerwonej chusty w nich nie było, aż czwartego, gdy już gniewny chciał iść do starej, ową zasłonkę zobaczyć.

Na wieczór król z łowów z gośćmi swymi, księżęty, nie miał powrócić. — Borkowicz od myślistwa tego wymówił się koniem chorym, został w mieście i na zamku. Zaledwie zmierzchno, gdy już czatował w podwórku.

Pachole, które miał z sobą, postawione na straży w sali, dało mu znać, gdy królowa z nich wysłała do swych komnat. Mało co poczekawszy, Borkowicz wbiegł do Konradowej.

Czekać się na niego zdawała, i położyła palec na ustach zobaczywszy.

— Cicho tu stój! — rzekła, wstając i podchodząc ku drzwiom królowej.

Przyłożyła do nich ucha, zapukała ostrożnie. Borkowicz tymczasem, cicho stąpając za nią, przysunął się ku drzwiom.

Otwarły się one powoli. Błada i pomięszana stała w nich królowa Jadwiga — nie mogąc wymówić słowa, Borkowicz śmiał się do niej.

Pomiędzy niemi skurczona w pośrodku trzymała się Konradowa. Starosta ujął ją w pól i odepchnął, a sam, nie zważając na przestrach królowej, zuchwale się wparł na próg ku niej, i za cofającą się wkroczył do sypialni, drzwi zamykając za sobą.

Konradowa padła z razu na ziemię, lecz natychmiast się podniosła, oburącz porwała drzwi i gwałtem je rozwarła.

Królowa w głębi izby uchodząc od napastnika, stała oparta o ścianę. Borkowicz w pól komnaty się strzymał i mówił coś żywo.

Rozmowa ta, której Konradowa dosłyszeć nie mogła, trwała bardzo krótko — na dany jakiś znak, starosta krokiem wolnym, parę razy jeszcze się zwracając i mruczając coś — wyszedł.

W pierwszej izbie nie zatrzymał się nawet, kołpak na głowę nacisnął i — wysliznął się po cichu.

Z czem i jak odchodził, z gniewem czy ułagodzony, nie mogła ani zgadnąć, ani dopytać stara, gdyż królowa rzuciła się z twarzą zakrytą na łożo swe i mówić nie chciała.

Zdawało się przecież ochmistrzyń, że wszystko być musiało skończone — oddychała swobodniej.

Borkowicz ani następnego dnia, ani później się już tu nie pokazał, chociaż stara wiedziała, że jeszcze był na zamku.

Nowy gość za to nazajutrz po bytności starosty przyszedł wieczorem. Był to Kochan, podkomorzy, który nic dnia tego do rozkazania, ani oznajmienia nie miał, lecz, jakby dla bliższego poznajomienia się przybywał.

Stara musiała go przyjąć z poszanowaniem, lecz drżąc ze strachu, gdyż czuła iż podglądać musiał, rozpytywać chciał. A kto był, i jak swemu panu służył — wiedziała.

Stawił się on bardzo przyjacielsko, przynosząc rady różne, nauczając starą obyczajów królewskich, rozpytując o młodą królowę, ostrzegając co czynić i jak postępować miała.

Niedowierzająca mu Konradowa, znajdowała się bardzo ostrożnie, milcząco.

Kochan miał tu rachubę, której ona odgadnąć nie mogła.

Chciał króla od Estery dumnej a nieprzystępnej oderwać — do młodej królowej przybliżyć.

Służąc jej, spodziewał się może pewien wpływ pozyskać, a przynajmniej lepiej być widzianym, niż u żydówki, która go milczeniem zbywała — zbliżać się do siebie nie dając poufale.

W rozmowie z Konradową Kochan wspomniał i Borkowicza, opowiadając o nim, iż próżno się o łaskę starał u króla... Spytał, czy prawdą było co mówiono, że na dworze szląskim księżniczką znał Jadwigę i miał u niej łaskę.

Słyszając to pytanie, stara ze strachu pobladła i nie prędko wyjąknęła odpowiedź.

Z gorliwością wielką zaczęła się zaklinać, iż wszystko, co mówiono, kłamstwem było tylko i potwarzą — że Borkowicz, jak inni, na turnieje i zabawy do Głogowa i Żegania jeździł — ale przystępu do księżniczki nie mógł mieć nigdy.

Śmiał się z tych baśni Kochan z nią razem, i tak, rozstali się ze starą w dobrej zgodzie, obiecując sobie trwać w niej i nadal.

Wielkopolska naówczas, w skutek zabiegów Maćka Borkowicza, na dwa się obozy dzieliła, z tych jeden trzymał z panem na Kozminie, drugi się skupiał przy wuju jego starym, wojewodzie Beńku. Łączyło ich pokrewieństwo, lecz z dawna dzieliły różnice usposobień i charakterów.

Maciek był zarazem zuchwały i przebiegły, chciwy władzy i majątności, a na środki, jakimi szedł do celu, nie zważał i nie patrzył. Zbroiwszy co, popelnivszy gwałt jawny, aby się nie narażać duchowieństwu, opłacał się fundacjami i pieniędzmi; w sumieniu nie miał zgryzot żadnych. Namiętność panowała nad nim.

Raz sobie nabivszy tem głowę, że w Wielkopolsce rządzić będzie, i oderwie ją od Korony, a podda brandenburgom lub cesarstwu, sam hołdownikiem jego zostając, dążył ku temu nieustannie, przysposabiał się do buntu, rachował może na bezdzietność Kaźmirza, na chwilę bezkrólewia, nimby Ludwik przyszedł do korony.

Rachuby jego były niezbyt opatrzone, nadto śmiałe, wiele przeciwnych okoliczności lekcewał sobie i pomijał, lecz miał taką ufność w siebie, iż na chwilę nie zwątpił, że celu dopnie.

Gra ta, która zdaleka tlómaczyć się dawała, nie była ani tak widoczną, ani tak zrozumiałą, by go oskarżyć można i dowieść zdrady; chociaż z blizka w samej Wielkopolsce dla bystrych oczów stawała się dotykana.

Szlachty znaczna część skupiała się przy Maćku, wiązała z nim, słuchała go i ślepo mu wierzyła. Ujmował ją różnemi sposobami — a że nie przed wszystkimi taił, iż mu o utrzymanie odrębności ziem wielkopolskich chodziło — tu i owdzie wygadywano się z tem, co było zamierzone.

Beńko, mąż już w latach, lecz jeszcze silen umysłem i ciałem, wierny królowi, zamilowany w pokoju, nieprzyjaciel wszystkiego, co go zakłócić mogło, wręcz był przeciwny całemu temu ruchowi. Widział on jasno, co się przysposabiało. Maciek w samych początkach niezupełnie się zdradzając przed nim, starał się ująć go sobie przez ciotkę swą a żonę Beńka, niewiastę rozmiłowaną w siostrzeńcu i popierającą jego sprawę. Beńko, który się nie dawał złudzić, mimo przywiązania i powolności dla żony, słuchać jej nie chciał i wręcz odpowiedział, że zdrady nie dopuści i wszelkimi siłami sprzeciwić się jej będzie.

Maciek, który dawniej częstym był gościem u wuja, po kilkakrotnem żywym z nim starciu, przestał jeździć do niego i zerwał wszelkie stosunki.

Beńko w głos i jawnie mówił, iż Maćkowi nie dozwoli knuć na szkodę Wielkopolski spisków z brandenburgami i rozpasywać się w kraju. Donoszono o tem Borkowiczowi, który szydersko słuchał, głową kręcił, brodę tarł i cmokał.

Stosunki coraz się pogarszały.

Nieprzyjaciele Maćka otaczali wojewodę, ci, którym Beńko nie był miłym, szli z Borkowiczem.

Doniesienia do Krakowa o zamiarach jego płynęły od wojewody, wiedział on o tem. Po cichu odgrażać się na siebie wzajem poczęto. Porwać się jednak na Beńka nie było tak łatwo.

Pokrewieństwo hamowała potroszę, a więcej obawa siły, jaką miał wojewoda. Co było ludzi poważnych, statecznych, niewiedzionych obietnicami Borkowicza, stało u jego boku.

Beńko, pan ziem rozległych, które trzymał między Poznaniem a Gnieznem, miał też dobra w Kaliskiem; mieszkał jednak zwykle w dworcu swoim w Poznaniu. Tu, w mieście, wpływ jego przeważał, gdy na prowincji Borkowicz liczbą swych sprzymierzeńców był groźniejszy. Beńki przyjaciele należeli do najznacześniejszych właścicieli ziemi; Maćka do najuboższych ziemian, ale do najruchawszych, najzuchwalszych i rozrodzonych a skoli-gaconych szeroko. Wojewoda rachował na siłę swoich, Maciek na zuchwalstwo drobnych panoszków i rycerstwa ubogiego.

Do tego podziału na obozy przyczyniały się i dawne zająścia pomiędzy rodzinami, które z sobą walczyły o wpływ w różnych częściach Wielkopolski. — Jedni więc garnęli się do Borkowicza, a to starczyło, by drudzy przechodzili do wojewody.

Widzieliśmy sposób życia Borkowicza, który obozował ciągle, z miejsca się na miejsce przenosił, siadywał to w jednym to w drugim z licznych swoich dworów. Pomagało mu to do zyskiwania nowych stronników, a gdzie ich miał zyskać jeszcze, tam ciągnął, rozsiadał się, otwierał wrota, zapraszał i jedną czem i jak się udało.

Całe inaczej nawykł był życie wieść wojewoda Beńko. Nie ruszał się on chętnie z miejsca, nietyle może dla wieku, co z nawyknięcia.

Dwór wojewodziński w Poznaniu, nader gościnny, roił się prawie ciągle przybyłymi — obyczaj tu był staropolski, nie wykwinne przyjęcie lecz obfite i pańskie. Stoły u niego zastawne były po dniach całych, wielu ziemian z końmi i dworami zajeżdżali do niego, stawali i tygodniami siadywali. Dworzec stary, obszerny Beńka, był niepozorny, lecz wygodny i we wszystko zasposobiony.

Spichrze przy nim, do których zapasy ze wsi zwożono, stały pełne zboża, siana i mąki, zwierzyny i wszystkiego, czego życie potrzebowało. — Osobny browar piwo warzył na potrzebę wojewody, wielkie łaźnie dla panów i czeladzi, stajnie na paręset koni, mieściły się w podwórcach, do głównego przylegających. Dwór Beńka był liczny i niemal

po książęcemu urządzony — miał komorników, podkomorznych, podczaszego, łowczego a gawiedź, której sam nie znał, była mnogą, i często się jeszcze pomnażającą. — Książd kapelan, który zarazem pełnił obowiązki lektora i kanclerza, towarzyszył zawsze i wszędzie wojewodzie.

Beńko bezdzielnym był, bo syna już dorosłego stracił przed kilku latami na łowach, niewiedomo jak i przez kogo postrzelonego. Poszlaki pewne były, że Maciek Borkowicz śmierci tej nie był obcym, i że z jego namowy zbrodnia ta popełnioną została. Nie miano dosyć dowodów, aby go obwinić, było ich jednak tyle, że go podejrzewać o to miał prawo. Rachować się zdawał Maciek na to, iż ciotka, a żona wojewody, niewiasta zaślepiona i krótkowidząca, nakłoni go do przekazania mu spadku po sobie. W tem się omylił Borkowicz, gdyż wojewoda, powziąwszy podejrzenie i zniechęciwszy siostrzana, ani chciał o tem słuchać. Miał sobie przysposobić dalekiego krewniaka — na co od króla zyskał pozwolenie.

Borkowicza przeciwko wujowi rozdrażniło to więcej jeszcze.

Beńko liczył lat już pod siedemdziesiąt, starym się mógł zwać liczbą ich, ale postawą tego nie zdradzał. Słusznego wzrostu, dobrze zbudowany, zahartowany zawczasu, ciągle czynny, choć nieco ostatnimi czasy zleniwił, gdy potrzeba było i konia dosiadał i w gołym polu nocować był gotów, i żadnego się nie uląkł trudu. Ociężał tylko trochę dla tego, iż do czynienia nie miał wiele.

Za to około niego ruch zawsze był znaczny. Rozporządzenie ówczesnego żywota, obyczaj wieku, inne były niż dzisiejsze. Wstawali wszyscy rano, ze dniem lub przed świtem nawet.

Wojewoda, że pobożnym był i dwór mieć chciał sobie podobnym, rozpoczynał dzień od mszy świętej, albo w pobliskim kościele, lub w kapliczce przy dworze wystawionej, która, choć małą była, wychodziła drzwiami na podsienia, a w tych służba się cała czasu nabożeństwa ustawić mogła.

Po mszy zaraz obiad następował w wielkiej izbie, do którego wojewoda i żona jego zasiadali, goście i służba co przedniejsza.

Poczynano już naówczas kuchnię prostą dawniejszą drogiemi korzennemi przyprawami osmaczać; wojewoda mało o to dbał, lecz za to nikomu nigdy u niego nie zabrakło obfitej i pożywej stawy, kaszy, mleczywa, ryb i mięsa. Misy na niewielu wydzielane były, aby do syta najeść się mógł każdy i czeladź jeszcze pożywiła. Piwa dawano ile kto chciał, wino tylko w świętki, i to przedniejszym. Zastępowały je miody stare i młodsze...

Przy obiedzie wojewoda gwarzyć lubił, więc mu kto mógł przynosił nowiny, aby przedmiotu do rozprawiania i podbudzenia wesołej myśli nie zabrakło.

Zasiadała do stołu sama pani też, a często i niewiast kilka. Kapelan rozpoczynał błogosławieństwem, kończył dziękczynną modlitwą.

Pomimo powagi swej i dostojęstwa, wojewoda poufałym z ludźmi być lubił, w rozmowie swobodę im dawał i do niej zachęcał, pośmiać się nie wzdragał. Wiek w nim, jak u wielu innych ludzi, tem się znamionował, iż go wielomówniejszym uczynił. Rad słuchał, rad rozprawał, a często i do zbytku rzeczy na wszystkie strony obracał, nie będąc skorym do czynu.

Puszczął się w długie wywody, a że go słuchano chętnie, mówić lubił. Miano go też za wymownego, ludzie mu się dziwili i on sam znał to do siebie.

Obiad zwykle rozmową się przeciągał, a wojewoda, choć nie pijał wiele, że jadł dosyć i pragnienie miewał, cienkiego piwa po jedzeniu zażywał dużo. Nie zamącało mu to głowy, a czasu zabierało wiele. Po dziękczynnej modlitwie, kto chciał, wstawał i szedł, inni otaczając wojewodę, z nim dosiadali i godzin kilka u stołu trawili.

Była to godzina też, w której po obiedzie stary Beńko psy pozostałymi kośćmi i ułami chleba zwykł był karmić. Wpuszczano je do izby, obsiadały stół i ławy, a Beńko głaskał je, gadał do nich i różne historie myśliwskie opowiadać lubił.

Trafiało się, że ktoś ze wsi nadjechał, lub nadszedł z miasta, siadał więc też za stół, częstowano go miodem i nierychło się wojewoda z siedzenia ruszył.

Były li jakie sprawy do załatwienia w cztery oczy — naówczas szedł do swej komory — nie, zostawał w wielkiej izbie, lub przechadzał się, do stajen zaglądając, konie każąc sobie wyprowadzać, przypatrując się młodzieży dworskiej, która do celów z łuku, z kuszy strzelała, i oszczepami ciskała.

Często do wieczora i wieczerzy tak przetrwał w podwórcach, gdy z duchownych kto nie nadszedł, lub ze znaczniejszych ziemian nie przyjechał.

Niekiedy wyjeżdżał na łowy, do biskupa, w odwiedziny w sąsiedztwo. Lubił naówczas Beńko, choć bez wielkiego przepychu, występować gromadnie i nie obeszło się naówczas bez orszaku, dworu, bez towarzyszków.

Wieczorem jadano po raz wtóry, tak samo, jak rano, i zasiadywano u stołów często do późna.

W święta i niedziele liczba przybywających zwiększała się jeszcze, a że gwar około siebie wojewoda lubił, rad im był bardzo.

Z różnych stron nietylko Wielkopolski, ale z Kaliskiego, ze Szlązka, z Mazowsza napływali tu ziemianie ze sprawami i bez spraw. Do Beńka, dla jego dobroci, sprawiedliwości i miłościwego obchodzenia się z ludźmi, przywiązać się łatwo było. Jedną sobie, a kto raz doń przyszedł, ten trwał pewnie do końca.

We dworze więc jego skupiały się z różnych stron raz wraz przynoszone wieści. Wiedział Beńko, co się gdzie działo, i choć do wypatrywania cudzych czynności osobnych ludzi nie trzymał, przyjaciele mu nowin wszelkich dostarczali. Od czasu, gdy z Borkowiczem zerwał, szczególnie o nim i jego krokach wojewodzie donoszono pilno, wiedząc, że się na siostrzeńca odgrażał.

Nie ruszył się krokiem Maciek, by Beńko nie został uwiadomiony. Co czynił, co mówił, z czem się wygadał nieostrożnie, natychmiast się odbiło we dworze wojewody.

Sama jejmość, która zawsze jeszcze słabość pewną zachowała dla siostrzana, często się go bronić starała — choć nieśmiało, ale to wcale nie pomagało. Wojewoda miał już to przekonanie, na pewnych oparte dowodach, iż Maciek zamierzał zdradę. — Czekał tylko nierozważnego kroku, aby przeciw niemu wystąpić.

— Patrzeć nie będę — mówił — aż mi rozkaz dadzą z Krakowa. Byle poszlak pewny, pochwyć go każę i zamknę... Niech się sprawa wytoczy.

Miał swoich zauszników Borkowicz, a ci mu też zaraz donosili — co wojewoda mówił i co zamierzał.

Maciek zły był, ale śmiał się pogardliwie.

— Nim stary zbierze się na mnie, ja sobie z nim dam rady. Trzy dni potrzebuje gadać, nim za kord chwyci, a ja milczkiem go wezmę...

Na wesele królewskie Beńko, choć i chciał, i powinien był jechać do Krakowa — nie mógł. Prawa noga, którą miał niegdyś zranioną, jątrzyć się na nowo zaczęła, blizny pootwierały i leczyć się musiał. Okładano mu je i goić się zaczynały znowu, lecz na koń sięść było trudno, a na wozie jeździć nie lubił wojewoda, powiadając, że tylko babom z dziećmi to przystało, i siano niemi wozić godziło się.

Został więc w Poznaniu, a gdy powracać zaczęli ci, co na gody jeździli, przynoszono mu co dzień prawie opowiadania szczegółowe o tem, co się i jak działo.

Szczególniej ciekawym był Beńko, co tam porabiać będzie Maciek, który na przekorę mu jechał, i umyślnie starał się wszystkich oczy obrócić na siebie.

Zuchwalstwo to, gdy zdrada, jaką knuł, dla Beńka oczewistą się zdawała, oburzało go i podniecało. Sam brzydząc się fałszem, znieść tego nie mógł, iż siostrzan króla oszukiwać się starał.

Wiedział o jego dawnych z księżniczką Jadwigą, a terazniejszą królową, stosunkach — więc i to budziło w nim niepokój, a podniecało ciekawość.

Jednym z pierwszych, którzy powrócili z długiego wesela był Wierzbęta, a z tym wojewoda dawną trzymał przyjaźń i był go pewnym. Wnet też posłał do niego z prośbą, aby kalekę — jak się wyrażał, nawiedził.

Przybył Wierzbęta, który, że na dworze pańskim stosunki miał, oko bystre, słuch czujny, wiele się od niego spodziewał dowiedzieć wojewoda. Zamknęli się we dwu w komorze, bo pan domu jeszcze nogę musiał trzymać wyciągniętą na ławie.

Wierzbęta który do czasu starał się bronić Maćka i nie dowierzał, by miał być tak niebezpiecznym, wracał z Krakowa zakłopotany i niespokojny.

Nie taił się z tem przed Beńkiem, iż i on teraz w podejrzeniu miał go, z powodu obejścia się na weselu, różnych nieostrożnych jego wygadywań i zabiegów, jakie czynił miał dla odnowienia blizkich z królową stosunków.

Zkąd o tem Wierzbęta był uwiadomiony, nie mówił, ale zaręczał, iż Borkowicz, czasu wesela nie stracił dnia jednego, i bardzo podejrzone przedsiębrał kroki.

Wojewoda uwierzył święcie doniesieniu.

— Łotr ten na wszystko gotów! — zawołał — pilne oko nań mieć potrzeba... Wsłiznie się gdy będzie mógł, jak żmija i do komnat królewskich, i do łożnicy, byle na tem co zyskał.

Zafrasował się Beńko tem więcej wieścią tą, iż Wierzbęta mu wyznał, że ona tajemnicą była dla wszystkich, a on sam tylko wypadkiem osobliwym wpadł na tropy.

Natychmiast z rozmowy tej wojewoda wyciągnął wniosek, do którego dawno szukał tylko powodu — że Maćka należało wziąć i sprawę mu o zdradę wytoczyć. Stosunków jego z Brandeburgami dowody były niezbite. Zbliżania się do młodej królowej, zdaniem jego, nie należało dopuścić i co rychlej mu zapobiedz.

Wierzbęta nie radził pośpiechu, ale był za pilnym nadzorem. Poczęli tedy rozprawiać o tem.

Beńko, mówiąc o siostrzeńcu, rozgorączkowanywał się straszliwie i stał przy swoim.

— Gotówem na moją szyję wziąć tę sprawę, zawołał. — Przekonanie mam, dowody dla mnie starczą, że ten warchoł licha nam nawarzy; po co czekać? Zobaczycie, że gdy go wezmę i zamknę, ludzie, co się go dziś boją i milczą, ockną się i dopiero opowiedzą co knuł, aby się ocalili sami.

Mówiąc to, wojewoda w piersi się bił i miotał, aż chorą nogę uraził i z bólu syknął.

Wierzbęta widząc, że go nie potrafi ułagodzić a nawet zwlec postanowienia, nie sprzeciwiał się już, wołę mu zostawując, dodał tylko.

— Chociażbyście niezmiennie postanowili z Borkowiczem w ten sposób skończyć, nie przyjdzie to łatwo... Człek przebiegły, ostrożny, otoczony zawsze zuchwałymi jak sam, wziąć się tak gołą ręką nie da — potrzeba więc dobrze pomyśleć, aby zamiast ująć i zabezpieczyć się, nie pchnąć go do jakiego szaleństwa, gdy się dowie że, na niego już czyhają.

Wojewoda wszystkich tych przestróg słuchać niechciał; trwał przy swoim.

— Jeżeli dłużej swobodnie chodzić będzie, a ubezpieczy się, kto wie, co uczynić gotów! — wołał zaspany i gniewny. Wszystkoby było niczem, ale powiadacie, że na królowę godzi; gotów naszemu panu srom jaki uczynić. Śmiałek jest, kłamca jest i nie poszanuje niczego.

Zresztą, mój miły — dodał Beńko, biorąc go, widzi mi się łaskę mu czynię; łeb może ocale, inaczej popełni w zaciętości takiego coś, za co go na gardle karać przyjdzie...

— Wojewodo kochany — odparł Wierzbęta — czyn jako chcesz, masz doświadczenie, masz moc — ale na miłego Boga, ostrożnie potrzeba, bo ten człek i szpiegów swych wszędzie ma... i, uchwaj Boże, wiatr go o tem zawczasu doleci — to się bez krwi rozlewu nie obejdzie.

I to nie potrafiło ostudzić Beńka, który łamiąc ręce powtarzał.

— O królowę i króla idzie, dać mu czas — nie uśmierzy się, nie upamięta, ale gotów... niepokoju w całym kraju przyczynić, aby w mętnej wodzie ryby łapał...

Rozprawiali jeszcze dosyć długo, lecz Beńko nie ustąpił... Wierzbęta odszedł, umiarkowanie doradzając i ostrożność.

Pozostawszy sam, stary wojewoda nie uspokoił się rychło, pilno mu było, co raz postanowił, dokonać.

Jak wszyscy podzyli ludzie, którzy już sami przez się niewiele mogą, a umysłem są czynni, Beńko miał od lat kilku prawą rękę w rusinie, którego niegdy w Krakowie spotkawszy, do usług swych przyjął, i wypróbowałwszy, coraz go więcej miłował, coraz mu ufał i zawierzał śmielej.

Imię mu było Panas, z czego po polsku Panoszę zrobiono i zwano go tem imieniem. Bojarzyn to miał być znaczny z tego kraju, który król Kaźmirz zawojował i do korony przyłączył; krwawa jakaś przygoda zmusiła go schronić się do Polski, a tu wojewoda z królewskiego dworu go sobie namówił.

Człek był bardzo postawny, rozrosły, siłacz, jak mało, ponurego wejrzenia i twarzy — zimny na pozór i milczący, już dla tego, że nie czysto mówił po polsku, już, że w ogóle wołał coś czynić niż słowami rzucać próżnemi. Nabożny był wielce, i pół roku prawie

pościł albo na oleju, lub z suchotami; wesołych towarzystw unikał, zamknięty w izbie swej siedział, lecz do dozoru i do spełnienia rozkazów nie było nad niego.

Nigdy nie odpowiedział na dane polecenie uwagą żadną, nie składał się ani trudnością, ni niepodobieństwem, starał się dobrze wyrozumieć, czego od niego chciano — a potem, choćby swoje i ludzi z nim będących życie przyszło ważyć, nie patrzył.

— Takie przykazanie — mówił krótko.

Wojewoda mu znaczne Soltystwo wyrobił, obdarzał go i obchodził się z nim dobrze — a Panosza kochał go i w ogień a w wodę był gotów na skinienie. To też zazdrościli wszyscy ulubieńcowi, a nikt z nim o lepsze iść nie mógł. Człek był żelazny, na głód i chłód niepamiętny, śmiały do zapamiętałości — a na oko niby bryła jakaś bezwładna, niepozorny i nie obrotny.

Śmieli się z niego popsuci dworacy, ale zdala i po cichu, bo Panoszy zaczepić się nikt nie ważył i dla wojewody, i dla niego samego.

Nie skarżył się on nigdy, sam sobie sprawiedliwość wymierzał — ale okrutną, kilku już kalectwa nabawił.

Z Panoszą rozmowa wojewody dziwną bywała. Stawał on zawołany u drzwi, czasem ręce na piersi skrzyżowawszy, pokłonił się i czekał. Wojewoda mówił, on głową tylko dawał znaki, że słuchał. Gdy niedobrze wyrozumiał, prosił — ojca (bo tak zwykł był zwać wojewodę,) aby mu rzecz raz jeszcze zwolna powtórzył.

Gdy powiedział: pojmuję, a potrząśł łbem, już Beńko mógł być spokojnym, że co polecił, spełni.

Kilka razy używany był Panosza do rozwiadywania się o Maćka Borkowicza obrotach — był więc wtajemniczony we wszystko i miał go już z własnej woli na oku. Oko zaś to, jak się zdawało niewiele szukać i widzieć, tak bystre było i przenikające...

W sobie cały zamknięty, człowiek ten, który z nikim się nigdy nie rozgadywał — co mu do duszy wpadło, umiał rozsnuć na najcieńsze pasemka. — Łatwo mu się było wcisnąć wszędzie, bo niepozorną miał prostego chłopca powierzchowność i odziewał się z prosta — nikt go o przebiegłość nie posądził, a twarzą się nigdy nie zdradził.

Wojewoda go używał wszędzie, gdzie tylko zaufanego potrzeba było człowieka. — Dawał mu pułki wodzić, bo w rycerskiej sprawie był biegły, niekiedy mu zwierzchność zlecał nad dworem, to go posyłał gdzie było trzeba, nawet i do majątności swoich, gdy ład było potrzeba zaprowadzić.

Wiedziano we dworze, że gdy Panoszę wojewoda do siebie wołał, a z nim się zamknął, pewno się już coś ważnego przygotowywało.

Zaledwie Wierzbęta odjechał, gdy niecierpliwy starzec posłał po ulubieńca.

Był on pod ten czas nadzorcą nad dworem i wiele do czynienia nie miał, bo samym postrachem ład utrzymywał.

Stawił się natychmiast w swej długiej sukni i kołpaku, które nawykł był nosić, gdy mu na konia siadać nie było potrzeba. Odziany w tę zwierzchnią opończę, pod którą miał krótszy podpasany kaftan, w wysokiej czapce, istnym się wydawał olbrzymem.

Swoim zwyczajem w progu stanął, zgiął się, rękę aż do ziemi wyciągnął z pozdrowieniem — i czekał pańskiego słowa.

Kazał mu się przybliżyć wojewoda.

— Sprawę mam ważną, którą ci chcę polecić, rzekł. Pośpiechu nie wymagam, rozważyć musisz wprzód dobrze, jak począć, aby chyby nie było... Daję ci czas, rozpatrzyć się; a no, i bardzo z tem przeciągać nie można.

Panosza głową dał znak, że rozumie.

— Z Borkowiczem nam raz skończyć potrzeba — mówił Beńko, głos zniżając. — Żywa dusza o tem wiedzieć nie powinna.

Powtórnie głowa Panoszy się schyliła.

— Musimy go ująć — dokończył, patrząc mu w oczy Beńko. —

Panosza stał nieruchomy.

— Nabroił on już dosyć — ciągnął po chwili. — To, co wiemy, starczy, aby go karać, a o czem nie wiemy, tego więcej jest jeszcze...

Postanowiłem go do więzienia dać... a reszta to już moja sprawa.

Panosza słuchał z uwagą wielką zadumany. Trochę zaniepokojony tem wojewoda, nie widząc żadnego znaku — poczekawszy chwilę, mówił dalej.

— Ja to wiem, że sprawa z nim niełatwa.

Ulubieniec potwierdził głową.

— Ale od czegoż rozum? — rzekł, uśmiechając się. Człek możny, koło niego tałajstwa różnego dosyć, zbóje wszyscy, jego nie wyjmując, ale dla Panoszy wszystko to lekkie, byle chciał, będzie wiedział jak go osaczyć i napędzić do jamy.

Panosza na to nie dał żadnego znaku, zmarszczył się trochę wojewoda.

— Gadaj bo — odezwał się — coż ty myślisz?..

Ruszył ramionami spytany — i nie rychło bąknął.

— Co trzeba... to trzeba, a sprawa...

Nie dokończywszy, głową począł rzucać i oczy w podłogę wlepił.

Nastąpiła chwila milczenia.

Panosza zdawał się szukać w sobie tego co mu czynić wypadało.

— Ojczy — rzekł po namyśle krótko, dajcie mi się rozwiedzieć. Hm?

— Idź, jedź, bierz kogo chcesz... odparł wojewoda, a powracaj mi prędko z językiem...

Posłyszawszy to sługa, pokłonił się, mruknął — pojmuję — i odszedł.

Wojewoda, zwierzywszy mu sprawę, trochę się uspokoił. Wieczorem, choć noga dolegała, dawszy ją sobie obwiązać, o kiju wyszedł do jadalni, bo mu się w komnacie ciasnej i bez ludzi nudziło.

Strzegł się wydać słówkiem z tem co go zajmowało, ale dwór już wiedział, że Panoszę u siebie miał i różnie odgadywano.

Beńko wesołość udawał, choć jej nie miał. Usta się śmiały, czoło było zasępione.

Po wieczery żona mu rękę podała, odprowadzając do sypialni. Tu znowu nogę opatrywano, baba przyszła z ziołami, kurzono ją i wojewoda położywszy się, żonie przy łóżku miejsce wskazał, aby posiedziała przy nim, póki by go sen nie wziął.

Przed nią, chociaż dobrze wiedział, że Borkowicza lubiła i broniała, jak w innych sprawach — tak i z tą taić się nie myślał.

Rozpoczął jej po cichu opowiadać, co od Wierzbięty słyszał — i co w skutek tego postanowił.

Drgnęła pani wojewodzina (imię jej było Marussa, z Maryi za młodu przerobione) — i nie dając po sobie znać, jak ją to obeszło, ciekawie słuchała. Beńko, który milczeć postanowił i powinien był, rozgadał się i zwierzył jejmości wszystko.

Nie śmiała mu się sprzeciwić, chociaż złożone jej ręce zacisnęły się z bólu i strachu.

Siostrzan nie przestał jej być miłym, swoich dzieci nie miała, kochała go jak własnego syna. Wszystko, co dokazywał i broił, tłómaczyła sobie to potwarzą, to ludzką słabością, to krwią gorącą.

Przekonana, że męża, którego zmiękczyć nieraz już usiłowała, nie rozbroi — nie otwierała ust, lecz dwie lzy milczące z pod powiek jej się stoczyły...

W stosunku z księżniczką Jadwigą widziała staruszka miłość, i serce jej miało tém większe politowanie nad siostrzanem...

Gdy wojewoda, ugadawszy się i mocno ożywiwszy dokończył, wojewodzina, szepnęła słów kilka nieśmiały, prosząc o miłosierdzie dla Maćka, i aby ukryć poruszenie, zabrała się do wyjścia. Wojewoda odchodzącej rzucił jeszcze toż samo, co mówił Wierzbięcie.

— Dziękować mi bestja ta powinna, gdy go ująć każę, bo mu łeb ocalę — i nie dam popęlnić, za coby gardłem musiał zapłacić.

Rozstali się tak, a wojewodzina do swojej komnaty odszedłszy, rzewnie płakać zaczęła, długo się nie mogąc ukoić. Walczyła z sobą, niewiedząc co czynić ma, lecz serce dyktowało, iż Maćka bronić powinna dla pamięci siostry. A miała to przekonanie, iż winy tak wielkiej na nim nie było, że go nieprzyjaciele ogadywali.

Uklękała się modlić wojewodzina, a na modlitwie zdało się jej, że powinna była nie-szczęśliwego, choćby obłąkanego, ratować.

Jak? Nie wiedziała...

Noc upłynęła we łzach i niepewności. Nazajutrz po mszy ulubiony jej, doradca wierny, kapelan, którego Michnem zwano, powołany został do rady. Księżyna był pobożny, pokorny i niedaleko widzący, wojewodzina, nie przyznając mu się, o kogo jej szło, nie zwierzając wcale, poddała mu tylko pytanie — coby w takim wypadku czynić wypadało...

Wypadek zaś opisała tak ogólnymi wyrazami, iż Michno tyle tylko mógł odgadnąć, że człowiekowi dać trzeba było czas do skruchy, opamiętania się i pokuty. Jako duchowny, nie mógł innej rady dać, tylko wedle prawa ewangelicznego.

Głosował żarliwie za ocaleniem człowieka.

Serce wojewodziny dawno toż samo mówiło, obawiała się tylko męża zdradzić. Lecz możnaż było nazywać to zdradą?

Postanowiwszy ratować Maćka, po odejściu kapelana wojewodzina zaczęła nad środkami przemyślać, jakby ostrzedz siostrzana, a nie ściągnąć na siebie gniewu męża.

Stosunki z Borkowiczem były zerwane, zakaz najsurowszy wzbraniał jej i wszystkim do dworu należącym, zbliżyć się do niego... Nie mogła więc Marussa tak łatwo wymyśleć sposobu oznajmienia Borkowiczowi, aby głowy swej i osoby strzegł pilno... Zwierzyć się nie chciała nikomu. Sama go szukać nie mogła, a i znaleźć nie było łatwo, bo Maciek nigdy długo na jednym miejscu nie stał.

Dzień upłynął na rozmyślniach.

Listów posyłać owego czasu nie było zwyczaju. Obawiano się zdrady pisma, niewiasty wcale pisać nie umiała, potrzebowała więc wojewodzina pośrednika, a tego się lękała.

Pozostawało jedno — zwierzenie się komuś zaufanemu, któryby do Borkowicza pojechał z przestroga. Na takim człowieku właśnie wojewodzynie zbywało.

Dwór cały przywiązany był do niej i do posług gotowy — ale wojewody obawiali się wszyscy...

W niepewności tej wojewodzina uciec się musiała do Biskupa, o którym wiedziała że mąż był chrześcijańskiego ducha, nieskory do potępienia i miłosierny...

W chwili gdy Panosza z Poznania wyjeżdżał w małym poczcie po cichu... inną drogą przesłana przestroga... goniła za Maćkiem po dworach, które objeżdżał.

Maciek Borkowicz po powrocie z Krakowa, nagradzając sobie czas stracony, nie pojechał ani do Koźmina, ani do żadnego ze swych licznych dworów, w których zwykł był obozować. Od granicy Wielkopolski gromadząc koło siebie przyjaciół rozpoczął wędrówkę od komina do komina biesiadując ze swojemi, rozpowiadając szydersko o królewskim weselu, o przyszłych nadziejach, sposobiąc się do wypowiedzenia posłuszeństwa wraz z rycerstwem, które sobie jednał.

W ten sposób dojechał do brata do Czacza, u którego był jak w domu i tu niemal wiec się do niego zbiegł, aby z ust wodza usłyszeć, co czynić dalej i jakie on miał nadzieje.

Maciek Borkowicz nie wszystkim się może spowiadał otwarcie, ale w ciałniejszym kółku nie taił się z tem, że stanowcza chwila wkrótce nadejść mogła. Dodawał, przechwalając się, że z królową dawne stosunki odnowił, i że będzie u niej w łaskach, spodziewa się króla zniewieściałego uwodzić do ostatka, tak, że on w zdradę jego wierzyć nie będzie, aż gdy już zapobiedz jej okaże się zapóźno.

Zausznicy Borkowicza nie robili z tych zwierzeń tajemnicy przed drugimi. Wieści uwłaczające czci młodej królowej rozchodziły się po kraju, a zrzęczość Maćka, który zuchwalsstwem swoim oczy zaproszał, podnosiła jego znaczenie.

Nie wątpiono, że pod takim wodzem uda się wielkopolanom oderwać i swobody dawne odzyskać...

Borkowicz, jak wszyscy tego rodzaju ludzie, wążący się na wywrót i zaburzenie, aby z nich korzystali: — więcej mówił i obiecywał, niż sam trzymał o tem co czynił, sądząc, że kłamstwem podniesie w swoich mężstwo i ochotę do buntu.

Zaręczał im, że umowę miał z Brandeburgami, że szlżycy książęta mu pomoc przyrzekli, że krzyżacy popierać go będą. Ponieważ wiodło mu się dotąd szczęśliwie, nikt o prawdzie słów jego nie wątpił.

W Czachu nie tylko dwór dosyć lichey był pełen, ale podwórze i szopy. Ziemianie ciekawi, nieustannie przyjeżdżali się dowiadywać i mieniali. Borkowicz coraz głośnieiej i śmieiej przemawiał.

Trwało to już dni kilka, gdy jednego wieczora proboszcz miejscowy, człek spokojny, który się rzadko we dworze ukazywał, przyszedł pieszo w godzinie niezwykłej.

Ksiądz był onieśmielony i znając obu Borkowiczów, stosunków z nimi unikał. Krzywdzono go w dziesięcinach, nie mówił nic, ani się skarżył, dla świętego spokoju. Zjawienie

się jego we dworze i to jeszcze czasu pobytu Maćka, uderzyło wszystkich. Nie mógł przyjść darmo. Brat starosty sądząc, że szło o jaką sprawę sporną z probostwem, księdza, jako niepotrzebnego świadka chcąc się pozbyć, wyszedł przeciwko niemu, lecz na zapytanie o to, czyby miał co do niego, proboszcz cicho odpowiedział, że chciał się tylko pokłonić panu starości.

Chociaż Maciek z duchownymi nie żył w wielkiej druźbie, wszystkich sobie chcąc jednać, nie pogardził i proboszczem.

Ściągnął go do siebie na ławę, na której wyciągnięty leżał, kubek mu podać kazał i począł od żartów ze starego, do których oklepane potwarze na stan duchowny rzucane, za wątek służyły.

Stary ksiądz zbył go milczeniem, znosząc je cierpliwie. Osób było w izbie nadto, aby się wdawać przy nich w poufalszą rozmowę.

— Panie starosto — rzekł z cicha — przychodzę do was nie w mojej sprawie, ale w waszej własnej, nie po mej woli, ale wyższego rozkazania — przejdźmy do komory osobnej, tak, aby tego nie spostrzeżono.

Borkowicz zdumiał się wielce. Spojrzał na ubogo odzianego klechę pogardliwie, pomyślał trochę i rzekł wstając...

— Idźcie za mną, kiedy zechcecie — ciekawym co mi powiedzieć możecie... Znajdziecie mnie obok...

Proboszcz, chwilę zabawiwszy w wielkiej izbie — nieznacznie za Borkowiczem się wysunął.

Czekał on nań w ciasnej izdebce, która wysłanemi na podłodze łóżami gości była zapelnioną. Na jednym z nich, ręce pod głowę założywszy, leżał starosta.

Dał znak księdzu, aby w głowach na ławie przysiadł.

— Co mi masz do powiedzenia? —

Proboszcz zbierał się długo nim odezwał. Szyderski ton Starosty drażnił go.

— Mam polecenie do miłości waszej — rzekł — bo inaczej bym mu pokoju nie mącił. Posłem jestem, a że do tego nie nawykłem, źle się może sprawię, lecz spełnię powinność.

— Mów, co masz, a w płachty nie zawijaj — rozśmiał się Borkowicz, domyślając, że duchowieństwo mogło życie jego jawnie rozwiązać naganiać, i sposobiąc się ostro klechę odprawić.

Wtem ksiądz mówić zaczął spokojnie, powoli, i od pierwszych słów Maciek z lekceważącego i urągającego zmienił się, przybierając twarz surową i zasępioną.

— Posłano mnie do was, panie starosto, chociaż prawa nie mam powiedzieć, kto mi dał rozkaz i czyją spełniam w tem wołę. Pewnie dobrze wam życzyć musi i stać wysoko ten, co wam śle przezemnie ostrzeżenie.

Nowe na was zaskarżenia poszły do majestatu... jesteście obwinieni; wojewoda, wuj wasz zmuszony zostanie ująć was i dać do więzienia...

Borkowicz równemi nogami z łoża się zerwał.

— Mnie? ująć? mnie do więzienia wtrącić? Krzyknął na cały głos. — Stary dziad oszalał chyba! On, mnie!..

Ksiądz dał mu się wyburzyć.

Borkowicz zbliżył się doń, żądając wyjaśnienia natarczywie.

— Możecie ze mną począć, co się wam żywnie podoba — odparł proboszcz spokojnie — więcej nad to, co mi polecono, nie powiem wam.

— Kto polecił? — domagał się Maciek.

Ksiądz milcząc, głową potrząsnął.

— Nie może być, aby niedołądze temu takiej się rzeczy zachciało, która jest nad jego siły! zawołał Maciek. Chcą mnie tylko nastraszyć, ludzi mi rozpędzić, zmusić może do głupiej ucieczki, abym to stracił, na co lat kilka pracowałem; to zdrada! to podstęp!

— Trzymajcie jak zechcecie — rzekł ksiądz — ja tyle wiem, co mi powiedzieć kazano, i to wam mówię. Postanowił wojewoda was uwięzić — podobno rozkazy są wydane. Macie się strzedz i na bacności mieć, w małej kupce nie jeździć, a co najrychlej się oczyścić przed samym wujem i w Krakowie.

— Do tego starego gnoja nie pojedę! — zawołał Borkowicz — między nami rozrzany obrus, nie siądziemy do jednego stołu, a w Krakowie dwa razy byłem, dopiero co ztamtań powracam. I tam nie pojedę...

Baśnie są, strachy są próżne, a ty klecho, którego narzędziem uczyniono, gadaj mi zaraz, kto cię posłał...

I dodał w gniewie.

— Gadaj mi, chcesz li być cały...

Nie uląkł się duchowny, pomilczał trochę, westchnął i odparł spokojnie.

— Choćbyście mnie ubili, mówić więcej nie mogę.

Zimna krew, z jaką to rzekł, zburzyła Borkowicza, rzucił się do drzwi, wołając brata. Ten nadbiegł natychmiast. W kilku słowach drżący z gniewu Maciek objaśnił mu o co chodziło. Oba razem wpadli na księdza, który z ławy powstawszy, ręce na piersiach złożył i stał z głową spuszczoną, milczący.

Jaśko z Czacza był tak śmiały, że na suknię duchowną nie zważając, chwycił go za ramię i pocałował starym, który się chwiał na nogach, potrząsać, grożąc mu.

Nic i to niepomogło. Owszem, proboszcz oburzony takim obejściem się, już więcej nic mówić nie chcąc, zbył go tylko słowem.

— Nie mogę.

Obaj bracia równie gwałtownych charakterów, poczęli wołać, kłąć i na księdza napadać w sposób najzuchwalszy, szarpiąc go za suknię i chwytając za barki.

Nie pomogło to nic, lecz w końcu Maciek pierwszy się pozornie przynajmniej opamiętał.

— Dać mu pokój! — zawołał, — gdyby plechy wygolonej nie miał na łbie, postąpiłbym z nim inaczej, ale się z biskupami zadzierać teraz nie chcę...

Ksiądz, który się spodziewał, że go suknia obroni, stał nieporuszony i po chwili milczenia dodał tylko.

— Chcecie słuchać przestrogi, dobrze — nie — czyńcie jak wam lepiej. Podejrzewacie zdradę — ja się obraniać nie myślę. Żaden kapłan nie podjąłby się służyć za narzędzie...

Maciek wybuchnął znowu.

— Jeśliś nie ty zdrajca, to ten co cię posłał — wojewoda się mnie powinien obawiać, nie ja jego... Ja się dziada, pół trupa tego nie zleknie.

— Tem dla was lepiej, jeżeli się nie boicie — odparł proboszcz, zabierając się do wyjścia.

Zaparto mu drogę. Jaśko pocałował teraz inaczej, bróg siana i kilkanaście korcy owsa obiecując księdzu, jeśli by wydał, kto go posłał.

Proboszcz się uśmiechnął.

Borkowicz kopę groszy chciał dać na kościół — ale i to nie poskutkowało.

Robiło się późno, goście z izby pierwszej rozchodzić się zaczęli, a drudzy na ławach i ziemi do spoczynku układać; nie sposób było proboszcza gwałtem dłużej trzymać, a tem mniej więzić. Puszczono go więc, a dwaj bracia i syn Maćka pozostali, radząc, co czynić...

Borkowicz upierał się przy tem, iż oznajmienie było podstępem dla onieśmielenia go.

Jaśko wpadał na myśl inną. —

— Wojewoda gniewny na ciebie — rzekł — a zaufany w sobie. Siły twej nie zna, ślepym był zawsze, dziś do reszty rozum stracił. Kto go wie? mógł pomyśleć o tem, czego nie dokaże, a Marussa ulitowawszy się, ostrzedz kazała.

Zamyślił się Borkowicz.

Trafne przypuszczenie brata zachwiało jego przekonaniem.

Ponieważ ludzi sobie oddanych miał w Poznaniu, a nawet na dworze Beńka, tej samej nocy wyprawił dwóch zaufanych ziemian po język do miasta,...

We dworze, pomimo, że Borkowicz zaklinał się iż nikogo obawiać niema przyczyny, Jaśko środki ostrożności nakazał. Postawiono strażę, wysłano ludzi aby zbrojnych więcej zgromadzić. Nie przyznawano się do obawy, aby popłochu nie siać między ziemianami, lecz przestroga w las nie poszła.

Udawano przed przybywającymi dawną śmiałość — oglądano się jednak bacznie.

Borkowicz, który miał już do Koźmina jechać, bo tam mu dogodniej było, zatrzymał się w Czaczu, aźby z Poznania nadeszły wiadomości.

Nie wątpiono, że wysłane szpiegi przyniosą jakąś skazówkę.

Dwa dni upłynęło, nim jeden z nich powrócił. Nie dowiedział się on nic więcej nad to, że wojewoda zaufanego swego Panoszę gdzieś tajemniczo wysłał... Budziło to podejrzenia i — wiadomość, że Beńko ściągwał zbrojnych co najlepszych do siebie.

Borkowicz sposepniał.

Drugi poseł przybiegł z potwierdzeniem nowin tych i drobnymi różniami ze dworu wojewody plotkami, które dowodziły, że się tam do jakiegoś kroku stanowczego gotowano, że Beńko często i potajemnie się zamykał z Wierzbietą i t. p.

Przestroga więc proboszcza, który się już więcej nie okazał, i wyprawionym doń przez Jaśka posłom od niego drzwi zamknął — zaczynała nabierać innego znaczenia.

Maciek przechylał się na stronę brata. Nim wyruszył do Koźmina, kazał swoim koniecznie dośledzić, dokąd posłano Panoszę, bo tego się obawiał.

Nie łatwo było drogę jego wytropić. Upłynął tydzień a o Panoszy nikt języka dostać nie mógł, co Borkowicza do wściekłości na sługi pobudziło...

Groził im chłostą i więzieniem, bo nie pytając, czy który ziemianinem był i do szczytu należał, czy prostym czelkiem, tych, co mu służyli, jak niewolników karał, nawet na gardle.

Za głowę gotów był zawsze płacić grzywny, a poszanować nikogo nie umiał.

Już się Borkowicz wybierał nareszcie z licznym poczem zbrojnych do Koźmina, gdy jeden z tych ludzi, na których najmniej rachował, głupi Dyś — (bo go tak zwano) dał znać, że Panosza do poznania trudny, w prostej siermiędze, niedaleko Czacza, od tygodnia w gospodzie na gościńcu mieszkał, i z niej jakieś czynił wycieczki a zdawało się nawet, że i do Czacza samego mógł dotrzeć.

Wiadomość ta, wieczorem nadeszła do dworu, a przed północą Maciek sam, Jaśko i kilkudziesięciu ich ludzi ruszyli gospodę otoczyć.

Borkowicz ledwie z niecierpliwości konia na przedsieni doczekał, tak mu pilno było... Rwał się i kłął, miecza targając i wołając:

— Żeby mi nie uszedł rusin, bo wam łby porozkwaszam...

Gospoda na gościńcu pod lasem stała w miejscu kędy przejazd był znaczny do Poznania. Krzyżowało się tu dwie drogi wielkie. Ludzi w niej zawsze, szczególnie pod noc, gromady były, ale tych przejezdnych wcale się nie obawiali Borkowicze...

Ogień już zgaszony był w izbie i wszystko w niej spać się zdawało, gdy ostawiwszy ludźmi swymi szopy, Borkowicz kazał się do wrót głównych dobijać.

Wozów stało w gospodzie i pod nią dosyć, a że rozboje i napaści, szczególnie na kupców, pod te czasy częste bywały — zerwali się wszyscy podróżni, sposobiąc do obrony.

Borkowicz przygotowane pochodnie smolne zażędz kazał ludziom, nikogo nie wypuszczać, i gospodę a szopy trząść pilno.

Pierwszy, który wpadł w ręce Borkowicza gawiedzi był kupiec, rodem Niemiec, zwany też Niemczyn, który miał swoją ławę w Krakowie na Sukiennicach, a po kraju rozwозиł towary różne.

Obyczaj ten mieli Maćka słudzy, i on sam, że dobrego obłowu z rąk nie puszczali nigdy. Niemczyn ukazywał list pod pieczęcią, że mu jeździć i kupczyć wolno było, ale ten zdarto i nogami zdeptano, wozy rozdrapano we mgnieniu oka i ledwie on sam z życiem się wyprosił, pozostawszy przy jednym biczysku, bo i konie dobre a zażywe pochwycono mu..

Inni podróżni, którzy Borkowicza znali z rozgłosu, wykupywali się...

Panoszy nie znaleziono, chociaż gospodę całą strzęśli wprawni do tego ciury Borkowicza, niebardzo zważając, iż ją zapalonemi łuczycami i pochodniami w perzynę obrócić mogli.

Już odciągać mieli, gdy jeden z Borkowicza zbójów na wyżki wlaźł i tam się oko w oko z Panoszą spotkał, który go mieczem tak ciął, iż padł trupem. Padając, krzyknął, rzucili się inni i Rusina chwyciwszy, choć ich szpetnie porąbał, ściągnęli z wyżek, a tu jedno Zdrowaś nie trwało, gdy dwaj Borkowicze śmierć mu sami zadali.

Panosza słowa z ust nie puściwszy, bronił się jak lew, ranił Jaśka, dwa razy we zbroję uderzył Maćka, lecz naostatek w szyję śmiertelnie ugodzony — poległ.

Trupa obejrzano przy pochodniach odzierając go do naga, i wątpliwości nie ulegało, iż ten był, którego szukali.

Borkowicz uradował się niezmiernie, z gospody ludziom co było napitku wytoczyć kazał, a sam z bratem do Czacza powrócił.

Znalezienie ukrytego tu Panoszy za dowód służyło niezbity, iż wojewoda istotnie coś zamierzał, a przestroga zdradą i podstępem nie była.

Gdy nadedniem do dworu zjechali, wołając o dobrze zasłużone jadło i napój, bo Maciek żarłoczny był i pił wiele, pierwsze słowo, które mu się za stołem wyrwało, było:

— Niechże pan wojewoda na siebie baczysz a z nory nie wylazisz, bo nim on mnie będzie w dybach miał — trupem go położę — na postrach drugim. Tak mi, panie Boże dopomóż!!.

Nie wahał się pana Boga wzywać na pomoc, bo choć krew przelewał i ludzkim życiem szafował — po swojemu jednak modlił się i na kościoły dawał za grzechy...

— Ja z tego tajemnicy czynić nie myślę — dodał — owszem, głośić będę i wołać choćby z dachu, że wojewoda mi nie ujdzie! Chciał on mnie do więzienia dać — ja go do takiego zamknę, z którego nie wynijdzie aż na sąd ostateczny...

Kto mi wojnę wypowiada, choćby mi nie wujem a ojcem rodzonym był — temu głębię na wieki stulę.

Mówiąc to, walił w stół pięścią Maciek aż się na nim naczynie wszystkie trzęsło i brzęczało, a potem zamilkł i pił.

Brat ani syn nie bronili Beńka, wiedzieli, że z nim rozprawiać, odwozić go, chcieć upamiętać — daremne było.

W Poznaniu tymczasem wojewoda, zaufany w Panoszy rozum i zręczność, czekał niecierpliwie na powrót jego.

Przeciągał się on; Beńko codziennie rano zapytywał, czy nie wrócił, a wieści o nim żadnej nie miał, aż nagle ktoś przyniósł gadkę o najeździe na gospodę, o ograbieniu Niemczyna, który pieszo się przywłókł do Poznania, i o — prawdopodobnym zabójstwie Panoszy.

Beńko wierzyć temu nie chciał.

Posłał Wrocisza, drugiego swego ulubieńca, na miejsce.

Ten, przybywszy do gospody, naprzód usłyszał o napadzie — potem o zabiciu czelaka, którego już pochowano w mogile pod lasem, gałęzmi narzuconej. Nie było innego sposobu przekonania się, czyli w istocie Panosza zabity był, jak mogiłę rozkopać. Choćby ciało porąbane było i zepsute, Wrocisz mógł poznać zamordowanego po tem, że kąpiąc się z nim, u lewej nogi widział sześć palców...

Jakoż w mogile gdy posieczonego do niepoznania odkryto, Wrocisz nogę lewą znalazł nietkniętą. Nie ulegało wątpliwości, iż on był, a nie kto inny.

Ze smutną tą wiadomością powrócił do wojewody, któremu, znając jego przywiązanie do Panoszy, ostrożnie i nierychło opowiedziano o wszystkim.

Stary Beńko począł od tego, że się po wiernym słudze rozpląkał, ale natychmiast ochłonawszy z żalu, poprzysiął, że go pomści.

Z wielką gorącością zaczęto się z rozkazu jego sposobić do oblawy na Borkowicza. Wojewoda, którego noga się zablizniła, nikomu dowództwa jej powierzyć niechciał, ale sam z ludźmi postanowił jechać. A że tajemnicy nie czynił z tego przed żoną, przestraszona o męża Marussa na klęczkach go prosić zaczęła, aby się wstrzymał od tego kroku, w jego wieku już niebezpiecznego.

Wojewoda mówić sobie o tem nie dawał, troskliwość żony o siebie przypisując przywiązaniu jej do siostrzeńca.

Tem usta jej zamykał.

Zaczęto się wybierać skwapliwie bardzo, lecz — choć Beńko się spieszył, po staremu naglił, gderał, a z dnia na dzień odkładał; — jużby może, tak przeciągając, ochłonął z gniewu i żalu, gdyby usłużny ziemianin Zglicz, do Nałęczów się liczący, nie przybył doń z ostrzeżeniem, iż Borkowicz na życie się zaprzysiął.

Zglicz ten w obu obozach bywał, pił z jednymi i drugimi, jadał u Borkowicza, ale więcej się na stronę Beńka przechylał. Napadały go różne usposobienia to dla jednego, to dla drugiego, wahał się — przecież wojewody mu więcej żal było.

Beńko, posłyszawszy to, odmłodził z gniewu... Wysłał zaraz dowiedzieć się, gdzie się Maciek znajdował, i postanowił wprost nań na Koźmin ciągnąć.

Żadna siła ludzka od tego odwieść go już nie mogła.

Strwożona przedtem o siostrzana, biedna wojewodzina lękać się teraz musiała zarówno o obu, może nawet więcej o męża, który ani siłą, ani przebiegłością nie mógł się

równać z Borkowiczem... Straciła głowę, płakała, modliła się, naostatek niebezpiecznie zachorowała...

Beńko, który do towarzyski życia długiego był przywiązany, musiał wyprawę na siostrzana odłożyć, gdy Marussa wkrótce nie lekarza ale księdza wezwała do siebie, zgon swój przeczuwając.

Na łożu śmiertelnem ostatkiem głosu zaklinała jeszcze męża, ażeby dla pokrewieństwa, do sprawy z siostrzanem się nie miewał i zdał ją na Wierzbietę.

Stary mruczał, uspokajając ją, coś niewyraźnego, nic jednak nie przyrzekł, i co raz postanowił, to dotrzymać miał za obowiązek.

Wiedziano już o zajściu i wzajemnych pogroźkach, ustąpienie byłoby starego o niesławę przypawiło.

Zmarła wojewodzina. — Beńko wyprawił pogrzeb wspaniały i stypę — zamknął się na dni kilka, oplakując ją; potem, przywoławszy kapelana i kanclerza Poznańskiego, sporządził testament, majątności przekazując stryjecznym, a wieś jedną na nabożeństwo pośmiertne i msze za duszę żony i swoją — wikarjuszom tumu poznańskiego.

Dopełniwszy to, na nowo się do wyprawy na Borkowicza gotować zaczął. Czasu dosyć upłynęło, o starości słychać było, że swoim zwyczajem po Wielkopolsce się przejeżdżał i żalów nań a skarg przybywało codziennie.

Chodziły wieści, że nieprzyjaciół dawnym zwyczajem pozbywał się, po gościńcach ich napadając lub ludzi nasadzając, że i na dwory najeżdżał, a gwałty ciągle popełniał bezkarnie.

Nim wyprawa i oblawa na Maćka obmyślona została — wojewodzie przypadła potrzeba jechania do majątności w Kaliskiem. Wybrał się z pocztem nie zbyt liczny, odłożywszy rozprawę z siostrzanem, a pogroźki jego lekceważąc. Nie wierzył w to, żeby się nań mógł porwać.

Koni miał z sobą Wojewoda ze dwadzieścia, a że sam długiej podróży dla nogi konno jeszcze odbywać nie mógł, jechał na wozie krytym...

O Borkowiczu w okolicy słychać nawet jakoś nie było.

Podróż Beńka, zapowiedziana wcześniej, bo i z niej tajemnicy nie czyniono, na kilka dni nim wyruszył z Poznania, wszystkim była wiadomą.

Na wsiadaniem przybył doń z pożegnaniem Wierzbietą — a zobaczywszy orszak mały i nieosobliwie uzbrojony, miał sobie za obowiązek przypomnieć Beńkowi, że z Borkowiczem się mógł gdzie spotkać.

Rozśmiał się ufny w swą powagę wojewoda.

— Ja go szukać teraz nie będę — rzekł, a on, ręczę wam, gdyby o mnie zasłyszał, rychlej się gdzie skryje, niżby miał mnie zaczepić. Wie on, że ja z sobą żartów stroić nie daję!

Wierzbietą chciał mówić coś jeszcze, nie dał mu wojewoda. Rozstali się tak i Beńko w swą podróż małemi dniami wyruszył.

Pierwszego dnia nic się nie trafiło, coby zaniepokoić mogło... Zawczasu przygotowany nocleg czekał na Beńka o mil pięć od Poznania. Za dnia przybyli do wsi, w której kmieć najzamożniejszy chatę swą odstąpił staremu.

Wioska leżała na skraju lasu, a chata w oddaleniu pewnym od wioski. Beńko położył się zawczasu, aby wypocząć i nazajutrz rano w dalszą wyruszyć drogę. Czeladź jego i żołnierz nie spał jeszcze, i przy ognisku nieopodal warzono kaszę ze słoniną dla nich, gdy na raz jak burza przypadła gromada konnych, z krzykiem i wrzaskiem wprost na chatę biegnąc...

Rozbrojono orszak wojewody nim się porwał, aby biedz po miecze i oszczepy, już Maciek Borkowicz drzwi chaty łamał i z mieczem dobytym wpadł do izby krzycząc:

— Gdzie ten stary dziad? gdzie ten, co mnie chciał więzić...

Beńko, który nigdy się nie położył, żeby przy sobie tuż nie miał korda obnażonego, bo od młodych lat nawykł był do tego — z łoża się porwawszy z młodzieńczą śmiałością stanął do obrony w pośrodku ciasnej izby...

Walka była nierówna, bo Borkowicz nie tylko młodość za sobą miał, siłę, ale i uzbrojenie, gdy Beńko w jednej koszuli z pościeli się zerwał.

Poczęli się rąbać, lecz każde cięcie Maćka raniło i po każdym krew starego tryskała, gdy miecz Beńka szczybił się próżno na żelaznej zbroi przeciwnika...

Zmuszony raz w tył się cofnąć wojewoda, ośliznął się na krwi własnej i padł na wznak na łożo, a nielitościwy Borkowicz leżącemu i bezbronnemu miecz w piersi wraził tak, iż z jednym krzykiem — Jezus! — Maria! duszę wyzionął. Ludzie wojewody w części rozproszeni, pochwytni, choć się bronić w kilku chcieli do ostatka, zobaczywszy pana zabitego, strwożeni, głowy potraciwszy, rzucili broń uciekając.

Gawiedź Borkowicza natychmiast rozerwała co było na wozach i koniach, trupa nawet nieposzanowawszy, odarto do naga, i Borkowicz upojony, tryumfujący, szydząc a odgrażając się że wszystkim nieprzyjaciółom swym taki los zgotuje — odjechał zaraz do Koźmina..

Napaść i zabójstwo były tak jawne, w obec tylu świadków spełnione, iż Borkowicz, który inne swe sprawki umiał zacierać, tej wcale taić nie myślał.

Przybywszy do swoich, głośno oświadczył, iż wyzwany przez wojewodę, który się nań odgrażał śmiercią, w walce z nim, broniąc się, ubił go.

Wiedzieli wszyscy, co to w ustach Borkowicza znaczyć miało — nikt nie śmiał jednak obwiniać go, bo przez to zabójstwo silniejszym się stał jeszcze, i popłoch poszedł po nieprzyjaciółach jego.

W Poznaniu strwożyli się niemało ci, co z nim nie trzymali, zdawano się obawiać, aby nie opanował miasta... Wierzbęta, dowiedziawszy się o śmierci przyjaciela, sam po ciału jego pojechał natychmiast i gońca wysłał do Krakowa, donosząc o nieszczęściu, a sprawy nie oszczędzając.

Król Beńka kochał wielce, zdawało się więc, że miarka Borkowicza dopełniła się, i że go czeka surowa kara, tem większa, iż napaść była zdradziecka, na starca i na powinowatego.

Stryjeczni pozwali go o głowę przed sąd królewski.

Borkowicz zdawał się do tego przygotowany.

Godzina, w której otwarcie miał bunt podnieść jeszcze nie wybiła — mówił głośno że pozwany pojedzie do Krakowa i sprawę swą sam królowi przeloży.

Wszyscy druhowie i poplecznicy jego odradzali mu podróży i zło wróżyli — Maciek z zuchwalstwem największem zaklinał się, że stanie na sąd i sprawę wygra...

Kazał wszystko gotować tak, aby poczet miał i piękny, i liczny do drogi...

Jakoż w skutek gońca Wierzbęty, od króla przybył urzędnik i woźny, powołując Borkowicza na sąd do Krakowa bez zwłoki...

Z wielkiem lekceważeniem, wesoło przyjął starosta to wezwanie, urzędnika i woźnego obdarzył, nakarmił, upoił i natychmiast dał rozkazy do podróży.

Ponieważ w napaści na wojewodę brat i syn Borkowicza widziani byli i czynni, oni też oba do odpowiedzialności pociągnięci zostali, wołano i ich...

Jaśko z Czacza stchórzył — i skrył się, choć Maciek chciał go mieć z sobą. Syn byłby z nim jechał, lecz, po namyśle, ojciec sam mu nie pozwolił towarzyszyć sobie.

Miał jednego i wahał się na niebezpieczeństwo narazić, choć sam się go nie lękał...

Podśpiewując, świszcząc, żartując ze strwożonych; butno, wesoło, pańsko wybrał się pan starosta, tak pewien swego, iż nigdy go jeszcze nie widziano śmielszym... na co rachował, przyjaciele nie pojowali, lecz to ich na duchu podtrzymało, iż go nie odstąpili.

— Maciek swojego pewien, mówiono, nic mu nie będzie.

W Krakowie król wiadomość o zabiciu Beńka przyjął z wielkiem z razu oburzeniem przeciwko zabójcy. Dostyc już nabroił Borkowicz, wszyscy nań powstawali, ostrzegali ze-wsząd, obwiniano go jednogłośnie... król musiał domierzyć sprawiedliwość surową.

Tak się zdawało wszystkim, którzy króla bliżej nie znali. Miał to w sobie Kazmirz, iż do czego skłonić go chciano gwałtownie, temu się instynktowo opierał...

Wszystkie dotychczasowe zarzuty przeciw Borkowiczowi żadnymi dowodami przekonywającymi nie były poparte.

Śmiałość, męztwo, energia, zdala królowi go więcej zalecały, niż mówiły przeciwko niemu.

Potrzebował takich ludzi.

Nim więc przybył Borkowicz, powołany przed króla, Kaźmirz sam jego sprawę czas miał rozważyć — i — powiedział sobie, że jeśli się odważy stawić osobiście, a bronić — winy na nim pewnie głównej nie ma... nie poczuwać się będzie do niej.

Prorokowali wszyscy, iż Maciek nie przybędzie.

Tymczasem dnia jednego wjazd do Krakowa z pańską wspaniałością uczyniwszy, gospodę zajmując w Rynku, Maciek przeciw wszelkim przepowiedniom osobiście się nie wahał w obronie swej jawić do króla.

Podziwienie było niezmierne... ludzie z początku wierzyć temu nie chcieli. Ciekawość podbudzoną była do najwyższego stopnia.

Tegoż dnia, nie zaniedbujący żadnego środka obrony Borkowicz, wieczorem udał się do Wierzyńka.

Zbój i zuchwalec, gdy mu tego było potrzeba, przed ludźmi i przed królem, nie zapierając się męztwa swego, umiał okazywać w świetle rycerskim, z butą pańską. Na wykrętnych wyrazach gdy chciał, nie zbywało mu.

Tu w Krakowie inaczej się stawić, mówić musiał inaczej niż w Koźminie.

Wierzyńka zastał, gdy od wieczerzy wstawał, i rzuciwszy nań okiem, pomiarkował z chłodnej twarzy ulubieńca królewskiego, iż niełatwo mu się przyjdzie oczyszczać.

Wierzynek zdala go pozdrawiał, nie poczynając rozmowy, a choć przy nim był jeden z Rajców Krakowskich Keczer, nie zważając na świadka, Borkowicz natychmiast wprost o sobie mówić począł.

— Dziwicie się może, iż mnie tu widzicie, rzekł śmiało. Oczernili tu Borkowicza tak, iż tylko głowę pod topór nachylić.. Ha? Otóż ja ją tu przynoszę królowi pod stopy, niech czyni co chce...

Wierzynek słuchał i milczał.

— O co tam więcej mnie obwiniać będą, niedbam, a o zabójstwo Beńka sam się skarżę, tak jest! Zabilem go, tak, bo mnie pokrzywdził, czyniąc przeciwko panu zdrajcą, bo się on na mnie odgrażał więzieniem i gardłem... Musiałem za potwarz pomsty szukać...

Keczer, nie chcąc słuchać, wysunął się, zostali sami z Wierzyńkiem.

— Król bardzo na mnie zagniewany? Zapytał Borkowicz...

— W sprawie waszej jam z miłością jego nie mówił — odparł Wierzynek.

— Choćbyście nie mówili — dołożył Borkowicz — wy wiecie wszystko — boście króla najbliżsi. Jak myślicie, czy mi stać będą na gardło?

Mówił to z taką obojętnością, jakby się wcale śmierci nie obawiał. Wierzynek popatrzywszy nań — ruszył ramiony.

— Nie pytajcie mnie, rzekł, bom ja niewiele świadom. Gdyby szło o żupy, o kopy, o pieniądze, o skarb, domyśliłbym się co was czeka... krwawe sprawy nie moje...

W tem się nie mylicie, dodał, iż na was oskarżeń jest różnych, wiele... alem nie słyszał od króla nic, z czegooby o wyroku jego można wróżyć. Pan nasz cierpliwy jest i rozumny.

Napróżno Borkowicz zagadywał różnie, chcąc go wyrozumieć, nie dobył nic z rozumnego Wierzyńka i poszedł z niczem, innemi drogami szukać języka, jednać sobie przyjaciół i popleczników.

Wierzynek tegoż wieczora był na zamku. Miał on przystęp do króla, jakiego nikomu nie dawano. Wchodził w każdej godzinie, mówił z nim kiedy chciał.

Kaźmirza znalazł już uwiadomionym o przybyciu Borkowicza i uprzedzonym dlań lepiej tem, że w sprawiedliwość króla zaufanie miał...

Spytany Wierzynek, powtórzył Kaźmirzowi co z ust jego słyszał — król słuchał milcząco...

Po Wierzyńku nadszedł Kochan i zagadnął o Borkowicza, którego nie cierpiał, występując zajadle przeciwko niemu.

Większej mu przysługi nie mógł uczynić. Zmarszczył się król, ruszył ramionami.

Nastawanie na Maćka, budziło w nim właśnie nieufność i chęć obronienia go...

Wysłuchawszy Rawy, król rzekł krótko.

— Sędzia dwu stron słuchać powinien, nim wyrok ogłosi, a tyś pono nie słyszał więcej nikogo, tylko tych, co potępiają?

Zdziwiony Kochan — zamilkł.

Drugiego dnia Borkowicz, nie zbyt spiesząc, posłał prosić o posłuchanie u króla. Naznaczono je na dzień następujący.

Gdy wieść się po Krakowie rozeszła, iż osławiony warchoł wielkopolski przybył i miał być sądzonym, ci, co przeciwko niemu mieli zarzuty wielkie, pospieszyli z niemi do króla.

Ks. Suchywilk między innymi, któremu wuj Arcybiskup polecił sprawę Beńka, przyszedł z całym spisem gwałtów, zabójstw, napaści, które przypisywano Borkowiczowi, domagając się, aby go naprzód do więzienia dać i zapobiedz zdradzie, bo tej były jawne poszlaki w stosunkach z Brandeburgami.

Król wielkie miał zaufanie w Suchywilku, wierzył w jego rozum i naukę, lecz wszystkie te nalegania zawsze na nim skutek przeciwny czyniły.

Żał mu było energicznego i śmiałego człeka.

Zbywał milczeniem, nic nie dając poznać po sobie.

Gdy chwila posłuchania nadeszła, a Maciek jako łaskę największą dopraszał się u króla, aby mu pozwolił we cztery oczy naprzód mówić z sobą, chociaż zwyczajowi to było przeciwnem — Kazimirz zezwolił.

Wszedł Borkowicz ani zbyt zuchwale, ni wielkiej nie okazując trwogi... król przyjął go zimno.

— Dopełniliście miary waszych gwałtów, o które was nieustannie obwiniają... padł pod waszemi ciosami najlepszy mój, stary sługa, wuj wasz, Beńko...

Borkowicz ręce założył na piersiach.

— Tak, miłościwy królu — począł gorąco i ze wzruszeniem, zabiłem go, abym sam przez niego zabitym nie był. Stawię sześciu, postawię dwunastu świadków ziemian, jako się jawnie i głośno odgrażał iż mnie za mniemane jakieś bunty, nie czekając wyroku waszego, na gardle karać będzie...

Czynił mnie przeciwko miłości waszej zdrajcą — tego mu darować nie mogłem.

Człowiek jestem, grzesznym się czuję, krwią się nieraz zmazałem, nie będę przeczył, biję się w piersi... ale mnie ludzie stokroć gorszym uczynili niż jestem... Rzucają na mnie potwarze...

Król słuchał milczący.

— Z Brandeburgami macie konszachty? rzekł krótko...

— Na Brandeburskiego, jako na sąsiada — rzekł — oko pilne mieć muszę, bo gdy ja nań patrzeć nie będę, to kto z nas u nich czuwać potrafi? Czy Wierzbietta nieudolny i łatwowierny? czy nieboszczyk Beńko, który z domu się nie wychylał...

Nie dla siebie ja ich starałem się podpatrzeć i podsłuchać, ale dla miłości waszej. I za to mnie zdrajcą czynią.

Kazimirz nic nie odpowiedział.

— Mówić na swą obronę umiecie dobrze — odezwał się — lecz dla czego wszyscy na was powstają? powszechny głos was obwinia? — Jeden przeciwko wszystkim nie możecie słuszności mieć.

Kto za wami choć słowo rzecze?

— Miłościwy królu — zawołał Borkowicz — w Krakowie ja obrońcy pewno nie znajdę, ani się go szukać kuszę, a w Wielkopolsce głosów za mną więcej znajdę, niż tu przeciwko sobie...

Dajcie mi ich postawić przed sobą... Wszyscy, co się pisali do związku ze mną, za który mnie też skarżono, potwierdzą, że m ładu i porządku chciał i o niego się starał. Musiałem się nieraz z warchołami zetrzeć i nie jednego trupem położyć. A coby dziś w Wielkopolsce za oczyma było, gdyby nie ja...

Nie mogli na mnie innej winy znaleźć, zmyślili główną, czyniąc zdrajcą przeciwko tobie?... Czyżem ja niepamiętny, co królowi winienem, kto mnie uczynił czem jestem, kto obdarzył i z bogacił? Byłbym wart śmierci za niewdzięczność...

Spojrzał, mówiąc to na króla, który nie okazywał gniewu i zamyślony słuchał.

Dodało mu to odwagi. Począł się rozwodzić szeroko nad stanem Wielkopolski, nad nieprzyjaciołmi swemi, dowodząc, że oni razem królewskimi byli, albo na dobro pańskie ślepimi.

Kilka razy król słowo jakieś wrzucił, na ostatek powrócił znowu do zarzutu morderstwa na Beńku spełnionego.

Maciek do niego przyznając się, na kolana padł, ręce złożył i — miłosierdzia błagał. Winie swej nie zaprzeczał; ale był do niej popchnięty, zmuszony.

Posłuchanie trwało niemal godzinę, naostatek król wstał i ręką znak dał aby się oddalił — odchodząc do komnat osobnych... Borkowicz z posłuchania wracając zmęczony, znękany, przybity naumyślnie się ukazał, aby się nie domniemywano, że król nadto był dlań łaskawym, i nie nastawano więcej przeciw niemu.

Poszła wieść po mieście, iż sprawa Borkowicza źle stała... On — zamknął się w swej gospodzie, z wejrzenia króla, i z mowy jego domyślając się wcale inaczej.

Nie mylił się — Kaźmirz na przekor wszystkim, choć go nie uniewinniał, skłonny był do łagodnego sądzenia.

Zabójstwo Beńka nie mogło ująć bezkarnie, lecz o te ze stryjeczniemi wojewody, jak bywało zwyczajem, mógł się Borkowicz ułożyć, płacąc za głowę... Dowodów nie brakło, że Beńko się w istocie na siostrzeńca odgrażał...

Z ks. Suchywilkiem mówiąc tegoż wieczora, król dał mu poznać, iż Maćka zdrady winnym nie sądził, a dla zabójstwa skazywać surowo nie chciał.

Zdziwiony prawnik, usiłował króla skłonić aby nie pobłażał — lecz — znalazł go twardo stojącym przy swoim.

Dnia następnego ze wszech stron posypały się zaskarżenia znowu, nalegania — wpływy. —

Nikt za Borkowiczem nie był, przeciwko niemu wszyscy. Kaźmirz chłodno ale stanowczo oświadczył, że tak wielce winnym go nie widzi...

Wszelako zmęczony tem co słyszał, niechcąc sobie narazić Suchywilka i innych, w ostatku rzekł, że Borkowiczowi nakaże zgodę z rodziną zabitego, skaże go na grzywny — ale mu swobody nie odbierze, ani na gardle ukarze...

Tym, którzy czynili zdrajcą Borkowicza, król folgując, zgodził się na to, iżby nowe zaręczenie wierności na piśmie dał, i poprzysiągł służby królowi gorliwie, pod gardłem...

Ksiądz Suchywilk kanclerzowi pismo miał kazać zgotować.

Tak w chwili, gdy go wszyscy zgubionym sądzili, Maciek cudem prawie, przytomnością umysłu, chytryością i — szczęściem nadzwyczajnem — ocalał.

Zdumienie było wielkie.

O zbytnią dobroć obwiniano króla... o słabość niewytłumaczoną — Kochan, który pana swojego znał dobrze, uśmiechał się dwuznacznie i mruczał.

— Wszyscy na niego się rzucili... nikt mu dobrego słowa nie dał! Niemogło inaczej być.

Maciek, przywołany do wysłuchania wyroku, na kolana padł przed królem, bił się w piersi, obiecywał poprawę, zaręczał, że życie dać gotów za pana swego... Ochrypl, tak krzyczał i zmagął się na okazanie swej miłości i wdzięczności.

Przesadzone te objawy przywiązania na Kaźmirzu uczyniły wrażenie przykre. Ukazując mu się z tej strony Borkowicz nie obrachował się, że król miał instynkt w poznawaniu prawdy i odróżnianiu jej od fałszu. Kaźmirz z brwiami zmarszczonemi wysłuchawszy dziękczynienia, zimno odprawił Maćka.

W progu już był, gdy posłyszał głos króla goniący za nim.

— Przebaczyłem wam, Starosto.. lecz pomnijcie, że dobroć i pobłażanie się wyczerpują... Nie spodziewajcie się łaski mej, jeżeli raz jeszcze obwinia was...

Borkowicz, pismo na siebie wydawszy pod pieczęcią przy świadkach, opuścił zamek szczęściem swem upojony, tryumfujący, zuchwalszy niż był kiedykolwiek.

W gospodzie czekali nań wielkopolanie, którzy mu towarzyszyli, a których był pewien..

Nie zważając na miejsce, w którym się to działo, bo izba ścianą tylko z tarcic oddzieloną była od mieszkania gospodarza, Maciek od progu wołać zaczął.

— Wszystko skończone! Winszujcie i uczcie się, że śmiałość zawsze wygrywa! Biały jestem i czysty jak nowiutki rąbek. Poczciwy król dał się obalamucić! Wmówiłem mu co chciałem, podpisałem co kazali, a teraz — silniejszy jestem niż kiedy! Niech mi kto się w drogę wleźć odważy!

I nim się przyjaciele na odpowiedź zebrali — dodał szydersko.

— Z tym królem ja zawsze zrobię, co zechcę, tak jak inni, co koło niego są, czynią z nim co się im podoba. Siostra mu koronę wzięła dla swojego syna, Suchywilk mu prawa dyktuje... Żydówka mu się sprzykrzy, królowa młoda, a to moja pani, bom jej łask pewny... przez nią i mój rozum doprowadzę do tego com zamyslał.

Natychmiast kazał Borkowicz miodu i wina przynieść, szaty swe zrzucił, które w dworzec miał, bo mu one ciążyły, rozpasał się, na ławie leży i językowi puścił wodze.

Drudzy ostrożniejsi napróżno się go hamować starali, nie dbał o nic, nie lękał się niczego.

W początku zamierzał natychmiast Kraków opuścić i do Wielkopolski powracać, nieprzyjaciółom swym okazując, że nad nimi wziął górę, namyślił się potem i dzień lub dwa, jak powiadał, dla wypoczynku chciał jeszcze zabawić.

Ci, co go znali wiedzieli o tem dobrze, że Borkowicz spoczywać ani potrzebował nigdy, ni lubił. Coś więc jeszcze miał do czynienia. Dnia następnego począł odwiedzać co znaczniejszych przy królu bawiących panów, pojechał do biskupa, odwiedził postarzałego Neorzę, który uzyskawszy przebaczenie króla, cicho siedział i pokątnie tylko szemrał przeciw niemu.

Z jego to ust pono wyszło po raz pierwszy owo przezwisko obelżywe, które Kaźmierzowi pozostać miało jako chwała jego — króla chłopów...

Neorza przyjął wielkopolskiego warchoła z większą ciekawością niż wiarą w niego.

— A co? — rzekł mu — i wyście przybyli królowi do nóg paść, o przebaczenie prosić i nie myślicie już o waszych swobodach ziemskich. Tacyście wszyscy... na języku u was wiele, a gdy przyjdzie do roboty... nikogo nie ma!

— Tak sądzicie? — odparł szydersko Maciek. Omylicie się pono na mnie! Ja długo moje piskłę wysiaduję, ale gdy się ono narodzi, będzie na co patrzeć...

— Znosek! — rozśmiał się Neorza, ramionami ruszając i splunął.

Borkowicz z czerwonego stał się, usłyszawszy to, karmazynowym. Spojrzał pogardliwie na ociężałego starca.

— Jakom żyw, nigdy nie miałem myśli, której bym nie dokonał — rzekł. — Zobaczcie wy i ci, co mi zawierzili, że mu Wielkopolskę wyrwę...

Podniósł pięść stuloną w górę.

— Może mu i co więcej jeszcze wezmę, o czem mówić nie chcę — dodał śmiejąc się. — Zobaczcie.

Neorza niedowierzająco głową trząsnął, to Borkowicza rozjątrzyło. Nachylił mu się do ucha.

— Nim jego się stała, jam z terazniejszą królową miłość miał... Przez nią panem tu będę...

I pierścień na palcu ukazał zdumionemu Neorzie, który zamilkł.

— Król zestarzał, łatwowiernym się stał, miękkim, żona nim władać będzie gdy zechce, a ja nauczę ją, jak... — mówił przechwalając się Borkowicz i niedopowiedziawszy co myślał, urwał nagle.

Rozstali się z Neorzą wkrótce, bo Maćkowi pilno było jeszcze w różne kąty zaglądać. Chciał tu mieć swych obrońców i przyjaciół — nie żałując na to, by ich ująć sobie.

Zmierzczało już dnia tego, gdy, sługi swe odprawivszy do gospody, sam jeden, okrywivszy się opończą, aby łatwo poznanym być nie mógł, starosta wśliznął się do zamku. Czasu wesela wypatrzywszy, gdzie było mieszkanie królowej i niewieściego jej dworu — wprost szedł do Konradowej.

W oknach jej świeciło już, Maciek podszedł naprzód pod nie, rozglądał się do koła uważnie, potem śmiało do komnaty wkroczył.

Na widok jego stara ochmistrzyni, która słyszała już o jego pobycie w Krakowie, lekając się, aby przy dziewczętach, których dwie przy niej się znajdowało, nie począł mówić, czego one słuchać nie były powinny, skwapliwie je precz wysłała.

— Widzicie — odezwał się Maciek z miną wesołą — że ja o starych znajomych nie zapominam, a nie mam zwyczaju z rękami próżnymi wychodzić. Choć mnie królowa źle odprawiła — sądzę, że się namyśleć musiała — trzeba mi widzieć się z nią, to nic nie pomoże...

Konradowa słuchała nadąsana.

— Idźcież sobie szukać innego posła do tego, rzekła — bo ja ani wiedzieć, ni słyszeć nie chcę.

— Jam to już i od was i od niej słyszał — odparł Borkowicz — a no, odpędzić się nie dam... Nie doprowadzajcie mnie do ostatka... bo źle będzie.

Że pierścień okażę i powiem jakem go dostał i gdzie — to jeszcze nic, lecz, gdy się mścił zechcę, powiem więcej — to, co było i czego nie było!!

Śmiał się mrugając okiem.

Stara ochmistrzyńni tym razem już, otrzaskana z pogroźkami, tak wielkiego jak wprzód nie okazała strachu. Podniosła nań oczy, popatrzała, i nie odpowiadając poczęła robotę jakąś oglądać.

Borkowicz stał i czekał, ale napróżno. Gniew w nim rosł.

— Namysłiliście się? — zapytał.

— Myśleć o czym nie było — zamruczała stara. — Idźcie sobie odemnie... nie wskóracie tu nic.

Zniecierpliwiony rzucił się Borkowicz i kląć zaczął po cichu.

— Czasu czekać nie mam — rzekł — jutro mi ztąd jechać potrzeba... Tyle tylko powiadam wam, abyście królowej donieśli, że dziesięć dni czekać będę... Zechce mi dać ucha, przyjadę tak, że nikt mnie tu nie ujrzy, odpowie, że mnie nie zna, naówczas ja okażę, żeśmy się i dobrze znali... Dziesiątego dnia przyjdzie tu pacholę odemnie po odpowiedź... Będę wiedział co czynić — tak, lub nie...

Konradowa potrząsnęła głową.

— Ja wam dziś już powiadam — niedarmo pacholę trudzić...

— Gardłem mi odpowiesz — wiedźmo stara — zawołał z gniewem Borkowicz, jeśli pani swej zataisz, z czem jeszcze raz przyszedłem.

To mówiąc popatrzał na nieruchomą staruszkę, zzymnął się i poszedł do drzwi.

Zaledwie się one za nim zamknęły, gdy drugie od komnaty królowej otwarły się zwołna. Zbladła twarz Jadwigi ukazała się w nich.

Na widok jej pospiesznie wstała Konradowa, chcąc się tłómaczyć, lecz królowa nie dając jej ust otworzyć, odezwała się poważnie.

— Drzwi u was dla wszystkich stoją otworem? Od dziś dnia niech pacholę moje będzie na straży i nie wpuszcza mi tu nikogo bez opowiedzenia.

Konradowa tłómaczyć się chciała, królowa skinęła ręką.

— Słyszeliście? — powtórzyła surowo — taka jest wola moja.

Odwróciła się od niej i wolnym krokiem wróciła do swej komnaty.

Maciek zły i niecierpliwy przybiegł do gospody, po drodze ludzi swych okładając razami silnej pięści, zastawszy w sieni zgromadzonych nad piwem. Kazał się natychmiast do podróży sposobić.

Przyjaciele, którzy go widzieli przez te dni wesołym i rozochoconym, nie mogli odgadnąć, co się z nim stało. On sam nie przyznał się im do niczego.

— Nie mamy już tu co robić! — rzekł — a w domu jest co poczynać. Jutro — na koń!

Do dnia wyciągnęli wielkopole, nie opowiedziawszy się nikomu, tak, że wielu potem znajomych do pustej gospody się dowiadywało.

Borkowicz zwycięzko wprost ciągnął do Poznania, nie obawiając się ani Wierzbęty, ani innych, których znał sobie nieżyczliwymi.

Przybyło mu buty jeszcze od ostatniego królewskiego wyroku, a gdy go towarzysze po drodze ostrzegali, aby ostrożnym był, śmiał się na głos wywołując.

— Z królem tym ja uczynię co zechcę! Zna on siłę moją... Do walki za stary... będzie wolał Wielkopolski się wyrzec, niż ze wszystkimi ziemianami o nią się rozbijać — a ja teraz mieć będę ich wszystkich!

W Poznaniu zawczasu się go spodziewano, bo z Krakowa doszły wieści, że król Borkowiczowi wielkorządy miał zdać i wszystko zwierzyć.

Co było mniej śmiałych nieprzyjaciół, przycichło i usunęło się — Wierzbęta patrzył zdala. On jeden nie zmienił ani przekonania, ani pozbył swej nieufności. Borkowicz, chociaż się nań odgrażał po cichu, po świeżej sprawie z Beńkiem zaczepiać nie śmiał. Wiedział że nastraszyć nie potrafi, a nowego gwałtu popelniać nie chciał tak rychło.

— Poczekaj on — ale nie straci na tem, mrucał. Znajdę go później, gdy tylko zechcę.

Tak samo jak w Koźminie, rozłożył się przybyły w Poznaniu, otwierając dom i ugaszczając ziemian, którzy się do niego jeszcze skwapliwiej cisnęli.

Nadjechał brat z Czacza, przybył syn na powitanie zwycięzcy...

Z Jaśka, który odwagi nie miał towarzyszyć mu do Krakowa, niemiłosiernie się wyśmiewać począł i nierychło mu to przebaczył.

Śmielszy niż przedtem, głośno ziemianom mówił, iż potrzeba, aby stara Wielkopolska nie dała się jak garść mąki na upieczenie placka zgnieść, i w nową Polskę Kaźmirzową, jak podbita Ruś, wcielić...

— My swoje prawa mamy, obyczaj dawny, odrębność, i przy tem stać musimy!!

Potakiwali mu wszyscy, bo im w to grał, że ziemianie od króla więcej znaczyć powinni, oni, co sobie książąt i panów wybierali dawniej, i zrzucali.

Czas upływał na tych zbiorowiskach. Borkowicz się na coś oczekiwać zdawał, dni rachował, mówił, że z Krakowa posła się z ważną wiadomością spodziewa...

Co mu ztamtąd przywieźć miano, nie mówił nikomu...

Upłynęło dni czternaście, a owo pacholę, zręczne chłopię, zwane Chwałkiem, które Maciek zostawił w Krakowie, nie powracało. Chwałek nie był starszy nad lat dwadzieścia, ale jak ogień żwawy, przenikający, zręczny, a Borkowicz mu zwierzał często takie sprawy, na które niejeden stary by się nie ważył.

Codzień pytał o Chwałka, codzień się go spodziewano, nie przybywał. Piętnastego dnia wreszcie Chwałek nadbiegł. Koń mu w drodze zakulał. Ledwie z niego zsiadł, kazano mu iść do starosty.

Czekał nań we drzwiach Borkowicz.

— Coś przyniósł? — zapytał, wpatrując się w posłańca.

— Wróciłem z próżnymi rękami — odparł Chwałek. — Do baby mnie nie dopuszczono. Izby jej teraz straż pilnuje, wejść lada komu nie wolno.

— I daleś się jak mucha odegnać? — wrzasnął Borkowicz.

— Za się! nie! — rzekł rażno chłopak, rozgniewany, że go o takie niedołęztwo posądzono. Było rozkazanie ze starą się rozmówić i odpowiedź przynieść, tom się o nią starać musiał.

Nie puścili mnie drzwiami, wdrapałem się do okna i pótym stukał, aż wyjrzeć musiała. Powiedziałem jej com zaczął.. i tylem wskórał, że mnie natychmiast precz ze zamku wyżeniono... Wrótmy mi zapowiedział, że się do wieży dostanę, jeśli tam jeszcze nos po-każę.

Opowiadania tego słuchając, Borkowicz bladł, zęby zacisnął i zgrzytnął niemi. Chwałkowi pięścią pogroził i krzyknął.

— Precz...

Nazajutrz wyszedł do swoich panów ziemian jakby innym człowiekiem. Widać w nim było przez noc wezbrany gniew i zapamiętałość wielką.

W rozmowie u biesiady codziennej nie o Wielkopolsce i jej prawach mówić począł, ale się z króla uragać.

Tym nawet, co do jego śmiałych przechwałek byli nawykli, wydało się dziwnem, iż pomiarkowania nie miał żadnego.

— Król to żydowski i chłopski! niedarmo go tak zwą, począł na głos... Nas ziemian nie lubi, tak, jak my jego... A no, zobaczymy, czy gdy całe rycerstwo przeciwko niemu się podniesie, chłopci go, żydzi i ziemianie obronią.

Mało kto odważył się nawet głową mu potakiwać. Borkowicz mówił, jakby w sobie utrzymać nie zdołał, co mu dopiekało.

— Królowę sobie też dobrał, jakiej był wart. Jam ci ją znał i ścisnął, nim królowi ją dano...

Podniósł rękę do góry.

— Na świadectwo mam oto ten pierścień na palcu... Dała mi go na pamięć, żeśmy się z nią kochali, gdy już była zaswatana... A nie inny pierścień jest, tylko ten, co go od króla miała...

Słuchający osłupieli. Mówiono wprawdzie o stosunkach jego na dworze szlązkim, ale tak jawne przechwalanie się wszystkim usta zamknęło.

— Oj! królowa! królowa! — dodał, wychylając kubek Borkowicz — niech nam będzie zdrowa! I po ślubie przecie nie zapomniała o mnie, bom u niej w sypialni bywał... jako mnie żywego widzicie!

Kilkadziesiąt osób słuchało powieści, nazajutrz ją z ust do ust powtarzano.

Mienia się ludzie.

Stara Konradowa, która dosyć płochą, wesołą a łatwą znała Jadwigę księżniczką, królową jej poznać nie mogła.

Z koroną razem, włożoną na skronie — dostojność, powaga, rozum przybyły. Życie nie płynęło jej wesoło, — nie chmurzyła się niem zbyt.

Król dla młodej żony ani złym, ani dobrym nie był. Czula, że serce jego gdzieindziej mieszkało, nie skarżyła się.

Patrzała nań jakby z miłosierdziem, oczyma śmiało tak, że często przed jej wzrokiem Kaźmirz musiał uchodzić. Nadto czytała w jego duszy.

Dni kilka czasem król się u niej nie pokazywał, powiadano, że na łowach był, słyszała od drugich, że odpoczywał w Łobzowie.

Nie spytała go nigdy, ani się uzała.

Cieżarem mu być nie chciała.

Zbliżył się do niej, nie okazywała żalu, ale nie kłamała czułości zbyt. Chłód męża dumę w niej wywoływał. Była piękną, młodą i widziała się godną przywiązania — żebrać go nie chciała. Zdawało się jej może, iż ono przyjść musi samo.

Niekiedy król z ciekawością się w nią wpatrywał, badał chłodno — lecz zbliżyć się więcej nie zdawał skłonny.

Była jakby obawa jakaś w nim... Chociaż na jednym zamku mieszkali, gdy Kaźmirz mógł sprawami pilnymi się wytłumaczyć, niekiedy po dni kilka ani przychodził do królowej, ni ją widywał.

Naówczas młoda pani zasiadała do krosien i — szyła, lub kapelanowi rozkazując sobie czytać pobożną księgę jaką, słuchała.

— Zkąd się jej te obyczaje wzięły? — mruzczała Konradowa. — Ktoby to powiedział, że z niej taka będzie królowa?

Jednego poranku zdziwił się mocno król, gdy mu Kochan przyszedł oznajmić, że królowa doprasza się z nim rozmowy. Pierwszy się to raz trafiało. Kaźmirz zadumał się, usiłując odgadnąć, czegoby żądać mogła niewiasta, która mu się dotąd nigdy nie narzucała?

Spodziewał się prośby lub skargi... Dnia tego niebardzo był rad rozmawiać. Do wyjazdu wszystko było gotowem.

Eстера, która niedawno drugim synem obdarzyła pana swego, słabą jeszcze była, król widzieć ją pragnął.

Wysłał więc Kochana do Jadwigi z tem, że jeśliby sobie czego życzyła, lub żalić na co chciała, mogła to posłowi zwierzyć.

Gdy Rawa przyniósł odpowiedź króla, Jadwiga, która ubrana czekała — oczyma go zmierzyła chłodno i rzekła.

— Jeśli król czasu nie ma, czekać mogę, nie chcę mu być przeszkodą; lecz sama z nim mówić muszę. Powiedzcie mu to odemnie.

Nie okazała najmniejszej niecierpliwości, chociaż strój zdradzał, że się Kaźmirza widzieć spodziewała. Już przez wrodzoną niewieścią zalotność, już dla tego, że niczem innym zajmować się nie mogła, królowa codzien lubiła się przystrajać bogato i wdzięcznie. Tych dni, gdy króla się mogła spodziewać, ubiór jej był najstaranniejszy. Dobierała szaty i klejnoty, lubować się zdawała w piękności swej. To jedno jej z dawnych, młodszych czasów pozostało.

Po wyjściu Kochana, królowa westchnąwszy, zwolna klejnoty, w które się przystroiła, zdejmować zaczęła, gdy pacholę nadbiegło, o królu znać dając.

Zarumieniona Jadwiga, włożyła na palce zrzuczone pierścienie, spojrziała w małe zwierciadło, i krokiem wolnym wyszła do swej komnaty gościnnej, do której w teże chwili Kaźmirz, w stroju myśliwskim drugimi drzwiami szybkim krokiem wchodził.

Skłoniła się nisko królowa, nie zbliżając nazbyt.

— Chcieliście mówić ze mną? — zapytał król.

— Tak jest — głosem trochę drżącym odpowiedziała królowa. — Potrzebuję mówić... Posłuchajcie mnie, a jeśli słusznem uznacie, weźcie stronę moją.

Rumieńcem oblała się twarz jej młoda. Król wpatrywał się w nią pilno.

— Milczałam, dopóki mogła — dodała z wolna Jadwiga — dziś moje i wasze dostojństwo dłużej nie dozwala.

Coraz bardziej zdziwiony król słuchał z uwagą natężoną.

— Dni temu parę — rzekła z wysiłkiem męznym królowa — na zgromadzeniu wielkiem, na głos, jawnie przechwalał się ten, któremu wy życie darowaliście, że mnie dziewczyną znał, że mnie miłował, kłamał, że go miłowała — śmiał rzec, że po ślubie, tu — w zamku był w sypialni mojej.

Pobladł król i krokiem się cofnął, twarz mu się zmieniła dziwnie, straszno. Nie był to już zobojętniały ów człowiek, któremu nudne życie obrzydło, ale monarcha obrażony na czci — groźny.

— Posłuchaj mnie — ciągnęła dalej; ośmielając się królowa. — Bywał Borkowicz na dworze naszym, widywałam go chętnie, przekupił sługi, aby się ze mną na osobności widywać. Byłam młodą, niedoświadczoną, a sługi miałam niegodziwe.. Wkradłszy się do mnie raz ostatni, gwałtem mi wasz pierścień z palca ściągnął. Winą jest moja, że nie krzyczała naówczas i śmiałka ukarać nie dała.

Tym pierścieniem skradzionym się on przechwala... Boga biorę na świadka — dodała królowa — że nadto nie miał odemnie więcej nic, nawet słowa dobrego. Gardzę nim. Zuchwalec czasu wesela naszego wdarł się do izby ochmistrzyni i był na progu mej sypialni. Precz go wypędziłam,..

Tu królowej głosu na chwilę zabrakło.

— Zeznaję to jak na spowiedzi, i gotowam poprzysiądz — dodała. — Domagam się ukarania tego człowieka... tem bardziej, tem usilniej — że...

Zamilkła i twarz nowym się rumieńcem okryła.

— Że spodziewam się być matką, i ani na mnie, ni na dziecięciu cień nawet potwarzy nie powinien powstać!!

W przerwach mowy, gdyż kilkakrotnie uczucie wezbrane siły jej odbierało, król się nie odzywał, nie dał po sobie znaku żadnego, jak przyjmuje to zeznanie. Bładym był i oczy jego ciskały pioruny... Odgadnąć było trudno, na kogo one wymierzone były, na obwinionego czy na niewinną a mężną królowę.

Spojrzała nań nieśmiało i odezwała się po chwili małej.

— Co mówię, sprawdzić możecie...

Dlatego precz nie odegnała starej Konradowej, która była pomocnicą niegodziwego człeka, aby mi na świadectwo stanąć mogła... Badać ją każcie... wyzna. Winną nie jestem... Człek ten tak zuchwałym był, iż mi pochwyconym pierścieniem grożąc, domagał się — tajemnego widzenia ze mną, precz go odegnać kazałam.

Czyńcie co przystało!!

To mówiąc, królowa, która stała dotąd, zachwiała się jak wysilona, obejrzała się, szukając siedzenia, a król pospieszył, podając jej rękę, doprowadzić do blizkiego krzesła.

Niepowiedział słowa jeszcze...

— Człowiek ten zginąć musi — wyjąknął wreszcie otwierając usta zaciśnięte — i zginie śmiercią taką, by dziesiąte pokolenie ją pamiętało, a wiedziało, jak ma królewski majestat szanować...

Oczy królowej podniosły się ku niemu, spotkała wzrok, jakiego nie widziała nigdy i nieznała. Król był sędzią nieubłaganym, czuła, że na łaskę jego, na miłosierdzie — rachować nie mógł winowajca...

— Prawdęm wyznała! dodała cicho... na moją obronę więcej słowa nie mam...

— I obrony nie potrzebujecie wcale — odparł król z zimną powagą. Słowo wasze starczy mi. Prawdę w niem czuję — winy nie ma...

Mówiąc, król odstąpił kroków kilka zadumany.

— Śmiercią zginie okrutną potwarca — dodał. Przebaczyłem mu mordy i gwałty — oskarżano go o zdradę, niewierzyłem. Urósł dobrodziejstwami mojemu... padnie zgnieciony jak nędzny robak, którego stopą moją wbiję do ziemi...

Widząc królowę zbłądłą i drżącą, Kaźmirz przybliżył się do niej, i ujął ją za rękę.

— Proszę was, dla zdrowia i spokoju, abyście się o los tego nędznika nie dowiadawali. Rzeczcie sobie, że go już nie ma na świecie.

Pomszczoną będziesz jak być powinna królowa, na którą nikczemnik śmiał się porwać...

Słabym głosem dokończył król, i w dłonie uderzył, aby służbę do na wpół omdlełej przywołać.

Dopiero gdy stara Konradowa przełknięta pokazała się na progu, Kaźmirz z przy-muszonym na ustach uśmiechem z wolna wyszedł z komnaty...

Ci, co go spotkali po drodze, spostrzegli, że coś się stać musiało nadzwyczajnego. Rzadko widywano Kaźmirza, który powagą chłodną w najcięższych wypadkach utrzymać umiał, zmienionym tak jawnie, i tak straszno. Często właśnie pod martwym wyrazem twarzy szukano w nim wzruszenia, teraz ono było tak uderzającym, wyraz oczów tak groźnym, iż wszyscy pierzchali przed nim...

Konie do wyjazdu stały w przedsienu, Łowczy i Podkomorzy czekali przy nich, Kaźmirz skinął, aby je odprowadzono.

Ponieważ szedł od królowej, domyślano się, iż ona gniew jego na siebie obudzić mu-siała.

Nie znając przyczyny która wywołała nie skrywany ten gniew Kaźmirza, wszyscy, co go znali, widzieli, że strasliwego coś zaszło pomiędzy małżeństwem, nikt nieśmiało ani pytać, ani się nawet zbliżyć do pana, którego oblicze pałało a ręce drżały... Jeden Rawa, widząc go powracającym do swych izb i konie odesłane do stajen, pospieszył pytać czy sukni zmienić nie zechce.

Zastał króla siedzącego w krześle przy stole i pogrążonego w myślach głęboko. Nie widział go tak zmienionym nigdy, bo zwykł był trzymać uczucia na wodzy.

Zobaczywszy Rawę, król jakby się obudził — chciał coś mówić, zatrzymał się — zamilkł, wstał przeszedł, siadł znowu.

— Sędziego mi powołaj kaź, rzekł krótko...

Sędzią Krakowskim, który z ramienia i rady ks. Suchywilka na ten urząd wyznaczony został, był Mikołaj Doliwczyk, którego za młodu przezwano Ślepce, dlatego, że krótki wzrok mając, oczy przymrużał i z bliska wszystkiemu przypatrywać musiał.

Człowiek był w prawie biegły, niegdyś do stanu duchownego przeznaczony — zimny, obojętny, i całą duszą oddany powołaniu — bezzenny i bezdzietny, nadzwyczaj skąpy — zdawał się mieć dwa w życiu cele — zostać najuczciwszym z prawników i najmajątniejszym z Doliwów.

Ani dobry, ni zły — co tylko mógł poprzeć jakimś kodeksem, przykładem, statutem, jakąś uchwałą, prawem zwyczajowem — to mu się zdawało usprawiedliwionem. Pojęcie prawa dla niego całe było w giętkości jego i zastosowaniu do potrzeb chwili; zasadzał rozum na tem, aby umieć zawsze znaleźć to w zasobach nauki, czego mu było potrzeba.

Sama powierzchowność człowieka odstręczająca była. Nie patrzył w oczy nikomu, chodził z powagą wielką, nie poruszał się niczem oprócz — sprawą majątności własnej, nie przyjaźnił z nikim — nie kochał nikogo. Wrażał bojaźń we wszystkich, bo znano zasadę jego, że prawo było przeznaczone do powściągnięcia i karania ludzi.

Względem panującego, którego jako najwyższego sędziego, nad wszelkie prawo pi-sane i zwyczajowe mającego większą władzę — szanował, Mikołaj był zawsze najposusz-niejszym z narzędzi.

Ks. Suchywilk cenił go dla wielkiej pamięci, erudycy i — nieskazitelności jego. Jak-kolwiek bowiem lubił grosz i kapitał, niktby nawet nie śmiało pomyśleć o zyskaniu go lub przekupieniu..

Życie, które Sędzia prowadził, było zastosowane do charakteru. Na godzinę oznaczoną zjawiał się w sądzie, nikomu nie przebacząc opieszałości — nielitościwie dosiadywał do końca — i jeśli go urzędowe czynności nie wzywały nigdzie, zamykał się potem w domu nad księgami. Nikt go nigdy nie widział na żadnej biesiedzie, przy żadnym stole, ale tam, gdzie miejsce dla sędziego, był niemiłosiernym także.

Na zamku odbywały się właśnie sądy, gdy Mikołajowi znać dano, że król pilno go wzywał. Król? — to znaczyło, że wszystko porzucić natychmiast musiał i biedz posusz-ny...

W chwili odprawił strony, które sprawę swą wywodziły — i pospieszył do komnat pańskich.

Zastał Kaźmirza jeszcze nieostygłego...

— Sprawa jest — rzekł król po namyśle — w której ja obrażonym i dotkniętym jestem na czci mojej, a ta cześć moja, to cześć korony i królestwa!! Sędzią być waham się, bom razem stroną... a muszę!!

Błysnęły oczy Kaźmirzowi...

— Słuchaj, rzekł — na co zasłużył człek, potwarca i kłamca, który na sławę i spokój pana swojego nastaje... chlubi się...

Król był tak poruszony, iż mówić przestał na chwilę.

Ślepiec stał namarszczony, chciwy posłyszenia, o co chodziło.

Nie mogąc doczekać rychło reszty mowy królewskiej, odezwał się głosem suchym pedagoga.

— Obraza majestatu królewskiego, choćby tylko przedsięwzięta, a nie spełniona, jest obrazą Boga, którego pomazańcem i zastępcą jest każdy monarcha na ziemi. Kara główna... śmierć!!

— To mało! — zawołał król uderzając o stół ręką.

— Rodzaj śmierci może monarcha sam naznaczyć... wedle stopnia winy, — rzekł sędzia.

— Wina większą być nie może nad popełnioną przez tego złoczyńcę, — odparł Kaźmirz. — Obsypałem go dobrodziejstwami, przebaczyłem mu wielokroć. Świeżo przekonanemu o zabójstwo darowałem życie.

— Maciek Borkowicz? — spytał cicho Ślepiec.

— Imieniem tem ohydny ust sobie kalać nie chcę... — podnosząc głos począł król. Stało się milczenie na chwilę.

Sędzia z oczyma wlepionymi w podłogę, zamyślony, ważył co powiedzieć miał. — Król czekał.

— Pomnij, — wtrącił, — że nietylko zdracą go dziś uznaję, czemu niedawno wierzyć nie chciałem, lecz... na królowej cześć potwarz śmiać rzucić!.. Na niewiastę, na ukoronowaną małżonkę naszą!..

Sama ona ze łzami i skargą na niego przysła do mnie... Dowodów nie potrzebuję, obrona niemożliwa, wina jawna!

Sędzia myślał.

— Gdyby gardło dał... małoby było, — rzekł. Pod pręgierzem język mu kłamiwy wyrwać kat powinien i kara taka jak na ojcobójców, jak na świętokradców... Większej nie znamy.

Wzdrygnął się król i zadumał. Gniew zwolna ustępował, wrodzona mu dobroć brała górę.

— Chciałem sumienie moje mieć przez was objaśnione, — odezwał się, — dosyć mi na tem... Przebaczyć mi niepodobna, przykładu potrzeba... Zginąć powinien...

— Zginąć jako ojcobójca — powtórzył sędzia z przyciskiem. — Zaszyty w wór, razem z wężem, kotem...

Król dał znak ręką, że więcej słyszeć nie chciał. Myśl jakaś przeszła mu snąc po głowie.

— Dziękuję wam — rzekł, odprawiając sędziego. — Zachowajcie przy sobie, coście słyszeli odemnie. Milczenie nakazuję. Nie chcę, by złoczyńca, zasłyszawszy zawczasu co go czeka, uszedł od słusznej zemsty mojej do swych przyjaciół Brandeburgów, do moich nieprzyjaciół Krzyżaków.

Szybko zwrócił się król ku drzwiom drugim.

— Kochan! — zawołał, głos podnosząc, pewien, że blisko być musi.

Rawa stał już w progu, gdy Ślepiec schylony do ziemi pokłonem, wysuwał się drugimi drzwiami.

Zobaczywszy go, Kaźmirz się przeszedł po izbie milczący, jakby chciał sobie dać czas z gniewu ochłonać.

— Maciek Borkowicz jest przezemnie na śmierć skazany — rzekł stając. — Potwarz śmiał się przechwalać łaskami królowej, skradzionym jej pierścieniem, usiłował wdrzeć się do sypialni jej.

Spojrzenie na Rawę wstrzymało dalsze słowa. Kochan twarzą swą i ruchami dawał znać, że o wszystkim tem był zawiadomiony.

— Mów — przerwał król.

— Dawno tego zbója na świecie już być nie powinno — odparł Kochan. — Wart najsroźszej kary... ale miłosierdzie wasze.

— Będę niemiłosierny, srogi, okrutny — zawołał król. — Wiesz wszystko?

— Wiedziałem wiele, domyślałem się wszystkiego — rzekł Kochan.

— I milczałeś? — z wyrzutem oburzenia spytał Kaźmirz.

— Czekałem sposobnej chwili.

Wejrzenie dziwne, podejrzliwe, rzucił król na ulubieńca.

— Pomnisz Baryczkę? — rzekł nagle. — Za twoją sprawę, za tę śmierć, której ja nie nakazywałem, której nie chciałem — za twą samowolę Kochan! — Cierpiałem i milczałem... Ocaliłem ci życie — nie zapierając się...

Pomnisz to? — Dziś powinieneś za to odpokutować.

Kochan zdziwiony podniósł głowę. Nie pojmował, jaki związek dwie te sprawy z sobą mieć mogły. Król po małym przestanku mówił dalej.

— Tak — za karę, żeś śmiał być katem samowolnie, dziś ja cię katem czynię nad Borkowiczem. Daję ci moc... Rób co chcesz... Powinieneś mu wziąć życie... Wieszaj go, ścinaj, rwij na sztuki... to rzecz twa... ale mi się nie staw na oczy, póki on żyw chodzi po świecie... Głowę mi jego przynieść musisz...

Kochan, który się najmniej podobnego polecenia spodziewał — stał jak osłupiały. Tłumaczyć się nie było sposobu, ani wypraszać.

Rozkaz stanowczy, nieodwołalny, z jednej strony był dlań zaszczytnym, z drugiej trudnym i przykrym.

Wiedział Kochan, iż zadanie łatwym nie było, że złoczyńca silny, przebiegły, zuchwały, w obronie życia mógł się do ostateczności posunąć. Znaczyło posłannictwo to — że życie swe stawić musiał.

Wspomnienie Baryczki czyniło przykrzejszym rozkaz króla, który milczał długo, a winy nie zapomniał.

Kochan głowę zwiesił.

— Słyszałeś — powtórzył król — idź, wybieraj się w drogę. Spiesz, aby ci nie zbiegł... Jeżeli uciecze, biegnij za nim. Żyć nie powinien. Jako znak jego śmierci, przyniesiesz mi pierścień królowej — skradziony, porwany siłą.

Milcz — jedź, i nie daj mi czekać na spełnienie rozkazu.

Rawa chciał coś przemówić — lecz spojrzawszy na króla, nie ważył się — głowę pochylił i wyszedł.

Na zamku zawsze jeszcze tajemnicą było czem króla gniew został wywołany. Przywołanie sędziego, potem Kochana, odprawa jego nagła, rozkazy wydane pocztowi do drogi, posłanie po kanclerza, który list królewski otwarty dla Rawy miał sporządzić, wszystko to razem do najwyższego stopnia obudziło ciekawość dworu.

Królowa po wyjściu Kaźmirza, zamknięta, płakała.

Trwoga jakiegoś wypadku tajonego a straszego ogarniała wszystkich. Nie doświadczano srogości króla, ale czuli to otaczający go, że w gniewie mógł się do nieubłaganego posunąć okrucieństwa.

Drżało wszystko.

W godzinę potem wiedział już Wierzynek, iż coś zaszło na dworze, uwiadomionym był ks. Suchywilk, który do króla pospieszył, nawykłym będąc, iż go do rady w ważniejszych sprawach powoływał.

Gdy nadszedł powiernik, król już w znacznej części z pierwszego gniewu ochłonął, lecz jak po ogniu gorycze dymu pozostają w powietrzu, tak po nim została w duszy Kaźmirza żółć i boleść.

Miarkując się, spokojnym być starając, opowiedział ks. Janowi sprawę swoją, kończąc krótko nieodwołalnym śmierci wyrokiem.

Ks. Suchywilk nie śmiał przemawiać za winowajcą.

— Śmierci jest godzin — rzekł — lecz miłość wasza, karząc go, dasz rozgłos sprawie niemilej... którą ciemności i milczenie na wieki pogrzebać powinny...

— Któż będzie śmiał usta otworzyć po spełnieniu wyroku? — odparł Kaźmirz.

Ks. Suchywilk zamilkł.

Król usiedzieć w miejscu nie mogąc, przechadzał się ciągle.

— Otoż macie przykład tego, czem jest rycerstwo moje, czem dla mnie ziemianie, którzy podporą tronu być powinni — odezwał się z goryczą. — Rzucają mi w oczy jak zbrodnię, żem chłopów umiłował, że żydom daję opiekę, że mieszczan bronię!! Na Boga! zaprawdę tak czynię to, bo u tamtych pokrzywdzonych, uciśnionych czuję, że mam miłość, u ziemian za dobrodziejstwa odbieram niewdzięczność i zdradę!! Tak ci jest! Nie taję. Jednych podnieść pragnę, drugich okiełznać... Sprawiedliwa rzecz, i winy za nią przed Bogiem nie będę mieć.

Uczuł się ks. Suchywilk, jako dziecię ziemian, jako rycerstwa potomek, dotkniętym.

— Miłościwy panie, rzekł — dla jednej owcy parszywej stada całego potępiać się nie godzi.

— Gdyby jedna tylko w niem była! rozśmiał się król. Wiem ja i czuję, na kogo rachować, kogo się obawiać muszę...

Któż, jeśli nie ziemianie, zmusili mnie niemal do tak wczesnego przekazania korony siostrzeńcowi, który im złote obiecuje góry?

Król westchnął, i zwracając się do Suchywilka dodał ciszej.

— Bóg jeden wie, co przyszłość gotuje, królowa przy nadziei.

Ks. Jan skłonił się wieszając i ręce składając do modlitwy.

— Daj Bóg, by nam dziedzica tronu na świat wydała! rzekł cicho.

— I w takiej to chwili, złoczyńca ten — wybuchnął król z gniewem wznowionym — śmiał na nią potwarz rzucić, aby plamą skaził kolebkę mojego następcy...

Kapłan zmuszony był pocieszać i uśmierzać króla, pozostał przy nim długo i nie odszedł, aż go zobaczył ułagodzonego i spokojnego. Przyczyniało się do tego, że sprawę pomsty czci swej powierzył Kochanowi, którego znał dla siebie wierność, przywiązanie, odwagę i przebiegłość.

Wybór ten i ks. Suchywilk pochwalił: trudno było o lepszy.

Wyszedłszy od króla, uczuł potrzebę widzenia się z Rawą, który mimo największego pośpiechu wyjechać jeszcze nie miał czasu. — W mieszkaniu królewskiego ulubieńca panował nieład największy.

Służba zwijała się, ściągając rzeczy, gotując oręż, wiążąc sakwy... Dworzanie napływali jedni żegnać, drudzy wybadać i coś się dowiedzieć od niego. Kochan opowiadał fałszywie, że do Pragi był wysłanym... Nie chciał, aby cel podróży odgadywano. Dziwnem się musiało wszystkim wydawać, że najdobrzańszych, najśmielszych, najsilniejszych brał do boku towarzyszków. — W spokojnej Pradze postawnych i okazałych mógł potrzebować tylko.

Ujrawszy w progu ks. Jana, Kochan wybiegł na spotkanie dostojnego przyjaciela królewskiego i szedł z nim na osobność do przyległej komory...

Nie potrzebował nawet dopytywać się o to, że on o wszystkim był zawiadomiony...

— Ciężar na was spadł wielki — odezwał się ks. Suchywilk...

— Nie ludzę się — żywo odpowiedział Kochan — głowę swą nosę, idąc ją wziąć temu warchołowi, lecz pan rzekł...

Zamyślił się nieco i dodał.

— Tak, życie mu wziąć — to nic — ale potrzeba go ukarać jak zasłużył i przykład dać na nim zdrajcom a zuchwalcom co się na majestat pana targać śmieją.

Muszę być okrutnym — będę nim.

— Nie nad miarę — rzekł z wolna ks. Suchywilk. Srogość kary każe się większej winy domyślać...

— Większą być nie mogła — żywo przerwał Kochan. Wiem więcej, niż królowi powiedziano... Zdradę knuje, pani naszej sromotę uczynić chciał a przechwalał się jej łaską... Małoż tego?

Ksiądz popatrzał nań z natężeniem i powagą.

— Ukarz, rzekł — a nie mścij się, zemsta dowodzi, że ciężko się czuł obrażonym. Majestat króla zbyt wysoko stoi, aby go jeden nikczemnik mógł dosięgnąć.

Rozumne te słowa, które Kochan milczeniem przyjął — nie uczyniły na nim wrażenia, jakie zrobić były powinny. Miał już zbyt silne postanowienie okazania się okrutnym.

Miłość dla króla, gniew pana, którego był świadkiem, czyniły go tak, jak osobiście dotkniętym.

Lecz nie dosyć było powiedzieć sobie: — ukarzę, pomszczę. — Kochan wiedział, że porywał się na zadanie trudne, które tylko z nadzwyczajnym pospiechem i odwagą wielką mógł spełnić. — Potrzeba było dniem i nocą biedz za Maćkiem Borkowiczem, nimby wieść do niego doszła, co mu grozi...

Szczęściem tajemnica, choć w połowie niewiastom zwierzona, uchowała się i na dworze nic nie odgadnięto, a Maciek, uzuchwalony ostatnią swą bytnością w Krakowie, wcale nie przeczuwał, iż słowa jego, nierozważnie rzucone, tak się odbiją daleko i prędko..

Szydził z niedoleżności króla, a tym, co go do większego pomiarkowania i ostrożności skłaniali, odpowiadał grubiańskimi szyderstwami...

Z Poznania, w którym przebywał czas dość długi — właśnie gdy Kochan, mający go ścigać, z Krakowa wyruszał — Borkowicz z dosyć licznym przyjaciół pocztem udał się do Kalisza.

Ciągnęło go tam coś, z czego, mimo gadatliwości swej, spowiadać się nie chciał. Miał jakieś nadzieje, że kasztelan kaliski i mała załoga, jaka na zamku była — zdadzą mu gród, lub że przynajmniej upewni się o łatwe jego opanowanie. Ztąd on chciał rozpocząć otwartą wojnę przeciw królowi, pochlebając sobie, że mu Wielkopolskę z pomocą Brandeburgów oderwie...

Na pochwycenie Poznania od razu kusić się nie mógł jeszcze, od Kalisza chcąc rozpocząć.

Wysłańcy jego, którzy dawno tam krążyli, przynieśli mu dosyć dobre wieści. Kasztelan na króla się gniewał i odgrażał, siła na zamku była nie wielka...

W najlepszej więc nadziei — ze skromnym pocztem, bo mu nigdzie nic nie groziło, jechał Maciek Borkowicz do Kalisza tak, jakby się wybrał na przejażdżkę. — Przyjmowano go wszędzie jako przyszedłego pana, ugaszczając we dworach, wyjeżdżając przeciwko niemu i zapraszając w goście...

Rosło znaczenie i moc, a z niemi zuchwalstwo człowieka zaślepionego...

Pochlebcy go wbijali w dumę...

Ochoczo więc i wesoło tocząc się tak ku Kaliszowi, w którym zawczasu gospody sobie upatrzyć kazał, przybył Borkowicz do miasta naprzód i nimby na zamek się dostał, po podróży wypoczywał...

Drugi już dzień upływał od przybycia Maćka Borkowicza do Kalisza, a z gospody jeszcze nie wyruszył ani do zamku, ani na miasto...

Nie można było odgadnąć, czy mu się tu nie wiodło po myśli, czy jeszcze swych zabiegów nie rozpoczął, znajdował się tu wcale inaczej niż w Poznaniu, niż w podróży, jak gdyby to, co przedsiębrał, wielkich wymagało ostrożności.

Po drodze już część tłumnego dworu i orszaku swego zostawił w majątności znajomego ziemianina. Sam przybył tu z niewielu ludźmi, cicho, nie rozkładając się nazbyt szeroko. Brata Jaśka ani syna z sobą nie miał, kilku wyrostkami się posługiwał, chodził zasępiony, jakby to, na co się teraz ważył, nawet jemu wydawało się niebezpiecznym.

Po przybyciu nazajutrz posłał się dowiedzieć o Kasztelana. Nie było go w Kaliszu, siedział w majątności swej o mil parę, zapowiadano powrót jego. Na zamku dowodził stary wojak, niejaki Wilczura, który tak samo jak Borkowicz do szczytu Napiwonów należał.

W tych czasach szczyt jeden, choćby najbardziej rozrodzony, stanowił jeszcze jedną rodzinę, nawet gdy członkowie jego z różnych się majątności pisali. Czy Wilczura przyjęty był dawniej do zawołania tego, on lub rodzic, czy w istocie ze krwi Napiwonów pochodził — nie wiedział Borkowicz, ale w starym żołnierzu widział pobratyma.

Możny pan ubożego rycerza, który całe życie w żelaznej koszuli przesłużył i pamiętał sławne boje Łoktkowe, a jak inne rycerstwo króla tego w bogactwo się nie wzbil — mało sobie szacował.

Lecz, co dziwniejsza, Wilczura, wojak prosty, który krom swego rzemiosła niewiele znał świata — owego strasznego i potężnego Borkowicza niewiele też ważył.

Chciał się doń dawniej zbliżyć Borkowicz i wabił go sobie, ale stary mu kazał powiedzieć, że jeśli poznać się z nim życzy, aby sam pierwszy doń przybył.

Teraz Maciek go sobie ująć potrzebował koniecznie. Nazajutrz więc po przyjeździe swym posłał pierwszego dworzanina do niego z prośbą, aby przyszedł z niem chleb przelamać.

Wrócił poseł z tem, iż Wilczura go zbył znowu hardo, że czasu nie ma, stary jest, a jeśli łaska, Borkowicza u siebie na zamku z chlebem czeka.

Chleb ten starych wojaków nadto znał Maciek, aby mu się go kosztować zachciało.

Wprawdzie nie wykwiłta była własna jego kuchnia, lecz nawet w drodze na zwierzynie, na omaście i na nabiale nie zbywało, i Borkowicz jeść lubiący, żarłoczny, na strawę zamkową nie był łasy.

Przeczuł on to, co w istocie było, że Wilczura jadł toż samo co jego ludzie, lada jaki mięsa kawał, chleb czarny i polewkę z krupami, często stęchłemi.

Zagniewał się w początku na tego pokrewnego, naburczał, wreszcie u siebie podjadłszy, na zamek samotrzeć konno ruszył.

Zamczysko było położeniem warowne, ale go jeszcze dotąd ręka Kaźmirzowa nie tknęła, nie odrodził się z muru jak innych wiele; bronily go wały, ostrokoły, przekopy, a we wnętrzu murów mało co było, więcej szop i szałasów.

Nie było na co spojrzeć, tak zamczysko nędznie wyglądało, a przecie się krzyżakom kilkakroć oprzeć mogło.

Nie czyniono około niego dotąd nic, właśnie może dla tego, iż wkrótce nań kolej przyjąć miała, gdy cały z muru wznieść się był powinien.

Wilczura, dowodzący zaogą, mieszkał w izbie poczerniałej od dymu, ledwie ławy i stół mającej, a tokowisko miasto podłogi. Tuż była łaźnia, od której buchająca para małe wejście zasłaniała.

Gdy Borkowicz, wjechawszy w podwórze butnie i głośno o Wilczurę dopytywać zaczął, w progu izby z za pary łaźiebnej ukazała mu się postać, w której trudno się było dowódcy domyśleć, chociaż nią była.

Człek słusznego bardzo wzrostu, chudy, kościsty, z szyją długą, łysy, z brodą postrzyżoną, siwą, policzki zapadłemi, stał, w boki się ująwszy, w kaftanie i spodniach skórzanych, w skorzniach grubych, w narzuconej na ramiona opończy zszarżanej.

Stał, słuchał, patrzył i milczał, dopiero gdy srogiego hałasu narobił Maciek, huknął głosem ogromnym:

— A czegoż od dowódcy chcecie?

Borkowicz tedy, domyślając się kto był, z konia zsiadł i ku niemu szedł z wesołą twarzą, powiadając, iż pobratyma poznać pragnął. Sam mu się jako starosta wielkopolski mianował.

Na Wilczurze ani przyjazd, ni wspaniała postawa, ni nazwisko i godność przybyłego nie zdawały się czynić najmniejszego wrażenia.

Sklonił nieco głowy i rzekł.

— Rad jestem — panu bratu, a że innej izby na zamku nie mam, jeno tę, wskazał ręką na drzwi — do niej proszę.

Rad nie rad w niskich drzwiach karku ugiąwszy, Maciek musiał wniknąć. Do wielkich zbytków nie był nawykły, wszelako ta komora ciemna, w której resztki dymu, ostatki strawy, dziegieć, smołę i tłustość czuć było, zarzucona żelaztwem i skórą — nie bardzo mu się podobała.

Na ławie wąskiej a twardej, nie pokrytej niczem siadłszy, u stołu, na którym bułka chleba i nóż żelazny, a na miseczce bryłka soli leżała, Borkowicz sapnął i zamruczał coś — lecz nie rzekł nic.

Wilczura, posadziwszy go sam stał, nimby sobie miejsce znalazł.

— Cieszę się nie mało, że nareszcie was poznaję — począł Maciek, bośmy to jednego szczytu oba. Dawnom chciał się do was zbliżyć, aleście wy do mnie nie chcieli...

Słuchał Wilczura.

— Była temu przyczyna, i niejedna — odezwał się stary wojak... Naprzód ta, żeście wy Napiwon możny, a jam Napiwon ubogi...

Gdy się biedny do bogatego zbliża, daje myśleć, że od niego chce czegoś, a ja od nikogo nic nie żądam. Potem, jam żołnierz, w jarzmie żelaznem chodzę, czasu nie mam. Patrzą tego, z czego chleb jem.

— A! no! rozśmiał się Borkowicz — wnosząc z tego chlewa w którym wam król mieszkać każe, i chleb być musi ościsty...

— Pewnie, ale taki żołnierzowi przystał — odparł stary, zębów on nie łamie, a do lepszego przywyklszy, coby na wojnie robił, gdzie i o ten trudno?

— Ale wam, coście postarzelisi pod zbroją, jużby czas też i odpocząć? rzekł Maciek.

Wilczura potrząsał głową.

— Nie. Człowiek, choć stary, coś robić musi; cóżbym ja począł, gdy nic nie umiem innego, krom jak się zbroja chędoży i konia siodła?

To mówiąc poufale siadł na przeciw starosty Wilczura na siodle wysokim, które blisko znalazł...

Starosta bądź co bądź, dla swego dostojenstwa, sławy, bogactw, spodziewał się od niego większego poszanowania, lecz, potrzebując człowieka, zniósł lekceważenie.

— Pierwszego was widzę — odezwał się, co się nie skarży na swój los... i innego nie pragnie.

Wilczura się uśmiechnął.

— I na to jest przyczyna, rzekł, żony nie miałem, dzieci nie mam, sam do tego chleba nawykłem — na co mi więcej i inaczej?..

— A jakże tu u was na zamku? odezwał się Maciek — mnie się widzi lichy sklecony... król coś o nim zapomniał.

— Bo ma pilniejsze do opatrzenia — przerwał Wilczura — a te kletki, jak je widzicie, niepozorne, woda i ziemia broni dobrze i lepiej niż drugie mury...

Mało to jest ludzi, dodał stary, co niepocześnie wyglądają, a przecie coś są warci. Tak i zamek nasz!

Uśmiechnął się.

— Przyjdzie kolej i na niego, gdy Bóg królowi życie przedłuży, to go kamiennym uczyni jak inne.

Nie wiodło się Borkowiczowi, który dwakroć o króla zaczepiwszy, odprawę dostał, począł więc z innej beczki, o sobie, o tem, co on dla Wielkopolski czynić zamierzał... a potem jakby był rad krewniakowi usłużyć czemś — i lepsze obmyśleć zajęcie.

Wilczura słuchał obojętnie, lecz ując się niczem za serce nie dawał. Do takiego oporu nie był nawykłym Maciek, naposiadł się więc, nieżałując czasu, Wilczurę sobie pozyskać. Przyjął od niego piwsko kwaśne, rozgadał się szeroko, starego do mówienia wyciągał i słuchał — odjeżdżać nazad do gospody ani myślał.

Kiedy się to na zamku działo, a dwaj dworzanie, przybyli z Maćkiem, w podwórcu pozostawszy, nie mając co czynić, chodzili po zamku, ciekawie się w nim rozpatrując — na mieście zaszło coś, co nagle położenie zupełnie zmienić miało.

Kochanowi Rawie zawsze i prawie we wszystkim szczęście służyło — tak mu się też z trudnem tem ujęciem warchoła powiodło. Z Krakowa wyruszywszy, dniem i nocą pędził Kochan do Poznania. Nie dojechawszy tu dowiedział się przypadkiem o wyjeździe Maćka do Kalisza. Natychmiast za nim zawrócił.

Po drodze, śledząc siły przeciwnika — Kochan z wielką radością swą przekonał się, iż poczet, towarzyszący starości, był mały, a w Kaliszu ludzi przy nim zostać miało niewiele.

Tu wprost ku gospodzie mu wskazanej dążąc, w rynku dopytał znowu Rawa, iż dziwnem losu zrządzeniem Borkowicz właśnie przed chwilą samotrzeć do zamku pojechał.

Szczęśliwszego wypadku ani mógł żądać, ni się spodziewać Rawa. Chociaż konie i ludzi miał pomęczonych, musiał natychmiast do zamku zawrócić. Drugi raz się tak złożył nie mogło, by Maćka samotrzeć, i to w zawartem miejscu, chwycić.

Jak szalony popędził Kochan ku wrotom i naprzód swojemi ludźmi je obsadził. Zaczynali się, widząc to, zbiegać żołnierze, wypadł z wrót drugi pułkownik, który był pod rozkazami Wilczury, lecz temu Rawa, rozkaz pod pieczęcią królewską pokazawszy, milczeć polecił...

Chciano Wilczury wołać, na co Kochan się zgodził, ale nie wprzód, ażby wszystko co potrzeba, było przygotowanem.

Dwaj dworzanie Maćka, posłyszawszy u wrót wrzawę, powoli szli się o nią dowiadywać, gdy Rawa ich postrzegłszy, wnet pochwycić kazał, związać i zakneblować, aby wrzawy nie czynili. Stało się to tak szybko i łatwo, bo się wcale nie spodziewali tego co ich spotkało, że żaden z nich nawet krzyknąć czasu nie miał.

Zwijął się Rawa jak szalony, miecza dobywszy i od wrót nie odstępując...

Chociaż wielkiego hałasu nie było na zamku — przecież ucho czujne Wilczury coś pochwyciło. Borkowicz uparcie na ławie dosiadywał, musiał więc dowódzca niespokojny wyprosić mu się aby zobaczyć co w jego grodzie pokój zakłóciło...

Maciek sam pozostał na swej ławie, kwaśny jak to piwo, które pić musiał. Trwał w miejscu, bo się zawsze spodziewał ująć sobie Wilczurę.

Ten zaledwie w podwórze wyszedł, Rawa poskoczył ku niemu z królewskim rozkazem.

Oślupiał Wilczura — lecz, na krótką chwilę. W dwóch słowach Kochan objaśnił mu wszystko. Wahać się i namyślać nie było można. Stary żołnierz uśmiechnął się tylko, widząc jak opatrność boska złoczyńcę do łapki wpędziła — dając go w ręce sprawiedliwości.

Chociaż Borkowicz sam jeden był, a ludzi wiele czekało nań, Kochan nadto go znał, by mógł pomyśleć, że się podda nie broniąc... Trzeba się było gotować do zajadłej z nim walki.

Wilczura, zamiast do izby swej powracać, kazał sobie żołnierską zbroję przynieść i miecz. Ludzie pętle i powrozy przygotowali, i Kochan stał korda dobywszy, też.

Naradzano się, jak go z izby wykurzyć.

Tymczasem ludzie się u wnijsia ustawili kołem, aby nie uszedł na wały, z których mógł do wody się rzucić...

Po oddaleniu się Wilczury siedział Borkowicz z początku spokojnie, dumając i oczekując powrotu jego. — Wrzawa przytłumiona w podwórcu wcale go nie obchodziła, nie domyślał się nic wcale.

Gdy wreszcie dowódzca nazbyt długo nie powracał, a to odejście jego za ubliżające sobie począł Maciek uważać, wstał z ławy, jeszcze się nic więcej nie dorozumiewając oprócz grubjaństwa Napiwona...

Klął gburę... Miał-li nań czekać, czy wynijść i jechać precz obrażony?

Wilczury mu przecież potrzeba było koniecznie, nie rozpaczał jeszcze, że go zjedna...

Musiał więc w izbie śmierzącej, w zaduchu — czas jakiś jeszcze z pędzić. Siadł mruząc...

Wilczury jak nie było widać tak nie było. — Borkowicz z nudy nasłuchiwać począł.

Co się na zamku działo, nie mógł zrozumieć. Słyszał wyraźnie szepty, stąpanie szybkie, tłumne, bieganie około ścian, stłumionemi głosy wydawane rozkazy...

Lecz i teraz jeszcze nie przeszło mu przez głowę, by się to jego tyczyć miało...

On, co marzył o panowaniu tutaj!!

Trwało oczekiwanie dobry czas, gdy naostatek, djabłem wykławszy niegościnnego Napiwona, Borkowicz kołpak nałożył — i do drzwi kroczył.

Drzwi, jak mówiliśmy, były niskie, a para z łaźni wprost ku nim buchała. Maciek otwierając je, schylić się musiał i za obłokiem pary nic dojrzeć nie mógł, oprócz, że siła do koła ludzi stało...

Głowy jeszcze zgiętej we drzwiach nie miał czasu rozprostować, gdy niewolnik Tatarzyn, który na zamku do posług był używany i konie na arkany łapał tak zręcznie, iż mu żaden nie uszedł — postawiony umyślnie z boku, na szyję staroście pętlę cisnął.

Niespodziewający się niczego Maciek na ziemię padł, ryk wydawszy z piersi, jak dzika bestja. Wnet też całą siłą, a miał ogromną, podniósł się, rzucił, targnął, i byłby pętlę zerwał może, gdyby wnet ludzi kilku nie przypadło i nie obaliło go, na kark mu i na ramiona siadłszy.

Borkowicz rękami miecza sięgał, gdy mu je w tył porwano i krępować zaczęto. Drudzy nogi już, któremi wierzał broniąc się, wiazali.

Pomimo przewagi ludzi tylu, starosta długo się rzucał, targał i rycząc bronił jako mógł, w ostatku zębami chwytając co napadł, tak, że jednemu z wiazących go, kawał ucha ugryzł.

Próżny to był wysilek — po krótkiej chwili leżał obalony zbój, sznurami cały spowity, a Kochan z papierem królewskim stał nad nim.

Cizba się ogromna zbiegła z zamku całego na to widowisko, a że wszyscy niem zajęci byli, nie zważano na to, że niespokojny o pana, starszy dworzanin Maćka wpadł dowiadywać się o niego na zamek i — ujrawszy zaledwie co się działo, ponieważ wrót już nie strzeżono, zbiegł zaraz do miasta.

Kochan tymczasem w obec świadków wyrok królewski leżącemu czytał, skazujący go na śmierć.

Kara jak na ojcobójców wymieniona w nim była.

Piorun ten, który padł na człowieka uzuchwalonego szczęściem właśnie w chwili, gdy się zwycięstwem przechwalał i roił nowe zamachy — innego byłby ubił może... Borkowicza tylko wściekłym uczynił.

Oczy mu zakrwawione zdawały się na wierzch wychodzić, twarz siniała, żyły nabrzmiały, piana okrywała usta, związany wyprętał się tak, iż sznury niektóre porwał i nowemi go krępować musiano, nie prosił jednak litości, ani rycząc, rzekł co innego, nad przekleństwa okrutne.

Jak gdyby tego, w czyjej był mocy, okrutniejszym chciał uczynić — zamiast go błagać — Borkowicz bezcześcił Kochana i lajał najsromotniejszymi wyrazami.

Ale Rawa w tej chwili tak był szczęśliwy, iż trudnego dzieła z nadzwyczajną łatwością dokonał — iż przekleństwa i obelgi śmiejąc się znosił.

Niektóre z nich utkwiły w jego pamięci i sercu, choć nie dawał poznać tego po sobie, bo ludzi było dosyć przytomnych.

Przeczytawszy mu wyrok i rozkaz królewski, Borkowicza do izby na dole w zamku dał zawlec, więzów nie tylko nie ulżywszy mu, ale mocniej jeszcze dla bezpieczeństwa skrupowawszy. Dwudziestu ludzi z załogi postawiono na straży, pod gardłem im zagroziwszy, aby na chwilę więźnia z oka nie spuszczały i nikomu się do niego zbliżać nie dopuszczali.

Kochan na chwilę ustąpić musiał aby spocząć, gdyż na nogach ze znużenia ledwie się mógł utrzymać.

Z zamku natychmiast oddział wysłano silny, aby ludzi Borkowicza zagarnął i wszystko, co przy nich było, gdyż całe mienie zdrajcy i majątności nadane mu przez króla na skarb miały być zabrane.

Wysłani wszakże, gdy do gospody przybiegli, już w niej nie znaleźli nikogo, porozrzucaną tylko słomę, siano i jeden wóz pusty z kołem złamanem. Borkowicza ludzie wszyscy się rozbiegli, pochwycając co kto mógł.

Nie chciał Kochan, z obawy rodziny i przyjaciół Borkowicza, ani w Kaliszu trzymać na zamku, ani go tu karać, gdyż i rodzaju śmierci nie postanowił był, i chciał o to śłać do Krakowa. Wprawdzie król zostawił mu wolę tak z nim postąpić, jak sam chciał, byle życie postradał śmiercią okrutną i trwogę obudzającą, lecz Rawa na siebie za nią odpowiedzialności brać nie chciał.

Pamiętał, iż z ust króla wyrwało się, gdy go odprawiał:

— Żadnego miłosierdzia nad nim, ani względu na urząd i ród... Bydlę to, niech jak bydlęta ginie...

Śmierć ta bydlęca, jaką być mogła, Rawa nie umiał odgadnąć, a wprost łeb mu uciąć kazać — za mało było...

Wieść o ujęciu Borkowicza i wyroku na niego piorunem się rozeszła po okolicy. Roznieśli ją zbiegli ludzie jego.

Tejże nocy, nieopodal znajdujący się brat dowiedział się o tem, a że mu w wielu napaściach i gwałtach posiłkował i podobnego obawiał się losu — natychmiast pospieszył na radę z synem, chcąc z nim razem, zabrawszy trochę ludzi i grosza, przerzucić się za granicę.

Kochanowi z Kalisza pilno było — lecz i on, i towarzysze jego, i konie ze znużenia padały, musiano więc spoczywać.

Tymczasem brat Maćka i syn znieśli się z sobą. Jaśko uchodzić chciał, aby pomścić brata, syn ratować, odbijać, wykupić pragnął i — zdawało mu się to możliwem. Nie słuchając rady stryja, gnał co najprędzej do Kalisza, gotów za ojcem i do Olkusza pędzić, póki go żywym wiedział.

Przybywszy do miasta — nie tracąc chwili, choć wiedział, że to go życie kosztować może, młody Borkowicz wpadł na zamek. Do ojca chciał — nie puszczo go.

Wrzawa wywołała Kochana, który miał czas ochłonać — stał więc z krwią zimną naprzeciw młodego, który z gniewu, złości i żalu ledwie mógł mówić. Ojcowska duma nie opuściła dziecka... Uniżyć się i prosić nie umiał — począł od napaści i wyrzutów... od pogróżek... Chciał do króla jechać, czynił Kochana odpowiedzialnym za życie ojca...

Trudno go było zrozumieć, tak wszystko się w mowie jego mięszało bezładnie... Rawa przywiązaniem dziecka tłumacząc to sobie — słuchał dosyć obojętnie.

— Posłany jestem z ramienia króla — odparł zimno — uczynię to, co mi rozkazano. Ani postrachem, ani błaganiami nic ze mną nie uczynicie. Mamli radzić, bo mi waszej młodości żal — uchodźcie, pókiście wolni.

Niepodobna było krzyczącego i rzucającego się pozbyć inaczej, tylko go gwałtem z zamku wyganiając. A że nowych najść lękał się Kochan, natychmiast wóz sposobić kazał, rzucono weń Borkowicza, przywiązując do desek, ludzie straż trzymający posiadali do koła, otoczono żołnierzem silnie uzbrojonym, sam Kochan na koń siadł i ruszył do Olkusza.

Tu z Krakowa miał wyglądać odpowiedzi — jaką śmiercią król go ukarać każe.

Na zamku Olkuskim bezpieczniej czekać z nim było, a przyjaciółom Maćka nie łatwo się tam dostać.

Nie tajno było Kochanowi, że Maciek oprócz brata i syna, prócz tych, którzy ze strachu do niego Ignęli — miał wielu w Wielkopolsce skojarzonych i przyjaznych, którzy się mścić mogli.

W Olkuszu, dokąd naprzód dano znać — znalazł u wrót Rawa przestraszonego Burgrabiego zamkowego, który więźnia królewskiego pilnować i odpowiadać zań, wiedząc kto był — wypraszał się. Przynosił klucze, stawał pod rozkazy Kochana — ale sam od wszystkiego się wymawiał tem, że ani straży dosyć, ani izb zamczystych nie miał.

Postawiono w podwórku wóz, nimby Kochan obmyślił, gdzie Borkowicza umieścić.

Czasu drogi mógł się przekonać towarzysząc mu, iż Maciek bynajmniej nadziei wyrwania się z więzów nie rzucił. Nocami leżąc na wozie, gryzł i rozrywał sznury, straż usiłował obietnicami wielkimi przekupywać, miotał się, na chwilę nie ustając krzyczeć i odgrażać się.

Na zamku olkuskim w istocie nie było zamknięcia bezpiecznego dla człowieka, do którego się mogli usiłować dostać brat, syn lub przyjaciele.

Burgrabia, którego Morawcem zwano, naostatek powiódł Kochana ku wieży północnej. Ta była na więzienie dla najniebezpieczniejszych złoczyńców umyślnie zbudowaną. Drugie tyle, ile jej wyżyna nad ziemią wyrosła, w głąb było obmurowanego lochu, do którego po drabinie schodzić musiano. Sklep bez okien miał jeden ten tylko otwór w górze, który drzwiami żelaznymi się zamykał. Ciemny, wilgotny, głęboki i wązki jak studnia, służył dotąd tylko dwu zbójcom, których z niego na rusztowanie wyciągnięto, po miesięcznym pobycie, już prawie ledwie żywych. Był to grób, w którym śmierć przychodziła powolnie, w męczarniach nocy, chłodu, zgnilizny...

Morawiec jedną tę jamę znajdował dla zamknięcia Borkowicza bezpieczną; a Kochan spojrzawszy w nią, zgodził się, aby do niej spuszczonego złoczyńcę. Chciał z nim doczekać tu ostatniej królewskiej woli. Morawiec tylko za tę studnię chciał ręczyć, iż z niej się więzień nie dobędzie i nikt do niego dostać nie może.

Litości nie miał nikt nad nielitościwym.

Tymczasem, nim od króla otrzymał wolę jego, Kochan na smutnym, pustym, więziennym zamku osiąść musiał.

Borkowicza, mimo oporu, spuszczonego na dno, rozcięto mu więzy i rzucono garść słomy. Morawiec natychmiast drabinę kazał wyciągnąć, drzwi zamknął i straż u góry postawił.

Dziesięć dni czasu upłynęło, nim odpowiedź nadeszła z Krakowa. Tam skargi na Borkowicza, dowody zdrady, opowiadania o okrucieństwach popełnianych przez niego płynęły tak liczne, tak obarczające, a znalazło się tylu domagających jak najstroższej kary, iż wyrok przywieziony brzmiał... głodem go umorzyć.

Razem z nim, główny wróg Borkowicza, Nałęcz, Gruszą zwany, któremu on żonę zbezczeszczył i o śmierć przypawił, nadbiegł, dobrowolnie się ofiarując za oprawcę. Miał ustne pozwolenie króla tak z nim postąpić, jako chciał.

Jego to sprawą było, iż Maćkowi do lochu wiązkę siana spuszczonego jak bydłęciu i miarkę wody. Grusza sam siadł u drzwi jamy i czatował na jęki skazanego, napawając się niemi.

Zgroza przejmowała wszystkich, bo choć zbrodnie i winy były niezliczone i wielkie, kara się wydawała nieludzka.

W sile wieku, Borkowicz męczył się dłużej, niżeli sam wróg jego się spodziewał. Pił wodę, gryzł suche siano, być bardzo może, iż, gdy Grusza spał, ludzie przez litość chleb mu rzucali — dość, że tydzień i dwa upłynęły, a na dnie studni jęk, ryk i przekleństwa słychać było.

Grusza wołał czasami nań, Borkowicz mu urąganiem i obelgami odpowiadał — jedli się tak słowy, dopóki znużony Nałęcz drzwi nie spuścił i nie położył się na nich. Następnego dnia słuchał, zawsze spodziewając się, iż śmierć go od katowania tego uwolni; lecz Borkowicz żył i żył.

Głos jego tylko, z początku silny, słabnął, chrypl i stawał się coraz niewyraźniejszym.

Grusza, gdy czwartego tygodnia nie słyszał już nic tylko sapanie i mruczenie, spuszczał na sznurach pochodnię, aby zobaczyć, co się działo ze skazanym.

Stan jego był okropnym, lecz serca mściwego nie zmięknął.

Opadła z niego przegniła i poszarpana odzież, ciało okryte było ranami, twarz straszliwie zmieniona. Z głodu pokąsał sobie ręce. Wstać już i ruszyć się nie mógł, leżał na barłogu zmoczonym wilgocią, ohydnie skalanym... dysząc ostatkiem życia, a o litość nie prosząc... Wiedział pewnie, iż Grusza jej mieć nie będzie.

Kto wie, jaka nadzieja może do ostatka mu męczarnie te osładzała?.. W piątym tygodniu Nałęcz, gdy pochodnię spuścić kazał na dno, ujrzał wroga swego tak jak martwym, z głową w słomę wciśniętą, nieporuszonym, ale dyszącym jeszcze.

Spuścił się sam po drabinie, chcąc przekonać, czy wiele w nim życia zostało jeszcze.

Gdy nad nim stanął Nałęcz i kopnął go nogą, znędzniały ten trup żywy, poruszył się, podniósł głowę z wolna, wlepił w niego oczy zasze już bielmem śmierci i wyjęknął:

— Księdza!

— Tobie? księdza? abys piekła, które ci należy, uniknął? Giń marnie jakieś żył... giń bez pociechy i przebaczenia.

Grusza domawiał tych słów, gdy wpatrzywszy się w twarz Borkowicza, nagle strwożony, umilkł.

Mimo woli jego, mimo wiedzy litość schwyciła za serce...

Nie rzekł nic i drżący, jak pijany na drabinę się wdrapał...

Siadł u góry i płakać zaczął...

Posłał po księdza...

Gdy kapłan, który szedł do lochu, po krótkim w nim pobycie dobył się na światło dzienne — osłabłym był tak widokiem męczarni i powietrzem, którym oddychać musiał, iż go podtrzymać trzeba było, aby nie padł...

Czterdzieści dni konając tak Maciek Borkowicz, po spowiedzi odbytej — słowa już nie rzekłszy — skonał...

Taki był koniec człowieka, którego wspomnienie długo potem na zamku Olkuskim jak straszna baśń z prastarych wieków pozostało...

KSIĘGA ÓSMA. KRÓL CHŁOPÓW

Dzień był wiosenny, ale wiosna roku tego tak smutną była, jak jesień, co ją poprzedziła...

W całym królestwie Kaźmirzowem i sąsiednich krajach, jakby zagniewanego Boga prawica, odjęła ludziom co życie utrzymać miało...

Pola zasiane nie okryły się kłosami, łąki żółkły wypalone, powodzie, grady, słoty i skwary na przemiany do ostatniego kłoska zniszczyły...

Blady głód, wiodąc mór z sobą, do chat zaglądał... Ludzie żywili się zielem, korą drzew, wszystkim, co przez zeschnię gorączką usta przejść mogło, często śmierć, chorobę, szaleństwo przynosząc.

Wszystkie stały pustkami, a mieszkańcy ich rozbiegali się, szukając, choćby najcięższej pracy, choćby niewoli, byle męczarni i śmierci uniknąć...

Leżały na gościńcach nieopogrzebione trupy, na wpół przez zwierza pożarte, przez kruki potargane... zgnilizną zatrutą napełniając powietrze...

W miasteczkach, do których ciągnęli wynędznieni wieśniacy, szerzył się mór, który przywozili z sobą.

Rozpacz rozpasywała oszalałych.

Nikt bezpiecznym nie był, bo dla kawałka chleba suchego zabijali się bracia, gromady napadały na dwory, odbijano spichrze, mordowano po gościach podróżnych...

Trwoga ogarniała i tych, co jeszcze chleb mieli, aby im go z życiem nie wydarto, unosili je możniejsi, chroniąc się za granicę... Ziemianie do miast się chronili. Lecz i znaczniejsze grody drżały o siebie... Mór już do nich głodowy zaglądał, rozprzęgło się wszystko, gawieź mruczała i jęczała...

Po kościołach napróżno zanoszono modły do Boga, który znękanym ulitować się nie chciał...

W tym to roku, po strasznej zimie, której tysiące padło ofiarą, gromady bledych i wynędzniałych widać było zbiegające się około Bochni i Krakowa... Inne, na odgłos królewskiego miłosierdzia, szły trzebić gościńce, budować zamki...

Spichrze pańskie stały dla nich otworem...

Pod Bochnią, którą kanał poczęty miał z Krakowem połączyć... pomiędzy tłumami robotników zdaleka przywlekającymi się, wśród tych ludzi odartych i nędznych, których połowa spoczywała u ognisk... na koniu okrytym szkarłatną oponą widać było w małym poczcie stojącego męża, nie pierwszej młodości, którego włos piękny, ciemny i bujny, gdzieś tam srebrem się zasiewał...

Był to król...

Sam on chciał widzieć i pracę ludu, który kochał, i płacę, którą mu ze skarbu wyznaczył. Szły na to i zapasy pańskie i nagromadzone bogactwa...

Rycerstwo i ziemianie szemrali znowu... Zamiast karmić głodnych kmieci, czemu Kaźmirz im nie chciał do utrzymania ich na gruntach pomagać!

Tym, co się doń zgłaszali, odpowiadał pan, iż zasoby mieć byli powinni, zdawna gospodarząc, a lud z roku na rok biednie przeżywający, czynić ich nie mógł, słuszną więc była ratować tych, co ratować się sami nie mogli...

— Sprzedajcie klejnoty — mówił Kaźmirz — zbądźcie to, co do zbytku służy, ja też gotów jestem do ofiary, ale dla tych, którym oprócz mnie, nikt nie wyciągnie ręki.

A dając kmieciom, nie upodlę ich jałmużną... niech idą pracować, aby gościńce wodne i lądowe otworzyli dla handlu i życia. Tak głód się nawet przyda królestwu temu.

Urażony na króla jeden z ziemian krakowskich, nawykły zdawna szemrać przeciwko niemu... zadawał mu na głos, iż ziemiaństwu i rycerzom ginąć daje, a czerń nędzną żywi.

— Prawdę rzekł — odparł król — bo z czerni tej, gdy przyjdzie zamożność i światło, łatwo uczynię ziemian i rycerzy, a z nich, gdy rąk zabraknie do roli, co żywi, do rzemiosła, które trzyma, do handlu, który bogaci, nie wydobędę nic...

Na tak jawną wzgardę, okazywaną stanowi, który się głównym a pierwszym na tej ziemi mniemał — odpowiadano cicho owem przezwiskiem — król chłopów...

Kaźmirz nim być chciał i z tem się nie taił.

— Nietylko królem, ojcem bym dla nich być chciał, gdy drudzy im braćmi być nie raczą, choć Chrystusowe na to mają przykazanie...

Tysiące łopat pracowało około kanału, który z Krakowa do Bochni kopano, zwijały się tłumy jak mrówię, pod wodzą postanowionej starszyny. Ład był w tych gromadach, jakoby w wojsku, które ciągnie na nieprzyjaciela. Z białemi laskami prowadzili dziesiątnicy i setnicy dobrane pułki. Nad brzegami kopanicy stały szałas i budy, gdyby wsie na prędcie sklecone... król i piece dla chleba i łaźnie dla zdrowia, i szopy od sloty chroniące kazał powznosić.

Stał tu teraz i patrzył na lud swój, a serce mu rosło i radowało się. O wielu troskach zapominał, wiele przeżytych chwil ciężkich płaciła ta godzina... Usta mu się uśmiechały, a oko, chodząc po tłumach, dumalo... Kiedy niekiedy z gromady bliższej, głową mu się jak znajomy pokłonił człek jaki, który pamiętał, że z królem mawiał, a król go też sobie przypominał. Czasem wyszedł odarty człek i z tą poufałością dziecka, które wie, iż mu rodzic źle nie życzy, zbliżał się powoli do króla.

A przykazaniem było, aby nigdy nikt nie śmiał bronić ubogim przystępu do niego.

I teraz właśnie, gdy król, wysunąwszy się naprzód przed orszak swój, na pracujących spoglądał, ojcowskiem ich zagrzewając okiem, dorodny, ale wynędzniały mężczyzna, łopatę swą w ziemię utkwivszy, wolnym krokiem zbliżyć się począł do Kaźmirza. Król patrzył nań z uwagą wielką, usiłując go sobie przypomnieć a poznać nie mogąc...

Rysy twarzy przypominały mu się, jakby całkiem obcemi nie były, lecz — lud ma pokrewne lica i bratersko wygląda cały.

Mężczyzna był silny, zbudowany jak dziecię plemienia, którego niemowlęta słabsze, do trudów życia nie dość wyposażone, umierają w kolebce, a ci tylko na zimnie i głodzie rosłą, którzy do walki są zbrojni.

I ten człek wiele przecierpieć musiał i zwyciężyć, widać to na nim było. Prawem tem, które dziwnem się zdaje a jest rzeczywistem, cierpienie zahartowało go, nie wyczerpało. Widać było, że wiele jeszcze znieść potrafi dla tego, iż przebolewał już wiele.

Z oczów wpadłych głęboko patrzył smutek ostygły, rezygnacja męstwa wielkiego. Wyżółkły, wybladły, wyschły, przed czasem zestarzały, — silnym był jeszcze... Zapracowane ręce nie drgały znużeniem, głowę niósł wysoko, plecu mu wiek nie przygniótł, trzymał się, prosty jak sosna... Odzież miał lichą, wyszarzaną, połataną, koszulę zgrzebną i grubą, skórnie korą lipową pootykane, siermięgę dziurawą, czapkę od słoty wyblakłą — lecz w tem nędznym ubraniu, tak szedł przed króla śmiało i pańsko, jak gdyby jedwabiami i złotogłowy był okryty.

Król stał na koniu — chłop przystąpił i do nogi się pochylił. — Podniósł potem wejrzenie smutne ku panu.

— Z czym że to przychodzisz? — spytał Kaźmirz łagodnie.

— Z pokłonem, z pokłonem — odparł wieśniak wpatrując się w pana. — Dawnom ja nie widział króla mojego, a dobrzem zapamiętał!

Westchnął, mówiąc to.

— Wszak ci to biedne ojczyisko moje to szczęście miało, żeście u niego w chacie gościli, a macierz i siostra posługiwały wam... Lepsze czasy były... Przyjąć choćby pana czem się znalazło — a dziś.

— Toś ty z Prądnika? — zapytał Kaźmirz, przypominając sobie Wiaducha.

— A tak! miłościwy panie... ale dziś mnie i moich już tam nie ma — rzekł powoli wieśniak... Ojca... zabił Neorża, gdy z Wiślicy powracał, macierzy się zmarło... i mnie się nie wiodło... Przyszło choróbsko i wymiotło mi chałupę... zostałem sam...

Spuścił głowę.

— Nieurodzaj, głód... bydło i chudoba wypadły, spaliła się chata... nie było co w niej robić, poszedłem w świat. Nie zlitował się nikt nademną, do króla się dostać z bolem i skargą nie mogłem... Już myślałem, że mi gdzie pod płotem przyjdzie kończyć, kiedy nas do roboty zawołali. Poszedłem z łopatą! Niech wam Bóg płaci, panie nasz; gdybyście nie zlitowali się nad nami, nie ja jeden, ale tysiące by nas jak muchy popadało...

Słuchał król westchnieniami przerywanej mowy, milczący i zadumany.

— Żeś uczynił — rzekł — żeś nie przyszedł do mnie zawczasu... Jadłem wasz chleb, byłbym go ci obmyślił...

Chłop głową potrząsnął.

Swobodną miał mowę jak ojciec.

— Choćbyście chcieli — odparł powoli z uśmiechem smutnym — nie moglibyście wszystkim biedzie ludzkiej zaradzić. Nie jam jeden był bez chleba. A na zamek, za rycerstwem, dworem i pany nie docisnąłby się człek biedny...

— Wiecie, że u mnie dla was drzwi otwarte — zawołał Kaźmirz.

— A no, strażę przy nich stać muszą — począł wieśniak — siermięgi połataney nie puszczają...

— Cóż z gruntem i chatą się stało? — spytał król.

— Chałupa spłonęła, grunt zająłował, Neorża tam już wsadził jakiegoś przybłądę.

Potrząsnął głową.

— Mnie tam już nie powracać — rzekł — ciągleby człek na swych nieboszczyków patrzeć musiał i samby się tym żalem zamorzył...

Za królem stał pisarz, ku któremu się zwrócił Kaźmirz.

— Ziemię ci w królewskoczynie wyznaczyć każę — odezwał się dając znak pisarzowi, aby go zapamiętał — zgłoś się po nią, a na chudoby także ci z Bochni grosz jaki dadzą...

Słuchał obojętnie dosyć syn Wiaducha...

— Ręk opuszczać nie trzeba — dodał król — starym nie jesteś, pracować możesz...

Ręką ukazał mu pisarza, który skinął, aby się przybliżył. — Ten ci sprawi wedle rozkazaniamojego... Nim starość nadejdzie, masz czas jeszcze gniazdo usłać sobie...

Nic nie mówiąc obdarowany, w nogę króla pocałowawszy, ustąpił.

Nie pierwsza to była rozmowa i dobrodziejstwo tego rodzaju, powtarzały się niemal codziennie nadania ziemi i osadzania bezdomnych, a ze skarbu pieniądze datki.

Wszystko to w świadkach, rycerstwie i ziemianach zamiast poszanowania dla króla, coraz większą ku niemu niechęć budziło. Ukaranie Borkowicza, o którego zbrodniach zapomniano, a śmierć straszną pamiętano tylko, szło także na karb niechęci króla ku ziemianom i rycerstwu.

Potwierdzenie Bolesławskiego przywileju żydom, spanoszenie się Wierzyńka, który służąc królowi, zebrał skarby, o których cuda prawiono; wszystko to potwierdziło przekonanie, iż Kaźmirzowi szło o poskromienie przewagi tego stanu, który nawykł się być za najznaczniejszy i najdostojniejszy uważać.

Król czuł to może, lecz nie dał nigdy poznać po sobie, iżby się troszczył o to, co myślą i mówią o nim ludzie jakiegokolwiek bądź stanu...

Szlachta całą już w tem pokładała nadzieję, iż następca Kaźmirza Ludwik dźwignie ją i dawne jej znaczenie przywróci.

Matka domniemanego następcy i on sam w ciągłych byli stosunkach z możniejszymi panami królestwa, których coraz większymi obietnicami ujmowali sobie.

Nadzieje męskiego potomstwa, i tym razem króla zawiodły... Rodziły się córki... Z Rokiczany i Esthery byli synowie, z prawego małżeństwa Bóg nie dał Piastowi potomka...

Korona szła po kądzieli na Węgry...

Król wyrzekł się już marzeń wszelkich, i zamiast syna ze krwi swojej, chciał tylko pozostawić prawa i zakłady, któreby imię jego uwieczniły...

Kraj cały odżywał, zaludniał się, urządził, zagospodarowywał. — Wznosiły się mury, prostowały drogi, nasypywały spichrze, napełniały skarbcce... Tylko po światło musiano jeszcze jeździć za granicę i szukać go u obcych...

Wszystkiego dokonawszy — król własną szkołę wielką chciał mieć w Krakowie — i na Bawole rzucił pierwsze posady tej Akademii, która z jego myśli wyrosnąć miała na matkę — nauczycielkę narodu.

— Umierać mogę teraz spokojny — mówił do ks. Suchywilka z łagodnym uśmiechem i z dumą człowieka który cel życia osiągnął. Ani głodu, ani nieprzyjaciela, ni ciemnoty i barbarzyństwa, ani niesprawiedliwości kraj mój obawiać się nie powinien. Sam sobie i światłem i sądem starczyć może, nie sięgając po prawa i naukę do obcych.

Ziarno rzucone, Bóg ześle na nie rolę i słońce.

— Miłościwy królu — odpowiadał Suchywilk — uczyniliście wiele, ale żyć wam potrzeba dla nas, aby to, coście zasadzili, urosło, wkorzeniło się, a pierwsza burza młodych latorośli nie obaliła.

Było to ostatnich dni września roku 1370. Jesień już przejmowała chłodem, przymrozki ścisnęły ziemię, niebo szaremi osłonięte oponami — rzadko promieniom słońca dawało się przecisnąć.

Innych lat pora ta roku przynosiła z sobą wesele — stodoły były pełne, po wsiach kojarzyły się wesela, myśliwi ciągnęli w lasy za zwierzem na zimę przyodzianem, po miastach przygrywały muzyki i wypełniały się gospody... W tym roku niepokój jakiś ogarniał wszystkich, lękano się czegoś — pomorku, głodu znowu czy wojny? Nikt powiedzieć nie umiał... Na ludziach ciążyło jakiejś klęski przeczucie...

W Krakowie tęskniono za królem... Dawno go tu już nie było. Wybrał się oglądać swe zamki i ziemie swoje, naznaczać gdzie jeszcze nowe mury wznosić się miały i nowe karczować gościńce... Objechał był Wielkopolskę, ciągnąć miał potem przez Sieradzkie na południe i zatrzymał się w niedawno dokończonym zamku swoim, w Przedborzu...

Spodziewano się go z powrotem, obiecywano wkrótce... król nie powracał.

Wieczorem ostatnich dni września Mikołaj Wierzynek, spokojnie na ławie siedząc z jednym z panów Rajców rozprawał, który stał przed nim w postawie pełnej poszanowania, jakie należało temu, co cesarza i królów miał szczęście ugaszczać i obdarzać.

Urósł był pan Wierzynek, herbu Łagoda, na jednego z najznacniejszych w królestwie tym ludzi, tak, jak samo to królestwo za panowania Kaźmirzowego urosło i spotężniało... na jedno z wielkich mocarstw na północy...

W komnacie gorzał piękny ogień na kominie, który wieczorne światło zastępywał... Ruchomemi jego błyski lśniły się naczynia i sprzęty, których izba ta pełną była.

Najmożniejszy mieszczanin krakowski mógł się otoczyć zbytkiem i iść o lepszą z pierwszymi ziemiany. Nie posiadał może tyle, co oni, ziemi i majątności, ale w skrzyniach jego nagromadzone skarby, starczyły by nie jedne pańskie dobra opłacić.

Rozprawiano o sprawach miasta, które urosłemu z jego handlu, w jego łonie Wierzynekowi, na sercu zawsze były... I ono też za tego panowania błogosławionego z nędznego i zniszczonego, mimo morów, głodów i pożarów, wzniosło się i zabudowało wspaniale. Katedra na Wawelu świeciła dachami kruszcowemi, licznych kościołów wieże podnosiły się ku niebu, zamek rozrosnął się, rozszerzył, ozdobił, okrył jakby królewską purpurą. Poznałżeby go dziś Łoktek, który na gruzy popiołem okryte wjechał tu niegdyś, ledwie izbę dla siebie i żony na schronienie znalazłszy?

Nagle, wśród spokojnej rozmowy, Wierzyńka ucho uderzył tentent konia, który się u wrót kamienicy jego zatrzymał.

Nie było w tem zaiste nic niezwykajnego, przecież drgnął, jakimś przeczuciem tknięty gospodarz, dał znak ręką, zamilkł i pilno ucha nadstawił.

Rajca widząc oczy jego zwrócone na drzwi, które sobą zasłaniał, usunął się od nich zdumiony nieco.

Wkrótce pospieszne kroki, zbliżające się ku nim usłyszano. Wierzynek też wstał i szedł ku nim skwapliwie.

Otworzyły się one i w stroju podróżnym, płaszczem przyodziany, w butach zbłoconych, Kochan Rawa ukazał się na progu. Towarzyszył on panu swojemu w podróży i wracał z niej, widać było na twarzy jego znużenie wielkie i jakby rozgorączkowanie.

Wierzynek rękę doń wyciągnął z uśmiechem, lecz spojrzawszy na zmienione i smutne lice jego, nie zdołał nawet powitać.

Oczy niespokojne wlepił w Kochana.

— Wraca król? — odezwał się wreszcie do wahającego i oglądającego się po izbie gościa.

— Nic więc dotąd nie wiecie?

— Na Boga, cóż wiedzieć mam? mówcie!.. chodziły smutne wieści!..

— Wkrótce to dla nikogo już tajemnicą nie będzie, — zawołał Rawa z westchnieniem ciężkiem. — Nieszczęście się stało! Bóg może nas od większego uchwata...

— Żyw król? — krzyknął łamiąc ręce Wierzynek.

— Żyw Bogu dzięki... lecz, srodze cierpiący...

Kochan, stojący dotąd, rzucił czapkę na stół i padł na blizkie siedzenie; drżał ze znużenia.

— Mówcież, na Boga, co się panu naszemu stało! — zawołał przerażony Wierzynek, — pana naszego, ojca, spotkaliście jakże? zachorzał?.. nie wierzyliśmy pogłoskom...

Rawa spuścił głowę i potrząsł nią.

— W Przedborzu byliśmy, — rzekł, — na samo Narodzenie N. Panny. Królowi się na łowy wcale nie chciało, choć go na nie namawiano. Nieszczęsny dzień, nieszczęsna godzina... Bogdajby był na te łowy nie jechał.

Kapelan mu odradzał dla uroczystości, on sam ociągał się, znaleźli się doradcy, co go namówili... Jelenia miano gdzieś upatrzonego. Dzień był piękny, konie gotowe, myśliwi niecierpliwi... Król mszy na zamku wysłuchał i siadł na koń.

Wiecie, jak on poluje; kilka czasem miesięcy o łowach nie pomyśli, ani tęskni za niemi, a wybierze się w las, posłyszysz psy, zobaczy drugich goniących za zwierzem, nikomu się wyprzedzić nie da... Tak i w lasach przedborskich było.

Jeleń pomknął przed nim. Puścili się za nim łowcy ze psy i oszczepami, król konia swego pognał w gęstym lesie, gdzie powalów i kłód tyle było, co żywego drzewa. Gnaliśmy za nim, ledwie mogąc nadążyć. Jam z oka go nie spuszczał. Nagle znikł mi, jakby się pod nim ziemia zapadła.

Przyskoczyłem przerażony... patrzę, koń na ziemi wyciągnięty i król pod nim z lewą nogą naciśniętą, która na ostrą gałąź padła... Krwią broczy... W chwili zbiegło się nas dosyć do niego, koniaśmy podnieśli, król ledwie się mógł stłuczony i ranny z ziemi podźwignąć...

Lekarze oba, i mistrz Henryk z Kolna, i pan Mateusz z Krakowa, którzy nam towarzyszyli, w Przedborzu na zamku pozostali.

Jako tako chustami obwiązaliśmy ranę, krew płynącą zatamowali. Trzeba było nosze sporządzić, aby go na rękę przenieść, bo na konia się nie mógł.

Śmiał się przecież zrazu i lekce sobie ranę ważył, choć myśmy widzieli zaraz, że szkodliwą była. Po lekarzy pobiegł łowczy, aby naprzeciw pospieszali.

Wiadomość o przypadku jak piorun na wszystkich padła. Przychodziło teraz na myśl, że kapelan w dzień świąteczny polowanie odradzał... Zapóźno było.

Jeszcześmy do zamku z królem, którego nieść trzeba było zwolna, nie nadążyli, gdy już oba lekarze naprzeciw nas wybiegłszy, stanęli przy panu.

Gdyby z nich jeden był tylko, możeby król już zdrow do tego czasu z łoża powstał.

Westchnął Rawa i wśród milczenia ciągnął dalej.

— Znacie ich obu... mistrza Henryka i pana Macieja. Oba uczeni i pana miłujący, ale z sobą jak pies z kotem. Dość, by jeden z nich powiedział, biało, aby drugi zaraz czarno zawołał.

Mistrz Henryk ma Macieja za nieuka, Maciej Niemca za kuglarza. Jeden wierzy w mądrość z księgi, drugi trzyma, że u ludu tylko tajemnice tego, co zdrowiu pomocne, się przechowały. Mistrz Henryk przyprawia lekarstwa nieustannie, Maciej ziół szuka i naturze wiele zostawuje...

Nigdy się jeszcze na nic nie zgodzili... a dnia nie ma, żeby ząb za ząb nie kłócili się z sobą nawet o strawę, którą król żyje...

Ale mistrz Henryk w opatrywaniu ran biegłyjszy jest, i Maciej nasz ustąpić musiał mu pierwszeństwa.

W ciągu tego opowiadania, przerywanego westchnieniami, Wierzynek i rajca słuchali z oznakami przestrachu i niecierpliwością, aż pan Miklasz, nie mogąc się przewyciężyć, zawołał:

— Na Boga, trzebaż go było co rychlej tu, do Krakowa, choćby na rękach nieść! Przecie i lekarzy, i dozór, i wszystkoby znalazł, czego mu tak brak, a mybyśmy nań patrzeć i czuć nad nim mogli.

— A zapewne, i król sam chciał zaraz do Krakowa, na Wawel, — rzekł Rawa, — ale mistrz Henryk nakazał spoczynek. Z rany zaraz się wywiązała gorączka... nocą mówił bezładnie, krzyczał aż strach; a wiecie to, że nie lubi aby go, gdy przez sen czasem co woła, albo i w gorączce, podsłuchiwało.

Wierzynek i Rawa dali sobie znak oczyma. Wiadomem to było, iż Kazimierz przez sen często jęczał, przypominając Amadejowe proroctwo.

— Musieliśmy — mówił dalej po przestanku Rawa — z Przedborza, gdy gorączka ta jakoś ustała, co mistrzowi Henrykowi przypisać należy, więc go i nieść na przemiany do Sandomierza. Na wozie zbyt go rzucano i cierpiał więcej, mieniali się więc ludzie z noszami i powoli jakoś zawlekliśmy się na zamek.

Ale, chociażśmy zawczasu tam oznajmili, aby izby chędogo wyporzadzono i poopalano, bo najgorsze jesienne w murach starych i niezamieszkałych powietrze, gdyśmy stanęli na miejscu, nie było gdzie chorego położyć, takiśmy zastali w jednych izbach zaduch wilgotny, w drugich chłód przejmujący...

Nie długośmy też tam popasali, bo król do Krakowa spieszył. Było mu lepiej znacznie, więc surowego mistrza Henryka niebardzo chciał słuchać, a Maciej korzystając z tego, wcisnął się, chcąc mu przypochlebić. Nakazał był Henryk spoczywać, jeść niewiele, łaźni wcale nie używać, król się przeciwko temu dąsał, powiadając, gdy gorączka opuściła go, że się już całkiem zdrow czuje.

Nasz mistrz Maciej począł też w to grać, mówiąc królowi, że najlepsza lekarka natura wskazuje chorym, czego im potrzeba, i do czego tylko smak król czuje, żeby sobie swobodnie zażywał.

Mimo więc Henryka, opierając się na tej radzie, poszedł król gwałtem do łaźni, choć dowiedziawszy się o tem lekarz z Kolna, za włosy się chwycił.

Nie dosyć na tem, że mu wszyscy radzi służyć byli, nawieźli dlań jabłek, gruszek i orzechów siła, które król zawsze lubił.

Powstała o to kłótnia między lekarzami, bo Henryk trzymał, iż owoce gorączkę wznowić mogą, a Maciej się upierał, iż je natura na to właśnie dała, aby chłodziły i orzeźwiały.

Król posłuchał mistrza Macieja i zaraz po łaźni i owocach tych nocą znowu majaczyć zaczął.

Dopieroż trwoga nas zdjęła straszna, a między lekarzami powstał spór taki, iż Henryk chciał dwór opuścić. Jeden na drugiego zło składał.

Z gorączki król pragnienia straszego dostał, wołając wody... Mistrz Henryk nie chciał jej dozwolnić, Maciej się upierał, aby mu jej dano ile zapragnie, bo to przesilenie sprowadzi.

Odstąpił więc koloński lekarz, ręce umywając, i wodę pić dano.

A tuśmy dopiero postrzegli, iż coraz gorzej być zaczynało. Król cokolwiek oprzytomniawszy, do Krakowa wołał i pędził.

Zaprosił go na spoczynek do siebie pan wojewoda lubelski, a że po drodze było, niesiono go tam.

Źle było. Mistrz Maciej dowodził wciąż, iż przesilenie bliskie, że wprędce choroba zniknie, że król do Krakowa zdrów przybędzie. Koloński Henryk patrzył tylko, ramionami ruszał i nic czynić już nie chciał.

Myśmy głowy tracili.

Mało co zabawiwszy u pana wojewody, kazał Kaźmirz nieść się do Krakowa, bo wozu nie mógł już dla boleści wycierpieć. Choć wojewoda na kłęczkach prosił, Henryk spytany nie radził się ruszać, Maciej rzekł, że króla słuchać trzeba...

Więc, chociażśmy go okrywali, ale w porę chłodną i wietrzną powoli ciągnąc, często na spoczynek dymną izbę mając tylko... z biedą okrutną dobiliśmy się do Koprzywnicy, do Cystersów.

Tu w klasztorze wygodniej mógł król spocząć a i na niczem nie zbywało, bo lekarstwa się u nich znalazły, i co dla chorego na stół było potrzeba...

I, choć spieszo było królowi do swojego Krakowa, że gorączka powróciła i wzmogła się, staliśmy z nim w klasztorze dni ośm.

Król, co przytomność cokolwiek odzyskał, pytał ciągle, czy już w Krakowie jest, niepokoił się bardzo... Ośm dni: tylko przebyliśmy w Koprzywnicy, a stalibyśmy może dłużej i lepiejby było, ale Maciej, który na siebie wszystko wziął, też do Krakowa naglił, mówiąc, że tu lekarstwa swe i księgi ma...

Ciągnęliśmy z chorym do Osieka — westchnął Rawa — i ja zamtąd za rozkazaniem króla przodem tu przybyłem.

— Więc lepiej jest? zapytał Wierzynek niespokojnie.

— Maciej powiada, że nie gorzej, Henryk milczy, a wygląda jakby sam był na śmierć skazany... Źle, ja z jego oczu i milczenia wróżę.

Jak wprzód o wodę, tak w Osieku się jeszcze raz starli lekarze o miód. Król czuł się osłabionym bardzo; więc wina lub miodu starego zażądał.

Koloński doktor, który już do niego się mięszać nie chciał, zobaczywszy miód, który w kubku niesiono, wpadł we wściekłość.

Zawołał wprost, że nieuk króla zamorduje, jeżeli mu pić da miód.

Maciej na złość i przekorę królowi miodu zanieść kazał. A, co prawda, wyznać muszę, iż się przepowiednia Henryka ziściła, gorączki chory dostał a sił mu nie przybyło. Bóg jeden wiedzieć raczy, jakim go doniosą do Krakowa...

Kończąc, Rawa sparł głowę na rękę i zamilkł, ponuro zadumany.

Wierzynek stał, dłonie zacisnąwszy, a dwie łzy mu po twarzy spływały.

— A! nie! nie! przerwał nagle milczenie. — Nie może to być! Bóg nas tak nie skarże, nie dopuści... król nie jest stary... silną naturę ma, zwycięży ona...

— I myśmy tak sądzili — odezwał się Rawa — dopiero dni ostatnich trwoga nas opanowała.

Choroba ta straszliwie go wycieńczyła... a ja Maciejowi nie ufam, choć on ciągle prawi, że przesilenie nastąpi rychło...

— A król, król sam, jakże się czuje? co mówi? spytał niespokojnie Wierzynek.

Na pytanie to Kochan, pogrążony w jakichś smutnych myślach, nie dał długo odpowiedzi. —

— Nie chciałbym ani was, ni siebie nękać i odbierać nadziei, rzekł w końcu — ale król, król straszliwie zmieniony... Piękna jego twarz wychudła, oczy tylko goreją ogniem jakimś strasznym... policzki wypalone, usta spieczone... Więcej drzemie i usypia niż czuwa, a przebudziwszy się nie zawsze jest przytomny. Sen ten niespokojny mistrz Henryk ma za złą oznakę, a Maciej powiada, że natura go zsyła, aby nim osłabionego pokrzepiła...

— Najlepszy lekarz pan Bóg! wykrzyknął gwałtownie się rzucając Wierzynek — ja w nim ufność pokładam, a jednemu i drugiemu z lekarzów wiary nie dają. Gdyby umieli co, niedopuszciliby chorobie się wzmódz...

Zamilkli chwilę, słychać tylko było wyrywające się z ust ich westchnienia...

— Kiedyż przybędzie król? zapytał gospodarz, który nie chcąc odejść od Kochana, a w miejscu wytrwać nie mogąc, kręcił się około niego, jak nieprzytomny.

— Nie wiem i obiecywać nic nie mogę — odparł Rawa. — Nieść go muszą powoli, nieustannie spoczynek potrzebny. — Któż odgadnie, co w drodze jeszcze zająć może?..

Tyle wiem, że i choremu, i Maciejowi do Krakowa pilno. — Ale gorączka pospieszyć nie daje — ale...

Drzwi się otwarły nagle i młodziuchny chłopak, pięknej twarzy, wyglądający pańsko, wpadł do izby. Nie pozdrawiając nawet Wierzyńka, podbiegł wprost do Rawy.

— Król? król? zapytał go głosem, w którym pospiech, z jakim tu biegł, czuć było.

Rawa podniósł wzrok ku niemu, nie wstając z siedzenia. —

— Na Boga, co się stało? co się dzieje? Wiemy, iż przypadek na łowach miał? że po tem lepiej mu już było! Dla czego opuścili go? Czemu nie powraca?

Kochan nie dawał odpowiedzi...

— Mówże, abym choć ja do niego jechał!.. zawołał przybyły... — jeżeli gdzie obległ? Nie gorzej jużci??...

Czekał napróżno odpowiedzi od Kochana, który na podłogę patrząc, milczał.

Wierzynek zwolna ujął go za rękę...

— Król nie jest lepiej, rzekł, niosą go tu z Osieka, rana nie zagojona... gorączki dostał... Żle się ma, ale nadzieja w Bogu...

Młody panicz ręce załamał...

— Wy tam nic nie pomożecie, choćbyście jechali do niego, odezwał się niedbale Kochan. Rychło go się tu spodziewać można... Żle jest...

— A lekarze?

Kochan ramionami poruszył i zamilkł.

Młodzieniec padł na ławę, i głowę zwiesiwszy, zadumał się, a twarz mu zmieniła się dziwnie...

— Co się ze mną? co się z nami stanie, zamruczał, uchowaj Boże nieszczęścia...

— Z wami? podchwycił Wierzynek... mówcie z nami wszystkimi i z królestwem tem... Nie o was jednych idzie... Gdy jego nie stanie, wszystkim ojca zabraknie...

Słów tych domawiał Wierzynek, gdy głosy tłumne dały się słyszeć w sieniach... i kroki pospieszne... Sprzeczano się o wnijscie, którego odźwierny wzbraniać musiał. — Wołanie coraz żywsem się stawało.

Wiadomość o chorobie królewskiej, o przybyciu Kochana, rozeszła się już po mieście — mieszczanie i ziemianie, znajdujący się w Krakowie, chcieli zasięgnąć o stanie króla wieści od jego sługi. Dobijano się do Wierzyńka...

Jeden z przybyłych, któremu wstęp nie mógł być wzbroniony, wbiegł do pierwszej izby, drudzy gwałtem się za nim wparli.

Przodem szedł ks. Suchywilk... tuż cisnęli się mieszczanie, kilku dworzan z zamku, Dobek Bończa i syn kasztelana Krakowskiego.

— Król! król! zaczęto wołać od progu.

Kochan wstał, zobaczywszy ks. Jana, który z posępną twarzą przybliżał się ku niemu...

Tłum otoczył go natychmiast...

Uciszone się, aby usłyszeć spodziewane szczegóły. Wieści o chorobie króla już były tu doszły, lecz jedni im wiary nie dawali, drudzy sobie lekceważyli małą obrazę przy szwanku z konia, znając króla silnym i wielce wytrzymałym.

Dla ks. Suchywilka Kochan musiał, choć krócej, powtórzyć wszystkie szczegóły...

Słuchano ich z natężoną uwagą, a niekiedy wykrzykniki i płacz cichy przerywał mu mowę.

Na twarzach przytomnych malował się niepokój i trwoga.

Przyszłość bez tego króla, niepewne losy Polski, mającej się dostać pod panowanie obcego monarchy, przerażały...

Przecucia złowrogie mieli wszyscy, opowiadanie Kochana wcale ich rozproszyć nie mogło...

— Nie jestem lekarzem, odezwał się ks. Suchywilk, lecz widzi mi się, że dwóm leczyć dać chorego, gdy się z sobą nie godzą — nie należało. Mistrza Henryka znam z nauki głębokiej, Macieja z serca dobrego, a żywego temperamentu... Czemuż Henryka nie słuchano??

Kochan nie odpowiedział...

W tej chwili na ławie siedzący zadumany panicz młody wstał, przystąpił do Suchywilka, w ręce go pocałował, i rzekł głosem cichym. —

— Ojcie... nie zapomnijcie o nas...

Był to Jan Boguta, Rokiczany syn, z twarzy do króla podobny, a po trosze i z temperamentu... Majętności macierzyńskiej wiele już był utracił, król niezbyt go lubił i świadczył mało. —

Ks. Suchywilk dość zimno mu odparł.

— Król, mam nadzieję, tak źle nie jest, aby wszelka nadzieja odjętą została...

— Boże uchowaj! podniosły się głosy zgromadzonych...

— Byle do Krakowa przybył — przerwał Dobek, tu przecie więcej lekarzy się znajduje...

— Mistrza kolońskiego słuchać potrzeba — rzekł ks. Suchywilk... Z kolońskiej szkoły po wielkim Albercie najlepsi medycy wychodzą.

Ten i ów zagadywał jeszcze Kochana, który pół słowy już tylko odpowiadając niechętnie, za czapkę ze stoła wziął, i pokłoniwszy się gospodarzowi, za ks. Suchywilkiem wyszedł.

Poczęli się wysuwać i inni za nim, i wkrótce Wierzynek pozostał sam... a, choć godzina była spóźnioną, nie rychło poszedł na spoczynek.

Długo potem jeszcze w ulicach widać było niespokojnie się przesuwających ludzi, a gdy dzień następny chmurny i posępny miasto rozbudził, całe ono zdawało się jedną tylko troską o króla przejęte.

Nie mówiono po domach, po ulicach, po sklepach tylko o chorobie króla. Brali jedni stronę lekarza Macieja, drudzy Mistrza kolońskiego...

Duchowieństwo, pomimo licznych fundacyj kościołów i łask królewskich, pamiętne śmierci Baryczki, przyjaźni z Estherą, naostatek dnia, w którym król na polowanie jechał, nie chcąc poszanować uroczystości, źle wróżyło. —

Wszystko wydawało się mu mściwym palcem bożym, który za śmierć kapłana swego na królu domierzał karę.

Gdy mieszczenie, żydzi, lud pospolity i mała garstka tych co bliżej stali Kaźmirza, boleli okrutnie na samą groźbę utracenia pana swego, znaczniejsza większość spozierała ku Węgrom z nadzieją, iż Ludwik naprawi, co im Kaźmirz popsował...

Rycerstwo szczególnie i duchowni zmiany tej chciwie i z upragnieniem wyglądało.

Można było poznać usposobienia z twarzy posępnych i rozjaśnionych.

Ci, co z Ludwikiem trzymali, tegoż dnia potajemnie wyprawili poselstwo do Budy, donosząc Elźbiecie i jej synowi o chorobie niebezpiecznej, wzywając, aby co rychłej spuściznę obejmować przybywali.

Dla innych nadzieja utrzymania króla przy życiu jeszcze nie była straconą. Nie mogli i nie chcieli przypuścić, aby zmarł ten, którego żywot był tak potrzebny, bo wlewał życie w tysiące tych, co pozbawieni go być mieli bez niego...

Krół chłopów i biednych ludzi nie mógł się rychło w innym odrodzić... bo wieki zaledwie wydają wielkie umysły i serca te wielkie...

Jak skoro wiadomość o rychłym przybyciu króla do Krakowa potwierdziła się i stała pewną, codzień go tu wyglądać poczęto...

Codzień też przybywali gońce, których w ulicach zatrzymywano, dopytując tęskliwie.

Lecz ci nie przynosili żadnej pociechy... Niesiono króla już nieprzytomnego prawie, dopytującego ciągle, gdy z sennych marzeń się budził, ażali jest już w Krakowie.

Pamiętał Kaźmirz, iż mistrz Maciej tu go do zupełnego zdrowia przywieść obiecywał...

Nareszcie dnia 30 października oznajmiono, iż dnia tego król na Wawel przybędzie.

Miasto całe wyległo na ulice... a choć deszcz jesienny padał dnia tego ciągle, nikt nie zszedł się schronić, chcąc powrotu umiłowanego króla doczekać.

Już nad wieczór ukazały się wozy i konni; króla niesiono osłoniętego kablakami, na których skóry szczelno były poopinane.

Sześciu ludzi zwolna postępowało z nim w milczeniu, a obok noszów pieszo szli z głowami spuszczone, lekarz, dwór, urzędnicy.

Pochód ten powolny, nosze te żałobne, cichość wielka, bo i w tłumie żaden gwar się słyszeć nie dawał, czyniły powrót królewski do pogrzebu podobnym.

Po cichu, lży thumiąc i jęki, płakali ludzie, spoglądając zdala na czarne owe mary, w których król żywy jeszcze, ale bezsilny, wycieńczony, bezpamiętny spoczywał...

Oczy ciekawych mogły tylko dojrzeć opon czarnych, ludzi smutnych, orszaku, którego twarze opowiadały co cierpiał...

Lud zwolna szedł aż ku Wawelowi za panem swym, za którym wrota się zaraz jakby na wieki zawarły...

Pogłoski w mieście krążyły jak najsprzeczniejsze nazajutrz. Utrzymywali jedni, że król oprzytomniał, mówił, czuł się lepiej, że nadzieja powróciła, drudzy że — nierozpoznawał nikogo i że najbliżsi we łzach czekali strasznej godziny...

Oprócz rozporządzenia koroną, która już niewątpliwie siostrzanowi Ludwikowi dostać się miała — król nie uczynił żadnego swem mieniem osobistem...

Pozostawił dzieci i wnuki, a oprócz potomstwa z pierwszej i ostatniej żony... syna jednego z Rokiczany, Jana Bogutę, któregośmy widzieli u Wierzyńka, z Esthery, jednego Niemirę, bo Pełka zmarł młodo, i córek kilka...

Wszyscy oni wyglądali od króla wyposażenia, opatrzenia losu swojego...

Tymczasem głośno już z tem odzywało się duchowieństwo, aby dzieciom Esthery i Rokiczany żadnej nie dać spuścizny, pochodzenie ich uprawniającej. Chciano pamięć tych miłostek nieszczęsnych zatrzeć na zawsze...

Czwartego dnia po przybyciu Kaźmirza do Krakowa nikt już nie rachował na dłuższe życie jego... Henryk z Kolonii otwarcie oświadczał, że król, którego siły się wyczerpały, żyć nie może.

Mistrz Maciej u łoża królewskiego siedział płacząc, bezmówny, w dolnej izbie południowego skrzydła zamkowego...

Około tej części zamku gromadziły się tłumy tych, którzy przystęp na Wawel uzyskali... Opowiadano sobie po cichu, iż Kaźmirz całą umysłu odzyskał przytomność i sposobił się na śmierć, której zbliżanie się czuł od powrotu do Krakowa.

Dnia tego ujrzano przybywającego na zamek biskupa, przyjechał Władysław książę Opolski, kasztelan, wojewodowie i pierwsi urzędnicy przywołani zostali...

W dolnej izbie tej rozpostrzygły się losy wielu — tylko los kraju pozostał wedle dawnych umów przekazany Ludwikowi...

Przez cały dzień trwały, u łoża króla narady... Spisywano wolę jego. Umierający miał do zwalczania opór duchownych, niechęci rodziny prawej ku dzieciom, którym zaledwie małe mógł zostawić wyposażenie...

Od tej chwili zdawała się już śmierć króla nieodwołalną... Czekano tylko na odezwanie się dzwonów żałobnych na Wawelu...

Dnia piątego października¹ grobowa cisza panowała w mieście, ledwie ze snu o rannym brzasku rozbudzonym, gdy pierwszy dzwon wielki u Ś. Wacława poruszył się i jęknął...

Wielkiej duszy pan — nie żył... Płaczem rozległo się miasto...

¹piątego października — powinno być: piątego listopada. [przypis edytorski]

Gdy za pogrzebem króla żałobą odziana z dwojgiem córek szła milcząca Jadwiga, królowa, osierocona, opuszczona już, mająca wkrótce zstąpić z tego zamku, na którym nigdy nie panowała, czująca jak się do koła niej rozstępowali ludzie; we dworze murowanym w Łobzowie, patrząc przez okno na gałęzie drzew z liści obnażone siedziała niewiasta, piękna jeszcze, postaci wspaniałej, poważna, i jakby z bólu skamieniała. Czarne jej oczy, wlepione w szary widok jesiennymi spowity mgłami, nie widziały nic, patrzyły w przeszłość i zapłakać nawet nie mogła. Dla niej wszystko się skończyło z uderzeniem dzwonu na Wawelu, nie król umarł dla niej, ale ona sama skołała z nim.

Dziesięcioletnie chłopię Niemira, syn jej, siedział niedaleko, patrząc na matkę... nie rozumiejąc tej wielkiej boleści, która jej pamięć o dzieciach nawet odjęła.

Opodał nieco dwie dziewczeczki ciekawie i nieśmiało spoglądały też na matkę...

Cisza panowała dokoła — lecz wiatr przynosił na skrzydłach mokrych z Krakowa jęk oddalonych dzwonów...

Esthera od powrotu króla przebrana, osłonięta, wcisnąwszy się na Wawel, stała czekając miłosierdzia. Nie żądała więcej nic, żadnego daru dla dzieci, żadnej ofiary dla siebie — jednego spojrzenia, jednego stygnącej ręki uścisku.

Oczy króla szukały jej dokoła, serce czuło, usta się upomnieć nie mogły.

Surowe twarze duchownych i mężów, którzy słabości życia i serca nie znali, na straży stały, aby pożegnania nie dopuścić, wspomnienia nie dozwolnić.

Ci, co niedawno dworowali i kłaniali się Estherze, przechodzili teraz koło niej, nie widząc jej i znać nie chcąc. Stała napróżno i czekała nadaremnie — niechciała ustąpić sama, dobrowolnie.

Drugiego ranka wyszedł kapelan królewski z brwią namarszczoną, z głosem ostrym i syderskim — kazano oczyścić przedsienie, wszystkim obcym ustąpić z zamku...

A ona była obcą! Sama jej przytomność kałała zamek królewski, widzieć jej tu nie chciano. Kapelan głośno zapowiedział, że wszyscy ustępować byli powinni, Esthera nie poruszyła się...

Zadumany Kochan Rawa przechodził, schwyciła go za suknię, która z ramion spadając, za nim się wlokła — ale nie odezwała się ani słowa. Podniosła zasłonę z twarzy, i spojrzała nań wielkimi oczyma...

Kochan stanął, poruszając ramionami...

Móglże on tu co jeszcze?

Noc nadchodziła — szedł do królewskiego łoża...

Każmirz pogrążony był w tym śnie przedśmiertelnym, ciężkim, który często jest kowania zwiastunem. Leżał, rzucając się niespokojny, usta i oczy otwierały się niekiedy. Z ust wychodziły wyrazy bez związku, odbłyski wspomnień wielu, ludzi wielu, cierpień długich... oczy patrzyły i nie widziały...

W chwili, gdy król zdawał mu się przebudzonym, Kochan zniżył się do ucha jego i szepnął mu jedno słowo, imię jedno. Drgnął król i oczy otworzył szeroko, szukał niemi cienia przeszłości — nie zobaczył nic, oprócz sługi i księdza.

Ksiądz na straży stał i nie opuszczał już łoża.

Powieki zwolna zapadły na oczy znużone — Każmirz usypiał i marzył...

Kochan wyszedł wolnym krokiem w przedsienie. Na tej samej ławie, samotna, tam gdzie ją zostawił, siedziała Esthera...

Poczuła go przychodzącego, drgnęła, podniosła się, poruszyła nadzieją jakąś. Kochan nie śmiał jej odjąć słowy, ręce rozpostarł szeroko, głowę zwiesił — ruch jego wyrażał zwątpienie...

Podał jej rękę w milczeniu, wskazując ku wrotom.

Niema scena odegrała się między nimi dwojgiem, Esther wierzyć nie chciała opuszczeniu, zapomnieniu — sieroctwu, Kochan przez miłosierdzie chciał jej ostatnią odebrać nadzieję.

Prawie siłą uchwycił ją, opierającą się jeszcze, i pociągnął z sobą. Esther obejrzała się wahając, nagle jakby odzyskawszy moc duszy, odtrąciła rękę Kochana i krokiem poważnym iść poczęła ku bramie.

Rawa w milczeniu postępował za nią.

Z licznej i zamożnej rodziny Esthery, mało kto oprócz Lewka, zbliżał się do niej. Ona sama unikała z nią ściślejszych stosunków, poświęcając królowi, któremu pocho-

dzenie przypominać mogła niemiłe. Współwyznawcy, dla których była opiekunką, gdy szło o sprawy narodu, szanowali ją i patrzyli pobożająco nawet na to, że synów ochrzcić, jak było wolą króla, zgodziła się.

Lewek przychodził czasem do niej, gdy ważne sprawy wymagały, inni też jej nie potępiali. —

Lecz w ciągu lat tych mało kogo widywała, żyła od swoich odosobnioną i oprócz żeńskiej służby izraelitek nie miała przy sobie nikogo prawie.

W tej chwili gdy odepchnięta, osamotniona wychodziła z zamku, przeprowadzana przez Kochana, który litość jakąś miał nad nią; na drodze ku wrotom zjawiał się, jakby oczekujący na nią, stary Lewko.

Teraz na niego przychodziła kolej, być opiekunem tej, która już nikogo nie miała. Domyśleć się było łatwo, iż wszyscy co okiem niechętnym patrzali na te miłostki królewskie, które z latami stały się trwałym przywiązaniem, teraz korzystając ze zgonu, starać się będą upokorzyć, odpędzić gdzieś — ogłocić może ze wszystkiego kobietę, której za życia Kaźmirza ani się pozbyć, ani odegnąć nie mogli od niego.

Lewko z obowiązku krwi przychodził jej w pomoc, i przez pamięć dla Kaźmirza, którego jako dobroczyńcę narodu swojego, czcił wielce...

Kilka słów, w języku żydów przemówionych z cicha, zatrzymały Estherę. Rawa zobaczywszy opiekuna tego, nie widząc potrzeby iść za nią, zawrócił ku zamkowi. Stary milcząco i posłusznie wyprowadził, ciągle po kilka słów szepcząc, za wrota.

To, co mówił, ona tylko zrozumieć mogła, lecz czy słuchała, czy słyszała, czy jakiegobądź słowo mogło jej w tej chwili trafić do duszy??

Prawie bezprzytomną wiodąc tak z sobą, kierując nią, bo nie wiedziała dokąd szła — Lewko u stóp góry do stojącego tam wozu ją wsadził i woźnicy jechać kazał do Łobzowa.

Stara sługa Esthery czekała na nią i otuliła, posadziła, trzymać musiała przez drogę ciągle w osłupieniu rozpaczliwym pogrążoną. —

W Łobzowie spały dzieci, gdy ją przywieziono i bezwładną położono do łóżka. W ciągu królewskiego konania nikt się tu z zamku nie zjawiał. Być może, iż Kaźmirza wolą było albo ją widzieć, lub przynajmniej dać znać o sobie, lecz pilnujący łoża kapelan, biskup Florjan i inni duchowni pilnowali, aby nawet myślą nie powrócił do grzechu, którego wyrzec się musiał...

Przed zgonem króla jeszcze przybył stary Lewko. Znał on nadto Estherę, aby do niej z próżną pociechą spieszył, wiedział, że dla niej nie było jej — że żalu po królu nic nie mogło umniejszyć. Chciał tylko przynieść wiadomość, iż w rozporządzeniu ostatniem, o którym wiedział przez Wierzynka, i ks. Suchywilka, król o małym Niemirze, równie jak o Bogucie nie zapomniał.

Pomimo oporu otaczających, przekazywał im wieś Kutaw, Jurznicz, Drugnię, i coś z ruchomości na pamiątkę.

Esthera wysłuchiwała opowiadania z tą obojętnością rozpaczliwą, która ją od choroby króla nie opuszczała...

Starzec wiedząc, jak małe na niej uczynił wrażenie przyniesioną wieścią, niepewien nawet, czy go zrozumiała, dokończył wierszem psalmu jakiegoś i — z politowaniem spojrzawszy na tę ofiarę, oddał się, polecając służbie czuwanie nad nieszczęśliwą.

Tak dotrwała, ust prawie nie otwierając, Esthera, aż do tego ranka, w którym dźwięk wszystkich dzwonów Krakowa oznajmił jej, że wszystko było na wieki skończone...

Plakać nie mogła...

Patrząc na nią, skamieniałą, bezmowną, dzieci, które się nieśmiało zbliżyć próbowały, ogarniał strach jakiś. Mówiły do niej napróżno, targwały za suknię, nie widziały i nie czuła. Oprócz służby, przerażonej i milczącej, w ciągu tych dni nie było nikogo...

W trzy dni po zgonie... pospiesznie — zbyt cicho i skromnie odprawiono pogrzeb królewski, lecz uroczystości tej, która wielkości zmarłego i zasługom jego nie odpowiadała, bo duchowieństwo zmarłemu nawet przebaczyć nie mogło wspomnienia ks. Baryczki — szczególnego blasku dodało zbiegowisko ludu. Z rycerstwa i ziemian, z urzędników znajdowali się ci tylko, których obowiązki powoływały — z tych ludzi, co w zmarłym jedynego tracili opiekuna, cisnęły się tłumy, nie mogąc już do przepelnionego, a małego dostać kościoła, i zalegały podwórca, drogę, stopy góry... Tłum ten stał w milczeniu uroczystym, smutnym, z prawdziwymi łzami, z niekłamany bolem po panu swoim.

Gdy dostojni już się niepokoiли, nowego wyglądając pana — ci czuli, że drugiego podobnego zmarłemu mieć nie będą.

W mieście panowała żaloba... bo miasto dzisiejsze za jego panowania powstało, wzrosło, można było rzec stolicą się dopiero stało i bijącym sercem państwa...

Żydzi, którym przystęp był bliższy wzbroniony, zdala też przytomnością swoją chcieli okazać, iż nie byli niewdzięcznymi. Lewko wprost z pogrzebu pojechał do Łobzowa.

Już we drzwiach oczekująca nań stara służa Ruchla opowiedziała mu, że w stanie Esthery nie było zmiany. Nie wychodziła z osłupienia, i nawet głosy dzieci wywieść jej z niego nie mogły.

Lewko nie odpowiadając, wysłuchał skarg Ruchli, pomyślał nieco i wszedł do izby.

Jak gdyby nie posłyszała go i nie zobaczyła, Esthery błada i zmieniona siedziała, patrząc suchemi oczyma w tę dal jakąś, po za świąty, w której przebywała dusza.

Stary żyd stał długo zadumany, jak gdyby szukał środka, którymby ją mógł rozbudzić do życia. Po chwili wziął za rękę Niemirę i dziewczęta, przyprowadził je do matki, i rozkazawszy im chwycić ją za ręce z wołaniem po imieniu, czekał na wrażenie tych głosów dziecięcych, błagających i płaczących.

Dzieci długo powtarzały to imię matki, nim wreszcie Esthery zadrżała, wstrząsła się, i jak zbudzona, ze szlochaniem się ku nim rzuciła, wszystko troje obejmując rękami.

Naówczas Lewko zbliżył się do niej i powolnym głosem począł przywoływać do życia, w imię macierzyńskiego obowiązku.

Łzy długo powstrzymywane odpowiadały mu tylko, ale już Esthery żyła. Lewko spokojniejszy usiadł na ławie.

— Żal twój sprawiedliwy, — rzekł, — któżby go nie żałował i nie płakał po nim. Wieki długie wspominać go będą ludzie i czić pamięć jego, ale matce zabijać się rozpaczą nie wolno... Wielkie szczęście i cześć wielka spotkała córkę Izraela, trzymała w dłoniach swych serce pana, który jej wiernym pozostał do zgonu, ale Bóg zawsze szczęście płacić każę łzami i bolem, a Imię Jego i w boleści i we łzach niech będzie błogosławione.

Piskłeta te żyć ci każą, aby sierotami nie były...

Esthery podniosła ku niemu splakane oczy.

— Nie dziwuj się żalowi mojemu, ani mi go za grzech poczytuj... — rzekła cicho głosem znużonym. — Błogosławię i ja Imię Pańskie, ale nigdy żadna niewiasta sierotą taką jak ja nie była. Odłączyłam się dla niego od narodu mojego... zaparłam krwi, wyrzekłam rodziny, któż mi teraz rękę poda, kto przyjmie?.. Dla miłości jego ludzie mnie na nienawiść i pogardę skaza... a wy?.. między wami ja też miejsca nie znajdę. Muszę więc być — samotną, odłączoną i wyklętą.

— Dzieci! — zawołał Lewko. — Matce dzieci wszystko zastąpić powinny...

Ani myśl, by naród twój cię odpychał, pamiętny on jest tego, coś ty dla niego uczyniła... nie potępia cię, nie potępi, szanuje...

Milczeli, Esthery płakała.

— Jam tu przybył z radą, — dodał starzec. — Nie godzi ci się czekać na to, aby ludzie bez miłosierdzia, mściwi, z pod tego dachu z dziećmi cię wygnali. Ty sama, dla pamięci jego, dwór ten opuścić powinnaś.

Oczy Esthery podniosły się ku mówiącemu i utkwily w nim. Obejrzała się po ścianach mieszkania, którego każdy sprzęt jej króla przypominał, po komnatach pełnych zmarłego jeszcze... i płakała znowu.

— Tak jest, — odezwała się powstając żywo i znowu chwytając swe dzieci. — Siebie i tę krew jego od smoty ocalić powinnam. Jedźmy... ale nie do Krakowa.. Chcę powrócić tam, do starego domostwa ojca, do Opoczna...

Jedźmy... Jeśli odbierać zapagną, co on mi dał, niech biorą wszystko. Zostanie mi po nim wiele, tyle, ile potrzeba, abym karmiąc się tem, doszła do grobu...

Nie odpowiedział Lewko, wstając także, chociaż wcale inaczej za nią myślał i rozporządził. Przewidując wybór z Łobzowa, przygotował wozy i spieszenie całe mienie ruchome Esthery ładować na nie rozkazał. Wiedział, że w pierwszej godzinie nadto wszyscy zaprzątnieni będą przyszłością, skarbieniem łask nowego pana i tych, co prawdopodobnie w zachowaniu być mieli, by myśleć o Estherze.

Spuścizna wielkiego króla, który, pomimo dzieł dokonanych, skarby zostawił ogromne, od Bolesławowskich czasów niewidziane w Polsce, rozsypać się miała na licznych

spadkobierców. Dostojni panowie biegli przeciw Elżbiecie i Ludwikowi; nie myślał nikt o biednej Estherze, tak jak mało kto troszczył się o równie, straszniej może jeszcze osieroconej królowej, która nawet serca męża nie miała.

Dano jej więc ujechać z Łobzowa, i nikt cichej boleści nie urągał.

O parę lat zaledwie króla przeżywszy, którego dzieci też marnie, zapomniane, poginać miały — Esthery zmarła zabytą, miłość i cześć dla Kaźmirza unosząc z sobą do grobu.

Na tron Piastów osierocony, imieniem wstępował węgierski król, sercem obcy krajowi, którego miłości pozyskać się nie kusił.

Król chłopów zstąpił do grobu z przewiskiem tem, które dzieje miały na zasłużone Wielkiego zamienić imię.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krol-chlopow>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Król chłopów*. Czasy Kaźmirza Wielkiego, Kraków 1881.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0440-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).